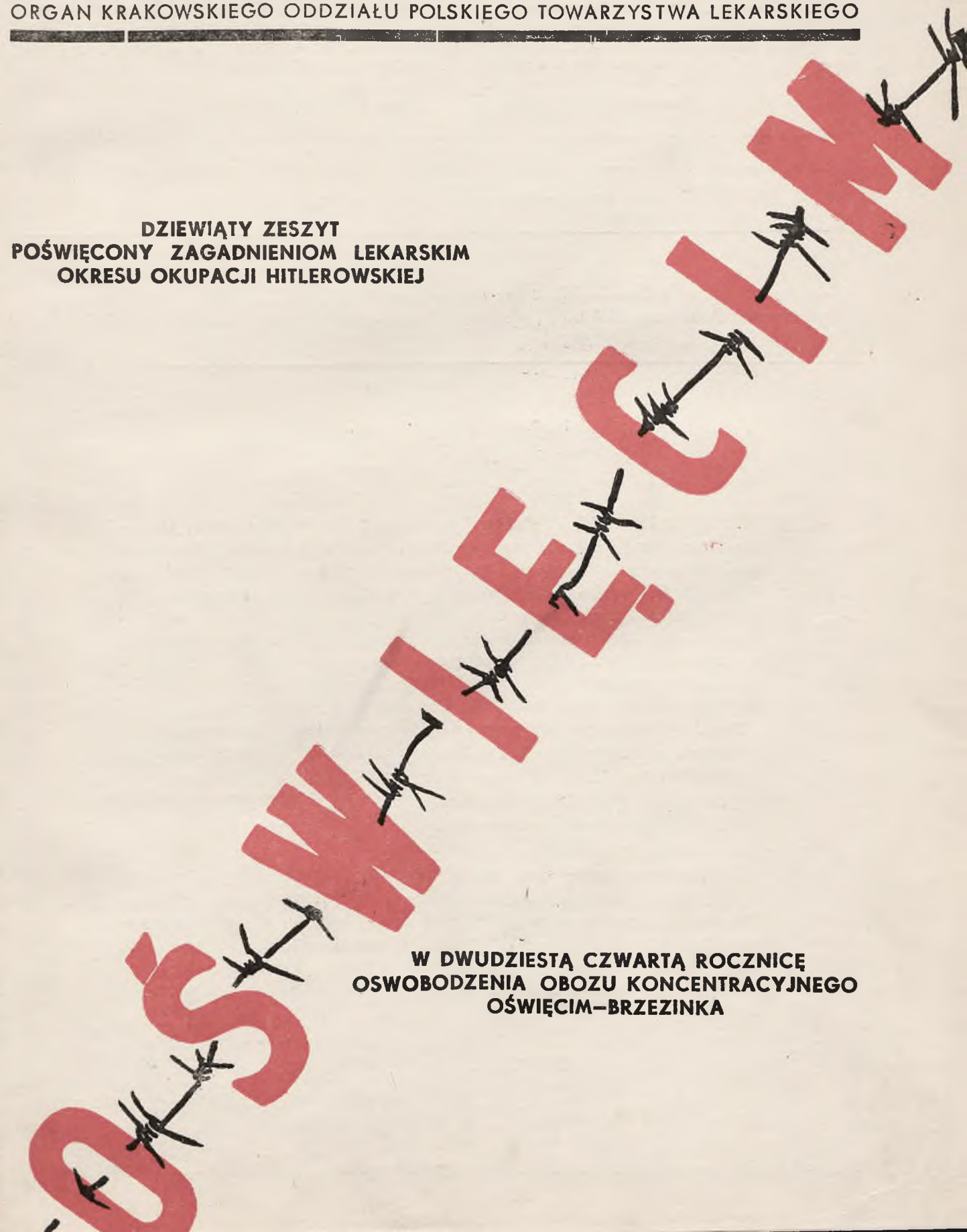
ROK XXV SERIA II KRAKÓW Nr 1 1969

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

DZIEWIĄTY ZESZYT
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM
OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ



W DWUDZIESTĄ CZWARTĄ ROCZNICĘ
OSWOBODZENIA OBOZU KONCENTRACYJNEGO
OŚWIĘCIM–BRZEZINKA

Komitet redakcyjny: Prof. dr P. Boroń (Białystok), prof. dr M. Górski (Gdańsk), doc. dr H. Gaertner, prof. dr W. Jakimowicz, doc. dr J. Kobiela, prof. dr W. Mikułowski, prof. dr T. Tempka, doc. dr W. Wcisło (Kraków), prof. dr J. Billewicz-Stankiewicz (Lublin), prof. dr J. Grott, prof. dr W. Markert (Łódź), prof. dr J. Jankowiak (Poznań), prof. dr K. Gibiński (Rokitnica), prof. dr E. Gorzkowski (Szczecin), prof. dr T. Orłowski (Warszawa), prof. dr E. Szczeklik (Wrocław)

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego: Prof. dr J. Bogusz

Redaktor naczelny: Prof. dr med. Bronisław Giędosz, Z-ca redaktora naczelnego: Doc. dr Włodzimierz Ostrowski
Sekretarz Redakcji: Dr med. Adam Wajdowicz

Adres Redakcji: Kraków, ul. Czysta 18, tel. 339-47
Wydawca: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich — Warszawa, ul. Długa 38/40

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą

Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego podjął inicjatywę naukowego opracowania zagadnień lekarskich związanych z dziejami hitlerowskiej okupacji, hitlerowskich obozów koncentracyjnych, a przede wszystkim największego i najstraszliwszego obozu zagłady, Oświęcimia-Brzezinki, osławionego pod oficjalną nazwą *Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau*. Uważając to zadanie za moralny obowiązek, stwierdzamy jednocześnie, że powyższa tematyka ma wielką wagę naukowo-badawczą dla wszystkich dziedzin medycyny oraz poważne znaczenie praktyczne w leczeniu chorób ofiar obozów koncentracyjnych.

Towarzystwo nasze zainicjowało dotychczas prace nad następującymi tematami, z którymi zapoznało środowisko lekarskie w serii odczytów i artykułów:

I. Badania psychologiczno-lekarskie;
II. Zagadnienia prawno-lekarskie;
III. Materiały historyczno-dokumentarne.

Towarzystwo nasze apeluje do wszystkich towarzystw lekarskich w kraju i za granicą o podjęcie podobnych inicjatyw we wszelkich specjalnościach, a zwłaszcza o zainteresowanie tą tematyką młodych naukowców. Będzie to hołd złożony rzeszy lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodowości, wymordowanych w hitlerowskich obozach, a jednocześnie jest to humanistyczne zadanie właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

KRAKOWSKI ODDZIAŁ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

ROK XXV SERIA II KRAKÓW Nr 1 1969

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

100596
II 25(1969)

Dziewiąty zeszyt

poświęcony zagadnieniom lekarskim

okresu hitlerowskiej okupacji

wydany staraniem

Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego,
Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
i Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego ZBoWiD,
przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego

Zredagowali:

Prof. dr Józef Bogusz
Doc. dr Antoni Kępiński
Dr Stanisław Kłodziński
Mgr Jan Masłowski

Biblioteka Jagiellońska
1001243597

TREŚĆ

Bogusz J.: Słowo wstępne 3

DZIAŁ NAUKOWY

Panasewicz J.: Niektóre aktualne zagadnienia patologii wojennej 13

Wojtasik W.: Zmiany chorobowe u byłych więźniów obozów koncentracyjnych ze środowiska kieleckiego 18

Gątarski J., Orwid M., Dominik M.: Wyniki badania psychiatrycznego i elektroencefalograficznego 130 byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki 25

Kaczyński A.: Gościec u więźniów obozów koncentracyjnych w obrazie ówczesnym i aktualnym 28

Capińska K., Capiński T. Z.: Wyniki ambulatoryjnego badania dermatologicznego 150 byłych więźniów Oświęcimia . . . 31

Waluk B.: Ocena stanu zdrowia osadników wojskowych powiatu szczecińskiego . . 35

Chróścielewski E.: Eutanazja. Niektóre zagadnienia lekarskie i prawne . . . 37

Chróścielewski E., Celiński W.: Pseudoeutanazja w „Kraju Warty" podczas okupacji hitlerowskiej 42

Sterkowicz S.: Przyczynek do zagadnienia moralności więźniów obozów hitlerowskich 47

Glińska A.: Kierunek przekształceń moralnych wśród więźniów Oświęcimia . . 53

Glińska A.: Istota i mechanizm przemian w moralności więźniów Oświęcimia . . 57

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

Kret J.: Przyczynek do historii zagłady inteligentów polskich w obozie oświęcimskim 61

Kłodziński S.: Laboratorium Instytutu Higieny SS w Oświęcimiu. Bulion z mięsa ludzkiego 67

Makowski A.: I oddział wewnętrzny szpitala obozu koncentracyjnego Buna-Monowice 71

Zegarski W.: Szpital w Sachsenhausen na tle warunków obozowych w latach 1940—1945 75

Kłodziński S.: Zbrodnicze doświadczenia z zakresu gruźlicy w Neuengamme. Działalność Kurta Heissmeyera 86

Wlazłowski Z.: Lekarze polscy w obozowym ruchu oporu w Gusen 92

Witkowski J.: Hitlerowski obóz śledczy w Mysłowicach 95

Witkowski J.: Dalsze informacje o „Polen-Jugendverwahrlager" w Łodzi. „Witaszkowcy" 97

Witaszek-Napierała A.: Z lat germanizacji dzieci polskich 109

Chróścielewski E.: Uwagi w związku z akcją doktora Witaszka. Helena Siekierska („Lusia") 110

WSPOMNIENIA

Kotucha R.: Na robotach w Rzeszy. Wspomnienia lekarza 113

Woytowicz B.: W okupowanej Warszawie 117

Grajkowska-Bryjowa M.: Wspomnienia z ludowej konspiracji 125

Apostoł-Staniszewska J.: Wspomnienia z Brzezinki. Urywki 130

Dziaduś S.: „Hirschberg" i „Treskau", podobozy Gross-Rosen. Urywki wspomnień . 138

Żegleń J.: Z „rewiru" w Gross-Rosen . 145

Fedorowicz („Ran") T.: Uwagi o „rewirach" i funkcyjnych obozowych 148

Pagniez Y.: Niedziela w obozie . . . 154

Mazurkiewicz-Pieńkowska M. R.: Transport uratowany przed Oświęcimiem. Wspomnienia lekarki 157

Jabłoński J: Z Radogoszcza do Oświęcimia, Gross-Rosen i Mauthausen. Wspomnienia lekarza 161

Kordylewska Z.: Z okupacyjnych przeżyć lekarki 165

Lach-Kamińska J.: W więzieniu i w obozach hitlerowskich (1943—1945) . . . 167

Sztaba R.: O niektórych więźniach Majdanka 173

Osuchowski J.: Zagazowanie więźniów z bloku 24 w Gusen 177

Wesełucha P.: Obłęd czy metoda. Refleksje poobozowe 181

SPRAWOZDANIA

Jagoda Z., Masłowski J.: Drugi zjazd lekarzy ZBoWiD. Polska medycyna wobec problematyki okupacyjnej 184

Pituch A.: Studenci o zbrodniach hitlerowskich. Seminarium ogólnopolskie . . 189

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH PRACOWNIKÓW SŁUŻBY ZDROWIA

Kiedrzyńska W., Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Dwa szkice o prof. dr Jadwidze Szustrowej 191

Dominik M.: Prof. dr Franciszek Raszeja 195

Kłodziński S.: Dr Władysława Jasińska 199

Zegarski W.: Dr Witold Kopczyński . 201

Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Dr Antoni Ostaszewski 204

Mączka-Patkaniowska Z.: Mgr farmacji Czesław Mączka 206

OCENY

Masłowski J.: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1968 210

Treść poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego", poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu okupacji hitlerowskiej . . 221

Contents of preceding issues of „Przegląd Lekarski" (Medical Review), devoted to medical problems of the period of Nazi occupation 224

100596
III
Bibl. Jagiell. 394/
1969 CF

JÓZEF BOGUSZ
Przewodniczący Krakowskiego Oddziału
Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

Kraków

Słowo wstępne

Dziewiąty zeszyt „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" oddajemy w ręce czytelników w kolejną dwudziestą czwartą rocznicę oswobodzenia obozu zagłady Oświęcim-Brzezinka, który symbolizuje wszystkie hitlerowskie obozy koncentracyjne.

Badania dotyczące problematyki lekarskiej okresu okupacji hitlerowskiej, zgłębianie wielu zagadnień psychologicznych, socjologicznych, etycznych, historycznych itd. czyni dalsze postępy. Z dużym zadowoleniem można zauważyć, iż w ubiegłym roku odbył się ważny zjazd lekarski poświęcony tej tematyce, a mianowicie drugi krajowy zjazd lekarzy ZBoWiD w Warszawie w dniach 28—29 maja 1968 roku. Zjazd zgromadził wielu spośród lekarzy interesujących się omawianą problematyką. Dorzucili oni wiele cennych spostrzeżeń i przedstawili wyniki swych badań. W dziale „Sprawozdania" dr Zenon *Jagoda* i mgr Jan *Masłowski* omawiają plon tego zjazdu.

Nieubłagana kolej losu corocznie zabiera bliskich. W ubiegłym roku wypadło nam pożegnać na zawsze wielkiego przyjaciela naszego pisma, prof. dra Jana Stanisława *Olbrychta*. Jego śmierć, która nastąpiła 18 stycznia 1968 roku, była dla nas bardzo bolesna. Profesor zawsze żywo interesował się tzw. zeszytami oświęcimskimi „Przeglądu Lekarskiego". Wraz z nieodżałowanej pamięci prof. Janem *Sehnem* był inspiratorem wielu prac. Swoją pracę o własnych przeżyciach oświęcimskich napisał krótko przed śmiercią. Została ona opublikowana w poprzednim zeszycie naszego cyklu (Przegl. Lek., 1968, nr 1, str. 82). Była to ostatnia praca prof. *Olbrychta*. Interesował się nią do ostatnich dni Swego życia.

Na przypomnienie zasługuje, że w roku 1968 szlakiem zwycięstw nad hitlerowcami przeszła sztafeta, która z końcem kwietnia stanęła w Oświęcimiu. Znów przypomniano wtedy o martyrologii milionów w katowni oświęcimskiej, jak również o tamtejszym ruchu oporu i o pomocy więźniom za drutami ze strony organizacji podziemnych. Przypomniano także o apelu wysłanym zza drutów obozu przez Brzeszcze w świat, napisanym przez więźnia nr 62933, Józefa *Cyrankiewicza:* „Chociaż w niewoli, to jednak ludzie wolności — ślemy wolnemu światu wieść o naszym istnieniu, o naszej nierównej walce". Przybyciu sztafety do Oświęcimia towarzyszyła uroczystość odbyta tam 27 kwietnia 1968 roku. Pięć podobnych sztafet upamiętniło szlaki zwycięstw na ziemiach polskich.

Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego uczcił rocznicę wyzwolenia obozu oświęcimskiego, jak rokrocznie, na uroczystym, styczniowym posiedzeniu.

Gdy wydajemy zeszyt niniejszy, postulat nieprzedawnienia zbrodni hitlerowskich pozostaje nadal w centrum zainteresowania. Jak wiadomo, rząd Niemieckiej Republiki Federalnej pierwotnie zamierzał przyjąć dzień 9 maja 1965 roku, tj. dzień, w którym upłynęło 20 lat od zakończenia drugiej wojny światowej, za termin, po którym miało nastąpić tzw. przedawnienie zbrodni hitlerowskich. Miało to być zgodne z ustawodawstwem NRF. Mówiono nawet w tym kraju — a słowa te padały z nie byle jakich ust, bo z ust jednego z ministrów NRF [1] — że trzeba będzie pogodzić się z tym, iż wypadnie żyć obok ludzi, o których wiadomo, że byli zbrodniarzami. Pod naciskiem opinii świata, po opublikowaniu wielu protestów i rezolucji [2], rząd NRF czuł się moralnie zmuszony odroczyć termin przedawnienia. Naznaczony został nowy termin 31 grudnia 1969 roku, czyli przesunięto ten termin o $4^1/_2$ roku.

Tymczasem zgodnie z normami prawa międzynarodowego, a na pewno zgodnie z powszechnym odczuciem moralno-etycznym, zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości nie ulegają przedawnieniu. Rząd NRF nie uważa siebie za związanego normami prawa międzynarodowego. Jest rzeczą oczywistą, że w ciągu dodatkowych $4^1/_2$ lat nie mogły zostać przygotowane i wszczęte dochodzenia przeciw wszystkim pozostałym jeszcze na wolności zbrodniarzom hitlerowskim, do czego w niemałym stopniu przyczyniała się opieszałość właściwych organów ścigania w NRF, mimo dostarczenia wielu materiałów przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, które to materiały mogły ułatwić i przyspieszyć bieg wielu spraw.

W NRF przebywają na wolności liczni nie ukarani zbrodniarze hitlerowscy, z których wielu zajmuje odpowiedzialne stanowiska państwowe, społeczne, ekonomiczne itd. Wielu „morderców zza biurka", którzy inspirowali i organizowali „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej" (*die Endlösung der Judenfrage*), biologiczne wyniszczenie narodu polskiego i innych narodów słowiańskich, żyje nadal spokojnie przede wszystkim w NRF.

Nasilają się głosy opinii świata, a także takie jest zdanie Organizacji Narodów Zjednoczonych, iż zbrodnie ludobójstwa nie mogą ulec

[1] Ówczesnego ministra sprawiedliwości *Buchera*.

[2] Także Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego uchwalił rezolucję na uroczystym posiedzeniu w 20-lecie oswobodzenia Oświęcimia w dniu 27 stycznia 1965 roku (zob. Przegl. Lek., 1966, nr 1. str. 225).

przedawnieniu, które określałby jakikolwiek termin. Można oczekiwać, że Organizacja Narodów Zjednoczonych podejmie odpowiednią uchwałę, która będzie zgodna z odczuciem moralnym wszystkich narodów. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w swym oświadczeniu w sprawie nieprzedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości, opublikowanym 6 lipca 1968 roku, przypomniała, iż prowadzi ona jeszcze przeszło 3000 postępowań przeciw przeszło 10 000 podejrzanych o zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości. Oczekuje się, że na XXIII sesji Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych zostanie uchwalona konwencja o nieprzedawnieniu zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości.

Co się tyczy naszego kraju, to zgodnie z ustawą z dnia 22 kwietnia 1964 roku został wstrzymany bieg przedawnienia w stosunku do sprawców tych najcięższych zbrodni hitlerowskich, popełnionych w czasie drugiej wojny światowej. Oświadczenie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce z dnia 6 lipca 1968 roku zostało poparte przez polskie społeczeństwo. Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego na swym posiedzeniu naukowym w dniu 16 października 1968 roku zapoznał się szczegółowo z ówczesnym stanem debaty toczącej się w Komitecie Socjalnym wspomnianej sesji ONZ i śledzi z najwyższym zainteresowaniem dalszy przebieg tej sprawy [3].

Przechodząc do omówienia poszczególnych pozycji bieżącego zeszytu, warto podkreślić, że kilka prac, tutaj odpowiednio uzupełnionych i dostosowanych do druku, zostało przeważnie w dużym skrócie przedstawionych na drugim ogólnopolskim zjeździe lekarzy ZBoWiD w Warszawie w dniach 28 i 29 maja 1968 roku.

Dział n a u k o w y otwieramy ogólnie wprowadzającym, syntetycznym artykułem doc. dra Józefa *Panasewicza* pt. „Niektóre aktualne zagadnienia patologii wojennej". Autor daje tutaj przegląd poglądów różnych autorów, na który długo oczekiwaliśmy. Tędy droga do ostatecznego sprecyzowania mianownictwa lekarskiego, dotyczącego tzw. *KZ-Syndromu* i innych określeń medycznych następstw przeżyć z lat minionej wojny. Autor pracy, doc. *Panasewicz,* jest kierownikiem Zakładu Patofizjologii Instytutu Hematologii w Warszawie, ponadto zaś między innymi współredaktorem czasopisma *Acta Physiologica Polonica — Bimonthly of the Polish Physiological Society.* Podczas pracy w Szpitalu Przemienienia w Warszawie został aresztowany przez gestapo i przebywał w czterech hitlerowskich obozach koncentracyjnych. W latach 1943—1944 był sanitariuszem w bloku 21 szpitala głównego obozu oświęcimskiego. W *KL-Melk* w Austrii pracował przymusowo przy budowie podziemnej fabryki pocisków rakietowych. Koniec wojny zastał go jako „muzułmana" w *KL-Ebensee-Zement* w Alpach. Od roku 1964 jest wiceprzewodniczącym Komisji Zdrowia Okręgu Warszawskiego oraz członkiem Głównej Komisji Socjalnej i Zdrowia ZG ZBoWiD. Był konsultantem Komisji Medycznej *FIR* do spraw patologii. Pracuje nad zagadnieniami patologii deportacji i patogenezy doświadczalnej dystrofii głodowej.

Następują szczegółowe opracowania wyników badań lekarskich byłych więźniów. I tak, dr Władysław *Wojtasik* w swym artykule przedstawił zmiany chorobowe u byłych więźniów obozów koncentracyjnych ze środowiska kieleckiego. W ten sposób powoli uzupełnia się mapa badań byłych więźniów i coraz to inne okolice Polski są reprezentowane w omawianym zakresie. Pozwoli to zapewne w przyszłości opracować ogólną syntezę, dotyczącą możliwie dużej liczby byłych więźniów, na podstawie odpowiednio pogłębionych badań szczegółowych.

Praca dra Juliana *Gątarskiego,* dr Marii *Orwid* i lek. Małgorzaty *Dominik* pt. „Wyniki badania psychiatrycznego i elektroencefalograficznego 130 byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki" przynosi ważne stwierdzenia obiektywne. Autorzy wymienionego artykułu zbadali tę grupę byłych więźniów oświęcimskich w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie. Ich praca jest w pewnym sensie kontynuacją podjętych po raz pierwszy w Polsce już przed 10 laty w krakowskiej Klinice Psychiatrycznej AM zespołowych badań psycho-socjo-lekarskich nad byłymi więźniami. Ostatnie spostrzeżenia psychiatrów są tutaj wsparte wnikliwą analizą elektroencefalograficzną.

Praca dra Antoniego *Kaczyńskiego* pt. „Gościec u więźniów obozów koncentracyjnych w obrazie ówczesnym i aktualnym" jest oparta na materiale Miejskiej Poradni Reumatologicznej w Krakowie. O chorobach gośćcowych, należących do głównych dolegliwości u byłych więźniów, nikt uprzednio nie pisał w Polsce w osobnym artykule.

Interesujące wyniki ogólnie orientujące podaje lek. Bronisław *Waluk* z Komisji Socjalnej i Zdrowia Okręgu ZBoWiD w Szczecinie, były żołnierz odrodzonego Wojska Polskiego, w artykule pt. „Ocena stanu zdrowia osadników wojskowych powiatu szczecińskiego".

Na tym artykule kończy się pierwsza grupa tekstów części naukowej, dotycząca badań lekarskich kombatantów, wśród nich przede wszystkim byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Na takich pracach zależy bardzo; one obiektywnie ujmują szkody fizyczne i psychiczne powstałe u byłych więźniów. Zachęcamy lekarzy do podejmowania nadal tego rodzaju prac. Druga grupa prac tej części zawiera rozważania prawno-lekarskie i etyczno-moralne.

Następny artykuł dotyczy eutanazji, którą poruszył już w poprzednim zeszycie (str. 36—40) „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" doc. dr Stanisław *Dąbrowski* w swej pracy pt.

[3] W toku składania zeszytu przyszła wiadomość, że w dniu 26 listopada 1968 r. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych na posiedzeniu plenarnym zatwierdziło tekst konwencji o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. Do tej ważnej sprawy powrócimy w następnym zeszycie.

„Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzycach a problem eutanazji". „Eutanazja. Niektóre zagadnienia lekarskie i prawne" prof. dra Edmunda *Chróścielewskiego* ujmuje tę sprawę syntetycznie i rzuca na nią nowe światło. Praca ta jest przykładem, jak refleksje odnoszące się do okresu okupacji są ważne również obecnie dla wielu aspektów deontologii lekarskiej. Autor jest kierownikiem Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu.

Prof. *Chróścielewski* środkowe lata swych studiów medycznych odbył korespondencyjnie w Szkole Zaorskiego w Warszawie i na Wydziale Lekarskim Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich w Warszawie, a po powstaniu warszawskim w Milanówku i w Krakowie. Brał udział w powstaniu warszawskim. Artykuł następny, „Pseudoeutanazja w «Kraju Warty» podczas okupacji hitlerowskiej" prof. *Chróścielewskiego* i dra praw Wiesława *Celińskiego* stanowi niejako aneks-ilustrację do poprzedniej pozycji. Dr Wiesław *Celiński,* sędzia Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu, jest przewodniczącym tamtejszego Wydziału IV Karnego. W Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Poznaniu dr *Celiński,* podobnie jak prof. *Chróścielewski,* zajmuje się problematyką zbrodniczej eutanazji na terenie „Kraju Warty".

Coraz liczniej i częściej zajmują się autorzy sprawą oceny moralnej byłych więźniów. Wiele artykułów w naszych zeszytach poświęcono temu trudnemu, często drażliwemu zagadnieniu. Jedną z najważniejszych pozycji dotyczących tej tematyki jest opublikowana w zeszycie poprzednim dyskusja w formie konferencji okrągłego stołu pt. „Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych" (Przegl. Lek., 1968, nr 1, str. 253). Nie ulega wątpliwości, że nieludzkie, a właściwie przeciwludzkie — jak mówił jeden z dyskutantów, prof. dr Władysław *Wolter* — warunki obozowe sprowadzały częstokroć obniżenie, a nawet upadek moralności więźniów. Celem wszakże oprawców hitlerowskich w obozach koncentracyjnych było pozbawienie więźnia wszelkich ludzkich odczuć, zamienienie go w „numer", którego jedyną troską ma stać się zwierzęce staranie o zachowanie nagiego życia. To odczłowieczenie człowieka udawało się często. Nie spostrzegli jednak wówczas hitlerowcy, że pojęcie „odczłowieczenia człowieka" znalazło zastosowanie przede wszystkim w stosunku do nich samych. To oni właśnie, ów „naród panów", przez swe postępowanie wyzbyli się wszelkich wartości ludzkich. Natomiast wśród ofiar, głodzonych, bitych, torturowanych, mordowanych, rozwijały się jakże często najpiękniejsze kwiaty ludzkiego uczucia. Opublikowano już wiele materiałów — także i w naszych zeszytach — ukazujących sylwetki lekarzy, pielęgniarek i innych osób nie związanych ze służbą zdrowia, których postępowanie stało się prawdziwym pokrzepieniem współwięźniów.

Dociekania mające na celu zgłębienie mechanizmu i kierunku degradacji moralnej więźniów, istoty degradacji itp. zachowują jednak w całej pełni swe znaczenie. W zeszycie niniejszym publikujemy trzy prace z tej dziedziny, zamykające omawiany dział. Pierwsza, tj. artykuł dra Stanisława *Sterkowicza* z Lęborka pt. „Przyczynek do zagadnienia moralności więźniów obozów hitlerowskich", jest dyskusyjnym esejem na temat obecnie coraz częściej poruszany. Autor oczami byłego więźnia patrzy na zagadnienie degradacji moralnej niektórych ludzi więzionych w obozach hitlerowskich. Wypowiada sądy, które mogą wydać się ostre i skrajne, ale z tekstu pracy przebija autentyzm przeżytych wydarzeń i szczerość poglądów. Z punktu widzenia socjologii moralności studium dra *Sterkowicza* może się wydać polemiczne, a poruszone przez autora zagadnienie, wielostronne i złożone, wzbudzi niewątpliwie jeszcze niejedną wypowiedź i niejeden pogląd. Ten bardzo dobrze napisany artykuł ogłaszamy, aby udostępnić przyszłym badaczom moralności więźniów głos oryginalny i w literaturze obozowej z pewnością istotny.

Pytania, które postawił w swym artykule dr *Sterkowicz,* znajdują naukową odpowiedź w dwóch nawzajem uzupełniających się studiach doc. dr Alicji *Glińskiej,* prorektora Uniwersytetu Śląskiego. Autorka opracowała specjalnie dla naszych zeszytów dwa artykuły: „Kierunek przekształceń moralnych wśród więźniów Oświęcimia" i „Istota i mechanizm przemian w moralności więźniów Oświęcimia". Jest to dalszy tok rozważań opublikowanych przez doc. dr *Glińską* w artykule pt. „Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia" (Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 37—45). Całość studiów dr *Glińskiej* na te tematy, a więc pełny tekst rozprawy znajduje się jeszcze, niestety, dotychczas w maszynopisie, którego edycję ma podjąć „Książka i Wiedza". Wydanie to wypełniłoby istotną lukę w badaniach nad zagadnieniami obozów koncentracyjnych i zachęciłoby innych autorów do opracowywania pokrewnej problematyki.

Dział h i s t o r y c z n o - d o k u m e n t a r n y otwiera praca prof. Józefa *Kreta,* znanego już naszym czytelnikom z uprzednich publikacji w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Autor, działacz ruchu ludowego, przebył kampanię wrześniową jako dowódca kolumny amunicyjnej i kolumny sanitarnej 5 dywizjonu taborów armii „Kraków". Artykuł pt. „Przyczynek do historii zagłady inteligentów polskich w obozie oświęcimskim" dotyczy wycinka martyrologii tej warstwy społeczeństwa, przeciw której była wymierzona akcja *AB.* W dniach 27 maja i 11 czerwca 1942 roku hitlerowcy zamordowali w Oświęcimiu około 560 więźniów reprezentujących inteligencję. Byli wśród nich ci, których aresztowano w kawiarni „Dom Plastyków" w Krakowie w kwietniu 1942 roku. Relacja prof. *Kreta,* który w Oświęcimiu-Brzezince był świadkiem tej akcji zagłady, jest pierwszym w naszym piśmiennictwie wyczerpującym opisem losów ofiar wiosennych masowych aresztowań w roku 1942 w okręgu krakowskim. Celowo zamieszczamy imienny spis

rozstrzelanych, odtworzony z dokumentów obozowych; z pewnością rodziny znajdą w tym spisie swoich bliskich.

Dr Stanisław *Kłodziński* w artykule pt. „Laboratorium Instytutu Higieny SS w Oświęcimiu. Bulion z mięsa ludzkiego" daje przyczynek do zagadnienia „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich przez hitlerowców. Autor źródłowo przedstawił nieznany dotychczas czytelnikom przejaw zwyrodnienia lekarzy hitlerowskich. W wymienionym laboratorium doszło do wykorzystania mięsa ze zwłok zastrzelonych i zagazowanych więźniów jako pożywki dla bakterii. Stało się to za wiedzą i zgodą niemieckiego pracownika naukowego, dra *Webera*.

Dr Antoni *Makowski* w pracy pt. „I oddział wewnętrzny szpitala obozu koncentracyjnego Buna-Monowice" charakteryzuje warunki panujące w opisanej tutaj części szpitala obozu Oświęcim III i choroby, z którymi się tam zetknął. Jest to napisany przez więźnia-lekarza tego oddziału jego pierwszy w literaturze, wyczerpujący opis. Dr *Makowski* podaje przy tym szczegółowe informacje o stanie kilku chorych więźniów.

Cennym opracowaniem jest również artykuł dra Witolda *Zegarskiego* z Gdańska pt. „Szpital w Sachsenhausen na tle warunków obozowych w latach 1940—1945". Autor był w tym okresie sanitariuszem w obozie. Praca zawiera istotne wiadomości na temat tamtejszego ruchu oporu, solidarności więźniów pochodzących z różnych krajów, opisuje postawę lekarzy pełnych poświęcenia i humanizmu, a także poświęca sporo miejsca nieprzejednaniu komunistów niemieckich, którzy nawet w obozie manifestowali swą postawę antyfaszystowską. Komuniści znajdują tutaj swą piękną kartę. Dr *Zegarski* w swym artykule opisuje ponadto różne szerzej nieznane, ale znamienne fakty z Sachsenhausen, jak np. dręczenie więźniów za pomocą perfidnej metody „badania obuwia", warunki sanitarne i bytowe itd. Prace dra *Makowskiego* i dra *Zegarskiego* są ważnym przyczynkiem do poznania dziejów szpitali obozowych.

Opracowanie dra Stanisława *Kłodzińskiego* pt. „Zbrodnicze doświadczenia z zakresu gruźlicy w Neuengamme. Działalność Kurta *Heissmeyera*" jest relacją z procesu tego nazistowskiego ftizjatry. Proces toczył się w Magdeburgu (NRD) w roku 1966. Ten zbrodniarz-naukowiec, który dla utopijnych założeń pseudolekarskich zakażał zjadliwymi prątkami Kocha więźniów dorosłych oraz dzieci, został ostatecznie skazany na karę dożywotniego więzienia. Przestępcza działalność *Heissmeyera* została wykazana na podstawie autentycznych dokumentów z okresu wojny.

Wartościowym dokumentem jest także relacja dra Zbigniewa *Wlazłowskiego* z Gdyni pt. „Lekarze polscy w obozowym ruchu oporu w Gusen". Autor dostał się do tej filii Mauthausen jako student medycyny. Był tam w latach 1941—1945 zatrudniony jako więzień-laborant analiz lekarskich i rentgenolog w szpitalu obozowym. Informacje podane w tej publikacji są więc źródłowe i autorytatywne. Czytelnicy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" znają dwie relacje dra *Wlazłowskiego* z Gusen, opublikowane w zeszytach siódmym i ósmym. Tytuły tych artykułów są podane w przypisach do ogłoszonej obecnie relacji.

Mniej znanym miejscem zbrodni hitlerowskich jest „Hitlerowski obóz śledczy w Mysłowicach". Artykuł swój pod tym tytułem oparł Józef *Witkowski* z Wrocławia głównie na poszukiwaniach archiwalnych. Temat zasługuje na obszerniejszą monografię, która wykraczałaby jednak poza możliwości opublikowania w naszych zeszytach, ograniczamy się więc do zasygnalizowania tego zagadnienia, wiążącego się ze sprawą więzionych dzieci.

„Dalsze informacje o *Polen-Jugendverwahrlager* w Łodzi. «Witaszkowcy»" jest to artykuł Józefa *Witkowskiego*, który nawiązuje tutaj zarówno do swej pracy pt. „Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi" (Przegl. Lek., 1968, nr 1, str. 73), jak też do pracy red. Henryka *Tycnera* pt. „Grupa doktora Franciszka *Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu" (Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 131). Czytelnik otrzymuje teraz dalsze informacje, mianowicie uwagi o losach „witaszkowców" i ich dzieci, opis stosunków panujących w obozie łódzkim, zwłaszcza warunków sanitarnych i chorób gnębiących więzione dzieci, przejmujące dowody bezwzględnego stosunku Niemców do polskich dzieci itd. Wzruszające są listy pisane przez nie z obozu, jak też obecne wypowiedzi uczniów, którzy zapoznali się z dziejami łódzkiego obozu, cytowane na końcu artykułu. Wśród źródeł autor uwzględnił list dra Emila *Vogla*, który był obecny w obozie łódzkim, a obecnie mieszka w Pradze czeskiej. Józef *Witkowski*, urodzony 6 kwietnia 1929 roku w Tenczynku, był sam więziony w *Polen-Jugendverwahrlager* w Łodzi od 16 października 1943 do 19 stycznia 1945 roku. Jak potwierdza pismo Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi z dnia 5 maja 1967 roku, l. dz. OKŁ/32/67, w okresie pobytu w obozie nosił on nazwisko *Gacek*.

W bezpośrednim związku z artykułem Józefa *Witkowskiego* pozostaje krótka relacja córki bohaterskiego lekarza, dra Franciszka *Witaszka*, mgr Alodii *Witaszek-Napierały* z Poznania pt. „Z lat germanizacji dzieci polskich". Autorkę uwięziono w wieku $5^1/_2$ lat i następnie germanizowano. Podzieliła ona tragiczny los zrabowanych przez hitlerowców dzieci polskich, o których pisze między innymi dr Roman Z. *Hrabar* w swej książce pt. „Na rozkaz i bez rozkazu" (Katowice 1968). Dr *Hrabar* jako pełnomocnik rządu polskiego do spraw rewindykacji dzieci polskich odnalazł autorkę w Niemczech już jako 10-letnią, zniemczoną dziewczynkę. Jej losy przypominają opublikowaną w lecie 1968 roku w „Kulturze" relację również germanizowanego Alojzego *Twardzickiego* pt. „Szkoła janczarów. Listy do niemieckiego przyjaciela".

Do działalności dra Franciszka *Witaszka* nawiązuje także krótki artykuł prof. dra Edmun-

da *Chróścielewskiego* pt. „Uwagi w związku z akcją doktora *Witaszka*. Helena *Siekierska* («Lusia»)". Autor informuje o tym, jak zidentyfikowano odciętą głowę tej laborantki poznańskiej, bliskiej współpracownicy bohaterskiego lekarza, przywódcy wielkopolskiej grupy ruchu oporu.

Dział wspomnień przynosi również w tym roku teksty wyróżniające się nowymi treściami. I tak, pierwsza relacja z tej części zeszytu, mianowicie „Na robotach w Rzeszy. Wspomnienia lekarza" ppłka dra Rajnolda *Kotuchy*, chirurga z Krakowa, porusza zagadnienie sytuacji lekarzy polskich, którzy zostali wywiezieni do Trzeciej Rzeszy na przymusowe roboty w swoim zresztą zawodzie. Sam charakter tej pracy chronił wywiezionych przed takimi represjami, chorobami i wyniszczającymi warunkami, jakich doznawali robotnicy wywiezieni do pracy w hitlerowskim przemyśle i rolnictwie, niemniej jednak sytuacja była trudna, nie pozbawiona momentów dramatycznych, które dr *Kotucha* plastycznie opisuje. Na uwagę zasługuje umysłowość niemieckich pracowników służby zdrowia, uchwycona przez autora w sposób wyrazisty.

Prof. Bolesław *Woytowicz*, nasz znakomity pianista, kompozytor i pedagog, profesor Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach i Krakowie, napisał na naszą prośbę wspomnienia pt. „W okupowanej Warszawie". Jest to dość niezwykła pozycja. Jednym z elementów podtrzymujących równowagę umysłu w okresie hitlerowskiej okupacji była muzyka. Ta strawa duchowa była nieraz ważniejsza niż chleb codzienny. W okupowanej Warszawie „Kawiarnia prof. *Woytowicza*" przy Nowym Świecie 27 spełniała bardzo ważną rolę. Koncerty, które tam się odbywały, podnosiły na duchu, dodawały otuchy. Muzyka, którą chciwie chłonęli słuchacze, była niejednokrotnie cudownym lekiem w chwilach zwątpienia. A na pewno była ucieczką od najczarniejszych chwil codziennego życia w zaczarowaną krainę dźwięków. Dla artystów koncerty były okazją do występowania, do uprawiania sztuki, dla słuchaczy stanowiły sposobność do oderwania się choć na krótko od grozy codziennego życia.

O muzyce, o koncertach orkiestry w obozie oświęcimskim pisał pięknie Adam *Kopyciński* (Przegl. Lek., 1964, str. 112). Pisał tam, jak wielki wpływ psychiczny wywierała ona na więźniów Oświęcimia. Na pewno ułatwiła tam muzyka wielu więźniom przetrwanie katorgi obozowej. „Kawiarnia prof. *Woytowicza*" pełniła podobną rolę w okupowanej stolicy i ułatwiała przetrwanie mieszkańcom Warszawy, pozornie wolnym, ale raczej będącym także poniekąd w obozie koncentracyjnym, boć przecież cały nasz kraj pod okupacją hitlerowską można było porównać bez mała do obozu koncentracyjnego.

Z estrady płynęły kojące dźwięki *Bacha, Beethovena* i innych. Koncertował często sam Bolesław *Woytowicz*, wykonując między innymi cykl sonat *Beethovena*. Często występował Zbigniew *Drzewiecki*, nieraz razem z Jerzym *Lefeldem*. Niezapomniane były Wariacje symfoniczne *Francka*, wykonane przez obu na dwa fortepiany, przy czym *Lefeld* odtwarzał partię orkiestralną. Tam mógł piszący te słowa poznać wykonywane niejeden raz przez *Drzewieckiego* przecudne *Largo* z Koncertu organowego *d-moll* Wilhelma *Friedemanna Bacha* w układzie *Stradala*. Nie wolno było wykonywać muzyki *Chopina*, bo hitlerowcy uważali — na pewno słusznie — że w jego muzyce jest zbyt wiele pierwiastka pobudzającego patriotyzm polski. Ale mimo to przemycano tę muzykę. Zawsze żywo w pamięci pozostanie wielokrotne wykonanie przez *Drzewieckiego* pośmiertnego Nokturnu *cis-moll Chopina*, tej słodkiej, a jednocześnie porywającej muzyki.

Sądzimy, że utrwalenie na piśmie tego rozdziału życia okupowanej Warszawy jest w pełni uzasadnione. Nikt nie był bardziej do tego powołany, niż sam kierujący Kawiarnią. Jesteśmy szczęśliwi, że udało się nakłonić prof. *Woytowicza* do skreślenia swych wspomnień.

Istniały w okupowanej Warszawie jeszcze inne formy zbiorowego muzykowania: bardzo udane koncerty w sali konserwatorium na cele RGO, prowadzone przez Jerzego *Waldorffa*, liczne koncerty w prywatnych domach, organizowane dyskrecjonalnie, na których między innymi była okazja słuchania naszej świetnej skrzypaczki, Eugenii *Umińskiej*. Największą jednak rolę odegrała chyba muzyka w „Kawiarni *Woytowicza*". Ci, którzy przeżyli cały okres okupacji lub jego część w Warszawie i mieli sposobność zetknąć się z muzyką tam wykonywaną, nie zapomną chwil tam spędzonych.

Kawiarnia ta spełniała w okupowanej Warszawie rolę maleńkiego szańca kultury narodu polskiego, jak to określił trafnie autor tych niecodziennych wspomnień. Dziwna zaiste była to kawiarnia. Kiedy były koncerty, była publiczność, była i kawiarnia. Gdy nie było koncertów, nie było publiczności, nie było więc kawiarni. Stale jednak mieścił się tam konspiracyjny punkt ruchu oporu. Osobne słowa podziękowania należą się prof. *Woytowiczowi* za tę część jego relacji, która dotyczy więziennych lekarzy Pawiaka, gdzie wypadło mu spędzić kilka tygodni. Na koniec też warto podkreślić, że te oryginalne wspomnienia oprócz treści lekarskich zawierają interesujące spostrzeżenia psychologiczne, dotyczące zwłaszcza mentalności Niemców, ujawniającej się bez osłonek w chwilach pełnych napięcia kontaktów z nimi.

Następne trzy wspomnienia zostały napisane przez zasłużonych działaczy ruchu ludowego. Pielęgniarka Maria *Grajkowska-Bryjowa* z Morawczyny w powiecie nowotarskim, związana z podziemnym ruchem ludowym, dorzuca do jego historii cenne informacje w swych „Wspomnieniach z ludowej konspiracji". Przypomina piękne sylwetki lekarzy, których wyczuliła na sprawy społeczne działalność w szeregach ludowców, jak np. postać dra Stanisława *Kroszczyńskiego*. Jest to zarazem przyczynek do spraw lekarskich kampanii wrześniowej oraz okupowanej Warszawy.

Z oryginalnej relacji pt. „Wspomnienia z Brzezinki. Urywki", bardzo obrazowo napisanej przez Jadwigę *Apostoł-Staniszewską*, czytelnik może wyrobić sobie pojęcie, jak wyglądał kobiecy „rewir" szpitalny w Brzezince. „Rewir" ten został tym razem opisany nie z punktu widzenia lekarzy, ale od strony chorej więźniarki tam przebywającej. Autorka pochodzi z rodziny o tradycjach ruchu ludowego. Przed wojną była związana z „Wici" i z uniwersytetami ludowymi jako nauczycielka. Po wybuchu wojny od razu włączyła się do ruchu oporu, między innymi w akcję nielegalnego przerzucania konspiratorów za granicę przez Słowację i Węgry. Wraz z działaczami ludowymi Augustynem *Suskim* i Tadeuszem *Popkiem* była współzałożycielką tajnej organizacji pod nazwą „konfederacja tatrzańska", która powstała w maju 1941 roku. Organizacja ta zwalczała zwłaszcza agentów okupanta i kolaboracjonistów z tzw. *Goralenvolku*. Z końcem stycznia 1942 roku rozpoczęły się masowe aresztowania członków „konfederacji tatrzańskiej", która dotychczas jeszcze nie doczekała się odpowiedniej monografii. Autorka relacji po sześciomiesięcznym okresie ukrywania się i prowadzenia tajnego nauczania została uwięziona 22 sierpnia 1942 roku. Przebywała kolejno w więzieniu w Zakopanem, w więzieniu Montelupich, dwa i pół roku w Oświęcimiu, następnie w Ravensbrück, Malchow i w podobozie Lipsk. Po wojnie pracowała jako technik budowlany. Obecnie zajmuje się dla ZSL opracowywaniem źródeł na temat podziemnego ruchu ludowego na Podhalu.

Fragmentem obszernych wspomnień okupacyjnych dra Stanisława *Dziadusia* z Myślenic, działacza ruchu ludowego, jest artykuł pt. „«Hirschberg» i «Treskau», podobozy Gross-Rosen". W barwny sposób autor żywo przedstawił warunki panujące w tych bliżej nieznanych podobozach, skupiając uwagę na postawach więźniów i prześladowców. Bardzo dynamiczny jest opis ucieczki autora z „Treskau". Relacja dra *Dziadusia* wzbogaca grupę prac autorów-ludowców, których wspomnienia cechuje żywy styl, świeżość spojrzenia na otaczający świat, umiejętność obserwacji istotnych szczegółów, znakomita pamięć wydarzeń i optymizm, pozwalający przetrwać najgorsze i najcięższe przeżycia osobiste.

Obóz Gross-Rosen jest znany ogólnie z poświęconej mu monografii Mieczysława *Mołdawy* (Warszawa 1967). Natomiast nieżyjący dr Józef *Żegleń* w swej zwięzłej relacji opisuje warunki tam panujące z punktu widzenia lekarza. Kreśli zasadnicze uwagi o sytuacji w „rewirze" obozowym na tle położenia więźniów, które określała wyniszczająca praca, złe warunki sanitarne, głodowe wyżywienie itp. „Z «rewiru» w Gross-Rosen", to redakcyjnie zaadaptowany do druku rękopis dra *Żeglenia*, wyjęty z papierów autora pozostałych po jego śmierci i opublikowany za zgodą wdowy.

„Uwagi o «rewirach» i funkcyjnych obozowych" Tadeusza *Fedorowicza* są przykładem wspomnień, w których wysuwają się na plan pierwszy spostrzeżenia uogólniające. Autor był przed wojną oficerem. We wrześniu 1939 roku został ranny w bitwie pod Rawą Ruską. Jako „Ran" wcześnie się włączył do ruchu oporu. Został uwięziony na Pawiaku i w gestapo przy Alei Szucha. Wydobyty stamtąd przez organizację, zakonspirował się w Puszczy Niepołomickiej. W marcu 1944 roku gestapo z Bochni pojmało go podczas obławy na plebanii w Zabierzowie. Torturowany przez krakowskie gestapo, został osadzony w Oświęcimiu, Fünfteichen i Gross-Rosen. W Mauthausen przypadkowo uniknął śmierci w komorze gazowej. Został wyzwolony w stanie kompletnego wycieńczenia. *Fedorowicz* spisał swe wspomnienia z lat wojny w obszernym maszynopisie pt. „Cena wolności". Ta właśnie praca, jak również „Krzyżackie widmo" Antoniego *Roczmierowskiego* (pseudonim „Stanek"), otrzymała II nagrodę na konkursie koła ZBoWiD Huty im. Lenina, Rady Zakładowej Kombinatu i redakcji „Głosu Nowej Huty" jesienią 1967 roku (najwyższym wyróżnieniem były dwie II nagrody równorzędne). Tutaj z uznaniem trzeba podkreślić konkursowe inicjatywy terenowych kół ZBoWiD; dzięki temu ujawniają się coraz to nowe, cenne wspomnienia.

Ósmą z kolei pozycją w dziale wspomnień jest „Niedziela w obozie" *Yvonne Pagniez*. Autorka jest pisarką francuską, wdową po znanym interniście, ordynatorze oddziału wewnętrznego szpitali paryskich, drze Filipie *Pagniez*. Od roku 1940 działała we francuskim ruchu oporu, w siatce *Kleber*, a następnie w *Centuries* jako kierowniczka sekcji służby informacyjnej i jako jedna z łączniczek organizujących ucieczki lotników alianckich zestrzelonych przez Niemców. Za swe wybitne zasługi otrzymała *Croix de Guerre* (Krzyż Wojenny), *Médaille de la Résistance* (Medal Ruchu Oporu) oraz *Légion d'honneur* (Legię honorową). W nocy z 3 na 4 czerwca 1944 roku aresztowało ją gestapo w jej mieszkaniu paryskim, a następnie umieściło w Ravensbrück. Późną jesienią tegoż roku uciekła z obozu. Swoje przeżycia opisała w trzech książkach wydanych w Paryżu przez firmę *Flammarion (Scénes de la vie du bagne, Evásion 44* i *Ils ressusciteront d'entre les morts*).

Oryginalny tytuł opublikowanego wspomnienia brzmi *Le Magnificat des forçats*, co oznacza mszę skazanych. W znakomitym opracowaniu dra Zenona *Jagody* tekst nosi tytuł „Niedziela w obozie", co bardziej się wiąże z główną ideą wspomnienia. Niewątpliwie nowością na tle wspomnieniowej literatury obozowej jest tak ujęty opis sytuacji uwięzionych kobiet, które zostały wrzucone niejako w pustkę duchową i wypełniają ją sobie wewnętrznym światem doznań patriotycznych i religijnych. Ten świat ratuje więźniarki przed kryzysem psychicznym, zagrażającym w warunkach obozowych skrajnie złych pod każdym względem. Niezależnie więc od informacji interesujących lekarzy (np. stan sanitarny więźniarek) publikacja ta jest wartościowym dokumentem dla analizy psychologicznej.

Relację dr Marii Ruth *Mazurkiewicz-Pieńkowskiej* z Gdańska pt. „Transport uratowany przed Oświęcimiem. Wspomnienia lekarki" zawdzięczamy Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, która przesłała nam to wspomnienie. Jest ono poświęcone jednemu z transportów do Oświęcimia, który został ocalony, gdyż udało się go zatrzymać w Krakowie. Wspomnienie to świadczy o tym, z jakim poświęceniem i pomysłowością działali lekarze podczas okupacji, gdy zagrożenie stawiało ich przed trudną, nową sytuacją. Artykuł zawiera cenne, nieznane dotychczas informacje, między innymi o obozie w Piastowie.

Następna relacja, to „Z Radogoszcza do Oświęcimia, Gross-Rosen i Mauthausen. Wspomnienia lekarza" dra Józefa *Jabłońskiego* z Kępna. Po raz pierwszy w naszych zeszytach publikujemy autorytatywne informacje o katowni w Radogoszczu, podane przez bystrego obserwatora, lekarza-więźnia. Źródłową wartość mają też spostrzeżenia autora z czasu jego pobytu w „rewirach" Oświęcimia i Mauthausen.

Bliższe szczegóły o bloku gruźliczym oświęcimskiego „rewiru" są zawarte w następnej pracy, tj. w relacji więzionej tam dr Zofii *Kordylewskiej* z Torunia. Jej wspomnienie pt. „Z okupacyjnych przeżyć lekarki" podaje też interesujące uwagi o mniej znanym obozie we Flossenbürgu.

Pracownica krakowskiej służby zdrowia, Janina *Lach-Kamińska,* we wspomnieniu pt. „W więzieniu i obozach hitlerowskich (1943 do 1945)" oddaje w swej bezpretensjonalnej, prostej relacji opis ciężkich przeżyć obozowych i maluje reakcje przeciętnej więźniarki, która przeszła uciążliwe prześladowania. Jej los obozowy był tym bardziej trudny, że znalazła się w Oświęcimiu w ciąży. Znajdujemy tutaj istotne wiadomości o „rewirach" obozowych, a także opis wstrząsającego wrażenia po zetknięciu się autorki z obozowym krematorium. Wspomnienia *Lach-Kamińskiej* zostały w roku 1968 nagrodzone na konkursie jednego z kół ZBoWiD w Krakowie.

Postawy więźniów, zwłaszcza lekarzy, są wątkiem nie dość jeszcze szeroko opracowanym. Cennym przyczynkiem do tego zagadnienia jest artykuł „O niektórych więźniach Majdanka" doc. dra Romualda *Sztaby,* który na kanwie własnych obserwacji obozowych podaje nieznane szczegóły o niektórych ludziach, swych współtowarzyszach z okresu niewoli. Te krótkie szkice biograficzne autor uzupełnia syntetyczną refleksją, która jest w istocie analizą odporności charakterów na stress obozowy. Autor odpowiada na pytanie, jakie czynniki ułatwiły utrzymanie w obozie silnej woli przeżycia.

O obozie w Gusen pisano stosunkowo mniej niż o Oświęcimiu. Bardzo ważnym przyczynkiem do historii Gusen jest relacja byłego więźnia tego obozu, mgra Jerzego *Osuchowskiego* z Katowic, zatytułowana „Zagazowanie więźniów w bloku 24 w Gusen". Było to morderstwo dokonane na zimno i z premedytacją na więźniach chorych i zmuzułmaniałych. W podobny sposób wykonano pierwsze, poprzednie gazowanie, w którym zginęło w Gusen 164 jeńców radzieckich. Szczegółowe wspomnienie dotyczące gazowania, po raz pierwszy opublikowane w literaturze obozowej, było możliwe dzięki temu, że ocalał świadek, którym jest autor, człowiek najbardziej wiarygodny i najbliżej zaznajomiony z tym tragicznym epizodem historii Gusen. Jednocześnie jego relacja jest przykładem, w jak trudnej sytuacji znajdowali się funkcyjni obozowi, którzy korzystali ze swego sprzyjającego stanowiska, aby pomóc współwięźniom.

Dział wspomnień zamykamy oryginalnym i głęboko przemyślanym artykułem Piotra *Wesełuchy,* autora znanego już naszym czytelnikom. Jego praca „Obłęd czy metoda — refleksje poobozowe" jest poświęcona między innymi rozważeniu problematyki odpowiedzialności zbiorowej na osnowie własnych obozowych przeżyć autora w Gusen. Okazuje się, że po upływie wielu lat można odtworzyć w pamięci ważne i charakterystyczne szczegóły z okresu niewoli, wskrzesić obserwacje poczynione w obozie i ująć je obecnie w sposób refleksyjny, pozwalający na uogólnienie bardzo ważnych zjawisk społeczno-psychologicznych.

Objętość działu wspomnień nie pozwoliła, niestety, na zamieszczenie całości materiału, którym dysponuje redakcja. Większość tekstów została skrócona lub dokonano wyboru fragmentów z obszernych relacji, z których najbardziej wartościowe powinny ukazać się w wydaniach książkowych. Zagadnienia w nich poruszone mogą bowiem interesować nie tylko lekarzy, lecz także ogół czytelników.

O niewyczerpaniu tej problematyki wspomnieniowej świadczy wymownie ten stosunkowo mały dział, prezentujący unikalne tematy nieobozowe (prof. *Woytowicz,* ppłk dr *Kotucha*), jak i obozowe. Zauważyć można powiązania z ostatnią częścią działu naukowego, gdy się weźmie pod uwagę refleksyjną warstwę wspomnień, a zwłaszcza sprawę postawy w obozie (dr *Dziaduś,* doc. *Sztaba* i inni). Wspomnienie „wiciowca", dra *Dziadusia,* jest wyrazem uporu w przełamywaniu przeciwności losu oraz aktywności w walce o przetrwanie obozu w taki sposób, aby zachować godność ludzką; wspomnienie to jest jednocześnie analizą sylwetek więźniów funkcyjnych, których charaktery autor odtworzył dynamicznie i plastycznie, zarazem wplatając elementy oryginalnego humoru mimo relacjonowania straszliwych wydarzeń. Podobne motywy przewijają się w niektórych innych wspomnieniach. Wydaje się, że ten właśnie wątek jest w refleksyjnej nadbudowie ostatnio opracowywanych wspomnień najbardziej reprezentatywny.

O doborze opublikowanych wspomnień zadecydowały nowe informacje w nich zawarte, a czytelnikom nieznane skądinąd, a także oryginalne ujęcie obserwowanych faktów i osobistych przeżyć. Niektóre wyróżniają się niemałym talentem literackim. Ukazują one, jak to określił Dawid *Rousset,* świat koncentracyjny, stworzony przez hitleryzm, który dążył

wymieniony artykuł stanowi próbę ogólnego, bieżącego, doprowadzonego dosłownie do ostatniej chwili spojrzenia na dorobek wydawniczy w ciągu ostatniego roku, na podstawie kilkudziesięciu publikacji.

Spis treści poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" jest ujęty merytorycznie i powtórzony w przekładzie angielskim. Spis ten, wraz z zawartością zeszytu dziewiątego, może być podstawą do podsumowania liczb dotyczących naszego cyklu. Mianowicie w zeszytach 1—9 „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" opublikowano blisko 280 prac 167 autorów, w tym 15 autorów z zagranicy i 31 profesorów uczelni wyższych. Dziewięć zeszytów liczy łącznie 1588 stron druku.

Obowiązkiem zespołu redakcyjnego jest poinformowanie czytelników, że wiele tekstów zamieszczonych w zeszycie zostało skróconych lub opracowanych w postaci wyciągów z obszernych rękopisów, oczywiście w porozumieniu z autorami. Dokumentacją tych prac jest obfita korespondencja z nimi. Adaptację tekstów do druku przeprowadzono tak, aby nie zniekształcić indywidualnego stylu autorów i ich intencji, ani też nie naruszyć warstwy psychologicznej tekstów, płynącej z osobistego podejścia poszczególnych autorów do własnych przeżyć i obserwacji.

Nie znajdując wzorów podobnego postępowania edytorskiego w zakresie medycyny, doszliśmy do praktykowanej metody niejako wspólnie z autorami, dla których w dużym odsetku występowanie na zewnątrz z własnymi przeżyciami okupacyjnymi było wyrazem często trudnego przełamania się i wiązało się z koniecznością dokonania próby wyrażenia intymnych nieraz przeżyć po raz pierwszy w życiu. Odgrywała tutaj rolę zarówno skromna postawa i poczucie skrępowania, aby się nie chwalić i nie budować sobie pomnika, jak też trud psychiczny wynikający z bolesnych często i męczących powrotów pamięcią do lat okupacji.

Po tym wszystkim dopiero spostrzegaliśmy u autorów satysfakcję, aczkolwiek było niewątpliwe, że bez inspiracji, usilnego nieraz zachęcania i delikatnego wskazywania kierunku tematycznego nigdy oni nie zechcą utrwalić swych często bardzo ważnych przeżyć i obserwacji w postaci pisemnego dokumentu. Wystarczy przypomnieć wspomnienia prof. dra J. St. *Olbrychta*, dra Adolfa *Gawalewicza*, dr *Mączki-Patkaniowskiej*, czy ostatnio prof. B. *Wojtowicza*, aby udowodnić, że te wyjątkowe pozycje, odbiegające od wykonywanego zawodu i prac naukowych danego autora, stały się ważnym przyczynkiem do literatury okupacyjnej, a trud autorów opłacił się sowicie.

Za ten trud właśnie składamy wszystkim Autorom serdeczne podziękowanie, dodając również wyrazy uznania za wysiłek, cierpliwość i pedantyczną pomoc w fazie nadawania tekstom ich ostatecznego kształtu redakcyjnego. Dla wszystkich, którzy mają cokolwiek nowego i wartościowego do powiedzenia w sprawach związanych z zagadnieniami lekarskimi hitlerowskiej okupacji, łamy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" stoją otworem. W przygotowaniu znajduje się zeszyt następny, którego zawartość będzie ostatecznie ustalona w pierwszym półroczu bieżącego roku. Zeszyt ten ukaże się w ćwierćwiecze oswobodzenia obozu oświęcimskiego i zarazem będzie dziesiątym numerem w naszym cyklu. Zachęcamy ewentualnych nowych autorów z Polski i z zagranicy do opracowania artykułów do tego zeszytu jubileuszowego, a także spodziewamy się dalszych prac z kręgu dotychczasowego grona autorów.



Fragment wnętrza pawilonu w bloku nr 27 w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu. Pawilon ten, którego tematykę poświęcono martyrologii Żydów, został otwarty 21 kwietnia 1968 roku. Zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

Obecnie, gdy wiedza w zakresie zagadnień odpowiadających profilowi naszych zeszytów posunęła się naprzód wyraźnie i efektywnie, wszystkie nowe prace muszą być tym bardziej nadal poddawane odpowiednim rygorom. Wymagania polegają na tym, aby myśli ujmować możliwie zwięźle i jasno, pisać przejrzystym stylem, wyrzekać się zbędnych, emocjonalnych komentarzy takich faktów, które same są wymowne, na rzecz istotnych szczegółów konkretnych, a poruszając jakikolwiek temat, sprawdzać i sygnalizować w przypisach, kto i co już przedtem w danej sprawie opublikował, ponadto przedstawiać zagadnienia nieznane, dbać o ścisłość i poprawność, aż do poszczególnej litery, takich elementów tekstu, jak fakty, daty, imiona, nazwiska, stopnie i funkcje, nazwy miejscowości, nazwy instytucji, więzień, obozów, oddziałów ruchu oporu itd., na koniec zaś weryfikować podług stosownych źródeł i dokumentów (np. w muzeach, archiwach, u żyjących innych świadków wydarzeń) zgodność podanej treści ze stanem faktycznym. Pożyteczne jest sporządzanie maszynopisu wstępnego, z dużym odstępem między wierszami, aby pomysł i konspekt ewentualnego artykułu uzgodnić przed ostatecznym opracowaniem czystopisu do druku. W sprawie takich szczegółów można się porozumiewać między innymi z mgrem Janem *Masłowskim* (Kraków, Klinika Psychiatryczna AM, ul. Kopernika 21). Tutaj przy okazji należy poinformować, że teksty już opracowane, które z braku miejsca nie mogły się znaleźć w zeszycie niniejszym, zostaną opublikowane w późniejszej kolejności.

do złamania człowieka fizycznie i moralnie. Wiąże się z tym potrzeba snucia refleksji dotyczących etyki. Żadna praca naukowa nie potrafiłaby oddać w sposób tak barwny i bezpośredni spraw dziejących się w obozach i więzieniach, jak osobiste relacje świadków wydarzeń. Te opisy, jak również interpretacje autorskie snute wokół nich, pozostaną jako utrwalony dokument i wyraz opinii tych, którzy zdołali przeżyć.

W dziale Sprawozdania publikujemy ułożoną podług zagadnień szczegółowych relację z drugiego zjazdu lekarzy ZBoWiD, który obradował w Warszawie 28 i 29 maja 1968 roku. Autorami sprawozdania są dr Zenon *Jagoda* i mgr Jan *Masłowski*. Ponadto zamieszczamy informację studentki Wydziału Lekarskiego AM w Krakowie, Anny *Pituch*, pt. „Studenci o zbrodniach hitlerowskich. Seminarium ogólnopolskie". Urządzenie przez studentów różnych fakultetów dwudniowej konferencji na temat zbrodni hitlerowskich — z bardzo obszernym uwzględnieniem tematyki lekarskiej — należy powitać z pełnym uznaniem. Interesujące jest też podejście współczesnych studentów do spraw okupacji, które dla nich są już historią, podobnie jak dla pięćdziesięciolatków pierwsza wojna światowa. Jest naszym szczególnym zadaniem zainteresowanie możliwie szerokich kręgów młodzieży tematyką okupacyjną. Cieszymy się, że całe akcje, jak np. alert, o którym wspomina Anna *Pituch*, są przez młodzież podejmowane i poświęcane sprawom okupacji. Warto też wspomnieć, że na IV Zjeździe Związku Harcerstwa Polskiego (14—16 października 1968 roku) nawiązano do problematyki minionej wojny, a marszałek Marian *Spychalski* w swym przemówieniu na tym sejmie harcerskim wskazał młodzieży na jej bogate tradycje, związane z działalnością młodych zetwuemowców, z postawą dzieci pułków ludowego Wojska Polskiego, z bohaterstwem dzieci brygad partyzanckich, harcerzy Szarych Szeregów i dzieci Warszawy.

Dział Sylwetki zasłużonych pracowników służby zdrowia rozpoczynamy biografią pt. „Dwa szkice o prof. dr Jadwidze *Szustrowej*". Życiorys tej zasłużonej lekarki-ftizjatry skreśliła Wanda *Kiedrzyńska*, autorka znanej monografii o Ravensbrück i licznych innych publikacji, między innymi zamieszczanych w naszych zeszytach. Tekstem uzupełniającym jest wspomnienie lek. dent. Haliny *Kępińskiej-Bazylewicz* (pseudonim okupacyjny „Kora") z Piotrkowa Trybunalskiego, będące niejako osobistym zbliżeniem, mianowicie relacją ze wspólnego przebywania z prof. *Szustrową* w bunkrze hitlerowskiego więzienia. „Kora" była łączniczką-sanitariuszką ZWZ-AK okręgu piotrkowskiego i gońcem bojowym Kedywu — oddziałów partyzanckich. Więziono ją w roku 1944 w radomskim gestapo.

Dotychczas pojawiły się tylko wzmianki o śmierci wybitnego chirurga poznańskiego, prof. dra Franciszka *Raszei* w lipcu 1942 roku podczas udzielania przez niego pomocy choremu Żydowi w getcie warszawskim. Bliższe okoliczności tej tragedii zbadała źródłowo lek. Małgorzata *Dominik* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie i przedstawiła tę sprawę na tle ówczesnej sytuacji w getcie. Jest to przykład biografii dokumentarnie opracowanej z wyzyskaniem metod stosowanych w pracach historycznych, w sposób pośredni, gdyż bezpośredni świadkowie śmierci prof. *Raszei* zostali zamordowani przez esesowców w mieszkaniu chorego, mianowicie znanego warszawskiego antykwariusza, Abe *Gutnajera*. W artykule znajdujemy cenne wiadomości o pomocy Żydom zamkniętym w getcie warszawskim.

Dr Stanisław *Kłodziński* kreśli sylwetkę dr Władysławy *Jasińskiej*. Podobnie jak w innych biografiach, tak i tutaj zostało podane szersze tło, mianowicie opis sytuacji w bloku nr 29 w Oświęcimiu, gdzie dr *Jasińska* była lekarzem blokowym. Informacje o tym „rewirze" są niejako uzupełnieniem wspomnień dr Zofii *Kordylewskiej*.

Z Gdańskiem związana jest sylwetka dra Witolda *Kopczyńskiego*, pochodzącego z rodziny zasłużonej w działalności polonijnej w tym mieście, w którym cesarska Rzesza, a później hitleryzm usiłowały zniszczyć polskość. Dr Witold *Zegarski* z Gdańska w swej biografii dra *Kopczyńskiego* podał jego wojenne losy, a także opisał zasługi dla odzyskanego miasta, między innymi dla tamtejszej stoczni i dla medycyny przemysłowej. Piękna postać dra *Kopczyńskiego* jest wzorem lekarza-patrioty, nieugiętego nawet w najtrudniejszych warunkach obozowych. Jego dzieje okupacyjne symbolizują powszechny los Polaków na Pobrzeżu Gdańskim, którzy od pierwszych dni ubiegłej wojny, a nawet jeszcze przed jej wybuchem padali ofiarą prześladowań gestapowskich zgodnie z zawczasu przygotowanymi listami proskrypcyjnymi.

Spośród materiałów dotyczących zasłużonych lekarzy wojskowych zamieszczamy szkic biograficzny mjra dra Antoniego *Ostaszewskiego* pióra lek. dent. Haliny *Kępińskiej-Bazylewicz* z Piotrkowa Trybunalskiego.

Biografią farmaceuty jest artykuł dr Zofii *Mączki-Patkaniowskiej* pt. „Mgr farmacji Czesław *Mączka*". Tekst ten również jest źródłowym dokumentem, ponieważ siostra pisze tutaj o losach swego brata, a ponadto opiera się na informacjach dokumentarnych. Tragedia *Mączków* wyraża los wielu rodzin polskich, prześladowanych przez okupantów. Obszerniejsza notatka o autorce i jej rodzinie została podana w Słowie wstępnym do piątego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (str. 9 i 10). Nasi czytelnicy pamiętają niewątpliwie przejmującą relację tej autorki pt. „Zeznania z bunkra" (zeszyt piąty, str. 135).

Po biograficznej części zeszytu następuje dział Oceny z artykułem mgra Jana *Masłowskiego* pt. „Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1968". Zazwyczaj spotykamy się w czasopismach z recenzjami wybranych pozycji, gdzie omówiona jest za każdym razem osobno jedna książka. Natomiast



Plansze na wystawie poświęconej martyrologii Żydów w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu (zdjęcie z Archiwum Muzeum)

Niechaj będzie wolno złożyć jeszcze wyrazy serdecznego podziękowania prof. drowi Bronisławowi *Gędoszowi,* redaktorowi naczelnemu „Przeglądu Lekarskiego", za pomoc wnikliwą i życzliwą podczas żmudnej pracy doprowadzania zeszytu do ostatecznego kształtu. Specjalnego podkreślenia wymaga także pomoc ze strony Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, którego Dyrekcja niezawodnie i szybko przysłała zarówno zespołowi redakcyjnemu zeszytów naszych, jak też licznym autorom prac opublikowanych przez nas, potrzebne dokumenty, fotokopie, wyjaśnienia itp. Serdecznie za to dziękujemy. Nie byłoby możliwe wydawanie naszych zeszytów, opracowywanych w zakresie dodatkowej, społecznej pracy przez kilka zaledwie osób, gdyby nie z roku na rok towarzysząca nam opieka, wyrozumiałość i cierpliwość dla naszych nieraz uciążliwych, a przecież koniecznych życzeń, ze strony Dyrekcji i pracowników Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich. Dziękujemy więc naszej instytucji wydawniczej serdecznie za te wszystkie wysiłki związane z edycją obszernych, specjalnych zeszytów, a także dziękujemy kierownictwu czuwającemu nad żmudnym tokiem przyspieszonej produkcji zeszytu, tudzież pełnym ofiarności i nie szczędzącym wysiłku składaczom z Zakładu Nr 4 KZG w Krakowie. Ci wszyscy, którzy zetknęli się w swej pracy bezpośrednio z drukarnią, wiedzą, ile trzeba włożyć dobrej woli i pracy, aby przebyć trudną drogę od pierwszych listewek metalu płynącego z linotypu do starannego, gotowego zeszytu, oddawanego czytelnikom w pięknej szacie graficznej.

Na koniec składam szczególne podziękowanie moim kolegom z zespołu redakcyjnego, tj. doc. dr Antoniemu *Kępińskiemu,* dr Stanisławowi *Kłodzińskiemu,* który nie szczędzi sił w gromadzeniu i merytorycznym sprawdzaniu materiałów, jak też mgrowi Janowi *Masłowskiemu,* który pracuje nad tekstami począwszy od pierwszych maszynopisów, a skończywszy na korekcie składu zecerskiego. Wierzymy, że ta nasza praca i nasze zaangażowanie są społecznie i politycznie pożyteczne.

DZIAŁ NAUKOWY

JÓZEF PANASEWICZ
były więzień Pawiaka i obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 135683, Mauthausen nr 119148, Melk, Ebensee

Warszawa

Niektóre aktualne zagadnienia patologii wojennej

Patologia wojenna, obejmująca choroby związane z udziałem w walkach frontowych lub partyzanckich, z przebywaniem w strefach oblężenia, z pobytem w gettach, więzieniach, obozach jenieckich, obozach pracy, obozach koncentracyjnych i innych ośrodkach zagłady, jest zagadnieniem międzynarodowym. Bilans strat ostatniej wojny (13) wyraża się w skali światowej liczbą 54 800 000 zabitych i 90 000 000 poszkodowanych. „Stress wojenny" w różnych jego postaciach patogenetycznych oraz eksterminacja w miejscach karnego odosobnienia obejmowały w okresie ostatniej wojny nie tylko walczące armie, lecz także szerokie rzesze ludności cywilnej wielu krajów Europy i innych kontynentów.

W 8 800 obozach, więzieniach i gettach, rozsianych na terenie 11 krajów okupowanych (z tej liczby na ziemiach polskich znajdowało się 1900 ośrodków kaźni), przebywało wiele milionów deportowanych lub internowanych z 30 krajów całego świata. W oparciu o dane statystyczne Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (21) można, ostrożnie obliczając, przyjąć, że na ogólną liczbę 8 902 000 deportowanych zmarło w obozach koncentracyjnych i innych miejscach zagłady około 80% więźniów, natomiast końca wojny doczekało tylko 20% tej populacji.

Po zakończeniu działań wojennych liczne państwa, zwłaszcza ZSRR, Polska, Jugosławia, Czechosłowacja, Anglia, Belgia, Francja, Grecja, Norwegia, Dania, Holandia, Albania, Włochy, Hiszpania, Rumunia, Bułgaria, Węgry, NRD i NRF stanęły przed koniecznością: 1. dokonania oceny strat wojennych, 2. określenia profilu patologicznego chorób wojennych, 3. zapewnienia odpowiedniej pomocy lekarsko-społecznej oraz 4. stworzenia warunków readaptacji i rehabilitacji psychofizycznej i zawodowej wszystkim środowiskom kombatanckim. Na czoło aktualnych zagadnień z zakresu patologii wojennej (3, 6, 14, 23) wysunęły się zagadnienia inwalidztwa wojennego, patologii deportacji oraz gerontologii wojennej jako głównych następstw udziału w walkach lub przebywania w miejscach karnego odosobnienia.

Choroby wojenne (2, 23) są wywoływane przez wiele współdziałających czynników etiologicznych, do których należą urazy fizyczne i psychiczne, ciężka praca fizyczna, niedożywienie lub głód, zimno, złe warunki higieniczne oraz zakażenia. W ekstremalnych warunkach obozów koncentracyjnych zespołowe działanie tych „stressów" było szczególnie traumatyzujące.

Konfrontacja obserwacji lekarskich z okresu wojny i po jej zakończeniu, a także wyniki międzynarodowych konferencji i zjazdów naukowych Komisji Medycznej Międzynarodowej Federacji Bojowników Ruchu Oporu (*FIR*) i Światowej Federacji Byłych Kombatantów (*FMAC*), zwłaszcza w Wiedniu (1952), a następnie w Kopenhadze (1954), Paryżu (1956), Moskwie (1957), Brukseli (1958), Lüttich (1961), Hadze (1961), Liége (1961), Oslo, Baden-Baden oraz ostatnio w roku 1964 w Bukareszcie, wykazały odrębność etiopatogenetyczną chorób wojennych i doprowadziły do ich ujęcia w określone postacie (2, 4, 5, 6, 23) kliniczne. Do odległych następstw „stressów wojennych" zaliczono kalectwa pourazowe, swoiste dla patologii wojennej zmiany w poszczególnych narządach i układach, skutki zakażeń, astenię przewlekłą postępującą oraz przedwczesne starzenie się.

Z tzw. „syndromu deportacji" wyodrębniono powiązane przyczynowo następujące jednostki patologiczne: choroba obozowa → choroba poobozowa + choroby towarzyszące → astenia przewlekła postępująca → przedwczesne starzenie się.

Bibliografia międzynarodowa na temat patologii wojennej i obozowej liczy tysiące prac oraz obejmuje co najmniej kilkanaście opracowań monograficznych i pamiętników kongresów (4, 5, 6, 9, 10, 23), świadcząc o czynnym zaangażowaniu się wielu poważnych pracowników naukowych w wyjaśnianiu zagadnień teoretycznych i klinicznych patologii i gerontologii wojennej. Klasyczne już dzisiaj w tym zakresie prace autorów zagranicznych, wykonywane niekiedy jeszcze w warunkach obozowych w tajemnicy przed lekarzami *SS* (badania między innymi *Ficheza, Klotza, Richeta, Thygesena, Helweg-Larsena, Targowli, Goukassiana, Funck-Bretano, Gilberta-Dreyfusa, Fliederbauma, Waitza, Blahy, Mollisona, Aslana, Selye'go, Laborita* i wielu innych), jak również wyniki obrad I Krajowego Zjazdu Lekarzy ZBoWiD w roku 1964 w Warszawie oraz prace

autorów polskich i obcych, drukowane w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" i w innych materiałach (*Dąbrowscy, Dominik, Falkiewicz, Fejkiel, Fliederbaum, Gątarski, Kempisty, Kłodziński, Kowalczykowa, Krzywicki, Leśniak, Münch, Olbrycht, Orwid, Półtawska, Rybacki, Schwann-Pawłowska, Szymusik, Teutsch, Urbański, Wieliczański* i liczni inni) stworzyły podstawy do naukowego ujęcia zasadniczych zagadnień patologii wojennej.

Jednym z głównych, traumatyzujących czynników etiologicznych choroby obozowej (2, 5, 7, 9, 23, 28) był głód. Uraz bojowy uszkadzał przeważnie jeden narząd lub układ. Głód zaś uszkadzał wszystkie tkanki ustroju, działając szczególnie szkodliwie w zespole obozowych, wyniszczających czynników etiologicznych. Kalorie zawarte w pożywieniu głównie węglowodanowym (700—1000 kalorii na 24 godziny) nie pokrywały u deportowanych nawet części zapotrzebowania dobowego. Deficyt pokarmowy, zwłaszcza białkowy i tłuszczowy, niedobór witamin i soli mineralnych, ujemny bilans azotowy i zużycie białek endogennych dla potrzeb energetycznych prowadziły do procesu tzw. „samospalania" wszystkich tkanek ustroju. Płomień życia w chorobie głodowej gasł powoli, tląc się znikomym światłem na poziomie *vita minima* aż do całkowitego wyczerpania. Destrukcja biologiczna w chorobie głodowej, określana przez autorów francuskich (*Fichez, Richet, Waitz*) jako „obozowe przewlekłe postępujące wyniszczenie psychofizyczne", nosiła w oblężonym Leningradzie, getcie warszawskim i w innych środowiskach ekstremalnych nazwę „dystrofii głodowej" (*Goukassian*), „choroby obrzękowej" (*Botkin, Bansi*), „kachektycznej" (*Iwanow*), „atroficznej" (*Lang*) lub „bradyfrenii" (*Fliederbaum*).

W krańcowych okresach choroby, określanych w żargonie obozowym mianem „muzułmaństwa", dominowały (przy spadku ciężaru ciała w granicach od 30% do 60%) następujące objawy somatyczne: charłactwo głodowe w postaci atroficznej („suchej") lub obrzękowej, hipoproteinemia, hipoglikemia, hiperazotemia, hipometabolizm, dysfunkcje enzymatyczne i hormonalne, awitaminozy, hipotonia, biegunki, poliuria, hipotermia, a nawet poikilotermia. Występował „zespół trzech anemii" (niedokrwistość komórkowa, niedokrwistość niedobarwliwa oraz anemia osoczowa — wskutek obniżonego poziomu białek osocza, zwłaszcza albumin). Hipoproteinemia, obniżenie ciśnienia onkotycznego, odwrócenie wskaźnika albuminowo-globulinowego oraz hydremia stawały się przy wzmożonej przepuszczalności naczyń krwionośnych przyczyną obrzęków w wyniszczeniu głodowym. Do objawów somatycznych dołączały się objawy neuropsychiczne: przeciążenie nerwowe, depresja, adynamia i apatia, zahamowanie reakcji psychicznych, ograniczenie funkcji psychofizycznych do jednego celu, mianowicie utrzymania się jak najdłużej przy życiu, zmiany osobowości itd. W warunkach obniżonej odporności rozwijały się zakażenia: gruźlica, ropowice, zakażenia jelitowe, a zwłaszcza epidemie durów brzusznego i wysypkowego. 25 000 więźniów obozów koncentracyjnych Dachau i Buchenwald zmarło pod koniec wojny w ciągu trzech miesięcy, z czego 75% na dur wysypkowy (23). Innych zastawało wyzwolenie, ale najczęściej *in extremis*. Wojska alianckie zastały w roku 1945 w obozie Bergen-Belsen 13 000 nie pogrzebanych zwłok więźniów w stanie skrajnego wyniszczenia, a drugie tyle zmarło po wyzwoleniu (ryc. 1).



Ryc. 1. Fragment międzynarodowego pomnika w byłym obozie koncentracyjnym Neuengamme sugestywnie przedstawia zwłoki więźnia w stanie skrajnego wyniszczenia. Dokumentarne zdjęcia „muzułmanów" i zwłok publikowano już w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", między innymi z obozu Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu (zob. Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 106—109)

Odrębne zagadnienie stanowi sprawa wymieralności więźniów w obozach. Czas życia przeciętnego więźnia wynosił średnio 6 miesięcy. 80—90% wszystkich deportowanych ginęło wskutek głodu, wyniszczenia, epidemii lub eksterminacji (23, 28). Według orientacyjnych obliczeń zmarło w obozie koncentracyjnym Buchenwald 56 000 osób, w Dachau 70 000, w Mauthausen 154 000, w Sachsenhausen 100 000, w Stutthofie 85 000, w Ravensbrück 92 000, w Neuengamme 40 000 (13). Ogólną liczbę więźniów zmarłych w obozach koncentracyjnych i w innych ośrodkach zagłady szacuje się (21) na około 7 830 000 osób. Wobec braku dokładnych statystyk oraz z uwagi na fakt, że w samym tylko Oświęcimiu-Brzezince zginęły przeszło 4 000 000 więźniów, a ogólna liczba miejsc eksterminacji i karnego odosobnienia w krajach okupowanych dochodziła do 9 000, bardziej prawdopodobna jest jednak liczba od 10 000 000 do 12 000 000 (13), z której łatwo obliczyć, że miesięcznie ginęło w obozach około 200 000 osób, tj. dziennie przeszło 6 600 osób.

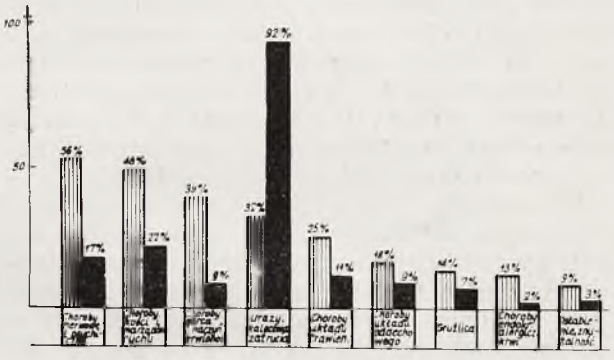
Ocena stanu zdrowia ludności dokonana po zakończeniu wojny (2, 3, 6, 9, 23, 27) doprowadziła do zgodnej opinii, podkreślanej wielokrotnie na konferencjach medycznych FIR, że wszyscy, którzy brali czynny udział w walkach lub przebywali w miejscach karnego odosobnienia, winni być traktowani podobnie jak rekonwalescenci po przebytej ciężkiej chorobie. Systematyczne badania osób uwolnionych

z obozów koncentracyjnych wykazały bardzo przewlekły przebieg regeneracji organicznej, brak *restitutio ad integrum* tkanek wyniszczonych głodem oraz ich zastępowanie przez tkanki mniej wartościowe. Choroba poobozowa jako następstwo ogólnej lub miejscowej fizycznej i psychicznej traumatyzacji organicznej oraz dystonii wegetatywnej miała więc w dużym odsetku przypadków charakter nieodwracalny. Na ogólną liczbę 220 000 obywateli francuskich zesłanych do obozów koncentracyjnych tylko 38 000 (17%) doczekało końca wojny, z czego 16 000 (42%) zmarło w okresie 15 lat po jej zakończeniu. Spośród 110 000 deportowanych z Francji do Oświęcimia po 20 latach od chwili wyzwolenia żyło jeszcze tylko około 2000 osób, tj. zaledwie 2% (23). W okresie 15 lat powojennych wymieralność byłych więźniów była 10-krotnie większa niż w populacji kontrolnej, przy czym odsetek zgonów był wprost proporcjonalny do czasu przebywania w obozie (wahającego się od roku do 5 lat) oraz do liczby obozów i więzień, w których przebywał deportowany (najczęściej w 3—5). Największy odsetek, tj. przeszło 30% zgonów w okresie powojennym był wynikiem co najmniej 3-letniego pobytu w obozach (2).

U osób, które przeżyły, stwierdzono przewlekły przebieg choroby poobozowej. Stress obozowy pozostawia więc na okres powojenny liczne następstwa patofizjologiczne i psychofizyczne, prowadząc do znacznego stopnia utraty zdrowia w sensie somatycznym i psychicznym (9). I tak np. gruźlicę płuc stwierdzono bezpośrednio po zakończeniu wojny u 25% byłych deportowanych, a tylko w 1,5% u byłych internowanych, natomiast zapadalność na gruźlicę u byłych więźniów była 12—14-krotnie większa niż w innych grupach ludności (23). Nawet u osób pozornie zdrowych obserwowano odległe, ujawniające się dopiero po wielu latach, organiczne lub czynnościowe konsekwencje deportacji.

Do najczęściej spotykanych następstw pobytu w obozach należą: choroby układu nerwowego, ruchowego, krążenia, skutki urazów, choroby układu trawiennego, oddechowego, wewnątrzwydzielniczego, przemiany materii oraz narządów zmysłów, a zwłaszcza gruźlica płuc, gościec stawowy, nadciśnienie, miażdżyca naczyń, psychonerwice, kalectwa pourazowe, następstwa eksperymentów pseudolekarskich i inne. Ocena stanu zdrowia byłych deportowanych wykazuje najczęściej równoczesne występowanie kompleksowych zmian chorobowych w kilku (od 3 do 6 i więcej) narządach lub układach.

Ocena częstości występowania typowych chorób związanych z pobytem w obozach w porównaniu do chorób wynikłych z czynnego udziału w walkach (2) wykazuje, że byli więźniowie cierpią w największym odsetku przypadków na choroby układu nerwowego, ruchowego, krążenia, stany po urazach obozowych, choroby układu trawienia i oddechowego, a byli kombatanci — na kalectwa pourazowe, choroby układu ruchowego, nerwowego, trawienia i krążenia. Wszystkie choroby z wyjątkiem urazów występują jednak w znacznie większym odsetku u byłych deportowanych niż u byłych kombatantów (ryc. 2). Z populacji byłych więźniów zbadanych w okresie od 5 do 10 lat po wojnie u 36% ujawniono 25% utraty zdrowia, u 29% od 26 do 50%, u 19% od 51 do 75% oraz u 16% badanych od 76 do 100% inwalidztwa (27).



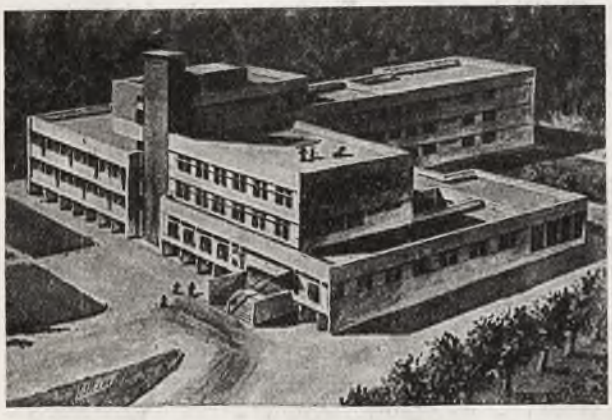
Ryc. 2. Występowanie typowych chorób wynikłych z pobytu w obozach koncentracyjnych (słupki zakreskowane) w porównaniu z chorobami powstałymi wskutek czynnego udziału w walkach (słupki zaczernione). Częstość występowania określono w odsetkach na 100 osób (według *Blahy*; pozycja piśmiennictwa 2)

Tzw. astenia przewlekła postępująca (5, 23, 24) jako odległe następstwo stressów wojennych wykazuje u swoich podstaw patogenetycznych „fenomen memoryzacji molekularnej" (*Richet, Corri, Fichez*), tj. zjawisko utrwalenia się zmian elektrofizykochemicznych w „biochemicznej pamięci" komórek somatycznych i nerwowych wskutek uprzedniej ekspozycji na agresję zespołu różnych, wojennych lub obozowych bodźców naporowych, a zwłaszcza głodu i wyniszczenia. W odróżnieniu od eustenii (eutonii) astenię cechują zaburzenia homeostazy i adaptacji metabolicznej w wyniku błędów sterowania hormonalnego i enzymatycznego, pochodzenia korowo-międzymózgowego. Według teorii czynnościowej (*Fichez, Klotz*) astenia jest wynikiem zaburzeń neurohumoralnej regulacji zwrotnej układu korowo - międzymózgowo - podwzgórzowo - -przysadkowo-nadnerczowego i nerwowo-gruczołowo-trzewnych sprzężeń zwrotnych. Według teorii organicznej (*Grönvik, Lönnum*) przyczyną choroby są pierwotne, zwyrodnieniowe zmiany w ośrodkowym układzie nerwowym na poziomie międzymózgowia i podwzgórza, pochodzenia urazowego lub toksycznego (tzw. meningoencefalopatia).

Swoista symptomatologia tego zespołu (26), o charakterze oscylującym, z fazami zaostrzenia, poprawy i stabilizacji, obejmuje objawy neuropsychiczne (psychastenia, astenia intelektualna, nawrót wspomnień wojennych lub obozowych, zaburzenia czucia i snu itp.) oraz objawy somatyczne (znużenie paradoksalne, zaburzenia sercowo-naczyniowe, układu pokarmowego, wewnątrzwydzielnicze i metaboliczne). Postacie kliniczne obejmują: 1. astenię

sterowania ośrodkowego (neurogenną), wynikłą z przeciążenia układu nerwowego, w której czynnik chorobotwórczy zakłóca regulację ośrodkową, 2. astenię efektorów obwodowych (metaboliczną), z wyróżnieniem dysfunkcji metabolicznej korowo-nadnerczowej, mięśniowej, wątrobowej i trzustkowej oraz 3. astenię toksyczno-zakaźną w wyniku przebytych chorób zakaźnych lub zatruć endogennych. Postępowanie lecznicze winno być dostosowane do klinicznej postaci astenii z uwzględnieniem indywidualnych czynników etiopatogenetycznych. Ocena sprawności psychofizycznej i socjalnej (26) wykazuje u 61% byłych więźniów obniżenie wartościowości biologicznej, u 90% łatwe męczenie się, u 73% spadek przydatności zawodowej, wydajności pracy i zdolności przystosowawczych.

O doniosłości społecznej występowania astenii u byłych kombatantów świadczy fakt utworzenia w roku 1965 pod Paryżem specjalistycznego, międzynarodowego ośrodka leczenia chorób wojennych i obozowych. Ośrodek działający pod patronatem *FIR* oraz Francuskiej Federacji byłych Deportowanych, Internowanych i Kombatantów (*FNDIRP*), kierowany przez sekretarza generalnego Komisji Medycznej *FIR*, byłego więźnia Mauthausen, dr med. *L. F. Ficheza*, mieści Klinikę Zapobiegania i Leczenia Astenii i Przedwczesnego Starzenia oraz Ośrodek Naukowo-Badawczy w zakresie patogenezy, patologii i gerontologii wojennej (ryc. 3).



Ryc. 3. Specjalistyczna Klinika Zapobiegania i Leczenia Chorób Wojennych i Obozowych im. F. H. Manhés (otwarta 30 października 1965 r. w miejscowości Fleury-Mérogise S. et O. pod Paryżem)

Ostatni etap patologii wojennej i zespołu deportacji, tj. przedwczesne starzenie (1, 4, 5, 8, 12, 22) cechuje wcześniejsze występowanie zmian miażdżycowych, ogólne depresyjne i asteniczne napięcie neuro-psychiczne, łatwe zmęczenie fizyczne i psycho-intelektualne. Dominuje *triada Coirault*: łatwe męczenie się — bezsenność — stany lękowe. Według teorii neuroorganicznej (*Groen*) starzenie się jest procesem biologicznym, natury biochemicznej, pochodzenia międzymózgowego. Według teorii molekularnej (*Gershman, Keller, Laborit*) starzenie się jest biofizycznym wynikiem wzajemnych oddziaływań między ustrojem a środowiskiem na wszystkich poziomach molekularnej organizacji komórkowej, obejmując między innymi starzenie się tkanki łącznej, zmiany potencjału oksydo-redukcyjnego komórek, zaburzenia przepuszczalności błon komórkowych, zmniejszenie puli ujemnych ładunków elektrochemicznych, tworzenie wolnych rodników, postępującą hipoheparynemię i starzenie się naczyń krwionośnych.

Ustrój osoby astenicznej staje się w wyniku uprzedniej, wielokrotnej ekspozycji na agresję wojennych lub obozowych ekstremalnych bodźców naporowych patologicznie wrażliwy, jakby „uczulony" na te bodźce, przyjmujące w miarę upływu czasu charakter bodźców warunkowych (tzw. „fenomen uczulenia i uwarunkowania na agresję"). Przeciążony agresją układ nerwowy reaguje na banalne bodźce życia codziennego zbędnymi, nadmiernymi, obronnymi reakcjami odruchowowarunkowymi. Bodźce te według jednej z patogenetycznych teorii przedwczesnego starzenia się (1, 5, 12, 22, 25) wywołują wielokrotnie powtarzane odczyny alarmowe i odruchy korowo-trzewno-korowe z układu podwzgórzowo-przysadkowo-nadnerczowego na zasadzie „błędnych kół", z wielokrotnym wyzwalaniem adrenaliny z układu siateczkowatego międzymózgowia, wzrostem poziomu adrenaliny we krwi, zaburzeniami w krążeniu trzewnym i mózgowym, przyspieszającymi proces starzenia się. Proces ten można przedstawić w uproszczeniu (5) w następujących zwrotnych schematach patogenetycznych i klinicznych: I. przeciążenie układu nerwowego → aktywacja podwzgórza → aktywacja przysadki → nadczynność nadnerczy → hiperadrenalinemia → miażdżyca naczyń, lub: II. przeciążenie nerwowe → stany depresji → zaburzenia snu → niewydolność psychofizyczna → łatwe nużenie się → astenia przewlekła postępująca → przedwczesne starzenie się (ryc. 4).

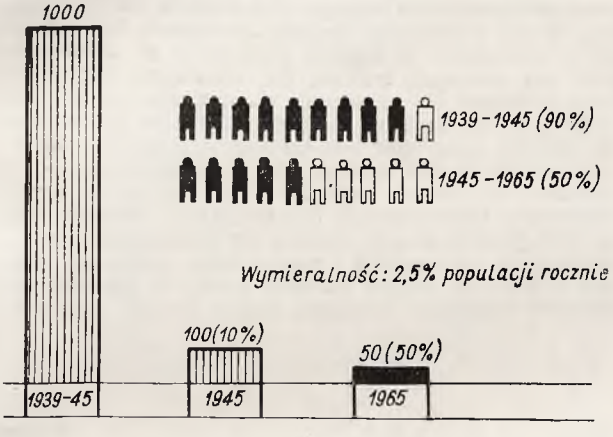


A B

Ryc. 4. Schemat patogenetyczny (A) i kliniczny (B) „błędnych kół" przedwczesnego starzenia się (według *Ficheza*; pozycja piśmiennictwa 5)

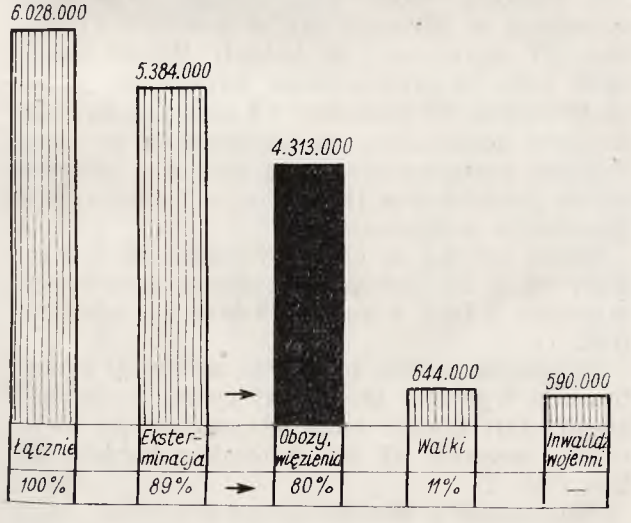
Proces przedwczesnego starzenia się oraz jego konsekwencje biologiczne znalazły potwierdzenie w ocenie statystycznej. Wykazano, że jeden rok pobytu w obozie odpowiada okresowi czterech lat normalnego życia, a więc przyspiesza starzenie się średnio o trzy lata (23). Objawy przedwczesnego starzenia się wykazano już u osób 30—40-letnich. Udowodniono znamienne skrócenie czasu życia byłych deportowanych średnio o 10 lat oraz szybszą ich

wymieralność w stosunku do populacji kontrolnej. Według autorów francuskich (4, 23) na każdy 1 000 deportowanych zginęło 900 (90%) w obozach koncentracyjnych, a tylko 100 (10%) doczekało końca wojny, z czego 50 (50%) zmarło już w okresie 20 lat po wyzwoleniu. Rocznie wymiera w przybliżeniu 2,5% całej populacji. Na każdych 10 zesłanych do obozów tylko 1 więzień doczekał końca wojny. Na każdych 10 byłych więźniów, uwolnionych z obozów, okres 20 lat powojennych przeżyło tylko pięciu (ryc. 5).



Ryc. 5. Wymieralność populacji więźniów obozów koncentracyjnych w okresie wojny (1939—1945) oraz po jej zakończeniu (1945—1965) według *Richeta* (pozycja piśmiennictwa 23)

Pamięć ludzka chętniej utrwala zdarzenia optymistyczne niż dramatyczne. Mimo to przejdzie do historii „nieludzkiej medycyny" wojennej sprawa masowej urazowości olbrzymich populacji ludzkich na wszystkich frontach ostatniej wojny i zagadnienie systematycznej eksterminacji przez nadmierną eksploatację milionów deportowanych w obozach koncentracyjnych, jak również następstwa tej eksterminacji wyrażające się w katastrofalnych dla zdrowia, nieodwracalnych skutkach.



Ryc. 6. Niektóre straty wojenne Polski w latach 1939—1945 (według danych z pozycji piśmiennictwa 11 i 15)

Szczególnie dotkliwe straty, największe ze wszystkich państw walczących, poniósł naród polski (11, 15). Spośród każdych 100 obywateli 22 osoby (22%), tj. co piąty obywatel, zginęły w czasie ostatniej wojny. Dziennie ginęło około 2 800 osób. W następstwie działań wojennych, represji okupanta oraz eksterminacji obozach zmarło 5 000 lekarzy, 2 500 lekarzy stomatologów oraz 1 548 profesorów, wykładowców i asystentów uczelni wyższych. Z ogólnej liczby 6 028 000 zmarłych zginęło 644 000 osób w walkach (tj. 10,7%), a 5 384 000 (89,3%) w następstwie akcji eksterminacyjnej okupanta, z czego 4 313 000 osób (80%) zmarło w więzieniach i obozach koncentracyjnych (ryc. 6). Wskutek wojny 737 000 osób poniosło straty na zdrowiu, w tym 590 000 inwalidów wojennych oraz 1 140 000 osób zachorowało na gruźlicę płuc. Przyjmując zgodnie z danymi GKBZHwP (21), że co najmniej 25% wszystkich deportowanych stanowili obywatele narodowości polskiej, łatwo określić ich przybliżoną liczbę po zakończeniu wojny na około 400 000 (16). Po odliczeniu odsetka wymieralności przypadającego na okres 23 lat powojennych można wnosić, że w Polsce żyje jeszcze około 100 000 do 150 000 byłych więźniów. Tym, którzy żyją, winniśmy zapewnić dalszą możność życia i chronić ich przed przedwczesnym zgonem.

Zagadnienie patologii wojennej, a zwłaszcza obozowej, w swym aspekcie nie tylko historycznym, lecz także naukowym, lekarskim, prawnym i społecznym, nie straciło więc swojej aktualności mimo upływu 23 lat od zakończenia działań wojennych. Patologia i gerontologia wojenna stwarza szerokie i wdzięczne pole do pracy lekarsko-społeczno-naukowej dla byłych kombatantów-lekarzy oraz dla szpitalnych, klinicznych i naukowych placówek cywilnej i wojskowej służby zdrowia, zgodnie z założeniem, aby każdy, kto walczył o Polskę demokratyczną, był otoczony właściwą pomocą i opieką lekarsko-socjalną.

PIŚMIENNICTWO

1. *Benetato G.:* Mécanisme de régulation de l'homéostasie au cours de la sénescence. Materiały IV Kongresu Medycznego FIR. Bukareszt 1964, 1, 266—274. — 2. *Blaha F.:* Consequence de la guerre sur la santé de ses victimes, après 20 ans. Tamże, 1, 121—240. — 3. *Desoille H.:* Comment préserver la santé des invalides de guerre, résistants et déportés. Materiały II Kongresu Medycznego FIR, Moskwa 1957, 2, 201—208. — 4. *Fichez* L. F., *Klotz* A.: La sénescence prématurée et ses traitements. Monogr. FIR. Wiedeń 1961, str. 9—105. — 5. *Fichez* L. F.: La thérapeutique, la récupération fonctionelle et la réadaptation, applicables aux invalides de guerre, résistant et déportés. Materiały II Kongresu FIR, Moskwa 1957, t. I, s. 17—40, t. II, s. 179—208. — 7. *Goukassian P.:* Dystrophie de la faim. Tamże, t. II, s. 7—15. — 8. *Groen* J.: General physiology of aging. Geriatrics, 1959, 5, 329—336. — 9. *Helweg-Larsen* P., *Thygesen* P. i wsp.: Famine disease in german concentration camp. Acta Med. Scand., 1952, t. 144, suppl. 274. Materiały FIR, Paryż 1954, s. 11—78. — 10. *Kiedrzyńska* W.: Materiały do bibliografii hitlerowskich obozów koncentracyjnych. 1934—1962. PWN, Warszawa 1964.

11. *Klafkowski* A.: Obozy koncentracyjne hitlerowskie jako zagadnienie prawa międzynarodowego. PWN,

Warszawa 1968, s. 63—83. — 12. *Laborit* H.: Vieillesse et fatigue. Quelques hypothèses de travail. Materiały IV Kongresu Medycznego FIR, Bukareszt 1964, 1, 90—96. — 13. *Langevin* R.: 20 ans après la liberation. Patriote Résistant. FNDIRP, 1965, 303 (supl.), 31—46. — 14. *Louria* A. R.: Le rétablissement fonctionnel après traumatisme de guerre. Materiały II Kongresu Medycznego FIR, Moskwa 1957, 2, 179—188. — 15. *Mazur* T., *Tomaszewski* J.: Poland's losses in World War II-nd (1939—1945). Wyd. Polonia, Warszawa 1961, s. 125—136. — 16. *Nowak* J.: Medyczne skutki przeżyć w obozach. Materiały III Kongresu ZBoWiD, Warszawa 1964, s. 164—165. — 17. *Panasewicz* J.: Patologia wojenna. Służba Zdrowia, 1968, 21, 3. — 18. *Panasewicz* J.: Patologia deportacji. Referat na I Zjeździe Lekarzy Okręgu Warszawskiego ZBoWiD (12.XII.1966; maszynopis). — 19. *Panasewicz* J.: Doświadczenia FNDIRP w usprawnianiu metod leczenia chorób z deportacji. Materiały II Krajowego Zjazdu Lekarzy ZBoWiD, Warszawa 1968, 3, 5. — 20. *Panasewicz* J., *Łuckiewicz* B.: Zaburzenia hematologiczne w syndromie obozowej dystrofii głodowej. Tamże, 3, 6.

21. *Pilichowski* C.: Straty i lokalizacja. Materiały GKBZwP, IV, Warszawa 1968; Biuletyn GKBZHwP, 1967, 17, 245—265. — 22. *Quarti* C.: Le conditionnement en pathologie postagressive. Materiały IV Kongresu Medycznego FIR, Bukareszt 1964, 2, 427—437. — 23. *Richet* Ch., *Mans* A.: Pathologie de la déportation. Monogr. Ed. Centre Ch. Richet, Paryż 1962, s. 37—195. — 24. *Rybacki* T.: Zagadnienie przewlekłej postępującej astenii poobozowej. Materiały I Krajowego Zjazdu Lekarzy ZBoWiD, Warszawa 1964, s. 40—65. — 25. *Selye H.*: The physiology and pathology of exposure to stress. Acta Inc., Montreal 1950; Materiały IV Kongresu Medycznego FIR, Bukareszt 1964, 1, 35—41. — 26. *Targowla R.*: Les séquelles pathologiques de la déportation. Presse Méd., 1954, 4, 65—72. — 27. *Thygesen* P., *Hermann* K.: Les effects du syndrome concentrationnaire, 19 ans après la liberation. Materiały IV Kongresu Medycznego FIR, Bukareszt 1964, 1, 311—326. — 28. *Waitz* R., *Wellers* G.: Effect de la misère physiologique prolongée sur l'organisme humain. J. de Physiol., 1947, 39, 59—67.

*

W związku z przygotowaniami do V międzynarodowego kongresu medycznego *FIR* ukazała się już podczas druku niniejszego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" powielona publikacja pt. Bibliographie des ouvrages traitant des dommages physiques dont souffrent les persécutés du nazisme, les anciens résistants, les anciens combattants et les prisonniers de guerre; ainsi que des travaux traitant de l'activité criminelle des médecins SS. II edition complétée, élaborée et rédigée par Dr *Cilli Ausländer* (wyd. Federation Internationale des Resistants. Wiedeń 1968, ss. 168). Bibliografia ta zawiera 997 wybranych pozycji, przeważnie francuskich i niemieckich, natomiast prawie całkowicie pomija dorobek polski w zakresie zagadnień lekarskich minionej wojny (uwaga redakcji).

WŁADYSŁAW WOJTASIK Kielce

Zmiany chorobowe u byłych więźniów obozów koncentracyjnych ze środowiska kieleckiego

(Z I Oddziału Chorób Wewnętrznych
Szpitala Wojewódzkiego w Kielcach
Ordynator: Dr med. W. *Wojtasik*)

W pracy wzięto pod uwagę oprócz aspektów klinicznych i potrzeby gromadzenia dokumentacji dotyczącej hitlerowskich obozów koncentracyjnych także konieczność dokładnego poznania aktualnego stanu zdrowia byłych więźniów w celu umożliwienia im skuteczniejszej, możliwie wszechstronnej pomocy lekarskiej. Pilną sprawą było zwłaszcza wykrycie tych chorych, którzy wymagają dłuższej lub stałej opieki lekarskiej w odpowiednich ośrodkach po zbadaniu i wstępnym leczeniu.

Tak ujęte badania wiążą się ponadto z zagadnieniem orzecznictwa rentowego. Dotychczas komisje do spraw inwalidztwa i zatrudnienia nie uwzględniają swoistych odrębności w patologii byłych więźniów (tzw. „*KZ-Syndrom*", tj. zespół przewlekłej, postępującej astenii, przyczynowo związany z pobytem w więzieniach i obozach hitlerowskich). Odrębności w patologii byłych więźniów powinny być uwzględniane w orzecznictwie KIZ. Praca jest więc również próbą odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu stwierdzone zmiany chorobowe zależą od warunków życia obozowego.

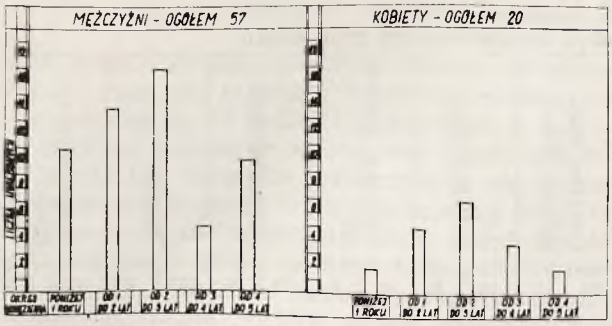
Metodyka i wyniki badań

Badaniami objęto 77 byłych więźniów, którzy przebyli obozy hitlerowskie, a obecnie mieszkają w Kielcach lub w powiecie kieleckim (57 mężczyzn i 20 kobiet). Wśród badanych było 25 pracowników fizycznych, 27 — umysłowych, 19 rencistów i 6 osób bez zawodu (kobiety pozostające na utrzymaniu mężów). Badania przeprowadzono od kwietnia 1964 roku do października 1967 roku w Szpitalu Wojewódzkim w Kielcach.

Okres pobytu w obozie wynosił od 7 miesięcy do 5 lat. Średnio mężczyzna przebywał w obozie 3 lata, a kobieta 2 lata i 6 miesięcy (ryc. 1).

Rozpiętość wieku mężczyzn w chwili aresztowania wynosiła 16—51 lat życia, kobiet zaś 18—52 lat. Średni wiek aresztowanego mężczyzny wynosił 31 lat, natomiast kobiety 33 lata (tab. I).

Równocześnie zbadano grupę kontrolną osób, które nie przebywały w obozach ani w więzieniach. Badani ci ściśle odpowiadali byłym więźniom pod względem płci, wieku i zawodu.



Ryc. 1. Liczba uwięzionych i okres trwania uwięzienia

Tabela I

Wiek w chwili osadzenia w obozie	Liczba mężczyzn	Liczba kobiet
16 do 20 lat	3	2
21 do 25 lat	21	6
26 do 30 lat	9	4
31 do 40 lat	11	2
41 do 51 lat	13	6

Grupa kontrolna składała się z dwóch podgrup; pierwszą stanowiły osoby badane przypadkowo (badania wykonano ambulatoryjnie; prócz badania fizykalnego wykonywano u każdej osoby rutynowe analizy moczu, oB, morfologię krwi obwodowej, rtg klatki piersiowej i ekg; u wybranych osób zależnie od stanu klinicznego, wykonywano inne badania pomocnicze). Drugą grupę kontrolną stanowili chorzy, którzy przebywali w leczeniu szpitalnym.

Badania wykazały (tab. II), że w grupie byłych więźniów wszyscy badani są chorzy i wymagają okresowego lub stałego leczenia. Z ogólnej liczby 77 badanych osób kwalifikuje się 30 do leczenia ambulatoryjnego, a 22 osoby są całkowicie niezdolne do pracy. U większości badanych przyczyną niezdolności do pracy są choroby serca i naczyń. U większości badanych zauważono objawy przedwczesnego starzenia się. 2 osoby należą do tzw. grupy „królików"; były one poddawane zbrodniczym eksperymentom, które polegały na wywoływaniu stanów zapalnych i owrzodzeń na podudziach i na stosowaniu następnie miejscowo sulfonamidów.

Tabela II
Grupa byłych więźniów obozów koncentracyjnych
Zmiany chorobowe stwierdzone u 77 osób z uwzględnieniem grup wieku

Grupa wieku	Astenia przewlekła		Choroby przewodu pokarmowego i dróg żółciowych		Przewlekłe serce płucne i choroby dróg oddechowych		Miażdżyca ogólna i choroba wieńcowa		Choroba nadciśnieniowa		Choroby nerek		Cukrzyca		Choroby gośćcowe		Gruźlica płuc	
	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k
40—50 lat	10	4	8	1	2	—	6	—	4	2	2	—	—	—	3	3	1	—
51—60 lat	6	6	3	—	7	—	3	2	—	2	—	—	—	—	4	1	5	1
Przeszło 60 lat	4	2	4	1	7	2	10	3	6	2	1	—	2	—	3	4	1	—
Ogółem	32		17		18		24 *		16		3		2		23		8	

* W tym choroba wieńcowa: 17

Tabela III
Pierwsza podgrupa kontrolna z uwzględnieniem grup wieku

Grupa wieku	Psychonerwice i nerwice narządowe		Miażdżyca i choroba wieńcowa		Przewlekłe serce płucne i choroby narządu oddechowego		Choroby przewodu pokarmowego i dróg żółciowych		Choroby gośćcowe		Choroba nadciśnieniowa	
	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k
40—50 lat	4	6	2	1	1	0	3	3	2	2	1	0
51—60 lat	2	3	2	0	5	0	1	0	3	0	1	1
Przeszło 60 lat	1	3	5	5	4	3	2	1	0	2	2	0
Ogółem	19		15 *		13		10		9		5	

* W tym choroba wieńcowa: 8

Tabela IV
Druga podgrupa kontrolna
Zmiany chorobowe stwierdzone u 77 osób z uwzględnieniem grup wieku

Grupa wieku	Psychonerwice i nerwice narządowe		Choroby przewodu pokarmowego i dróg żółciowych		Miażdżyca i choroba wieńcowa		Serce płucne przewlekłe i choroby narządu oddechowego		Choroby nerek		Choroba nadciśnieniowa		Gruźlica płuc		Choroby gośćcowe		Niedokrwistość		Pasożyty		Nowotwory złośliwe	
	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k	m	k
40—50 lat	2	1	7	1	5	2	3	1	2	0	3	1	0	0	3	2	0	1	0	0	1	0
51—60 lat	2	0	9	2	8	1	8	1	0	0	3	1	2	0	5	0	0	0	1	0	1	0
Przeszło 60 lat	0	1	1	2	8	5	4	1	0	2	1	1	0	0	3	2	0	0	0	0	1	1
Ogółem	6		22		29 *		18		4		10		2		15		1		1		4	

* W tym choroba wieńcowa: 18

Badania obejmujące pierwszą podgrupę kontrolną, liczącą 77 osób, wykazały, że w grupie tej jest 20 osób zdrowych i 57 chorych. Wśród chorych było 42 mężczyzn i 15 kobiet. Niezdolnych całkowicie do pracy było 12 osób.

Ogólne zestawienie zmian chorobowych w pierwszej podgrupie kontrolnej przedstawiono w tabeli III.

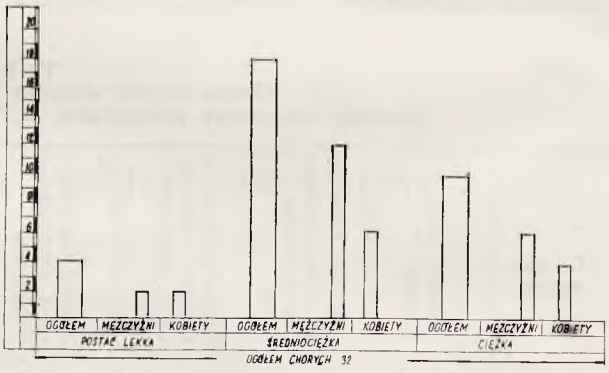
Drugą podgrupą kontrolną, liczącą również 77 osób (57 mężczyzn i 20 kobiet), stanowili chorzy przebywający w leczeniu w Szpitalu Wojewódzkim w Kielcach. Zmiany chorobowe stwierdzone w tej grupie przedstawiono w tabeli IV.

Najczęstszymi chorobami w grupie byłych więźniów obozów koncentracyjnych okazały się: przewlekła postępująca astenia, choroby gośćcowe, choroba nadciśnieniowa, choroba wieńcowa, przewlekłe serce płucne oraz choroby przewodu pokarmowego i dróg żółciowych. Choroby te zostały poddane ocenie klinicznej oraz statystycznej.

1. Przewlekła postępująca astenia

Zespół ten w zależności od rodzaju istniejących zaburzeń i ich intensywności klinicznej został określony jako lekki, średnio ciężki i ciężki. Kryteria tego podziału były następujące: postać lekka — miernego stopnia astenia psychiczna oraz miernie nasilone zaburzenia neurowegetatywne, uczucie zmęczenia. Postać średnio ciężka — zaburzenia te same, ponadto stany depresyjne, trudności adaptacyjne, bezsenność i stany lękowe. Postać ciężka — nasilone objawy psychastenii, astenii intelektualnej, nerwicy wegetatywnej, zmęczenie fizyczne oraz zmiany somatyczne, na przykład pod postacią chorób przewodu pokarmowego, niedomogi gruczołów wewnętrznego wydzielania, objawy przedwczesnego starzenia się, alkoholizm i inne objawy powodujące niezdolność do pracy.

Ogółem w grupie byłych więźniów stwierdzono ten zespół u 32 osób, w tej liczbie było 20 mężczyzn i 12 kobiet. Wśród badanych było 13 pracowników fizycznych, 15 pracowników umysłowych i 4 rencistów. Częstość występowania przewlekłej postępującej astenii w tej grupie oraz ocenę kliniczną tych chorych przedstawiono na ryc. 2.



Ryc. 2. Przewlekła postępująca astenia u więźniów

Stwierdzoną w grupie byłych więźniów przewlekłą postępującą astenię konfrontowano z psychonerwicą i nerwicą narządową w grupach kontrolnych. W pierwszej grupie kontrolnej nie stwierdzono zaburzeń psychonerwicowych, które by mogły odpowiadać ciężkiej postaci astenii. W grupie tej było 19 chorych (7 mężczyzn i 12 kobiet), u których występowały funkcjonalne zaburzenia dotyczące narządu krążenia i przewodu pokarmowego. Spośród tej liczby u 7 chorych stwierdzono objawy neurogenne wyraźnie zakłócające sprawność ustroju. W grupie tej 12 osób, to pracownicy umysłowi i 7 — pracownicy fizyczni.

W drugiej podgrupie kontrolnej rozpoznano jeden raz psychonerwicę oraz 5 razy nerwicę wegetatywną z zaburzeniami funkcji narządu krążenia, bądź przewodu pokarmowego. Z uwagi na współistniejące choroby organiczne (choroba wrzodowa dwunastnicy, przewlekła choroba wieńcowa, choroby dróg żółciowych) stan tych chorych był cięższy niż stan chorych z pierwszej podgrupy kontrolnej. Wśród badanych 4 było pracowników umysłowych i 2 fizycznych.

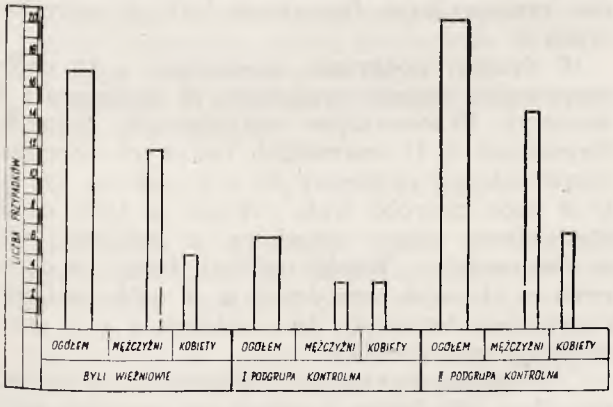
2. Choroba wieńcowa

W grupie byłych więźniów chorobę wieńcową — stan po zawale i dusznicę bolesną — stwierdzono u 17 osób (12 mężczyzn i 5 kobiet). Wiek badanych wykazywał rozpiętość od 42 do 74 lat. Choroba rozpoczynała się w następujących grupach wieku: pomiędzy 30 a 40 rokiem życia zachorowało 7 osób, pomiędzy 41 a 50 rokiem 5 osób i pomiędzy 51 a 65 rokiem 5 osób. U 4 osób w czasie pobytu w obozie wystąpiły objawy, które można uznać za początek choroby wieńcowej; 7 osób zachorowało w ciągu pierwszego 10-lecia po oswobodzeniu, a 6 osób w ciągu drugiego 10-lecia po oswobodzeniu. Wśród badanych było 6 pracowników fizycznych, 6 umysłowych i 5 rencistów, spośród których 2 było poprzednio pracownikami fizycznymi, a 3 umysłowymi.

W pierwszej podgrupie kontrolnej chorobę wieńcową — stan po zawale i dusznicę bolesną — stwierdzono u 8 osób (3 kobiety i 5 mężczyzn w wieku od 50 do 75 lat). U 2 chorych pierwsze objawy wystąpiły pomiędzy 45 a 50 rokiem życia, u 6 zaś pomiedzy 56 a 65 rokiem. Pracowników fizycznych było 4, umysłowych 4.

W drugiej podgrupie kontrolnej stwierdzono u 18 osób chorobę wieńcową — stany po zawale i dusznicę bolesną (12 mężczyzn i 6 kobiet). U 8 chorych pierwsze objawy wystąpiły pomiędzy 35 a 50 rokiem życia, u 10 chorych choroba rozpoczęła się miedzy 51 a 70 rokiem życia. Wśród badanych było 5 pracowników fizycznych, 7 umysłowych i 6 rencistów, spośród których 2 było pracownikami fizycznymi, a 4 pracownikami umysłowymi.

Porównawcze zestawienie dotyczące choroby wieńcowej obrazuje zachorowalność w grupie byłych więźniów i w podgrupach kontrolnych (ryc. 3).



Ryc. 3. Choroba wieńcowa w grupie byłych więźniów oraz w pierwszej i drugiej podgrupie kontrolnej

3. Przewlekłe serce płucne

W grupie byłych więźniów przewlekły zespół płucno-sercowy stwierdzono u 18 osób (16 mężczyzn i 2 kobiety). Przyczyną tego zespołu u każdego chorego było przewlekłe zapalenie oskrzeli, które u wszystkich badanych rozpoczęło się już w okresie pobytu w obozie. U 4 chorych zapalenie oskrzeli było skojarzone z wyrównaną jednostronną gruźlicą włóknisto-guzkową. W grupie tej było 10 pracowników fizycznych, 3 umysłowych i 5 rencistów, spośród których 4 było pracownikami fizycznymi, a jeden — pracownikiem umysłowym.

W pierwszej podgrupie kontrolnej u 13 osób rozpoznano przewlekły zespół płucno-sercowy (10 mężczyzn i 3 kobiety). U dwóch chorych przyczyną przewlekłego serca płucnego była rozsiana obustronna gruźlica włóknista płuc, a u 11 osób przewlekłe zapalenie oskrzeli. U 3 badanych choroba rozpoczęła się pomiędzy 30 a 40 rokiem życia, u 10 pomiędzy 40 a 50 rokiem życia. Wśród chorych było 9 pracowników fizycznych i 4 umysłowych.

W drugiej podgrupie kontrolnej przewlekły zespół płucno-sercowy stwierdzono u 18 chorych (15 mężczyzn i 3 kobiet). U 2 osób choroba rozwinęła się z powodu krzemicy, u 1 z powodu rozsianej obustronnej gruźlicy włóknistej płuc, u 15 stwierdzono przewlekłe zapalenie oskrzeli, w tym u 2 chorych powikłane rozstrzeniami oskrzeli. 6 badanych zachorowało pomiędzy 30 a 40 rokiem życia, a 12 pomiędzy 41 a 50 rokiem życia.

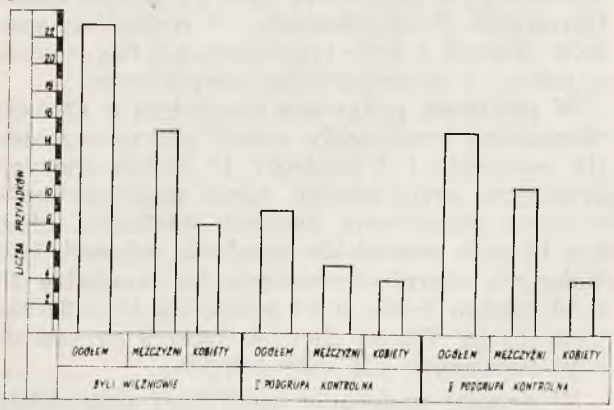
4. Choroby gośćcowe

W grupie byłych więźniów rozpoznano choroby gośćcowe u 23 osób. W tej liczbie było 7 chorych z przewlekłą chorobą reumatyczną ze zmianami w sercu w postaci wady mitralnej lub wady złożonej mitralno-aortalnej, 10 chorych na gościec mięśniowy, 2 chorych na przewlekłe postępujące zapalenie stawów, 1 chory na zesztywniające zapalenie kręgosłupa i 3 chorych na gościec zwyradniający. Wśród chorych było 15 mężczyzn i 8 kobiet. Pracowników fizycznych było 10, pracowników umysłowych 6, rencistów 7, spośród których 3 przed uzyskaniem renty pracowało fizycznie, a 4 było pracownikami umysłowymi. U 13 osób choroba rozpoczęła się pomiędzy 18 a 30 rokiem życia, u pozostałych zaś 10 osób początek choroby przypadał na okres pomiędzy 31 a 50 rokiem życia. Podczas pobytu w obozie zachorowało 15 osób.

W pierwszej podgrupie kontrolnej u 9 osób rozpoznano choroby gośćcowe (5 mężczyzn i 4 kobiety). U 3 chorych stwierdzono chorobę reumatyczną z wadą mitralną serca, u pozostałych 6 chorych gościec mięśniowy. U 3 chorych pierwsze objawy wystąpiły pomiędzy 17 a 25 rokiem życia, u pozostałych 6 osób pomiędzy 30 a 55 rokiem.

W drugiej podgrupie kontrolnej wykryto u 15 osób choroby gośćcowe (11 mężczyzn i 4 kobiety). U 4 chorych stwierdzono chorobę reumatyczną z wadą mitralną lub mitralno-aortalną, u 2 stwierdzono gościec przewlekły postępujący, u 9 chorych rozpoznano gościec mięśniowy i zapalenie korzonków nerwowych. 5 osób zachorowało pomiędzy 16 a 25 rokiem życia, a pozostałe 10 osób pomiędzy 30 a 50 rokiem. Ogólną zachorowalność w grupie by-

łych więźniów i w podgrupach kontrolnych dotyczącą chorób gośćcowych przedstawiono na ryc. 4.

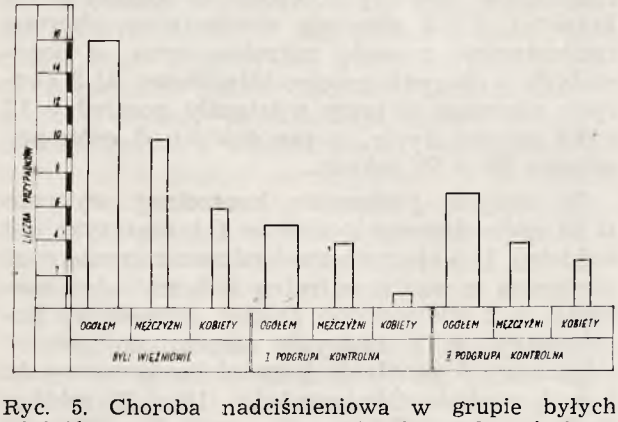


Ryc. 4. Choroby gośćcowe w grupie byłych więźniów oraz w pierwszej i drugiej podgrupie kontrolnej

5. Choroba nadciśnieniowa

W grupie byłych więźniów stwierdzono u 16 osób chorobę nadciśnieniową (10 mężczyzn i 6 kobiet). Pracowników fizycznych było 7, umysłowych 9. U wszystkich chorych było to nadciśnienie utrwalone. U 7 chorych obok nadciśnienia tętniczego stwierdzono zmiany miażdżycowe w naczyniach serca z objawami dusznicy bolesnej, u 3 chorych występowały objawy niewydolności krążenia. U 11 badanych pierwsze objawy chorobowe, które mogły odpowiadać rozwijającej się chorobie nadciśnieniowej, wystąpiły pomiędzy 23 a 35 rokiem życia, w okresie pobytu w obozie. Chorzy ci rozpoczęli leczenie z powodu nadciśnienia tętniczego w pierwszym 10-leciu po wojnie. Pozostałe 5 osób zachorowało po wojnie pomiędzy 45 a 55 rokiem życia.

W pierwszej podgrupie kontrolnej rozpoznano nadciśnienie u 5 osób (4 mężczyzn i 1 kobieta). U 4 osób nadciśnienie było w okresie chwiejnym, a u jednej osoby było utrwalone. U 3 chorych obok nadciśnienia tętniczego stwierdzono objawy dusznicy bolesnej. U 3 chorych początek choroby przypada na okres pomiędzy 40 a 50 rokiem życia, a u 2 pozostałych pomiędzy 51 a 60 rokiem życia. Wśród chorych było 2 pracowników fizycznych, 2 umysłowych i 1 rencista, były pracownik umysłowy.



Ryc. 5. Choroba nadciśnieniowa w grupie byłych więźniów oraz w pierwszej i drugiej podgrupie kontrolnej

W drugiej podgrupie kontrolnej chorobę nadciśnieniową stwierdzono u 10 osób (7 mężczyzn i 3 kobiety). Pracowników fizycznych było 3, umysłowych 4 oraz 3 rencistów, byłych pracowników umysłowych. U wszystkich chorych nadciśnienie było utrwalone i skojarzone z objawami miażdżycy naczyń serca lub mózgu. Początek choroby u wszystkich badanych przypadał na okres pomiędzy 45 a 60 rokiem życia. Porównawcze zestawienie dotyczące choroby nadciśnieniowej w grupie byłych więźniów i w podgrupach kontrolnych przedstawiono na ryc. 5.

6. Choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy

W grupie byłych więźniów stwierdzono u 8 osób chorobę wrzodową (6 mężczyzn i 2 kobiety). U 2 chorych była to choroba wrzodowa żołądka, a u 6 osób choroba wrzodowa dwunastnicy. Czynną chorobę z niszą wrzodową stwierdzono u 5 osób, u pozostałych 3 osób obok charakterystycznego wywiadu i objawów fizykalnych stwierdzono zmiany powrzodowe w postaci zniekształcenia opuszki dwunastnicy. Wśród badanych było 4 pracowników fizycznych i 4 umysłowych. U 5 badanych choroba rozpoczęła się między 25 a 35 rokiem życia, u 3 osób między 36 a 45 rokiem życia.

W pierwszej podgrupie kontrolnej chorobę wrzodową stwierdzono u 5 badanych (4 mężczyzn i 1 kobiety). U jednego badanego była to choroba wrzodowa żołądka, u 4 osób choroba wrzodowa dwunastnicy. U jednego chorego stwierdzono niszę wrzodową w opuszce dwunastnicy i u jednego w żołądku, natomiast u 3 chorych istniały zmiany powrzodowe w postaci zniekształcenia opuszki dwunastnicy. U wszystkich chorych początek choroby przypadał na okres pomiędzy 30 a 45 rokiem życia, pracowników fizycznych było 3, umysłowych 2.

W drugiej podgrupie kontrolnej u 10 osób rozpoznano chorobę wrzodową (8 mężczyzn i 2 kobiety). Pracowników umysłowych było 6, fizycznych 4. U wszystkich badanych choroba rozpoczęła się pomiędzy 30 a 50 rokiem życia. U 6 osób choroba była czynna, u tych osób stwierdzono niszę wrzodową w żołądku lub w dwunastnicy. Wśród ogólnej liczby 10 chorych z chorobą wrzodową u 9 osób zmiany chorobowe dotyczyły dwunastnicy, a u 1 osoby dotyczyły żołądka.

Obok przedstawionych jednostek i zespołów chorobowych, które z uwagi na częstość występowania poddane zostały dokładniejszej ocenie klinicznej, w grupie byłych więźniów stwierdzono u nielicznych osób przewlekłe zapalenie pęcherza moczowego, przewlekłe odmiedniczkowe zapalenie nerek i kłębuszków nerkowych, łagodne stwardnienie nerek, cukrzycę, kiłę późną, alkoholizm, niedokrwistość niedobarwliwą i wysiękowe zapalenie opłucnej. Choroby te, występujące u niektórych osób, nie były oceniane statystycznie.

Wszyscy byli więźniowie przebyli leczenie szpitalne, a następnie zostali skierowani do odpowiednich poradni specjalistycznych, 27 skierowano do uzdrowisk celem rehabilitacji poszpitalnej.

Następujące jednostki i zespoły chorobowe: astenia przewlekła, choroby gośćcowe, choroba nadciśnieniowa, choroba wieńcowa, przewlekłe serce płucne oraz choroby przewodu pokarmowego i dróg żółciowych jako najczęściej występujące w grupie byłych więźniów zostały poddane ocenie statystycznej.

Jako wzorca porównawczego użyto dwóch podgrup kontrolnych.

Celem analizy statystycznej było uzyskanie odpowiedzi na pytanie, czy różnice odsetkowe między poszczególnymi chorobami są statystycznie istotne, to znaczy, czy różnice te są wystarczająco duże, aby można było uznać, że są rzeczywiste, a nie przypadkowe. W celu rozstrzygnięcia tego zagadnienia został obliczony błąd standardowy różnicy między dwiema częstościami względnymi z próby. Obliczenie to przeprowadzono za pomocą wzoru *

$$\sqrt{\frac{p \cdot q}{n_1} + \frac{p \cdot q}{n_2}}$$

gdzie: p – jest odsetkiem osób pewnej kategorii w całej zbiorowości generalnej,
q – jest odsetkiem pozostałych osób,
n – jest liczbą osób w próbie.

Ponieważ w warunkach przeprowadzonych badań wartość p była nieznana, obliczając błąd standardowy zastąpiono ją wartością obliczoną z badanych grup. W tym celu znaleziono błąd standardowy dla każdego odsetka z grupy z osobna, a następnie obliczono błąd standardowy różnicy, którym był pierwiastek kwadratowy sumy kwadratów dwóch błędów standardowych dla wartości z każdej próby z osobna. Za wartość statystycznie istotną uznano taką różnicę odsetkową, która dwukrotnie przewyższa błąd standardowy różnicy.

Uzyskane wyniki oceny statystycznej przedstawiono w tab. V.

Tabela V

Ocena statystyczna różnic wartości odsetkowych wyrażających najczęstsze zmiany chorobowe w grupie byłych więźniów i podgrupach kontrolnych

	Psychonerwice i nerwice narządowe	Choroby przewodu pokarmowego i dróg żółciowych	Przewlekłe serce płucne i choroby dróg oddechowych	Choroba wieńcowa	Choroba nadciśnieniowa	Choroby gośćcowe
Grupa byłych więźniów	41,6	22,1	23,4	22,1	20,8	29,9
Pierwsza grupa kontrolna	24,7	13,0	16,9	10,4	6,5	11,7
Różnica	16,9	9,1	6,5	11,7	14,3	18,2
Błąd standardowy różnicy	7,4	6,1	6,4	5,9	5,4	6,4
Istotność statystyczna *	+	—	—	≈	+	+
Grupa byłych więźniów	41,6	22,1	23,4	22,1	20,8	29,9
Druga podgrupa kontrolna	22,1	28,6	23,4	23,4	13,3	19,5
Różnica	19,5	6,5	0	1,3	7,8	10,4
Błąd standardowy (różnica)	7,3	7,1	0	6,7	6,1	6,9
Istotność statystyczna (różnica)	+	—	0	—	—	—

* Znakiem + oznaczono istotność statystyczną różnicy
„ — oznaczono nieistotność statystyczną różnicy
„ ≈ oznaczono zbliżenie do granicy istotności statystycznej

Dyskusja i wnioski

Dokładna diagnostyka oparta o wszystkie możliwości badań w Szpitalu, poparta dłuższą obserwacją szpitalną oraz przez odpowiednie leczenie stwierdzonych zmian chorobowych, to był główny cel pracy. Porównawczy układ badań przewidywał również zastosowanie uzyskanych wyników jako podstawy do próby znalezienia odpowiedzi na pytanie, czy pobyt w obozie mógł wpłynąć na powstanie i rozwój aktualnie stwierdzonych chorób i zespołów chorobowych.

Aby odpowiedzieć na to pytanie, równocześnie z badaniami byłych więźniów przeprowadzono badania w podgrupach kontrolnych, które dotyczyły osób odpowiadających podstawowym kryteriom umożliwiającym przeprowadzenie porównań w zakresie zachorowalności.

Wydaje się, że wprowadzenie do modelu badań dwóch podgrup kontrolnych o różnym przekroju chorób i różnej ich dynamice klinicznej jest słuszne, stwarza bowiem możliwość szerszego porównania i oceny stwierdzonych zmian chorobowych.

Badania wykazały większą zachorowalność wśród byłych więźniów obozów, aniżeli wśród badanych w pierwszej podgrupie kontrolnej. Ogółem zachorowalność byłych więźniów wynosiła 100%, natomiast ogólna zachorowalność w pierwszej podgrupie kontrolnej wynosiła 74%. Różnica 26% jest statystycznie istotna. Biorąc pod uwagę, że obie grupy badanych były identyczne pod względem płci, wieku i zawodu oraz wykazywały zbliżone warunki bytowania, fakt istnienia wyraźnej różnicy zachorowalności można tłumaczyć przede wszystkim pobytem w obozie. Ta okoliczność mogła stworzyć istotny, dodatkowy zespół czynników patogennych w grupie byłych więźniów, który nie znajduje równoważnika w pierwszej podgrupie kontrolnej.

* *Bradford Hill:* Statystyka dla lekarzy. PWN, Warszawa 1961, str. 137—141.

Można by więc przyjąć, że pobyt w obozie, bardzo ciężkie warunki życia obozowego, głód, przebyte wówczas choroby i doznane urazy psychiczne i somatyczne stwarzają dyspozycję do większej zachorowalności. Wykazano, że różnica w zachorowalności pomiędzy grupą byłych więźniów a pierwszą podgrupą kontrolną jest znacznie większa niż różnica wynikająca z analogicznego porównania grupy byłych więźniów z drugą podgrupą kontrolną.

Jeżeli przy tym porównaniu weźmiemy pod uwagę, że badani należący do pierwszej podgrupy kontrolnej zostali wybrani losowo z różnych środowisk, że w podgrupie tej nie wszyscy badani wykazywali zmiany chorobowe i że wreszcie chorzy z tej podgrupy w większości kwalifikowali się tylko do leczenia ambulatoryjnego, to można przyjąć, że podgrupa ta w przybliżeniu reprezentuje przeciętny stan chorobowy w danych grupach wieku.

Można również przyjąć, że badani należący do drugiej podgrupy kontrolnej, losowo wybrani spośród chorych leczonych w Szpitalu, to ludzie w większości ciężko chorzy. Sam bowiem fakt przyjęcia do szpitala — w naszych warunkach — większości chorych świadczy o poważnym ich stanie.

Jeżeli w tym dwustronnym porównaniu uwzględnimy, że pozycja grupy byłych więźniów dotycząca zarówno ogólnej zachorowalności, jak i nasilenia zmian chorobowych znajduje się bliżej drugiej podgrupy kontrolnej, to należy również przyjąć, że ludzie, którzy przebywali w obozach koncentracyjnych, stanowią zbiorowość wykazującą znacznie większą zachorowalność niż przeciętna zachorowalność odnosząca się do danych grup wieku.

Analiza zachorowalności wykazała również, że w grupie byłych więźniów obozów najliczniej występują: astenia przewlekła, choroby gośćcowe, przewlekły zespół płucno-sercowy, choroba wieńcowa i choroba nadciśnieniowa.

W grupie tej wymienione choroby są znacznie częstsze niż w pierwszej podgrupie kontrolnej (patrz tab. V). Występujące pomiędzy tymi grupami różnice dotyczące ogólnej zachorowalności na choroby gośćcowe i chorobę nadciśnieniową są statystycznie istotne. Różnica między astenią przewlekłą a konfrontowanymi z tym zespołem psychonerwicami i nerwicami narządowymi jest również statystycznie istotna. Różnica zachorowalności dotycząca choroby wieńcowej jest bliska granicy istotności statystycznej.

Wykazano również, że w grupie byłych więźniów duży odsetek stanowią chorzy należący do najmłodszej grupy wieku, tj. 40 do 50 lat. Szczególnie jest to wyraźne w odniesieniu do chorób gośćcowych, przewlekłej astenii i choroby nadciśnieniowej. W tej grupie wieku wśród byłych więźniów choroby gośćcowe stanowią bowiem 47%, astenia 42%, a choroba nadciśnieniowa 37% ogólnej liczby chorych.

Różnice w zachorowalności na choroby gośćcowe i chorobę nadciśnieniową w najmłodszej grupie wieku 40—50 lat, między grupą byłych więźniów a pierwszą podgrupą kontrolną wprawdzie w ocenie statystycznej nie są istotne, to jednak zbliżają się do granicy istotności statystycznej.

Fakt wcześniejszego rozwoju zmian chorobowych w grupie byłych więźniów może być tłumaczony wpływem szczególnie szkodliwym dla zdrowia czynników występujących w warunkach życia obozowego.

Natomiast inaczej kształtowały się różnice w zachorowalności między grupą byłych więźniów a drugą podgrupą kontrolną (patrz tab. V).

Najczęstszym zespołem chorobowym w grupie byłych więźniów była przewlekła postępująca astenia. Zespół ten stwierdzono u badanych w 41%. Natomiast w drugiej podgrupie kontrolnej psychonerwice i nerwice narządowe, które konfrontowano z astenią, stwierdzono tylko w 22% ogółu badanych. Liczba chorych na przewlekłą postępującą astenię w grupie byłych więźniów była więc prawie dwukrotnie większa niż liczba psychonerwic i nerwic narządowych w drugiej podgrupie kontrolnej. Różnica ta ma cechy istotności statystycznej. Tę bardzo dużą różnicę częściowo może tłumaczyć okoliczność, że chorzy z drugiej podgrupy kontrolnej, to przede wszystkim ludzie cierpiący na choroby somatyczne, na co wskazuje ich pobyt na oddziale chorób wewnętrznych i na oddziale chirurgicznym.

Prócz dużej różnicy w zachorowalności, wynikającej z porównania astenii z psychonerwicami i nerwicami narządowymi, w pozostałych zespołach i jednostkach chorobowych, które poddano ocenie porównawczej, różnice nie są tak duże. W grupie byłych więźniów stwierdzono więcej osób z chorobą nadciśnieniową i chorobami gośćcowymi. Natomiast w drugiej podgrupie kontrolnej stwierdzono więcej chorób z chorobą wieńcową. Zespół płucnosercowy przewlekły był jednakowo reprezentowany w obu grupach klinicznych. Fakt, że porównanie zachorowalności grupy byłych więźniów z grupą ciężko chorych leczonych w szpitalu nie wykazuje różnic statystycznie istotnych, świadczy o dużej zachorowalności ludzi, którzy przebywali w obozach koncentracyjnych.

Reasumując uzyskane wyniki, można wysnuć następujące wnioski: 1. Byli więźniowie obozów w znacznej większości wykazują poważne zmiany chorobowe wymagające stałego lub okresowego leczenia. 2. Najbardziej znamienne dla byłych więźniów są: przewlekła postępująca astenia, choroby gośćcowe i choroba nadciśnieniowa. 3. U byłych więźniów zachorowalność pojawia się wcześniej niż u ludzi, którzy nie przebywali w obozach. 4. W orzecznictwie rentowym winny być brane pod uwagę pewne odrębności w patologii byłych więźniów, a zwłaszcza wcześniejsza przeciętna zachorowalność i szybciej postępujący proces starzenia się. 5. Pobyt w obozie wpłynął niewątpliwie na częstszą i wcześniej rozwijającą się zachorowalność wśród byłych więźniów obozów koncentracyjnych.

JULIAN GĄTARSKI, MARIA ORWID, MAŁGORZATA DOMINIK Kraków

Wyniki badania psychiatrycznego i elektroencefalograficznego 130 byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. *Spett*)

Przedstawione wyniki [1] są dalszym ciągiem prowadzonej od lat dziesięciu przez pracowników Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie analizy psychopatologicznej stanu psychicznego byłych więźniów obozu Oświęcim-Brzezinka. W przeciwieństwie do uprzednio zbadanej 100-osobowej grupy (9, 13, 19, 20), której skład był przypadkowy, wszyscy obecnie badani są ofiarami różnego rodzaju zbrodniczych eksperymentów pseudomedycznych w obozie.

W latach 1966—1968 zbadano 91 mężczyzn 42—68-letnich (przeciętna wieku 53,2 roku) i 39 kobiet 41—69-letnich (przeciętna 53,7 roku). Wykształcenie podstawowe w czasie badania miały 23 osoby, średnie 63, wyższe 44. Stan cywilny: 104 pozostających w związku małżeńskim, 8 wolnych, 11 wdowców i 5 osób rozwiedzionych. Średni wiek w chwili uwięzienia wynosił u kobiet 27,2 roku, u mężczyzn 20,4 roku. Okres pobytu w obozie wynosił średnio 3,2 roku u kobiet oraz 3 lata u mężczyzn. Mężczyźni byli izolowani przeważnie 4—4,5 roku; średnia okresu uwięzienia jest niższa, ponieważ wśród nich było kilka wcześniejszych zwolnień z obozu.

Fakt stosowania eksperymentów był dla badanych silnym stressem, powodującym dodatkowe załamanie psychiczne i fizyczne. Podobne spostrzeżenia podali *Dąbrowski* i współautorzy (1).

Badaniem psychiatrycznym w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie stwierdzono zespół psychoorganiczny u 59 mężczyzn i 28 kobiet, zespół depresyjny u 41 mężczyzn i 32 kobiet oraz zmiany osobowości i trudności przystosowania u 82 mężczyzn i 32 kobiet. Prawie wszyscy badani wykazywali więcej niż jeden zespół zaburzeń psychopatologicznych lub socjalnych. Każda badana osoba wykazywała przynajmniej jedno z wymienionych zaburzeń.

Byli więźniowie — zaliczeni do grupy pierwszej — przedstawiają różnorodny zakres zaburzeń określanych jako psychoorganiczne. Zaburzenia te w polskim piśmiennictwie opisał *Szymusik* (19), a także *Półtawska* i współautorzy (14). Na pierwszy plan wysuwały się zaburzenia afektywno-popędowe w postaci impulsywności, drażliwości, chwiejności afektywnej, stanów dysforii, zaburzeń pamięci i koncentracji uwagi, powodujących duże trudności w pracy i nauce.

Wiele osób spośród badanych ujawnia krótkotrwałe stany zaburzeń świadomości, trwające przeważnie kilka sekund. Często występuje u nich szybkie wyczerpywanie się oraz zespoły przedwczesnego starzenia się, zwłaszcza u osób młodo uwięzionych. Wszyscy w tej grupie skarżyli się na ogólne złe samopoczucie, na dolegliwości w postaci bólów i zawrotów głowy, szumu w uszach, zaburzeń równowagi, osłabienia słuchu i wzroku oraz na uczucie trwałego zmęczenia.

Przez depresję (grupa druga) rozumiano objawy od powierzchownych zaburzeń nerwicowych do głębokich przewlekłych zespołów depresyjno-lękowych. Zespoły te wyrażały się obniżeniem nastroju, poczuciem zbędności, niewydolności i niepewności, niemożnością planowania przyszłości i sięganiem pamięcią przede wszystkim do dramatycznych przeżyć okresu obozowego. Zespoły depresyjne często są hiperkompensowane nadmierną aktywnością, wesołością i łatwo przechodzą w dekompensację depresyjną. Szczególnie wyraźnie zarysowuje się ten objaw w grupie badanych kobiet.

Zespołom depresyjnym towarzyszy stałe uczucie leku. Za *Kępińskim* (6) można przyjąć, że u ludzi tych niebezpieczeństwo konkretne (z okresu obozu) zostało zastąpione abstrakcyjnym. Przeżywanie tych lęków jest różne, od ogólnego poczucia zagrożenia i przeświadczenia, że coś złego się stanie, przez reakcje lękowe występujące nawet w niezbyt trudnych sytuacjach życiowych, aż do leku przed wszystkim, co w najdalszej asocjacji może przypominać obóz (mundur, szpital, każda postać przemocy, tłum, krzyk).

Obserwowane przez nas zespoły psychopatologiczne są zgodne z opisanymi przez *Szymusika* (19). Potwierdzamy również jego wniosek o pewnym podobieństwie obrazów chorobowych występujących u byłych więźniów.

W grupie trzeciej, obejmującej zmiany osobowości i trudności przystosowania, znalazła się najliczniejsza część badanych (82 mężczyzn i 32 kobiety). Ich sylwetki przedobozowe

[1] Praca jest częścią zespołowego, przeprowadzonego w Klinice Chorób Zakaźnych AM w Krakowie wielospecjalistycznego badania tych byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki, którzy zostali poddani zbrodniczym eksperymentom pseudomedycznym. Badania te prowadzą prof. dr Władysław *Fejkiel* i dr Maria *Nowak-Gołąbowa*.

przedstawiają się na ogół jednolicie. Przeważnie byli to ludzie aktywni, energiczni, towarzyscy, o wyraźnie zarysowanej postawie ideowo-moralnej. Można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że te cechy predestynowały ich do aktywnego udziału w ruchu oporu, a także były jednym z elementów ułatwiających przetrwanie obozu, co zgodne jest także z wnioskami *Teutscha* (20). Wynika stąd zaskakująca może w pierwszej chwili jednolitość przedobozowych sylwetek psychicznych badanej grupy, zauważona także przez *Dąbrowskiego* (1).

Porównując przeżycie obozu do następstw psychozy, *Kępiński* (5) stwierdza, że byli więźniowie stali się innymi ludźmi po izolacji w obozie. Również *Venzlaff* (22) doszedł do wniosku, że przeżycia mogą spowodować trwałe, nieodwracalne zmiany osobowości.

W obrazie poobozowych zmian osobowości na plan pierwszy wysuwają się takie cechy, jak zmiana podstawowego nastroju w kierunku depresyjnym, utrata zaufania do ludzi, podejrzliwość, drażliwość, wybuchowość, trudności w kontaktach międzyludzkich, nierzadko przyjmowanie postawy posłanniczej. *Leśniak* pierwszy w polskim piśmiennictwie wyróżnił trzy zasadnicze kierunki zmian osobowości byłych więźniów: „przygnębienie", „nieufność" i „wybuchowość". Autor ten, porównując również zmiany osobowości poobozowe do zmian osobowości występujących w następstwie niektórych chorób psychicznych, formułuje „pytanie, czy opisane trzy rodzaje zmian osobowości nie stanowią zasadniczych kierunków, po których toczy się dalszy bieg życia ludzkiego" po przeżyciach przekraczających często „skalę ludzkich możliwości" (9).

Sytuację, w której znaleźli się byli więźniowie po wyzwoleniu, można porównać do opisywanych przez *Kroebera* (8) osób zmuszanych budować na nowo lub odtwarzać własny model życia („przystosowanie na nowo" w ujęciu *Kroebera*) oraz wytwarzać nowe grupy odniesienia (*Merton*, 11).

Okazało się, że badani przez nas byli więźniowie żyją przeważnie w kręgu wartości z okresu obozu, który stał się dla nich głównym zakresem odniesień dla ocen ludzi, zdarzeń, hierachii wartości. Przeważnie nie potrafili oni wytworzyć nowych zakresów odniesienia w swoim zwykłym, codziennym środowisku. Czują się oni wyobcowani wśród ludzi nie znających obozu, niezrozumieni, czują się inni, nieadekwatni, śmieszni, niepotrzebni, czasem wykazują postawę wyższości, czasem niższości wobec otoczenia. Zakresem odniesień dla byłych więźniów stał się zamknięty okres w życiu: pobyt w obozie (*Orwid*, 13).

Większość spośród badanych cechuje bardzo silne poczucie więzi z byłymi kolegami z obozu; są to często ludzie dla nich najbliżsi i tylko wśród nich czują się swobodnie. Pewna część badanych unika jednak towarzystwa kolegów z obozu, boi się wspomnień obozowych, gdyż te nasilają lęk, poczucie zagrożenia lub dolegliwości somatyczne. Natomiast nie spotkaliśmy osób wykazujących obojętność w stosunku do byłych kolegów obozowych.

Wszyscy badani mieli lub mają lękowe sny o treści obozowej.

U byłych więźniów zbadanych w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie jeszcze raz potwierdziła się hipoteza (13, 20), że adaptacja poobozowa jest ogólnie gorsza niż adaptacja w obozie w warunkach najsilniejszego stressu bio-psychologicznego. Wydaje się to zrozumiałe, ponieważ badaną grupę stanowią ludzie, którzy w okresie uwięzienia w obozie byli zmuszeni do najwyższej mobilizacji swoich sił życiowych. Zjawiska psychopatologiczne i socjalne obecnie obserwowane u nich są spuścizną tej właśnie mobilizacji, którą spowodowały skrajnie trudne warunki, przekraczające możliwość przetrwania niemal ogółu uwięzionych w obozach.

*

U tych samych 130 osób wykonano również badania elektroencefalograficzne, które przeprowadzono za pomocą 15-kanałowego aparatu firmy Alvar. Stosowano odprowadzenia dwubiegunowe powierzchniowe, jednobiegunowe oraz triangulacyjne z tzw. trójkątów głębokich. Próby aktywacji wykonano we wszystkich przypadkach za pomocą trzyminutowej hiperwentylacji i trzyminutowego działania błyskami świetlnymi (stroboskop). Zwracano również uwagę na reakcję zatrzymania i rytm wodzenia.

Wyniki uzyskane z badań elektroencefalograficznych podzielono na zapisy w granicy normy, zapisy płaskie i zapisy patologiczne. Zapisy płaskie ze względu na trudności interpretacji z powodu braku danych anamnestycznych zaliczono do grupy zapisów normalnych. Zapisy patologiczne podzielono na trzy grupy: zapisy patologiczne uogólnione, zapisy patologiczne ogniskowe i zapisy patologiczne z napadowymi wyładowaniami.

Tabela I

Wyniki badań elektroencefalograficznych

Zapisy eeg	Mężczyźni		Kobiety	
	Liczba	Odsetek	Liczba	Odsetek
normalne	43	47,2%	23	58,9%
patologiczne	48	52,8%	16	41,1%
Razem	91	100%	39	100%

Tabela II

Rodzaje zapisów elektroencefalograficznych

Zapisy elektroencefalograficzne	Mężczyźni		Kobiety	
	Liczba	Odsetek	Liczba	Odsetek
w granicy normy	26	28,7%	11	28,2%
płaskie	17	18,8%	12	30,7%
patologiczne				
a) uogólnione	25	27,4%	6	15,4%
b) ogniskowe	13	14,2%	4	10,3%
c) napadowe	10	10,9%	6	15,4%
Razem	91	100%	39	100%

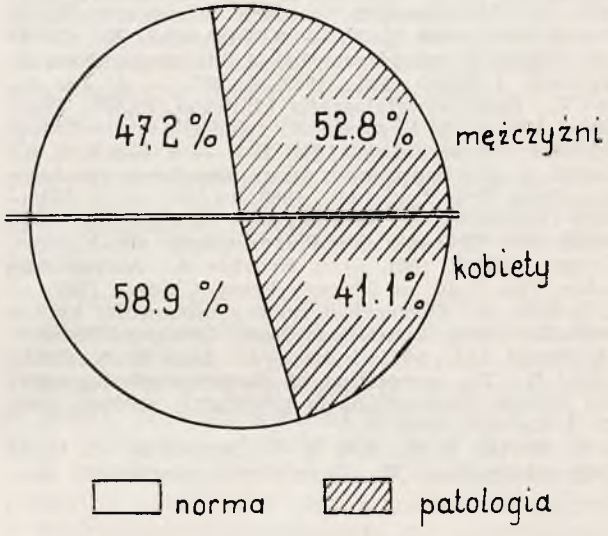
W tabeli I przedstawiono stosunek ogólnej liczby zapisów normalnych do patologicznych. Zapisów eeg określonych jako będące w granicy normy stwierdzono u 43 mężczyzn (47,2%), w tym zapisów płaskich 17; u kobiet zapisy w granicach normy stwierdzono 23 razy (58,9%), w tym zapisów płaskich 12. Zapisów patologicznych u mężczyzn stwierdzono 48 (52,8%), u kobiet 16 (41,1%).

W tabeli II przedstawiono ilościowy i odsetkowy stosunek zapisów normalnych do patologicznych z rozbiciem cech patologicznych na zmiany uogólnione, ogniskowe i napadowe. Zapisów patologicznych o cechach patologii uogólnionej pod postacią rozrzuconych elementów wolnych (fal theta i fal delta) stwierdzono u mężczyzn 25 (27,4%), u kobiet 6 (15,4%); cechy patologii ogniskowej pod postacią zlokalizowanych ogniskowo elementów wolnych fal ostrych jednofazowych i dwufazowych u mężczyzn znaleziono u 13 badanych (14,2%), u kobiet 4 (10,3%); cechy napadowych wyładowań pod postacią fal ostrych, jednofazowych i dwufazowych, elementów wolnych lub zespołów iglica-fala stwierdzono u mężczyzn 10 (10,9%), u kobiet 6 (15,4%).

Warto podkreślić fakt, że w grupie osób, u których badaniem psychiatrycznym stwierdzono zespół psychoorganiczny, duży odsetek cech patologicznych wykazano również w zapisie bioelektrycznym. W tej grupie u mężczyzn cechy patologiczne w badaniach eeg stwierdzono w 78,5%, u kobiet w 71,9%. Zmiany patologiczne miały przede wszystkim charakter rozlany. Stwierdzono przy tym przewagę lewostronnego umiejscowienia zmian ogniskowych. W grupie tej po hiperwentylacji u 9 badanych wystąpiło nasilenie się czynności wolnej. Stroboskop u 7 badanych powodował nasilenie się lub wręcz wywołanie napadowych wyładowań. Reakcja zatrzymania w tej grupie u 32 badanych była nieobecna. „Wodzenia" nie obserwowano w tej grupie u 26 badanych. Może to świadczyć o obniżonej reaktywności kory na bodźce zmysłowe.

Z wysnuwaniem wniosków w zakresie badań elektroencefalograficznych dotyczących zbadanych 130 byłych więźniów musi się wiązać duża ostrożność. Trudności polegają na tym, że grupa ta składała się w wiekszości z osób starszych. *Obrist* i *Henry* (12), badajac ludzi w podeszłym wieku, stwierdzili patologię w zapisach eeg w 91%, *Silvermann* (18) w 78%, a *Barnes* (wg 18) w 65%. *Jankowski* (3) wykazał wyraźną zależność między częstością występowania patologii w eeg a podeszłym wiekiem badanych. Poza tym, jak podaje *Jus* (4), na obraz eeg mają wpływ nie tylko przebyte urazy lub inne zaburzenia ośrodkowego układu nerwowego, lecz także zaburzenia internistyczne, jak choroby trzustki, tarczycy, kory nadnerczy, obniżenie lub zwiększenie przemiany spoczynkowej, zaburzenie równowagi kwasowo-zasadowej, kationowej bądź wodnej lub poziomu cukru we krwi, często spotykane właśnie u ludzi starszych.

Badania elektroencefalograficzne pokrywają się z doniesieniami *Luce, Rothschilda* i *Barnesa* (10), którzy stwierdzili, że u osób starszych ze zmianami organicznymi częste zmiany w eeg występują pod postacią zespołów ogniskowych. W naszym materiale — podobnie jak w doniesieniach *Silvermanna* i współautorów (18) — zdecydowaną przewagę zmian ogniskowych znajdowaliśmy w okolicy skroniowej po stronie lewej.



Ryc. 1. Odsetek patologicznych zapisów elektroencefalograficznych w badanej grupie byłych więźniów (według płci)

Na ryc. 1 przedstawiono, że częściej spotykaliśmy cechy patologiczne w zapisach eeg u mężczyzn niż u kobiet.

Badania elektroencefalograficzne byłych więźniów obozów hitlerowskich były już wykonywane w innych krajach oraz w Polsce. *Deutschova* (7) zbadała 319 byłych więźniów obozów koncentracyjnych i w 60% stwierdziła patologiczne zapisy eeg. *Raveau* (15) znalazł 80% rozlanych cech patologicznych w obrazie eeg. *Rogan* (16), badając 96 byłych więźniów obozów koncentracyjnych, stwierdził u 14 cechy ogniskowe, u 5 cechy napadowe, u 8 zaś rozrzucone elementy wolne pod postacią fal theta. *Schulte* (17) opisał zmiany elektroencefalograficzne będące wynikiem przebytej choroby głodowej u byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Również *Thygesen* i współautorzy (21) przypisywali duże znaczenie przebytej chorobie głodowej w etiologii późniejszych zmian organicznych u byłych więźniów obozów koncentracyjnych. W Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie, przeprowadzając badania elektroencefalograficzne 44 osób izolowanych w dzieciństwie lub urodzonych w obozach koncentracyjnych, stwierdzono w 61,4% wyraźne cechy patologiczne w zapisie eeg (2).

Wśród spostrzeżeń dotyczących badania elektroencefalograficznego omawianej 130-osobowej grupy wysuwa się na plan pierwszy duży odsetek cech patologicznych w zapisach eeg, wyraźna zbieżność patologii eeg ze zbadaną psychiatrycznie grupą, u której stwierdzono

objawy zespołów organicznych oraz większy odsetek cech patologicznych u mężczyzn niż u kobiet.

PIŚMIENNICTWO

1. *Dąbrowski* S., *Schrammowa* H., *Żakowska-Dąbrowska* T.: Trwałe zmiany psychiczne powstałe w wyniku pobytu w obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1965, 1, 31. — 2. *Gątarski* J.: Badania elektroencefalograficzne u osób urodzonych lub przebywających w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, 1, 37. — 3. *Jankowski* K.: Obraz eeg otępienia miażdżycowego i starczego. Neurol., Neuroch. i Psych. Pol., 1959, 6, 827. — 4. *Jus* A., *Jus* K.: Elektroencefalografia kliniczna. PZWL, Warszawa 1967. — 5. *Kepiński A.*: Oświęcimskie refleksje psychiatry. Przegl. Lek., 1964, 1, 7. — 6. *Kępiński* A.: Uwagi o psychopatologii leku: zasadnicze postawy uczuciowe. Pol. Tyg. Lek., 1966, 10, 366. — 7. *Klimkova-Deutschova* E.: Neurologische Beiträge zur Diagnostik und Therapie der Folgezustände des Krieges. Kongr. Lüttich, 1961. — 8. *Kroeber* A.: Antropology today. The Univ. of Chicago Press, Chicago 1957 — 9. *Leśniak* R.: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1965, 1, 13. — 10. *Luce* R. A., *Rothschild* D.: The correlation of electroencephalographie and clinical observations in psychiatric patients over 65. J. Geront., 1954, 8.

11. *Merton* R. K., *Kitt A.* S.: Przyczynki do teorii grup odniesienia. W: Zagadnienia psychologii społecznej. Wybór i opracowanie A. *Malewskiego*. PWN, Warszawa 1965, 124—150. — 12. *Orbist* W. D., *Henry* Ch. E.: Electroencephalographic findings aged psychiatric patients. J. Nerv. Ment. Dis., 1958, 126, 3. — 13. *Orwid M.*: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, 1, 17. — 14. *Półtawska* W., *Jakubik* A., *Sarnecki* J., *Gątarski* J.: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, 1, 21. — 15. *Raveau* F.: A neuropsychiatric study of former deportees (Dokument D-35). Kongr. Den Hag, 1961. — 16. *Rogan* B.: Examination of Norwegian ex-concentration-camp prisoners. VI Social and vocationel aspects in ex-concentration-camp prisoners (Dokument D-21). Kongr. Den Hag, 1961. — 17. *Schulte* W.: Hirnorganische Dauernschäden nach schwerer Dystrophie. Berlin 1953. — 18. *Silvermann* A. J., *Busse* E. W., *Barnes* R. H.: Electroencephalographie findings in 400 elderly subjects. EEG Clinic. Neurophys., 1955, 1. — 19. *Szymusik* A.: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1964, 1, 23. — 20. *Teutsch A.*: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stressu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. (Maszynopis pracy doktorskiej). Skrót w: Przegl. Lek., 1964, 1. 12.

21. *Thygesen* P., *Kielar* J.: Mental deterioration. Famine disease in german concentration camps. Complications and sequels. Ejnar Munksgaard. Copenhagen 1952. — 22. *Venzlaff* H. (cyt. wg 9): Die psychoreaktiven Störungen nach entschädigungspflichtigen Erreignissen. Springer Verlag, Berlin 1958.

ANTONI KACZYŃSKI

Kraków

Gościec u więźniów obozów koncentracyjnych w obrazie ówczesnym i aktualnym

(Z Miejskiej Poradni Reumatologicznej w Krakowie.
Kierownik: Dr med. A. *Kaczyński*)

Choroby gośćcowe należą do głównych dolegliwości stwierdzanych u byłych więźniów obozów hitlerowskich. Do powstawania różnych postaci gośćca przyczyniały się fatalne warunki bytowania obozowego: wilgoć, zimno, ciasnota pomieszczeń, nieodpowiednie ubranie, łatwość przenoszenia zakażeń, niedożywienie i głód, ciężka praca fizyczna, ciągły strach, niepewność jutra, a więc urazy fizyczne i psychiczne.

W dostępnych dotychczasowych sprawozdaniach o stanie zdrowia byłych więźniów obozów hitlerowskich, omawiając sumarycznie wszelkie choroby u nich stwierdzane, ograniczano się w wypadku gośćca tylko do informacji liczbowych, bez bliższego zróżnicowania postaci tej choroby. Warto więc podjąć próbę wyodrębnienia poszczególnych najważniejszych chorób gośćcowych stwierdzanych u byłych więźniów obozowych, wyłącznie u tych, u których stanowiły one zaburzenia pierwszoplanowe.

Takie ujęcie zagadnienia jest o tyle ważne, że poszczególne rodzaje gośćca w różnym stopniu wpływają na ustrój ludzki, a przede wszystkim w różny sposób objawiają się ich następstwa w odległych latach poobozowych.

Pracując nieprzerwanie w Miejskiej Poradni Reumatologicznej Krakowa od czerwca 1945 roku, a więc z górą w ciągu 22 lat, miałem możność przejrzeć karty chorobowe byłych więźniów, którzy z racji chorób narządu ruchu zostali w niej zarejestrowani. Wstępna analiza pozwala na krótkie ujęcie omawianego zagadnienia.

Artykuł dotyczy 75 byłych więźniów i więźniarek. Osoby te w pierwszych latach powojennych lub w okresie późniejszym były skierowane do Poradni Reumatologicznej z rozpoznaniem gośćca. Podstawą opracowania są szczegółowo prowadzone karty choroby, dawne i obecne wyniki badań dodatkowych, a u tych chorych, którzy przez dłuższy czas nie zgłaszali się do Poradni, ich badania katamnestyczne.

Wśród 75 byłych więźniów było 42 mężczyzn i 33 kobiety. Mężczyźni liczyli 44—79 lat życia (przeważnie 50—60 lat), kobiety zaś 42—75 lat (przeważnie 50—63 lat). Wiek tych chorych był w czasie pobytu w obozach niższy przeciet-

nie o 15—20 lat. Są to byli więźniowie przeważnie z obozu w Oświęcimiu, mniej liczni przebywali w obozach w Płaszowie, w Mauthausen, w Dachau i w Ravensbrück.

Można wydzielić 5 zasadniczych postaci choroby gośćcowej, na jakie zapadali badani więźniowie. Są to choroba reumatyczna, przewlekły postępujący gościec stawowy, zesztywniające zapalenie kręgosłupa, gościec zwyradniający, gościec mięśniowo-ścięgnisty. Każda z tych grup jest omówiona oddzielnie, z uwzględnieniem liczby chorych w każdej grupie w warunkach obozowych i odległych.

Choroba reumatyczna *(Morbus rheumaticus)*

Jest to cierpienie przebiegające z gorączką, ze skłonnością do nawrotów i obostrzeń o nie ustalonej dotychczas etiologii. Towarzyszą mu charakterystyczne zmiany tkanki łącznej, wysiękowe zapalenie stawów oraz, co najważniejsze, patologiczne zmiany w sercu. Choroba zazwyczaj bywa poprzedzona zapaleniem migdałków, katarem nosa, nieżytem górnego odcinka dróg oddechowych. Złe warunki bytowania obozowego wywarły przemożny wpływ na występowanie tej choroby.

Pośród różnych postaci choroby reumatycznej najczęstsza wśród badanych osób była postać przewlekła ze skłonnością do nawrotów postaci ostrej. Z 32 chorych z chorobą reumatyczną tylko 9 chorych przebywało w szpitalach obozowych („rewirach"), inni chorowali poza szpitalem. U 12 chorych stwierdzono wadę serca w postaci niedomykalności zastawki dwudzielnej, u trzech zaś ponadto niedomykalność zastawek tętnicy głównej.

Obecnie stan chorych jest następujący: 9 chorych z nawracającymi stanami obrzękowymi stawów, przykurczami i usztywnieniami, 12 chorych z objawami niedomogi mięśnia sercowego. U 6 chorych stwierdzono okresowo występujące ostre nawroty choroby. U 5 chorych wystąpiły charakterystyczne zmiany w stawach śródręczno-palcowych, śródręczno-paliczkowych i nadgarstkowych, świadczące o przejściu przewlekłej choroby reumatycznej w postać przewlekłego postępującego gośćca stawowego.

Spośród 32 osób z przewlekłą chorobą reumatyczną, zarejestrowanych w naszej Poradni, 13 osób nabyło ją z całą pewnością podczas pobytu w obozach. Pozostali w liczbie 19 już przedtem chorowali na lżejszą postać tego cierpienia, które się w obozie nasiliło, przybierając z czasem zaawansowany obraz choroby.

Nikt z 32 chorych nie nadaje się do pracy zarobkowej. Przeważnie są to renciści, inwalidzi III, a nawet II grupy.

Gościec przewlekły postępujący *(Polyarthritis chronica evolutiva)*

Etiologia choroby dotychczas nie jest znana. Dotychczas nie wykryto zarazka tej najcięższej ze wszystkich chorób gośćcowych. Ongiś uważano za przyczynę paciorkowce, jak również różnego rodzaju ogniska zakażenia. Przypuszczano później, że przyczyna choroby tkwi w zaburzeniach czynności gruczołów wydzielania wewnętrznego. Wszelako, abstrahując od czynnika przyczynowego, zauważono i stwierdzono, że istnieją również czynniki, pod wpływem których mogą się ujawniać objawy kliniczne tej choroby. Do tych czynników należą przede wszystkim ciężkie urazy psychiczne, wyczerpanie fizyczne, zimno, strach, niepewność sytuacji itp. One to powodowały u więźniów powstawanie tej choroby, w naszym materiale przeważnie u kobiet. Zanotowaliśmy 7 razy gościec przewlekły postępujący u kobiet i 3 razy u mężczyzn. Chorzy ci liczyli 45—60 lat, przy czym wszyscy z chwilą przybycia do obozów cieszyli się na ogół dobrym zdrowiem, w każdym razie uprzednio na gościec nie chorowali.

Od roku 1945 stopniowo znaleźli się oni w opiece naszej Poradni i zostali poddani długoterminowemu, systematycznemu leczeniu. 2 kobiety z tej grupy zmarły. Inni, niezdolni do pracy, korzystają z rent inwalidzkich, a tylko 1 osoba może jeszcze pracować zarobkowo.

W chwili obecnej ocena tzw. okresu choroby (jakość i nasilenie zmian w narządzie ruchu) u tych chorych przedstawia się następująco. 6 chorych jest w III okresie choroby (zniekształcenia stawowe, nadwichnięcia, ulnarne odchylenia palców rąk i dłoni, zaniki mięśniowe z niezdolnością do wykonywania najprostszych czynności życiowych, jak np. własnoręczne przygotowanie posiłku, niemożność spaceru bez pomocy osoby drugiej itp.). 2 chorych jest w IV okresie (znacznie większe zmiany niż dopiero co wymienione, ze zrostami kostnymi i usztywnieniami) z pełnym unieruchomieniem i koniecznością pozostawania w łóżku. Tylko 1 chory znajduje się w II okresie choroby (początkowe, średnio zaawansowane zmiany z wydolnością wystarczającą do wykonywania lżejszej pracy; dozorca).

Zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa *(Spondyloarthritis ankylopoetica)*

Ta postać występuje głównie u mężczyzn i polega na stanie zapalnym drobnych stawów kręgosłupa, rozpoczynającym się w stawach krzyżowo-biodrowych. Systematycznie posuwając się ku górze, choroba ta powoduje odwapnienie kręgów, zaniki szpar stawowych i odkładanie się wapnia w tylnych oraz międzykręgowych więzadłach. Z czasem dochodzi do całkowitego usztywnienia kręgosłupa.

Etiologia nie jest znana. Oprócz czynników konstytucyjnych może tu wchodzić w grę tło gruźlicze, rzeżączka i inne. Również choroby zakaźne, jak dur brzuszny i czerwonka, mogą wyzwolić to zaburzenie. Istotną rolę gra tutaj działanie szkodliwych czynników zewnętrznych, jak uraz, obarczenie nadmiernym wysiłkiem fizycznym, głód, awitaminoza, a więc zespół szkodliwych czynników, właściwych warunkom życia obozowego.

Pośród zbadanych byłych więźniów notujemy u 6 chorych zesztywniające zapalenie kręgosłupa, dotyczące wyłącznie mężczyzn w wieku od 50 do 60 lat. U wszystkich choroba jest w okresie krańcowego zaawansowania, z pełną niezdolnością do pracy i inwalidztwem II grupy.

Czy pobyt w obozach był wyłączną przyczyną powstania cierpienia, które doprowadziło tych chorych do obecnego stanu? Na to pytanie nie da się odpowiedzieć z całą pewnością, początkowe okresy choroby, mało uchwytne i powoli się rozwijające, mogły bowiem zaistnieć u niektórych chorych jeszcze przed pobytem w obozie. Dociekania anemnestyczne nie zawsze nam dają pewność co do tego. Tak czy inaczej warunki obozowe niewątpliwie przyczyniły się do powstania choroby lub do przyspieszenia jej rozwoju, jeśli już dawniej atakowała ustrój.

Gościec zwyradniający *(Osteoarthrosis)*

Ta niezapalna, niegorączkowa postać choroby, polegająca na zwyrodnieniu chrząstki pokrywającej staw z odczynami tkanki kostnej, dotyczy przeważnie osób starszych po 40 roku życia. Nierównomierne obarczenie stawów, drobne, często się powtarzające urazy lub jednorazowe silne urazy (złamania, zwichnięcia, krwawienia do jamy stawowej) mogą powodować te zmiany.

Ważnym czynnikiem przyczynowym są zaburzenia równowagi hormonalnej; występują w drugiej połowie życia na tle przełomu biologicznego (zanikanie czynności gruczołów płciowych, zaburzenia czynności tarczycy oraz przedniego płata przysadki mózgowej). Zmiany, o których mowa, występujące w różnych miejscach, najczęściej są umiejscowione w kręgosłupie, stawach kolanowych, biodrowych, skokowych, wreszcie w palcach dłoni w postaci guzków Heberdena. Z tego powodu można uważać gościec zwyradniający nie za chorobę *sensu stricto*, ale za wyraz fizjologicznego zużycia, jeśli oczywiście nie została ona wywołana przez inne dodatkowe czynniki, o których już wspomniano.

Wśród byłych więźniów u 12 osób (7 kobiet i 5 mężczyzn) rozpoznano zaawansowany gościec zwyradniający. Zmiany zniekształcające kończyn (stawy kolanowe, skokowe) stwierdzono u 5 osób, stawów biodrowych — u 3 osób, kręgosłupa — u 2 osób. Postać mieszaną wykazują 2 osoby.

Przeważający odsetek tych chorych, to renciści inwalidzi; nieliczni są zatrudnieni w pracy chałupniczej lub wykonują w ograniczonym zakresie prace domowe.

Mówiąc o zmianach zniekształcających narządu ruchu, należy podkreślić zmiany w obwodowym układzie nerwowym spowodowane zmianami zwyradniającymi kręgosłupa. Sprawa dotyczy głównie części szyjnej (neuralgia szyjno-ramieniowa) i lędźwiowej (różne postacie postrzału, *lumbago* oraz neuralgia nerwu kulszowego).

Aczkolwiek etiologia i patogeneza tych dolegliwości jest różna, to jednak należy podkreślić niewątpliwie szkodliwe działanie chłodu, zimna, wilgoci, przeciągów itp.

U badanych chorych poobozowych ze zniekształcającymi zmianami kręgosłupa obserwujemy zaburzenia w obwodowym układzie nerwowym, występujące z różnymi nasileniami i częstymi nawrotami.

Gościec mięśniowo-ścięgnisty *(Fibrositis)*

Są to bóle występujące w częściach miękkich okołostawowych i mięśniach oraz ścięgnach. Jak wiadomo, ta postać gośćca stanowi około 50% wszystkich rodzajów gośćca, jakie obserwuje reumatolog.

Oprócz mialgii (zajęcie tkanki łącznej mięśni), neuralgii (uszkodzenie tkanki łącznej okołonerwowej) i niektórych zapaleń okołostawowych szczególne znaczenie w omawianiu chorób obozowych ma niewątpliwie zapalenie okołobarkowe (*periarthritis humero-scapularis*). Ta postać szczególnie często występowała wśród naszych chorych. Przyczyną zapaleń okołostawowych i mięśni są urazy i różne czynniki toksyczne przy towarzyszącym działaniu zimna i wilgoci.

Spośród 15 byłych więźniów leczonych w naszej Poradni stwierdziliśmy u 5 z nich zapalenia okołobarkowe z ostrym przebiegiem podczas przebywania w obozach, obecnie zaś w postaci przewlekłej, z częściowym lub pełnym unieruchomieniem kończyny. Rozpoznano (w nawiasach liczba przypadków): zapalenia okołostawowe biodra (2), stawów kolanowych (3), stawów łokciowych (1) i postacie mieszane (4).

Dokładna anamneza pozwoliła stwierdzić, że więźniowie ci przed przybyciem do obozów na ogół byli zdrowi i że obecne i ówczesne postacie gośćca są u nich następstwem skrajnie złych warunków obozowych, w których badani dłuższy czas przebywali.

Gościec w poszczególnych grupach, wyróżnionych w tym artykule, u większości chorych przebiegał z innymi zaburzeniami, przede wszystkim z różnymi postaciami nerwic, znamiennych dla tzw. *KZ-Syndrom* (zespół „astenii poobozowej").

Sumując, należy podkreślić, że gościec występuje u byłych więźniów znacznie częściej niż w pozostałej populacji leczonej w krakowskiej Poradni, a także u większości chorych ma charakter nieodwracalny i przy tym stale postępujący, co w obrazie odległym (aktualnym) zdecydowało o pełnym inwalidztwie chorych. Przedstawiona analiza wymaga kontynuowania po to, aby uzyskać bardziej szczegółowe zestawienia liczbowe dotyczące również pozostałych poradni reumatologicznych w Krakowie i w województwie.

KRYSTYNA CAPIŃSKA
TADEUSZ ZBIGNIEW CAPIŃSKI

Kraków

Wyniki ambulatoryjnego badania dermatologicznego 150 byłych więźniów Oświęcimia

(Z Przychodni Specjalistycznej m. Krakowa.
Dyrektor: Dr J. *Mruk*
i z Wojewódzkiej Przychodni Dermatologicznej
w Krakowie.
Dyrektor: Dr T. Z. *Capiński*)

Dotychczas opublikowane wyniki badań celowanych, przeprowadzanych przez polskie środowiska lekarskie na byłych więźniach Oświęcimia-Brzezinki i innych hitlerowskich obozów koncentracyjnych, w zasadzie nie ujmowały osobno oceny dermatologicznej stanu zdrowia tych osób. Tak więc np. w pracy *Szwarc* z roku 1965 o chorobowości 240 byłych więźniów obozów koncentracyjnych choroby skóry nie są wyszczególnione, a w pracy *Schwann-Pawłowskiej* z roku 1966, dotyczącej 192 byłych więźniów ze środowiska szczecińskiego, choroby te znajdują się na jednym z ostatnich miejsc, stanowiąc zaledwie 3,6% ogólnej liczby zarejestrowanych rozpoznań. Jeszcze skromniej, mianowicie odsetkiem 3,0%, wyraziły się one w 500 pisemnych odpowiedziach byłych więźniów na ankietę, której wyniki opracowała *Dominik* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie.

Uzyskane tą drogą subiektywne informacje o stanie zdrowia należy oceniać bardzo ostrożnie; świadczą o tym choćby wstępne wyniki badań prowadzonych w ciągu 5 lat i opublikowanych w roku 1968 przez *Kowalskiego*, a odnoszących się do 740 byłych więźniów ze środowiska warszawskiego. W obiektywnej ocenie aktualnego stanu zdrowia badanych autor znalazł 5,2% chorób dermatologicznych (siódme miejsce w zestawieniu rozpoznań), a w uzyskanym wywiadzie o chorobach przebytych w obozie 31,7% (drugie miejsce). Dokładniejsza analiza chorobowości 74 byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego, przeprowadzona przez *Witusików*, podaje jako odsetek tych chorób 21,62%.

Gdy się uwzględni jeszcze treść lekarskich i nielekarskich publikacji ogłoszonych przez autorów, spośród których wielu przeżyło obóz koncentracyjny i na jednym z pierwszych miejsc przy omawianiu warunków bytowania i stanu zdrowotnego osób uwięzionych stawiają choroby i uszkodzenia powłok, staje się uzasadniona próba uzyskania dokładniejszych spostrzeżeń z tego zakresu.

Cel i metoda pracy

Jako temat niniejszego opracowania przyjęliśmy skonfrontowanie dermatologicznej oceny aktualnego stanu zdrowia byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki z ich własnymi relacjami o chorobach, jakie przebyli w okresie uwięzienia, posługując się kwestionariuszem ułożonym przez nas w oparciu o informacje z piśmiennictwa o tematyce obozowej. Drugim celem pracy było uzyskanie podstaw do wysnucia w odniesieniu do zbadanej populacji wniosków o możliwości zastosowania rehabilitacji dermatologicznej, a także propozycji dotyczących ewentualnego zakwalifikowania badanych do opieki innej właściwej poradni specjalistycznej.

Z inicjatywy dra St. *Kłodzińskiego* wzywaliśmy w czasie od 24 maja do 30 czerwca 1968 roku do gabinetu konsultacyjnego Wojewódzkiej Przychodni Dermatologicznej w Krakowie byłych więźniów Oświęcimia według listy przekazanej nam przez ambulatorium przy Krakowskim Klubie Oświęcimskim. Listę tę, obejmującą 200 nazwisk (126 mężczyzn i 74 kobiet), sporządzono przez wypisywanie bez wyboru kolejnych nazwisk z kartoteki członków Klubu.

W ułożonej specjalnie do tego celu karcie badania uwzględniliśmy oprócz danych osobowych badanego, daty uwięzienia i uwolnienia oraz innych dodatkowych informacji następujące działy: 1) dermatologiczny wywiad rodzinny i osobniczy badanego z okresu przed uwięzieniem, 2) wywiad dotyczący uszkodzeń powłok i chorób skóry, a także innych chorób ogólnych z okresu pobytu w obozie (analogiczne pytania stawiano w odniesieniu do okresu po uwolnieniu), 3) wynik obecnego badania dermatologicznego z wyszczególnieniem zmian chorobowych i śladów zmian chorobowych mogących być następstwem przeżyć w obozie koncentracyjnym oraz ewentualne zalecenia co do potrzeby leczenia lub przeprowadzenia dalszych badań specjalistycznych, uwzględniając ogólny stan zdrowia byłego więźnia i dotychczasowe leczenie.

W przeprowadzanych wywiadach przestrzegano zawsze tej samej kolejności pytań, a w celu maksymalnego zwiększenia stopnia wierności i dokładności uzyskiwanych relacji była przy badaniu obecna siła pomocniczo-lekarska ambulatorium Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego, była więźniarka [1]. Wyjaśniała ona zgłaszającym się do badania, że nie pozostaje ono w związku z roszczeniami o odszkodowanie, co miało na celu zapobieżenie możli-

[1] Autorzy poczuwają się do miłego obowiązku złożenia podziękowania p. Wandzie *Mysłakowskiej* za jej bezinteresowną, chętną pomoc.

wości ewentualnego nadmiernego akcentowania doznanych szkód.

Ponadto jej obecność jako bezpośredniego świadka warunków życia w obozie i wielu z relacjonowanych wydarzeń nie tylko zwiększyła obiektywną wartość i wnikliwość wywiadu, ale także przyczyniła się do zebrania bliższych prawdy informacji o chorobach skóry, które przeszli byli więźniowie. Okazało się bowiem, że po dwudziestu paru latach niektórzy z nich częściowo zapomnieli o przebytych chorobach lub pamiętali je pod nazwami używanymi w codziennym języku obozowym. Często więc wobec nieznajomości mianownictwa chorób skóry u byłych więźniów uzyskiwanie właściwej wiadomości wymagało dodatkowych pytań i wyjaśnień, np. że nazwa obozowa „kreca", to zniekształcone niemieckie słowo *Krätze* (świerzb), a „flegmona", to ropowica. Znaczna liczba badanych nie łączyła pytania „czy chorował na wszawicę" z zawszeniem ciała i odzieży, jakiemu ulegli w obozie i to także wymagało bliższego wytłumaczenia.

Badanie dermatologiczne polegało na dokładnym obejrzeniu powłok ciała i jamy ustnej każdego zgłaszającego się. W razie stwierdzenia zmian dermatologicznych wypytywano dodatkowo o ich etiologię i ewentualnie uzupełniano zapisy w karcie badań.

Wyniki badań

W ciągu 5 tygodni zgłosiło się do badania łącznie 151 osób (95 mężczyzn = 75% i 56 kobiet = 76% wezwanych). Badaniu poddało się 150 osób, gdyż jeden z byłych więźniów odmówił zgody na objęcie go badaniem, motywując swoją decyzję niechęcią do poczynań, które, jego zdaniem, i tak nie przyniosą zmian na korzyść w sytuacji bytowej byłych więźniów w społeczeństwie i w zakładach pracy.

W czasie przeprowadzania badań okazało się, że 5 z podanych na liście byłych więźniów nie żyje, wskutek czego odsetek mężczyzn, u których przeprowadzono badanie, wzrósł do 78% wezwanych.

Wiek, płeć i czas pobytu w obozie są przedstawione w tabeli I. Najstarszy z byłych więźniów (nr karty badania 49) liczy obecnie 78 lat, najmłodszy (nr karty badania 66) 41 lat, jest zresztą rencistą. Najstarsza z byłych więźniarek (nr karty badania 29) liczy obecnie 73 lata, najmłodsza (nr karty badania 96) 43 lata, jest pracownicą fizyczną. Średnia wieku badanego byłego więźnia wynosi 57,4 roku, a badanej byłej więźniarki 57,1 roku. Jak więc wynika z tych liczb, średnia wieku obecnie przez nas badanych osób wynosiła w czasie ich pobytu w obozie około 30 lat, a więc znajdowały się one wtedy w okresie pełni sił żywotnych i najwyższej odporności ustroju. Ponadto więźniowie ci stanowili zapewne element szczególnie biologicznie wartościowy, co sprawiło, że przeżyli nie tylko okres uwięzienia, lecz również mimo przebytych i nabytych chorób następne dwadzieścia kilka lat.

Relacje dotyczące warunków bytowania i chorób dermatologicznych, które byli więźniowie przebyli w obozie, przedstawiają tabele II i III.

Tylko w jednym obozie (Oświęcim-Brzezinka) przebywało 9 mężczyzn i 5 kobiet. W Oświęcimiu i innych obozach przebywało 66 mężczyzn i 35 kobiet, a 19 mężczyzn i 16 kobiet było izolowanych przed obozem przez dłuższy czas w więzieniach.

Spośród badanych mężczyzn obecnie pracuje zawodowo 28 pracowników umysłowych, 20 fizycznych, nie pracuje 5, na rencie lub emeryturze pozostaje 41 osób. Wśród kobiet 9 pracuje umysłowo, 12 fizycznie, 1 prowadzi zakład prywatny, 4 nie pracują zarobkowo, na rencie lub emeryturze pozostaje 10.

Z wyjątkiem 1 kobiety i 5 mężczyzn (4% ogółu badanych), którzy według własnej relacji przybyli do obozu w stanie upośledzonego zdrowia lub ograniczonej sprawności fizycznej (choroba nerek, gruźlica płuc, rana postrzałowa w 2 wypadkach, inwalidztwo), wszyscy pozostali podali, że przed uwięzieniem nie cierpieli na żadne choroby ani ułomności.

Natomiast 136 osób (91%) podało, że w czasie pobytu w obozie przebyli lub nabyli jedną lub kilka z chorób ogólnie wyniszczających, wyszczególnionych w punkcie 3 tabeli III. Wpływ tych chorób na obniżenie odporności ustroju i zwiększenie podatności na działanie czynników szkodliwych tłumaczyłby wysoki odsetek chorób skóry u więźniów.

O stopniu ich wyniszczenia w chwili uwolnienia z obozu może świadczyć podawany powszechnie przez nich spadek ciężaru ciała, który w grupie mężczyzn wyraził się najniższą

Tabela I
Wiek, płeć i czas pobytu w obozie

Grupa wieku (w latach życia)		16—25			26—35			36—45			46—55			56—78			Razem
Płeć		m	k	m+k	m	k	m+k	m	k	m+k	m	k	m+k	m	k	m+k	
Wiek	Przy aktualnym badaniu	—	—	—	—	—	—	8	2	10	33	4	37	53	50	103	150
	W chwili uwięzienia	31	14	45	35	23	58	22	28	40	6	1	7	—	—	—	150
Czas pobytu w obozie	do 1 roku	2	—	2	2	1	3	—	—	—	—	—	—	—	—	—	5
	do 3 lat	17	10	27	21	16	37	15	15	30	3	—	3	—	—	—	97
	do 5 lat	9	4	13	12	6	18	7	2	9	3	1	4	—	—	—	44
	ponad 5 lat	3	—	3	—	—	—	—	1	1	—	—	—	—	—		4
																	150

Tabela II

Rodzaje dłużej wykonywanych prac obozowych według własnych relacji badanej grupy byłych więźniów

Warunki pracy	Rodzaj wykonywanych robót		Liczba osób i płeć		
			m	k	m+k
Na otwartym powietrzu (działanie zimna, gorąca, wilgoci, w wodzie rzecznej, stawowej itp.)	ziemno-budowlane		69	40	109
	rolno-ogrodnicze		3	18	21
	wodno-melioracyjne		17	25	42
	transport ręczny i w charakterze siły pociągowej		72	51	123
Pod dachem	asenizacyjno-kanalizacyjne		5	2	7
	Różne prace	w warsztatach	4	2	6
		w kuchni	1	2	3
		w biurach, szpitalu i ambulatorium	3	1	4

Tabela III

Przebyte w obozie choroby skóry, uszkodzenia powłok ciała i ogólnie wyniszczające choroby ogólne według własnych relacji byłych więźniów

Rozpoznanie		Liczba badanych (według płci)			Odsetek
		m	k	m+k	
Choroby skóry	ropne	83	50	133	89%
	pasożytnicze	62	34	96	64%
	wywołane działaniem zimna	53	32	85	57%
Uszkodzenia powłok wywołane urazem	zadanym celowo	75	28	103	69%
	powstałym w wyniku wypadku	11	3	14	9%
Choroby ogólnie wyniszczające	przewodu pokarmowego	75	51	126	84%
	dury	38	50	88	59%
	gruźlica	15	4	19	13%
	zimnica	4	14	18	12%
	awitaminozy	39	31	70	47%
	żółtaczka	4	2	6	4%

wartością 28,900 kg przy wzroście 163 cm u 26-letniego mężczyzny (nr karty badania 196), a 28 kg przy wzroście 159 cm u 45-letniej kobiety (nr karty badania 160).

Jak wynika z tabeli IV, przeprowadzone przez nas badanie dermatologiczne byłych więźniów obozu w Oświęcimiu wykazało u nich obecność czynnych i nieczynnych procesów chorobowych.

Tabela IV

Zmiany dermatologiczne stwierdzone w czasie obecnego badania ambulatoryjnego byłych więźniów

Rozpoznanie		Liczba i odsetek	
		mężczyzn	kobiet
Czynne choroby skóry	dermatozy różnego rodzaju (grzybice powierzchowne, wyprysk, odczyny uczuleniowe, łuszczyca i inne)	26 (27%)	18 (32%)
	odmroziny	30 (32%)	35 (62%)
	zaburzenia krążenia w kończynach	20 (21%)	10 (20%)
	żylaki kończyn dolnych i odbytu	43 (51%)	38 (68%)
Nieczynne zmiany dermatologiczne. Blizny w obrębie	głowy	10	5
	twarzy	17	4
	kończyn górnych	21	12
	kończyn dolnych	35	14
	tułowia	30	17

Omówienie wyników

Analiza przeprowadzonych wywiadów (tabela III) i wyniki badania ambulatoryjnego (tabela IV) 150 byłych więźniów obozu oświęcimskiego wskazują na częste występowanie w tym obozie chorób skóry: ropnych (u 89% badanych), pasożytniczych (wszawica, świerzb; u 64%), wywołanych działaniem zimna (u 57%), a także następstw urazów w postaci blizn (u 78%). Zjawisko to znajduje wyjaśnienie w szczególnych okolicznościach, w jakich oni żyli i pracowali w obozie.

Badani przez nas, z wyjątkiem 4 mężczyzn i 1 kobiety, przebywali w obozie co najmniej 12 miesięcy, a więc przez cztery pory roku i w ogromnej większości (90%) byli zatrudnieni na wolnym powietrzu. To narażało ich zwłaszcza w niektórych porach roku na działanie wpływów atmosferycznych naszego klimatu, które przy niedostatecznej ochronie przed niską i wysoką temperaturą, wobec braku odpowiedniej odzieży (również ochronnej, jak rękawice, obuwie, skarpety), przy pracy w wilgoci, a nawet w wodzie, były szczególnie szkodliwe i sprzyjały powstawaniu chorób powłok ciała.

Dodatkowo przyczyniały się do tego: wyniszczenie z niedożywienia, z braku snu i z przebytych chorób oraz zaburzenia neurowegetatywne, a także urazy zadawane celowo (u 103 osób, tj. 69%) lub urazy przypadkowe (u 14 osób, tj. 9%). Złe warunki sanitarne (opisane już przez *Olbrychta* i innych) sprzyjały rozwojowi i długiemu utrzymywaniu się stanów chorobowych tym bardziej, że leczenie chorób skóry w obozie prawie nie istniało.

W celu uzyskania właściwej oceny zachorowalności na choroby ropne u więźniów obozu oświęcimskiego (w świetle ich relacji i wobec zmian dermatologicznych stwierdzonych w obecnym badaniu) porównaliśmy je z wynikami pracy *Lejmana* i wsp., dotyczącej występowania chorób ropnych u pracowników Nowej Huty w okresie jej budowy. Warunki pracy i bytu pracowników tego ogromnego zakładu przemysłowego w pierwszych latach jego istnienia określono w tej publikacji jako szczególnie trudne, a mimo to najwyższe odsetki chorób ropnych w latach 1953—1957 nie przekraczały tam 12,5%.

Występowanie odmrozin u badanych przez nas jako zejścia po przebytych odmrożeniach znajduje również wytłumaczenie w wymienionych przyczynach.

Trudne warunki życia obozowego, szczególnie zaś ciężka praca fizyczna i wielogodzinne stanie na apelach mogły spowodować powstawanie obecnie stwierdzanych żylaków.

W aktualnym badaniu ambulatoryjnym stwierdziliśmy u 26 mężczyzn (27%) i u 18 kobiet (32%) obecność czynnych zmian dermatologicznych, mianowicie grzybic powierzchownych, stanów wypryskowych, zmian barwikowych i odczynów uczuleniowych, które zresztą nie okazywały żadnych cech szczególnych. Wszystkie te osoby zostały przez nas objęte leczeniem.

Do okresowo czynnych zaliczyliśmy odmroziny u 30 mężczyzn (32%) i u 35 kobiet (62%), a także napadowo występujące (według relacji badanych) u 20 mężczyzn (21%) i u 10 kobiet (20%) zaburzenia krążenia obwodowego, objawiające się nagłym blednięciem, sinieniem, sztywnieniem, bolesnością lub zamartwicą palców, czasem występujące pod postacią chromania przestankowego. Rozpoznana już uprzednio w innych zakładach służby zdrowia u 3 mężczyzn i u 1 kobiety choroba Bürgera dopełnia obrazu naczyniowych chorób obwodowych u badanych.

W osobną grupę ujęliśmy żylaki kończyn dolnych i odbytu, stwierdzone u 43 mężczyzn (51%) i u 38 kobiet (68%). U 3 mężczyzn i u 1 kobiety zmianom tym towarzyszyły owrzodzenia podudzi.

W grupie nieczynnych zmian dermatologicznych ujęliśmy utrwalone skutki chorób skóry i uszkodzeń powłok, doznanych według relacji badanych w czasie pobytu w obozie; są to blizny, a także oszpecające zniekształcenia, które wynikły w pewnych wypadkach z równoczesnego uszkodzenia tkanek głębiej położonych (mięśnie, kości). Pierwsze z wymienionych napotkaliśmy u znacznej większości byłych więźniów, mianowicie u 73 mężczyzn (78%) i u 41 kobiet (73%). Do drugich zaliczyliśmy zmiany dermatologiczne u 9 mężczyzn (10%) i u 10 kobiet (20%).

Za jedną z głównych przyczyn powstawania blizn możemy uznać ze stanowiska dermatologa przebycie chorób ropnych, tj. czyraków, ropowicy, ropni mnogich pach, niesztowic i róży, które wśród ogólnej liczby przypadków ropnych chorób skóry, podanych w wywiadzie, stanowiły u mężczyzn 74%, a u kobiet 57%. Tylko u 15 mężczyzn i u 15 kobiet nie pozostawiły one trwałych śladów.

Wiele z blizn było, zdaniem badanych, skutkiem uszkodzenia powłok w następstwie urazów rozmyślnie zadanych (bicie, torturowanie), bądź przypadkowych, powstałych przy pracy, w wyniku działań wojennych itp. Zestawienie nasze nie obejmuje blizn pooperacyjnych.

Następstwa urazów rozmyślnie zadanych w postaci blizn umiejscowionych w obrębie głowy i twarzy znaleźliśmy u 27 mężczyzn i 11 kobiet, na kończynach — u 56 mężczyzn i 26 kobiet, na tułowiu — u 30 mężczyzn i 17 kobiet. 7 mężczyzn i 4 kobiety utrzymują, że zmiany te powstały w wyniku poddania ich eksperymentom pseudonaukowym [2]. Niektóre z wymienionych urazów spowodowały rażące oszpecenia.

Do tych ostatnich zaliczyliśmy wśród kobiet na przykład zupełne rozerwanie obu płatków usznych przy zdzieraniu kolczyków (nr karty badania 127), rozdarcie wargi dolnej i skrzywienie nosa przy biciu (nr karty badania 144), oszpecające blizny twarzy w następstwie trądzika ropnego (nr karty badania 155 i 174), według relacji badanej powstałego po eksperymentalnym zakażeniu jej drobnoustrojami ropnymi.

Jednej z kobiet (nr karty badania 158) podczas przesłuchania obcięto brodawki sutkowe, a czterem (nr karty badania 39, 106, 148, 160) poszczute na nie psy obozowe wyszarpały tkanki w obrębie kończyn.

U badanych mężczyzn stwierdziliśmy też liczne poważne oszpecenia. Były to np. rozległa, nierówna blizna skóry czoła, zaimpregnowana miałem węglowym (nr karty badania 197), blizna zniekształcająca małżowinę uszną i druga długości 7 cm, przedzielająca na dwie części policzek (nr karty badania 57), liczne blizny na skórze twarzy i szyi (nr karty badania 11), blizny koło nosa, zniekształcające policzek i wargę górną i zmieniające rysy twarzy (nr karty badania 121), zniekształcenia górnego brzegu oczodołu z blizną na powiece (nr karty badania 126). Poważne oszpecenie skóry pleców u jednego z badanych miało zostać wywołane, według jego słów, rozmyślnym wprowadzeniem materiału zakaźnego (nr karty badania 110).

Wnioski

Skonfrontowanie relacji 150 byłych więźniów o przebytych chorobach skóry lub uszkodzeniach powłok doznanych w obozie oświęcimskim z wynikami ambulatoryjnego badania przeprowadzonego u nich w 23 lata po uwolnieniu wskazuje na związek przyczynowy wysokiej zachorowalności na choroby skóry z tamtejszymi warunkami bytowania i wyniszczającej pracy.

[2] Warto podać, że o zbrodniczych doświadczeniach w Oświęcimiu została ostatnio opublikowana odrębna praca (2).

Liczne blizny i inne następstwa uszkodzeń powłok doznane w obozie należy uznać za cechę charakterystyczną stanu dermatologicznego większości byłych więźniów.

Stwierdzone u znacznej części byłych więźniów żylaki kończyn dolnych i odbytu oraz skargi na zaburzenia o cechach uszkodzenia obwodowego układu naczyniowego mogą również pozostawać w związku przyczynowym z warunkami bytowymi i wytężającą pracą w okresie uwięzienia.

W porównaniu ze spostrzeżeniami o zmianach dermatologicznych u byłych więźniów obozów koncentracyjnych, podanych w innych tego rodzaju opracowaniach, nasze wyniki wydają się wyraźnie wskazywać na wyższość badań celowanych nad badaniami ogólnymi, w których wiele odchyleń od normy może ujść uwadze autorów.

Obecnie stwierdzone przez nas czynne choroby skóry u badanych byłych więźniów Oświęcimia nie odbiegają od przekrojowej zachorowalności spotykanej w lecznictwie ambulatoryjnym.

61 osób spośród zbadanych kwalifikuje się, naszym zdaniem, do dalszej opieki specjalistycznej w celu zapobieżenia u nich rozwojowi inwalidztwa. W szczególności osoby te skierowano do poradni (w nawiasach liczba badanych) chorób naczyniowych (31), dermatologicznej (18), chirurgii plastycznej (6), proktologicznej (4) i innych (2).

Stosownie do definicji zdrowia przyjętej przez Światową Organizację Zdrowia należałoby rozważyć możliwość usunięcia lub skorygowania trwałych oszpeceń stwierdzonych u kilkunastu osób spośród badanych, dla których stanowią one głęboki uraz.

PIŚMIENNICTWO

1. *Dominik* M.: Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety. Przegl. Lek., 1967, 1, 102. — 2. *Fejkiel W.*: Ethical and legal limits of experimentation in medicine — in connection with professor Clauberg's affair. W: From the history of KL-Auschwitz. Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, 1967, tom I, s. 97—117. Zob. też: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny *SS* w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu I. Przegl. Lek., 1961, nr 1a, 44. — 3. *Lejman* K.: Ropne i zawodowe choroby skóry u pracowników Nowej Huty w okresie jej budowy. Medycyna Pracy, 1962, 6, 471. — 4. *Olbrycht* J.: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek,. 1962, nr 1a, 37. — 5. *Schwann-Pawłowska* J.: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1967, nr 1, 98. — 6. *Szwarc* H.: Chorobowość byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1965, nr 1, 38. — 7. *Witusik* W., *Witusik* R.: Ślady następstw chorobowych związanych z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych (u byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego). Przegl. Lek., 1968, nr 1, 56.

BRONISŁAW WALUK Szczecin

Ocena stanu zdrowia osadników wojskowych powiatu szczecińskiego

W latach 1965—1967 zbadałem 200-osobową grupę osadników wojskowych mieszkających w powiecie szczecińskim. Są to przeważnie byli żołnierze I i II Armii odrodzonego Wojska Polskiego (67,5%), partyzanci AK (18%) i AL (7%) oraz żołnierze polskich formacji wojskowych walczących na Zachodzie (4,5%) i innych ugrupowań walki zbrojnej (3%).

Badania przeprowadzono w Miejskiej Przychodni Obwodowej Nr 3 w Szczecinie, w ambulatorium lekarskim przy Zarządzie Okręgu ZBoWiD i w Ośrodku Zdrowia w Dołujach (powiat Szczecin).

Oprócz wywiadu i badania przedmiotowego, połączonego z badaniem laboratoryjnym, w razie potrzeby dokonywano konsultacji w przychodniach specjalistycznych, szpitalach i klinikach. Równocześnie przeprowadziłem badania grupy porównawczej, tj. osób w tym samym wieku, które nie brały udziału w walce zbrojnej. Już wstępna ocena tych dwóch grup wykazała, że chorobowość u osadników wojskowych jest znacznie większa i zbliżona do chorobowości byłych więźniów obozów koncentracyjnych.

Rozpoznania, które ustalono u osadników wojskowych w latach 1966—1967, są ujęte w tabeli I. Zestawienie to wykazuje, że niektóre grupy chorób dominują u osadników wojskowych. Choroby układu krążenia (43,5%) występują pod postacią żylaków i miażdżycy; w miarę starzenia się występują zmiany w sercu. Następstwa po ranach postrzałowych i urazach (32,5%) są uwidocznione w postaci rozległych blizn i uszkodzeń kości, poszczególnych tkanek i narządów wewnętrznych. Choroby kości i narządu ruchu (31,0%) występują już w wieku 41—50 lat życia pod różnymi postaciami gośćca, a po 50 roku życia u wielu badanych są przyczyną trwałej niezdolności do pracy. Choroby układu trawiennego (26,5%) najczęściej występują w postaci przewlekłych nieżytów żołądka, choroby wrzodowej i przepuklin.

Pozostałe choroby pojawiają się w mniej niż 20% badanych. Są to choroby układu oddechowego w postaci rozedmy płuc, przewlekłych nieżytów oskrzeli, rozstrzeni oskrzeli i gruźlicy płuc. Choroby uszu objawiają się pod postacią zapaleń uszu, głuchoty z uszkodzeniem błony

Tabela I
Choroby zbadanych osadników wojskowych

Grupy chorób	Odsetek badanych
Choroby układu krążenia	43,5%
Rany postrzałowe, urazy, zatrucia	32,5%
Choroby kości i narządu ruchu	31,0%
Choroby układu pokarmowego	26,5%
Choroby układu oddechowego	19,0%
Choroby uszu	18,5%
Choroby alergiczne i przemiany materii	13,5%
Choroby skóry	11,5%
Choroby zakaźne	8,5%
Choroby nerwowe	6,0%
Choroby układu moczowo-płciowego	4,5%
Choroby oczu	4,5%
Choroby psychiczne	3,5%
Choroby krwi i układu krwiotwórczego	3,0%
Nowotwory	1,5%

bębenkowej i zapalenia zatok. Choroby alergiczne i zaburzenia przemiany materii stwierdzono w postaci dychawicy oskrzelowej, chorób alergicznych skóry i cukrzycy. Choroby skóry występują w postaci zmian zapalnych połączonych niejednokrotnie z owrzodzeniem i grzybicy międzypalcowej u nóg.

Badania te zostaną opracowane szerzej z uwzględnieniem stałej obserwacji, co ułatwią założone karty chorobowe.

Okres pobytu badanych w regularnych siłach zbrojnych i w zgrupowaniach partyzanckich waha się od kilku miesięcy do 5 lat. Trudno jest rozgraniczyć poszczególne okresy, niejednokrotnie bowiem zazębiały się, gdyż np. z partyzantki niektórzy przechodzili do służby w regularnym wojsku. Wiele osób było łącznikami, zanim wstąpili do zorganizowanych grup partyzanckich. Wielu partyzantów wstąpiło z chwilą przejścia frontu do I i II Armii WP. Również liczni osadnicy brali udział w kampanii wrześniowej, a następnie przebywali oni w obozach dla internowanych, zanim wstąpili ponownie do szeregów WP.

Wiek badanych osadników w chwili obecnej przedstawia tabela II.

Tabela II
Obecny wiek osadników wojskowych

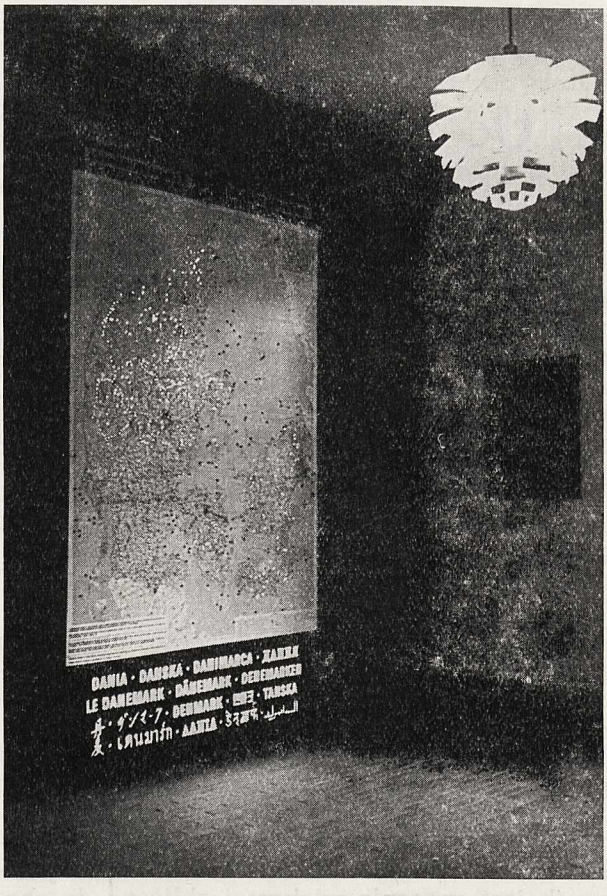
Grupa wieku (w latach życia)	Odsetek badanych
mniej niż 40	2,5%
41—50	43,5%
51—60	34,0%
61—70	16,5%
przeszło 70	3,5%

Największą grupę stanowią kombatanci liczący 41—50 lat życia. Natomiast znikomą liczbę, gdyż zaledwie 5 osób, stanowi grupa poniżej 40 roku życia, tj. najmłodsi, nie mający 20 lat w czasie działań wojennych.

Bez wątpienia duży wpływ na powstawanie i kształtowanie się procesów chorobowych miały czynniki klimatyczne, forsowne marsze, brak minimalnego odpoczynku, nieodpowiednie odżywienie (nieregularne, brak witamin, skąpa liczba posiłków ciepłych). Nie mniejszy wpływ na obecny stan zdrowia wywarły przebyte rany postrzałowe, kontuzje, niedostateczna pomoc medyczna i krótkie okresy rekonwalescencji. Nie tylko prowadzenie działań bojowych, lecz także przebywanie w obozach dla internowanych niejednokrotnie przyczyniły się do powstawania chorobowości.

Skutki tego kombatanci odczuwają do dzisiaj. Z przeżyciami z lat wojny należy bowiem wiązać dużą liczbę żylaków, choroby stawowe, powikłania po ranach postrzałowych i urazach oraz choroby układu trawiennego. Niewątpliwą przyczyną tych dolegliwości były wspomniane już marsze, wystawienie na uciążliwe warunki klimatyczne, skąpa pomoc lekarska i nieodpowiednie odżywianie. Tym należy tłumaczyć osobliwe wyodrębnienie się u kombatantów opisanych grup chorobowych, właśnie u nich dominujących.

Dlatego śmiało można stwierdzić, oceniając stan zdrowia osadników wojskowych na podstawie uzyskanych wstępnych, ogólnie orientujących wyników, że chorobowość u nich jest niewspółmierna do ich wieku oraz do chorobowości u osób, które miały znośniejsze warunki. Stąd mniejsza zdolność produkcyjno-zarobkowa.



Fragment wystawy duńskiej w bloku 13 w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu (zdjęcie z Archiwum Muzeum)

EDMUND CHROŚCIELEWSKI Poznań

Eutanazja
Niektóre zagadnienia lekarskie i prawne

(Z Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu.
Kierownik: Prof. dr E. *Chróścielewski*)

Eutanazja (*euthanasia*) — słowo to jest pochodzenia greckiego i oznaczało w starożytności lekką, piękną śmierć. Hellenowie rozumieli przez to określenie „umiejętność umierania w spokoju i godności". Wielka Encyklopedia Powszechna PWN pod hasłem „eutanazja" podaje: „zabójstwo człowieka na jego żądanie lub pod wpływem uczucia dla niego; niektóre ustawodawstwa karne kwalifikują zabójstwo jako eutanazję w przypadku, gdy oba te warunki istnieją równocześnie; w innych ustawodawstwach występuje czasem warunek dodatkowy w postaci nieuleczalnej choroby ofiary; w PRL, podobnie jak w innych krajach, eutanazja jest karalna łagodniej od zabójstwa zwykłego" (12).

Niemiecki słownik lekarski, wydany w Berlinie w roku 1964, szerzej ujmuje to pojęcie: „eutanazja — dobrowolne spowodowanie śmierci osób beznadziejnie chorych za pomocą środków bezbolesnych. Pod rządami nazistowskiej tyranii dokonano zbrodni masowego ludobójstwa na ludności, którą reżim uznał za zbędny balast — właśnie pod obłudnym określeniem jako eutanazja" (13).

Zagadnienia związane z eutanazją są wieloznaczne, bardzo zawiłe i stale aktualne. Mimo upływu już ćwierć wieku od popełnienia zbrodni masowego ludobójstwa, dokonanych pod osłoną eutanazji, ciągle jeszcze są ujawniane dokumenty tych zbrodni, a sprawcy nie ponieśli dotychczas zasłużonej kary. Próby rozwiązania tej kwestii wydają się więc bardzo potrzebne.

Dlatego z ubolewaniem należy przyjąć fakt, że autor hasła „eutanazja" w polskiej encyklopedii naukowej podał krótką, lakoniczną definicję, nic nie wspominając o eutanazji hitlerowskiej, która tak boleśnie dotknęła tereny polskie. Nie zapomnieli o tych zbrodniach autorzy wspomnianego niemieckiego słownika lekarskiego i dali autorom niektórych haseł naszej encyklopedii poglądową lekcję historii, patriotyzmu i godności narodowej.

Celowe wydaje się więc wrócić do problematyki eutanazji, poruszanej już w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" i nieco szerzej ją omówić, zwłaszcza z punktu widzenia lekarskiego i prawa.

Istotę eutanazji najlepiej oddaje definicja J. *Sawickiego:* „Eutanazja oznacza dosłownie «dobrą śmierć», śmierć świadomie zadaną innej osobie, a pomyślaną jako śmierć, która wyzwala, która wybawia, jako śmierć skracającą cierpienia beznadziejnie chorego. Eutanazja oznacza jednak nie tylko «dobrą śmierć» zadaną z pobudek wzniosłych na żądanie człowieka nieuleczalnie chorego, uwikłanego w nierównej, przegranej z góry walce lub z litości dla niego. Słowo to użyte zostało również na określenie całego programu niszczenia «życia stanowiącego balast» dla społeczeństwa i państwa" (6, 9).

Problematyka związana z eutanazją wywołała szeroką dyskusję wśród psychologów, lekarzy, teologów i prawników. Wyrazem tego jest obszerne piśmiennictwo, dotyczące tego zagadnienia. Ponadto dramaturdzy i pisarze także zatrzymują się chętnie nad tym ludzkim dramatem. Dr *Thiboult* sam zabija swego ojca, którego głęboko kochał, a w Cyklonie W. *Somerset Maugham* matka daje ukochanemu synowi do zażycia proszek chloraliny, aby oszczędzić mu cierpień. Cały film *Cayatte'a* „Sprawiedliwości stało się zadość" obraca się wokół tego zagadnienia (5).

Najbardziej jednak eutanazja jest związana z deontologią lekarską i z prawem. Stwierdzenie ciężkości i nieuleczalności choroby, przekonanie się o bezskuteczności leczenia, ocena stopnia cierpień chorego sa przede wszystkim udziałem lekarza, nic więc dziwnego, że zagadnienia związane z eutanazja interesowały i interesują głównie lekarza i od wieków wiązano je z medycyną (4).

Dlatego też jest rzeczą zrozumiałą, że według wszystkich zapatrywań i projektów ustaw decydowanie o eutanazji i jej wykonanie przekazuje sie przede wszystkim lekarzom. Pomimo to, a może właśnie dlatego największe sprzeciwy i opory wobec eutanazji wysuwają właśnie lekarze.

Eutanazja ma swoich zwolenników, znacznie więcej jednak ma przeciwników.

Argumenty zwolenników eutanazji bywają niekiedy pozornie przekonywające, np. argumenty wysunięte przez profesora pediatrę Wernera *Catela* w wywiadzie udzielonym redaktorowi pisma *„Der Spiegel"* w sprawie dzieci dotkniętych ciężkim niedorozwojem fizycznym i umysłowym. *Catel* na pytanie redaktora, czy można zabijać ze względów humanitarnych, odpowiedział, że zabicie ze względów humanitarnych jest zgodne z jego przekonaniem. Podstawowym warunkiem decyzji uśmiercenia dziecka musiałoby być, w sposób nie ulegający wątpliwości i to po kilkumiesięcznej obserwacji, że dane dziecko nie jest zdolne do żadnych reakcji psychicznych (11).

Ostateczna decyzja o pozbawieniu życia danego dziecka należałaby do kolegium, w skład którego — zdaniem *Catela* — powinni wchodzić co najmniej dwaj lekarze specjaliści, z wyłączeniem lekarza domowego, prawnik, teolog oraz jedna kobieta — matka. Decydującą rolę mają odgrywać względy humanitarne. W dalszym wywiadzie sam *Catel* przyznaje, że obecnie, po ekscesach nazistowskich, gdy pojęcie eutanazji na długi czas zostało zdyskredytowane, nie ma żadnych złudzeń, aby ktokolwiek zgodził się współpracować w tym zakresie (11).

Nie znającym problematyki zbrodni ludobójstwa hitlerowskiego, popełnionego właśnie pod osłoną eutanazji, należy przypomnieć, że profesor *Catel*, który aż do roku 1960 był dyrektorem Kliniki Dziecięcej w Kilonii, w okresie drugiej wojny światowej, w latach 1940—1944, jako kierownik Kliniki Pediatrycznej w Lipsku, brał czynny udział w tzw. „Państwowym wydziale dla naukowego ujęcia ciężkich dziedzicznych i konstytucjonalnych chorób", będąc członkiem kolegium rzeczoznawców. Jak wynika z aktów procesu norymberskiego przeciwko lekarzom hitlerowskim, dok. nr 1146 (3), w wyniku decyzji wymienionego kolegium początkowo przeznaczano na likwidację dzieci z wadami rozwojowymi i dzieci upośledzone umysłowo, później jednak podstawą zabijania dzieci i młodzieży były kryteria rasowe i narodowościowe — dok. nr 1427 (3).

Tak więc, gdyby nawet argumenty usprawiedliwiające konieczność likwidacji chorych były uzasadnione, a nawet były dobrodziejstwem dla danej jednostki, to jednak możliwość nadużyć w tym zakresie mogłaby być tak rozległa, że jakakolwiek kontrola, nawet kolegialna, stałaby się zupełnie iluzoryczna. Jak więc widać, sam *Catel*, inicjator i uczestnik kolegium, nie dość na tym, że nie odpowiadał za zbrodnie, jeszcze niczego nie nauczył się z tego okresu, w którym właśnie z rzekomo humanitarnych i ekonomicznych wskazań do eutanazji zrodziły się hitlerowskie zbrodnie ludobójstwa.

W Niemczech jeszcze przed pierwszą wojną światową sędzia sądu apelacyjnego *von Wiluzky* nawoływał o „prawne uznanie humanitaryzmu w stosunku do cierpiących" pod hasłem, które później stało się sloganem: „psu cios z łaski, a człowiekowi nie"; pisał on: „ale jedno wiem na pewno, że jest straszliwym okrucieństwem świadomie i umyślnie przedłużać bezużyteczne, śmiertelne męczarnie człowieka" (10).

W roku 1920 ukazała się wspólna praca prawnika lipskiego, prof. dra K. *Bindinga* i lekarza-psychiatry z Fryburga, prof. dra A. *Hochego* pod tytułem: *Die Freigabe der Vernichtung lebensunwerten Leben — Ihr Mass und ihre Form* (zgoda na zniszczenie życia niegodnego istnienia — jej zakres i forma). Ci wybitni współcześni naukowcy niemieccy wystąpili w tej pracy z postulatem zrewidowania i rozluźnienia norm przepisów praw dotyczących zabójstwa. Byli oni inicjatorami pojęcia „życie niewarte życia". Określenie to weszło odtąd na stałe w użycie; oni to wywarli decydujący wpływ na sposób myślenia całego pokolenia niemieckiego. *Binding* i *Hoche* domagali się zalegalizowania swobody w uśmiercaniu ludzi, którzy wskutek choroby, czy wypadków zostali straceni dla normalnego życia. Trzeba dać możność skrócenia ich męki, jeśli będąc w pełni świadomości swego stanu, pragną usilnie wyzwolenia i temu życzeniu dają wyraz w jakikolwiek sposób. Według tych autorów sama świadomość chorego, że jego stan jest beznadziejny, może stanowić wystarczający powód, by pragnął on śmierci i domagał się jej z ręki osób trzecich, gdy nie może się sam zdobyć na samobójcze skrócenie swych cierpień. Poza tym ci uczeni domagają się legalnego „niszczenia życia" ludzi dotkniętych „nieuleczalnym głuptactwem" i to niezależnie od tego, czy przyszli w tym stanie na świat, czy też stali się takimi wskutek nabytych ciężkich chorób. *Binding* i *Hoche* domagali się również zalegalizowania swobody w uśmiercaniu „osób umysłowo chorych", które wskutek jakiegoś wypadku doznały ciężkich, nie dających się naprawić uszkodzeń i straciły przytomność, a po odzyskaniu jej musiałyby zdać sobie sprawę ze swego beznadziejnego stanu. Według nich zezwolenie na pozbawienie życia może nastąpić jedynie w myśl surowo i ściśle pod względem prawnym ustalonych wskazań i postępowania. Ostateczna decyzja o beznadziejności stanu chorego i dopuszczalności likwidacji miała należeć do komisji złożonej z lekarza i prawnika. Jeżeli zaś ofiara uległa wypadkowi, a komisja była nieosiągalna, np. z braku czasu lub oddalenia, dopuszczali możliwość ominięcia skomplikowanej procedury.

Prof. *Hoche* uzupełnił postulaty *Bindinga* i jako lekarz psychiatra określił krąg psychicznie chorych, którzy mieli podlegać zagładzie. Warunkiem rozpoznania musiało być przede wszystkim „wyobcowanie psychiczne chorego z zespołu ludzkiej społeczności, przy czym stan jego mózgowia nie pozwala na wytworzenie żadnych pojęć, uczuć i woli". Profesor ten w dalszych swych pracach doszedł do wniosku, który stał w rażącej logicznej sprzeczności z jego pierwotnym twierdzeniem, definiującym pojęcie humanizmu w eutanazji. Głosił on, że „nie można stosować współczucia tam, gdzie nie ma czucia". Prof. *Hoche*, zrezygnowawszy z argumentu o humanizmie w eutanazji, wysunął argumenty o charakterze ekonomicznym, socjalnym, a nawet narodowościowym, mające uzasadnić „konieczność pozbycia się obciążających istnień (*Ballastexistenzen*)".

W ten sposób ten naukowy autorytet stworzył ideologiczny pomost pomiędzy humanitarną eutanazją a narodowościowym darwinizmem. Tzw. eutanazja *Hitlera* w latach 1939 do 1945 nie miała nic wspólnego oprócz nazwy z tym, co powszechnie rozumiano przez pojęcie eutanazji. Już w „*Mein Kampf*" pisał on: „gatunek silniejszy wyeliminuje gatunek słabszy, gdyż naturalny pęd do życia w swojej ostatecznej formie miażdży wszystkie śmieszne więzy tzw. humanitaryzmu, aby na jego miejsce ustanowić humanitaryzm przyrody, który

niszczy wszystko co słabe, aby uczynić miejsce dla silnych" (10).

Od roku 1933 propaganda narodowosocjalistyczna przygotowywała opinię publiczną do tego, że „społeczeństwo nie będzie odgrywać roli pielęgniarza mało wartościowych osobników, a także chorych nieuleczalnie, kalek, zbrodniarzy, przestępców i zgniłków". Orędownikiem tego hasła był partyjny ideolog *Rosenberg*. W tym czasie zaczęto młodzież przygotowywać do zagadnień eutanazji. W podręcznikach matematyki dla dzieci niemieckich pojawiły się wypracowania mające ekonomicznie uzasadnić zbrodnicze hasła *Rosenberga*. Np. takie zadanie: „zadanie nr 95: budowa szpitala dla chorych psychicznie kosztuje 6 milionów marek; ile domów mieszkalnych po 15 000 marek można wybudować za tę sumę?; zadanie nr 97: chory psychicznie kosztuje dziennie 4 marki, kaleka 5,5 marek, przestępca 3,5 marki; w ilu wypadkach urzędnik ma dziennie tylko 4 marki, pracownik umysłowy zaledwie 3,5 marki, a niewykwalifikowany robotnik nawet niecałe 2 marki na głowę swej rodziny?" (10, 3).

Oficjalne zabójstwo dzieci, a właściwie szeroko zakrojone ludobójstwo rozpoczęto już w roku 1939. Punktem wyjścia była prośba skierowana do *Hitlera* przez rodziców dziecka kalekiego i psychicznie ciężko upośledzonego, znajdującego się od lat w klinice chorób dzieci w Lipsku, o „zezwolenie na śmierć z łaski dla ich nieuleczalnie chorego dziecka". *Hitler* wydelegował do Lipska swego lekarza przybocznego, prof. dr *Brandta*. Po naradzie *Brandta* z dyrektorem tej kliniki, prof. *Catelem*, dziecko zostało zlikwidowane. *Brandt* w procesie norymberskim zeznał w tej sprawie między innymi: „Było to dziecko urodzone jako niewidome, sprawiało wrażenie idioty i brak mu było nogi i części ramiona. Lekarze stali na stanowisku, że właściwie utrzymanie przy życiu takiego dziecka jest nie do usprawiedliwienia. Wskazywano na to, że jest rzecza zupełnie naturalną, by w zakładach położniczych, w pewnych warunkach, sami lekarze stosowali w takich przypadkach eutanazje, bez dalszego omawiania takich spraw" — dok. s. 2410 (13).

Przypadek ten był pretekstem do wydania przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy zarządzenia z sierpnia 1938 roku w celu uregulowania i ujednolicenia postępowania w analogicznych sprawach. W oparciu o to zarządzenie powstał „Komitet Rzeszy do spraw naukowego opracowania ciężkich chorób uwarunkowanych dziedzicznie lub konstytucyjnie". Komitet ten utworzył w Berlinie „Centrale doniesień" (*Postfach 101*). Zobowiązano urzędy zdrowia, położne, lekarzy i kliniki do zgłaszania odpowiednich dzieci przez wysłanie dobranych kwestionariuszy do centrali w Berlinie. Stanowił on właściwie kolegium, złożone z rzeczoznawców, do którego należeli profesorowie, dr med. *Catel* z Lipska i dr med. *Heinze* z Brandenburga — Görden oraz lekarz pediatra dr med. *Ventzler*. Wspomniany komitet na podstawie opinii wysyłał „upoważnienie o śmierć z łaski". Jako miejsce likwidacji dzieci ustalono w procesie norymberskim następujące miejscowości: Eichberg, Indstein, Kontenhof i Görden. Wykazy zabitych dzieci, prowadzone przez ten komitet, zachowały się w oryginałach i zostały przedstawione jako dowody rzeczowe w procesie norymberskim. Zawierają one liczbę porządkową, nazwisko, datę urodzenia, rozpoznanie, datę „upoważnienia" i datę zgonu dziecka — dok. nr 1146 (13).

„Komitet Rzeszy" interesował się początkowo dziećmi do lat 3. Granica wieku została później przesunięta do lat 8, następnie do 12, a nawet do 16 i 17 roku życia. Rozszerzenie granicy wieku nastąpiło po oficjalnym — rzekomo — wstrzymaniu eutanazji osób dorosłych. Była to jedna z form utajonej dalszej eutanazji. Wspomniany Komitet działał aż do roku 1945. W późniejszym okresie „oddziały dziecięce Komitetu Rzeszy" stały się także miejscem zabijania dzieci bez wad dziedzicznych lub pourazowych, których dobór następował na zasadzie kryteriów rasowych. Stwierdza to oświadczenie złożone pod przysięgą przez pielęgniarkę oddziałową z zakładu w Hadamar — dok. nr 1427 (13).

Likwidacja chorych psychicznie w zakładach i szpitalach psychiatrycznych jako zagadnienie została opracowana przez naczelnego lekarza III Rzeszy dr *Contiego* oraz przez dr *Lindera*, któremu podlegały zakłady psychiatryczne. Po zakończeniu wojny z Polską *Hitler* w rozmowie z prof. *Brandtem* i kierownikiem kancelarii *führera*, Filipem *Bouhlerem* oświadczył następująco: „teraz chcę zdecydowanie rozwiązać sprawę eutanazji". Z końcem października 1939 roku Hitler podpisał rozporządzenie z wsteczną datą 1.IX.1939 roku: *„Reichsleiterowi Bouhlerowi* i dr med. *Brandtowi* polecam i czynię ich za to odpowiedzialnymi, by rozszerzyli uprawnienia imienne wyznaczonym lekarzom do decydowania o eutanazji u chorych, których stan uznają według swej najlepszej wiedzy i przy uwzględnieniu aktualnych możliwości medycznych za nieuleczalny", dok. nr 630 P. S. Cała ta akcja przebiegała sprawnie, a zarazem dyskretnie i bez poruszenia opinii publicznej, a rozpoczęto ją za pomocą „maskujących organizacji", którymi były „Państwowa Spółdzielnia Pracy — leczenie i sanatoria" (w niej imiennie wyznaczeni lekarze decydowali o życiu i śmierci chorych), „Fundacja Użyteczności Publicznej — na rzecz opieki zakładowej", mająca finansować problem „eutanazji" i „Towarzystwo Użyteczności Publicznej" dla celów transportu chorych *z. co. „GEKRAT"*, które miało zająć się transportem chorych do miejsc zagłady za pomocą własnego parku samochodowego (3, 10).

Przeprowadzając akcję „eutanazji", należało unikać jakiejkolwiek łączności z oficjalnymi instytucjami państwa i partii. Fotokopie zaopatrzone w orzeczenie lekarzy biegłych otrzymywali rzeczoznawcy na najwyższym szczeblu, prof. *Heyde* i prof. *Nitsche* oraz inni profesorowie uniwersytetów. W ich ręku leżała ostateczna decyzja co do przeniesienia chorego do zakładu obserwacyjnego. W zakładach tych

gromadzono chorych przed ich przekazaniem w grupach do zakładów likwidacji. W procesie norymberskim ustalono następujące miejsca zakładów likwidacji: Hadamar w Hesji, Hartheim pod Linzem, Grafeneck w Wirtembergii, Brandenburg nad Hawelą oraz Sonnenstein pod Pirną. Chorzy ani ich rodziny nie mieli prawa do żadnej decyzji. Centrala mieściła się w małej willi w Berlinie przy *Tiergarten-Strasse 4*. Jako cyfry rozpoznawczej używano jej adresu „T4". Od lata 1940 roku kierownikiem akcji „T4" był kierownik kliniki psychiatrycznej, prof. dr Werner *Heyde* (3, 10).



Ryc. 1. Czasopismo „Der Spiegel" (1964, nr 8) zamieściło fotografię prof. dr med. Wernera *Heydego*. Zbrodniarz *Heyde-Sawade* został oskarżony o to, że „jako kierownik *NS-Euthanasia* podstępnie i z zamiarem zabicia pozbawił życia przeszło 100 tysięcy ludzi" (cytat z aktu oskarżenia sądu przysięgłych w Sądzie Krajowym w Limburgu)

Jako środka zagłady używano tlenku węgla. Generalna próba odbyła się w roku 1939 w więzieniu w Brandenburgu nad Hawelą. Chemik z Urzędu Policji Kryminalnej Rzeszy, dr August *Becker* w ciągu 24 sekund zgładził 4 chorych. Z zeznań P. *Kneissler*, byłej pielęgniarki, wynika, że chorych likwidowano przez zagazowanie po uprzednim wstrzyknięciu 2 cm^3 morfiny ze skopolaminą. Wstrzyknięć dokonywał lekarz, a gazowanie przeprowadzał specjalny personel (10).

Protesty opinii publicznej Rzeszy, a zwłaszcza wypowiedzi duchownych spowodowały, że akcja „eutanazyjna" została w jesieni 1941 roku zatajona. Z akt przeciwko *Brandtowi* wynika, że po zakończeniu akcji przymusowego zabijania „osób niewartych istnienia" likwidacja odbywała się dalej w poszczególnych zakładach (między innymi w Obrzycach); nieuleczalnie chorzy, chorzy psychicznie, a nawet zdrowi byli ze względów rasowych lub narodowościowych zabijani wstrzyknięciami leków (morfina, luminal itp.). W wyroku sądu przysięgłych w Düsseldorfie określono liczbę zamordowanych chorych psychicznie jako nieustaloną, na pewno jednak wyższą niż 100 tysięcy (3, 10).

Jeśli uzasadnienie „udzielania pomocy w uśmiercaniu" w stosunku do nieuleczalnie chorych psychicznie, bądź też dzieci niedorozwiniętych lub z wadami wrodzonymi mieściło się jeszcze w obrębie problematyki lekarskiej, to w dalszym przebiegu akcji „tępienia" wyraźnie przestawiono się na zabijanie ludzi ze względów wyłącznie polityczno-ideologicznych, czy to z uwagi na przynależność do tzw. „mniej wartościowej" (dosłownie — niepożądanej) narodowości, czy też z powodu niezdolności do pracy. Próby ukrycia tych zamiarów zabijania unaocznia fakt, że w obozach koncentracyjnych dokonywali selekcji więźniów ci sami lekarze rzeczoznawcy, którzy rozstrzygali jednocześnie o losach chorych w zakładach zdrowia i opieki (dok. nr 429), (3).

Zupełnie niezależnie od tego wyniszczono na terenie Rzeszy pracowników ze Wschodu, psychicznie chorych oraz niezdolnych do pracy. Nie zadawano sobie wówczas trudu, by uzasadnić to chociażby tylko dla pozoru jakimikolwiek względami lekarskimi. Komory gazowe i personel dla tych celów przesunięto z akcji „eutanazyjnej", a doświadczenie zdobyte w akcji zatruwania gazem psychicznie chorych zostało wyzyskane w pełni; prot. s. 7613 (3).

Akcję masowej zagłady, o której wspomniano, przeprowadzono pod kryptonimem „14 f 13". Akja ta osiągnęła potworne rozmiary. Jeżeli hitlerowcy zdecydowali się na wyniszczenie chorych psychicznie i kalek we własnym kraju, to tym bardziej nie mieli zastrzeżeń przy realizacji tego planu w Polsce. Akcję likwidacyjną w polskich szpitalach i zakładach psychiatrycznych prowadziły okupacyjne władze hitlerowskie na wielką skalę, z niespotykaną dotąd zaciekłością i bestialstwem, przy czynnym współudziale niemieckiej służby zdrowia. Pierwszą fazą tej akcji było głodzenie chorych. Właściwa akcja likwidacyjna miała w zasadzie podobny przebieg; chorych z reguły wywożono ze szpitali i rozstrzeliwano na odludziu, zacierając starannie ślady zbrodni. Niekiedy uśmiercano chorych gazami spalinowymi w specjalnie w tym celu skonstruowanych samochodach, a w Chełmie Lubelskim w bestialski sposób wymordowano chorych na terenie szpitala ogniem karabinów maszynowych. Zbrodnie te były tak potworne, masowe i osobliwe, że wymagały obszernego, odrębnego omówienia w następnym artykule.

Te potworne i masowe zbrodnie ludobójstwa, popełnione pod osłoną „eutanazji", realizowane przy udziale niemieckiej służby zdrowia, były bolesną i straszną przestrogą dla tych wszystkich, którzy dzisiaj jeszcze są zwolennikami eutanazji. Zbrodnie te wyrosły z tego samego podłoża, z którego czerpały

swoje niszczycielskie siły inne zbrodnie hitlerowskie. Po wykreśleniu z niemieckiego słownika pojęcia „człowiek" przekreślone zostały tym samym te wszystkie zasady i hamulce moralne, które mogłyby się przeciwstawić idei zagłady „istnień niewartych życia".

Prawo nie może uznać, by uśmiercanie uważano za środek leczniczy. Jest oczywiste, że dzisiejsze wysiłki lecznicze o utrzymanie przy życiu potworków są w swej istocie dramatyczne. Niezależnie od tego należy stwierdzić, że obserwacja lekarska i leczenie wspomnianych niedorozwiniętych istot ludzkich albo nieuleczalnie umysłowo chorych niewątpliwie przyczynia się do postępów wiedzy medycznej i — z tego punktu widzenia — ich życie nie jest całkowicie dla ludzkości bezużyteczne. Można więc ostatecznie wątpić, czy rzeczywiście jest konieczne stosowanie w tym celu zabiegów tak nadzwyczajnych, które, inaczej użyte, mogłyby się przysłużyć do zwiększenia wysiłków w realizowaniu pomocy społecznej dla inwalidów mających możliwość powrotu dzięki nim do aktywnego uczestniczenia w życiu.

H. *Thelin* stwierdza, że bez względu na to, z jakiegokolwiek punktu widzenia rozpatrywano by zagadnienie eutanazji, należy ją uznać jako zbrodnię i jako zjawisko sprzeczne z moralnością i porządkiem społecznym. Legalizacja sytuacji, która już *a priori* jest zbrodnią, stwarza bardzo delikatne zagadnienia. Legalizacja takich sytuacji, gdyż jedynie tolerancja wchodzi w rachubę, spowodowałaby w praktyce taką częstotliwość, iż całe zagadnienie w opinii publicznej ostatecznie ugrzęzłoby na mieliźnie (8).

Uprzejmość, szacunek, a nawet cześć, jaką w okresach ewolucji społeczeństwo otaczało starców, uprzejmość wobec słabych były oznaką siły społecznej. Społeczeństwo, które w imię jakichś zasad poświęciłoby nieproduktywnych starców, skazywałoby się samo na nędzną wegetację (5).

Podstawowym zadaniem działalności lekarza jest ratowanie życia ludzkiego. Walka o życie chorego aż do wyczerpania wszystkich możliwych środków należy do najszczytniejszych obowiązków lekarza. Świadome i celowe spowodowanie śmierci, nawet pomimo — zdawałoby się — najbardziej uzasadnionych motywów, sprzeciwia się tej zasadzie podstawowej dla istoty zawodu lekarskiego. Niezależnie od tego doświadczenie lekarskie poucza, jak trudną i nieraz zawodną jest rzeczą — pomimo niewątpliwego postępu wiedzy lekarskiej — rokowanie i ustalenie stanu nieuleczalności i zupełnej beznadziejności leczenia. Pamiętać również należy o tym, że niektóre ciężkie, nieuleczalne choroby w związku z postępem medycyny przestały być nieuleczalne. W tym stanie rzeczy lekarz świadomy swego powołania i odpowiedzialności nie może być zwolennikiem eutanazji, nie może czuć się uprawniony do decydowania o niej i nie może być jej wykonawcą (4).

Ze stanowiska lekarskiego — i nie tylko lekarskiego, lecz przede wszystkim ogólnoludzkiego — istnieją bardzo poważne zastrzeżenia co do eutanazji. Natomiast nie ulega wątpliwości, że kojenie cierpień chorego należy do najszczytniejszych obowiązków lekarza, sformułowanych jeszcze w starożytności: *„sedare dolorem divinum est"*. Dlatego też w przypadkach ciężkich, nieuleczalnych chorób, połączonych z silnymi cierpieniami lekarz może i powinien stosować odpowiednie środki uspokajające i uśmierzające ból. W przypadkach beznadziejnych, w których obawa wywołania narkomanii nie może mieć znaczenia, wolno stosować silnie działające środki narkotyczne. W ten sposób, nie skracając czynnie życia chorego, lekarz może w miarę możności łagodzić cierpienie i lęk śmierci. Wybór środka narkotycznego, dawkowanie i okres stosowania, bądź chwila zastosowania wymagają należytej rozwagi i wysokiego poczucia odpowiedzialności (4).

Nowoczesne ustawy karne wyodrębniają zabójstwo na żądanie jako *delictum sui generis*, tj. przestępstwo uprzywilejowane w stosunku do zwyczajnego zabójstwa. Za takim ujęciem tego zagadnienia przemawia niewątpliwie mniejsza szkodliwość tego czynu, sprawca bowiem swoim działaniem nie gwałci woli do życia chorego i zabija jednostkę, która sama uznaje swoją bezwartościowość do życia. Sprawca poza tym działa pod wpływem współczucia, powodowany szlachetną pobudką skrócenia cierpień ofierze. Większość ustaw prawnych wymaga kumulatywnego współistnienia tych dwóch znamion, tj. sprawca musi działać pod wpływem współczucia oraz na żądanie ofiary. Polski kodeks karny z roku 1932 w ten sposób ujmuje zagadnienie eutanazji w artykule 227, który przewiduje, że „kto zabija człowieka na jego żądanie pod wpływem współczucia dla niego, podlega karze więzienia do lat 5 lub aresztu". Projekt nowego kodeksu karnego z roku 1968 (różniący się zresztą od projektu z roku 1963) nie wprowadza zmian (art. 156) w stosunku do starego kodeksu karnego z roku 1932, przy czym przewiduje karę „pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5".

Jak z tego wynika, warunkiem uprzywilejowania zabójstwa na żądanie jest, aby subiektywną pobudką działania sprawcy było współczucie dla ofiary, przy czym chory musi znajdować się w takim stanie, który uzasadnia to współczucie. Natomiast „żądanie musi być wyraźne, bezpośrednie, stanowcze, swobodne, świadome i przekonywające. Jeśli sprawca działa pod wpływem innej pobudki, a nie z litości, to samo żądanie nie wystarczy do uznania go za przestępstwo uprzywilejowane, za eutanazję".

Dorozumiana zgoda nie wystarcza. Dlatego osoby nieprzytomne oraz osoby nieletnie nie mogą skutecznie wyrazić takiego żądania. Podobnie żądanie śmierci wyrażone przez osobę chorą umysłowo nie ma znaczenia prawnego. W związku z tym zabójstwo na żądanie dokonane na psychicznie chorym musi być poczytane za zwykłe zabójstwo. Tak samo należałoby

kwalifikować żądanie śmierci wyrażone przez dzieci (2, 6, 9).

Ustawa karna karze bezwzględnie sprawcę śmierci nawet w tym przypadku, gdy kieruje nim najszlachetniejsze uczucie ludzkości i litości i tylko przy wymiarze kary czyni różnicę między nim a pospolitym mordercą (2).

W praktyce znane są przypadki kwalifikacji zabicia człowieka pod wpływem współczucia z artykułu 225 k. k., który przewiduje karę do 10 lat więzienia dla osoby zabijającej pod wpływem silnego współczucia. Chodziło o zabójstwo z litości dokonane przez matkę na nieuleczalnym dziecku. W tych sprawach ustalono wprawdzie, iż sprawczyni kierowała się wyłącznie współczuciem w stosunku do swego dziecka, natomiast brakło drugiej koniecznej przesłanki, tj. „żądania śmierci" ze strony chorego. Gdyby nawet zdołano wykazać, co wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, iż dziecko dało jasno wyraz pragnienia śmierci, to oświadczenie takie pozbawione byłoby i tak jakiegokolwiek znaczenia prawnego (6, 9).

Sawicki wyraża pogląd, iż żądanie śmierci wyrażone przez dziecko poniżej lat 13 pozbawione jest w ogóle znaczenia, natomiast gdy chodzi o nieletnich pomiędzy 13 a 17 rokiem życia, zależeć to będzie od oceny rozwoju psychicznego. W tym wypadku, inaczej niż przy zezwoleniach koniecznych dla przeprowadzenia zabiegu leczniczego, oświadczenie osoby małoletniej, aby zadać jej śmierć, jeśli liczy ona poniżej 18 lat, pozbawione jest jakiejkolwiek mocy prawnej (6, 9).

Skrócenie życia nieuleczalnie chorego człowieka bez jego wiedzy i jego woli jest zwykłym zabójstwem; nie ma ono żadnego wpływu na ocenę winy lekarza, który skraca życie powodowany współczuciem dla cierpiącego człowieka.

Przepisy prawne i lekarskie wskazania deontologiczne są bezwzględne; lekarz nie może wchodzić w żaden kompromis ze śmiercią, jego obowiązkiem jest walczyć z nią wszystkimi środkami. Czy można wyobrazić sobie inną postawę oficjalną? Brak ostro zarysowanej granicy, która wyznaczyłaby miejsce, gdzie należy się zatrzymać, groziłby w sposób nieunikniony poślizgnięciem. Strach zaś przed tego rodzaju poślizgnięciem się wywołuje zawsze napięcie uwagi i usztywnienie stanowiska. Zresztą, gdyby stanowisko oficjalne dopuszczało tolerancję, chory w momencie, w którym jest przyjmowany do szpitala, mógłby sobie zadać pytanie, czy nie zechcą go tam poświęcić na ołtarzu spokoju publicznego (5).

Nad rolą hipokryzji w społeczeństwie w związku z eutanazją można by rozpocząć szeroką dyskusję. Przytoczę tu wypowiedź A. *Sauvy'iego*, że „ani prawo, ani deontologia nie mogą zezwolić na kompromis, kiedy chodzi o życie. Umiemy często dawać życie, umiemy je nieraz przedłużać, nie mamy prawa go nigdy skracać dla tej uzasadnionej przyczyny, że nie umiemy go przywracać. Nie przecinajmy nici, której nie potrafimy z powrotem związać".

PIŚMIENNICTWO

1. *Binding* K., *Hoche* A.: Die Freigabe der Vernichtung lebensunwerten Lebens. Leipzig 1920. — 2. *Cyprian* T.: Karna i cywilna odpowiedzialność lekarza. Wyd. J. Jaroszewski, Kraków 1949. — 3. *Mitscherlich* A., *Mielke* F.: Nieludzka medycyna. Dokumenty procesu norymberskiego przeciwko lekarzom. PZWL, Warszawa 1963. — 4. *Popielski B.:* Medycyna i prawo. PZWL, Warszawa 1968 (wyd. II). — 5. *Sauvy* A.: Granice życia ludzkiego. PWN, Warszawa 1963. — 6. *Sawicki* J.: Z paragrafem za pan brat. Iskry, Warszawa 1968 (wyd. II). — 7. *Siewierski* M.: Kodeks karny i prawo o wykroczeniach. Komentarz. Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1958. — 8. *Thélin* M. H., *Michuh* M. P.: Le probleme de la régulation des naissances. Aspects médico-sociaux. Annales de Médicine Légale, 1967, nr 5, s. 397—411. — 9. *Williams* G.: Świętość życia a prawo karne. PZWL, Warszawa 1960. — 10. Der Spiegel, 1964, nr 8. Euthanasie. Prozess *Heyde-Sawade*, NS Verbrechen. Handvoll Asche.

11. Der Spiegel, 1964, nr 8. Aus Menschlichkeit Töten? Spiegel-Gespräch mit Professor Dr Werner *Catel* über Kinder-Euthanasie. — 12. Wielka Encyklopedia Powszechna, tom 3. PWN, Warszawa 1963. — 13. Wörterbuch der Medizin, Veb Verlag Volk und Gesundheit, Berlin 1964.

EDMUND CHRÓŚCIELEWSKI
WIESŁAW CELIŃSKI

Poznań

Pseudoeutanazja w „Kraju Warty" podczas okupacji hitlerowskiej

Mieszkańcy Wielkopolski dłużej niż ludność tzw. Generalnej Guberni patrzyli w twarz wroga ze swastyką i dokładnie poznali jego bestialstwa. Stosunek hitlerowców do ludności polskiej Poznania i Wielkopolski wyraźnie określa wypowiedź namiestnika „Kraju Warty", Artura *Greisera*, na odprawie w roku 1940: „Polacy mogą u nas pracować, lecz jako parobcy, a od was żądam stanowczo, abyście byli brutalni, twardzi i jeszcze raz twardzi". Tenże *Greiser* w roku 1942 w odczycie swym w Uniwersyteckim Instytucie Gospodarki Światowej w Kilonii przedstawił tezę, streszczającą istotę realizowanego w bezwzględny sposób planu eksterminacji ludności polskiej „Kraju Warty": „Zniemczenie «Kraju Warty» oznacza według mnie, że żaden inny naród oprócz narodu niemieckiego nie ma prawa tam mieszkać. To jest różnica między moją kolonizacją a starą kolonizacją bismarckowską".

W „Kraju Warty" mimo masowych wysiedleń do Generalnej Guberni i mimo wyniszczenia około 100 tysięcy osób pozostało jeszcze około 3 miliony Polaków. Polskie tereny „Kraju Warty" były systematycznie kolonizowane przez osadnictwo niemieckie. Pozostali na miejscu Polacy byli skazani na wytępienie i niewolnictwo. Tworzono dla nich obozy koncentracyjne, z których najpotworniejszymi były Fort VII, Żabikowo i obóz w Chełmnie nad Nerem. W tym ostatnim stracono ogółem około 340 tysięcy osób.

Jedną z postaci masowej eksterminacji ludności polskiej „Kraju Warty" było zastosowanie na dłuższą skalę pseudoeutanazji. Na tym terenie akcja eutanazyjna przybrała charakter masowego mordu psychicznie chorych i niedołężnych.

Winę za realizowanie „eutanazji" w „Kraju Warty" ponosi przede wszystkim administracja niemiecka, a zwłaszcza administracja i personel lekarski hitlerowskiej służby zdrowia. Jeśli wspominamy o programie eutanazji, to o tyle, że z problematyki lekarskiej w dalszym ciągu wyraźnie przestawiono się na mordowanie ludzi ze względów wyłącznie polityczno-ideologicznych, czy to z uwagi na przynależność do tzw. „mniej wartościowej" narodowości, czy też z powodu niezdolności do pracy. Dowód: Dok. N. O. 429, Dok. N. O. 1427.

Z tajnego rozkazu *Himmlera* prowadzono początkowo w obozach koncentracyjnych akcję specjalną pod kryptonimem „14 f 13". Akcja ta polegała na wytępieniu osób niedorozwiniętych umysłowo, kalek, osób niezdolnych do pracy. Dowód: protokół rozprawy w sprawie Karola *Brandta* i innych przed Amerykańskim Trybunałem Okupacyjnym w Norymberdze (grudzień 1946 — sierpień 1947). Zupełnie niezależnie zarówno od programu eutanazii, jak i akcji „14 f 13" przeprowadzono masową zagładę ludności na Wschodzie. Nie zadawano sobie żadnego trudu, by akcje tę uzasadniać choćby tylko dla pozoru jakimikolwiek względami. Dowód — jak wyżej.

W ten sposób doszło do wymordowania umysłowo chorych w szpitalach „Kraju Warty". Wymordowanie tych osób nastąpiło wskutek akcji specjalnych — tzw. *Sonderbehandlung* — w związku z akcją „14 f 13". Odpowiedzialność za owe akcje specjalne, będące w rzeczywistości niczym innym, jak masowymi morderstwami, spada zarówno na wydających polecenia tego rodzaju, jak i na wykonawców.

Jak dotąd, nie odnaleziono pisemnych dokumentów dotyczących prowadzenia akcji specjalnych w „Kraju Warty", z których „czarno na białym" wynikałaby odpowiedzialność za masowe morderstwa dokonane w szpitalach „Kraju Warty". Nie wydaje się to jednak całkowicie konieczne, jeśli zostanie ustalone w sposób bezsporny, co w ramach akcji specjalnych uczyniono i kto to uczynił. Jeśli bowiem okaże się, że dokonano morderstw, to w zależności od ustalenia osób lub grup osób, które ich dokonały, przynależnych do odpowiednich władz, np. administracyjnych, policyjnych, służby zdrowia itp., można będzie ustalić odpowiedzialność zarówno tych osób, jak i ich bezpośrednich przełożonych.

We wspomnianym procesie *Brandta* i innych ustalono bowiem w sposób niezbity ścisłą zależność między wydającymi polecenie a wykonawcami akcji specjalnych. Wykonawcy nie podjęliby się sami przeprowadzenia akcji specjalnych zakrojonych na tak szeroką skalę i szczegółowo opracowanych bez szczególnego rodzaju polecenia. Dowód: Protokół rozprawy w sprawie Karola *Brandta* i innych. Wskazuje na to również systematyczność akcji, środki, jakich użyto i wreszcie sposoby, jakimi starano się ukryć całość tych akcji. Akcją specjalną wymordowania chorych umysłowo w szpitalach objęto cały teren „Kraju Warty".

Podkreślić trzeba z całą stanowczością, że w badaniach pominięto sprawę śmierci chorych w samych szpitalach czy to z przyczyn naturalnych, czy nawet mniej naturalnych, jednak bez współdziałania czynników zewnętrznych. Badania ograniczyły się wyłącznie do tych przypadków, w których chorych wywieziono ze szpitali i wymordowano. W ten sposób wydzielono to ostatnie zagadnienie od sprawy sytuacji i od celowego wyniszczenia chorych w szpitalach przez lekarzy niemieckich za pomocą pracy ponad siły, głodzenia itp.

W toku *„Sonderbehandlung"* wymordowano nie tylko przewlekle chorych, nie tylko osoby w różnym stopniu niedorozwinięte umysłowo, ale i osoby chore na przemijające psychozy, a więc i takie, które po pewnym czasie mogły powrócić do zdrowia i normalnie żyć i pracować.

Znane sprawozdanie *Brandta „Die bisher geleistete Arbeit der Aktion"* stwierdza, że w Niemczech w okresie lat 1940—1941 zamordowano 70 273 chorych hospitalizowanych, co jest równoznaczne z oszczędzeniem rocznie 88 543 900 marek. Przy założeniu, że osoby te żyłyby co najmniej przez 10 lat, miesięczne kwoty dają sumę 885 439 800 marek. W ten sposób przeliczono życie ludzkie na marki i fenigi.

Jeżeli władze hitlerowskie przeprowadziły wymordowanie własnych obywateli we własnym kraju, to tym bardziej realizowały ten plan w Polsce. Nie trzeba przy tym zapominać, że „Kraj Warty" stanowił w okresie okupacji jedną z prowincji niemieckich, a więc obowiązywały w niej te same zarządzenia, co w Niemczech, w ich granicach przedwojennych.

Akcja masowych morderstw osób umysłowo chorych miała we wszystkich szpitalach na terenie „Kraju Warty" na ogół jednolity i typowy przebieg, dokładny, uplanowany i systematycznie realizowany. Chorych z reguły wywożono ze szpitali i albo zagazowywano po drodze w specjalnych samochodach, albo rozstrzeliwano na odludziu, maskując starannie ślady zbrodni w miejscach, w których zamordowanych pochowano. Wywożenie chorych ze szpitali odbywało się zawsze pod pozorem ewakuacji do innych szpitali. W ten sposób wyreżyserowano wymordowanie chorych w szpitalach

psychiatrycznych w Gnieźnie (Dziekanka), Kościanie, Owińskach, Warcie i Gostyninie.

Wymordowanie chorych ze szpitala w Gnieźnie (Dziekanka)

Zajęcie szpitala przez władze niemieckie nastąpiło 11.IX.1939 roku. Dyrektorem szpitala został dr Wiktor *Ratke, sturmführer SA,* syn Franciszka i Marii z domu *Tudzierz,* urodzony w Łazienkach Górnych na Śląsku. Jego zastępcą został Niemiec, *volksdeutsch* dr Stefan *Galon.* W roku 1941 zastępował dra *Ratkego* dr *Nikolajew (Baltendeutscher),* odznaczający się szczególnie jaskrawą nienawiścią do Polaków.

Z chwilą objęcia kierownictwa szpitala przez dr *Ratkego* rozpoczęto systematyczną akcję wymordowywania chorych. Chorzy ci w liczbie 1201 osób zostali „ewakuowani" partiami w ciągu grudnia 1939 roku i stycznia 1940 roku w specjalnych autach ciężarowych, szczelnie zakrytych i obitych, z przewodami od motoru prowadzącymi do wnętrza samochodu. „Ewakuacją" zajmowały się specjalne oddziały *SS.*

Dziennie odchodziło ze szpitala po kilka transportów. Chorych przeznaczonych do tej „ewakuacji" wybierali według swego uznania niemieccy pielęgniarze, dajac im poprzedniego dnia środki odurzające. Chorych wywożono w kierunku na Poznań i Wrześnię, a po kilku godzinach samochody wracały po nowy transport. Czas nieobecności oraz liczniki, które personel polski miał okazję podpatrzeć, wskazywały, że auta odbywały drogę w promieniu 60—70 km od Gniezna i że jeżdżono po bocznych i lesistych drogach, za czym przemawiało obłocenie aut i przyczepione do nich gałązki drzew, mech i igliwie. Esesmani wracali podrapani, w podartych mundurach i ze śladami krwi. W autach spostrzegano często resztki znanych ubrań chorych.

Rodziny „ewakuowanych" otrzymywały oficjalne zawiadomienie, że chory został przeniesiony do jakiegoś innego zakładu. Po pewnym czasie przysyłano rodzinom drugą wiadomość, że chory zmarł i został tam a tam pochowany, często z podaniem numeru grobu. Dowód: zeznanie świadków doktorów *Gallusa, Skrzypca, Orlickiego, Bartoszaka, Padalskiej* i szofera *W. Zielonki*; odpisy pism dotyczące korespondencji między władzami niemieckimi a rodzinami zamordowanych chorych W ten sposób zostało wywiezionych i bez żadnych wątpliwości zamordowanych w roku 1939 przez oddziały *SS* 595 chorych, w roku 1940 — 448 chorych i w roku 1941 — 158 chorych; razem z tego szpitala oddziały *SS* wymordowały 1 201 chorych.

Wymordowanie chorych ze szpitala w Kościanie

We wrześniu 1939 roku polskie kierownictwo tego szpitala zostało zastąpione przez dr *Fritza Lembergera,* który został dyrektorem szpitala, oraz inspektora *Hansa Medinga* i nadpielęgniarza Wilhelma *Haydna.* W szpitalu było wówczas około 600 chorych. W styczniu 1940 roku przybył do szpitala oddział esesmanów w liczbie przeszło 20 osób na czterech samochodach i to jednym osobowym, dwóch ciężarowych i czwartym dużym, czarnym, szczelnie zamkniętym z napisem: „*Kaisers Kaffe Geschäft*". Ten ostatni miał wmontowane urządzenie, które doprowadzało gazy spalinowe z motoru do wnętrza samochodu.

W dniu 14 stycznia 1940 roku w przeddzień zapowiedzianej „ewakuacji" chorych dr *Lemberger* wręczył nadpielęgniarzowi *Haydnowi* butelkę zawierającą mieszankę morfiny i skopolaminy z poleceniem wstrzyknięcia tej mieszanki chorym na godzinę przed „ewakuacją". Zastrzyki te spowodowały u chorych senność, ogólną słabość aż do przewracania się, zanieczyszczenie moczem i kałem. W dniu „ewakuacji", tj. 15. I. 1940 roku zakazano lekarzom polskim zjawiania się na oddziałach w szpitalu.

Chorych ubrano lekko, a w dniu tym panował silny mróz, ładowano do samochodów, upychając ich jak martwe przedmioty. Pracę tę wykonywali i dozorowali esesmani, nie mając dla chorych żadnych względów. Ofiary wywożono szosą w kierunku Poznania. Gałązki świerku, uczepione do samochodu, na które zwrócono uwagę po powrocie samochodów, wskazywały, że chorych wywożono wprost do jakiegoś lasu. Uśmiercano ich już w drodze gazami spalinowymi w zamkniętym aucie, a tych, którzy byli wiezieni innymi samochodami, mordowano w lesie i zaraz grzebano.

W podobny sposób wywożono chorych w dniu 22 stycznia 1940 roku. W czasie „ewakuacji" chorych las Jarogniewice pod Kościanem obstawiony był posterunkami *SS.* Wspomniane samochody z obsługą *SS* widziano w chwili, gdy wjeżdżały do lasu. Kiedy następnie posterunki *SS* opuściły las, stwierdzono, że na polanie, na której śnieg był zdeptany i do której prowadziły ślady samochodów, znajdowały się trzy groby masowe o wymiarach 9 × 9 m, 6 × 6 m i 4 × 6 m. Przy grobach tych znajdowano części garderoby damskiej i męskiej, różańce, nici do cerowania itp. Dowód: zeznania świadków: dr *Łukaszewskiego,* polskich pielęgniarzy *Kędzierskiego, Laisnera, Bednarka, Gajewskiej, Adamczyka* i *Łopatki,* leśniczego St. *Janasika*; lista zamordowanych chorych ze szpitala w Kościanie; akta śledcze Prokuratury Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, sygn. nr VII.S. 32/49.

W dniach 15 i 22 stycznia 1940 oddziały *SS* zlikwidowały w podany sposób 236 mężczyzn i 298 kobiet psychicznie chorych ze szpitala w Kościanie.

W lutym tegoż roku nadeszły do Kościana transporty umysłowo chorych ze szpitali niemieckich w Obrzycy, Leborku i Ukermunde w liczbie około 1 200 osób. Chorych tych zlikwidowano również stosując taką samą metodę.

Groby pomordowanych znajdujące się w lasach Jarogniewice i Głuchowo pod Kościanem oddziały *SS* zamaskowały w ten sposób, że

w czerwcu 1940 roku posiano na nich trawę, a w lutym i marcu 1944 roku oddziały *SS* groby rozkopały, spaliły znajdujące się w nich zwłoki, a na zrównanej ziemi posadzono świerki. Celem informowania rodzin chorych o losach samych chorych założono w Kościanie tzw. „*Zentrale für Krankenverlegung*", która wystawiała fikcyjne dokumenty śmierci i udzielała fałszywych informacji o miejscu pochowania rzekomo zmarłych chorych. Dowód: zeznania wspomnianych świadków.

Wymordowanie chorych ze szpitala w Owińskach

W połowie września 1939 roku szpital został zajęty przez oddział *SS* z tzw. *Totenkopfstandarte*. Komendantem ich był *hauptsturmführer* Herman *Schmidt* z Hamburga, *hauptscharführer Ambroth* (potem był w Dachau), *unterscharführer Riener* (potem był w Dachau) oraz esesmani *Hasenjüger, Müller, Reichelt, Ritter*.

W końcu października 1939 roku kierownictwo szpitala zostało objęte przez Niemców: dra *Bartuszaka* ze Szczecina, inspektora *Milde* i nadpielęgniarza *Meinke*. W tym czasie przybył do szpitala z Poznania esesman *Bause*, podobno lekarz, który dokonał spisu chorych. Około 1 listopada 1939 roku rozpoczęto „ewakuację" chorych. Tego dnia zajechały przed szpital dwa samochody ciężarowe kryte brezentem, a stacjonujący w szpitalu oddział *SS* przystąpił do ładowania chorych.

Esesmani uzbrojeni byli w broń ręczną; każdy z nich miał łopatę. Po załadowaniu chorych samochody odjeżdżały około godziny 9 rano i puste wracały do szpitala około 15. Czasem wyjeżdżano jeszcze raz tego samego dnia. Według obserwacji liczników samochody odbywały drogę w promieniu około 50 km. Łopaty esesmanów po powrocie były powalane krwią i ziemią. Ostatnią grupę w ten sposób „ewakuowanych" stanowiły dzieci. Esesmani wyrywali je z rąk pielęgniarek bez żadnych względów i wrzucali do samochodów. Przez szpary płachty brezentowej samochodu wysuwały się ręce i nogi dzieci, na co nie zwracano najmniejszej uwagi.

Według spisu chorych na dzień 1. IX. 1939 roku szpital liczył 1 100 chorych mężczyzn, kobiet i dzieci, w tym także około 150 Niemców, których przed „ewakuacją" chorych narodowości polskiej wywieziono autobusami do szpitala w Gnieźnie (Dziekanka). Przed 1. XI. 1939 roku wszyscy chorzy Polacy zostali w opisany sposób „ewakuowani", a jak urzędowo stwierdziła policja bezpieczeństwa, „odtransportowani".

Ostatnio na terenie Nadleśnictwa Oborniki w oddziale 163 Lasów Różnowickich odkryto masowe groby. Według ustaleń groby te zawierają między innymi zwłoki zamordowanych chorych ze szpitala w Owińskach. Dowód: zeznania świadków — dra *Szewczuka*, dra *Jaroszewskiego*, M. *Świtałowej*, Jana *Przybyły*, Pelagii *Komys*, Gabrieli *Hadyńskiej*; dokumenty dotyczące masowych grobów w Lasach Różnowickich.

Wymordowanie chorych ze szpitala w Gostyninie

Szpital przejęły oficjalnie władze niemieckie dopiero 6 marca 1940 roku, przesyłając z Poznania niemieckie kierownictwo szpitala, ale już w dniu 3 lutego 1940 roku przyjechała do szpitala policja bezpieczeństwa z Sierpca i zażądała wydania chorych według wykazu. W dniu 3. II. 1940 roku policja zabrała 10 chorych, w dniu 27. II. 1940 roku 14 chorych, w dniu 15 marca 1940 roku 10 chorych, w dniu 10. V. 1940 roku 6 chorych, w dniu 31. V. 1940 roku 5 chorych i w dniu 3. VI. 1940 roku 3 chorych. Ogółem policja bezpieczeństwa ze Sierpca zabrała ze szpitala 35 mężczyzn i 13 kobiet, razem 48 osób. Po chorych policjanci przyjeżdżali uzbrojeni w karabiny, a w samochodzie znajdowały się łopaty. Po chorych tych ślad całkowicie zaginął i nie ma wątpliwości, że zostali oni zamordowani.

Po tych „ewakuacjach" wstępnych nastąpiło dalsze wywiezienie w dniu 3. VI. 1941 roku, kiedy to 59 chorych dostarczono do przytułku dla starców w Śremie. Transport przeprowadzono przy pomocy personelu polskiego. Po przywiezieniu chorych do Śremu natychmiast pracowników polskich odseparowano od chorych. Wiadomo, że w Śremie był etapowy punkt mordowania chorych „ewakuowanych" ze szpitali. Mordów dokonywał stacjonujący tam oddział policji bezpieczeństwa. Nie ulega więc wątpliwości, że i tych 59 chorych zostało w Śremie zamordowanych. Dowód: zeznania świadków dr E. *Wilczkowskiego* oraz A. *Hołogi* i E. *Szuberta*.

Wymordowanie chorych ze szpitala w Warcie (powiat Sieradz)

Po wkroczeniu wojsk niemieckich dyrektorem szpitala został Niemiec, dr Hans *Renfranz*, inspektorem Alfred *Thoms*, kierownikiem kasy Paul *Mader*. „Ewakuację" chorych z tego szpitala przeprowadzono w sposób identyczny, jak ze szpitala w Kościanie. Odbyła się ona w dniach 2. III. i 4. IV. 1940 roku. W tym czasie przebywało w szpitalu 500 chorych.

W dniu 31 marca przybył do szpitala oddział *SS* na czterech samochodach ciężarowych, z których trzy były kryte brezentem, jeden zaś, szczelnie zamknięty, nosił napis „*Kaisers Kaffe Geschäft*" i miał urządzenie doprowadzające z motoru do wnętrza gazy spalinowe. Z esesmanami przebywało 6 jeńców nieznanej narodowości.

Dnia 1. IV. 1940 roku dowódca oddziału zapoznał się ze spisem chorych, przygotowanym uprzednio przez poprzednika dra *Renfranza*, dra *Lembergera* i tego samego dnia udał się wraz z dwoma esesmanami do lasu położonego przy szosie prowadzącej do Łodzi. 2. IV. 1940 roku od 8 rano ładowano samochody chorymi, używając wobec opierających się przemocy. Esesmani odnosili się do chorych brutalnie.

Ofiary wywożono szosą do lasu, na co wskazywały gałązki świerków uczepione do samochodów. Po upływie 3—4 godzin samochody wracały puste. W ten sposób wywożono chorych 3 i 4 kwietnia 1940. Z chorymi zabierano za każdym razem przywiezionych ze sobą jeńców, którzy musieli grzebać zwłoki pomordowanych. Ostatniego dnia zlikwidowano również jeńców.

Po dwudniowym pobycie w szpitalu esesmani wyjechali. Koszty ich pobytu w szpitalu wyniosły 3 600 marek. Za „ewakuację" szpital zapłacił sztabowi *SS* 14 700 marek. Na zapytania rodzin o los i miejsce pobytu chorych od tego czasu nie odpowiadała dyrekcja szpitala, lecz wspomniana już „*Zentrale für Krankenverlegung*". Groby pomordowanych chorych ze szpitala we Warcie znajdują się w lesie między wioskami Młyn i Roszoszyca w powiecie sieradzkim.

Drugi raz „ewakuowano" chorych ze szpitala w Warcie dopiero w dniu 16. IV. 1941 roku. W tym dniu zabrano chorych niewyleczalnych i nie pracujących w liczbie 81 osób (48 mężczyzn i 33 kobiet). Pod dozorem niemieckich pielęgniarzy z Jakobem *Humbertem* jako kierownikiem i przy pomocy polskich pielęgniarzy odwieziono chorych pociągiem do Ponieca, gdzie na dworcu czekały na nich samochody ciężarowe z obsadą esesmanów. Chorych i obsadę pielęgniarską zawieziono do byłego zakładu pracy przymusowej w Bojanowie. Pielęgniarze tego samego dnia odjechali z powrotem do szpitala w Warcie, chorzy zaś zostali w Bojanowie. Wiadomo, że we wspomnianym zakładzie znajdował się drugi punkt etapowy, w którym oddziały *SS* likwidowały osoby chore psychicznie. Nie ulega wątpliwości, że i ci chorzy zostali tam zamordowani. Dowód: zeznania świadków — dr *Wojanowskiego*, Stefana *Krama*, Jana *Rzepnickiego*, Bolesława *Przemeckiego*, Józefa *Kiełka* i J. *Będziocha*; spis zamordowanych chorych ze szpitala w Warcie.

W ten sposób „ewakuowano" i wymordowano ze szpitali psychiatrycznych „Kraju Warty" łącznie co najmniej 3 322 osoby. Na uwagę zasługuje, że chorych ze szpitala w Gostyninie wywieziono do Śremu w dniu 9. VI. 1941 roku, a ze szpitala w Warcie do Bojanowa 16. VI. 1941 roku. Śrem i Bojanowo leżą stosunkowo blisko siebie i stąd możliwość używania ich jako punktów etapowych przy likwidacji chorych.

Dalszym dowodem zamordowania wszystkich chorych, w przypadkach, o których była mowa wyżej, jest także utworzenie fikcyjnego Urzędu Stanu Cywilnego, np. przy szpitalu w Gnieźnie (Dziekanka) oraz fikcyjnych cmentarzy, np. przy szpitalu w Gnieźnie (Dziekanka) i przy Zakładzie w Bojanowie. Wszystkie zgony osób chorych, które nastąpiły w drodze normalnej w szpitalu w Dziekance, były dokumentowane nawet w okresie okupacji przez rzeczywisty Urząd Stanu Cywilnego w Gnieźnie. Natomiast dla zakamuflowania „akcji specjalnych" dotyczących chorych ze szpitali utworzono tzw. *Zentralstelle für Krankenverlagung*, która znajdowała się przy *Wilhelmstrasse* 29, a np. w szpitalu w Dziekance fikcyjny Urząd Stanu Cywilnego (*Standesamt Tiegenhof*), który nigdy nie istniał faktycznie. Posiadano jedynie pieczątkę. Z takiego to właśnie urzędu rodziny wymordowanych chorych otrzymywały urzędowe zawiadomienie o śmierci swych bliskich ze wskazaniem fikcyjnego miejsca pochowania na cmentarzu zakładowym szpitala w Gnieźnie (Dziekanka).

Akcja wymordowania osób umysłowo chorych ze szpitali „Kraju Warty" nie była czymś odosobnionym. Tego rodzaju akcje zostały bowiem przeprowadzone na wszystkich ziemiach polskich przyłączonych do Rzeszy po ich zajęciu przez wojska hitlerowskie. Przeprowadzono je także na polskim Pomorzu. Kierował tą akcją, co wynika już bezpośrednio z własnego jego sprawozdania, wyższy dowódca *SS* i policji na terenie Gdańska i Prus Zachodnich, *SS-obergruppenführer Hildebrandt*.

W sprawozdaniu swym, stanowiącym załącznik do pisma z dnia 9. I. 1940 roku i skierowanym do *Himmlera*, *Hildebrandt* pisze dosłownie: „Dalsze 2 *Hundertschaften* tego *Sturmbannu* (chodzi tu o tzw. *SS-Wachsturmbann Eimann*) zostały zaangażowane w październiku, listopadzie i grudniu 1939 roku w następujący sposób (...): 2) przy wydalaniu 1 400 nieuleczalnie chorych umysłowo z pomorskich zakładów dla obłąkanych, (...), 5) przy wydalaniu 2 000 nieuleczalnie chorych umysłowo z zakładu dla obłąkanych w Konradstein (Kocborowie)".

Podkreślić należy, że *Hildebrandt* w sprawozdaniu używa terminu „wydalenie", nie chcąc oczywiście pisać wyraźnie o wymordowaniu tych osób. Dokąd to bowiem mogły być wydalone osoby nieuleczalnie chore umysłowo ze szpitali przez znaną z okrucieństwa jednostkę *SS Wachsturmbann Eimann*? Przez „wydalenie" można więc rozumieć tylko wymordowanie tych osób.

Jednostka *SS Wachsturmbann Eimann* podlegała bezpośrednio *Hildebrandtowi*, co on sam stwierdza we wspomnianym piśmie. Dowód: pismo *Hildebrandta* z dnia 9. I. 1940 roku wraz ze sprawozdaniem dotyczącym *SS Wachsturmbann Eimann*, skierowane do *Himmlera*, a znajdujące się w odpisie w aktach sprawy *Hildebrandta*, str. 431—437; oświadczenie *Franza Vietza* odnoszące się do *SS Wachsturmbann Eimann*, a zamieszczone w aktach sprawy *Hildebrandta*, str. 438—439 (tłumaczenie z fotokopii). Tak więc wymordowanie umysłowo chorych ze szpitali pomorskich zostało przeprowadzone przez jednostkę *SS* podległą bezpośrednio *Hildebrandtowi* jako wyższemu dowódcy *SS* i policji i co najmniej za jego wiedzą.

Wilhelm *Koppe* zajmował identyczne stanowisko wyższego dowódcy *SS* i policji w „Kraju Warty" i dysponował specjalną jednostką sobie tylko podległą, tzn. *sonderkommandem Lange*. Z przedstawionego stanu faktycznego wynika, że wymordowanie osób umysłowo cho-

rych ze szpitali „Kraju Warty" przeprowadziły również jednostki *SS*. Zbieżność akcji, zbieżność stanowisk *Koppego* i *Hildebrandta* oraz zbieżność oddziałów, które przeprowadziły akcję także świadczą o tym, że *Koppe* brał udział w inicjowaniu, planowaniu i realizowaniu akcji uśmiercania osób umysłowo chorych na terenie sobie podległym.

Zagadnieniem zbliżonym do eutanazji był potworny plan wymordowania w „Kraju Warty" Polaków chorych na otwartą gruźlicę płuc oraz zamknięcia w specjalnych miejscach odosobnienia pozostałych Polaków chorych na tę chorobę. Wymordowanie objęło około 35 tysięcy Polaków chorych na otwartą gruźlicę płuc; ponadto najściślejszej izolacji poddano około 230 tysięcy Polaków chorych na tę chorobę. W tej kwestii zachowały się oryginalne dokumenty i korespondencja przeprowadzona przez namiestnika Artura *Greisera* i wyższego dowódcę *SS* i policji w „Kraju Warty" Wilhelma *Koppe* z *Himmlerem*. W planach tych uczestniczył również prof. dr med. *Blome* jako zastępca szefa służby zdrowia *NSDAP*. Ze względu na różnicę w poglądach co do sposobu przeprowadzenia likwidacji i zrealizowania tych zbrodniczych planów hitlerowcy nie zdążyli ich już w pełni wykonać. Do wymordowania chorych na gruźlicę Polaków w sposób planowany przez *Greisera, Himmlera, Koppego* i *Blomego* nie doszło.

Zbrodnie popełnione pod osłoną eutanazji, a zrealizowane przez *SS* i policję niemiecką przy współudziale lekarzy i pielęgniarek niemieckich, były potwornym ludobójstwem zrealizowanym przeciw poszczególnym ludziom, przeciw ludzkości i przeciw deontologii lekarskiej.

STANISŁAW STERKOWICZ
były więzień obozu koncentracyjnego Neuengamme nr 78536
Lębork

Przyczynek do zagadnienia moralności więźniów obozów hitlerowskich

Prawda o obozach koncentracyjnych III Rzeszy ma niejednolite oblicze. Pierwsze lata powojenne sprzyjały eksponowaniu pamiętnikarskiemu, którego główną domeną były opisy martyrologii obozowej i bestialstwa oprawców hitlerowskich. Ta prawda o obozach jest chyba najbardziej znana. Ale choć nigdy nie będzie ona pełna, to jednak w licznych opisach, publikacjach, opracowaniach naukowych i beletrystycznych, w bogatej już produkcji filmowej, teatralnej i słuchowiskowej znalazła swoje dość obszerne odbicie. Prawda ta stanowi wiekopomne ostrzeżenie przed ludobójstwem i przekazuje pamięć o złych, twardych i trudnych czasach następnym pokoleniom, które nigdy nie powinny inaczej znać te sprawy, jak tylko w tej właśnie, opisowej postaci.

Dalsze lata pozwoliły przytłumić nieco ogień żarliwych wspomnień o straszliwych dniach i nocach w hitlerowskich fabrykach śmierci. Wynurzenia o nutach osobistych stały się bardziej refleksyjne. Zaczęto wydobywać na wierzch inny nurt prawd obozowych. Obozy bowiem obok straszliwych przeżyć zadanych przez tortury psychiczne i fizyczne stworzyły jak gdyby obiekt nieporównywalnych w skali ilościowej i jakościowej doświadczeń nad postawą człowieka w trudnych, skrajnie złych warunkach życia. Postawa człowieka, zepchniętego na dno przepaści, walczącego o resztki wątłego już życia może stanowić tworzywo analizy psychologicznej tego, jakimi jesteśmy naprawdę my, przeciętni ludzie, zwykli obywatele w stanach powolnego wyniszczania, prostracji fizycznej i towarzyszącej jej umysłowej. Czy w tych najcięższych warunkach życia, rozpaczliwej walki o życie pozostajemy ludźmi dobrymi i szlachetnymi, jakimi byliśmy poza obozem? Czy dobry człowiek, to złuda, którą utworzyła cywilizacja?

Przeżycia obozowe sprzyjają więc refleksjom o „nagiej duszy ludzkiej". Co zostaje z człowieka, kiedy odbiera mu się stopniowo resztki życia? Czy odzieraniu z sił fizycznych musi zawsze towarzyszyć utrata wartości duchowych? Czy wyniszczenie fizyczne pozbawia ludzi szlachetnych kształtów, które są wytworem wychowania w kulturalnym świecie dobra i piękna? Co zostaje z nas, gdy człowiek może stać się bestią, a zwierzęcy głód każe zapominać, że jesteśmy ludźmi? Czy i wtedy, w tych ciężkich warunkach uda się pozostać do końca ludźmi w pełni godnymi tego imienia? Czy umieramy wówczas tak jak drzewa, twardzi i nieugięci, czy też wicher gniewu i nienawiści lub upodlenia łamie nas i czyni z nas kreatury? Co zostaje z człowieka deptanego długo i wytrwale, któremu odbiera się powoli nadzieję życia i który żyje stale w lęku i poniżeniu? Czy i w tych warunkach pozostajemy szlachetni i uczciwi?

Jak trudno dać odpowiedź na te pytania! Kto wie, czy w ogóle możliwa jest taka odpowiedź na nie, która by była jednoznaczna i godziła różne punkty widzenia. Mimo że doświadczeń obozowych doznawały miliony osób, przeżycia każdego więźnia były odmienne. Inne też były warunki w poszczególnych obo-

zach, a nawet „komandach". Inaczej reagowały kobiety, inaczej mężczyźni. Każdy człowiek przynosił ze sobą do obozu inny świat zewnętrzny i wewnętrzny. Nawet w najcięższych przeżyciach obozowych dawało się poznać odmienność ich odbioru przez osoby o różnych narodowościach, przekonaniach religijnych, pochodzeniu społecznym i nawykach kulturowych.

Nie ulega chyba wątpliwości, że wartości moralne więźnia malały na ogół wraz ze stopniem jego wyniszczenia. Ta degradacja manifestowała się między innymi zwierzęcym, swoistym stosunkiem do pożywienia, stopniową utratą uczuć altruistycznych, negatywnym stosunkiem do towarzyszy znajdujących się w skrajnym wyniszczeniu, okradaniem współwięźniów, a w skrajnych warunkach napadami na słabszych, nawet nekrofagią. Degradacji fizycznej towarzyszyła zatem jak gdyby degradacja moralna. Powstaje więc zagadnienie pozornie tylko mało ważne. Czy rzeczywiście nasze zalety moralne są wsród głodu, cierpień psychicznych, tortur i strachu funkcją „kromki chleba"? Czy pozbawieni jej, odczłowieczamy się, tracąc swiadomie lub mniej świadomie uczuciowość wyższą, by przez prymitywizm moralny przejść w fazę reakcji typowych dla zwierząt, zwierząt dzikich i głodnych?

Stara prawda, że nikt nie zna samego siebie, dała się sprawdzić w obozach koncentracyjnych. Zmiana osobowości psychicznej, znamienna dla wielu więźniów, każe się zastanawiać, na czym polegała zmiana moralna więźnia w obozie. Czy było to tylko odrzucenie maski, czy też istotne, wewnętrzne przeobrażenie człowieka, determinowane głównie czynnikami zewnętrznymi? Czy w istocie rzeczy jesteśmy ludźmi o zwierzęcych, prymitywnych instynktach, dla których potrzeba zaspokojenia głodu jest najważniejszym prawem, dominującym nad wszystkim, co nas otacza? Czy piękny świat dobrych i szlachetnych ludzi, to czysta iluzja, którą stworzyła kultura, czy też raczej przeobrażenia wywoływane przez obóz są funkcją warunków, które kształtują człowieka w piekle zagłady? Czy stać nas na miłosierdzie tylko wtedy, gdy jesteśmy nasyceni? Czy zawsze, pozbawieni oparcia o nasz świat, ktoryśmy stworzyli, stajemy się źli i zdemoralizowani? Czy obraz człowieka o „nagiej duszy" jest jego wizerunkiem prawdziwym, na który dopiero cywilizacja nakłada korzystną warstwę moralności? Czy też, odwrotnie, człowiek jest z natury swej dobry, ale środowiskowe wpływy zmieniają jego sylwetkę moralną i stwarzają chwilową degenerację psychiczną?

Egoistyczne aspekty każą nam doszukiwać się odpowiedzi w tej drugiej możliwości. Trudno zakładać, że człowiek w istocie swej jest zły. Niewątpliwie błędne jest wyobrażenie człowieka jako zwierzęcia, którego tylko kultura i cywilizacja kształtują jako dobrego. Ale i w tym ujęciu pozostaje gorzka prawda, którą przyniosły ze sobą obozy koncentracyjne, wskazująca na fakt, że tortura fizyczna i psychiczna długotrwale dawkowana zdolna jest skrzywić kręgosłup moralny, że nie stanowi on jakiejś wartości bezwzględnej i niezmiennej i że zależnie od obozowych czynników sprawczych postawa moralna może ulegać przemianom nawet w sposób niezauważalny dla torturowanego.

Czynników demoralizacji dopatrujemy się w głodzie, wyczerpującej pracy, w torturach zadawanych przez hitlerowskich oprawców, w niepewności życia. Wszystko to w jakiś sposób wywierało swoje piętno na sylwetce moralnej więźnia i zmuszało go do kontrakcji, do zajęcia bardziej czynnej lub biernej postawy wobec tych elementów. Wydaje się jednak, że najbardziej deprawującym i demoralizującym składnikiem było wyniszczenie wynikające ze stałego, systematycznego głodzenia.

Zagadnienie głodu obozowego, wielokrotnie poruszane, nie doczekało się, niestety, wyczerpującego opracowania. Ocena wyniszczenia i wtórnych zmian psychicznych jest niezmiernie trudna. Przeobrażenia moralne więźniów zależały od wielu czynników, jak np. od walorów psychicznych poprzedzających pobyt więźnia w obozie, od konstytucji, odpowiednich dyspozycji, wytrzymałości itd. Proces degradacji psychicznej przebiegał w różny sposób i w różnych układach u więźniów znajdujących się nawet w identycznych warunkach ekstremalnych. Jedni załamywali się wcześniej, inni później, a jeszcze inni wcale. Nie ulega jednak wątpliwości, że powolne, systematyczne głodzenie wywierało znamienny wpływ na kształtowanie się moralności więźniów.

Głód w przemożnym stopniu formował sylwetkę więznia. Wypierał z niego uczucia altruistyczne. Kazał mu w początkowym okresie cieszyć się zdobytym pożywieniem i ukrywać je. Nie pozwalał dzielić się z nikim. Głód skłaniał do wyszukiwania resztek pożywienia po spotykanych w czasie pracy śmietnikach lub rynsztokach. Kazał cieszyć się skrawkami zgniłej brukwi, wyrzuconym łbem starej ryby, ziarnem zbieranym wśród brudów elewatora. Zmuszał więźniów do picia trujących olejów technicznych wbrew świadomości, że jest to śmiertelnie szkodliwe. Więzień z głodu musiał jeść zdobyte pożywienie jak najszybciej, aby drugi więzień nie mógł go zabrać, podebrać, poprosić o nie. Głód kazał uciekać z pożywieniem od współtowarzyszy, aby nie patrzyli błagalnym wzrokiem, kiedy współwięzień będzie jadł zdobyte pożywienie. Głód przekształcał ludzi w zwierzęta. Postępowanie więźniów wygłodzonych było niemal identyczne jak u psów zakopujących kości, warczących i kąsających w wypadku próby odebrania kęsa strawy.

Jeśli w tym okresie więzień nie padał z powodu zatrucia pokarmowego i nie ginął z prostracji fizycznej, wchodził w fazę drugą. Często silniejszy próbował okradać innych, jeśli zaś nie był silny, groziła mu niechybna zagłada. Nie mógł liczyć na litość. Zwierzęta też nie znają litości dla słabych zwierząt. I tu nie było litości. Któż zresztą miał jej udzielać? Trzeba ją było rozdrabniać na tysiące więź-

niów, gdy nie miało się siły nawet dla siebie samego. Trudno zaprzeczyć, iż była to sytuacja typowa.

Chcąc wykreślić schemat, należałoby stwierdzić, że ludzie głodni dzielili się więc jak gdyby na wilki, hieny i na zwierzynę skazaną na śmierć. Silniejsi napadali na słabszych i wątłych. Napadali czasem całym stadem. Okradali mniej czujnych w nocy. Ofiary zaś czuły już, że muszą zginąć, że walka ich nie zda się na nic, że nikomu nie mogą się poskarżyć. Więźniowie ci byli za słabi. Ofiary nie błagały o litość, nie prosiły o miłosierdzie. W świecie zwierząt litość nie istnieje. Ci, którzy byli silniejsi, mieli możność przeżycia. Słabsi musieli zginąć i ginęli. Czytelnicy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" natrafiali na opisy podobnych scen, zwłaszcza we wspomnieniach z obozów mniej znanych.

Śmierć „muzułmana". Ktokolwiek ją widział, nie zapomni jej straszliwego widoku do końca życia. Była to śmierć chyba najokropniejsza z okropnych. Śmierć bezbronnych ludzi, doprowadzonych w straszliwej prostracji do ostateczności. Śmierć bezlitosna, ale szarpiąca serca nawet po latach niemym wyrzutem, że tak właśnie ginęły bezimiennie tysiące naszych braci i sióstr, skutych jedną niedolą. A ci, co przeżyli, często nie mogli zdobyć się nawet na najmniejszą pomoc lub złudę litości i współczucia. „Muzułmani" umierali, nie znajdując nieraz nawet cienia miłosierdzia w naszych spopielonych już sercach i pustych, bezsilnych rękach. Umierali bez słowa skargi, ale ich oczy obrócone w naszą stronę mówiły najokrutniejszą prawdę o traceniu przez nas człowieczeństwa, z którego byliśmy tacy dumni i z którym przyszliśmy do tego piekła z tamtego, innego świata.

Gdy wróciła cywilizacja, a z nią czasy spokoju i pełnej miski, nasz przygięty do ziemi kręgosłup moralny wyprostował się równie szybko, jak zginał się wówczas, gdyśmy ginęli pod brzemieniem głodu i tortur. Staliśmy się znowu, jakże szybko, szlachetni, miłosierni, litościwi. Ale wówczas, tam w obozie, śmierć „muzułmanów" nie wyciskała z nas ani uczucia lęku, ani litości, choć przecież jutro my mieliśmy zająć ich miejsce. Śmierć ta była zbyt powszednia. Spotykaliśmy ją wszędzie. Niekiedy nawet wzbudzała naszą nienawiść, gdy zwłoki „muzułmanów" trzeba było nieść długie kilometry do obozu. Dlaczego tacy byliśmy? Byliśmy chorzy tak, jak i oni. Zmieniliśmy się w ludzi-deski, w wątłe, bezmózgowe istoty. Nasze mózgi wysychały z wyższych uczuć tak szybko, jak schło nasze ciało.

Taka jest ta druga, inna, okrutna prawda o człowieku za drutami. O człowieku zagubionym i nieszczęśliwym. Czyż nie budzi dreszczu lęku i niepokoju nawet dzisiaj, po tylu latach, że w sercu Europy, w XX wieku zdarzały się przypadki nekrofagii? Z niektórych wspomnień obozowych wiadomo, że dziś żyją pośród nas ludzie, których los tam, w obozach zmusił do nekrofagii. Dziś łatwo nam znaleźć słowa potępienia tych ludzi. Obóz karał ich zresztą również srogo. Niemcy rozstrzeliwali więźniów schwytanych na takim uczynku lub podejrzanych o niego. Ale to wszystko nie umniejsza faktów, że w stanach wielkiego ekstremizmu ludzie nie mogli się powstrzymać od czynów, które wydają się całkiem niemożliwe w warunkach normalnych.

Nikt normalny bowiem nie wydziera dobrowolnie ze zwłok zmarłego na dur jego wątroby, aby ją zjeść. A przecież byli tacy, którzy to robili. Czy wolno nam winić tych ludzi? Nikt, kto nie przeszedł piekła obozu, nie ma właściwie prawa ich sądzić. A jednak nie można odżegnać się od myśli, że takich ludzi nie ma w ogóle wśród nas. Może są dziś równie szlachetni, jak byli przed obozem. A więc czy tylko głód zrobił z nich ludzi-potworów?

Aczkolwiek nekrofagia była wytworem głodu i systemu degeneracji człowieka w czeluściach piekła hitlerowskiego, nie stanowiła w obozie zjawiska powszechnego. Nie była ona zresztą integralnie związana z „muzułmaństwem", lecz najwyżej ze stanem poprzedzającym je. U „muzułmanów" nie spostrzegano takich czynów. Nie byli zdolni nawet do samobójstwa. Umierali w poniżeniu, brudzie i samotności. Ich nagie, chude ręce były za słabe nawet na gest litości. I tylko oczy, duże, przeraźliwe oczy w niemej swej ekspresji wyrażały żal do towarzyszy niedoli, którzy ich opuścili i do losu, który odmówił im ludzkiej, normalnej śmierci, jaka jest prawem i przywilejem każdego śmiertelnego na tej ziemi.

Jest godne podkreślenia, że w obozach kobiecych degradacja moralna nie przybierała nigdy tak dużych rozmiarów, jak się zdarzało w obozach męskich. Nekrofagia, jak się zdaje, nie była tam w ogóle spotykana. Inne postacie degeneracji moralnej, jak okradanie więźniarek, napady, a zwłaszcza egoizm w zakresie żywienia się, nie przybierały charakteru tak masowego, jak w obozach męskich. Ta nieco odmienna reaktywność kobiet na ekstremistyczne warunki obozu wynikała z pewnością z ich odmiennej natury, której są obce akty przemocy i wybujałego brutalizmu. Z sylwetką kobiety bardziej niż z mężczyzną łączą się uczucia samarytańskie, miłosierdzie, współczucie, litość, bardziej głębia przeżywania niż chłodna spekulacja. Aczkolwiek dodatnie uczucia musiały być w obozie stłumione, to jednak odgrywały one niewątpliwie pewną rolę w reakcjach na warunki środowiska. Prawdopodobnie także wytrzymałość kobiet na głodzenie jest większa niż mężczyzn.

W odporności na trudy fizyczne obozu, a co za tym idzie, na zmiany osobowości i struktury moralnej duże znaczenie przejawiał czynnik przynależności narodowej. Aczkolwiek wydaje się to dziwne, pewne narodowości były bardziej dysponowane do „muzułmaństwa" niż inne. Tak np. dużą wytrzymałość wykazywali na ogół Rosjanie. Konstytucyjnie prezentowali się oni lepiej niż przedstawiciele Południa i Zachodu. Ta szczególnie duża odporność miała prawdopodobnie również powiązanie z prze-

życiami i doświadczeniami w trudnych latach w Związku Rad po rewolucji październikowej. Najmniejszą odporność psychiczną i fizyczną wykazywali bez wątpienia Francuzi, co z kolei wiązać można również z ich tradycjami historycznymi. Polacy zajmowali raczej miejsce pośrednie.

Istotne znaczenie w przezwyciężaniu trudów obozowych miały przejawy kolektywnego współżycia więźniów, co było zjawiskiem wyłamującym się poza wspomniany uprzednio schemat ludzi-wilków i ludzi zaszczutych. Pod względem wykazywania objawów grupowej solidarności Rosjanie zdecydowanie górowali nad innymi. Łatwo tworzyli oni wewnętrzne grupy w obrębie zespołu więźniów swej narodowości. Organizacja takiego kolektywu tworzyła się niemal na poczekaniu, w każdym „komandzie", w każdym bloku, w każdej celi. Były to jednak kolektywy tylko narodowościowe, które na ogół nie interesowały się innymi grupami. Kolektywność ułatwiała Rosjanom przeżycie. Jeśli np. udało się stwierdzić, że jakiś Rosjanin dokonał kradzieży żywności drugiego Rosjanina, odbywał się samosąd, którego wyrok był chyba bardziej pieczołowicie egzekwowany niż na wolności. Z reguły winowajca musiał wyrównywać kradzież, oddając codziennie określoną część swych porcji żywnościowych. Otrzymywał również karę cielesną. Jakiekolwiek próby wyłamywania się spod tego samosądu były skazane na niepowodzenie i najczęściej kończyły się tragicznie dla winowajcy. To postępowanie opóźniało prostrację fizyczną i degradację moralną.

Przejawy kolektywności najczęściej nie przekraczały zakresu grup narodowościowych, co między innymi wynikało ze wspólnoty językowej i łatwości porozumienia się. Opisywane zjawisko nigdzie nie przybierało takiej zwartości, jak u Rosjan. W miarę głodzenia coraz trudniej było utrzymać tę wewnętrzną solidarność. Najrzadziej życie kolektywne krystalizowało się u Francuzów, co można wyjaśnić w pewnej mierze szybkością tracenia przez nich sił fizycznych i trudnościami przystosowania się do egzystencji obozowej. Spośród narodowości liczniej reprezentowanych za drutami Francuzi byli najczęściej okradani, najłatwiej „muzułmanieli" i chyba do nich odnosił się najkrótszy czas przeciętnego przeżycia obozowego.

Organizacje obozowe nie docierały wszędzie i nie do każdego więźnia. Ci, którzy byli jednak w jakiś sposób zorganizowani, łatwiej mogli przeżyć niż ci, którzy znaleźli się w obozie samotnie i nie zdołali włączyć się do żadnego kolektywu, ani organizacji. Włączenie się więźnia do istniejących kolektywów nie zawsze było łatwe, najczęściej zaś niemożliwe dla nowicjuszy z „zugangu". Tworzenie nowych kolektywów w różnym zgrupowaniu przypadkowo zebranych ludzi, często nieznanych sobie i różnych narodowości, było utrudnione. W okresie największego głodu, gdy nawet zwarte dotychczas kolektywy pękały, a człowiek człowiekowi stawał się wilkiem, tworzenie nowych solidarnych grup było całkiem nierealne.

Dla licznych więźniów przeżycie obozu było szczególnym ciężarem nie tylko wskutek koszmaru okrucieństw, jakie przygotowali oprawcy, ale również z powodu trudności znalezienia oparcia wśród towarzyszy niedoli. Wielu więźniów przeżyło obóz paradoksalnie jako straszliwą samotność i izolację mimo ustawicznego przebywania w wielkim tłumie ludzi, równie jak oni nieszczęśliwych. Najciężej przeżywali obóz ci, którzy trafili tam w okresie najcięższych warunków, w czasie największego głodu, kiedy też najbardziej szerzył się „muzułmanizm", toteż wtedy najłatwiej ulegali degradacji moralnej. Nie znajdując nigdzie oparcia, bardzo szybko zbliżali się do „zmuzułmanienia". Wewnętrzny izolacjonizm więźnia z pewnością nie był zamierzonym efektem systemu obozów hitlerowskich, stawał się jednak faktem dokonywanym właśnie wskutek degradacji moralnej, powodowanej przez wyniszczenie psychosomatyczne i głód. Samotność na wielkiej pustyni ludzkiej, wśród ciżby ludzi tak samo cierpiących i sponiewieranych, to chyba jedno z najsmutniejszych przeżyć niejednego więźnia. Tragiczną sytuację pogłębiała świadomość, że znikąd nie można się spodziewać ratunku, ani oczekiwać wsparcia lub pomocy. Ten izolacjonizm uczył, że trzeba liczyć tylko na własne siły, spryt, a czasem nawet na bezwzględność.

Okres, w jakim znajdował się obóz w chwili przybycia tam poszczególnego więźnia, decydował o odmienności przeżyć. Był on również jednym z czynników sprzyjających degradacji fizycznej i moralnej lub opóźniających ją.

Wśród więźniów obozu, tak zresztą, jak i w każdym społeczeństwie, znajdowali się różni ludzie: i niezwykle prawi, i elementy przestępcze. Nie każdy przychodzący do obozu był bohaterem walki o wyzwolenie ojczyzny. Obok więźniów politycznych, aresztowanych za wywrotową działalność przeciw III Rzeszy, nie brakowało tu ludzi skazanych za naruszenie prawa, jak np. złodziejstwo, bijatyka, pijaństwo, wykroczenia seksualne itp. Czyny te, jakkolwiek by je oceniać, były obrócone przeciw porządkowi III Rzeszy i z tego punktu widzenia mogły być poczytywane za sabotaż. Jednak między więźniem politycznym *sensu stricto* a tym, który trafił do obozu, np. za hańbienie rasy germańskiej z prostytutką lub takim, który kradł kury lub pijany pobił jakiegoś Niemca, były duże różnice charakterologiczne i ideologiczne. Wszystkich wszakże jednoczyła wspólna niedola obozowa, ale z pewnością dzielił odmienny sposób ustosunkowania się do warunków życia w obozie. Jest pewne, że większy spryt, większą umiejętność wymigiwania się od pracy, znaczniejszą łatwość zdobywania dodatkowej żywności, bądź wykpienia się z ciężkiego „komanda", lepszą zdolność skokietowania prominentów obozowych wykazywali ludzie, dla których więzienie nie było nowiną.

Ujemne przeobrażenie moralne stało się nie-

wątpliwie udziałem — w mniejszym lub większym stopniu — wszystkich więźniów typowych, ale w układzie ideologicznym uwięzionych zaznaczały się różnice tych wypaczeń. Ludzie, którzy nigdy nie kradli na wolności, nie potrafili zazwyczaj kraść i w obozie. Nawet w tej dziedzinie trzeba było dysponować łatwością czynu, sprytem, talentem, odpowiednimi umiejętnościami i doświadczeniem. Obóz uczył niejednego. W nim zrodziło się między innymi hasło „organizowania", co oznaczało: nie będziesz kradł, nie będziesz jadł. „Organizowaniem" była więc kradzież, żebranie, zdobywanie żywności, gdzie się dało itp. Dobrze, gdy kradzież uszczuplała mienie niemieckie, np. żywność z magazynu esesowskiego, a esesmani ubytków nie dostrzegali; wtedy obywało się bez represji wobec innych więźniów. Gorzej, jeśli jednak „organizowanie", np. przechwycenie paru misek zupy przeznaczonej do innego bloku, wpływało na umniejszenie głodowej racji samego więźnia. Dla „muzułmana" oznaczało to śmierć. Aby żyć i utrzymać się na fali obozowego bytowania, trzeba było jednak „organizować". I tysiące więźniów „organizowało". Sprytni i odważni lepiej, mniej wprawni — gorzej, a niezaradni z góry byli pozbawieni tych dodatkowych kalorii. We wspomnieniach obozowych znajdujemy co prawda wzruszające zresztą opisy podania słabemu, choremu, niezaradnemu lub umierającemu łyka wody czy kęsa chleba, ale była to przysłowiowa kropla w morzu codzienności.

Jest zrozumiałe, że w tym „organizowaniu" bardziej przodowali więźniowie niepolityczni niż polityczni. Wpływ jednych na drugich był jednak niewątpliwy. Wiadomo jednak, że w chwilach krytycznych łatwiej jest namówić człowieka dobrego do złych czynów, niż odwrotnie, człowieka złego nawrócić na drogę dobra. Tak więc warunki obozowe, głównie wyniszczenie głodowe obok innych czynników, sprzyjały niewątpliwie degradacji moralnej, której ulegali przede wszystkim ludzie sprytniejsi, bardziej pozbawieni skrupułów i pociągali swym przykładem innych. Można mniemać, choć nie ma na to pewnych dowodów, że raczej wśród elementów przestępczych i najbardziej brutalnych należy szukać ludzi zdolnych np. do nekrofagii, napadów na współwięźniów, okradania towarzyszy z żywności itp. To tłumaczenie wyjaśnia chyba również, dlaczego w obozach kobiecych degradacja moralna była mniejsza. Z pewnością element przestępczy był w nich zdecydowanie mniej liczny i słabszy, a dominował raczej wpływ więźniarek politycznych *sensu stricto*.

W wielkiej masie więźniów politycznych znajdowali się różni ludzie. Jak wiadomo, w obozach koncentracyjnych umieszczano również z powodu samej przynależności do określonej grupy narodowościowej, jak np. w odniesieniu do Żydów lub Cyganów. Według prawa hitlerowskiego samo pochodzenie żydowskie było ciężkim przestępstwem. Wśród więźniów skazanych za swą przynależność narodową znajdowali się z kolei różni ludzie: odważni i tchórze, prawi i nikczemni. Cyganom przypisuje się pewne ujemne skłonności, jak koczownictwo, spryt i łatwość kradzieży, wyłudzania itp. Z pewnością Cyganie, którzy istotnie mieli te dyspozycje, nie tracili ich w trudnych warunkach obozu. Trzeba jednak lojalnie przyznać, że ich odporność w warunkach obozowych nie była duża. Ta zmniejszona odporność Cyganów wiązała się często ze spotykaną u nich wątłością konstytucyjną i łatwiejszą zapadalnością na takie choroby, jak rak wodny, tudzież z mniejszą umiejętnością wykonywania ciężkiej, systematycznej pracy.

Tak więc głód i wyniszczenie rozdzielały stopniowo więźniów na dwie zasadnicze grupy: „muzułmanów", którzy biernie, prawie już bez oporu poddawali się represjom i ciosom i tych, którzy potrafili się jeszcze bronić różnymi sposobami przed swą degradacją fizyczną. Właśnie w tej grupie więźniów doszukiwać się trzeba osób o znacznie zaawansowanym zwyrodnieniu moralnym, zdolnych do takich uczynków, jak wspomniana już świadoma nekrofagia, napady na „muzułmanów", rabowanie ich z żywności itp.

W chłodnych rozważaniach i refleksjach po wielu latach trudno oprzeć się zdziwieniu, jak mogło dojść do tego, że ludzie o wysokim poziomie moralnym na wolności, czego zresztą dali dowody, biorąc czynny udział w walce z okupantem, tak szybko tracili swoje wartości, altruizm, solidarność, koleżeńskość w warunkach obozu. Zagadkę tę nawet po latach trudno wyjaśnić w pełni, nie chcąc się ograniczać do wskazania na nieprzemożoną siłę głodu, dominowanie instynktu samozachowawczego, przeskok do bezwzględnego świata o wynaturzonych, niezwykłych prawach itp. Wśród ludzi prawych i szlachetnych było jednak wielu takich, którzy nawet w stanach skrajnego wyniszczenia i atrofii głodowej pozostali wierni swoim zasadom moralnym, ale nie brakowało również takich, którzy świadomie zaczynali sprzeniewierzać się zasadom etycznym. Czy chodziło tutaj tylko o silniej wyrażony u niektórych instynkt samozachowawczy, a u drugich o głęboko wszczepione zasady moralne, silniejsze od wszystkiego, nawet od śmierci? W każdym razie nie można uogólniać, że utrata sił fizycznych i głodzenie równa się bezwzględnie degradacji moralnej. Byłoby to niezbyt słuszne uproszczenie, aczkolwiek hipoteza taka wyjaśnia wiele ciemnych stron „nagiej duszy ludzkiej", obnażonej w warunkach obozu.

Wydaje się, że tortury fizyczne stosowane przez oprawców wpływały w znacznie mniejszym stopniu na pejoratywne zmiany osobowości więźnia. Liczne fakty z obozów wykazują, że represje fizyczne bardziej scalały więźniów ze sobą niż ich dzieliły. Ciężkie przeżycia kobiet w Ravensbrück, na których wykonywano doświadczalne operacje zbrodnicze, liczne dowody niezałamywania się więźniów nawet pod wpływem najbardziej wyrafinowanych tortur zadawanych przez hitlerowców,

wskazują, że represje tego typu rzadko powodowały degradację moralną. Niewątpliwie istnieli ludzie, którzy nie wytrzymywali tortur i dopuszczali się zdrady pod brzemieniem straszliwych cierpień. Ale i ta zdrada nie może być uznana za typową degradację moralną. Istnieją granice wytrzymałości każdego materiału. Materiał ludzki nie stanowi wyjątku w tym prawie. Tak więc, jakkolwiek trudno o aprobatę dla zdrady uzyskanej przez wymuszenie, nie można jej uważać za dowód degradacji moralnej więźnia.

Doświadczenia obozowe, a także badania naukowe po wojnie, np. przeprowadzone przez psychiatrów krakowskich, wykazały, że tortury fizyczne — poza powolnym głodzeniem — w małym stopniu przyczyniały się do zmiany osobowości. Tortury psychiczne znacznie łatwiej załamywały więźniów, zwłaszcza jeśli stosowano represje wobec najbliższych członków rodziny na oczach więźnia. Nikt właściwie nie zna własnych reakcji, ile jest w stanie wytrzymać. Czy wytrzyma ból fizyczny? Czy zdolny jest wyjść zwycięsko z tortur psychicznych? Czy zdoła zdecydować się na śmierć własnego dziecka, matki, żony za cenę niezdradzenia sprawy? Scewola jest przykładem bohaterstwa starych Rzymian, ale tortury Scewoli wydają się farsą wobec represji, jakie stosowali hitlerowcy.

Niejeden szlachetny człowiek załamywał się w śledztwie gestapowskim. Nie każdy zdolny jest wytrzymywać ból fizyczny. Niejednego załamywały tortury psychiczne, wskutek czego popełniał zdradę towarzyszy, sprawy, organizacji, a więc czyn nieetyczny, potępiany przez społeczeństwo. Ale obiektywna ocena moralna jest trudna, gdy się weźmie pod uwagę opisaną sytuację.

Analiza degradacji moralnej więźnia wykazuje pewne punkty zbieżne z obrazem zmiany osobowości człowieka zdolnego dokonać zdrady pod wpływem tortur. Ani pierwszy czynnik (tortury), ani też drugi (głodzenie) nie deprecjonuje moralnie człowieka wolnego. Jeśli przyjąć, że dobroć i szlachetność człowiecza jest pierwotna, a nikczemność i podłość są cechami wtórnymi, może nasunąć się dylemat, czy człowiek jest zwierzęciem, na które cywilizacja nałożyła kaganiec moralności, czy odwrotnie, reprezentuje on pierwotnie wysokie wartości moralne, które mogą być jedynie tłumione reakcjami środowiskowymi. Ta druga możliwość wskazanej alternatywy wydaje się bardziej przekonująca.

Analizując to zagadnienie, trzeba podkreślić, że w zasadzie żadne czynniki, nawet największy głód lub wyniszczająca praca, nie mogą usprawiedliwiać czynów wskazujących na głęboką degenerację moralną człowieka, który uprzednio wykazywał należytą postawę etyczną. Wśród tysięcy więźniów mimo ekstremistycznych warunków było przecież wielu, którzy nie zeszli nawet za cenę życia poniżej właściwego poziomu moralnego. Wielką grupę wśród nich stanowili „muzułmanie". Ich degradacja moralna była z reguły niewielkiego stopnia.

Postawa moralna współwięźniów otaczających „muzułmanów" w dużej mierze wpływała na przyspieszenie ich biegu do krainy samotności i milczenia, do wolności przez śmierć. Kto bowiem umierał w obozie, stawał się wolny. Dzisiaj, z perspektywy czasu można zaryzykować twierdzenie, iż obiektywnie jakąś cząstkę winy za śmierć „muzułmanów" ponoszą ich współtowarzysze, którzy wtedy, w obozie nie dostrzegali tragizmu sytuacji. Może pewna liczba „muzułmanów" ocalałaby, gdyby istniała odpowiednia, braterska solidarność współwięźniów nawet w najgorszych chwilach straszliwej prostracji. Jest jednak pewne, że ludziom tym, którzy ledwo przez mgłę dostrzegali już swych towarzyszy niedoli, lżej byłoby umierać, gdyby się spotkali chociaż ze złudą wyciągniętej ku nim ręki. Nie można ich było wyleczyć, ani im pomóc skutecznie, ale zawsze udałoby się stworzyć im miraże pocieszenia.

Samotność śmierci „muzułmana" wśród wielkiego tłumu współwięźniów, to wielkie ostrzeżenie dla ludzkości. To prawda, że tych ludzi zabił hitleryzm, ale z tym większą goryczą wspomina się ich odejście, że opuściła ich ludzkość. Ta sama ludzkość, z której tak się szczycimy i która była przecież tam również z nami na trudnych ścieżkach „kacetowskich" golgot. Kto może odpowiedzieć na bolesne i tragiczne pytanie, dlaczego ta ludzkość pozwoliła na to, że „muzułmanie" umierali opuszczeni zupełnie?

Podkreślić należy, iż zagadnienie moralności więźniów należy do najtrudniejszych aspektów problematyki obozowej. Na tym gruncie najwięcej jest chyba pytań, a najmniej ustaleń. Aktualne niebezpieczeństwo tkwi w tym, że sprawy nie domówione, nie w pełni jeszcze opracowane i z natury swej dyskusyjne mogą przyciągać uwagę także tych, którzy obecnie za granicą usiłują wybielać hitlerowską przeszłość narodu niemieckiego. Drążenie tych zagadnień, choćby najbardziej szczere i unikające niedomówień, napotyka na trudności metodyczne, trudno bowiem do moralnych spraw egzystencji obozowej przymierzać normy i zasady etyki odnoszącej się do życia pozaobozowego. Niełatwo jest także znaleźć wspólny język na gruncie socjologii moralności między byłymi więźniami a ludźmi, którzy w obozach nie byli. Niemniej jednak zagadnienie moralności więźniów powinno być dalej badane, choćby dlatego, że nasuwające się wnioski mogą poszerzyć wiedzę o człowieku współczesnym i umocnić kryteria oceny jego postępowania moralnego w różnych sytuacjach.

ALICJA GLINSKA Sosnowiec

Kierunek przekształceń moralnych wśród więźniów Oświęcimia

Dość często można się spotkać z przekonaniami, iż każda wojna, każdy kataklizm dziejowy wywołują w moralności społeczeństw poważne zmiany. Zmiany te zazwyczaj bywają oceniane jako ujemne i określane mianem demoralizacji, regresu moralnego itp. Podobny wpływ na moralność przypisuje się minionej, drugiej wojnie światowej.

W przedmowie do pracy na temat strachu i metod walki z nim J. *Pieter* twierdzi, że następstwem ostatniej wojny stały się nie tylko szkody materialne, ale znacznie od nich trudniejsze do naprawienia szkody w charakterach ludzkich. Wojna ta pozostawiła w społeczeństwie znikczemnienie i deprawację moralną, będące następstwem rządów terroru i absolutnego bezprawia [1].

Synteza tych rządów, miejscem, w którym faszyzm obnażał najjaskrawiej swe nieludzkie okrucieństwo wobec pokonanych narodów i swych wrogów, były obozy koncentracyjne. W poświęconych im publikacjach na ogół zgodne są oceny kierunku, w jakim pobyt w obozach wpływał na moralność więźniów. W literaturze obozowej rzadko spotkać się można z sądami odmiennymi niż ten, w myśl którego nieuchronnym następstwem długotrwałego pobytu więźnia w obozie stawała się jego demoralizacja. Przez ten termin należy rozumieć obniżenie wartości moralnej człowieka w stosunku do tej, jaką reprezentował przed uwięzieniem, a więc pewien regres w jego moralności. Nie przeczy to faktowi, że obozy przebyli ludzie o silnych charakterach, którzy wyszli zwycięsko z tej ciężkiej próby.

Komendant obozu oświęcimskiego, Rudolf *Höss*, wielokrotnie w swych pamiętnikach wysuwa tezę, że nigdzie tak jaskrawo, jak w warunkach obozowych nie uwidacznia się deprawacja człowieka. Ponadto niedwuznacznie podkreśla, że deprawacja ta była zamierzona i świadomie realizowana przez kierownictwo i personel obozowy, które w ten sposób dążyły do osłabienia odporności więźniów i możliwości organizowania przez nich solidarnego ruchu oporu. Sąd tego autora zasługuje na pewną uwagę, gdyż kształtowała go długoletnia praktyka na odpowiedzialnych stanowiskach w obozach koncentracyjnych.

W polskim piśmiennictwie naukowym, dotyczącym obozów koncentracyjnych, ich ujemnemu wpływowi na postawy moralne więźniów nie poświęca się wiele miejsca. Niemniej fakt ten bywa zwykle wymieniany wśród wielu innych następstw wywołanych pobytem w obozie.

J. *Gumkowski* w pracy pt. „Obozy jako narzędzie masowej ekterminacji" pisze, że jednym z celów obozów koncentracyjnych była degradacja moralna więźniów, która miała służyć przyspieszeniu ich fizycznej eksterminacji oraz złamaniu oporu i przekształceniu ich w niewolniczą siłę roboczą [2]. Wychowanie obozowe zmierzało do tego, aby w każdym więźniu zabić wszelkie pozytywne cechy charakteru, dobroć, koleżeńskość, szlachetność i solidarność, a wywoływać w nim najniższe pobudki działania. Jednak — zdaniem cytowanego autora — pomimo tych usiłowań krzepły więzy solidarności między więźniami i niewiele było wśród nich wypadków „kompletnego rozkładu i upadku duchowego". Na poparcie tej tezy J. *Gumkowski* przytacza fakt istnienia obozowego ruchu oporu.

Wymieniony autor należy do nielicznych, którzy stwierdzają bezowocność wysiłków podejmowanych w obozach i zmierzających do demoralizacji więźniów. Nie negując prawdziwości poszczególnych sądów wypowiadanych we wspomnianej pracy, kwestionować można, czy wyprowadzone z nich uogólnienie jest uzasadnione. Istnienie zorganizowanego ruchu oporu w obozach koncentracyjnych, tworzenie się w nich solidarnych grup więźniów, skrajne upodlenie tylko nielicznych wyjątków wśród nich nie są wystarczającą podstawą, by twierdzić, że ogół więźniów nie ulegał żadnym, najmniejszym nawet ujemnym deformacjom moralnym. Nie wydaje się, by stanowisko J. *Gumkowskiego*, które nie jest zresztą odosobnione, było podbudowane szerszymi badaniami zjawisk moralnych w obozie. Tłumaczyć je należy raczej szlachetnymi intencjami unikania jakichkolwiek negatywnych sformułowań dotyczących więźniów. Teoretyczna konsekwencja tego stanowiska jest traktowanie moralności jako zjawiska nie determinowanego żadnymi obiektywnymi warunkami, które — jak ten sam autor pisze — Niemcy celowo tworzyli w obozach, by ludzi deprawować.

Odmienny pogląd w omawianej kwestii reprezentuje F. *Friedman* w pracy pt. „To jest Oświęcim" [3]. Opiera się w niej na licznych zeznaniach byłych więźniów obozu oświęcimskiego, składanych przed Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Niektóre fragmenty tych zeznań są zamieszczone we wspomnianej książce. Poruszane są w nich problemy moralności obozowej, których uję-

[1] J. *Pieter:* Walka ze strachem. Katowice 1947.

[2] J. *Gumkowski*, S. *Datner*, K. *Leszczyński:* Eksterminacja ludności w Polsce w czasie okupacji niemieckiej 1939—1945. Warszawa 1961, s. 154.

[3] F. *Friedman:* To jest Oświęcim. W pracy F. *Friedmana* i T. *Hołuja* pt. Oświęcim. Warszawa 1946.

cie sugeruje, iż zdaniem osób składających zeznania, obóz deformował moralnie większość więźniów, co nie oznacza, że doprowadził ich do skrajnego upodlenia.

Podobną ocenę wypowiada były więzień Oświęcimia, psycholog austriacki W. E. *Frankl*, który napisał książkę będącą próbą naukowego przedstawienia przemian zachodzacych w człowieku przebywającym w obozie [4]. Autor ten reprezentuje pogląd, iż pomiędzy więźniami toczyła się bezwzględna i okrutna walka o byt, walka wszystkich przeciwko wszystkim, a człowiek stawał się istotą prymitywną, nieczułą na cierpienia innych, pozbawioną godności.

Z problematyką moralności więźniów i jej ocenami spotkać się można w publicystyce, w recenzjach dotyczących literatury obozowej i filmów o tej tematyce. Filmy takie, jak „Pasażerka" A. *Munka* oraz „Ostatni etap" i „Koniec naszego świata" W. *Jakubowskiej* były omawiane w wielu artykułach, poruszających również problemy moralne obozów. Np. H. *Korotyński* pisze o filmie osnutym na tle powieści T. *Hołuja* („Koniec naszego świata"), że jest w nim „zarys tej prawdy, którą najgłębiej i najśmielej ukazał w swoich opowiadaniach Tadeusz *Borowski*", prawdy „o deprawacji więźniów, których czynił okrutnymi ten system nieludzkiej i wyrafinowanej podłości" [5]. Sprawy przyczyn i charakteru deprawacji więźniów analizuje również J. *Rawicz* w artykule dotyczącym kontrowersyjnej postaci, mianowicie współpracującego z esesmanami lekarza-więźnia *Deringa* [6].

We wszystkich wymienionych przykładowo rodzajach publikacji ich autorzy łączą analizę zjawisk moralnych występujących w obozach koncentracyjnych z ich ocenami. W konfrontacji z nimi zupełnie nietypowe jest stanowisko T. *Kielanowskiego*, które zajmuje on w artykule o aspektach moralnych pracy lekarzy-więźniów w Dachau. Lekarze ci, zmuszeni do wytwarzania w obozie szczepionek przeznaczonych dla armii hitlerowskiej, celowo pozbawiali je wartości. Fakt ten T. *Kielanowski* ocenia następująco: „Nie popełniali oni żadnego moralnego wykroczenia, nie złamali żadnego pisanego ani nie pisanego prawa etycznego. Prawa obowiązują ludzi wolnych" [7]. Nietypowość tego stanowiska przejawia się w postulacie, by nie oceniać w płaszczyźnie etycznej postępowania więźniów obozów koncentracyjnych, żadne zasady moralne nie obowiązują bowiem ludzi pozbawionych wolności w sposób absolutny.

Sami więźniowie od ocen takich się nie powstrzymują. Co najwyżej prawo do dokonywania ich przyznają tym, którzy sami obóz przeżyli i dzięki swym doświadczeniom potrafią lepiej zrozumieć i trafniej oceniać towarzyszy. Dość często można się spotkać z twierdzeniami, iż osądzać postępowania więźniów nie wolno nikomu prócz tych, którzy żyli w takim samym piekle. Tylko oni bowiem zrozumieć mogą i wiedzą, do czego może doprowadzić głód, nieustanne znęcanie się nad człowiekiem i ciągła obawa śmierci. Zgodnie z tym postulatem próba oceny kierunku przemian moralnych, podjęta w niniejszym artykule, opiera się o relacje pamiętnikarskie byłych więźniów obozu w Oświęcimiu.

Oceny zmian w moralności, dokonywających się w obozie, są formułowane najczęściej w postaci zdań mających ogólny zakres, dotyczących większości więźniów. Spotkać można również autorów poddających analizie moralność poszczególnych osób, czy swoją własną, ale jest to traktowane najczęściej jako egzemplifikacja zjawisk uznanych za powszechnie występujące w obozie.

Ze wszystkich zebranych na ten temat materiałów nie sposób przytoczyć wszystkich, jest ich zbyt wiele. Poniżej jest podana przykładowo tylko część z nich.

„Tak to Oświęcim zabijał nie tylko dusze, ale i ciała wielu więźniarek" (I. *Perkowska-Szczypiorska:* Kartki z Oświęcimia, s. 104).

„Walczą o miejsce, o koce, o miski, o kubek wody. Każda grupa reprezentuje inny rytm mowy, inny temperament, lecz we wszystkich obóz wyzwala zwierzęcą dzikość, drapieżność, morderczość nieledwie" (S. *Szmaglewska:* „Dymy nad Birkenau", s. 213).

„Nie uległ on, w przeciwieństwie do olbrzymiej większości młodzieży, która przeszła przez obóz, jego destrukcyjnym wpływom na charakter, usposobienie i sposób bycia" (C. W. *Jaworski:* Wspomnienia z Oświęcimia", s. 228).

„Szczególnie przygnębiająco działa fakt, że nasi współrodacy, Żydzi, tacy sami jak my, którzy prawdopodobnie przebywają tutaj od dłuższego czasu, są nie mniej okrutni od esesmanów" (A. *Kajzer:* Za drutami śmierci", s. 13).

„Wbrew swojej naturze stawałem się bardziej skryty i chytry" (*W. Fejkiel:* Medycyna za drutami, s. 483).

„Deptaliśmy ludzi padających z głodu i deptano nas, gdy wyczerpani padaliśmy na ziemię, na lepkie, cuchnące błoto.

Widzieliśmy kobiety, które oddawały się za kawałek chleba, i widzieliśmy takie, które kupowały sobie kochanków za złoto ludzi zagazowanych.

Byliśmy źli, twardzi i okrutni, często zapieraliśmy się człowieczeństwa, bo chcieliśmy przeżyć" (J. *Nel Siedlecki,* K. *Olszewski,* T. *Borowski:* Byliśmy w Oświęcimiu, s. 78).

Przytoczone sformułowania są w swej formie oraz treści dość różnorodne. Jedne z nich mają charakter ogólnikowy i wieloznaczny, jak np. „Oświęcim zabijał dusze", „destrukcyjnie wpływał na charaktery ludzkie", „powodował upadek człowieka". W innych podana jest ogólna ocena zmian zachodzących w moralności. Mówią one o demoralizacji, znieprawieniu, znikczemnieniu, upodleniu, czy wykolejeniu więźniów. Są i takie sformułowania, w których są podawane konkretne ujemne cechy moralne wywołane pobytem w obozie: dzikość, drapieżność, morderczość, chytrość, okrucieństwo, brutalność, niewrażliwość itp.

Oceny spotkać można również w stwierdzeniach, jakie cechy moralne ulegały w obozie

[4] W. E. *Frankl:* Psycholog w obozie koncentracyjnym. Warszawa 1962.

[5] H. *Korotyński:* Kawał prawdy o Oświęcimiu. Życie Warszawy, 1964, nr z 6.III.1964.

[6] J. *Rawicz:* Sprawa Deringa. Życie Warszawy, nr z 10. IV.1964.

[7] T. *Kielanowski:* Przestępcy czy bohaterzy. Argumenty, 1962, nr 42

zanikowi i które trudno było spotkać wśród więźniów. Pisze się o braku litości, współczucia i bezinteresowności, o zatraceniu wszelkich uczuć, stępieniu wrażliwości, zaniku solidarności, ofiarności i altruizmu. Ujemne oceny wyrażane są w zdaniach mówiących o upodobnianiu się człowieka do zwierzęcia, wyzbywaniu się przezeń uczuć ludzkich, zezwierzęceniu, zapieraniu się człowieczeństwa.

Wśród więźniów Oświęcimia, którzy spisali swe wspomnienia, nikt nie twierdzi, że obóz człowieka uszlachetniał, bądź że nie wywołał w nim żadnych przeobrażeń moralnych. Zgodnie, choć w rozmaity sposób podkreśla się, że przeobrażenia takie zachodziły oraz ocenia się je jako negatywne. Natomiast różne są oceny tego, jak daleko sięgały przemiany moralne i jak wielką część więźniów obejmowały. Przeważa stanowisko, iż ujemne zmiany dokonywały się u zdecydowanej większości, lecz nie doprowadzały one do skrajnego upodlenia, za które poczytywane było całkowite oddanie się w służbę esesmanów i konsekwentne, świadome działanie na zgubę współtowarzyszy. Takich wypadków — zdaniem autorów pamiętników — było w stosunku do ogólnej liczby uwięzionych niewiele, nie miały one charakteru powszechnego, choć najjaskrawiej rzucały się w oczy. Postawy ogółu może charakteryzować określenie S. *Szmaglewskiej*, dotyczące więźniarki niemieckiej od wielu lat żyjącej w obozach: „od dawna zabito w niej człowieka, lecz nie obudzono bestii" [8].

Stanowisko odmienne od przedstawionych dotychczas reprezentują wspomnienia radzieckiej więźniarki Oświęcimia, N. *Gusiewy*. W ich wstępie pisze ona, że pragnie opowiedzieć „o wielkiej prawdziwej przyjaźni między ludźmi różnych narodowości, która zrodziła się, wzrastała i umacniała w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach życia w Oświęcimiu" [9]. Podporządkowanie wspomnień temu celowi spowodowało, że sugerują one, iż obóz ludzi jednoczył i uszlachetniał, co przeczy zdaniu na ten temat przeważającej większości podobnych publikacji.

Dokonywana w pamiętnikach ocena moralności więźniów ma również akcenty pozytywne. Choć wynika z niej, że kierunek przemian w postawach moralnych miał wyraźną tendencję negatywną, to jednak wielu autorów podkreśla, iż człowiek nie poddawał się biernie destrukcyjnemu wpływowi obozu. Więźniowie walczyli o zachowanie swego człowieczeństwa, udowadniając to czynami, gdy nadarzała się odpowiednia sposobność. Walkę tę podejmowano indywidualnie i żywiołowo lub zespołowo i w sposób zorganizowany. Oświęcimski ruch oporu uznał ją za jedno ze swoich naczelnych zadań. Zagadnienie to domaga się odrębnego, obszernego opracowania, którego brak jest w dotychczas opublikowanej literaturze oświęcimskiej [10].

Dość interesujące jest podkreślanie przez niektórych autorów pamiętników bezpośredniej i wprost proporcjonalnej zależności pomiędzy stopniem wygłodzenia człowieka w obozie a jego upadkiem moralnym. Sprawy te wiążą się z negatywną oceną postaw moralnych tzw. „muzułmanów". Najwyraźniej stanowisko takie występuje u Z. *Kossak*, dla której „muzułman", to człowiek po zwierzęcemu obojętny, wrogi wobec wszystkich, obleśny, nie posiadający wstydu ni obyczajowości, żyjący jak bydlę [11]. W. *Fejkiel* pisząc o objawach choroby głodowej, którą, jego zdaniem, przechodziło około 30% więźniów, podaje, że w tym stanie człowiek tracił godność ludzką i normy etyczne, upodabniając się do wygłodzonego zwierzęcia [12]. Przedstawiając objawy tej choroby, autor nie ocenia jednak zachowania się przechodzących ją więźniów twierdząc, że w tym stadium wycieńczenia nie odpowiadali oni za swe czyny.

W opozycji do powyższych stwierdzeń pozostają wyniki badań W. *Doroszewskiego* nad znaczeniem wyrazu „muzułman", przypisywanym mu przez więźniów [13]. Chcąc wyjaśnić znaczenie tej nazwy, powszechnie spotykanej w obozach, zwrócił się on do byłych więźniów o sprecyzowanie sensu, jaki miała ona w różnych obozach. Na podstawie licznych otrzymanych wypowiedzi W. *Doroszewski* formułuje wniosek, że „muzułman" było to „określenie człowieka będącego w stanie bliskim agonii fizycznej, ale nie spodlonego moralnie". Dodaje jednocześnie, iż w świetle listów wielu więźniów stanowisko Z. *Kossak* w tej kwestii nie jest słuszne. W przekonaniu wytworzonym w oparciu o badanie pamiętników z Oświęcimia, ujęcie W. *Doroszewskiego* i W. *Fejkla* zdaje się oddawać opinię w tej sprawie większości więźniów. Nie oznacza to, by nie uwzględniono w pamiętnikach wpływu głodzenia człowieka na jego odporność fizyczną, psychiczną, czy moralną. Nie jest on jednak ujmowany tak skrajnie i jednostronnie, jak czyni to Z. *Kossak*.

Więźniowie pisząc o demoralizacji, jaka występowała wśród nich, odpowiedzialnością za nią obarczają twórców i załogi obozów koncentracyjnych. Oni to świadomie dążyli do spodlenia człowieka, zabicia w nim odwagi, szlachetności, współczucia. „Hitlero-faszyzm niszczył i mordował, dążąc do stworzenia z ludzi albo bestii, albo ofiar — twierdzi T. *Rek* [14]. Zdanie jego popierają inni autorzy pamiętników. Np. według A. *Ziemby* „cała instytucja obozowa ze wszystkimi jej urządzeniami dążyła wyraźnie i bezczelnie do wyzucia więźnia z wszelkich praw człowieczeństwa, do zabrania

[8] S. *Szmaglewska:* Dymy nad Birkenau. Warszawa 1958, s. 254.

[9] N. *Gusiewa:* O tym zapomnieć nie wolno. Zeszyty Oświęcimskie, 1961, nr 5, s. 134.

[10] Na ten brak wskazał ostatnio T. *Hołuj:* Nieznana rocznica. Polityka, 1968, nr 21, s. 1 i 11.

[11] Z. *Kossak:* Z otchłani. Warszawa 1962, s. 85—86.

[12] W. *Fejkiel:* Medycyna za drutami. W: Pamiętniki lekarzy. Warszawa 1964, s. 435.

[13] W. *Doroszewski:* O wyrazie muzułman. Rozmowy o języku. Warszawa 1948, t. 4, s. 85—92.

[14] T. *Rek:* Echa oświęcimskie. Warszawa 1959, s. 14.

mu jego istotnych danych, należnych mu choćby z tej racji, że jednak był i pozostał człowiekiem" [15].

Na uwagę zasługuje fakt, że więźniowie o różnych światopoglądach, rekrutujący się z rozmaitych środowisk społecznych, a przyjąć można, że reprezentujący również przed uwięzieniem niejednolite moralności obiegowe i będący zwolennikami odmiennych systemów etycznych — zgodni są w ujemnej ocenie moralności obozowej. Nasuwa się pytanie, czym wytłumaczyć, iż oceny tych samych co prawda zjawisk, ale dokonywane niewątpliwie z różnych punktów widzenia, nie odbiegają od siebie. Przypuszczać należy, iż zbieżność wspomnianych ocen została uwarunkowana tym, iż w obozie łamaniu uległy elementarne, ogólnoludzkie normy moralne, których odczucie i interpretacja nie są zależne od klasowej przynależności i światopoglądu człowieka. Normy te określał F. *Engels* jako proste zasady, które w imię interesów człowieka regulują stosunki międzyludzkie. W. *Lenin* rozumiał przez nie „elementarne zasady znane od wieków, przestrzegane bez przymusu, występujące w różnych moralnościach, stojące na straży elementarnych więzi społecznych" [16]. Pisał o nich L. *Krzywicki*, że „poprzez wszelkie szczeble kultury, a więc poprzez okres dzikości, barbarzyństwa i cywilizacji, obowiązuje jedna i druga tej samej treści zasada" [17].

Ogólnoludzki charakter przypisuje się, między innymi, następującym normom: nie zabijaj dla przyjemności mordu, spiesz z pomocą kalekom, chorym i ofiarom nieszczęśliwych wypadków, nie rzucaj oszczerstw, dotrzymuj danego słowa, nigdy nie zdradzaj swej ojczyzny, bądź mężny i wytrwały, znoś mężnie przeciwieństwa losu, nie poddawaj się trudnościom. Do norm tych należą również zalecenia: mężnej postawy w walce z zagrażającym grupie wrogiem, wzajemności usług, zakresu zdrady, wystrzegania się zabójstwa bez uprawniających przyczyn. Wiele z tych norm nie było w obozie powszechnie przestrzegane.

Innym przejawem degradacji moralnej człowieka w obozie koncentracyjnym była skrajna prymitywizacja jego potrzeb. T. *Rek* pisze, a potwierdzają to inni autorzy, że skala wartości potrzeb ulega w obozie radykalnemu odwróceniu. Pragnienia i nadzieje więźniów kierowały się głównie ku sprawom wiążącym się bezpośrednio z przetrwaniem. Potrzeby biologiczne ulegały karykaturalnemu wyolbrzymieniu, przesłaniały wszelkie inne. Wśród nich naczelne stawały się potrzeby zaspokojenia głodu, odpoczynku, zabezpieczenia się przed niepogodą [18]. Wszystkie te nieważne i nie istniejące przedtem sprawy zjawiały się, potężniały, ogarniały człowieka-więźnia, pochłaniały wszystkie jego myśli, uczucia i pragnienia. Inni twierdzą, że nagminną chorobą ludzi przebywających długo w obozie było skoncentrowanie ich myśli „prawie wyłącznie dookoła tego wszystkiego, co się wiązało z zaspokojeniem głodu" [19]. Według S. *Szmaglewskiej* marzenia więźniów, wyrażające potrzeby uznawane przez nich za najistotniejsze, koncentrowały się na zdobyciu koca, bielizny, herbaty, czy kromki chleba, na pracy w zamkniętym pomieszczeniu, chroniącym przed zimnem i deszczem, na śnie i zapomnieniu [20].

W obozie nie występowała na szerszą skalę potrzeba działania w imię dobra innych ludzi, główny wysiłek większości więźniów bowiem skierowany był na walkę o własny byt, zachowanie własnej egzystencji, ocalenie swojego życia i zaspokojenie osobistych potrzeb. Życie duchowe więźnia ulegało zubożeniu, zainteresowania wniesione do obozu wygasły, następował nie rozwój i wzbogacanie osobowości, ale jej ograniczenie i prymitywizacja. W tych warunkach inny człowiek, jego dobro czy szczęście nie mogły stanowić najwyższej wartości, celu samego w sobie, bowiem celem tym stawało się własne dobro, które często było sprzeczne z interesami innych ludzi. Więzień nie dążył do przekształcenia obozowej rzeczywistości, lecz starał się do niej przystosować; nie walczył ze złem występującym wokół niego, a co najwyżej usiłował je omijać. Jego aktywność była aktywnością skierowaną głównie na własny użytek, dotyczącą spraw osobistych, a nie dyktowaną uspołecznieniem i względami na dobro innych. Dążenie do prawdy czy piękna nie było, bo być nie mogło, w obozie realizowane. Normy i oceny moralne kształtujące się w obozie, uznawane przez więźniów i określające ich postępowanie, zostały podporządkowane podstawowej potrzebie biologicznego przetrwania. Służyły jej np.: zasada niedzielenia się swoją porcją żywności z innymi, gdy brak było dodatkowych źródeł zaopatrzenia; akceptacja zdobywania pożywienia i odzieży drogą organizacji; reguła nieudzielania pomocy katowanemu przez oprawcę koledze, gdy to mogło narazić własne bezpieczeństwo; aprobata dla uśmiercania przez działaczy obozowego ruchu oporu denuncjatorów i bestialskich funkcyjnych, jeśli innymi sposobami nie można było wyeliminować ich wpływu na życie obozowe; chytrość, podstęp i przekupstwo w stosunku do esesmanów; komercjalizacja i zanik bezinteresowności w stosunkach międzyludzkich.

W ten sposób doszliśmy do końcowej moralności obozowej, która była celem niniejszych rozważań. Wyrazić ją można określeniem demoralizacja lub regres moralny. Sąd ten jest oparty na ocenach samych więźniów, zawartych w ich wspomnieniach. Określają oni powstawanie, czy intensyfikację jednych, a zanik innych cech moralnych, dokonywające się w obozie koncentracyjnym jako regres moralny, deprawację bądź demoralizację.

[15] A. *Ziemba:* Pajda chleba. Poznań 1957, s. 71.
[16] W. *Lenin:* Dzieła. T. 25. Warszawa 1951, s. 498.
[17] L. *Krzywicki:* Studia socjologiczne. Warszawa 1951, s. 235.
[18] T. *Rek*, o. c., s. 90, 92, 93.
[19] J. *Kret:* Ostatni krąg. W: Pamiętniki nauczycieli. Warszawa 1962, s. 464.
[20] S. *Szmaglewska*, o. c., s. 36 i 121.

Dodać należy, czego w tym miejscu jednak udowodnić nie sposób, że relacje więźniów innych hitlerowskich obozów koncentracyjnych prowadzą do analogicznych stwierdzeń, jak te, które zostały tu przedstawione. Wynika stąd, że regres moralny nie był zjawiskiem swoistym dla więźniów obozu w Oświęcimiu, ale występował we wszelkich społecznościach więźniarskich skazanych na życie w zbliżonych warunkach.

Negatywna ocena zmian zachodzących w moralności więźniów domaga się wyjaśnienia, kto i w jakim stopniu za nie odpowiadał. Czy człowieka, który temu procesowi podlegał, można i należy winić; czy nie mógł on zachować w obozie przynajmniej tych cech moralnych, z którymi przestępował jego bramy? Czy przemiany te były związane z warunkami życia w obozie, czy też korelacji czasowej ich powstawania z okresem uwięzienia nie odpowiada żadna przyczynowa zależność? Na te i podobne pytania odpowiedzieć w niniejszym artykule nie sposób, postaramy się jednak do nich powrócić w innych publikacjach.

ALICJA GLIŃSKA

Sosnowiec

Istota i mechanizm przemian w moralności więźniów Oświęcimia

Więźniowie obozów koncentracyjnych, wywodząc się z różnych narodów i środowisk, przekraczali bramy *kacetów* z rozmaitymi przekonaniami politycznymi, religijnymi, czy moralnymi. Byli wśród nich ludzie, którzy nigdy nie weszli w kolizję z prawem, a także notoryczni przestępcy; członkowie sekty Badaczy Pisma Świętego, którzy dostali się do obozu, nie chcąc brać udziału w wojnie i zabijać innych, jak również wielokrotni mordercy; wierne żony i oddane matki oraz zawodowe prostytutki; duchowni, ludzie wierzący i ateiści; komuniści i ich przeciwnicy; przedstawiciele rozmaitych klas oraz warstw społecznych. Cała obozowa społeczność składała się z jednostek, które z całą pewnością przed uwięzieniem cechowały różne poglądy moralne, a postępowaniem kierowały odmienne zasady. Niemniej mimo tych różnic i pobytu w obozach pewnej liczby ludzi z marginesu społecznego można przyjąć, iż zdecydowaną większość uwięzionych stanowili ci, którzy w warunkach życia na wolności uchodzili za prawych i porządnych, a ich postawy moralne oceniane były jako poprawne.

Warunki egzystencji w obozach koncentracyjnych wywoływały pewne zmiany w postawach moralnych więźniów: zagadnienie to było tematem poprzednich artykułów [1]. Przez przeważającą liczbę tych, którzy obóz przeżyli, kierunek tych przeobrażeń jest oceniany ujemnie. Byli więźniowie w swych pamiętnikach i wspomnieniach dają wyraz przekonaniu o destruktywnym wpływie pobytu w obozie koncentracyjnym na moralność.

Człowiek w „normalnym" życiu, to znaczy przed dostaniem się do obozu był lepszy od tego, jakim stawał się za drutami — piszą byli więźniowie. Istota tych przemian jest jednak ujmowana w rozmaity sposób. W pamiętnikach zarysowują się dwa zasadnicze stanowiska w tej kwestii. Pierwsze sprowadzić można do stwierdzenia, że obóz ujawniał prawdziwą naturę ludzką; obnażał to, co w warunkach normalnego, spokojnego życia na wolności człowiek ukrywał pod pewną maską, pod zewnętrznymi cechami i pozorami. Dopiero w obozie pokazywał swą rzeczywistą wartość, prawdziwą sylwetkę moralną. Zdaniem reprezentantów drugiego stanowiska obóz nie ujawniał rzeczywistej ludzkiej natury, lecz ją przekształcał, tworząc innego człowieka, o odmiennej moralności. Autentycznym bez pozorów mógł być każdy i na wolności, i po jej utracie, a różnił się moralnie w tych dwóch etapach swojego życia nie dlatego, że zrzucał maskę, lecz wskutek tego, że przeobrażał się w swej istocie.

Pierwsze z wymienionych stanowisk występuje we wspomnieniach S. *Szmaglewskiej,* choć nie jest ona całkowicie w swych poglądach konsekwentna. W „Dymach nad Birkenau" pisze, iż w obozie „znikają łuski zasad, foremki dobrych obyczajów, które czasem, w unormowanym życiu pozwalają człowiekowi-zeru przejść poprawnie przez wiele sytuacji, bez uświadamiania sobie i innym, że jest zerem" [2]. Autorka tego cytatu sądzi, że w warunkach trudnej niewoli odzywają się atawizmy, dawno uśpione instynkty, które w normalnym życiu nigdy nie mogłyby się obudzić. W obozie „odwieczne białe i czarne, odwieczne zło i dobro powstają z głębi istoty i wychodzą na powierzchnię" [3].

Podobne stanowisko zajmuje T. *Rek,* pisząc: „Warunki obozowe, jak w ogóle wszelkie cięż-

[1] Por. A. *Glińska:* Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 37—45. Tejże autorki: Kierunek przekształceń moralnych wśród więźniów Oświęcimia. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 57.

[2] S. *Szmaglewska:* Dymy nad Birkenau. Warszawa 1958, s. 289.

[3] Tamże, s. 290.

kie sytuacje życiowe sprawiały, że już po krótkim czasie w człowieku brały górę naturalne jego skłonności i instynkty, ukazywał się bez dekoracji, bez szminki, bez życiowego i cywilizacyjnego pokostu. W obozowej rzeczywistości obok wzniosłości spotykało się na każdym kroku podłość, obok cnoty — występek, obok wielkości i wyżyn — małość i niziny" [4].

K. *Żywulska* uogólnia swe doświadczenia obozowe następująco: „Wiem, że tego doświadczenia, tej «szkoły», jaką mi dał Oświęcim, nie zdobyłabym nigdzie. Nigdzie nie można tak dojrzeć nagiego człowieka. W warunkach wszelkiej cywilizacji człowiek zawsze się maskuje, tu musi być taki, jaki jest naprawdę" [5].

Wymienieni autorzy przypisują obozowi demaskatorską rolę, polegającą na ujawnianiu faktycznej wartości moralnej jednostki ludzkiej. Ich zdaniem, człowiek „z natury", czy „w istocie swej" jest albo dobry, albo zły. Jednakże i niezmienne jego właściwości nie uzewnętrzniają się w życiu spokojnym i bezpiecznym. Wychodzą na jaw dopiero w trudnych warunkach egzystencji, w momentach zagrożenia, w konfliktowych sytuacjach społecznych, które są sprawdzianem człowieczeństwa.

Stanowisko cytowanych autorów ma w teorii etycznej swój odpowiednik w postaci egoistycznej, bądź altruistycznej wykładni natury ludzkiej. Omówieni przykładowo twórcy pamiętników oświęcimskich skłaniają się raczej do tej pierwszej formy, mającej postać pesymizmu światopoglądowego. Wyraża się on przewagą negatywów w moralnej ocenie człowieka jako gatunku, a także w ocenie natury ludzkiej. Typową dla pesymizmu światopoglądowego koncepcję człowieka złego z natury reprezentują wśród autorów pamiętników oświęcimskich J. *Kret* oraz C. W. *Jaworski*.

Zdaniem J. *Kreta* całkowicie odhumanizowany w obozie człowiek stawał się wilkiem drugiemu człowiekowi, upodabniał się do drapieżnego zwierzęcia [6]. W zbliżony sposób pisze C. W. *Jaworski* o wygasaniu uczuć ludzkich w obozie, o zamianie człowieka w bestię ludzką, kierowaną wyłącznie zwierzęcym instynktem [7]. Przytoczeni autorzy sądzą, że obnażanie natury ludzkiej w warunkach walki o byt powodowało odsłonięcie i dominację cech zwierzęcych. Sąd taki prowadzi jednak do paradoksu, albowiem za wrodzone, naturalne i najistotniejsze cechy natury ludzkiej poczytuje się cechy typowe dla świata zwierzęcego.

Porównanie istot ludzkich do zwierząt, występujące w piśmiennictwie pamiętnikarskim, zdaje się raczej spełniać rolę przenośni, mających wzmocnić dezaprobatę zawartą w ocenach zachowań więźniów. Częściowo, być może, rodziło je dostrzeganie, iż podstawowym pragnieniem człowieka w obozie, głównym motorem jego działań, stawało się zaspokojenie potrzeb biologicznych, jak np. głodu, snu, wypoczynku, bezpieczeństwa. Potrzeby te są wspólne światu ludzi i zwierząt.

Stanowisku, uznającemu wpływ obozu na moralność, ale ujmującemu go tylko jako wpływ demaskatorski, przeciwstawić można zawarte w bardzo licznych pamiętnikach sformułowania, mówiące o rzeczywistym przekształcaniu się postaw moralnych więźniów. Autorzy rozumieją przez ten proces zachodzenie zmian faktycznych, a nie tylko zrzucanie pewnego nalotu nabytych nawyków myślenia i postępowania, pod którymi tkwią ukryte, niezmienne i wrodzone cechy moralne. Wymieniają przy tym nie tylko właściwości, jakie wytwarzały się w obozie, ale niekiedy starają się również określić przyczyny, które powodowały ich uformowanie się.

O nowych cechach pisze się, że więźniowie się ich „nauczyli", „przyzwyczaili" do pewnych reakcji, że zostały one „wytworzone", „uformowane" itp. Autorzy pamiętników twierdzą, że zachodzące w obozie przekształcenie moralności człowieka miało charakter stopniowy, trwało miesiące, a nawet lata. Zdaniem T. *Reka*, przemiany moralne więźnia miały charakter ciągły i trwały permanentnie przez cały okres pobytu w obozie [8]. Inni autorzy raczej twierdzą, że odbywały się one tylko przez pewien czas, po czym sylwetka moralna więźnia się stabilizowała i nie podlegała bardziej zasadniczym zmianom.

Można przyjąć, że obydwa sądy są słuszne i nawzajem sobie nie przeczą. Stabilizacja moralna więźnia była związana ze stałością jego położenia w obozie. Gdy w jego sytuacji zachodziły zmiany, przeobrażały się również zasady kierujące postępowaniem. Np. gdy więzień systematycznie głodował, nie dzielił się z nikim jedzeniem, ale gdy posiadał nadmiar żywności lub możliwości jej zdobycia, pomagał kolegom. Jeśli był chory i wycieńczony, usiłował się dostać nawet kosztem innych do szpitala, zdrowy i silniejszy od innych — opiekował się słabszymi przyjaciółmi.

Z omówionych dwóch ujęć istoty przemian w moralności więźniów obozu koncentracyjnego słuszne wydaje się to, które mówi o faktycznym przeobrażaniu się człowieka. Koncepcja przeciwna, odwołująca się do demaskowania „prawdziwej natury ludzkiej", nie przemawia do przekonania, ponieważ opiera się na apriotycznym założeniu. iż natura taka jest wyposażona we wrodzone, niezmienne cechy moralne, niezależne od obiektywnych warunków egzystencji człowieka. Odwoływanie się do natury ludzkiej, do wrodzonych cech moralnych rodzi pytanie, kto ludzi w te cechy wyposażył, skąd bierze się ich predestynacja do dobra czy zła, na co nie można odpowiedzieć w sposób naukowy.

Dodać należy, iż nikt nie twierdzi, by obóz zmieniał człowieka raz na zawsze. Przeciwnie, wszelkie opisy przeobrażeń moralnych są po-

[4] T. *Rek:* Echa oświęcimskie. Warszawa 1949, s. 80.
[5] K. *Żywulska:* Przeżyłam Oświęcim. Warszawa 1946, s. 150.
[6] J. *Kret:* Bieguny. W: Kominy. Warszawa 1962, s. 237—238.
[7] C. W. *Jaworski:* Wspomnienia z Oświęcimia. Warszawa 1962, s. 110.
[8] T. *Rek*, o. c., s. 178.

łaczone z wyjaśnieniem, że dotyczą one tylko obozu. Skierowana do czytelników inwokacja wspomnień S. *Jagielskiego* może być poczytana za przykład potwierdzający tę tezę. Czytamy w niej między innymi: „Nie patrzcie na nas, jak na ludzi z innej planety, jak na powracających z tamtego świata... I nie myślcie, że poprzez otchłań zmory wypaliło się w nas wyczucie piękna i radości życia. Koszmar, któryśmy widzieli i przeżyli, chcielibyśmy zapomnieć" [9].

T. *Rek* wiąże proces przemian zachodzących w człowieku uwięzionym z nowa skalą wartości, jaka się wytwarzała w obozie. Pisze o tym następująco: „Sprawy niegdyś ważne i najważniejsze odsuwały się, oddalały, znikały, a na ich miejsce z kolosalną siłą i napięciem przychodziły zagadnienia nowe, całkowicie dotychczas nieznane i obce, albo też znajdujące się — w hierarchii ważności — gdzieś niesłychanie daleko, na samym końcu, mało ważne. Wszystkie te nieważne i nie istniejące przedtem sprawy zjawiały się, potężniały, ogarniały człowieka-więźnia, pochłaniały wszystkie jego myśli, czucia i pragnienia" [10].

W związku ze stwierdzeniem zachodzenia przemian w moralności więźniów nasuwa się pytanie o sposób, w jaki się one dokonywały, o ich mechanizm.

W piśmienictwie etycznym podkreśla się, że przekształcenia w moralności, zwłaszcza zaś w świadomości moralnej nie mają charakteru nagłych i radykalnych przeobrażeń, lecz odbywają się bardzo powoli, w drodze ewolucyjnej. Pisze o tym L. *Lévy-Bruhl* następująco: „W istocie treść świadomości moralnej daleka jest od niezmienności. Zmienia się, czasem bardzo powoli, ale się zmienia. Stare elementy są z niej stopniowo eliminowane, nowe usiłują wtargnąć" [11]. Ten sam autor dodaje, że w ślad za sferą świadomości moralnej przemiany obejmują również praktykę moralną, lecz są one trudno dostrzegalne, nie dokonują się w ramach jednego pokolenia.

Badanie moralności więźniów obozu oświecimskiego wykazało, że zmiany w dziedzinie zjawisk moralnych mogą być bardzo gwałtowne, dokonywać się w ciągu miesięcy i lat, a nie całych epok historycznych. Szybkość przemian w sferze moralności jest bowiem uzależniona od tempa i radykalności przeobrażeń warunków, w których żyje społeczeństwo. W dotychczasowej historii wyznaczone tymi warunkami epoki mierzyło się setkami lat, a przejścia pomiędzy nimi — dziesięcioleciami, dzięki czemu proces przeobrażeń moralnych odbywał się powoli i stopniowo. Badana zbiorowość ludzka, jaką stanowili więźniowie Oświęcimia, została niespodziewanie, w jednym momencie przeniesiona w nową epokę, epokę przypominającą okres niewolnictwa.

W literaturze z zakresu etyki brak jest wyczerpujących opracowań dotyczących sposobu, w jaki zmienia się moralność, a zwłaszcza wzajemnej korelacji pomiędzy przemianami w świadomości moralnej i w rzeczywistej praktyce postępowania.

S. *Kowalski* w jednej z nowszych prac na te tematy pisze o mechanizmie powstawania nowej moralności w jednostce, że może on mieć jedną z trzech form. Pierwsza przebiega w kierunku od wiedzy (świadomości) do działania. Dominuje ona w okresach stabilizacji społecznej, gdy zasadniczo nie ma konfliktów stawiających pod znakiem zapytania istniejące wartości moralne, a presja opinii publicznej jest silna i jednoznaczna. Formę drugą cechują zamiany dokonujące się najpierw w działaniu, a następnie dopiero w świadomości. Występuje ona w okresach tzw. „demoralizacji", gdy dotychczas uznawane zasady etyczne stają się nieadekwatne wobec obiektywnych warunków i potrzeb. Wreszcie forma trzecia polega na równoległości przemian obydwu czynników (wiedzy i działania), która ma jednak względny charakter [12].

W wypadku nierównomiernego tempa przeobrażeń, niezależnie od tego, czy bardziej dynamiczne są przekonania moralne, czy sposób postępowania, rodzą się konflikty moralne, rozterki, trudności wyboru. Na nieuniknione konflikty moralne, zachodzące w społeczeństwie i w jednostce, a wynikające z nierównomiernego procesu przemian moralnych, zwraca uwagę L. *Lévy-Bruhl*, gdy pisze, że „moralność musi ewoluować na skutek swego związku z innymi instytucjami społecznymi i ta ewolucja nie może przebiegać bez tarć i wstrząsów, które w dziedzinie interesów wyrażają się w walkach, w sumieniu zaś jako konflikty obowiązków, czasem nierozwiązalne, przynajmniej z pozoru" [13].

Badanie sposobu dokonywania się przeobrażeń w postawach moralnych więźniów Oświęcimia prowadzi do wniosku, że formą najczęściej spotykaną była ta, która wiodła od postępowania do przekonań. Człowiek przekraczał bramy obozu z pewnym zasobem uznawanych za słuszne norm moralnych i z pewnymi nawykami postępowania. Mimo aprobaty tych zasad przestawał jednak po pewnym okresie pobytu w obozie kierować się nimi w działaniu. Uważał, że należy pomagać potrzebującym opieki, ale tego nie mógł w owych warunkach czynić; cenił bezwzględną uczciwość, lecz musiał zaczynać „organizować", walcząc o swe życie; uznawał konieczność szacunku dla zwłok ludzkich, lecz nie był w stanie tego zawsze okazywać. Jeśli nawet początkowo sam starał się nie łamać uznawanych norm moralnych, to jednak, widząc ich naruszanie przez innych, nie przeciwstawiał się temu swym działaniem, pozostawał bierny. Ta rozbieżność pomiędzy starymi a nowymi elementami w moralności

[9] S. *Jagielski:* Sclavus saltans. Warszawa 1946, s. 20.
[10] T. *Rek:* o. c., s. 82.
[11] L. *Lévy-Bruhl:* Moralność i nauka o obyczajach. Warszawa 1961, s. 67.
[12] S. *Kowalski:* Zagadnienie osobowości w świetle psychologii marksistowskiej. Wrocław 1954, s. 204.
[13] L. *Lévy-Bruhl*, o. c., s. 110.

rodziła wewnętrzne rozterki. Refleksje, wyrzuty sumienia, skrupuły moralne powstawały wówczas, gdy akceptowane normy nie znajdowały pokrycia w rzeczywistym postępowaniu. Wyrazem takiej niezgodności było negatywne ocenianie czynów, nie odpowiadających moralnym przekonaniom, przy jednoczesnym ich dokonywaniu. Dopiero po pewnym czasie poglądy naginały się do postępowania pod wpływem nieustannej presji warunków obozowej egzystencji.

W „Dymach nad Birkenau" S. *Szmaglewska* wielokrotnie pokazuje tragizm konfliktów moralnych zrodzonych w obozie. Opisuje np. walkę wewnętrzną, jaką stacza ze sobą chora więźniarka spragniona napoju i decydująca się ukraść go koleżance, znacznie lepiej zaopatrzonej. Jest to opis bezimienny, dotyczący jednostkowego zdarzenia, ale można przypuszczać, że autorka chce w ten sposób oddać pewien typowy dla ogółu więźniów konflikt moralny. W innym miejscu ta sama pisarka przedstawia uczucia więźniów wobec Żydów skazanych na zagładę i podążających do komór gazowych. Mają dla nich wiele tragicznego współczucia, chcieliby to przekazać im gestem lub słowem, nakłonić do buntu, ostrzec, ale pozostają bierni, odwracają twarze od żałosnego pochodu, by nie być do niego dołączonymi przez eskortujących esesmanów [14].

Troska o własne bezpieczeństwo, o zachowanie życia sprawiała, że wobec oprawców i esesmanów, na widok dokonywanych przez nich zbrodni, przeciwko którym buntowało się sumienie, więźniowie nie wyrażali otwarcie dezaprobaty, nie odważali się udzielić pomocy katowanemu koledze. W jakimś abstrakcyjnym, dalekim świecie może powinno się wystąpić przeciwko oprawcy, ale tu w obozie „nie możesz zerwać się i porwać za gardło bijącego, nie możesz trzasnąć esesmana w twarz ani kopnąć go w brzuch — nie możesz, bo chcesz żyć. Bo cię tu już nauczono, że taki czyn byłby nieproduktywnym szaleństwem" [15].

Zmiany w postępowaniu więźniów dokonywały się stopniowo, może właśnie dlatego, że przeciwdziałały im nie nadążające za nimi przekonania moralne. Np. A. *Fiderkiewicz* opisuje, jak zgłoszeni z nowego transportu ochotnicy, pragnący objąć funkcje w obozie, od których żądano maltretowania kolegów, „bili zrazu niechętnie, nieśmiało, ale stopniowo wprawiali się i walili coraz mocniej" [16]. Ten sam autor podaje, że więźniowie początkowo nie chcieli korzystać z mienia ofiar mordowanych w komorach gazowych, ale stopniowo przezwyciężali te opory, ratując nim życie swoje i innych.

Pozostało jeszcze do rozstrzygnięcia pytanie, czy przemiany w moralności więźniów zatrzymały się w momencie, gdy dawnym, wniesionym do obozu zasadom przestawała odpowiadać praktyka postępowania, czy też z kolei i w ślad za nimi przekształcała się również świadomość moralna.

Ze wspomnień więźniów można wnioskować, że stałe naruszanie pewnych przyjętych norm nie pozostawało na nie bez pływu. Normy te również się zmieniały, ale nie były to zmiany absolutne, polegające na bezwzględnej akceptacji ich nowej postaci. W obozie pewną nową praktykę postępowania więzień po pewnym czasie zaczynał uznawać za słuszną, ale tylko dlatego i wówczas, gdy była ona korzystna z punktu widzenia walki o najważniejszy cel, jakim było zachowanie własnej egzystencji. Ocena taka miała więc charakter przejściowy i utylitarny.

Tworzące się nowe normy, nowe kryteria ocen moralnych odnoszono tylko do obozu, do konkretnych warunków, w których trzeba było żyć i okoliczności, w jakich toczyła się walka o życie. Np. W. *Fejkiel* pisze, że dla dobra chorych udawał lojalność wobec esesmanów, stosował metodę przekupstwa „materialnego" i „moralnego", pochlebiał im, a wszystko to robił w imię dobra towarzyszy i swego bezpieczeństwa. Metody te, w zasadzie niesłuszne, nie budziły w nim wówczas zastrzeżeń moralnych, były bowiem jedynymi, za pomocą których można było działać skutecznie w zamierzonym kierunku [17]. S. *Jagielski*, charakteryzując swój stosunek do uśmiercania nieuleczalnie i zakaźnie chorych w obozie, stwierdza: „Mój punkt widzenia był przestrojony na warunki obozowe. Wprawdzie lekarz nie ma prawa dysponować życiem pacjenta, ale ... co innego teoria, a co innego praktyka" [18].

Przytoczone materiały, dotyczące mechanizmu oraz kolejności przemian w przekonaniach moralnych oraz postępowaniu, są reprezentatywne dla stanowiska innych autorów pamiętników z Oświęcimia. Niemal bez wyjątku sugerują one tezę, iż zmiany w postępowaniu więźniów były bardziej dynamiczne i wyprzedzały kształtowanie się nowych przekonań. Te ostatnie ewoluowały wolniej, a ich nowa treść była wyraźnie zrelatywizowana do okoliczności istniejących w obozie. Nie absolutyzowano tych zasad, lecz akceptowano je tylko w określonych warunkach, uznając, że inne zasady byłyby w nich niemożliwe do realizacji. Stąd też powrót ocalonych więźniów do życia na wolności powodował nie tylko regenerację ich sił fizycznych i psychiki, ale znacznie od niej szybsze odrzucanie tych deformacji w moralności, jakie ukształtowały się w trakcie pobytu w obozie koncentracyjnym.

[14] S. *Szmaglewska*, o. c., s. 285, 288.
[15] Tamże, s. 212.
[16] A. *Fiderkiewicz:* Brzezinka. Warszawa 1962, s. 52—53.
[17] W. *Fejkiel:* Medycyna za drutami. W: Pamiętniki lekarzy. Warszawa 1964, s. 517.
[18] S. *Jagielski*, o. c., s. 104.

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

JÓZEF KRET
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20020

Kraków

Przyczynek do historii zagłady inteligentów polskich w obozie oświęcimskim

Od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej dokonywano aktów eksterminacji ludności zarówno na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy, jak i w tzw. Generalnej Guberni. Duże ofiary ponosili inteligenci, w których Niemcy dopatrywali się potencjalnych przywódców ruchu oporu. Wielką i zorganizowaną akcją wyniszczającą była tzw. *Aussenordentliche Befriedungsaktion* (Akcja *AB*, nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna). Aby łatwiej ujarzmić okupowany kraj, hitlerowcy usiłowali zgładzić jak najwięcej najwartościowszych obywateli.

Warto przypomnieć, że szczególne nasilenie akcji *AB* przypadało na wiosnę roku 1940, gdy uwaga opinii międzynarodowej była zwrócona na ofensywę niemiecką w Europie zachodniej. Wtedy zasłynęła polana w lesie pod wsią Palmiry w Puszczy Kampinoskiej. Po wyzwoleniu odnaleziono tam przeszło 1700 ciał. „Wśród straconych w ramach akcji *AB* znajdowali się zarówno działacze polityczni (...), jak i ludzie należący do kręgów twórców, działaczy społecznych, wolnych zawodów (...). Dobrze znamy te nazwiska, między innymi Macieja *Rataja*, Mieczysława *Niedziałkowskiego*, licznych adwokatów, publicystów i literatów, lekarzy i nauczycieli, oficerów i urzędników, sportowców" [1].

Lekarze, podobnie jak inni przedstawiciele warstwy inteligencji polskiej, ponieśli wskutek represji okupanta bardzo duże straty. „Jakkolwiek nie mamy dotychczas dokładnej listy strat, wiemy jednak, że z 14 tysięcy lekarzy przed wojną stanęło do pracy po roku 1945 tylko około 5 tysięcy, czyli pozostał zaledwie co trzeci lekarz" [2]. O represjach wobec lekarzy, o stratach w szeregach pracowników służby zdrowia, o sytuacji uwięzionych lekarzy niejednokrotnie już pisano w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Stosunkowo mniej wiadomo o losie inteligentów polskich w obozach koncentracyjnych. Na przykład w obozie oświęcimskim co jakiś czas oddział polityczny (gestapo obozowe) skazywał całe grupy więźniów na śmierć.

Przedmiotem niniejszego opracowania jest jedna z takich akcji likwidacyjnych. Została ona przeprowadzona 27 maja i 11 czerwca 1942 roku. Zamordowano wówczas około 560 więźniów, reprezentantów inteligencji polskiej. Byli to ci, których przywieziono z Krakowa do Oświęcimia w dniach 24 i 25 kwietnia 1942 roku w liczbie 198 osób, a wśród nich wszyscy, których aresztowano w kawiarni „Dom Plastyków" w Krakowie w kwietniu 1942 roku [3]. Ponadto padli wtedy ofiarą inni więźniowie (przeważnie oficerowie rezerwy), tj. około 400 osób przywiezionych różnymi transportami z Krakowa i Warszawy.

Prof. Jan *Dąbrowski* w swej znanej książce pt. Kraków pod rządami wroga (s. 38) nawiązuje do owych wydarzeń. Mianowicie naczelnicy urzędów niemieckich w Generalnej Guberni otrzymali w lutym 1942 roku instrukcję podkreślającą, że rok ten miał przynieść decydujący wysiłek Niemiec w celu odniesienia zwycięstwa. Gestapo przygotowało w Krakowie represje zmierzające do zmaltretowania ludności miasta wskutek masowych aresztowań i deportacji. Rozpoczęło je wspomniane już, głośne uwięzienie osób obecnych w kawiarni „Plastyków" dnia 13 kwietnia 1942 roku. Około 200 mężczyzn ze sfer intelektualnych Krakowa zostało aresztowanych, wywiezionych do Oświęcimia i tam straconych. W następnych dniach dokonano masowego aresztowania kilkuset oficerów rezerwy w Krakowie; w całym okręgu krakowskim zabrano ich wtedy około 2000; prawie wszystkich stracono w Oświęcimiu.

Tak się złożyło, że mój los obozowy splótł się z tragedią polskich więźniów Oświęcimia, której dotyczy niniejszy artykuł. 13 maja 1942 roku zostałem osadzony wraz z trzema kolegami w bunkrze bloku nr 11 za to, że w czasie robót melioracyjnych na terenach przyłączonych do obozu podjęliśmy podrzucone nam przez osobę cywilną zawiniątko zawierające cztery kromki chleba. Każdego z naszej czwórki po wymierzeniu 35 plag osadzono w innej celi. Znalazłem się w ciemnicy położonej od strony dziedzińca, na którym rozstrzeliwano ofiary przed tzw. „ścianą śmierci".

[1] A. *Ajnenkiel:* Warszawski pierścień śmierci. Trybuna Ludu, 1968, nr 90, s. 3.

[2] H. *Szwarc:* Ofiary jeszcze żyją. Kultura, 1968, nr 29 (267), s. 7.

[3] 24.IV.1942 r. przywieziono z Krakowa 98 więźniów, których oznaczono numerami 32 489—32 586, a dalszą 100-osobową część transportu przywieziono 25.IV.1942 r. (numery 33 091—33 190). Gestapo przysłało z Krakowa do oddziału politycznego w Oświęcimiu telegram, że wymienieni więźniowie zostali aresztowani jako zakładnicy za zamach na wyższego oficera *SS* na lotnisku w Rakowicach (przedmieście Krakowa). W telegramie zawarte było polecenie zlikwidowania ich wszystkich. (Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

Po dwóch tygodniach przebywania w bunkrze usłyszałem rano 27 maja 1942 roku ruch w bloku 11. Wyprowadzano po czterech więźniów na dziedziniec, stawiano ich przed „ścianą śmierci", a blokowy głośno zapowiadał, że za zamordowanie szefa lotnictwa niemieckiego w Krakowie zostaną rozstrzelani. Po tych słowach padały cztery strzały z broni małokalibrowej. Strzelał *rapportführer, SS-scharführer* (później *SS-hauptscharführer) Gerhard Palitzsch.* Wraz z moim współtowarzyszem w bunkrze, Janem *Dudzikiem* (nr obozowy 303) liczyłem strzały. Było ich przeszło sto, a masakra nie ustawała. Pamiętam lęk spowodowany świadomością, że dokonywało się „oczyszczanie" bunkrów bloku 11, a zatem za chwilę przyjdzie kolej także na nas.

U wylotu betonowego omurowania okienka naszej celi, nakrytego grubą blachą w celu niedopuszczenia światła do wnętrza, znajdowali się władcy obozu i prowadzili rozmowę. Rozpoznaliśmy głosy szefa oddziału politycznego *SS-untersturmführera* Maksymiliana *Grabnera,* następcy *Karla Fritzscha* na stanowisku pierwszego *lagerführera* Oświęcimia *SS-hauptsturmführera Hansa Aumeiera,* kierownika oddziału zatrudnienia *SS-hauptsturmführera Heinricha Schwarza,* jeden głos zaś był nam nieznany. W jednej z czwórek skazańców, zanim padł strzał, ktoś zawołał: „Niech żyje Polska!" Na ten okrzyk *Aumeier* zaczął wymyślać na Polaków i grozić, że się z nimi rozprawi. Rozstrzeliwanie trwało dalej. Naliczyliśmy 168 ofiar.

Na podwórzu zaległa cisza. Umilkła również rozmowa u wylotu naszego bunkrowego okienka. Uchyliła się blaszana klapa i usłyszeliśmy z *Dudzikiem* głos *Grabnera,* skierowany do naszego bunkra: „*Ist jemand da oder nicht*?!" (Jest tam kto? Czy nie ma?). Milczeliśmy. Było oczywiste, że *Grabner* chciał się upewnić, czy w bunkrze przebywa ktoś, kto mógł usłyszeć rozmowę. Gdybyśmy się odezwali, z pewnością dołączono by nas do grupy rozstrzeliwanych. Zajechały ciężarówki i słychać było łoskot wrzucanych na auta zwłok 168 rozstrzelanych. Nastąpiła przerwa.

Po przerwie obiadowej wywołano z bunkrów dalszych więźniów, ale nie czterech, lecz dwudziestu na raz, a wśród nich także nas czterech „meliorantów". Ustawiono nas pod ścianą śmierci. Staliśmy tam długo przekonani, że oczekujemy na *Palitzscha* i swoją kolej do krematorium. Ta stójka przed „czarnym ekranem", trwająca godzinę lub półtorej, była dla nas wiekiem. Nie rozstrzelano nas jednak, lecz po sprawdzeniu numerów skierowano z powrotem do bunkra, a następnego dnia (28. V. 1942 r.) zaprowadzono tę całą 20-osobową grupę do karnej kompanii (*Strafkompanie,* w skrócie *SK*), mieszczącej się w Brzezince [4]. Tam też poprzedniego dnia (27. V. 1942 r.) zesłano wspomnianych około 400 więźniów, oficerów rezerwy [5]. Więźniów kompanii karnej oznaczano czarnymi punktami na bluzie i spodniach. Tym jednak 400 zesłańcom do *SK* dodatkowo naszyto na piersiach, plecach i na spodniach czerwone punkty, którymi oznaczano więźniów szczególnie groźnych w pojęciu gestapo.

Kiedy nasza 20-osobowa grupa przybyła 28 maja 1942 roku do *SK,* zastała tam obok 80 dawniejszych skazańców także tych 400 więźniów, włączonych poprzedniego dnia do *SK* w Brzezince. Zachowany do dzisiaj blok, w którym mieściła się *SK,* odgrodzony od reszty obozu, był jednym z tych, które niedawno wybudowano na ilastej, nieprzemakalnej glebie Brzezinki. Cienkie, ceglane ściany, brak sufitu, umywalni i wody, cztery rzędy niskich koi, ścieżki wzdłuż nich rozdeptane w grząskim błocie, na wpół zgniła i cuchnąca słoma w kojach, pochodząca z dachów zburzonych domów okolicznych, brak pościeli, sienników i koców świadczą o panujących tam warunkach.

Więźniowie *SK* byli wówczas zatrudnieni przy budowie kanału, którego oficjalna nazwa brzmiała *Königsgraben. Kommandoführerem SK* był *SS-oberscharführer* Otto *Moll,* osławiony oprawca i morderca, w późniejszym okresie komendant krematoriów i komór gazowych. Tutaj dręczył więźniów pracujących przy kanale, który miał zbierać wszystkie wody z bagnistych terenów Brzezinki i Rajska i odprowadzać je do Wisły. Funkcje „kapów" nadzorujących nas przy pracy pełnili więźniowie-Niemcy, przestępcy kryminalni, zwyrodnialcy, zawodowi zbrodniarze (*Berufsverbrecher*), oznaczeni zielonym trójkątem.

Praca przy budowie kanału przekraczała siły wygłodniałych więźniów. Bicie, maltretowanie, topienie w bagnach kanału, brak czystej wody, brud, głód, niewyspanie — wszystko to dziesiątkowało każdego dnia nasze szeregi. Chorych i osłabłych zabijano na miejscu pracy. Codziennie po pracy wieźliśmy do obozu żniwo dnia: wóz wypełniony zwłokami pomordowanych w czasie dniówki roboczej.

Do tego wszystkiego dołączyła się akcja likwidacyjna ze strony oddziału politycznego. Mianowicie więźniów skierowanych 27. V. 1942 roku do *SK* co parę dni wzywano po kilku do kilkunastu do *Politische Abteilung* w macierzystym obozie Oświęcim I. Więcej nie wracali. Rozstrzeliwano ich na dziedzińcu bloku 11 pod ścianą śmierci. Tylko rodziny po pewnym czasie otrzymywały urzędowe zawiadomienia, że ich syn, ojciec czy brat „zmarł na zapalenie płuc" albo „udar serca" czy inną chorobę. Tajemniczość, jaką oddział polityczny otaczał tę akcję likwidacyjną, budziła lęk i grozę.

---

[4] 9.V.1942 r. przeniesiono kompanię karną z bloku 11 w Oświęcimiu do Brzezinki i umieszczono ją w bloku 1 (odcinek BIb).

[5] Krystyna *Pieradzka* w pracy pt. „Terror hitlerowski i rządy gestapo w Krakowie 1939—1945" (Rocznik Krakowski, t. XXXI, s. 235) mylnie podaje, że 27.V.1942 r. rozstrzelano na dziedzińcu bloku 11 czterystu więźniów. Rozstrzelano bowiem w tym dniu 168, a 400 zginęło w *SK* w Brzezince 11.VI.1942 r.

Opisana sytuacja sprzyjała odruchom rozpaczy i rodziła myśli o ucieczce, zwłaszcza u zesłanych do *SK* w dniu 27. V. 1942 roku, gdyż na nich głównie skupiały się represje funkcyjnych i oddziału politycznego. Niektórzy z tych więźniów porozumieli się z sobą i postanowili uciekać 10 czerwca. Po gwizdku oznajmiającym koniec pracy mieli rzucić się błyskawicznie w stronę lasku, rozciągającego się po drugiej stronie wysokiej grobli, oddzielającej ten lasek od kanału.

W dniu wyznaczonym na ucieczkę było pochmurno, a około godziny 16 zaczął padać gęsty deszcz. Wszyscy pragnęli, aby *Moll* zezwolił schronić się na czas deszczu do szopy z narzędziami. Tak się też stało, gdy *Moll* ukazał się na grobli i gwizdkiem dał sygnał przerwania pracy. Gdy biegliśmy pędem w stronę szopy, duża grupa więźniów rzuciła się w przeciwnym kierunku na groblę, za którą rozciągały się krzewiaste zarośla młodego lasku. Powstało zamieszanie. Rozległy się gwizdki esesmanów. Krzyki „kapów" pędzących za uciekającymi mieszały się z odgłosami strzałów esesowskich. Wśród gromady uciekających „kapowie" wywijali drągami na lewo i prawo, próbując zatrzymać i zawrócić zbiegów. Największy zabijaka wśród „kapów", *Karl Langenhagen* chwalił się później, że sam zawrócił kilkudziesięciu uciekających. Gromada uciekinierów sforsowała groblę i wpadła w las.

We wrzawie i chaosie padł rozkaz *Molla* skierowany do pozostałych, zdezorientowanych więźniów, aby padli na ziemię twarzą w dół i leżeli bez ruchu. Gdyśmy leżeli tak na brzuchu w błocie, dokoła trwała strzelanina i krzyki. Kolejny rozkaz poderwał nas na zbiórkę obok narzędziowni na błotnistym placu. Stanęliśmy pospiesznie w piątkach, a esesmani przeliczywszy obecnych stwierdzili brak dwudziestu, a po powtórnym liczeniu — brak dwudziestu dwóch więźniów. Wzmogło to wściekłość *Molla*, esesmanów i „kapów". Z wrzaskiem nakazali, aby paść twarzą do ziemi, deptali po leżących i bili każdego, kto się poruszył. Z lasu dochodziły odgłosy strzałów. To część załogi esesowskiej polowała na zbiegów.

Wreszcie kazali nam powstać. Deszcz ustał. Pomaszerowaliśmy do obozu unurzani w błocie, niektórzy półnago, gdyż nie zdążyli ubrać drelichów. Trzeba wyjaśnić, że więźniowie *SK* byli ubrani w tym czasie w drelichy po zamordowanych jeńcach radzieckich. Na czas pracy musieliśmy ściągać bluzy i koszule. Po przyjściu na podwórko ustawiliśmy się jak do apelu w dziesięciu szeregach. Padł rozkaz: przysiad, ręce wyciągnąć poziomo przed siebie! Trwaliśmy w tej pozycji bez ruchu, a wzdłuż szeregów przebiegali „kapowie", bijąc i kopiąc każdego, kto się zachwiał lub poruszył. Dopiero przed północą zapędzono nas do bloku.

Następnego dnia, tj. 11 czerwca 1942 roku apel poranny odbył się tak, jak zwykle. Ale wkrótce, przed wyruszeniem do pracy padł rozkaz, by więźniowie z czerwonymi punktami ustawili się osobno w szyku apelowym. Było ich około 360. Reszta zaś, około stu, miała ustawić się w piątki gotowe do wymarszu. Do tej setki udającej się do pracy włączono przed odmarszem grupkę spośród „czerwonych punktów". Ten oddział więźniów pomaszerował pod wzmocnioną eskortą esesmanów na *Königsgraben*, a pozostałym, ustawionym w dziesięciu szeregach kazano zrobić przysiad, ręce wyciągnąć naprzód i pozostać w opisanej pozycji.

Dzień był pochmurny, nastrój ponury. Praca przy kanale szła opornie. Nawet „kapowie" stracili swój zwyczajny, zbójecki impet. W południe ściągnięto nas na obiad do obozu, zamiast przysłać kotły z zupą na miejsce pracy, jak to robiono dotychczas. Kiedy weszliśmy na podwórko *SK*, ujrzeliśmy naszych kolegów w takiej pozycji, w jakiej pozostawiliśmy ich rankiem, w przysiadzie, z wyciągniętymi rę-



Ryc. 1. Przedwojenne (1938) i obozowe (1941) zdjęcie księdza Józefa *Kowalskiego* z Krakowa, ofiary akcji zagłady inteligentów polskich w Oświęcimiu. Był to bardzo dzielny i koleżeński towarzysz niedoli obozowej

kami, osłabłych już i padających, to znów resztkami sił podnoszących się pod kijami. W jednym rogu podwórka leżał stos zwłok kolegów zastrzelonych tegoż dnia. Dalej, pod ścianą ułożono sczerniałe, obłocone zwłoki kilkunastu więźniów zastrzelonych podczas wczorajszej ucieczki lub nocą, bądź też upolowanych dziś w lesie. Gdziekolwiek by stanąć, wszędzie była krew.

Co się działo przez te upiorne pół dnia, opowiedział mi mój kolega, Stanisław *Buczyński* (nr obozowy 2233), który pracując z grupą murarską kończył właśnie dzisiaj z dwoma kolegami omurowanie podwórza *SK* i widział

wydarzenia rozgrywające się przed południem. Dokładnie pamiętam z jego relacji, że około godziny 10 przyjechał *lagerführer Aumeier* w asyscie kilku esesmanów. Zwymyślał nieszczęsnych, a potem zapytał, kto organizował wczorajszy bunt i kto namawiał do ucieczki. Wszyscy milczeli. Powtórzył pytanie parokrotnie, ale nikt nie przerwał milczenia. Z indywidualnych indagacji więźniów też się niczego nie dowiedział. Wówczas wywołał z szeregów i ustawił twarzą do ściany dziesięciu więźniow, po czym wyciągnął z kolumny młodego więźnia i krzycząc kazał mu powiedzieć, kto był inicjatorem wczorajszego buntu. Zapytany nie odpowiedział nawet pod groźbą zastrzelenia go. Milczał tylko i hardo patrzył w oczy miotającego się *lagerführera*. *Aumeier* wówczas rozkazał mu odwrócić się i strzałem w tył głowy pozbawił go życia. Tak samo zachowała się dziesiątka więźniów ustawionych pod ścianą mimo groźby, że jeśli nie udzielą odpowiedzi, czeka ich los owego więźnia. *Aumeier* dał znak towarzyszącym mu esesmanom, *Mollowi, Palitzschowi* i *Hösslerowi*. Wspólnie na oczach wszystkich położyli trupem tych dziesięciu więźniów. Następnie dali pozostałym chwilę do namysłu.

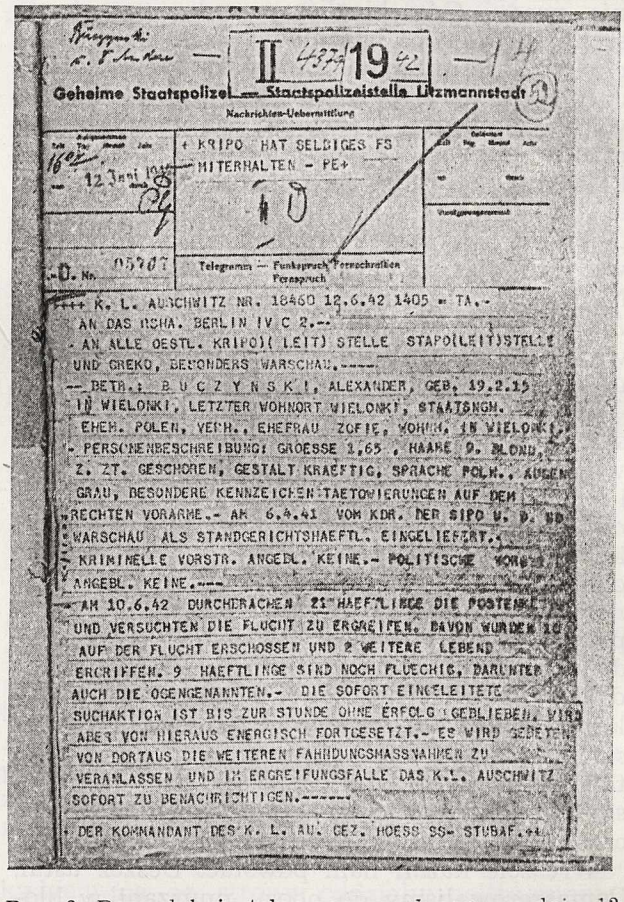
Niebawem *lagerführer* kazał wywołać według listy następną dziesiątkę. Znów powtórzyło się to samo: pytanie bez odpowiedzi i trupy dziesięciu więźniów legły pod ścianą. *Aumeier* z uporem pytał dalej, kto zorganizował ucieczkę. Tym razem zagroził, że każe rozstrzelać wszystkich. Zostawił czas do namysłu do godziny czternastej.

Gdy usłyszałem relację *Buczyńskiego*, minęła właśnie wyznaczona godzina, lecz nikt z komendy obozu jeszcze się nie zjawił. Nam, przybyłym z pola, wydano obiad. Resztę nadal trzymano w przysiadzie. Znów otworzyła się brama podwórza. Przyprowadzono ze szpitala z trudem wlokących się chorych. W gorączce, ledwie trzymając się na nogach, przerażonym wzrokiem rozglądali się oni dokoła. Nie rozumieli, co to wszystko znaczy. Po obiedzie przykazano nam stu, przybyłym z pracy, ulokować się w swoich kojach, nie ruszać się stamtąd i zachować ciszę. Zamknięto drzwi. W bloku nie było „kapów"; zatrzymano ich na zewnątrz do dyspozycji *SS*.

W bloku ci koledzy, których koje znajdowały się przy oknie, informowali nas o tym, co się działo na podwórzu. Z krótkich zdań towarzyszy dowiedzieliśmy się, że ze skazańców ściągają ubrania i buty, że jest już *Palitzsch*, że przyniesiono zwoje drutu kolczastego, że tną drut na krótkie kawałki, że krępują więźniom ręce na plecach, wyczytują numery, ustawiają wyczytanych w piątki. Potem do naszych uszu dochodziły liczby czytanych numerów, kolejno od najniższych. Każdy w bloku drżał, gdy zbliżała się jego liczba, bo kilku z naszej setki wywołano z bloku i dołączono do tamtej grupy. Wśród wywołanych znalazł się też jeden z naszej czwórki „meliorantów", Roman *Dobosz* (nr obozowy 19595).

Po chwili ciszy wycofano kilku z czerwonymi punktami z podwórza do bloku. Było ich ośmiu lub dziewięciu, a wśród nich ksiądz Józef *Kowalski*, salezjanin z Krakowa (nr obozowy 17350). Trudno się było domyślić, czym był podyktowany ten krok. Koledzy od okien informowali dalej, że ktoś przyjechał z komendy obozu, zrobił się ruch, otwierają bramę, wyprowadzają całą kolumnę, wszyscy trzymają się twardo, idą piątkami w bieliźnie, z rękami związanymi drutem od tyłu.

Kolumna około 320 więźniów z *SK* odbyła ostatni etap swej cierniowej drogi. Zagazowano ich w tzw. „białym domku". Była to mała, prowizoryczna komora gazowa, mieszcząca się wśród zarośli na peryferiach Brzezinki.



Geheime Staatspolizei — Staatspolizeistelle Litzmannstadt

Nachrichten-Uebermittlung

+ KRIPO HAT SELBIGES FS — MITERHALTEN - PE+

Telegramm — Funkspruch — Fernschreiben — Fernspruch

+++ K. L. AUSCHWITZ NR. 18460 12.6.42 1405 = TA.-

AN DAS RSHA. BERLIN IV C 2.--

- AN ALLE OESTL. KRIPO(LEIT) STELLE STAPO(LEIT)STELLE UND GREKO, BESONDERS WARSCHAU.----

— BETR.: B U C Z Y N S K I, ALEXANDER, GEB. 19.2.15 IN WIELONKI, LETZTER WOHNORT WIELONKI, STAATSNGH. EHEM. POLEN, VERH., EHEFRAU ZOFIE, WOHNH. IN WIELONKI,

- PERSONENBESCHREIBUNG: GROESSE 1,65 , HAARE: D. BLOND, Z. ZT. GESCHOREN, GESTALT KRAEFTIG, SPRACHE POLN., AUGEN GRAU, BESONDERE KENNZEICHEN: TAETOWIERUNGEN AUF DEM RECHTEN VORARME.- AK 6.4.41 VOM KDR. DER SIPO U. D. SD WARSCHAU ALS STANDGERICHTSHAEFTL. EINGELIEFERT.-

- KRIMINELLE VORSTR. ANGEBL. KEINE.- POLITISCHE VORSTR. ANGEBL. KEINE.----

— AM 10.6.42 DURCHBRACHEN 21 HAEFTLINGE DIE POSTENKETTE UND VERSUCHTEN DIE FLUCHT ZU ERGREIFEN. DAVON WURDEN 10 AUF DER FLUCHT ERSCHOSSEN UND 2 WEITERE LEBEND ERGRIFFEN. 9 HAEFTLINGE SIND NOCH FLUECHTIG, DARUNTER AUCH DIE OBENGENANNTEN.- DIE SOFORT EINGELEITETE SUCHAKTION IST BIS ZUR STUNDE OHNE ERFOLG GEBLIEBEN. WIRD ABER VON HIERAUS ENERGISCH FORTGESETZT.- ES WIRD GEBETEN VON DORTAUS DIE WEITEREN FAHNDUNGSMASSNAHMEN ZU VERANLASSEN UND IM ERGREIFUNGSFALLE DAS K.L. AUSCHWITZ SOFORT ZU BENACHRICHTIGEN.------

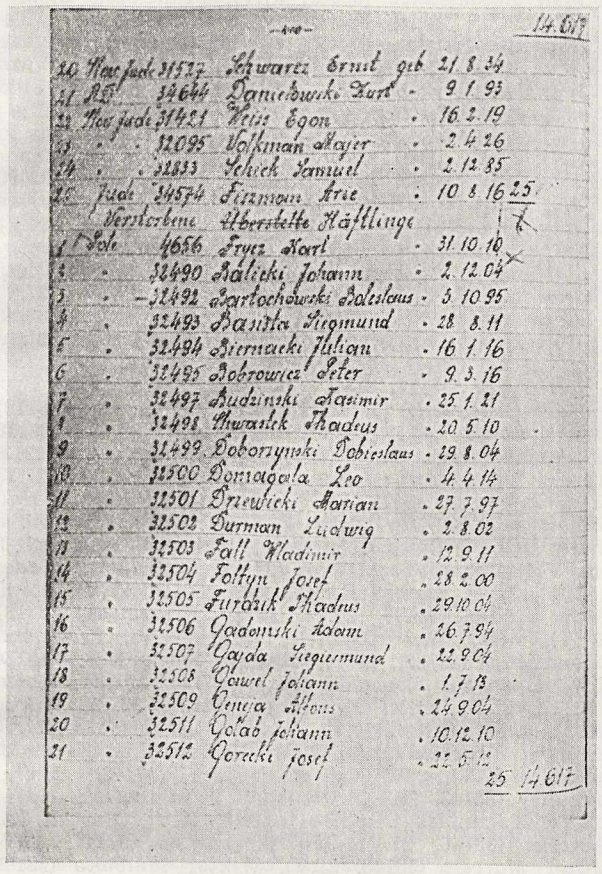
DER KOMMANDANT DES K. L. AU. GEZ. HOESS SS- STUBAF.++

Ryc. 2. Reprodukcja telegramu wysłanego w dniu 12 czerwca 1942 roku z obozu oświęcimskiego przez komendanta Rudolfa *Hössa* do nadrzędnych komórek gestapo i *Kriminalpolizei*. W ostatnim akapicie telegramu jest zawarta informacja o przedarciu się 21 więźniów przez *postenkette*, zastrzeleniu dziesięciu, schwytaniu dwóch (wkrótce ich zastrzelono) i ucieczce dziewięciu. (Fotokopia z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

Przy obliczaniu stanu *SK* okazało się, że brakuje przeszło 20 więźniów. Dziesięciu zastrzelono w czasie ucieczki, polując na nich w lesie. Dwóch schwytano i rozstrzelano. Tylko dziewięciu więźniom udało się zbiec. Liczby te potwierdza telegram Rudolfa *Hössa* (ryc. 2). Byli to (w nawiasach numery obozowe): August *Kowalczyk* (6804), Jerzy *Łachecki* (12541), Jan *Laskowski* (12543), Zenon *Piernikowski* (12544), Aleksander *Buczyński* (12754), Józef *Traczyk*

(13323), Tadeusz *Chruścicki* (16655), Józef *Pamrow* (22858) i Eugeniusz *Stoczewski* (22883) [6].

Tak więc ogólny tragiczny bilans 11 czerwca 1942 roku w *SK* obejmował 12 zabitych podczas ucieczki, 1 schwytanego, 21 rozstrzelanych na podwórzu i około 320 zamordowanych w „białym domku". Był to oczywiście ułamek tych strat, jakie poniosła inteligencja polska w obozie oświęcimskim.



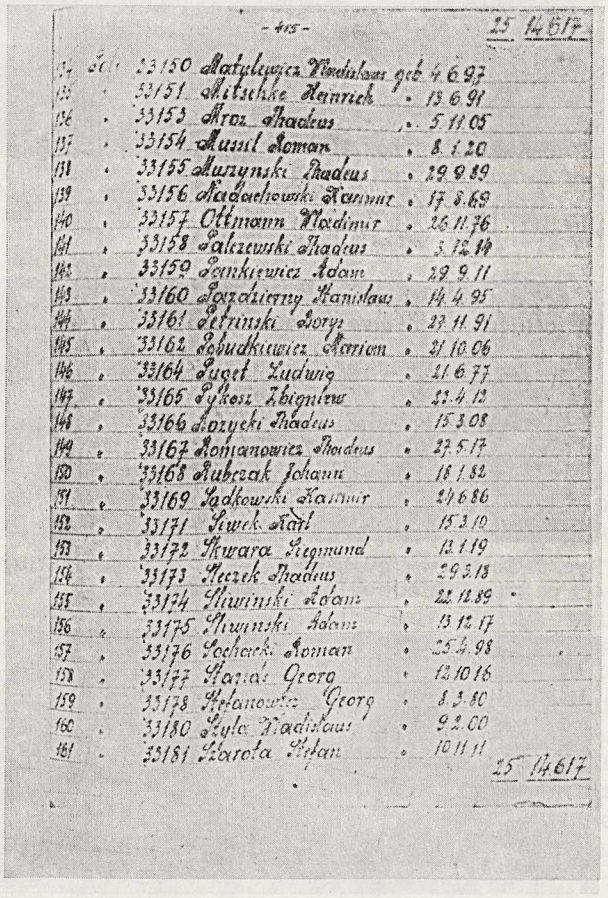
Ryc. 3. Reprodukcja stronicy autentycznej obozowej listy więźniów rozstrzelanych na dziedzińcu bloku 11 w Oświęcimiu w dniu 27 maja 1942 roku, początek wykazu (pod wcześniejszym numerem 4656 widnieje nazwisko Karola *Frycza*, po nim zaczyna się spis, który jest opublikowany na końcu artykułu). W Państwowym Muzeum w Oświęcimiu, które użyczyło fotokopii do niniejszego artykułu, znajduje się księga stanów dziennych (*Stärkenbuch*), zawierająca spis rozstrzelanych i daty ich urodzenia

*

* *

Kim byli więźniowie przywiezieni do Oświęcimia z Krakowa w dniach 24 i 25 kwietnia 1942 roku w liczbie 198 osób, dowiadujemy się z ocalałego fragmentu „Książki stanów dziennych" *(Stärkenbuch)* i z „Książki kostnicy" [7], w której odnotowano numery zmarłych więźniów. Oto lista tych 198 więźniów [8] (w nawiasach numery obozowe i data śmierci):

Bolesław *Augelus* (32489, 5.V.1942 r.), Jan *Balicki* (32490, 27.V.), Teodor *Banach* (32491, 28.IV), Bolesław *Bartochowski* (32492, 27.V), Zygmunt *Basista* (32493, 27.V), Julian *Biernacki* (32494, 27.V), Piotr *Bobrowicz* (32495, 27.V), Jarosław *Bryliński* (32496, 7. V.), Kazimierz *Budziński* (32497, 27.V), Tadeusz *Chwastek* (32498, 27.V), Dobiesław *Doborzyński* (32499, 27.V), Leon *Domagała* (32500, 27. V), Marian *Drzewicki* (32501, 27.V), Ludwik *Durman* (32502, 27.V), Włodzimierz *Fall* (32503, 27.V), Józef *Foltyn* (32504, 27.V), Tadeusz *Furdzik* (32505, 27.V), Adam *Gadomski* (32506, 27.V), Zygmunt *Gajda* (32507, 27.V), Jan *Gaweł* (32508, 27.V), Alfons *Geneja* (32509, 27.V), Franciszek *Gocko* (32510, 21/22.V), Jan *Gołąb* (32511, 27.V), Józef *Gorecki* (32512, 27.V), Mieczysław *Janik* (32513, 27.V), Franciszek *Gawański* (32514, 25.V), Ludwik *Księga* (32515, 27.V), Leszek *Kaczkowski* (32516, 27.V), Adam *Kapliński* (32517, 18.V), Bolesław *Klas* (32518, 27.V), Bolesław *Klimaszewski* (32519, 27. V), Ryszard *Klimek*



Ryc. 4. Stronica obozowej listy więźniów, na której widnieją nazwiska więźniów Ludwika *Pugeta*, Zbigniewa *Pykosza* i Tadeusza *Różyckiego*

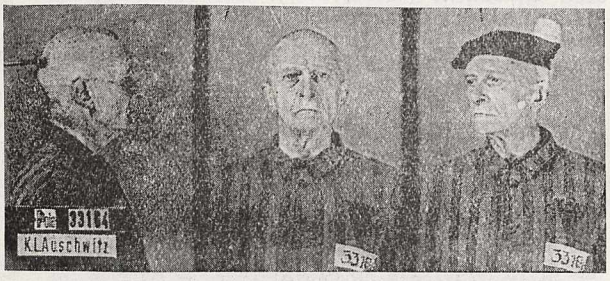
[6] Spośród tych 9 zbiegów schwytano 14.VI.1942 r. i w tym samym dniu rozstrzelano po apelu wieczornym Aleksandra *Buczyńskiego* i Eugeniusza *Stoczewskiego* (zob. Zeszyty Oświęcimskie, nr 3, s. 76 i 77). Co się tyczy niektórych pozostałych, to aktor Augustyn *Kowalczyk* jest reżyserem w Warszawie. Po ucieczce ukrywał się w Bojszowych, skąd przedostał się do Generalnej Guberni przy pomocy tamtejszych mieszkańców (Heleny *Słupkowej*, Janiny *Kajtoch* i Andrzeja *Harata*). Tadeusz *Chruścicki* również mieszka w Warszawie. W *SK* przebywał razem ze swym ojcem, który zginął tam 11.VI.1942 r. Następujących 13 zbiegów zostało zastrzelonych podczas pościgu (wśród nich jeden schwytany i stracony; w nawiasach numery obozowe): Mieczysław *Kawecki* (3673), Julian *Dębiec* (9180), Bolesław *Pejsik* (12540), Stanisław *Maringe* (12691), Mieczysław *Jaworski* (13353), Edward *Rogaliński* (13407), Bolesław *Szubarga* (13576), Henryk *Lachowicz* (16809), Antoni *Urban* (18647), Władysław *Pruszyński* (19905), *Georg Neymann* (22293), Ładysław *Skurczyński* (22876), Adam *Palluch* (27064).

[7] Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

[8] Ze 198 więźniów objętych listą rozstrzelano 168 w dniu 27.V.1942 r., a pozostałych 30 zlikwidowano wcześniej lub zesłano do *SK*. Trzej zostali zwolnieni (Juliusz *Studnicki*, Józef *Pokorny* i Juliusz *Kudryjski*).

(32520, 27.V), Stanisław *Kloc* (32521, 27.V), Stanisław *Konogrodzki* (32522, 5.V), Marian *Kowalski* (32523, 27.V), Józef *Krasniak* (32524, 27.V), Władysław *Król* (32525, 27.V), Tadeusz *Kruczkowski* (32526, 27.V), Stanisław *Kubalski* (32527, 27.V), Szymon *Kubica* (32523, 27.V), Gustaw *Kurdziel* (32529, 5.V), Józef *Lipiński* (32530, 27.V), Ludwik *Lisowski* (32531, 27.V), Marian *Łomnicki* (32532, 27.V), Czesław *Łubiński* (32533, 18.V), Stefan *Lubowiecki* (32534, 27.V), Tadeusz *Cukrzyński* (32535, 27.V), Tadeusz *Lupa* (32536, 27.V), Jerzy *Makarczyński* (32537, 27.V), Alojzy *Miech* (32538, w październiku 1942 r. jeszcze żył), Jan *Mikołajczyk* (32539, 15/16.V), Stanisław *Milewski* (32540, 27.V), Czesław *Murczyński* (32541, 27.V), Władysław *Mołodecki* (32542, 27.V), Stefan *Nowaczewski* (32543, 27.V), Tadeusz *Olejczyk* (32544, 21.V), Aleksander *Oleksik* (32545, 27.V), Józef *Oczyszkiewicz* (32546, 27.V), Juliusz *Oleksik* (32547, 27.V), Stanisław *Osiecki* (32548, 26/27.V), Rudolf *Ostachowicz* (32549, 5.V), Kazimierz *Ostrowski* (32550, 27.V), Hubert *Paczkowski* (32551, 27.V), Mieczysław *Palczewski* (32552, 27.V), Lucjan *Paszyński* (32553, 27.V), Mikołaj *Płatek* (32554, 27.V), Stanisław *Polewka-Podhorski* (32555, 27.V), Janusz *Porębski* (32556, 27.V), Roman *Rekowski* (32557, 27.V), Roman *Robak* (32558, 27.V), Tadeusz *Rodakowski* (32559, 27.V), Izydor *Zamarski* (32560, 27.V), Jerzy *Sawicki* (32561, 27.V), Jerzy *Schrott* (32562, 27.V), Karol *Serafin* (32563, 27.V), więzień nr 32564 (brak informacji), Stefan *Skoczyński* (32565, 27.V), Jan *Sokołek* (32566, 27.V), Eugeniusz *Sokulski* (32567, 27.V), Jan *Sokulski* (32568, 27.V), Jan *Staszyszyn* (32569, 27.V), Florian *Styła* (32570, 27.V), Stanisław *Czarny* (32571, 27.V), więzień nr 32572 (brak informacji), Jan *Turnau* (32573, 27.V), Józef *Wajdzik* (32574, 27.V), Tadeusz *Waligórski* (32575, 27.V), Zdzisław *Wieczorek* (32576, 27.V), więzień nr 32577 (brak informacji), Aleksander *Witowiecki* (32578, 27.V), Robert *Woźniak* (32579, 27.V), Stefan *Zbigniewicz* (32581, 27.V), Franciszek *Ziomek* (32582, 27.V), Władysław *Żółczyński* (32583, 27.V), Tadeusz *Żółczyński* (32584, 27.V), Józef *Kryszewski* (32585), Józef *Kudyk* (32586, 27.V), Mieczysław *Antosz* (33091, 27.V), Zbigniew *Arzt* (33092, 27.V), Feliks *Beaupré* (33093, 27.V), Jan *Bednarczyk* (33094, 27.V), Henryk *Bogucki* (33095, 27.V), Franciszek *Bojdoł* (33096, 27.V), Jan *Borucki* (33097, 27.V), Ferdynand *Boruszczak* (33098, 30.IV), Adam *Bromboszcz* (33099, 27.V), Ludwik *Brzezowski* (33100, 27.V), Władysław *Burdyłło* (33101, 27.V), Tadeusz *Buś* (33102, 27.V), Andrzej *Butrymowicz* (33103, 27.V), Kazimierz *Chmurski* (33104, 27.V), Zbigniew *Ciepły* (33105, 27.V), Teofil *Cyroń* (33106, 27.V), Kazimierz *Doniec* (33107, 27.V), Aleksander *Drabik* (33108, 27.V), Józef *Drzewiecki* (33109, 27.V), Zbigniew *Dulęba* (33110, 27.V), Aleks[ander] *Dyna* (33111, 27.V), Jan *Ekielski* (33112, 27.V), Józef *Frycz* (33113, 21V), Jan *Fryc* (33114, 27.V), Bronisław *Grodziński* (33115, 27.V). Adam *Ganter* (33116), Jan *Gawryś* (33117, 27.V), Franciszek *Glinka* (33118, 27.V), Kazimierz *Graff* (33119, 27.V), więzień nr 33120 (brak informacji), Adam *Greplowski* (33121, 27.V), Jan *Gumowski* (33122, 5.V), Kazimierz *Haller v. Hallenburg* (33123, 27.V), Jan *Jaworski* (33124, 27.V), Zbigniew *Jędrszczyk* (33125, 27.V), Józef *Jakiełek* (33126, 14. VII), Jerzy *Juszkiewicz* (33127, 27.V), Józef *Kaden* (33128, 27.V), Antoni *Kamusiński* (33129, 27.V), Stanisław *Keller* (33130, 27.V), Jerzy *Kłyszewski* (33131, 27.V), Władysław *Kociołek* (33132, 27.V), Franciszek *Konieczny* (33133, 27.V), Antoni *Kostarczyk* (33134, 5.V), Zygmunt *Kowalski* (33135, 27.V), Juliusz *Kozieł* (33136, 27.V), Leon *Krawczyk* (33137, 27.V). Wiktor *Kropiwnicki* (33138, 27.V), Adolf *Kruczek* (33139, 27.V), Ludwik *Kruczek* (33140, 27.V), Maksymilian *Krzemień* (33141, 27.V), Juliusz *Kudryjski* (33142), Stefan *Langier* (33143, 27.V), Stanisław *Leśniakowski* (33144, 27.V), Kazimierz *Lewiński* (33145, 27.V), Marceli *Ługowski* (33146, 27.V) Jan *Mamuszka* (33147, 27.V), Józef *Marcisz* (33148, 27.V), Wiktor *Malenko* (33149, 27.V), Władysław *Matylewicz* (33150, 27.V), Henryk *Mitschke* (33151, 27.V), Adam *Mossakowski* (33152, 5.V), Tadeusz *Mróz* (33153, 27.V), Tadeusz *Muszyński* (33155, 27.V), Kazimierz *Nadachowski* (33156, 27.V), Włodzimierz *Ottmann* (33157, 27.V), Tadeusz *Palczewski* (33158, 27.V), Adam *Pankiewicz* (33159, 27.V), Stanisław *Październy* (33160, 27.V), Borys *Petryński* (33161, 27.V), Marian *Pobudkiewicz* (33162, 27.V), Józef *Pokorny* (33163), Ludwik *Puget* (33164, 27.V), Zbigniew *Pykosz* (33165, 27.V), Tadeusz *Różycki* (33166, 27,V), Tadeusz *Romanowicz* (33167, 27.V), Jan *Rubczak* (33168, 27.V), Kazimierz *Sadkowski* (33169, 27.V), Andrzej *Siekaniec* (33170, 14.V), Karol *Siwek* (33171, 27.V), Zygmunt *Skwara* (33172, 27.V), Tadeusz *Ślęczek* (33173, 27,V), Adam *Śliwiński* (33174, 27.V), Adam *Śliwiński* (drugi więzień o tym samym imieniu, 33175, 27,V), Roman *Sochacki* (33176, 27.V), Jerzy *Stande* (33180, 27.V), Jerzy *Stefanowicz* (33178, 27.V), Juliusz *Studnicki* (33179). Władysław *Szyla* (33180, 27.V), Stefan *Szarota* (33181, 27.V), Jerzy *Sztylerowicz* (33182, 27.V), Władysław *Szyjka* (33183, 27.V), Gustaw *Täuber* (25.V), Konstanty *Troczyński* (33185, 27.V), Stanisław *Weiner* (33186, 27.V), Mieczysław *Węgrzyn* (33187, 27.V), Edmund *Wojciechowski* (33188, 27.V), Edward *Wojda* (33189, 27.V), Roman *Żyrek* (33190, 27.V).

Pominięto daty urodzenia, znajdujące się w oryginalnym dokumencie. Możliwe są pewne zniekształcenia imion i nazwisk, które starano się odtworzyć z zapisów w fonetyce niemieckiej.



Ryc. 5. Ludwik *Puget*, więzień Oświęcimia nr 33164, rozstrzelany w obozie 27 maja 1942 r., słynny rzeźbiarz i historyk sztuki



Ryc. 6. Zbigniew *Pykosz*, więzień Oświęcimia nr 33165, rozstrzelany w obozie 27 maja 1942 r.



Ryc. 7. Tadeusz *Różycki*, więzień Oświęcimia nr 33166, rozstrzelany w obozie 27 maja 1942 r., artysta-malarz. (Ryciny 5, 6 i 7 otrzymano również z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Kraków

Laboratorium Instytutu Higieny SS w Oświęcimiu
Bulion z mięsa ludzkiego

W piśmiennictwie światowym i polskim, a zwłaszcza w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" opublikowano liczne prace, w których wykazano, że hitlerowscy przedstawiciele świata lekarskiego gwałcili w sposób zbrodniczy zasady etyczno-prawne. Najczęstszym miejscem zbrodni były hitlerowskie obozy koncentracyjne, wykonawcami — lekarze *SS*, a ich przedmiotem — więźniowie tych obozów i ich zwłoki. Planowanie zbrodniczych poczynań rodziło się w głowach najwyżej postawionych niemieckich autorytetów naukowych, niemieckich profesorów medycyny, niemieckich przedstawicieli instytutów naukowych i organizacji społecznych. Zbrodnicze doświadczenia szerokim zasięgiem obejmowały liczne specjalizacje medyczne: chirurgię, internę, choroby zakaźne, rentgenologię, ginekologię, psychiatrię, anatomię, onkologię, ftyzjatrię, immunologię, serologię, bakteriologię, patologię, higienę, anatomię patologiczną, genetykę, farmakologię, toksykologię itd.

Niniejsze opracowanie jest historycznym przyczynkiem, opartym na zeznaniach świadków, tj. byłych więźniów i lekarza, byłego esesmana z obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, z pracowni „naukowej" o nazwie *„Hygienisch-Bakteriologische Untersuchungstelle der Waffen SS Auschwitz"*.

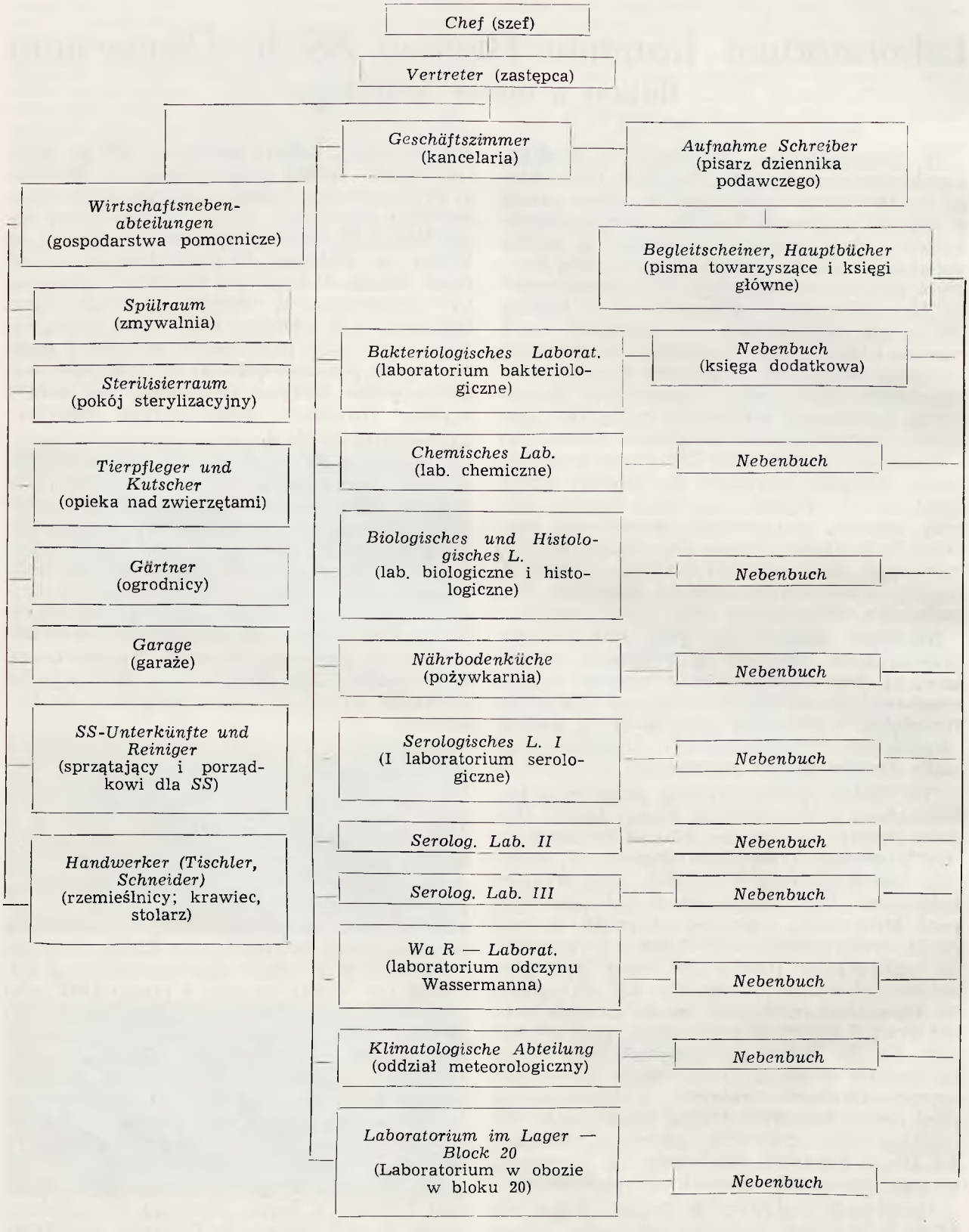
Ów filialny Instytut Higieny, położony w pobliżu obozu oświęcimskiego, zwany także *„Hygiene Institut der Waffen SS und Polizei Süd-Ost"*, był częścią Instytutu Higieny *SS*, mającego swoją siedzibę w Berlinie przy *Knessebekstrasse*. Jego kierownikiem był osławiony prof. *Mrugowsky*, naczelny lekarz *SS*. Nadzór naukowy sprawował prof. *Zeiss* z uniwersytetu berlińskiego. Instytutowi temu podlegały polowe laboratoria oddziałów *SS*, zajmujące się zagadnieniami higieny aż do szczebla każdej dywizji *SS*. Prócz tego istniały dwa laboratoria *SS* dla „celów specjalnych". Było to laboratorium w Rajsku przy obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka i laboratorium przy obozie koncentracyjnym Buchenwald. To ostatnie, prowadzone przez osławionego lekarza *SS Dinga Schulera*, zajmowało się produkcją szczepionek przeciw durowi wysypkowemu.

Utworzenie instytutu w Rajsku wiąże się także z epidemią duru wysypkowego, której nasilenie wśród więźniów obozu Oświęcim-Brzezinka w roku 1942 zagrażało załodze i rodzinom *SS*. W dniu 13 października tegoż roku zmarła zakażona durem wysypkowym żona wysokiego dygnitarza *SS*, *obersturmführera* dra *Caesara*, kierownika gospodarstw rolnych podległych obozowi. Zakażali się i umierali inni esesmani. Lekarz garnizonu *SS*, dr *Eduard Wirths* szukał więc pomocy w Berlinie u *Mrugowskiego*. Zapadła decyzja utworzenia placówki badawczej, której kierownikiem został lekarz *SS*, *obersturmführer* dr med. Bruno *Weber*, a zastępcą *SS-untersturmführer* dr *Hans Münch*. Początkowo pracownie „instytutu" umieszczono w blokach 10 i 20 obozu Oświęcim I (8 kwietnia 1943 roku), następnie wszystkie działy przeniesiono w dniu 5 maja do Rajska pod Oświęcimiem do dwupiętrowego budynku. Instytut rozbudował się bardzo szybko. Strukturę organizacyjną instytutu przedstawia tabela I.

Z ramienia *SS* w skład instytutu wchodzili: szef, dr Bruno *Weber, hauptsturmführer*, następnie *obersturmführer;* zastępca szefa, dr *Hans Münch, untersturmführer*, czasowo dr *Hans Delmotte, obersturmführer;* administrator *Hans Fugger, unterscharführer;* płatniczy *Pragner, rottenführer; Krapmeyer, unterscharführer*; dezynfektor *Zabel, scharführer*; dezynfektor *Kraus, rottenführer*; żołnierz ze straży, *Festweber; Hofmann* ze służby transportowej. Dział meteorologii, przyczepiony do instytutu, prowadził dr *Mulzoff* w charakterze *sonderführera*.

Wszystkie prace badawcze, administracyjne i porządkowe wykonywali więźniowie. Dr *Weber* wyszukał w obozie oraz przy pomocy gestapo ściągnął dla wykonywania swoich prac najlepszych specjalistów z pracowni uniwersyteckich podbitej przez *Hitlera* Europy, mianowicie — spośród polskich więźniów — biologa prof. Antoniego *Jakubowskiego* z Poznania (nr więźnia 3385), anatoma-patologa prof. Janinę *Kowalczykową* z Krakowa (nr 32212), matematyka prof. Władysława *Ślebodzińskiego* z Poznania (nr 79053); w dniu 7 lutego 1943 roku przywieziono ze Lwowa z Instytutu Weigla pracowników naukowych wraz z rodzinami; byli wśród nich dr *Owsiej Abramowicz* (nr 100965), dr Ludwik *Fleck* (nr 100966), dr Jakub *Seeman* (nr 100968), dr Resuch *Umschweif* (nr 100969), następnie specjalnie aresztowany przez gestapo we Lwowie i przesłany przez więzienie Montelupich prof. Henryk *Meisel* (nr 172295). *Weber* włączył do pracy więźnia prof. *Wenzela Tomaska* z Berna czeskiego, bakteriologa, ucznia *Roux* i przyjaciela *Calmetta* (nr 93754), prof. *Gezę Mansfelda* z Budapesztu (nr 182121), prof. *Markusa Kleina*, histologa uniwersytetu w Strasburgu (nr A 11153), dra *Georga Levy'ego-Coblenza*, anatoma-patologa ze Strasburga (nr 164550), dra Abrahama *Letticha*, bakteriologa z Tours (nr 51224), dra *Heinza Briskego*, chemika z Berlina (nr 116879), chemika dra

Tabela I
Struktura organizacyjna
„Hygiene Institut der Waffen SS und Polizei in Auschwitz O/S"



Jana *Reymana* z Krakowa (nr 37302), dra Ernesta *Reimanna* z Pragi, także chemika (nr 118335) i wielu, wielu innych. W instytucie zatrudnionych było około 120 więźniów.

Zarówno praca naukowa tego instytutu, jak i praca usługowa, tudzież stosunki panujące wśród pracowników, kontrola laboratoryjna rzekomolekarskich eksperymentów wykonywanych w obozie Oświęcim-Brzezinka wymagają osobnego opracowania. Dla charakterystyki atmosfery panującej w tym naukowym medycznym instytucie hitlerowskim wystarczą tutaj następujące fakty.

Dział bakteriologii instytutu posiadał osobną

pożywkarnię (*Nährbodenküche*). Jak w każdym innym laboratorium, tak i tutaj przygotowywano wodę mięsną (bulion mięsny) według jednej z tradycyjnie ustalonych receptur z mięsa wołowego, cielęcego czy ostatecznie końskiego. Prof. *Ślopek* podaje dla przykładu jeden ze sposobów przygotowania takiego zwykłego bulionu: „1 kg mięsa wołowego lub cielęcego bez tłuszczu zemleć na maszynce od mięsa, zalać 1 litrem wody i pozostawić przez noc w temperaturze 4—6°C. Zebrać tłuszcz z powierzchni; ogrzać do temperatury 45°C, podtrzymać temperaturę 45—50°C przez godzinę, po czym gotować przez pół godziny (nie mieszając). Po zagotowaniu przesączyć przez watę szklaną lub płótno lniane, uzupełniając wodą destylowaną do pierwotnej objętości, wyjałowić i przechowywać w zapasie" (Mikrobiologia lekarska. PZWL, Warszawa 1955, str. 483 i 484).

W kuchni pożywek Instytutu Higieny *der Waffen SS und Polizei Süd-Ost* w Oświęcimiu działo się jednak często inaczej. Kuchnią tą zajmowali się wspomniani poprzednio esesmani *Zabel* i *Fugger*. Oni to dostarczali mięso do gotowania. Zatrudnieni tam więźniowie, wygłodzeni strawą obozową, często nieoficjalnie, w tajemnicy przed *Weberem* zjadali wygotowane już mięso, przyprawiając je solą.

Z fragmentu zeznań byłego więźnia, Mieczysława *Kiety* (nr 59590), zatrudnionego jako magazyniera w tym instytucie, a złożonych w czasie przesłuchania w dniu 3 października 1946 roku w związku z procesem przeciw byłemu komendantowi obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu Rudolfowi *Hössowi* (tom 7, karta 13) wynika, że do pożywkarni w czasie największego nasilenia produkcji esesmani *Fugger* i *Zabel* przywozili 3—5 razy miesięcznie po 30—40 kg mięsa. Wyjazdy po mięso odbywały się motocyklem z przyczepą, a czasem samochodem służbowym *Webera*. Więźniowie zatrudnieni w laboratorium jedli początkowo wygotowane mięso, sądząc, że pochodzi ono z rzeźni obozowej. Przeprowadzona przez więźniów obserwacja esesmanów wykazała jednak, co następuje.

Esesmani *Fugger* i *Zabel*, wyjeżdżając z instytutu, zabierali czasem z sobą narzędzia sekcyjne, skalpele, noże, pensety. Po powrocie narzędzia te, pokrwawione, zwracali więźniom do magazynu do oczyszczenia. Równocześnie jednak przywozili dwa lub trzy wiadra mięsa. Okazało się, że było to mięso ze zwłok więźniów rozstrzelanych w bloku 11 lub zagazowanych w krematoriach Brzezinki. Na ślad tego makabrycznego odkrycia wpadł „kapo kommanda", więzień dr Mikołaj *Korn* (nr 32387). Przyniósł on pewnego dnia do laboratorium chemicznego do więźnia Jana *Reymana* zawinięty w bibułkę kawałek mięsa z jasną skórą pokrytą włosami. Więźniowie dr Jakub *Lewin* i prof. Janusz *Mąkowski* po zbadaniu ustalili bez żadnych wątpliwości, że mięso było pochodzenia ludzkiego. Dokonane przez więźniów „odkrycie", rozpowszechnione natychmiast wśród reszty pracowników, spowodowało torsje i nudności. Zdali sobie sprawę z nieświadomej nekrofagii. Odtąd też zapach unoszący się z pożywkarni był zawsze mdły i ckliwy — zapach gotowanego mięsa ludzkiego.

O tym fakcie donosi też więzień francuski, również pracownik instytutu, dr Leon *Landau* (nr 64063) w swoim opracowaniu pt. „Oskarżenie" (Książka i Wiedza, Warszawa 1963, str. 75). Od tego czasu w przynoszonych przez esesmanów wiadrach z mięsem łatwo było rozpoznać mięśnie ud, pośladków, klatki piersiowej. W pamięci byłego więźnia dra Jakuba *Lewina* (nr więźnia 28476), zatrudnionego w dziale serologii, zachowało się także wspomnienie tego faktu. Pisze on na ten temat w liście do autora: „Zatrudniony w pożywkarni więzień *Genci* miał wykryć pierwszy owe «czerwone mięśnie», a na jednym kawałku fragment białawej skóry ludzkiej, pokrytej jasnymi włosami. Robiła wrażenie skóry kobiecej". Ten sam dr *Lewin* pamięta wreszcie wizytację Instytutu przez dra *Mrugowskiego*, a w czasie jej trwania epizod, gdy *Weber* opowiadał mu o tym *menschenbulionie*. Zarówno *Weber*, jak i *Mrugowsky* skwitowali ten fakt głośnym śmiechem. Informacje od byłych więźniów Mieczysława *Kiety*, Jana *Reymana*, Leona *Landaua*, Jakuba *Lewina* udało się ostatnio autorytatywnie potwierdzić uzyskaną wypowiedzią byłego esesmana.

W dniu 9 lipca 1967 r. przeprowadziłem w Salzburgu protokołowaną rozmowę z byłym esesmanem, drem *Hansem Münchem*, który był w Rajsku pod Oświęcimiem zastępcą kierownika Instytutu Higieny. Na temat bulionu z mięsa ludzkiego stwierdził on, co następuje: „Instytut Higieny otrzymywał swoje końskie mięso z przedsiębiorstwa rolnego *SS*, oddalonego około 50 kilometrów od Oświęcimia. Z mięsem było krucho, przede wszystkim dlatego, że często kradziono je w drodze. Także *Zabel* niejednokrotnie mieszał w to swoje palce. Aby brak wyrównać, uzupełniał on początkowo częściowo ten brak w Brzezince. Z początku więźniowie kuchni bulionowej nie wiedzieli nic o tym i piekli także to mięso. W czasie jakiejś popijawy w instytucie *Zabel* wygadał się o tym. Wtedy *Weber* przeprowadził systematyczne badania na temat możliwości zużycia mięsa ludzkiego z gazu[1]. Nie było żadnych różnic; było tylko trudniej oddzielić tłuszcz. Dlatego też *Weber* oficjalnie zabronił użytkowania mięsa ludzkiego. *Zabel* jednak — jemu bowiem osobiście podlegała kuchnia bulionowa — polecił szybko i ostatecznie rozwiązać »problem tłuszczu« (*Fettproblem*). On zawsze przywoził mięso z krematoriów, gdy jeździł do Brzezinki w celu pobierania krwi. Od lata 1944 roku nie było to już potrzebne. Myśmy często kradli nocą pociągowe konie *Wehrmachtu*, które pasły się na łąkach w najbliższym sąsiedztwie instytutu i zabijali je".

Od czasu tego makabrycznego odkrycia żaden więzień nie jadł już wygotowanego mięsa,

[1] Był to cyklon B. Z teoretycznego punktu widzenia mógł on przeniknąć do bulionu przez mięśnie zagazowanych ludzi i ujemnie wpłynąć na wzrost bakterii.

które zakopywano odtąd w ogrodzie instytutu poza barakiem (według *Kiety*).

Opisane fakty nie wymagają komentarzy.

* * *

Według danych otrzymanych z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu następujący więźniowie byli zatrudnieni w listopadzie 1944 roku w Instytucie Higieny *SS* w Rajsku (zachowuje się pisownię nazwisk według dokumentów [2]):

Kancelaria (*Geschäftszimmer*): Paul *Reichl* (RD 68630); Dawid *Frajman* (PJ 68439); Wiktor *Schnell* (82036); Abraham *Golkar* (DJ 103829); Lejzor *Wimber* PJ 77524, goniec); Ernest *Pollak* (DJ 58951, księgowy); wszyscy w bloku nr 13. — Sala pisarzy II (*Schreibstube II*): w bloku 7a Kurt *Prager* (RD 122589) i Paul *Laby* (RD 188398); w bloku 13: Robert *Frank* (CJ 174667), Elli *Ariditti* (CJ 124343), Fried *Grunberger* (CJ 94035); Leo *Moskwer* (PJ 141352, goniec, odszedł 10.XI.1944 r.). — Pracownia bakteriologiczna (*Bakteriologisches Laboratorium*): w bloku nr 20 Wenzel *Tomasek* (C 93754); w bloku 13: Abraham *Lettich* (FJ 51224); Lejbus *Landau* (FJ 64063); Albert *Bendrichen* (FJ 173243); Dawid *Mossel* (HJ 175443, odesłany 8.IX.1944 do Brzezinki); Richard *Fleck* (PJ 100966). — Pracownia chemiczna (*Chemisches Laboratorium*): w bloku nr 13: Heinz *Briske* (DJ 116879); Ernst *Reizmann* (CJ 118335); Jan *Rejman* (P 37402); Hans *Dessauer* (RD 1277005); Isydor *Wolf* (HJ 101115); Joseph *Danischewsky* (RD 111024); Laszlo *Gynlai* (UJ A 12143); *Van Dam* (HJ B 3655); Owsiej *Abramowicz* (PJ 100965); Franciszek *Bogacki* (P 109619); Franz *Gans* (FJ A 5185); Franz *Cohen* (HJ B 9154); Ernst *Koenig*, Robert *Weil* (FJ A 12069). — Pracownia histobiologiczna (*Biologisches und Histologisches Laboratorium*): w bloku 13: Anton *Jakubski* (P 3385, odszedł 4.XII.1944 r. z transportem); Georg Levy *Coblenz* (FJ 164550); Markus *Klein* (FJ A 11953). — Pożywkarnia (*Nährbodenküche*): w bloku 13: Robert *Weisskopf* (CJ 71262); Bela *Friedmann* (UJ A 14399); Ludwig *Micheels* (HJ 117641). — Więźniowie z bloku 13, pracujący w laboratoriach serologicznych: *Serologisches Laboratorium I:* Israel *Lewin* (FJ 28476); Reruch *Umschweif* (PJ 100969); Oskar *Winterstein* (UJ A 14641); Andreas *Gluckmann* (UJ A 12487); *Serologisches Laboratorium II:* Henryk *Meisel* (PJ 172295); Natalia *Umschweif* (PJ 34966, z „komanda" *Gärtnerei);* Ernestine *Fleck* (PJ 34967); Rachel *Meisel* (PJ 70283); *Serologisches Laboratorium III:* Abraham *Treger* (PJ 98130); Wilhelm *Berler* (BJ 117476); Marian *Burstejn* (FJ A 11856); Lorane *Kieselstein* (FJ). — *Wassermann-Laboratorium:* Anna *Seeman* (PJ 34965, z *Gärtnerei*); Paula *Beck* (PJ 38309, *Gärtnerei*); Israel *Mandelbaum* (BJ 179835). — Obóz: z bloku 5a: Wiktor *Kornführer* (CJ 175184); w bloku 13: Leo *Kajzer* (PJ 137339); Zoltan Fisch (UJ A 14384); Idel *Katz* (BJ B 3536, odszedł 10.XI.1944 r.). — Oddział meteorologiczny (*Klimatologische Abteilung*): z bloku 13 Hugo *Gounhut* (CJ 94037) i Jakub *Zajączkowski* (PJ 141718); Andor *Katz* (DJ A 13919); Zoltan *Katz* (UJ A 13920). — Laboratorium w bloku 20: z bloku 13 Rudolf *Weisskopf* (71261) i Georg *Glas* (DJ 124694); z bloku 20: Andreas *Hirsch* (CJ 174662) i Paul *Pollak* (DJ 180082). — Dział oczyszczania naczyń i sterylizacji do przesyłki (*Spuel Sterilisierraum Versandgefässe*): z bloku 7a Heinrich *Gramisky* (RD Aso 139075, odesłany 10.XI.1944 r.); z bloku 13: Jakub *Seeman* (PJ 100968); Julius *Schreier* (DJ 68694). — *Reinigungsküche* zmywalnia: Erwin *Jusitz* (CJ 174451); Alexander *Elias* (UJ A 14376); Josef *Szlamowicz* (PJ 141402, odesłany 10.XI.1944 r.); Hirsch *Garbowicz* (PJ 86828); Horst *Hecht* (DJ 103849); Haim *Zajączkowski* (PJ 144458); Anadar *Biro* (UJ A 14357, odesłany 10.XI. 1944 r.); Izaak *Noer* (PJ 157725); Zdenek *Veleminski* (CJ 179644); Moritz *Sniatowski* (PJ 141589); Bronisław *Hah* (PJ 108122); Loranz *Herz* (UJ A 14084, chemik); Ellis *Herzberger* (HJ A 946, lekarz bakteriolog); Oskar *Fenner* (FJ B 9652, odesłany 10.XI.1944 r.); Artur *Danesch* (CJ 188003, odesłany 10.XI.1944 r.). — Opiekunowie zwierząt: w bloku 13: Georg *Hein* (RD 84512, odszedł 10.XI.1944 r.); Sandor *Senderowicz* (UJ B 7562, odszedł 10.XI.1944 r.); Wilhelm *Molnar* (UJ A 10342); Schutim *Bromberg* (FJ B 3704); woźnica, z bloku 18: Rachmil *Skrikowski* (PJ 99199). — Ogrodnicy: z bloku 18: *Rachmil Skrikowski* (PJ 99199). — Ogrodnicy: z bloku 7a Adam *Kozianowski* (RD 165221), z bloku 13 Ludwig *Mautner* (UJ A 14500). — Garaże: z bloku 13: Wolf *Schiff* (PJ 174248); Joseph *Luxberg* (BJ B 3573); Miloge *Milotonowitsch* (Jug 201330). — Zatrudnieni w magazynach *SS* i sprzątający (*SS-Unterkunfte und Reiniger*): z bloku 7a: Herbert *Scholz* (19351, *berufsverbrecher*); z bloku 13: Ernst *Bertram* (PS V 114002, posługujący u *Webera*); Josef *Jocar* (C AJ 119380); Mosko *Markowicz* (PJ 133149, odesłany 10.XI.1944 r.); Wilhelm *Karfiol* (BJ 64171, w budynkach laboratoryjnych); Heinrich *Zuckermann* (PJ B 6887). — Rękodzielnicy (*Handwerker*): z bloku 13: Henryk *Szczerbiński* (P 85434, cieśla, odesłany 4.XII. 1944 r. z transportem); Franz *Steiner* (PS VJ 112743, lakiernik); Walter *Barkowski* (DJ 105917, stolarz); Deisider *Kleinhaendler* (SJ 69118, elektryk); krawcy: Lejzor *Kujawski* (PJ), Moritz *Kujawski* (PJ) i Pinkas *Unger* (BJ 179893); Karl *Glattan* (DJ 176089, fryzjer); Albert *Rowek* (FJ B 3899, pomocnik stolarski); Gottlieb *Zausek* (C 204400, mechanik samochodowy). — Fachowcy bez ustalonego przydziału: Nikolaus *Korn* (SJ 32387, *Häftlingskrankenbau*, zatrudniony w Brzezince); z bloku 13: Geza *Mannsfeld* (UJ 182121); Georg *Veleminsky* (CJ 179618); Władysław *Ślebodziński* (P 79053); Antonio *Eifarelli* (It 201262, statystyk medyczny, przejściowo w zmywalni). — Siły pomocnicze bez stałego przydziału: Paul *Schames* (BJ 175116); Simon *Sukiennik* (BJ 72857); Johann *Feol* (FJ A 12054, ozdrowieniec, odesłany 6.XI.1944 r.); Joseph *Abramowicz* (BJ B 3450, student medycyny); wszyscy z bloku 13; z bloku 18: Moses *Bialek* (PJ 141936); przeznaczony do pracy przy budowie ogrodzeń Josef *Ligomiere* (F 201318). — Łącznie 120 nazwisk.

Na liście polskich więźniów z Instytutu Higieny, wysłanych transportem w końcu października 1944 roku, znajdują się następujące osoby:

Nicet *Włodarski* (nr 1982, laborant w pracowni bakteriologicznej); Antoni *Jakubski* (nr 3385, biolog); Mieczysław *Kieta* (nr 59590, więzień z obozu); Władysław *Ślebodziński* (nr 79053, statystyk w dziale serologicznym); Jan *Fabicki* (nr 127745, laborant w dziale serologicznym); Mieczysław *Uchajski* (nr 156706, chemik); Witold *Pieńczewski* (nr 157588, chemik); Marian *Koziar* (nr 164414, laborant w dziale serologicznym); Wenzel *Skudrowicz* (nr 151452, pisarz w pracowni serologicznej II); Henryk *Kusztelowicz* (nr 79583, hodowca zwierząt w doświadczalnej zwierzętarni); Czesław *Kurowski* (nr 162153, sprzątający w pracowni bakteriologicznej); Stefan *Radomski* (nr 19069, mechanik samochodowy); Henryk *Sczerbiński* (nr 85434, cieśla i stolarz); Tadeusz *Sadowski* (nr 14935, sprzątający u esesowców); Bronisław *Jaroszek* (nr 93797, pracownik działu chemicznego, później sprzątający u Webera); Wincenty *Wojtan* (nr 2698, ten i następni w dziale meteorologicznym); Jerzy *Ordega* (nr 7695?); Józef *Sulter* (nr 115749); Marian *Kotarba* (nr 127752); *Stepanow* (nr 155784); Feliks *...aiczyk* [3]; Adalbert *Gąsowski* (nr 160126); Marian *Kaczyński (Kączyński?)*.

* * *

Opracowano na podstawie następujących źródeł: 1) Materiały archiwalne GKBZHwP: a) protokół prze-

[2] W nawiasach podano numery obozowe wymienionych więźniów. Oznaczenia literowe: C = Czech, F = = Francuz, It = Włoch, P = Polak, RD = *reichsdeutscher;* Żydzi: BJ = z Belgii, CJ = z Czechosłowacji, DJ = z Niemiec, FJ = z Francji, HJ = z Holandii, PJ = z Polski, UJ = z Ukrainy.

[3] Nieczytelne.

1965 r.; b) protokół przesłuchania świadka prof. Hensłuchania świadka Mieczysława *Kiety* z dnia 25 maja ryka *Meisla* z dnia 8 kwietnia 1965 r.; c) zeznania b. więźnia Oświęcimia Mieczysława *Kiety*, złożone w Krakowie w dniu 3 października 1946 r. (akta procesu przeciwko b. komendantowi Oświęcimia, R. *Hössowi*, tom VII, k. 13). — 2) Materiały archiwalne Państwowego Muzeum w Oświęcimiu: a) analiza dokumentacji *Higienisch-Bakteriologische Untersuchungsstelle der Waffen SS Auschwitz* (oprac. lek. Tadeusz *Paczuła*); b) częściowy wykaz pracowników „komanda" Instytutu Higieny z listopada 1944 r.; c) odtworzona „Struktura organizacyjna *Hygiene-Institut der Waffen SS und Polizei in Auschwitz O/S*"; d) kalendarz wydarzeń w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (oprac. mgr Danuta *Czech*, publikacja w „Zeszytach Oświęcimskich", wydawanych przez Państwowe Muzeum w Oświęcimiu). — 3) Listy byłych więźniów, dr Jana *Reymana* z Krakowa, dra Jakuba Lewina ze Strasburga i dr Mikołaja *Korna* z Czechosłowacji do autora. — 4) Protokół rozmowy dr Hansa *Müncha*, przeprowadzonej z autorem w Salzburgu w dniach 8 i 9 lipca 1967 r. — 5) Dr Leon *Landau*: Oskarżenie — w opracowaniu Roberta Paula *Trucka* (Książka i Wiedza, 1963). — 6) Prof. dr Stefan *Ślopek:* Mikrobiologia lekarska. PZWL, Warszawa 1955, str. 483—484. — 7) Niektóre informacje z zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

ANTONI MAKOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 131791

Warszawa

I oddział wewnętrzny szpitala obozu koncentracyjnego Buna-Monowice

Obóz Buna-Monowice (Oświęcim III), największy z podobozów hitlerowskiego obozu zagłady w Oświęcimiu, założony w końcu października 1942 roku jako „obóz pracy", liczył z początku około 2 300 więźniów; liczba ta zwiększała się stopniowo i od lipca 1944 roku przekraczała już stale 10 000 ludzi.

Więźniowie zatrudnieni byli przy budowie kombinatu chemicznego *Buna-Werke* firmy *I. G. Farbenindustrie*. Była to bardzo ciężka praca fizyczna, w większości na otwartej przestrzeni, bez względu na pogodę. Bardzo nieliczne grupy, przeważnie fachowców, wykonywały lżejsze czynności, częściowo pod dachem. Bardzo złe odzienie, zwłaszcza złe obuwie, ciężka, wyczerpująca praca, skąpe, głodowe wyżywienie prowadziły do szybkiego pogarszania się ogólnego stanu zdrowia, zmniejszania odporności i do znacznej zachorowalności wśród więźniów.

Od samego początku istnienia obozu była w nim zorganizowana opieka lekarska w postaci ambulatorium i szpitala, pod ogólną nazwą *Häftlingskrankenbau*, w skrócie nazywanego *HKB* lub częściej *KB* [1]. Szpital był rozmieszczony w drewnianych barakach mieszkalnych. W początkowym okresie, tak jak we wszystkich obozach koncentracyjnych, władzom *SS* nie zależało na leczeniu więźniów; odwrotnie, sprzyjała ich polityce stale nasilająca się śmiertelność w obozie. Od mniej więcej połowy 1943 roku stan ten jednak zmienił się o tyle, że celem jak najdłuższego wyzyskiwania sił ludzi więzionych w obozie dla pracy w przemyśle poczęto tolerować, a potem i popierać w różnej postaci leczenie chorych.

Od września 1943 roku aż do ewakuacji obozu w styczniu 1945 roku pracowałem w szpitalu jako lekarz (*häftlingsarzt*), zaznawszy uprzednio w czasie prawie dwumiesięcznego pobytu w Brzezince, a potem w Monowicach niedoli zwykłego *häftlinga*, pracującego na różnych odcinkach. We wrześniu 1943 roku szpital obejmował 6 baraków. W jednym mieściło się ambulatorium oraz działy pomocnicze (kancelaria, apteka, laboratorium, fizykoterapia, sala operacyjna), w pozostałych zaś trzy oddziały wewnętrzne, jeden oddział chirurgiczny i jeden oddział „biegunkowy" (zakaźny). Przez cały czas pracowałem jako lekarz I oddziału chorób wewnętrznych (*Interne I*), mieszczącego się w bloku nr 19. Blok ten obejmował cztery pomieszczenia: izbę mieszkalną personelu, salę dla chorych chirurgicznych („czystą" pooperacyjną), salę mieszczącą właściwy I oddział wewnętrzny i salę dla chorych obywateli niemieckich (*reichsdeutscherzy*).

Przedmiotem niniejszego opracowania jest próba przedstawienia pracy i problematyki lekarskiej w I oddziale wewnętrznym [2].

Sala chorych I oddziału wewnętrznego miała 36 miejsc w 18 łóżkach dwupiętrowych. W różnych okresach było rozmaite nasilenie chorych, ale nieczesto zdarzały się dni, że nie leżało dwóch chorych na jednym łóżku. Zimą 1943/1944 roku większość łóżek była zajęta przez dwóch chorych. Ich liczba ogólna w oddziale dochodziła do 70. Ludzie ci leżeli na siennikach i poduszkach z wełną drzewną, bez bielizny pościelowej, w koszulach i kalesonach, pod jednym kocem.

Opiekę lekarską pełniłem początkowo sam. Przejąłem tę funkcję od dra J. *Silbera*, przeniesionego do pracy w ambulatorium. Dopiero od wiosny 1944 roku został przyjęty do szpitala i nieoficjalnie zatrudniony (w stanie cho-

[1] Szczegółowe omówienie działalności *HKB* w obozie Buna-Monowice będzie przedmiotem oddzielnego opracowania.

[2] Od dłuższego czasu są wysuwane słuszne projekty, aby spowodować monograficzne opracowanie naukowe „rewirów" szpitalnych obozu Oświęcim-Brzezinka; taka synteza będzie jednak możliwa dopiero po zgromadzeniu prac szczegółowych na temat wszystkich obozowych oddziałów szpitalnych (przyp. red.).

rych) lekarz węgierski, dr *Schönzweig*, a od jesieni 1944 r., też w stanie chorych, trzej lekarze, mianowicie Węgrzy, dr *Bela Fischer* i dr *Weiner* oraz Francuz, dr *Spazierer*. Stałą opiekę pielęgniarską sprawowało dwóch więźniów, młodych ludzi dobrej woli, przyuczonych, poprzednio z pielęgniarstwem nie mających nic wspólnego, *Kurt Littwitz* i A. *Lindenbaum*. Jeden z pielęgniarzy, *Otto Schuler*, zajmował się sprawami gospodarczymi: porządkiem, czystością i przede wszystkim rozdziałem żywności dla całego bloku, tj. funkcyjnych i chorych ze wszystkich sal. Poza tym niektórzy lżej chorzy i rekonwalescenci służyli pomocą w zakresie utrzymania porządku i częściowo przy obsłudze ciężej chorych. Pod względem administracyjnym i porządkowym całością bloku zarządzał blokowy. Tę funkcję pełnili w okresie mojej pracy: krótko Austriak *Otto Kozdass*, potem więzień polityczny, Niemiec *Hermann Leonhard*. Od lipca 1944 roku, kiedy *Leonharda* powołano do wojska, funkcję blokowego powierzono mnie, łacząc ją z funkcją lekarza bloku. Blokowi na I oddziale wewnetrznym na ogół nie wtracali się do leczenia chorych.

W I oddziale wewnętrznym leczono najciężej chorych, w zasadzie byli to wyłącznie obłożnie chorzy. Do szpitala częściowo przyjmowano ich rano, po przeglądzie przez lekarza *SS*, ale większość przybywała w ciężkim stanie wieczorem po powrocie z pracy do obozu. Najczęstszymi chorobami były: zapaść krążeniowa („kolaps"), zapalenie płuc (przeważnie płatowe), wysiękowe zapalenie opłucnej i ropniak opłucnej, ostre zapalenie stawów, ostre zapalenie mieśni (mialgie).

Czas pobytu chorego w szpitalu według organizacyjnych założeń władz *SS* nie powinien był przekraczać trzech tygodni. Chorujący dłużej mieli być przekazywani do obozu głównego w Oświecimiu lub też byli typowani przez lekarza *SS* do Brzezinki — wiedzieliśmy, że do zgładzenia. Faktyczny czas pobytu poszczególnych chorych w szpitalu przedstawiał sie jednak bardzo różnie. W moim oddziale jako grupującym „przypadki" ostre lekarz *SS* prawie nie przeprowadzał kontroli pod tym względem, toteż można było przetrzymywać chorych niejednokrotnie znacznie dłużej. Decydującym czynnikiem był jednak brak dostatecznej liczby miejsc. W okresach większego napływu ciężko chorych musiałem w celu zwolnienia łóżek wypisywać rekonwalescentów wcześniej do obozu albo też chorych, mogących poruszać sie już w miare samodzielnie, przenosić do II oddziału wewnetrznego. Wypisywanym ze szpitala dawano jeszcze przeważnie zwolnienie od pracy (*Schonung*) lub starano sie za pomocą różnych koneksji obozowych o przydział do lżejszych prac.

Śmiertelność w oddziale była okresowo — zwłaszcza zima 1943/44 roku — duża. W braku jakichkolwiek materiałów dokumentalnych z I oddziału wewnętrznego trudno obecnie podać dokładniejszą liczbe zgonów[3]. Główne przyczyny zgonu, to powikłania zapaleń płuc, śmierć z niewydolności krążenia albo — co częściej — wśród objawów zapalenia opon mózgowych.

Tok pracy dziennej lekarzy i pielęgniarzy w oddziale przedstawiał się następująco[4]: po pobudce około godziny 6 i po porannej toalecie zabierano się zaraz do pracy. Pielęgniarze mierzyli chorym gorączkę, porządkowali łóżka, wydawali śniadanie; ciężej chorych trzeba było karmić, w czym przeważnie pomagali znajdujący się w sali rekonwalescenci. Wydawano leki, wykonywano zabiegi pielęgniarskie, załatwiano wszelkie prace porządkowe w oddziale. Pielęgniarz gospodarczy pobierał kawę z kuchni *KB* i rozdzielał ją wraz z pobranym w dniu poprzednim chlebem i dodatkami dla poszczególnych sal i chorych. W skład dziennego wyżywienia wchodziły: 3/4 litra zupy, przeważnie z różnych jarzyn z minimalnymi dodatkami margaryny i mięsa, 250 gramów czarnego chleba oraz dodatki do chleba, tj. 20 g margaryny lub 30 g marmolady, bądź kiełbasy lub też 50 g sera i dwa razy dziennie kawa zbożowa bez cukru.

Lekarze od rana przeprowadzali obchód chorych, badając leżących w łóżkach, a mogących chodzić — przy stole w środku sali. Musieli uzupełniać historie chorób; były one pisane na odwrocie kart gorączkowych w języku niemieckim. Trzeba było co 2—3 dni wpisywać obserwację, przebieg choroby, sposób leczenia, zabiegi, leki, nawet takie, których chory nie otrzymywał z powodu ich braku, lecz które były wskazane. Lekarz *SS* wymagał prowadzenia takich zapisków i biada temu, którego by schwytano na niedopełnieniu tego obowiązku. Rano też wypełniano dokumentację dla zmarłych ubiegłej nocy oraz przygotowywano papiery dla chorych do wypisania na dzień następny.

Przed południem wykonywano zabiegi lekarskie; zastrzyki domięśniowe i podskórne robili pielęgniarze, a dożylne — lekarze. Wykonywano nakłucia opłucnej zarówno diagnostyczne, jak i terapeutyczne (usuwanie płynu, płukanie jam opłucnych). Zwykle takich punkcji — przy użyciu strzykawek bez aparatu ssącego — było codziennie kilka, co trwało często po pare godzin. W tym też czasie przybywali na oddział chorzy nowo przyjęci do szpitala, najczęściej kilku dziennie, którymi trzeba było zaraz się zająć.

Około godziny 13 wydawano obiad dla chorych i dla personelu. W tym czasie następowało pewne odprężenie w pracy, lecz po krótkim odpoczynku lekarze i pielęgniarze wracali do przerwanych zajęć. Około godziny 18 przypadała kolacja, po której znów mieliśmy napływ nowych bardzo ciężko chorych: badanie ich przeciągało się czasem do późnych godzin nocnych.

Chorzy przyjmowani do szpitala przychodzili na oddział po wykąpaniu i przebraniu w czystą bieliznę. Do nas należała już tylko dalsza le-

[3] W grudniu 1943 roku i styczniu 1944 roku dzienna liczba zgonów w całym szpitalu dochodziła do 12—14, przy czym duża część pochodziła z I oddziału wewnętrznego.

[4] Personel *HKB* i oczywiście chorzy nie brali udziału w ogólnym apelu obozu.

karska i pielęgniarska opieka. Trzeba było zebrać wywiad, zbadać i ustalić przypuszczalne rozpoznanie oraz plan leczenia, założywszy odpowiednią dokumentację chorobową.

Postępowanie wstępne nie należało do łatwych. Zbieranie wywiadu napotykało na przeszkody językowe. Wprawdzie językiem urzędowym w obozie był niemiecki, niewielu więźniów jednak umiało się nim posługiwać. Wśród mozaiki narodowościowej w obozie w Monowicach trzeba było być prawdziwym poliglotą, aby skutecznie porozumieć się z chorymi. Z przedstawicielami narodów słowiańskich (Słowacy, Czesi, Rosjanie, niewielu Serbów) można było od biedy dogadać się po polsku, a z Niemcami, Austriakami, niektórymi Węgrami, Holendrami i Norwegami — po niemiecku. Dla Francuzów, Belgów, czasem Włochów wystarczała moja niezbyt gruntowna znajomość francuskiego w połączeniu z ich przeważnie łamaną niemczyzną. Ale największe kłopoty były z Grekami (nieliczni tylko znali francuski), Włochami i przede wszystkim z Węgrami, którzy mówili tylko językiem ojczystym. Tutaj trzeba było szukać pomocy tłumaczy, często przypadkowych, a więc niepewnych. Niezawodny pozostawał wtedy tylko system „na migi".

Postępowanie diagnostyczne opierało się prawie wyłącznie na najprostszych metodach, bez żadnych badań dodatkowych. Tu i ówdzie można było wykonać podstawowe badania krwi, plwociny, moczu, lecz z powodu ograniczonych możliwości laboratorium szpitalnego nie mogłem liczyć na szeroką pomoc z tej strony. Na badania rentgenowskie płuc trzeba było przewozić chorych do szpitala w obozie centralnym w Oświecimiu, co praktycznie było prawie niewykonalne. Dlatego wnikliwe badanie lekarskie stanowiło podstawę ustalenia rozpoznania. Korzystałem dość często z diagnostycznego nakłucia jamy opłucnej u chorych, u których podejrzewałem powstanie wysięku.

Jednym z czynników leczniczych o nie najmniejszym chyba znaczeniu był sam pobyt w szpitalu: leżenie w ciepłym łóżku, we względnie, jak na obóz koncentracyjny, znośnych warunkach, w atmosferze pewnego spokoju, odprężenia, opieki, z możliwością odpoczynku i wyspania się.

Leczenie farmakologiczne u ciężko chorych oczywiście nie dało się tu niczym zastąpić. A możliwości nasze pod tym względem były bardzo ograniczone.

Z oficjalnie przydzielanych leków (dostarczanych do szpitala z centralnej apteki szpitalnej w Oświecimiu) mogę wymienić najczęściej otrzymywane: aspirynę, tabletki przeciwbólowe (tzw. *Schmerztabletten*), *calcium lacticum* w tabletkach, *infusum fol. digitalis* (o bliżej zresztą nie określonym składzie), *bolus alba*; spośród leków najpotrzebniejszych w leczeniu zapaleń płuc otrzymywałem prontosil, cibazol, solvochin i solvochin-calcium (preparaty chininy w ampułkach), kardiazol i pandigal w płynie, zioła wykrztuśne, jako środki odkażające riwanol i merkurochrom.

Drugim źródłem zaopatrzenia oddziału w leki była tzw. kanada. Przedmioty osobiste, przywiezione przez ludzi deportowanych z całej Europy do Oświęcimia, sortowano w „kanadzie" w Brzezince. Lekarstwa z tego źródła, różnego pochodzenia, marki i wartości, przywożone kilkakrotnie do Monowic w paru dużych walizach, uzupełniały w pewnym stopniu potrzeby. Stąd pochodził przede wszystkim poszukiwany przeze mnie dodatkowy cibazol i jego odpowiedniki, niemiecki eleudron i węgierski ultraseptyl. Nie można też pominąć produkcji leków, podjętej w laboratorium szpitala. Stamtąd otrzymywałem *sol. calcii chlorati i sol. glucosae* do zastrzyków (przy wstrzykiwaniu tych leków nie było żadnych powikłań).

Z przedstawionego zestawienia wynika'oby, że w oddziale wewnętrznym istniały możliwości wszechstronnego i skutecznego leczenia farmakologicznego podstawowych, najcięższych chorób. Pogląd taki byłby jednak całkiem błędny. Oficjalnie leki otrzymywaliśmy w ilościach znikomych, a zasób innych też nie zaspokajał ogromnych potrzeb. Jedynie glukozy, przygotowywanej na miejscu w szpitalu, miałem zwykle stosunkowo dużo.

W procesie leczenia chorych — zwłaszcza ciężko chorych na zapalenie płuc — stawałem bardzo często przed trudnym dylematem: których więźniów czym leczyć, mając do dyspozycji np. dla dziesięciu chorych na zapalenie płuc dziennie 20 tabletek sulfonamidów, 3 ampułki solwochiny i 3 ampułki solvochin-calcium i nie wiedząc, co mi następne dni przyniosą. Czy dać każdemu niewielkie ilości leków, ale wtedy nieskuteczne dla nikogo, czy też intensywnie i skutecznie leczyć tylko niektórych, a jeżeli tak, to kogo właściwie wybrać? Problem etyczno-lekarski niełatwy do rozstrzygnięcia! Za poradą innych lekarzy-więźniów leczyłem sulfonamidami przede wszystkim ludzi młodych. Po przebyciu ciężkiej choroby mieli oni jeszcze możliwość przeżycia obozu. Ludzie starsi, jeżeli nawet z obecnej choroby się wydobędą, mają przed sobą tyle dalszych obozowych niebezpieczeństw, że ich perspektywy na przyszłość są znacznie gorsze.

Innym chorym stosowałem zastrzyki solwochiny, wszystkim gorączkującym podawałem *inf. digitalis* lub pandigal; wszyscy chorzy na zapalenie płuc otrzymywali codziennie dożylne zastrzyki glukozy. Zastrzyków tych trzeba było wykonać dziennie po kilkadziesiąt, często chorym, leżącym na górnym łóżku, do których trzeba było się wspinać i przyświecać sobie latarką ręczną, trzymaną w zębach. Trud ten jednak na pewno się opłacał w procesie leczenia; jeżeli te wstrzyknięcia glukozy, stosowane niejako zamiast leczenia przyczynowego, nie miały istotnego wpływu leczniczego, to niewątpliwie odnosiły korzystny skutek psychoterapeutyczny.

Pamiętam na przykład jednego chorego (*G. M.*, nr obozowy 144338)[5], cierpiącego na zapalenie płatowe

[5] Dzięki informacjom nadesłanym przez Państwowe Muzeum w Oświęcimiu można podać, że więzień

płuc, na dodatek z organiczną wadą serca, u którego w dwa tygodnie po przebyciu 9-dniowego okresu gorączkowego i po krytycznym spadku ciepłoty wystąpił nawrót zapalenia płuc. Nie mogłem z braku środków leczyć go intensywnie; stosowałem tylko naparstnicę i dożylne zastrzyki glukozy. Więzień ten przebył powtórnie cały klasyczny cykl choroby. W czasie rekonwalescencji dziękował mi gorąco za wyleczenie; uważał, że wyzdrowiał tylko dzięki moim zabiegom. Ja w tym przypadku więcej zasługi przypisałbym jakiejś dziwnie niespożytej w warunkach obozowych odporności jego ustroju, *vis medicatrix naturae*, a moje leczenie należy chyba traktować głównie jako podtrzymujące jego stan psychiczny.

Leczenie „kolapsu", zapaści krążeniowej, zwykle związanej z ogólnym wyczerpaniem i przemarznięciem, polegało na stosowaniu ciepłej kąpieli, ogrzewaniu termoforami w łóżku, podawaniu gorących płynów, zastrzyków glukozy, strychniny, jeśli była dostępna, a także doustnie kardiazolu. Zwykle postępowanie to przynosiło korzystne wyniki.

Chorym na wysiękowe zapalenie opłucnej (przeważnie przecież gruźlicze, aczkolwiek szczegółowego rozpoznania nigdy nie stawiano) stosowałem aspirynę o tyle, o ile ją można było dostać, dożylnie zaś wstrzyknięcia *calcium chloratum*. Starałem się też dla nich o jakieś dodatkowe porcje żywności (zawsze trochę zupy lub chleba zbywało po zmarłych, bądź od nieprzytomnych). Chorym musiałem wypuszczać płyn z jamy opłucnej dla odbarczenia, czasem raz w tygodniu, czasem nawet częściej.

Nierzadko zdarzały się ropniaki opłucnej, głównie jako powikłanie po zapaleniach płuc. U tych chorych wykonywałem nakłucia i przepłukiwania jamy opłucnej roztworem riwanolu. W przypadkach gośćca stawowego i ostrych mialgii podawałem aspirynę (zawsze za mało, 2—3 tabletki dziennie, rezerwowane dla tych chorych z codziennego przydziału) i środki napotne, miedzy innymi ogrzewanie ciała budką z żarówkami (tzw. *Lichtkasten*).

Wyniki takiego leczenia, niepełnego z konieczności, były bardzo różne.

Przebieg leczenia sulfonamidami płatowego zapalenia płuc był początkowo dość efektowny. Gorączka spadała w ciagu dwóch dni i przez kilka nastepnych utrzymywał się stan bezgorączkowy. Wtedy przerywano podawanie sulfonamidów. Tak więc chorzy otrzymywali tego skutecznego cibazolu za mało (do 20 tabletek na leczenie przy potrzebnej przeciętnej około 50—60 tabletek), toteż zwykle po 7—8 dniach choroby gorączka ponownie rosła do 40°, a w 9—11 dniu spadała krytycznie wśród potów. U takich chorych nie obserwowałem w płucach klasycznego obrazu przebiegu choroby i przeważnie nie występowały u nich żadne powikłania. U innych, leczonych solwochiną, rozwijał się obraz zapalenia płuc w nieco tylko złagodzonej postaci, z mniejszymi objawami osłuchowymi, mniejszym odkrztuszaniem plwociny. Choroba trwała jednak dłużej; występowały przeważnie powikłania opłucnowe. Najtragiczniejszy był los chorych, dla których nie starczyło nawet solwochiny. U większości z nich, już uprzednio wycieńczonych i mało odpornych, przebieg choroby był bardzo ciężki. Po kilku lub kilkunastu dniach występowały powikłania mózgowe. Rzadko zdarzały się wyleczenia, podobne do opisanego uprzednio.

Spośród dość niezwykłych spraw chorobowych, które utkwiły mi w pamięci, przytaczam niektóre.

Młody chłopiec[6], przyjęty do szpitala obozowego z gorączką o charakterze ciągłym do 39°, bez żadnych uchwytnych poza tym objawów chorobowych. Można było podejrzewać dur brzuszny, lecz ogólny stan raczej na to nie wskazywał. Po upływie około tygodnia sprawa się wyjaśniła: na pośladkach wystąpiły obrzmienia z zaczerwienieniem skóry, wyraźnie chełboczące. Przyczyną było zropienie krwawych wylewów śródpośladkowych, które wystąpiły po pobiciu przez „kapo" w czasie pracy kilka dni przedtem. Po nacięciu ropni w oddziale chirurgicznym chłopiec został wyleczony.

Chłopiec 17-letni (*M. W.*, nr obozowy 135701), długo i wysoko gorączkujący (zimą 1943/44 roku) po przebytym zapaleniu płuc. Podejrzewałem wysięk opłucnej, lecz najwnikliwszym badaniem nie mogłem go umiejscowić. Po pewnym jednak czasie, kiedy ilość wysięku się zwiększyła, wykonałem, stwierdziwszy ograniczone, średnicy mniej więcej 4 cm, stłumienie w prawej linii pachowej, nakłucie opłucnej w kierunku przestrzeni międzypłatowej i tu natrafiłem wreszcie na spodziewany wysięk ropny. Wykonywane co 3—4 dni nakłucia, połączone z przepłukiwaniami opłucnej roztworem riwanolu, doprowadziły do wyraźnej poprawy stanu ogólnego, obniżenia gorączki, poprawy samopoczucia. Ropniak międzypłatowy utrzymywał się jednak przez dłuższy czas. Pewnego dnia chory nagle zakasłał i odkrztusił około 1/2 litra ropnego płynu, nastąpiło bowiem przebicie do oskrzela. Od tego czasu płyn w opłucnej więcej się nie zbierał; nie było potrzeby dalszych nakłuć. Stan chorego zaczął się szybko poprawiać; rekonwalescencję ułatwiały obfite przesyłki żywności od rodziny. Chłopca wypisaliśmy ze szpitala, umieszczając go do pracy w lżejszym „komandzie". Chory ten przeżył obóz i odszukał mnie w roku 1953 w Warszawie. Stwierdzono u niego po wojnie dość rozległe zmiany gruźlicze w obu płucach i zrosty opłucnej. Ale praktycznie ogólny stan jego zdrowia był już potem i jest nadal względnie dobry.

Chłopiec 19-letni (*J. B.*, nr obozowy 119205), uczeń z Warszawy, chorował na obustronne wysiękowe zapalenie opłucnej, najpewniej gruźlicze. Był leczony przeze mnie dostępnymi sposobami, salicylatami, które dostawał jeszcze dodatkowo w paczkach z domu oraz wapniem; nakłuwałem opłucną dla odbarczenia. Leżał w szpitalu długo, chyba kilka miesięcy; miał względnie dobre warunki, stosunkowo bardzo dobre odżywianie, gdyż otrzymywał od rodziny co 2—3 dni obfite i wartościowe paczki żywnościowe. Całe to leczenie nie zdało się jednak na nic; płyn nadal ciągle narastał, postępowało stopniowe wyniszczenie ustroju i chłopiec zmarł wśród objawów zapalenia opon mózgowych, które było wyrazem wysiewu prosówkowego gruźlicy.

U chłopca 18-letniego (*J. W., E-häftlinga*, a więc przebywającego w obozie niezbyt długo) wystąpił w okresie rekonwalescencji po pomyślnie przebytym zapaleniu płuc taki „wilczy głód", że chory wprost rzucał się na jedzenie. Mimo organizowania dla niego dodatkowych porcji, mimo dokarmiania go przeze

ten został przywieziony do obozu oświecimskiego 31 sierpnia 1943 roku transportem *RSHA* Żydów z getta białostockiego. W książkach szpitala obozowego Buna-Monowice jest notowany od 15 października 1943 roku do 26 lutego 1944 roku. Jego dalsze losy nie są znane. W niniejszym artykule podano tylko inicjały imion i nazwisk chorych więźniów oraz numery obozowe, jeśli zdołano je odtworzyć.

[6] Do czasu oddania tekstu do druku nie zdołano odszukać wiarygodnych danych obozowych tego więźnia.

mnie i innych kolegów wyjątkowo dużymi ilościami pożywienia, pochodzącego z własnych paczek, nie można go było nasycić do tego stopnia, że nie dało się nawet zapobiec podkradaniu żywności z jego strony. Jeden z lekarzy francuskich, doświadczony praktyk, poradził mi, aby choremu podawać minimalne, homeopatyczne dawki jodu w postaci rozcieńczonej jodyny. Po kilku dniach takiego leczenia „wilczy głód" nagle ustąpił. Nie umiałem i nadal nie umiem sobie wytłumaczyć całości tego zjawiska.

Do chorób, których bezpieczniej było nie rozpoznawać, należała gruźlica. Takim chorym groziła eksterminacja ze strony *SS*.

Pamiętam około 30-letniego ślusarza z Warszawy (*E. N.*, nr obozowy 131730)[7] ze stanami podgorączkowymi po przebytym zapaleniu płuc. Przy dokładnym osłuchiwaniu można było stwierdzić stałe rzeżenia nad szczytem płuca. Sprawa była rozpoznawczo jasna, a badanie plwociny wykazało obecność prątków. Mniej oczywiste było, jak można mu pomóc, jednocześnie jak najmniej dając okazji do zakażania innych. W porozumieniu ze „starszym szpitala", drem *Budziaszkiem*, został umieszczony w zorganizowanych przy szpitalu warsztatach, gdzie przetrwał aż do ewakuacji obozu w styczniu 1945 roku w stosunkowo dobrym stanie. Jego dalsze losy nie są mi znane.

Podobnie pewien lekarz (*Cz. J.*, nr obozowy 31070), chory na gruźlicze zapalenie stawu kolanowego, traktowany był w oficjalnej dokumentacji jako chory na gościec stawowy i zapalenie okołostawowe. Stosowano u niego kwarcówkę, helioterapię i intensywne odżywianie (głównie z paczek). Unieruchomienia gipsowego nie można było założyć z obawy przed wykryciem choroby przez lekarza *SS*. Przetrzymywałem chorego w oddziale przez 5 miesięcy i dopiero przypadkowe zwrócenie uwagi na niego przez lekarza *SS* spowodowało konieczność wypisania z oddziału i przeniesienia do pracy pisarza w innym oddziale szpitalnym.

I oddział wewnętrzny, w którym przebywali głównie chorzy z ostrymi stanami, nie interesował lekarzy i sanitariuszy *SS* pod względem selekcji przewlekle chorych. Dlatego niezbyt częste wizytacje oddziału sprowadzały się do przejrzenia dokumentacji chorobowych, do sprawdzenia porządku na oddziale i do pseudonaukowej rozmowy o metodach leczenia. Mogłem przeto stosunkowo swobodnie prowadzić leczenie chorych, a niekiedy wbrew przepisom przetrzymywać ich dłuższy czas.

W styczniu 1945 roku wraz z całym obozem zostałem ewakuowany w głąb Niemiec[8]. Losy ciężko chorych, pozostałych w Monowicach, są znane z pracy dra Czesława W. *Jaworskiego*[9].

Praca moja była — z wszelkimi zastrzeżeniami wynikającymi z ogólnej sytuacji pobytu w obozie — zbliżona do normalnej pracy lekarskiej, bardzo intensywnej, wyczerpującej fizycznie i nerwowo. Trwała ona cały dzień i część nocy (poza pracą w oddziale wewnętrznym uczestniczyłem też bardzo często w operacjach chirurgicznych, stosując narkozy ogólne i znieczulenia lędźwiowe). Zajęcie w szpitalu obozowym pozwalało mi na częściowe, bieżące zapomnienie o tym, co nas otaczało, ponadto dawało zadowolenie z możliwości pożytecznego, a czasem skutecznego działania. I ta praca, brak na co dzień styczności z esesmanami, pozwoliła chyba na psychicznie znośniejsze przetrzymanie pobytu w obozie. Zetknięcie się po wojnie z niektórymi moimi byłymi chorymi obozowymi, którym udało się przeżyć — częściowo przynajmniej dzięki mojej pomocy — sprawia mi wielkie zadowolenie.

[7] Więzień ten został przywieziony do obozu oświęcimskiego 29 lipca 1943 roku transportem radomskim, a w książkach szpitala obozowego Buna-Monowice jest notowany pod datami 10 do 16 czerwca 1944 roku.

[8] Zob. też A. *Makowski:* Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 212.

[9] C. W. *Jaworski:* Wspomnienia z Oświęcimia. W: Apel skazanych. Pax, Warszawa 1962.

WITOLD ZEGARSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Sachsenhausen nr 21345
Gdańsk

Szpital w Sachsenhausen na tle warunków obozowych w latach 1940-1945

Jak wiadomo, hitlerowcy już w początkach roku 1933 założyli w Oranienburgu, miejscowości położonej na północ od Berlina, jeden z pierwszych obozów koncentracyjnych. Obóz w pobliskim Sachsenhausen, nazywany Sachsenhausen-Oranienburg, powstał w roku 1936. Tutaj po dwóch latach umiejscowiono także centralną administrację wszystkich pozostałych i nowo tworzonych obozów hitlerowskich. Nic więc dziwnego, że obóz Sachsenhausen był nie tylko katownią uwięzionych, lecz również ośrodkiem szkoleniowo-doświadczalnym stale rosnących kadr morderców w mundurach *SS*.

„Obóz koncentracyjny jest zakładem wychowawczym szczególnego rodzaju. Czas wychowywania w nim może trwać zależnie od zachowania się więźnia miesiące, lata lub też dożywotnio" — informował nas, grupę nowo przybyłych więźniów w kwietniu 1940 roku jeden z oficerów *SS*. Po jego odejściu podszedł do nas inny, jak się później miało okazać, jeden z najbardziej krwawych i zwyrodniałych katów obozowych, *blockführer Schubert* i swoim charakterystycznym, piskliwym głosem uzupełnił: „Mogę was zapewnić, że dla was istnieje tylko jedna droga wyjścia z tego obozu,



Ryc. 1. Jeden z najokrutniejszych oprawców obozowych w Sachsenhausen, Wilhelm *Schubert* (urodzony 8 lutego 1917 roku), zwany *Pistolen-Schubert, blockführer* w latach 1938—1942, skazany na dożywotnie więzienie. Na rozprawie w NRF w „ostatnim słowie" oświadczył cynicznie, iż żałuje tylko, że nie wymordował większej liczby więźniów, gdyż wówczas na pewno by nie doszło do jego procesu

przez komin krematoryjny" i wymownym gestem wskazał na sterczący ponad baraki obozowe duży, dymiący komin krematorium.

Na potwierdzenie słuszności jego wypowiedzi nie trzeba było, niestety, długo czekać. *Schubert* przystąpił do wstępnych „przesłuchiwań" wraz z dwoma jeszcze doborowymi kompanami, *blockführerem Seifertem* i *Kaiserem* [1]. Padały zasadniczo tylko dwa pytania, o zawód i powód aresztowania. Każda odpowiedź była pretekstem do bicia i znęcania się nad ofiarą. Ponieważ wielu z nas uwiezionych w akcji likwidowania inteligencji polskiej [2] rzeczywiście nie potrafiło podać powodu aresztowania, było bitych za nieprzyznawanie się do winy. Natomiast pozostali, którzy potrafili podać powód aresztowania, otrzymywali razy za to właśnie „przestępstwo", popełnione rzekomo przeciw okupantowi. Tak więc pierwsze powybijane zęby, pokrwawione głowy i połamane żebra były skutkiem początku naszego „wychowywania".

Te szczególne „metody wychowawcze" zastosowano już także w stosunku do tych, którzy stanowili pierwszą większą grupę Polaków uwięzionych po klęsce wrześniowej w obozie Sachsenhausen, mianowicie profesorów wyższych uczelni Krakowa. W ciągu zaledwie kilkumiesięcznego „wychowania" znalazło tam śmierć 14 wybitnych polskich naukowców. Zresztą o ich pobycie w Sachsenhausen dowiedzieliśmy się dopiero znacznie później, po wyjściu z tzw. kwarantanny obozowej, w której pozostawaliśmy zupełnie izolowani nie tylko od wszelkich wiadomości ze świata zewnętrznego, ale nawet od reszty obozu, tzw. „dużego obozu". „Kwarantanna", zorganizowana dla Polaków przywiezionych tutaj z różnych stron Polski, była nowym, szatańskim wymysłem *SS*.

Nasz gdańsko-gdyński transport stanowił pierwszą, kilkusetosobową grupę więźniów skierowanych do „kwarantanny" w dniu 10 kwietnia 1940 roku. Następnie w kilkudniowych odstępach przybywały transporty z Bydgoszczy, Lublina, Radomia i Warszawy.

Mimo że nabyliśmy już pewnego doświadczenia z pierwszych dni okupacji hitlerowskiej oraz obozów przejściowych w „etapie emigracyjnym" w Gdyni i gdańskim Nowym Porcie, to, co mieliśmy przeżyć w Sachsenhausen, przeszło wszelkie nasze wyobrażenia o bestialstwie i okrucieństwie hitlerowców. Jako tzw. *blockführerów*, czyli nadzorców z *SS* dla całej kwarantanny, wyznaczono najbardziej krwiożercze typy spośród ich „elity". Trzy nazwiska *Schubert, Seifert* i *Kaiser* utrwaliły się w naszej pamięci jako synonimy zbrodni popełnionych w Sachsenhausen. Ta trójka miała do pomocy grupę specjalnie przez kierownictwo obozowe dobranych więźniów z tzw. samorządu więźniarskiego, którzy pełnili funkcje „starszych bloku" i „sztubowych" („izbowych"). Byli to Niemcy, zawodowi przestępcy kryminalni (*Berufsverbrecher*) oraz elementy „aspołeczne" (*asoziale*), a więc osobnicy karani wielokrotnie poprzednio za przestępstwa kryminalne, sutenerstwo itp. Sprawowali oni praktycznie nieograniczoną władzę, decydowali o życiu i śmierci każdego z nas. Zdarzało się niekiedy, że więzień zbity i zmaltretowany do nieprzytomności przez esesmanów, uznany przez nich za „wykończonego", wracał do przytomności i stawał podtrzymywany przez kolegów na apelu. Wówczas sprawca wyrażał zdziwienie, że ofiara jeszcze żyje. Było to równoznaczne z wyrokiem śmierci. Następnego dnia nieżywego nieszczęśnika przynoszono w kocu na apel.

Szpitala, ani nawet izby chorych nie było w ogóle w kwarantannie. Nie było bowiem ludzi chorych, byli tylko żywi i umarli. Wszystkich obowiązywało stawienie się na apelu.

[1] *SS-oberscharführer* Wilhelm *Schubert* (znany w latach 1938—1942 w Sachsenhausen jako „Pistolen-Schubert") został skazany w NRF na dożywotnie więzienie. Długo oczekiwali na procesy również *oberscharführerzy SS*. Erwin *Seifert*, Niemiec sudecki, były żołnierz czeski (w obozie był funkcjonariuszem od 1939 roku) i Otto *Kaiser* (w obozie w latach 1939—1942), także związany z procesem *Seiferta* i 10 innych esesmanów z Sachsenhausen. Wiadomości o tamtejszych zbrodniarzach, z uwzględnieniem ich losów i fotografii, zawiera zeszyt pt. *KZ-Sachsenhausen*, wydany przez prokuraturę w Kolonii w roku 1966. Obejmuje on przeszło 600 nazwisk.

[2] Zob. artykuł J. *Kreta* w niniejszym dziale (przyp. red.).

Żywi stali ustawieni w piątkach, a umarli leżeli w kocach, ułożeni jeden za drugim, co ułatwiało sprawdzenie przez *SS* stanu liczbowego każdego bloku. Żywi musieli stać. Pamiętam przedśmiertne męczarnie prof. *Rozkwitalskiego* z Pomorza, który po kilkugodzinnym staniu pod zimnym prysznicem był wleczony przez kolegów na apel w ciągu dwóch kolejnych dni z objawami ciężkiego zapalenia płuc. Koledzy stawiali go w ostatnim rzędzie, gdzie można go było oprzeć o ścianę baraku i w ten sposób oszczędzić przedśmiertnych razów za „symulację".

Podobnie inny kolega, malarz z Kartuz, *Radloff* był wleczony na apel przez kilka dni aż do śmierci z powodu rozległej róży twarzy, przy czym był on za każdym razem obiektem różnych „dowcipów" ze strony *SS*. Można sobie wyobrazić bezsilną rozpacz jego dwóch synów, którzy musieli przyglądać się biernie jego powolnemu konaniu. Los był łaskawszy dla kolegi *Detlafa*, wójta z Wielkiej Wsi (Władysławowa), który po dłuższym staniu pod zimnym prysznicem umierał wieczorem, już po apelu, na sienniku i w spokoju. Miał wyrazne objawy ciężkiego obrzęku płuc. Jedyna pomoc, której można mu było udzielić, to wysokie ułożenie i podawanie wody do picia. Na szczęście tego wieczora esesmani nie urządzili „nalotu" na nasz barak i biedak mógł dokonać żywota w spokoju, a to już było wielką łaską losu.

Perwersyjni mordercy, zarówno z *SS*, jak i blokowi, posługiwali się różnymi metodami „indywidualnego" ośmiercania. Prześcigali się zresztą w makabrycznych pomysłach. Do częstszych należało — poza biciem i nadepnięciem umierającemu na krtań — stawianie więźnia pod prysznic, wprowadzanie wody pod ciśnieniem do żołądka lub cewki moczowej, u ludzi starszych zaś na pozór niewinne stawianie pod prysznic prowadziło stosunkowo szybko do śmierci ofiary. W ten sposób zginęli między innymi — oprócz wspomnianego już *Detlafa* — aptekarz z Chełmży na Pomorzu, *Wolski*, Antoni *Klebba* z Mostów i restaurator *Błeński* z Gdańska. Oczywiście pod prysznicem stawiano ludzi poprzednio już niemiłosiernie pobitych, aby ich „otrzeźwić". Niekiedy kaprysem oprawców było doprowadzenie ofiary do śmierci „samobójczej". Jeśli storturowany więzień mimo wszystko nie uległ presji, to śmierć jego i tak była przesądzona.

Tak było na przykład w wypadku śmierci nauczyciela z Torunia, *Jonasa*. Jako pedagog z zawodu został on skierowany do „bloku młodocianych" z zadaniem uczenia języka niemieckiego zgrupowanych tam nieletnich więźniów-Polaków. Ponieważ zasadniczym „podręcznikiem" był hitlerowski dziennik *Völkischer Beobachter*, *Jonas* obok dosłownego tłumaczenia czytanej treści podawał odpowiedni komentarz, demaskujący kłamstwa propagandy hitlerowskiej. Ktoś go zadenuncjował, wskutek czego został zbity przez *Schuberta* i *Seiferta*, a potem postawiony przed blokiem w przysiadzie z wyciągniętymi rękami. Po kilku godzinach przebywania w takiej pozycji nastąpiła ponowna porcja bicia i polecenie powieszenia się. *Jonas*, mimo że był już w opłakanym stanie, odpowiedział, że jest wierzącym katolikiem i nie popełni samobójstwa. Następnego dnia znaleziono go powieszonego w małej komórce w bloku. Powiesił go *Schubert* przy pomocy jednego ze „starszych bloku".

Pod koniec maja 1940 roku w kwarantannie znajdowały się już około dwa tysiące Polaków. Wobec zupełnej izolacji nie byliśmy kierowani do żadnej pracy. Jedynym zajęciem był morderczy „sport". Polegał on na „rolowaniu", czyli toczeniu się po pokrytej pyłem węglowym drodze obozowej, skokach „żabką" z wyciągniętymi rękami, biegach i padaniu na przemian. W „sporcie" musieli uczestniczyć wszyscy, bez względu na wiek i stan zdrowia, toteż wielu nie wytrzymywało tego długotrwałego wysiłku i wkrótce droga pokrywała się leżącymi więźniami, niezdolnymi do samodzielnego wstania. Na tę chwilę tylko czekali *blockführerzy*, którzy teraz biciem i kopaniem usiłowali zmusić nieszczęśników do podniesienia się. Po takiej masakrze zmaltretowane ofiary, najczęściej ludzie starzy lub ułomni, byli polewani wodą i już przeważnie w stanie agonii przenoszeni do umywalni lub ustępu w bloku, skąd na następny apel wynoszono ich zwłoki.

W przerwach między „sportem" musieliśmy stać godzinami nieruchomo w bloku, jeśli było gorąco, ściśnięci na małej przestrzeni drewnianego baraku przy zamkniętych oknach, natomiast gdy padał deszcz lub było zimno, to na ulicy przed blokiem. Biada temu, kto się poruszył lub został przyłapany na próbie rozmowy z kolegą. Niezależnie od „sportu" esesmani i blokowi wyszukiwali sobie poszczególne ofiary. Tak np. blokowy naszego bloku (nr 18), przestępca kryminalny Helmut *Wagemann*, pałał nienawiścią do wszystkich prawników, gdyż w swoim spaczonym rozumowaniu twierdził, iż to oni właśnie są winni, że był wielokrotnie skazywany na pobyt w więzieniu. Z tego powodu zginął między innymi prezes sądu z Torunia, kolega *Stonawski*, zatłuczony przez owego *berufsverbrechera*, któremu pomagali bić *Schubert* i *Seifert*. Podobnie „odpowiedzialny" za „niewinny" pobyt Helmuta w więzieniu okazał się polski prawnik, adwokat *Śmigielski* z Biedruska pod Poznaniem. Zmaltretowany przez tę trójkę oprawców, został on przez nich zapędzony na znajdujące się pod prądem elektrycznym druty kolczaste ogrodzenia obozowego, gdzie znalazł natychmiastową śmierć. Następną ofiarą tej samej trójki był staruszek ksiądz *Łosiński*, dziekan z Sierakowic pod Kartuzami, u którego znaleziony medalik stał się przyczyną męczeńskiej śmierci. Podobną śmiercią zginęli emerytowany generał Bolesław *Roja* z Warszawy, profesor *Laska* i kolega *Budrewicz* z Gdyni.

Wymieniłem tu tylko przykładowo kilka nazwisk z mojego najbliższego otoczenia, moż-

na sobie bowiem łatwo wyobrazić, że w opisanych warunkach śmiertelność była bardzo wysoka. Codziennie rano wychodzący z kwarantanny długi orszak więźniów dźwigających czarne trumny z nieheblowanych desek (służące tylko do transportu zmarłych do krematorium) przypominał nam słowa *Schuberta*, że jedyna droga do wolności prowadzi przez krematorium.

Już po kilku dniach pobytu w kwarantannie zdaliśmy sobie sprawę z celu, w jakim ta „izolacja" została stworzona i losu, jaki nas oczekiwał. Ta beznadziejność sytuacji, zupełna izolacja od świata zewnętrznego, bezsilne przyglądanie się i codzienne przeżywanie śmierci dziesiątków kolegów, strach, głód, wszy i wyczerpanie były czynnikami, które już po kilku tygodniach zniwelowały wszystkie różnice wieku, zawodów i wykształcenia. Do głosu doszedł prymitywny instynkt samozachowawczy. Każdy stał się już tylko „numerem", którego całe działanie było skierowane jedynie na próbę przeżycia, na opóźnienie swojej kolejki do śmierci. Największą możliwość przeżycia mieli ludzie fizycznie sprawni i młodzi, ale i ci nawet zaczęli się po upływie kilku tygodni załamywać fizycznie i psychicznie.

Na przełomie maja i czerwca 1940 roku spełniły się wreszcie nasze marzenia o wyjściu z piekła kwarantanny. Zostaliśmy przeniesieni do „dużego obozu". Skończył się wprawdzie „sport" jako wyłączne zajęcie, pozostał jednak jako często stosowane jedno z ćwiczeń karnych. Zostaliśmy przydzieleni do pracy w różnych „komandach", przeważnie przy robotach ziemnych i transporcie. Czas pracy wynosił 10—12 godzin dziennie, w godzinach 6—18, z godzinną przerwą na obiad. Wkrótce niedożywienie, wyczerpanie pobytem w kwarantannie, brak przyzwyczajenia do ciężkiej pracy zaczęły dawać się we znaki nawet najbardziej dotychczas wytrzymałym. Codziennie wieczorem „komanda" wracając z pracy przedstawiały żałosny widok. Na końcu każdej kolumny maszerowali, a raczej byli wleczeni przez kolegów więźniowie zmaltretowani i chorzy, za nimi zaś często ciągnięto wózek ze zmarłymi i z tymi, którzy już nie byli w stanie poruszać się o własnych siłach. Najgorszą „sławę" pod tym względem miało najliczniejsze zresztą „komando" *Klinkerwerk*, w którym rej wodzili tacy esesmani, jak *Ficker, Andersen, Siemke, Schwarzhuber, Bugdale, van Deetzen (rapportführer), Hoffmann (Tongrube), Busse*, Otto *Heidrich* i inni, a także więźniowie-*vorarbeiterzy Seeman, Staniczek*, czy *Mandel* [3].

Nasilające się wyczerpanie, niedożywienie (zwłaszcza niedobory białkowe) i liczne wypadki w pracy były przyczyną szybkiego wzrostu zachorowalności wśród więźniów nowo przybyłych. Zaczęły masowo występować biegunki, obrzęki głodowe, zwłaszcza kończyn dolnych, a w ślad za tym ropowice, owrzodzenia i odmrożenia kończyn oraz zapalenia płuc. Dodatkową plagą były wszawica i świerzb. Nic dziwnego, że szybko zwiększała się liczba „muzułmanów". Niektórzy z nich po odpowiedniej segregacji, dokonywanej kolejno przez blokowych, *blockjunrerow, rapportjuhrera* i niekiedy lekarzy *SS*, trafiali wreszcie do szpitala obozowego, zwanego „rewirem".

Już w lecie 1940 roku duża liczba więźniów nowo przybyłych do obozu (od kwietnia do września około 17 tysięcy i to przeważnie Polaków), a zwłaszcza związany z tym gwałtowny wzrost liczby chorych przekraczał możliwości przyjęć i tak już maksymalnie zagęszczonego szpitala. Wprawdzie został on wówczas powiększony do sześciu baraków, zupełnie one jednak nie wystarczały. Wielu chorych niezdolnych do pracy kierowano do tzw. *stehkommanda* („komanda stojącego"). Stosownie do jego nazwy skierowani tam chorzy musieli stać przez cały dzień w umywalni lub w ustępie jednego z bloków. Ich los był żałosny, ponieważ narażeni na różne szykany blokowego lub jego zastępcy („sztubowego") byli wystawieni nadto na częste „naloty" kontrolne *SS*. Mimo niezdolności do pracy zmuszano te ofiary do przygodnych prac transportowych, najczęściej do przenoszenia trumien ze zwłokami do krematorium. Dostawali się wówczas pod władzę osławionego *vorarbeitera* krematorium, więźnia *Behma*, który posługiwał się nieodłączną pałką i kopniakami, „usprawniając" ich do pracy. Do szczęśliwców należeli ci nieliczni chorzy, bądź ułomni, którym udało się dostać do grup wykonujących lżejszą i siedzącą pracę przy obieraniu ziemniaków lub cerowaniu pończoch, aczkolwiek i ich warunki były opłakane.

W końcu września 1940 roku jako „muzułmanin" dostałem się z biegunką, zapaleniem płuc i zapaleniem ucha środkowego do szpitala obozowego. Szpital jeszcze stanowił w owym czasie dla znacznej większości kierowanych tam chorych jedynie przedsionek do krematorium. O roli, jaką „rewir" miał spełniać, świadczy najlepiej zakaz zatrudniania w nim nie tylko lekarzy-więźniów, ale w ogóle ludzi, którzy mieli jakikolwiek związek swego zawodu z medycyną, a więc pielęgniarzy, studentów medycyny, homeopatów itp. Oficjalnym kierownikiem szpitala był lekarz *SS*, tzw. „pierwszy lekarz obozu", który do pomocy miał jednego lub dwóch lekarzy *SS* oraz trzech podoficerów sanitarnych *SS*, tzw. *SDG* („pomocnicza służba sanitarna") [4].

[3] Warto podać informacje o ich losach. I tak, *Ficker*, odsiadujący dożywocie, zmarł w Workucie w roku 1948. *Schwarzhuber* z wyroku został stracony 3 maja 1947 roku. *Van Deetzena* uznano za zmarłego. *Bugdale* odbywa karę dożywocia. Nieznane są losy *Siemkego* oraz *Andersena*, zwanego „Onkel Otto", który miałby dzisiaj 77 lat. *Richard Hoffmann* i *Willy Busse* są nadal poszukiwani przez prokuraturę NRF. Spośród wymienionych tutaj *vorarbeitrów* Józef *Staniczek* popełnił samobójstwo w obozie w roku 1943. Na uwagę zasługuje, że *Staniczek* jako więzień polityczny został potępiony za swoje zbrodnie przez współwięźniów i powiesił się na sznurze, który mu podsunięto w misce zamiast jedzenia. *Karl Seeman* w podobnych okolicznościach popełnił samobójstwo przez pójście „na druty". Ryszard *Mandel* zmarł w obozie na dur wysypkowy.

[4] Zwłaszcza dwóch z tych *SDG* przebywało dłuż-



Ryc. 2. Lekarz-zbrodniarz z Sachsenhausen, dr *Heinz Baumkötter* (urodzony 7 lutego 1912 roku), *hauptsturmführer SS*, pełnił w latach 1942—1945 funkcję lekarza obozowego; skazany w NRF na 8 lat więzienia, obecnie na wolności

Zadania lekarza *SS* w obozie wymownie określa zeznanie ówczesnego pierwszego lekarza obozowego *hauptsturmführera SS*, dra *Heinza Baumköttera*, złożone na rozprawie przed trybunałem radzieckim w roku 1946 (cytuję według *SS im Einsatz*, str. 240): „Do jego obowiązków należała osobista obecność lub delegowanie zastępcy na wykonywane kary chłosty, egzekucje poszczególne i masowe oraz gazowanie. Ponadto wykonywał zlecone mu doświadczenia i przygotowywał listy więźniów chorych i niezdolnych do pracy, przeznaczonych na transport rzekomo do innych obozów". Na pytanie prokuratora odnoszące się do warunków, w jakich więźniowie żyli w Sachsenhausen, oskarżony *Baumkötter* stwierdził: „Warunki obozowe były katastrofalne. Nie tylko odzież, lecz także wyżywienie zupełnie nie wystarczały dla zabezpieczenia minimum egzystencji człowieka. Opalanie baraków było niedozwolone, podobnie jak i noszenie butów na skórkowej podeszwie. Czas pracy wynosił 10—14 godzin. To wszystko musiało doprowadzić do zupełnego wyczerpania, do powolnej śmierci więźniów". W czasie urzędowania *Baumköttera* w Sachsenhausen według jego zeznań zginęło wskutek złych warunków życiowych około 8 tysięcy więźniów. Wyżywienie było bardzo złe. „Przede wszystkim brakowało białka, najważniejszego budulca ustrojowego. W ten sposób dochodziło do stałego, stopniowego zużycia własnego białka ustrojowego, co w konsekwencji musiało prowadzić do krańcowego wyniszczenia".

Do obowiązków lekarza *SS*, który miał sprawować opiekę nad zdrowiem więźniów, należało też codzienne podpisywanie imiennych zestawień więźniów zmarłych w obozie z podawaniem najczęściej zmyślonych przyczyn zgonów. Wiadomo bowiem, że przeszło 90% przyczyn tych zgonów, podawanych przez lekarzy *SS* w aktach, stanowiła „niedomoga krążenia". Rozpoznanie takie podpisywał dr *Baumkötter* nawet wtedy, gdy przed chwilą osobiście uśmiercił więźnia cyjankiem potasu. Lekarz *SS* miał więc tyle zbrodniczych obowiązków służbowych, że wśród nich zabrakło czasu przynajmniej na pozorowany nadzór lekarski nad szpitalem obozowym. Lekarz *SS* zjawiał się zatem w barakach szpitalnych jedynie w celu przeprowadzenia selekcji kandydatów do „transportu śmierci" lub dla przeprowadzenia doświadczeń. Zasadniczo więc cała opieka nad chorymi, zarówno szpitalna, jak i ambulatoryjna należała do więźniarskiego personelu pielęgniarskiego.

Funkcje „starszego rewiru", blokowych, sanitariuszy i pielęgniarzy pełnili w latach 1940—1941 więźniowie niemieccy, zarówno polityczni, jak i kryminalni, bądź „aspołeczni" oraz tzw. „badacze Pisma świętego". O obsadzie funkcji starszego rewiru i blokowych decydował zasadniczo samorząd więźniarski (starszy obozu), przedstawiając odpowiednie propozycje kierownictwu obozu. Ponieważ samorząd więźniarski był w tym czasie obsadzony przez komunistów (*Harry Naujoks*, który żyje obecnie w Hamburgu oraz *Werner Staake*, po wojnie konsul NRD w Polsce), starali się oni w miarę możliwości wpływać na obsadę stanowisk funkcyjnych w „rewirze", kierując tam ludzi uczciwych, o których wiadomo było, że będą się starali ulżyć doli chorych współwięźniów. Kryterium pewnych walorów moralnych, stosowane w doborze personelu szpitalnego, było jedyną możliwą namiastką zupełnego braku przygotowania fachowego.

Sanitariuszy (odpowiednik pielęgniarki zabiegowej) oraz pielęgniarzy dobierali już sami blokowi. Kwalifikowali się oni przeważnie z ozdrowieńców, którzy będąc już w stanie poruszać się o własnych siłach samorzutnie podejmowali opiekę nad ciężko chorymi, pomagali przy zmianie opatrunków, w transporcie chorych, w rozdawaniu leków i innych czynnościach pielęgniarskich. Od blokowego danego bloku szpitalnego zależał więc dobór kandydatów po odpowiedniej ich obserwacji.

Można więc stwierdzić, że postawa blokowe-

---

szy czas na tym stanowisku. Byli to *Hans Fabisch (hauptscharführer SS)* i Rudolf *Ullman (oberscharführer SS)*. Pierwszy spełniał raczej rolę administracyjną, drugi zaś „wsławił" się szczególnie uśmiercaniem więźniów, zwłaszcza jeńców radzieckich, za pomocą dożylnych i dosercowych wstrzykiwań fenolu lub benzyny. *Ullman* popełnił samobójstwo w roku 1946. W sprawie *Fabischa* prokuratura NRF zbiera materiały.

go decydowała o atmosferze panującej w poszczególnych blokach szpitalnych, o stosunku personelu do chorych, o sprawiedliwości w rozdziale jedzenia, o czystości itp. Niestety, nie wszystkie stanowiska funkcyjne były obsadzone przez Judymów. Wspomnieć można choćby przykładowo ambulatorium, mające co prawda bardzo trudne zadanie, ale odpowiedzialny za jego pracę *vorarbeiter* August *Born* (Niemiec „asocjalny") na pewno nie należał do altruistów. Podobnie kryminalista *Otto*, portier szpitala, nie należał, delikatnie określając, do ludzi dobrodusznych. Jednak nawet tam, gdzie obsada pielęgniarska była dobra, możliwości niesienia rzeczywistej pomocy chorym były ograniczone zarówno brakiem dostatecznej wiedzy fachowej u pielęgniarzy-samouków, jak też złym fizycznym i psychicznym stanem chorych kierowanych do szpitala. Zresztą już wspomniany system kwalifikowania chorych do szpitala umożliwiał zasadniczo dostanie się do niego jedynie najciężej chorym, których stan często już z góry przesądzał o ich losie. Ciężkie choroby, jak np. biegunki i zapalenia płuc, nie dające wyraźnych zewnętrznych znamion choroby, były traktowane często przez blokowych lub esesmanów jako symulacja i chorych pędzono do pracy. Część chorych skierowanych już do szpitala trafiała jedynie do ambulatorium, skąd po założeniu opatrunku lub wydaniu tabletek węgla czy aspiryny kierowana była z powrotem na blok lub też do *stehkommanda*.

Szpital składał się w latach 1940—1941 z sześciu baraków, z których zaledwie dwa były do tej funkcji przystosowane, mianowicie tzw. „rewiry" R I (chirurgiczny) oraz R II (wewnętrzny). Pozostałe oddziały mieściły się w zwykłych barakach obozowych. Baraki R I i II były urządzone zupełnie dobrze, zwłaszcza dla zakładanej początkowo liczby 2—3 tysięcy więźniów. Były tam dwie sale operacyjne, pokoje opatrunkowe, gabinet rentgenowski oraz dentystyczny, fizykoterapia, apteka, kuchnia dietetyczna, sale chorych i ambulatorium. Urządzenie wszystkich wymienionych pomieszczeń i ich wyposażenie zupełnie wystarczały. W późniejszych latach dobudowano jeszcze oddzielny budynek, „anatomię patologiczną", z dużą, liczącą około 200 m² powierzchni, kostnicą w podziemiach. Te wzorcowe urządzenia musiały w pierwszej chwili wywierać nawet na więźniach duże wrażenie.

Władcy hitlerowscy, chcąc pokazać dziennikarzom zagranicznym, przedstawicielom państw zaprzyjaźnionych lub wreszcie nawet nieufnym często wyższym oficerom *Wehrmachtu*, jak wbrew „złośliwej propagandzie wrogów hitleryzmu" traktuje się w Niemczech „wrogi element", zawozili ich do Sachsenhausen. Do najbardziej pokazowych obiektów należały właśnie bloki R I i II. Przed taką wizytą oczywiście usuwano wszystkich chorych z ambulatorium, a w całym obozie obowiązywał zakaz opuszczania baraków (*lagersperre*). Zwiedzającym pokazywano wspomniane dwa baraki szpitalne, w których leżeli lżej chorzy (często „prominenci" obozowi). Każdy chory leżał w jednym łóżku, w porządnej pościeli, czyli był to obraz jak w normalnym szpitalu i to wszystko dla wrogów państwa! Ale tego, co się działo dosłownie o dziesięć metrów dalej, w następnych barakach szpitalnych, R III, IV, V i w tzw. *Station E* (stacja końcowa), tego już zadnej grupie zwiedzających nie pokazywano.

Leżeli tam chorzy z ciężkimi rozległymi ropowicami, uogólnionymi „wrzodziankami", odmrożeniami, biegunką i różnymi daleko posuniętymi chorobami. W barakach panował nieopisany zaduch, spowodowany ropą, gnijącym ciałem i wydalinami chorych biegunkowych. Panowało tutaj takie przepełnienie, że w trzypiętrowych łóżkach układano po dwóch, a niekiedy i trzech chorych. Było to następstwem stłoczenia wielkiej liczby chorych wymagających umieszczenia w szpitalu. Dla przykładu można podać, jak wynika, niestety, z nielicznych zachowanych informacji, że np. w dniu 22 lutego 1942 roku przebywało w „rewirze" 1250 chorych na ogólną liczbę 9034 więźniów znajdujących się w tym dniu w obozie. Około 13,5% wszystkich więźniów stanowili więc chorzy i to tylko ci, którzy przebywali w szpitalu. Na dzień 12 marca tegoż roku liczba chorych wzrosła do 1500 osób.

Część chorych stanowili ludzie starsi, chorzy przewlekle, trwale niezdolni do pracy. Umieszczeni w szpitalu, a więc mając dach nad głową i nie będąc narażeni na codzienne szykany obozowe, chorzy ci, mimo że zostawali praktycznie bez leczenia, byli zdolni do wegetacji w warunkach szpitalnych. Ponieważ jednak w myśl ideologii hitlerowskiej byli oni bezproduktywnym ciężarem dla państwa, rozpoczęto „oczyszczanie" szpitala z przewlekle chorych. Pierwszą taką selekcję przeprowadzono w czasie od 4 do 7 czerwca 1942 roku. Wówczas lekarze *SS* wybrali 269 więźniów różnych narodowości, którzy zostali następnie wysłani na „transport S" (akcja „eutanazyjna"). Później akcje takie przeprowadzono jeszcze kilkakrotnie. W selekcji posłużono się także wynikami przeprowadzonej w roku 1942 masowej akcji badań w kierunku gruźlicy płuc, wykonanej za pomocą zdjęć małoobrazkowych u wszystkich więźniów.

Sytuacja w szpitalu uległa znacznemu pogorszeniu w październiku 1941 roku w związku z wybuchem epidemii duru wysypkowego w obozie. Epidemia rozprzestrzeniła się bardzo szybko, ale dopiero pierwsze wypadki zachorowań i zgonów wśród załogi *SS* spowodowały wprowadzenie energicznych środków przeciwdziałania. Zarządzono kwarantannę dla całego obozu. Odwszawianie polegało na gazowaniu kolejno wszystkich baraków mieszkalnych. „Przy okazji" zagazowano na śmierć kilkudziesięciu jeńców radzieckich, wprowadzonych do niewywietrzonego baraku. Zastosowano *lausetto* w impregnacji bielizny i ubrań. Epidemię duru wreszcie zlikwidowano, ale kosztowała ona wiele istnień ludzkich, których liczbę trudno określić.

Odrębny rozdział działalności lekarzy *SS* w Sachsenhausen stanowią różne zbrodnicze doświadczenia wykonywane na więźniach, jak wywoływanie ciężkich zakażeń miejscowych i ogólnych wskutek głębokiego nacinania mięśni ud i podudzi i wprowadzenia do ran zakażonego materiału. Rany zszywano „na głucho" i obserwowano rozwój i przebieg zakażenia oraz efekty działania różnych środków leczniczych. Nadto wywoływano oparzenia różnych części ciała za pomocą środków bojowych, między innymi iperytu, stosując następnie na powstałe oparzenia rozmaite leki. Sprawdzano także czas zadziałania cyjanku potasu zawartego w ampułce rozgryzanej przez więźnia, jak również działanie smiertelnej dawki trucizny znajdującej się w pocisku pistoletowym, który wstrzeliwano w powłoki brzuszne więźnia. Przeprowadzano próby działania nowych „chemicznych" granatów ręcznych i gazów uśmiercających. Na grupie jeńcow radzieckich wypróbowywano czas potrzebny do śmiertelnego zadziałania gazów spalinowych wprowadzonych do szczelnej skrzyni samochodu ciężarowego (tzw. samochód śmierci). Doświadczenia z granatami chemicznymi i samochodami śmierci przeprowadzał na jeńcach radzieckich chemik dr *Herbert Witmann,* skazany po wojnie za te zbrodnie na 3 lata więzienia.

O eksperymentach zbrodniczych dokonanych na dzieciach żydowskich (obywatelach polskich) podał bliższe informacje *Bruno Mayer,* który sprawował opiekę pielęgniarską nad ofiarami tych doświadczeń. Streszczając jego relację, należy podać, że w sierpniu 1943 roku przywieziono z obozu oświęcimskiego do Sachsenhausen ośmioro dzieci żydowskich. Bezpośrednio po przybyciu do obozu umieszczono je w szpitalu obozowym w oddziale R II. Grupę tę izolowano zupełnie od reszty więźniów. Znane są nazwiska tylko trojga spośród tych dzieci. Byli to *Hirsz Litmanowicz* (około 16-letni), Saul *Hornfeld* (około 11-letni) i *Wolf Silberglett* (około 8-letni).

Przeprowadzono na nich doświadczenia polegające najprawdopodobniej na próbie przeszczepienia żółtaczki zakaźnej. Materiał zakaźny podawano im za pomocą wstrzyknięć domięśniowych i przez zgłębnik dwunastniczy do przewodu pokarmowego. W badaniach kontrolnych wykonywano między innymi również nakłucie wątroby. Te zbrodnicze doświadczenia przeprowadził lekarz nie pracujący na terenie obozu. Był nim dr *Arnold Dohmen, stabsarzt Wehrmachtu.* Miał on być rzekomo pracownikiem kliniki uniwersyteckiej w Giesen. Współdziałali z nim w zbrodniczych doświadczeniach naczelny lekarz obozu dr *Heinz Baumkötter* i dr Rudolf *Horstmann.* Tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a zwłaszcza rozwojowi wydarzeń wojennych należy zawdzięczać, że doświadczenia zostały przerwane i żadne z tych dzieci nie zmarło. Wbrew wyraźnym zakazom ze strony *SS* udało się wyprowadzić malców z obozu w czasie ewakuacji i wszyscy oni doczekali wolności.

Oprócz *Baumköttera* (pierwszego lekarza obozowego *SS* w latach 1942—1945) wymienione zbrodnicze doświadczenia wykonywali osobiście lekarze *SS* dr Emil *Schmitz,* dr *Karl Fischer,* dr *Alois Gaberle* i dr *Hattler.* Warto podkreślić, że większość ofiar zbrodniczych doświadczeń (poza młodocianymi Żydami) nie przeżyła obozu. Natomiast spośród wymienionych lekarzy *SS* nawet dwaj najwięksi zbrodniarze, *Baumkötter* i *Schmitz* po kilkuletnim pobycie w więzieniu żyją dziś na wolności w NRF i nadal pracują jako lekarze [5].

Z innych doświadczeń, może mniej groźnych w skutkach, ale na pewno niezgodnych z etyką lekarską należy jeszcze wymienić próby leczenia gruźlicy płuc podawaniem za pomocą inhalacji różnych substancji, próby leczenia kamicy nerkowej metodą tzw. rozpuszczania kamieni i badanie działania środków pobudzających. Te ostatnie badania przeprowadzano na więźniach, przeważnie z kompanii karnej, zatrudnionych przy „badaniu obuwia" w tzw. *Schuhprüfstelle,* jednym z licznych przedsiębiorstw należących do koncernu *SS.* Zajmowało się ono badaniem wytrzymałości różnego rodzaju obuwia, a zwłaszcza zelówek. Więźniowie zatrudnieni przy tym maszerowali w próbowanym obuwiu dookoła placu apelowego po drodze specjalnie zbudowanej uprzednio. Droga ta składała się z wielu odcinków rozmaitej nawierzchni, jak np. tłuczeń, asfalt, beton, błoto i piasek. Maszerujących obciążano cegłami w tornistrach (20—30 kg). Dzienna trasa marszu wynosiła co najmniej 30 km pokonywanych w ciągu 10—12 godzin. Był to więc wysiłek morderczy. Część więźniów z tej grupy lekarze *SS* wybrali jako króliki doświadczalne, podając im środki pobudzające. Po ich zażyciu badani musieli kontynuować marsz w ciągu nocy, przy czym oceniano stopień zwiększenia się ich wydolności fizycznej. Doświadczenia te jednak wkrótce zarzucono prawdopodobnie ze względu na brak dodatnich wyników.

Niezależnie od „nakazanych" doświadczeń lekarze *SS* wyzyskiwali także swoje stanowiska dla wykonywania własnych, nie zlecanych eksperymentów. Np. dr *Ernst Frowein* wyszukiwał więźniów cierpiących na zaburzenia w oddawaniu moczu, przeważnie ludzi starszych i „leczył" ich operacyjnie. Nie analizując przyczyn choroby, ani nie uwzględniając ogólnego stanu chorego, wykonywał on zabiegi polegające na wytwarzaniu dodatkowego pęcherza w wyizolowanej pętli jelitowej. Nie trzeba chyba uzasadniać, że wszystkie te zabiegi skończyły się fatalnie. Także inni lekarze *SS,* jak np. dr *Rindfleisch,* dawali upust swoim wyimaginowanym zdolnościom chirurgicznym, wykazując przy tym brak podstawowych wiadomości w tej dziedzinie, co odbijało się tragicznie na zdrowiu i życiu operowanych więźniów.

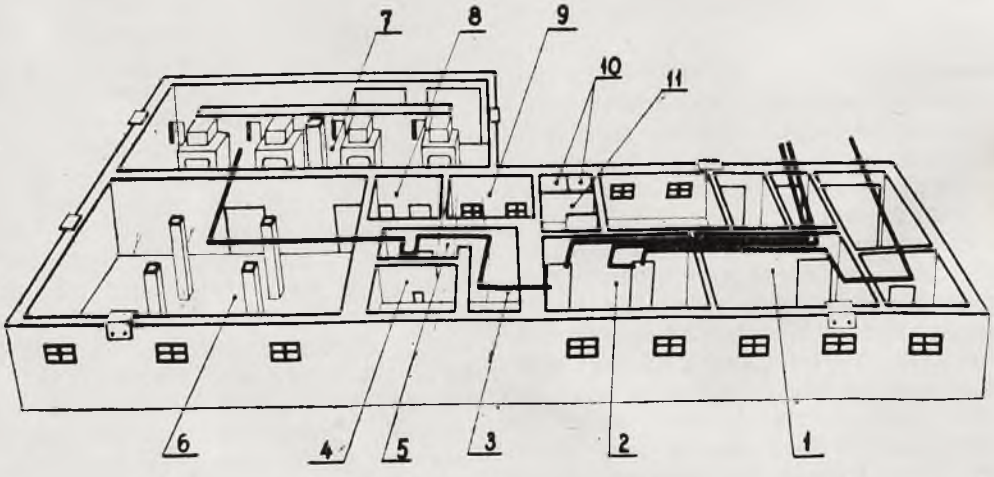
[5] Na końcu artykułu podano informacje o dalszych losach tych zbrodniarzy w związku z procesem oprawców z Sachsenhausen. Dr Arnold *Dohmen* jest poszukiwany przez prokuraturę NRF. Dr Rudolf *Horstmann* zmarł w roku 1945.

Pod koniec roku 1942, a więc w trzecim roku wojny, hitlerowskie Niemcy zaczęły odczuwać coraz bardziej brak siły roboczej. Poszukując dodatkowych rąk do pracy, zwrócono uwagę na rezerwy, jakie stanowili więźniowie obozów koncentracyjnych. Stwierdzono wówczas, że większość ludzi kierowanych do tych obozów staje się nieprzydatna dla produkcji wskutek zgonów. Jest to dosłowne sformułowanie pisma „zarządu gospodarki *SS* w Sachsenhausen" z dnia 28 grudnia 1942 roku (według *SS im Einsatz*, str. 167). W piśmie tym podawano dosłownie, że np. „na 136 tysięcy nowych więźniów skierowanych ostatnio do obozów koncentracyjnych aż 70 tysięcy stało się nieproduktywnymi wskutek zgonu". Pismo, powołując się na osobiste zalecenie *Himmlera*, zaleca komendantom i lekarzom obozów koncentracyjnych podjęcie kroków w celu szybkiego zmniejszenia śmiertelności więźniów, a dzięki temu zwiększenia ich udziału w produkcji zbrojeniowej.

W praktyce nie oznaczało to bynajmniej radykalnej zmiany kursu w stosunku do więźniów, a chodziło tylko o jeszcze większą eksploatację „siły roboczej" i eliminowanie ludzi zniszczonych pracą, niezdolnych do produkcji. Wówczas postanowiono między innymi, aby tę siłę roboczą dodatkowo podtrzymywała pomoc rodzin i zezwolono na otrzymywanie przez więźniów paczek żywnościowych, zresztą w ograniczonej ilości. To był jeden korzystny skutek cytowanego zarządzenia. Nadal bowiem pracowała na pełnych obrotach słynna *Z-Station*, czyli urządzenie do masowego zabijania ludzi. Została ona nawet udoskonalona wbudowaniem komory gazowej. Zresztą większość kierowanych tam skazańców nie była w ogóle ujmowana w ewidencji więźniów. Praca stała się w obozie jeszcze bardziej mordercza; pobudka była o godzinie 4.30, cisza nocna o 22, a czas pracy łącznie z dojściem i powrotem wynosił obecnie 12—14 godzin na dobę. Przybywały stale nowe transporty więźniów z różnych krajów, między innymi Norwedzy, Duńczycy i liczne grupy Francuzów.

Ponieważ każda grupa nowo przybywających więźniów ulegała w pierwszym okresie pobytu w obozie zdziesiątkowaniu (w ciągu 3—6 tygodni „adaptacji" ginęło 30—50% nowo przybyłych), szpital obozowy wykazywał coraz większe zagęszczenie. Niewiele pomogło powiększenie go o dalsze dwa baraki. Wskutek niezwykle brutalnej eksploatacji więźniów stan ich zdrowia i zdolność do pracy gwałtownie się pogarszały. W tej sytuacji szpital obozowy nie był już w stanie sprostać nawet tym prymitywnym zadaniom, które dotychczas spełniał. Wówczas grupa więźniów pracujących w szpitalu (między innymi kolega Kazimierz *Frąckowski* [6]) w porozumieniu z komunistycznym jeszcze wtedy samorządem więźniarskim zaproponowała lekarzom *SS* zatrudnienie w szpitalu lekarzy-więźniów, jak również studentów medycyny. Uzyskano na to zgodę i około 40 lekarzy różnych narodowości rozpoczęło stopniowo pracę w szpitalu oraz w izbach chorych większych filii obozowych. Poprzednio tylko trzech polskich lekarzy-więźniów było zatrudnionych w swoim zawodzie w barakach „izolacji", w których przebywali jeńcy radzieccy. Byli to dr Stanisław *Kelles-Krauz*, dr Mieczysław *Olek* i dr Antoni (?) *Tomicki* z Bydgoszczy. Dr *Tomicki* niestety zmarł na dur

[6] Obecnie doktor medycyny, autor rozprawy doktorskiej pt. Medycyna hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen-Oranienburg. 176-stronicowe maszynopisy, zawierające liczne fotokopie, są dostępne w bibliotekach akademii medycznych (przyp. red.).



Ryc. 3. Schemat tzw. *Z-Station*, odtworzony na podstawie odnalezionych planów. Linie pogrubione oznaczają ostatnią drogę więźniów (począwszy od prawej strony). Urządzenie to przypominało łaźnię i ambulatorium. Droga wiodła od pomieszczenia (1), w którym skazańcy, poinformowani, że idą do łaźni i na badanie lekarskie, musieli rozbierać się do naga, przez pokój pozorowanych badań lekarskich (2) do izby straceń (3). Esesman, ubrany w fartuch lekarski, stawiał więźnia tyłem do ściany (5) pod pozorowanym wzrostomierzem. Wtedy przez wąski otwór w ścianie (4) padał strzał w potylicę, oddany przez esesmana znajdującego się w przyległym pomieszczeniu. Zwłoki rzucano do następnego pomieszczenia (6), skąd transportowano je dalej do krematorium (7). Ten wytwór hitlerowskiej myśli technicznej uwzględniał także sypialnię *SS* (8), świetlicę *SS* (9), ustępy (10) i łazienkę (11)

wysypkowy, którym się zaraził opiekując się jeńcami radzieckimi w czasie epidemii tej choroby.

Dzięki zatrudnieniu lekarzy-więźniów szpital obozowy mógł obecnie już lepiej spełniać zadanie placówki leczniczej, oczywiście w zakresie istniejących możliwości. W dalszym ciągu bowiem odbywały się selekcje przewlekle chorych, nadal też lekarze *SS* przeprowadzali zbrodnicze doświadczenia na ludziach. W jakiś sposób czuli się już jednak skrępowani w swojej działalności obecnością lekarzy-więźniów. Ci podlegali bezpośrednio „starszemu lekarzy-więźniów", którym był więzień polityczny, Niemiec dr *Herman Pistor*. Nikt z nas nie wiedział, za co znalazł się on w obozie, natomiast wiedzieliśmy na pewno, że był nacjonalistą niemieckim. Można mieć zastrzeżenia co do jego działalności politycznej w obozie, ale w stosunku do chorych więźniów był jako lekarz bez zarzutu. Do jego obowiązków należało między innymi przyjmowanie więźniów-lekarzy kierowanych do pracy w „rewirze" i przydzielanie ich na odpowiednie stanowiska w pracy. Lekarze-więźniowie traktowali go z należytym szacunkiem i z ostrożnością. Zresztą współpraca tej międzynarodówki lekarzy w szpitalu układała się doskonale. Nie było też żadnych „zgrzytów" między lekarzami a pozostałym personelem szpitala.

Lekarze reprezentowali prawie wszystkie kraje okupowanej Europy. Stosunkowo liczna była grupa polska, gdyż oprócz wspomnianych już trzech lekarzy należeli do niej doktorzy Zygmunt *Zakrzewski*, Bohdan *Wróblewski*, Antoni *Nowak*, Stanisław *Jodko-Narkiewicz* i dentysta Florian *Małyszczyk*. Poza tym byli tam dwaj Francuzi, dr Emil *Coudert* i dr *Maurice Gallouen*, Czesi dr Antoni *Pirek* i dr *Sotona*, Norwedzy dr *Sven Oftedahl*, dr *Peer Graessli* i dr *Paul Glörsen*, Rosjanie dr *Wachtan Chatsapuritse* i dr *Nikita Szeklakow*, Belg dr Albert *Delanois*, Duńczyk dr *Henri Meyer*, Austriak dr *Willy Lohnsdorf* oraz Niemiec dr *Fritz Busse*. Wspomnieć jeszcze tutaj należy lekarza z Gdyni, dra *Wójcikowskiego*, który niestety nie doczekał możliwości pracy dla swoich w obozie, zmarł bowiem w roku 1940 po kilkumiesięcznym pobycie w Sachsenhausen w szpitalu wskutek ropowicy kończyny. Może by się udało go uratować, gdyby w tym czasie już pracowali w szpitalu lekarze-więźniowie i gdyby sale operacyjne miały taką obsadę, jaką dysponowały w latach 1943—1945.

Dr Emil *Coudert*, znakomity chirurg francuski, stanowił wspólnie z dr Bohdanem *Wróblewskim* obsadę „czystej" sali operacyjnej. Działalnością swoją wykazali oni, że nawet w tych trudnych warunkach można było uratować niejedno życie ludzkie. Podobnie zespół pracujący w sali operacyjnej „septycznej", dr *Willy Lohnsdorf*, dr *Maurice Gallouen* i ówczesny student medycyny, Kazimierz *Frąckowski*, był pełen poświęcenia. Nie baczyli oni na oficjalny czas pracy, aby tylko nadążyć z załatwieniem wszystkich chorych. Był to chyba jeden z odcinków najbardziej przeciążonych pracą, ponieważ choroby ropne, a zwłaszcza ropowice kończyn były szczególnie częste w obozie. Z tego zespołu staruszek dr *Gallouen* nie doczekał wyzwolenia; poszedł na transport do Bergen-Belsen.

Dr Zygmunt *Zakrzewski*, po wojnie profesor Akademii Medycznej w Gdańsku i w Krakowie, cieszył się dużą popularnością wśród chorych i był bardzo ceniony przez kolegów-lekarzy za swój humanitaryzm i głęboką wiedzę. Dr Antoni *Pirek* pozostał nam wszystkim w pamięci jako człowiek niezwykłej pogody ducha, umiejący podtrzymać dobry nastrój nie tylko wśród swoich chorych, lecz także wśród zdrowych współwięźniów. Jego rodak dr *Sotona* prowadził laboratorium analityczne.

Prawdziwie międzynarodowy zespół stanowili interniści, dwaj Norwedzy *Oftedahl* i *Graessli*, Rosjanin *Chatsapuritse*, Belg *Delanois* i Polak *Olek*. Z zespołem tym byłem najbardziej związany, ponieważ pracowałem jako sanitariusz w oddziale wewnętrznym. Obydwaj Norwedzy, dysponujący największym stażem i doświadczeniem, byli trzonem tego zespołu. *Graessli*, pozornie bardzo spokojny i opanowany, pracował niezmordowanie na oddziale przez cały dzień, a nierzadko też w nocy. Niezwykle dokładny w pracy, nie zaniechał żadnej próby ratowania chorego. Tylko ci, którzy go bliżej znali, wiedzieli, jak wyjątkowo silnie przeżywał tragiczną rzeczywistość obozową, każdą publiczną egzekucję, każdy zgon zmaltretowanego więźnia. Niewątpliwie te ciężkie przeżycia obozowe stały się przyczyną choroby (złośliwe nadciśnienie), która już po oswobodzeniu położyła kres życia dra *Graessli* w drodze do rodzinnej Norwegii.

O dużej śmiertelności byłych więźniów nawet już po wyjściu z obozu świadczy najwymowniej fakt, że spośród 22 lekarzy-więźniów jedna trzecia, tzn. siedmiu, zmarła po wojnie, przeważnie w ciągu pierwszych lat po wyzwoleniu (*Graessli, Kelles-Krauz, Oftedahl, Pirek, Pistor, Sotona, Zakrzewski*).

Dr *Sven Oftedahl*, socjalista, „urodzony" społecznik, reagował zupełnie inaczej niż jego rodak i przyjaciel *Graessli* na rzeczywistość obozową. Starał się on wszelkimi sposobami, nie tylko działalnością ściśle lekarską, łagodzić skutki bestialstwa i brutalności *SS*. Mimo dużego obciążenia pracą w szpitalu, która go zresztą pasjonowała, potrafił zawsze znaleźć jeszcze czas na kontakty ze swoimi rodakami w obozie, dla których był ogromnym autorytetem. Nawiązał też bardzo szybko łączność z nielegalną „przywódczą" grupą więźniów politycznych, przeważnie komunistów różnych narodowości, która różnymi sposobami starała się przeciwdziałać eksterminacji więźniów, między innymi przez organizowanie akcji samopomocowych. Współpracując z nimi, *Oftedahl* był współinicjatorem akcji solidarności, świadczonych między innymi przez Norwegów i Duńczyków na rzecz współwięźniów innych

narodowości, zwłaszcza Polaków, Rosjan i Francuzów. Skandynawowie byli w nieco lepszej sytuacji niż reszta więźniów, gdyż otrzymywali regularnie duże paczki od Duńskiego Czerwonego Krzyża, a nadto przesyłki zbiorowe z lekami i tran. Nie trzeba chyba nadmieniać, że wszelkie akcje solidarnościowe, realizowane także już uprzednio przez grupę więźniów-komunistów, esesowcy zwalczali ze zrozumiałych względów, a ich organizatorów surowo karali. Dlatego musiały być one przeprowadzane w ścisłej konspiracji. Dr *Oftedahl*, jeden z łączników takich akcji, był jak gdyby pełnomocnikiem Norwegów i Duńczyków, między innymi w celu urzeczywistnienia i sprawiedliwego rozdziału tej pomocy.

Ukoronowaniem działalności dra *Oftedahla* było zorganizowanie krwiodawstwa wśród więźniów. Możliwości stosowania przetaczań krwi były oczywiście bardzo ograniczone znikomą liczbą więźniów nadających się na krwiodawców, a i tak na pewno według normalnie obowiązujących zasad kwalifikowania krwiodawców większość dawców-więźniów zostałaby zdyskwalifikowana. Mimo wszystko dr *Oftedahl* nie zrezygnował z akcji krwiodawstwa i to chyba najlepiej charakteryzuje postać tego wyjątkowego lekarza, podejmowanie każdej próby, nawet pozornie niemożliwej do wykonania, w celu ratowania życia ludzkiego niezależnie od warunków.

Krwiodawstwo to było jakby wyzwaniem rzuconym przez *Oftedahla* lekarzom *SS*, którzy w istocie przestali już być lekarzami, a pozostali tylko oficerami *SS* i mordercami. Ten bohaterski więzień przeprowadzał bowiem swą akcję wtedy, kiedy *hauptsturmführer SS*, dr *Baumkötter* asystował jako lekarz przy masowym mordowaniu jeńców radzieckich lub przy uśmiercaniu uprzednio przez siebie wyselekcjonowanych chorych i starych więźniów w komorach gazowych, wpisując w ich aktach zgonu „niedomoga krążenia", a jego podwładny, *obersturmführer SS*, dr Emil *Schmitz* przeprowadzał zbrodnicze doświadczenia na bezbronnych więźniach.

Zarejestrowanych krwiodawców było około 100. W większości byli to Norwedzy, których *Oftedahl* przede wszystkim werbował jako stosunkowo najlepiej odżywionych. Krwiodawcami byli także przedstawiciele innych narodowości, między innymi Polacy i więźniowie niemieccy, w tym część personelu szpitalnego. Przywilejem, z jakiego korzystali krwiodawcy, była dodatkowa porcja zupy oraz dzień zwolnienia z pracy. Największy egzamin zdało krwiodawstwo w czasie ratowania kolegów rannych podczas nalotów na zakłady zbrojeniowe, położone tuż przy obozie, bądź też na filie obozowe. Pierwszy taki nalot przeżyliśmy 22 marca 1944 roku. Następny był skierowany na zakłady lotnicze *Heinkla* (19 kwietnia 1944 roku) i spowodował śmierć lub spalenie żywcem około 230 więźniów. Wreszcie w ostatnim nalocie, tj. 10 kwietnia 1945 roku znalazło śmierć w tzw. *Klinkerwerk* 250 więźniów. Oczywiście wielokrotnie więcej było ciężko rannych, którzy trafili do szpitala obozowego.

Oprócz wskazań do natychmiastowego przetoczenia krwi wykonywano te zabiegi także w poszczególnych przypadkach ze wskazań internistycznych. Na uwagę zasługuje, że na kilkadziesiąt przetaczań przeprowadzonych ogółem nie obserwowaliśmy żadnego poważniejszego odczynu poprzetoczeniowego. O skuteczności przetaczania krwi w obozie świadczy fakt, że niejeden z byłych więźniów Sachsenhausen mógł wrócić do swoich dzięki krwi ofiarowanej mu przez nieznajomego towarzysza niedoli.

Bardzo chlubną kartę w dziejach szpitala obozowego w Sachsenhausen zapisała także większość więźniów-nielekarzy w „rewirze". Od ich ludzkiej uczciwości zależały często losy chorych znajdujących się pod ich opieką. Było to ważne zwłaszcza w tym okresie, kiedy nie było jeszcze więźniów-lekarzy. Nie sposób tutaj wymienić wszystkich, którzy swoją pracą i serdecznością zasłużyli sobie na najwyższe uznanie i wdzięczność współwięźniów. Z Polaków przykładowo można wymienić kolegów Kazimierza *Frąckowskiego*, Zenona *Szeląga*, Wacława *Musiała*, Brunona *Smola*, Tadeusza *Zycha*, Bernarda *Domżalskiego*, kolegów czeskich Rostisława *Balastika* (popularnego „Benesza"), *Jurija Skoumala, Honsę Skorpika*, Norwegów *Peer Rotha, Rolfa Skauge, Karstena Pettersena*, Luksemburczyka *René Trauflera* i wielu innych.

W „rewirze" pracowała także grupa więźniów niemieckich, która od razu wyraźnie odróżniała się od większości dotychczas przez nas poznanych ich rodaków w pasiakach. Byli to komuniści niemieccy, mający za sobą wielokrotne i długoterminowe kary więzienia za działalność polityczną. Więźniowie ci, skierowani do obozu jako „niepoprawni", byli tacy rzeczywiście i nawet tutaj, w Sachsenhausen nie zaniechali swej działalności polegającej na umiejętnym wpływaniu na otoczenie osobistym przykładem, który pozwolił nam, obcokrajowcom uwierzyć, że zdarzali się wśród Niemców zdecydowani, uczynni przeciwnicy „nowego porządku" faszystowskiego. W obozie występowali oni jako inicjatorzy akcji solidarnościowych, służących zwłaszcza więźniom obcych narodowości.

Szpital obozowy w Sachsenhausen stanowił jedno z głównych ogniw tej międzynarodowej solidarności. Tutaj zbiegało się wiele nici konspiracyjnych. Urządzając tajne zebrania przedstawicieli różnych narodowości korzystano często z oddziału zakaźnego, którego esesowcy unikali w obawie przed zachorowaniem. Kierownictwo obozu zdawało sobie sprawę z istnienia nielegalnej działalności więźniów. Z Berlina przybyła „komisja specjalna" w celu wykrycia organizacji ruchu oporu w obozie. Swoją działalność komisja ta oparła głównie na materiałach dostarczonych przez donosicieli werbowanych wśród więźniów. Donosiciele

ci z przestępcami kryminalnymi na czele wywodzili się z różnych środowisk więźniarskich. Jednym z konfidentów był blokowy z oddziału gruźlicy, niemiecki kryminalista *Willy Thierhof*. Po dochodzeniach, których długotrwałość dowodziła dobrej konspiracji, zwolniono prawie wszystkich komunistów z funkcji pełnionych w samorządzie więźniów. Dwudziestu czterech rozstrzelano (11 października 1944 roku), między innymi „starszego rewiru", *Hansa Rothbartha*, a 103 Niemców, Francuzów, Czechów, Luksemburczyków i jeńców radzieckich wysłano karnym transportem do kamieniołomów w Mauthausen. Ze szpitala byli wśród nich *Bruno Leuschner, Willy Kling, Helmuth Welz*.

Niepowetowaną stratą było odejście *Klinga*. Zawsze bardzo niepozorny i skromny, pracował on w kancelarii szpitala i to w tej części, która zajmowała się wyłącznie wypisywaniem i zbiorczym zestawieniem aktów zgonu. Prawie przez dwa lata *Kling* wykonywał dodatkową kopię z takiego zestawienia, przygotowując materiał dowodowy zbrodni hitlerowskich. Te swoje tajne zbiory przechowywał w pustej trumnie w kostnicy. W chwili gdy został zabrany przez gestapo, jego archiwum wypełniało już prawie całą trumnę. Byłby to bezcenny materiał źródłowy z obozu w Sachsenhausen tym bardziej, że całą dokumentację obozu zniszczono na dwa miesiące przed końcem wojny. Niestety, po odejściu *Klinga*, z obawy przed szalejącym terrorem „sonderkomisji", a zwłaszcza ze względu na działalność donosicieli trzeba było zawartość trumny spalić i to przy zachowaniu szczególnej ostrożności.

Człowiekiem, który także był może mniej znany szerokiemu ogółowi więźniów, a ma piękną kartę z czasów obozowych, był komunista niemiecki *Hans Rosenberg*. On to jako „pomocnik aptekarski" sobie tylko wiadomymi sposobami zdobywał dla obozu wiele trudno dostępnych w Niemczech leków i sprzęt medyczny w ilościach znacznie przekraczających normy przewidziane przez *SS* dla obozów koncentracyjnych, zwłaszcza w warunkach wojennych. Właśnie dzięki jego działalności mógł dr *Kelles-Krauz* stwierdzić w swoich wspomnieniach obozowych, że otrzymywał odpowiednią ilość leków, środków opatrunkowych itp., między innymi dla jeńców radzieckich [7]. Tylko nieliczni wtajemniczeni wiedzieli jednak, że część tych leków, zwłaszcza ściśle reglamentowanych, trafiała do obozu, mimo że oficjalnie figurowała w zapotrzebowaniu i przychodzie frontowych jednostek *SS*.

Wśród Polaków szczególnie popularny był komunista niemiecki *Franz Cyranek*. Jako Ślązak z Raciborza dobrze władał językiem polskim, najwięcej też serca i pomocy udzielał Słowianom. Pracował on w gabinecie radiologicznym i tę swoją działalność przypłacił ciężkimi zmianami popromiennymi, z których powodu jest dziś zupełnym inwalidą. Był zawsze bezkompromisowy w stosunku do lekarzy *SS*, gotów do wszelkiej, najbardziej ryzykownej pomocy dla każdego współwięźnia. Nawet jeszcze po wyzwoleniu uległ wypadkowi i złamał obie kończyny w czasie wyprawy po protezy dla leżącego w szpitalu beznogiego Polaka.

W miarę zbliżania się ofensywy radzieckiej życie w obozie stawało się coraz trudniejsze, nie tyle ze względu na drastyczne zmniejszenie już i tak głodowych racji żywnościowych oraz przerw w dostawie wody, groźnych z uwagi na niebezpieczeństwo wybuchu epidemii, ile z powodu gwałtownego nasilania się akcji eksterminacyjnych w stosunku do różnych grup więźniarskich. Objęły one więźniów różnych narodowości, między innymi policjantów luksemburskich, angielskich jeńców wojennych i oficerów radzieckich rozstrzeliwanych w obozie. Usuwając niewygodnych lub zbyt wiele wiedzących świadków, zlikwidowano także część donosicieli.

Od stycznia 1945 roku zaczęły odchodzić transporty „ewakuacyjne" (transporty śmierci) do Bergen-Belsen, później także transporty ewakuacyjne do Dachau i Dory (Nordhausen). Ogółem wysłano z obozu w ciągu trzech pierwszych miesięcy 1945 roku około 20 tysięcy ludzi. Natomiast do Sachsenhausen nadchodziły transporty więźniów z ewakuowanych obozów na wschodzie Europy. Transporty te (styczeń i luty 1945 roku) szły w zamkniętych wagonach towarowych i trwały często wiele dni ze względu na przeciążenie wschodnich linii kolejowych. Wskutek tego na stację w Sachsenhausen przychodziły wagony z setkami zamarzniętych zwłok. Niedobitki, które przetrwały mróz i głód, były kierowane bezpośrednio do komór gazowych, a tylko nieliczni do szpitala obozowego.

W nocy z 20 na 21 kwietnia 1945 roku rozpoczęła się ewakuacja obozu. Znajdowało się tam wówczas jeszcze około 36 tysięcy więźniów, w tym także kobiety skierowane w ostatnich dniach z innych obozów. Rozkaz *Himmlera* polecał komendantowi zniszczenie całego obozu wraz z więźniami, było to jednak — jak zeznał na procesie oprawców z Sachsenhausen komendant obozu, *Kaindl* — „niemożliwe ze względów technicznych". Z tego też powodu nie można było wykonać drugiej wersji rozkazu *Himmlera*, mianowicie przetransportowania więźniów na barkach rzecznych kanałami do morza i zatopienia ich na pełnym morzu. Było to niewykonalne, ponieważ „niemożliwością było zorganizowanie w krótkim czasie tak dużej liczby barek rzecznych" (według *SS im Einsatz*, s. 199—201). Ewakuacja około 300 tysięcy więźniów odbywała się więc pieszo w kierunku Bałtyku. Kosztowała ona jeszcze w ostatnich dniach wojny setki istnień ludzkich [8].

W obozie pozostało około 4,5 tysiąca cho-

[7] S. *Kelles-Krauz:* Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 89.

[8] Por. artykuł S. *Głowy:* Ewakuacja obozu w Sachsenhausen. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 171 i następne.

rych więźniów, którzy zgodnie z planami *SS* mieli zostać zniszczeni przez spalenie całego obozu (według zeznań komendanta *Kaindla*). Nadspodziewanie szybki rozwój ofensywy radzieckiej unicestwił te zamiary, gdyż już w kilkanaście godzin po wyjściu ostatniej grupy ewakuacyjnej, tzn. 22 kwietnia około godziny 11, obóz został wyzwolony przez jednostkę radziecką, w skład której wchodzili także żołnierze polscy.

*

W dniach od 28 października do 1 listopada 1948 roku toczył sie przed trybunałem grupy radzieckich wojsk okupacyjnych w Niemczech proces przeciw byłemu kierownictwu i funkcjonariuszom obozu koncentracyjnego Sachsenhausen [9]. Przed sadem stanęło 16 oskarżonych, mianowicie były komendant obozu, *Kaindl*, kierownicy obozu, *Höhn* i *Körner*, kierownik „bunkra" (*Zellenbau*), *Eccarius*, naczelny lekarz obozu dr *Baumkötter*, kierownik zatrudnienia (*Arbeitseinsatz*) *Rehn*, kierownik podobozu *Klinkenwerk*, *Fresemann*, *rapportführer Sorge* (zwany *Eiserner Gustaw*), *blockführerzy Schubert*, *Knittler*, *Ficker*, *Saathoff* i *Hempel*, kierownik działu „badania obuwia" (*Schuhprüfstelle*) *Brennscheidt* oraz dwaj byli więźniowie-Niemcy, kat obozowy *Sakowski* i pracownik krematorium *Zander*.

Przewód sądowy na podstawie bardzo obszernego materiału dowodowego, zeznań świadków, a także w oparciu o bezczelnie szczere i obszerne wyjaśnienia samych oskarżonych wykazał ponad wszelka wątpliwość ogrom zbrodniczej działalności wszystkich oskarżonych. Na tej podstawie 13 oprawców skazano na dożywotnie ciężkie roboty, a pozostałych trzech, tj. *Brennscheidta*, *Sakowskiego* i *Zandera* na kary 15 lat ciężkich robót. W czasie odbywania kary w Workucie zmarli *Kaindl*, *Körner*, *Fresemann*, *Ficker* i *Saathoff*. Pozostali skazani w procesie Sachsenhausen zostali przed około 10 laty w okresie repatriacji jeńców wojennych przekazani władzom niemieckim w celu dalszego odbywania kary. Mimo orzeczonych przez radziecki trybunał wojskowy kar dożywotniego więzienia zostali oni jednak zwolnieni. Dopiero później pod presją opinii publicznej niektórych ponownie postawiono przed sądami niemieckimi.

W wyniku tych procesów trzej z nich, mianowicie *Sorge*, *Höhn* i *Schubert* zostali skazani ponownie na kary dożywotniego więzienia. Z pozostałych *Hempel* został skazany na 5 lat więzienia, dr *Baumkötter* na 8 lat więzienia, a *Eccarius* na 4 lata więzienia i to za udowodnione rozstrzeliwanie więźniów już podczas ewakuacji obozu. *Knittler* popełnił samobójstwo w więzieniu w Bonn (w roku 1953). Przeciwko *Rehnowi* i *Brennscheidtowi* nie wszczęto w ogóle ponownego postępowania karnego.

Obersturmführer SS dr *Josef Hattler* poległ w roku 1944 na froncie radzieckim. *Hauptsturmführer SS* dr *Ernst Frowein* zmarł w więzieniu w roku 1946. *Untersturmführer SS* dr Emil *Schmitz* wyszedł na wolność po kilkuletnim pobycie w więzieniu. *Obersturmführer SS* dr *Alois Gaberle* został skazany na 3 lata i 3 miesiące więzienia.

Lekarz-więzień Herman *Pistor* zmarł po wojnie.

*

Obecnie na terenie byłego obozu w Sachsenhausen, przez który przeszło około 200 tysięcy ludzi, wśród nich zaś około 60 tysiecy Polaków [10], założono monumentalny pomnik przestrogi jako zbiorowa mogiłę dla 100 tysięcy więźniów, którzy tutaj zginęli. „Zmarłym na chwałę, a żywym ku przestrodze".

[9] Informacje dotyczące procesu pochodzą ze sprawozdania z rozprawy sądowej, zatytułowanego *Todeslager Sachsenhausen* (SWA-Verlag, Berlin 1948).

[10] Według G. *Zycha* (Oranienburg — rachunek pamięci. Książka i Wiedza, 1962).

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Zbrodnicze doświadczenia z zakresu gruźlicy w Neuengamme

Działalność Kurta Heissmeyera

Nazwisko dra Kurta *Heissmeyera* wpisano w roku 1945 na listę zbrodniarzy wojennych. W rejestrze oskarżonych przez Narody Zjednoczone otrzymał on numer 451 i był zanotowany w części pierwszej. Dopiero po wielu latach, w dniu 13 grudnia 1963 roku aresztowano go w Magdeburgu (NRD) przy ul. Gellerta 12. Śledztwo trwało przeszło dwa i pół roku. Na mocy wyroku Okręgowego Sądu w Magdeburgu z dnia 30 czerwca 1966 roku *Heissmeyer* został skazany na dożywotnie więzienie, dożywotnią utratę praw honorowych i obywatelskich oraz pokrycie kosztów przewodu sądowego.

Życiorys dra Kurta *Heissmeyera*, urodzonego w Lammspringe 26 grudnia 1905 roku, specjalisty w zakresie chorób płucnych i wewnętrznych, jest charakterystyczny dla zbrod-

niczej ideologii, którą on wyznawał. Wywodził się z rodziny lekarza powiatowego. W domu był wychowywany w duchu narodowosocjalistycznym. Ideałem jego ojca było dążenie do wielkiego niemieckiego cesarstwa. Po uzyskaniu egzaminu dojrzałości *Heissmeyer* studiował medycynę w różnych uniwersytetach niemieckich. Studia skończył w roku 1932 we Fryburgu, gdzie też został promowany na doktora medycyny. W czasie studiów uniwersyteckich należał do młodzieżowej korporacji „Arminia" w Marburgu. Młody *Heissmeyer* uznawał i aktywnie popierał nacjonalistyczne kierunki tej organizacji.

Po obowiązującym rocznym stażu asystenckim, rozpoczętym w Niemczech, a ukończonym w roku 1933 w Szwajcarii, *Heissmeyer* został wyzwolony jako lekarz. W zakładach leczniczych „Augusta-Viktoria" w Hohenlychen uzyskał pracę lekarza asystenta specjalizującego się w zakresie chorób wewnętrznych i płucnych. W zakładach tych pozostawał w latach 1934—1945. W roku 1938 był już naczelnym lekarzem chorób płucnych w tym zespole sanatoryjnym. Stanowisko to utrzymał do roku 1945.

W latach wojny zespół sanatoryjny Hohenlychen był do roku 1942 szpitalem *Wehrmachtu*, po czym został przejęty przez *SS*. *Heissmeyer* pełnił funkcje lekarza *Wehrmachtu* w latach 1939—1943 w randze *sonderführera*. Zespołem leczniczym w Hochenlychen kierował od roku 1935 prof. dr *Karl Gebhardt*, „najwyższy klinicysta *SS*" (*Oberste Kliniker der SS*), *SS-gruppenführer*. U niego *Heissmeyer* uczył się specjalizacji w zawodzie lekarskim. Praca w Hohenlychen dawała mu ponadto możność częstego kontaktowania się z czołowymi osobistościami medycznego kierownictwa *SS*. Nazwiska ich poznaliśmy, gdyż stały się głośne w latach 1946 i 1947 w procesach o zbrodnie przeciw ludzkości. *Heissmeyer* kontaktował się więc w Hohenlychen z drem *Contim*, kierownikiem lekarzy Rzeszy i sekretarzem stanu w sprawach zdrowia, z drem *Grawitzem*, lekarzem Rzeszy *SS*, osławionym lekarzem obozów koncentracyjnych *Fritzem Fischerem*, z czynną do dzisiaj zawodowo w Niemczech Zachodnich lekarką z Ravensbrück, *Hertą Oberhäuser*, z drem *Stumpfeggerem* i innymi. W Hohenlychen *Heissmeyer* poznał także kierowników niemieckiego faszyzmu, którzy często wizytowali tamtejsze zakłady. Byli tam między innymi zastępca *führera*, *Rudolf Hess*, *Goebbels*, *Speer*, *Tschammer-Osten*, którego wpływom *Heissmeyer* specjalnie ulegał.

Wychowanie rodzinne i wpływ głównych przedstawicieli reżimu faszystowskiego ugruntowały w *Heissmeyerze* przemyślane idee faszystowskie. W roku 1937 został on członkiem *NSDAP*. Ułatwiły mu to rodzinne powiązania z *Oswaldem Pohlem*, *SS-obergruppenführerem* (generałem broni w *SS*), szefem Głównego Urzędu Gospodarczego *SS*, zasądzonym i powieszonym po wojnie zbrodniarzem wojennym. Dowodem bliskich stosunków z nim i wzajemnych powiązań może być porcelanowy talerz z adnotacją, który otrzymała rodzina *Heissmeyera*. Jego stryjem był *August Heissmeyer*, *SS-obergruppenführer*, żonaty z *Scholz-Klink*, przywódczynią kobiet Rzeszy (*Reichsfrauenführerin*).

Kurtowi Heissmeyerowi imponowały osiągnięcia zbrojne *führera*, pochwalał teorię rasizmu i opartą na niej politykę ludobójstwa w stosunku do Żydów i Słowian, zgadzał się z systemem obozów koncentracyjnych. Na lekarsko-faszystowskim odcinku pracy *Heissmeyer* ujawnił w rzekomonaukowych doniesieniach swoje ideologiczne *credo*. W swoich pracach opublikowanych w latach 1938—1943 pod tytułami „*Ein Selbstversuch*" (Samodoświadczenie), „*Grundsätzliches über Gegenwarts- und Zukunftsaufgaben der Lungenheilstätte*" (Podstawowe zagadnienia obecnych i przyszłych sanatoriów płucnych) oraz w obszernym opracowaniu na temat „*Erschöpfungstheorie*" (Teoria wyczerpania) *Heissmeyer* propagował jako zasadnicze zagadnienie w zwalczaniu gruźlicy rasistowską ideologię hitlerowską. Gruźlicę określał jako zjawisko zbawcze (*Ausleseerscheinung*) i stawiał przy tym bezprzykładne i nieludzkie żądania, aby w przyjęciach do sanatoriów i w leczeniu chorych na gruźlicę kierowano się przesłankami rasistowskimi, a nie względami humanitarnymi.

Znamienne jest ideologiczne stanowisko *Heissmeyera*, wyrażone w ostatniej z wymienionych prac, a odnoszące się do leczenia tzw. asocjalnych chorych na gruźlicę. Mianowicie, jego zdaniem, „rasowo mniej wartościowi chorzy mogą najwyżej przechodzić skróconą kurację tylko dla celów dydaktycznych", natomiast „chorzy mający znaczenie dla podtrzymania narodu i rasy winni być uprzywilejowani w przyjęciach do zakładów leczniczych". Aktualny stan narządów chorego musi być oceniany z punktu widzenia jego wartości rasowej. *Heissmeyer* uważa, iż „medycynę należy włączyć w służbę niszczenia ludzi, nie należy bowiem dopuścić do zakładów leczniczych rasowo mniej wartościowych, by nie przedłużać życia osób niepożądanych przez państwo". Według niego celem zakładów chorych na płuca jest między innymi leczenie w nich chorych wybranych z punktu widzenia rasistowskiego, a nie zabezpieczenie leczenia „rasowo mniej wartościowych". W przyszłości należy zrezygnować ze zwierząt w pracach badawczych nad gruźlicą, natomiast należy przedsiębrać konieczne eksperymenty na ludziach. Zgodnie ze światopoglądową teorią o narodzie i rasie niedopuszczalne jest sprowadzanie ludzkiej gruźlicy do doświadczeń na zwierzętach, ponieważ wtedy „konstytucja zwierzęcia byłaby zrównana z ludzką". Leczenie gruźlicy u więźniów i u deportowanych w obozach koncentracyjnych musi być całkiem inaczej ustawione, gdyż chodzi tu o szkodników narodu. Przymusowa izolacja elementów asocjalnych musi mieć charakter przedsię-

wzięcia prawno-karnego, służącego wytępieniu i odstraszeniu.

Przedstawione w skrócie ideowo-lekarskie poglądy *Heissmeyera* są w pełni zgodne ze znanymi przesłankami tych lekarzy hitlerowskich, którzy się znaleźli na ławie oskarżonych przed trybunałem wojskowym sprzymierzonych w Norymberdze. Stanowią one dalszy ciąg „nieludzkiej medycyny". Są w pełni sprzeczne z obowiązującymi nawet oficjalnie w hitlerowskich Niemczech przepisami prawnymi, podstawowymi zasadami etyki lekarskiej i oficjalnymi poglądami. Na przykład w tych samych Niemczech pismo okólne ministra spraw wewnętrznych Rzeszy z dnia 18 lutego 1931 roku na temat stosowania nowych metod leczenia i przedsiębrania naukowych doświadczeń na człowieku określało stanowczo, że „nowe metody leczenia muszą być zgodne z podstawami etyki lekarskiej i z obowiązującymi zasadami sztuki i wiedzy lekarskiej. Nowa metoda lecznicza może być więc tylko wtedy zastosowana, jeśli uprzednio, gdy to tylko było możliwe, została wypróbowana na zwierzęciu i jeśli dana osoba wyraziła zgodę na doświadczenie. Szczególną ostrożność należy zachować przy użyciu żywych bakterii. Doświadczenia na dzieciach lub młodocianych są niedozwolone, jeśliby choć w najmniejszym stopniu mogły być niebezpieczne. Doświadczenia na umierających są zasadniczo niedopuszczalne jako niezgodne z etyką lekarską". Tych podstawowych, ogólnie przyjętych zasad *Heissmeyer* uczył się w czasie studiów uniwersyteckich. Dotychczas zresztą istnieje zgodność przekonań, że doświadczenia z prątkiem gruźlicy wprowadzanym do ustroju zwierzęcia dają pełne i pewne wyniki, a ostrożnie wysnuwane z nich wnioski stanowią w dalszym ciągu podstawę do efektywnego zwalczania gruźlicy u ludzi.

Cytowane poglądy *Heissmeyera* tłumaczą nam dalsze jego postępowanie.

Z początkiem roku 1944 w sanatorium *SS* w Hochenlychen odbyło się spotkanie lekarzy-kierowników. W zebraniu tym oprócz *Heissmeyera* uczestniczyli między innymi *Gebhardt, Conti* i *Grawitz*. Rozmowy przybrały charakter wieczornej pogawędki w kasynie, która zeszła na temat możliwości efektywniejszego zwalczania gruźlicy. *Heissmeyer* wspomniał wówczas o metodzie austriackich badaczy-ftyzjatrów *Kutschera-Aichbergena,* według której przez dodatkowe wywołanie gruźlicy skóry miała się rzekomo poprawiać ogólna odporność ustroju. Wiadomo jednak, iż interesujący się tym spostrzeżeniem naukowy świat lekarski zaniechał już uprzednio, tj. przed rokiem 1944, tej metody jako nieskutecznej i ryzykownej. *Heissmeyer* nie wierzył osobiście w możliwość takiego uodpornienia, ponieważ, jak wynika z jego własnych poglądów, gruźlica u dorosłych nie miałaby być chorobą zakaźną. Eksperyment ten zainteresował go jednak. Zapragnął przy tej okazji zbadać dotychczasowe poglądy na powstawanie gruźlicy, by swoje własne spostrzeżenia podbudować naukowo.

Towarzyska rozmowa przy piwie ze wspomnianymi lekarzami *SS* oraz zachęta z ich strony wystarczyły *Heissmeyerowi*, aby postanowić wykonanie odpowiednich eksperymentów na więźniach obozu koncentracyjnego, którzy by zostali oddani do jego dyspozycji. Do wykonywania doświadczeń *Heissmeyer* nie miał ani koniecznego wyszkolenia, ani nie był teoretycznie przygotowany. Nie przestudiował nawet poważniejszego piśmiennictwa, ani nie pogłębił swojej wiedzy, by przekonać się, że jego własne teorie na temat powstawania i zwalczania gruźlicy nie znajdują żadnego naukowego potwierdzenia. Eksperci w zwalczaniu gruźlicy, przełożeni *Heissmeyera*, którzy zapoznali się uprzednio z jego „teorią wyczerpania", jak np. radca sanitarny dr Gustaw *Baer*, badacz zagadnień konstytucyjnych prof. dr Kurt *Klare* i specjalista chorób płucnych prof. dr *Gebhardt* zwracali jego uwagę na niebezpieczeństwo twierdzenia o rzekomej niezakaźności gruźlicy. Prof. dr *Klare* wyraził swoją opinię na temat poglądów *Heissmeyera* w piśmie z dnia 21 grudnia 1938 roku, odrzucając je i uznając za „niezwykle niebezpieczne". Ambicja zyskania sobie sławy naukowca przy faszystowskim sposobie myślenia popchnęła *Heissmeyera* na drogę zbrodni. Dokonał jej na więźniach obozu koncentracyjnego, których jako „ludzi drugiej klasy" uznał za zwierzęta doświadczalne.

Heissmeyer częściowo odrzucił wyniki badań austriackich badaczy *Kutschery* i *Aichbergena*. Zamierzał wypróbować 1) czy dorośli chorzy na gruźlice mogą być wyleczeni przez podanie im zjadliwych prątków Kocha i czy można będzie wykazać tworzenie się u nich ciał odpornościowych, 2) czy dzieci z ujemnym odczynem tuberkulinowym wskutek wstrzyknięcia takiej „surowicy" (*Serum*) zostaną uodpornione na zakażenie gruźlica i 3) czy dzieci z dodatnim odczynem tuberkulinowym są odporne wobec nowego zakażenia zjadliwymi pratkami Kocha.

Warto dodać, że badacze austriaccy *Kutschera* i *Aichbergen* w swoich publikacjach przestrzegali przed doświadczeniami na ludziach. Stanowczo sprzeciwiali się zakażeniu dzieci zjadliwymi pratkami Kocha, gdyż brali pod uwagę znacznie większą podatność na gruźlicę u dzieci.

Dostępne w· owym czasie piśmiennictwo światowe z zakresu gruźlicy właśnie na podstawie prac *Kutschery* i *Aichbergena* pozwalało przekonać się, że leczenie gruźlicy metodą obraną przez *Heissmeyera* jest z założenia niesłuszne i nie prowadzi do celu. Przy istniejącej gruźlicy dalsze sztuczne dokażanie nia chorego ustroju jest bowiem bardzo niebezpieczne. Okoliczności te jednak nie były argumentami przy esesowsko-lekarskim sposobie myślenia *Heissmeyera*. Jego stosunek do więźniów obozów koncentracyjnych był jednoznaczny. Nie chodziło o wyleczenie więźnia poddanego doświadczeniu, ale o wykazanie, że własna rze-

komonaukowa „teoria wyczerpania" zostanie potwierdzona. Planując doświadczenia, *Heissmeyer* z góry liczył się z ujemnym wynikiem swoich zabiegów i w następstwie z możliwością śmierci więźniów oddanych mu do dyspozycji. Znał stosunki panujące w obozach koncentracyjnych. Uważał, że będzie wolny od wszelkiej odpowiedzialności, mając przyjaciół wśród najwyższych mocodawców hitlerowskich. Przystąpił więc z wielką aktywnością do realizacji zamierzeń.

Zgodnie z planem omówionym z lekarzami *SS* wczesną wiosną 1944 roku skontaktował się z Oswaldem *Pohlem*, który na jego prośbę zjawił się w Hohenlychen. *Pohlowi*, odpowiedzialnemu za wszystko, co dotyczyło obozów koncentracyjnych, *Heissmeyer* przedstawił swój plan. Prosił *Pohla*, by mógł wykonać zabiegi na więźniach obozu Ravensbrück, znajdującego się w pobliżu Hohenlychen. *Pohl* zgodził się na dostarczenie więźniów potrzebnych do doświadczeń oraz na stworzenie koniecznych do tego warunków. Sprzeciwił się jednak, aby wybrać w tym celu Ravensbrück, obóz ten był już bowiem znany poza granicami Rzeszy z doświadczeń osławionego *Gebhardta*, które wywołały falę protestów. Rozgłos był taki, że nawet dr Herta *Oberhäuser* zgłosiła *Pohlowi*, że byłaby szczęśliwa, gdyby mogła odejść z Ravensbrück. *Pohl* zdecydował więc, aby *Heissmeyer* przeprowadził doświadczenia w obozie koncentracyjnym Neuengamme (w pobliżu Hamburga). Od razu wydał polecenie „przeniesienia" tam odpowiednich dorosłych więźniów, dzieci oraz więźniów do obsługi, tj. lekarzy i sanitariuszy potrzebnych *Heissmeyerowi*. Otrzymał on także specjalnie wymagane zezwolenie od *Reichsführera SS*, *Himmlera*, gdyż zgodnie z zarządzeniem z 15 maja 1944 roku wszelkie „zamierzone lekarskie doświadczenia w obozach koncentracyjnych" wymagały jego osobistej zgody.

Tutaj konieczna dygresja. Sprawa zgody *Himmlera* na wykonywanie doświadczeń medycznych w obozach koncentracyjnych nie przedstawia się zbyt jasno również w wypadku *Heissmeyera* i innych. Zachował się w tej sprawie rozkaz *SS-obersturmbannführera Branda* do *Pohla* z datą 2 sierpnia 1943 roku, jak również rozkaz o podobnym brzmieniu, skierowany przez *SS-gruppenführera i generalleutnanta SS Glücksa* do komendantów wszystkich obozów koncentracyjnych. W dniu 23 czerwca 1946 roku *Pohl* zeznał w procesie, że zbrodnicze eksperymenty medyczne w obozach koncentracyjnych wykonywano tylko wtedy, gdy były one zaplanowane centralnie przez kierownictwo *SS*. Zapytany wówczas o sprawę *Heissmeyera*, twierdził, że odesłał go do *Glücksa*, by ten wydał mu więźniów zapotrzebowanych do doświadczeń. *Heissmeyer* jednak zaprzeczył, by *Himmler* lub *Glücks* wydali mu zezwolenie na jego zabiegi u więźniów.

Z końcem kwietnia 1943 roku *Heissmeyer* w towarzystwie kierownika spraw sanitarnych *SS*, dra *Lollinga* udał się do obozu Neuengamme, by skontrolować tam wykonanie poleceń wcześniej wydanych przez *Pohla*. Tutaj poznał się z Maksem *Pauli*, komendantem obozu, z lekarzem garnizonowym obszaru Neuengamme drem *Trzebinskim* oraz z resztą kierownictwa obozu. Mimo istniejącej katastrofalnej ciasnoty w szpitalu obozowym wydzielono *Heissmeyerowi* część baraku nr 4; odgrodzono ją drutem i płotem z desek i oznaczono jako nr 4a lub „Specjalny oddział *Heissmeyera*" (*Sonderabteilung Heissmeyer*). W oddziale 4a można było pomieścić 20 więźniów. Wydano przy tym zarządzenie trzymania wszystkiego w ścisłej tajemnicy i zabroniono nie upoważnionym więźniom wstępu do tej części baraku.

Początkowo zatrudniono tam więźniów-lekarzy Polaków, doktorów Zygmunta *Szafrańskiego* i Tadeusza *Kowalskiego*. Następnie zastąpiono ich przez francuskich lekarzy prof. *Florence'a* i dra *Quenouille'a*, jak i przez sanitariuszy-więźniów holenderskich nazwiskiem *Deutekom* i *Hölzl*. Dr *Trzebinsky* zabronił mówić im cokolwiek o doświadczeniach *Heissmeyera* pod karą śmierci. Mimo to tajemnica oddziału 4a znana była w obozie, a zatrudnieni tam więźniowie dokładali wszystkich sił, aby uchronić kolegów przed doświadczeniami lub złagodzić los wybranych na zabiegi.

Heissmeyer rozpoczął planowane doświadczenia w początkach czerwca 1944 roku. Ofiarą padli najpierw dorośli więźniowie polscy i radzieccy. W znanych warunkach obozu koncentracyjnego nie było mowy o informowaniu więźniów wybranych do doświadczeń ani o rodzaju zabiegu, ani o związanym z nim niebezpieczeństwie, ani o wyrażeniu zgody na zabieg. *Heissmeyer* wybierał więźniów osobiście. Być może, miał on jakieś informacje o ich stanie zdrowia. Jego pozycja zezwalała na nieskrępowaną decyzję w wyborze do doświadczeń, jak i w późniejszym kierowaniu do ogólnego szpitala obozowego. Niektórzy spośród więźniów wybranych do zabiegów byli krańcowo wyczerpani pracą, głodem i warunkami obozowymi. Byli to mężczyźni 20—30-letni, ważący 35—50 kg. Do pierwszej grupy wybranych więźniów należeli chorzy ze znaczną, obustronną gruźlicą płuc. W drugiej grupie *Heissmeyer* zestawił więźniów z jednostronną gruźlicą płuc, natomiast w trzeciej grupie więźniów nie było gruźlicy płuc, lecz gruźlica innych narządów. W dalszym toku swych doświadczeń *Heissmeyer* wybrał czwartą grupę, tj. więźniów zdrowych, wolnych od gruźlicy. Od połowy do końca 1944 roku wciągał on do swoich doświadczeń stale innych dorosłych więźniów, systematycznie ich wymieniając. Wymiana następowała wtedy, gdy *Heissmeyer* uznał, że dany więzień już się nie nadaje do dalszych doświadczeń lub że doświadczenie na nim zostało zakończone. Tacy więźniowie byli odsyłani do szpitalnego baraku obozowego nr 4, zwanego barakiem śmierci. Tam też umierali. Śmiertelność w tym baraku wynosiła do 30 zmarłych dziennie. *Heissmeyer*, mimo że

znał warunki tam panujące, nie interesował się po odesłaniu swoimi żywymi ofiarami. Podkreślić jednak należy, że więźniowie w czasie, gdy wykonywano na nich doświadczenia, otrzymywali w oddziale 4a lepsze pożywienie; stosowano u nich w określonych celach środki obniżające ciepłotę, wzmacniające serce. Tymi sposobami starał się *Heissmeyer* w okresie trwania eksperymentu podtrzymać życie swoich ofiar. W żadnym wypadku nie chodziło mu o wyleczenie więźnia.

Dla swoich celów *Heissmeyer* otrzymał szczep zjadliwych prątków Kocha z laboratorium bakteriologicznego w Berlinie od prof. dra *Meinicke'go*. Profesor, wydając kulturę żywych i zjadliwych prątków, zwrócił uwagę *Heissmeyera* na niebezpieczeństwo i ostrzegał przed wykonywaniem doświadczeń. Były to prątki Kocha typu ludzkiego.

Heissmeyer zgodnie z ustalonym założeniem podawał osobiście wybranym więźniom wspomniane zjadliwe prątki (w postaci wstrzyknięć). W tym celu oraz dla kontroli dokonanych zabiegów przyjeżdżał z Hohenlychen do Neuengamme regularnie w około dziesięciodniowych odstępach. Zarządzane przez niego kontrole chorych wykonywali więźniowie (lekarze i sanitariusze) i nanosili swoje obserwacje do historii chorób.

Przygotowując szczep zjadliwych prątków Kocha, *Heissmeyer* zupełnie nie troszczył się o najprymitywniejsze, obowiązujące przy tym zasady, co stanowi niewątpliwy dowód, że nie miał podstawowych wiadomości z tego zakresu. Nie określano liczby prątków, istniała możliwość dodatkowych zanieczyszczeń, następowało zarastanie hodowli przez zanieczyszczanie. Więźniowie tam pracujący nie mieli nawet maseczki na usta. Uzyskaną w tych warunkach „surowicę" o bardzo różnej koncentracji *Heissmeyer* wstrzykiwał wybranym więźniom podskórnie lub śródskórnie w okolicy dołu pachwowego. Ponadto wcierał więźniom prątki i zawierające prątki *sputum* w skaryfikowaną skórę piersi, po czym dokonywał w określonych odstępach czasu zeskrobin skórnych z miejsc zakażanych. Również w określonych odstępach czasu na polecenie *Heissmeyera* usuwano ofiarom metodą operacyjną węzły pachwowe, by następnie badać je histologicznie.

Heissmeyer wprowadził co najmniej 16 więźniom zjadliwe prątki Kocha za pomocą cewnika przez usta bezpośrednio do płuca, posługując się przy tym aparatem rentgenowskim. Zachowała się dokumentacja chorych, wśród niej także zdjęcia radiologiczne 9 więźniów, ilustrujące tego rodzaju wprowadzanie sondy. Z tego materiału można wykazać przynajmniej w 6 przypadkach, że pola płucne były wolne przed wprowadzeniem sondy. Zdjęcia rentgenowskie wykazują, że po dokonanym wstrzyknięciu utworzyło się wyraźne ognisko zapalne i powstała otwarta gruźlica płuc.

W czasie wykonywania swoich doświadczeń *Heissmeyer* dowiedział się od lekarza garnizonowego, że w obozie przebywają więźniowie skazani na karę śmierci i że może u nich przeprowadzać zabiegi bez żadnych ograniczeń. *Heissmeyer* przyjął tę propozycję bez zastrzeżeń. Jak wynika z dokumentacji chorych więźniów, *Heissmeyer* wstrzykiwał za pomocą sondy płucnej prątki Kocha następującym zdrowym więźniom, być może skazanym wyrokiem na karę śmierci. Byli to więźniowie *Nędza, Jakubowski, Tschurkin, Wessołowski* i *Wolniewicz*. Prątki wprowadzono im przez sondę w dniu 11 października 1944 roku. *Heissmeyer* posiadał pełne prawo swobodnej decyzji o tych „przekazanych" (*überstellten*) więźniach. Wykonanie egzekucji na nich nie mogło nastąpić bez jego zgody. Po upływie czterech tygodni od wykonania doświadczenia oświadczył władzom *SS*, że jego „doświadczenia" są zakończone, co oznaczało przekazanie ofiar wykonawcom wyroku śmierci. *Heissmeyer* dodał jeszcze, że interesuje się sekcją jednej z ofiar, by dokonać kontroli wstrzyknięcia. W dniu 8 lub 9 listopada 1944 roku więźniowie *Nędza, Tschurkin, Wessołowski* i *Wolniewicz* zostali powieszeni, a bezpośrednio potem sekcjonowano ich zwłoki. Protokoły sekcyjne *Heissmeyer* włączył do swoich dokumentów.

Więźniowie skazani na karę śmierci, a uprzednio poddawani doświadczeniom *Heissmeyera* mieli w celu uniemożliwienia im ukrycia się w obozie lub ucieczki głowę wygoloną do połowy. Była to oznaka tzw. *lagersperry* (izolacja więźniów). Widocznie brak było czasem miejsc w tzw. oddziale *Heissmeyera*, skoro zdarzało się, że ofiary jego przebywały także w tzw. „rewirze" ogólnym i tylko na sam zabieg przychodziły do baraku 4a. Dokumentarnie udało się wykazać, że *Heissmeyer* wykonał zabiegi u 12 więźniów skazanych na śmierć, kombinując je w różny sposób i podając różne stężenia materiału zakaźnego.

Zgodnie ze swoim założeniem *Heissmeyer* wykonał podobne zabiegi również na dzieciach. Wiedział już wtedy z własnego doświadczenia, że po zabiegach następuje pogorszenie stanu zdrowia. Jesienią 1944 roku za pośrednictwem dra *Gebhardta* zażądał od *Pohla* przysłania 20 dzieci do obozu w Neuengamme, wskutek czego około grudnia 1944 roku z obozu oświęcimskiego przybyło tyleż dzieci obojga płci w wieku 5—12 lat. Zgodnie z wymaganiami znajdowały się one w dobrym stanie odżywienia i ogólnym. Były to dzieci pochodzenia żydowskiego, przeważnie z Polski, wolne od gruźlicy; pięcioro z nich miało odczyn tuberkulinowy ujemny. *Heissmeyer* w okresie od końca roku 1944 do marca 1945 roku powtórzył u wszystkich tych dzieci zabiegi opisane u dorosłych. Na zachowanych zdjęciach fotograficznych można stwierdzić, że u tych dzieci po podskórnych wstrzyknięciach prątków Kocha powstały wielkie owrzodzenia gruźlicze. U większości dzieci usuwano również operacyjnie węzły chłonne w celu dalszych badań. Z zapisków *Heissmeyera* wynika, że wszystkim 20 dzieciom wprowadzono zjadliwe prątki Ko-

cha, przy czym przynajmniej u trojga dzieci zastosowano sondę do płuc. Na zachowanych zdjęciach radiologicznych płuc 7-letniej *Desmoniki*, 12-letniego *Morgensterna* i 12-letniego *Birnbauma* można wykazać identyczne obrazy chorobowe, jak u dorosłych, na których *Heissmeyer* wcześniej eksperymentował. Dzieci po zabiegach gorączkowały wysoko, traciły apetyt, stawały się obłożnie chore. Jeden z francuskich chłopców był już w kwietniu 1945 roku umierający po zabiegach. Ze względu na osłabienie trzeba było dzieci nosić do badań kontrolnych. W okresie, gdy dzieci znajdowały się w oddziale 4a, dorośli byli przeniesieni do szpitala ogólnego i dalej poddawani zabiegom i kontrolom.

Ostatnie notatki *Heissmeyera*, mające datę 9 marca 1945 roku, wskazują na wykonywanie przez niego zabiegów u więźniów dorosłych w „rewirze" ogólnym, gdzie też często umierali. Z dokumentacji obozowej oraz z obozowej księgi wynika, że do dnia 9 marca 1945 roku zmarło 10 więźniów poddanych zabiegom *Heissmeyera*. Sześciu spośród nich zmarło w styczniu 1945 roku. Do tego należy doliczyć jeszcze więźniów, których zabito w egzekucji. Ogólnie oblicza się, że *Heissmeyer* dokonał zabiegów na 80—100 więźniach dorosłych. W odniesieniu do 32 dorosłych ofiar zachowała się oryginalna dokumentacja z danymi osobowymi, rodzajem zabiegu, następowymi kontrolami i obrazem przebiegu choroby.

U więźniów *van Sabben* i *Aleksiejewa*, zakażonych poprzez sondę, wprowadzenie prątków do płuc stało się bezpośrednią przyczyną śmierci (rozwój ostrego procesu gruźliczego był bardzo wyraźny). Niewątpliwie zresztą zakażenie prątkiem gruźlicy w warunkach obozowych musiało prowadzić do zejścia śmiertelnego. Wynika to również z ostatnich zapisków lekarskich, wskazujących na nadchodzącą śmierć. Więzień *Prokopienko* zmarł po zabiegu na gruźlicze zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

W czasie swojej ostatniej „wizyty" w Neuengamme *Heissmeyer* polecił zniszczyć pozostawioną dokumentację w celu zatarcia śladów dokonanej zbrodni, zrozumiał bowiem z końcem kwietnia 1945 roku, że front się załamał, a za popełnione czyny trzeba będzie odpowiadać. Zlecił wykonanie cynkowej skrzyni, schował w niej dokumentację swoich doświadczeń, przy czym nie zapomniał wpakować do niej też srebrnej zastawy i listu pożegnalnego do swojej żony. Było to dnia 25 kwietnia 1945 roku. List kończy się słowami: „Wkrótce nastanie nieznane". Skrzynię kazał zagrzebać na terenie sanatorium *SS* w Hohenlychen. Tam ją znaleziono.

Gdy wojska alianckie były już blisko obozu Neuengamme, zdecydował się i tam zniszczyć ślady. Naciskała na niego komendantura obozu Neuengamme, informując telefonicznie, że jego specjalny oddział musi być zlikwidowany. Wieczorem 21 kwietnia 1945 roku na specjalny rozkaz najwyższego kierownictwa *SS* wymordowano w bestialski sposób w hamburskiej szkole *Bullenhuser-Dumm* ofiary doświadczeń *Heissmeyera*, tj. pozostałe przy życiu dzieci łącznie z więźniami lekarzami i sanitariuszami. W ten sposób pozbyto się dowodów i świadków zbrodni. Odpowiedzialny za te czyny między innymi lekarz obozowy dr *Trzebinsky* został skazany przez wojskowy sąd angielski na karę śmierci.

Heissmeyer zaś uciekł następnie z Hohenlychen i udało mu się ukryć w Holandii. Następnie przez jakiś czas pomagał swemu ojcu w pracy lekarskiej w Sandersleben. Później zaopatrzył się w odpowiednie fałszywe dowody świadczące o jego nie budzącym zastrzeżeń zachowaniu, a nawet o wrogim stosunku do faszyzmu w okresie hitlerowskim. Tak zabezpieczony udał się w maju 1946 roku do Magdeburga, gdzie praktykował jako specjalista chorób płucnych z dużym powodzeniem i korzyściami materialnymi.

Działalność *Heissmeyera* opisano dość szczegółowo nie tylko dlatego, że zbrodniarz ten stanął dopiero przed sądem po dwudziestu kilku latach, lecz także dlatego, że jest on typowym przykładem tej generacji lekarzy niemieckich, która nasiąknęła ideologią nazistowską i wprowadziła ją w czyn.

* * *

Opracowano na podstawie 1) wyroku Sądu Okręgowego (*Bezirksgericht*) w Magdeburgu z dnia 30 czerwca 1966 roku, z uwzględnieniem 2) aktu oskarżenia wydanego w Berlinie 30 kwietnia 1966 roku oraz 3) pozycji piśmiennictwa podanych w Przegl. Lek. 1962, nr 1a, na str. 81.



Uroczyste otwarcie wystawy duńskiej w bloku 13 w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu z udziałem ambasadora Królestwa Danii, *Svent Sandagera Jeppesena* i dyrektora Muzeum Wolności w Kopenhadze, dra *Aage Roussel* (zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

ZBIGNIEW WLAZŁOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen nr 49943

Gdynia

Lekarze polscy w obozowym ruchu oporu w Gusen

Głównym celem ruchu oporu w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Gusen (filia Mauthausen), podobnie jak w innych obozach zagłady, było ratowanie więźniów przed głodem i fizycznym wyniszczeniem. Zgrupowanie więźniów politycznych reprezentujących różne poziomy kultury i rozmaite zapatrywania ideologiczne, a także przemieszanie ich z pospolitymi kryminalistami stwarzało swoisty klimat i utrudniało pracę konspiracyjną w tym konglomeracie wielu narodowości.

Oprócz spontanicznie rozwijającego się indywidualnego oporu więźniów w postaci niszczenia maszyn i sabotowania pracy przez poszczególne osoby uformowała się w Gusen zorganizowana akcja wyzwoleńcza. Oprócz mniejszych organizacji, które wytworzyły się w kilku środowiskach narodowościowych, trzy ugrupowania wysunęły się na pierwsze miejsce. Jedno z nich wykazywało tendencje komunistyczne, drugie przejawiało poglądy prawicowe, trzecie zaś nie ujawniało ściślej określonego zabarwienia polityczno-ideowego. W grupach tych skupili się więźniowie wszystkich narodowości, które znalazły się w Gusen. Głównymi organizatorami byli Polacy. Jakkolwiek ugrupowania te były kierowane przez ludzi o odmiennym zapatrywaniu politycznym, zmierzały do tego samego celu.

Osobna grupa konspiracyjna utworzyła się w szpitalu obozowym. Wynikało to ze swoistego usytuowania obozu oraz ze specyficznych warunków pracy niektórych więźniów. Grupa ta nie miała ściśle sprecyzowanego oblicza ideologicznego i współdziałała z wymienionymi trzema ugrupowaniami. Na czele organizacji szpitalnej stali doktorzy Antoni *Gościński* i Feliks *Kamiński*. Do ich najściślejszych współpracowników należeli profesor farmacji dr Franciszek *Adamanis* i dr Adam *Konieczny*.

Na zebraniu organizacyjnym, które odbyło się z końcem grudnia 1941 roku w laboratorium szpitalnym, ustalono przy udziale wymienionych osób ogólny schemat działania i nakreślono zasadnicze kierunki postępowania. Przede wszystkim postanowiono uzdrowić stosunki w „rewirze", zapobiec popełnianym tam zbrodniom i stworzyć atmosferę przypominającą prawdziwy szpital, chorym zaś dać maksimum opieki i umożliwić im wyzdrowienie, a nawet wypoczynek.

Środkami prowadzącymi do tych celów miały być: likwidacja zbrodniczych „kapo rewiru" Heinricha *Rotha* i Franza *Zacha*, wprowadzenie na stanowiska lekarzy i sanitariuszy fachowego personelu, przeciwstawienie się akcjom masowych morderstw oraz doświadczeń prowadzonych na chorych więźniach. Ustalono, by stworzyć chorym lepsze warunki bytu, wystarać się o dodatkowe środki wyżywienia i leki oraz urządzać pogadanki światopoglądowe i rozrywki kulturalne. Postanowiono nawiązać ścisły kontakt z przedstawicielami organizacji działających w obozie i grup oporu poszczególnych narodowości oraz zaangażować do współpracy pisarzy blokowych i więźniów funkcyjnych. Szpital obozowy miał stać się nie tylko lecznicą dla chorych, lecz również azylem dla więźniów szykanowanych i najbardziej potrzebujących pomocy.

Do ściślejszej współpracy zaangażowano niektórych pracowników „rewiru" esesowskiego, pracowni dentystycznej, anatomii patologicznej i kancelarii szpitalnej oraz innych pracowników „rewiru", przydzielając im konkretne zadania. Byli to między innymi Z. *Baranowski*, W. *Cybulski*, B. *Drachajm*, M. *Filipiak*, V. *Gibal*, W. *Gospodarczyk*, H. *Gonzales*, W. *Kanarek*, M. *Kuszejew*, F. *Leonhard*, I. *Łuczak*, S. *Malost*, Z. *Mielcarewicz*, A. *Młodyszewski*, F. *Mocny*, T. *Olszewski*, P. *Pawłowski*, J. *Piechowski*, E. *Pięta-Połomski*, P. *del Rio*, H. *Skolik*, J. *Tadko*, A. *Wierachowski*, E. *Wierzchowski*, Z. *Wlazłowski*, J. *Zblewski*, J. *Zwierzchowski*, L. *Żynda*.

Większość więźniów wykonywała dla organizacji określone zadania bez wtajemniczenia w sedno sprawy. Zastosowany był system trójkowy, mianowicie tylko trzy osoby kontaktowały się ze sobą w realizacji danego zagadnienia. Zaplanowane czynności i inspirowane wydarzenia miały zawsze pozory przypadkowości, a zlecenia wykonywania akcji wpływały jako sugestie lub propozycje przekazywane wyznaczonym osobom w rozmowach podczas pracy lub w toku przypadkowych spotkań w bloku lub na placu apelowym. Często ludzie wykonujący na zlecenie organizacji szczegółowe zadania nie byli poinformowani o ich charakterze. Zastosowanie tej metody zapobiegało dekonspiracji siatki organizacyjnej w wypadku niepowodzenia.

Gdy wkrótce tak pomyślana akcja zaczęła dawać dobre wyniki, a „upiory rewiru" H. *Roth* i F. *Zach*, jak również godny ich następca J. *Bobrowski*, przezwany Kasandrą [1], zostali zlikwidowani, wówczas sytuacja chorych w „rewirze" zaczęła się poprawiać. Naczelnym lekarzem szpitala został oficjalnie wyznaczony

[1] Zob. też Z. *Wlazłowski:* Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 112 i następne. Tamże bibliografia.

dr A. *Gościński*, a na stanowisko „kapo rewiru" przydzielono Niemca sudeckiego, z pochodzenia Czecha, więźnia politycznego (komunistę) Emila *Sommera*. Funkcje kierowników oddziałów szpitalnych udało się obsadzić wysoko kwalifikowanymi lekarzami, pracującymi dotychczas w kamieniołomach lub innych „komandach" obozowych. Na sanitariuszy przyjęto studentów uczelni wyższych, w tym kilku medyków.

Również kancelarię szpitalną obsadzili w całości więźniowie polityczni, Polacy i Niemcy. Osiągnięto to dzięki poparciu i współdziałaniu więźniów z grupy oporu, pracujących w głównej kancelarii i w biurze personalnym [2] (*Meixner*, K. *Cofała*, S. *Nogaj*, I. *Żmij* i inni). Wówczas przyszli do szpitala następujący więźniowie, którzy w większym lub mniejszym stopniu zostali zaangażowani do ruchu oporu i każdy na swym odcinku pracy wypełniał ściśle określone zadania, mianowicie lekarze C. *Budny*, E. *Farnik*, F. *Halberg*, J. *Krakowski*, J. *Markiewicz*, K. *Miłoszewski*, J. *Pettea*, P. *Podlacha*, H. *Tomaszek*, A. *Waresz*, studenci H. *Frajtag*, F. *Hernandes*, M. *Jovanović*, J. *Kalinowski*, S. *Królak*, A. *Kozłowski*, S. *Leszczyński*, M. *Lisiecki*, W. *Liwiencow*, Z. *Przyłuski*, W. *Piątkowski*, S. *Pręgowski*, P. *del Rio*, J. *Riwszak*, L. *Roman*, L. *Klimek*, W. *Kostujak*, J. *Maciejewski*, M. *Morozko*, J. *Sabuda*, R. *Zauret*, pisarze kancelaryjni M. *Czerwiński*, J. *Gruber*, R. *Kosmala*, L. *Leitner*.

Z grupą obozową, której przedstawicielami byli S. *Drobosiewicz*, C. *Łęski* i S. *Nogaj*, kontaktowali się ze strony „rewiru" doktorzy *Gościński* i *Kamiński*. Z *Gębikiem* i *Cieluchem* w ściślejszych kontaktach był A. *Konieczny*, a z R. *Łączyńskim* i J. *Osuchowskim* Z. *Wlazłowski*. Dr A. *Gościński* i E. *Sommer* byli łącznikami z grupą niemiecką i koordynowali pracę konspiracyjną za pośrednictwem głównego pisarza obozu, *Meixnera* oraz obożnego, *Reubachera*. Z grupą rosyjską pracowali dr *Kamiński* i W. *Liwiencow*, z hiszpańską E. *Pięta*, *Połomski* i B. *Drachajm*, z jugosłowiańską dr J. *Markiewicz* i Z. *Wlazłowski*, z francuską i włoską prof. F. *Adamanis* i M. *Filipiak*. Łączność z Czechami zapewniał początkowo dr *Podlacha*, potem E. *Sommer* i dr F. *Kamiński*. Z przedstawicielami mniejszych liczebnie grup narodowościowych, tj. Anglikami, Belgami, Holendrami, Węgrami, kontaktowali się prof. *Adamanis*, dr A. *Gościński*, A. *Konieczny*, Z. *Wlazłowski*; A. *Młodyszewski* był pośrednikiem w inspirowaniu rozmów z poszczególnymi więźniami.

Miejscem spotkań i omawiania ważniejszych akcji były pomieszczenia laboratorium szpitalnego, sali sekcyjnej i gabinetu dentystycznego. Laboratorium najbardziej odpowiadało tym kontaktom, gdyż ze względu na wykonywane tam analizy i badania rentgenowskie oraz przeprowadzane zabiegi fizykoterapeutyczne mieli tam prawo wstępu wszyscy więźniowie i obecność nawet kilku osób z różnych komend obozowych nie nasuwała większych podejrzeń. Do gabinetu dentystycznego też mieli dostęp więźniowie spoza „rewiru", a sala sekcyjna ze względu na swoisty charakter rzadko była odwiedzana przez esesmanów. Wygodnym miejscem dla prowadzenia rozmów był również plac apelowy, gdzie w chwilach wolnych od pracy spotykali się więźniowie z całego obozu.

Poza udaną akcją oczyszczenia szpitala z elementów zbrodniczych i obsadzenia oddziałów personelem fachowym [3] zasługą szpitalnego ruchu oporu było przeciwstawienie się zarządzeniom władz obozowych w sprawie likwidacji chorych na gruźlicę i inwalidów, a nadto pokrzyżowanie doświadczeń prowadzonych przez *SS* na tych chorych oraz zapobieganie operacjom przeprowadzanym na zdrowych więźniach [4].

Lekarze *SS* zaczęli wykonywać operacje pod dyskretnym nadzorem chirurgów dr *Gościńskiego* i dr *Podlachy*, którzy pod pretekstem pokazywania im specjalnych metod operacyjnych przejmowali inicjatywę zabiegu. W wielu wypadkach udało się zapobiec masowym morderstwom i uratować dziesiątki chorych skazanych na likwidację. Często sanitariusze i lekarze ukradkiem przenosili na swych barkach z jednego bloku „rewirowego" na drugi ciężko chorych, którym styczność przy wizycie z lekarzem *SS* groziła skazaniem na śmierć. Prowadzono podwójną dokumentację kart chorobowych i historii chorób u osób, którym ze względu na przedłużenie się czasu leczenia lub złe efekty lecznicze groziła likwidacja. Nierzadko zamiast osób zmarłych wpisywano nazwiska więźniów, o których wiedziano, że wyrokami sądu gestapo są skazani na śmierć i ich godziny życia są z pewnością policzone. Wielu przeżyło więc obóz i wyszło na wolność pod nazwiskami zmarłych kolegów. Dzięki ścisłej współpracy z więźniami pracującymi w oddziale politycznym znano nazwiska więźniów związanych z akcją konspiracyjną prowadzoną na wolności, którym należało pomóc, ukryć ich wśród chorych, a nawet oficjalnie odnotować ich rzekomą śmierć. Nieraz pod pozorem choroby tygodniami leżeli w „rewirze" i przychodzili do sił więźniowie najbardziej potrzebujący doraźnej pomocy, wyznaczeni do tej opieki przez pisarzy obozowych lub innych członków ruchu oporu.

Z biegiem czasu chorzy byli coraz lepiej traktowani i obsługiwani przez personel sanitarny, a pełniący jeszcze swe funkcje niektórzy zbrodniczy więźniowie musieli bardzo się ograniczać w zaspokajaniu swych sadystycznych skłonności.

Dla studentów medycyny i sanitariuszy urządzono kursy dokształcające z podstawowych

[2] S. *Nogaj:* Mój udział w ruchu oporu w obozach koncentracyjnych Dachau i Gusen. W: Pamiętajmy. Jednodniówka wydana z okazji XXII-lecia oswobodzenia obozów koncentracyjnych Mauthausen-Gusen. Katowice 1967, s. 154.

[3] Z. *Wlazłowski:* Szpital w obozie..., jw.

[4] Z. *Wlazłowski:* Gruźlica płuc i postępowanie z chorymi na gruźlicę w obozie koncentracyjnym Gusen. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 98 i następne.

dziedzin medycyny, higieny i pielęgnacji chorych. Wykładowcami byli specjaliści-lekarze pracujący w „rewirze". Zajęcia i nauka odbywały się w chwilach wolnych od pracy, wieczorami i w dni świąteczne. Większość pracowników szpitala uczyła się języków obcych, przeważnie rosyjskiego, angielskiego i hiszpańskiego.

Również w tych wolnych chwilach urządzano dla chorych koncerty obozowych muzyków i wieczory recytatorskie. Te przemycane w ściany „rewiru" imprezy miały na celu wniesienie odrobiny słońca w szary żywot ludzi szukających tu ratunku. Pieśni śpiewane przez chór L. *Szopińskiego* oraz muzyka J. *Guzińskiego, Pawlaka, Luterbacha* i *Unkiewicza* dawały chorym chwile zapomnienia, a wiersze *Ćwierka, Timofiejewa, Wnuka* i *Wróblewskiego,* recytowane przy łóżkach cierpiących, napawały zrezygnowanych i załamanych ludzi nadzieją lepszej przyszłości. Często w blokach szpitalnych rozbrzmiewał głos znanych śpiewaków, T. *Faliszewskiego,* Z. *Malinowskiego* i *Gruszczyńskiego,* a także innych obozowych solistów. Możliwe to było tylko przy zachowaniu wielkiej ostrożności i po stwierdzeniu, że w obozie i w „rewirze" nie przebywa w tym czasie żaden esesman.

Dzięki osobistym kontaktom dra *Gościńskiego* z lekarzami *SS* i zwierzchnikami obozu, którzy czasem szukali pomocy dla siebie i swych rodzin u lekarzy więziennych, udawało się niekiedy uzyskać dla „rewiru" dodatkowe przydziały żywności. Największa pomoc w dożywianiu chorych przychodziła jednak od więźniów zatrudnionych w kasynie oficerskim, w kuchniach esesowskich, w magazynach żywnościowych oraz w „komandzie" zajmującym się hodowlą królików i psów. Więźniowie, członkowie ruchu oporu, narażając swe życie i dokazując cudów pomysłowości, wnosili lub wwozili potajemnie do obozu kotły z jedzeniem przeznaczonym dla esesmanów lub ich czworonożnych pupilów. Na wozach ciągniętych przez więźniów, pod stertami kamieni, desek lub innych przedmiotów przewożono do obozu duże ilości chleba, margaryny lub innych środków żywnościowych, z których część była przydzielana dla chorych na „rewir". Przy organizowaniu akcji dożywiania zasłużył się więzień zajmujący się zaopatrzeniem „rewiru", W. *Cybulski.*

Wielką pomoc chorym wykazali również funkcyjni więźniowie zatrudnieni na poczcie, w „rewirze" esesowskim i w magazynach, gdzie przechowywano rzeczy więźniów. Często rodziny przysyłały swym najbliższym rozmaite lekarstwa, które z reguły były konfiskowane lub składane do magazynu. Część tych lekarstw więźniowie wykradali i dostarczali do szpitala obozowego. Uzupełniało to skąpe zasoby obozowe i często ratowało życie chorym.

Niektóre leki, nie dostarczane lub dostarczane w małej ilości do obozowej apteki, a potrzebne w celu potajemnego leczenia gruźlicy (np. chlorek wapnia), produkował w laboratorium szpitalnym F. *Adamanis,* wspomniany już profesor farmacji z Poznania. Również z odczynników przydzielanych do analiz lekarskich wczesną wiosną 1945 roku wykonano tam nitroglicerynę, przeznaczoną do ewentualnego odkopania wejść, których zawalenie planowały władze obozowe w celu uduszenia w sztolniach wszystkich więźniów obozu przed oddaniem terenu wojskom alianckim. Tutaj również oczyszczano spirytus denaturowany oraz pędzono bimber przeznaczony na cele organizacyjne. Za alkohol można było uzyskać od „blokowych" i „kapo" oraz więźniów funkcyjnych przydziały lżejszej pracy, lepsze miejsce do spania w bloku, dodatkową miskę zupy, a co najważniejsze, nieznęcanie się i nieszykanowanie protegowanych. Aby zdobyć odrobinę spirytusu, niemieccy prominenci byli zdolni do wszystkiego.

Pracownicy „rewiru", zwłaszcza lekarze oddziałowi oraz więźniowie pracujący w aptece, w gabinecie dentystycznym i w laboratorium mogli łatwo nawiązać znajomość i utrzymywać dobre stosunki z więźniami funkcyjnymi i prominentami obozowymi. Z tych znajomości korzystano w realizacji zadań wyznaczonych przez organizację. Dzięki tym kontaktom wielu więźniów dostało się do lepszych komend obozowych oraz uniknęło śmierci z pobicia lub głodu.

W bunkrach ukrytych pod podłogą w aptece, w laboratorium i w pomieszczeniu anatomii patologicznej złożono żelazny zapas jedzenia. Porcje te zużyto w okresie załamania się dostaw żywności do obozu z początkiem 1945 roku.

Więźniowie pracujący jako sprzątacze w kancelariach, mieszkaniach esesmanów oraz w „rewirze" esesowskim, mając stałe kontakty z żołnierzami i dostęp do odbiorników radiowych, informowali swych kolegów obozowych o aktualnej sytuacji na frontach wojennych i nastrojach panujących wśród wojskowych. Laborant „rewiru" obozowego, wykonujący również badania dla esesmanów, codziennie wychodził za bramę do „rewiru" *SS,* przenosząc często przez *Jourhaus*[5] rzeczy nie mogące dostać się do rąk niepowołanych. Pisarz kancelarii szpitalnej *Gruber* był w stałym kontakcie z austriackim ruchem oporu, działającym w okolicach Linzu. Zadenuncjowany i przesłuchiwany przez władze esesowskie, został zamordowany. Pomimo tortur nie zdradził swoich kolegów obozowych.

Dużo wiadomości o nastrojach i stosunkach panujących poza obozem dostawało się do więźniów od Eriki, esesówki pilnującej kobiet z budynków specjalnego przeznaczenia[6], która przyprowadzała swe podopieczne do laboratorium celem przeprowadzania badań lub wykonywania zabiegów fizykoterapeutycznych.

W bliższym kontakcie z lekarzem naczelnym obozu, drem *Adolfem,* był dr *Gościński.* Lekarz ten, mając poparcie w Berlinie, jako rekom-

[5] *Jourhaus* — budynek mieszczący bramę wejściową do obozu.

[6] Zob. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 119.

pensatę za utratę zdrowia (wyczerpanie nerwowe) na froncie wschodnim pod Leningradem został mianowany lekarzem obozu w Gusen. Nie cierpiąc hitleryzmu i uważając wojnę za przegraną, stał się cichym sprzymierzeńcem więźniów. Przebywając często w „rewirze", odsłaniał w rozmowach z lekarzami-więźniami tajemnice frontów, malował aktualną sytuację Niemiec i zapewniał o rychłym oswobodzeniu obozu. Mówił, że komuniści niemieccy, działający na wolności, znają sytuację zamkniętych w obozach i w odpowiednim czasie pomogą swym kolegom zza drutów. Obiecywał swą pomoc w chwili, gdyby władze obozowe zrealizowały plan likwidacji obozu. Po niedługim pobycie na swym stanowisku został przeniesiony z Gusen. Ale zarówno poprzednicy, jak i następcy dr *Adolfa* byli zagorzałymi zwolennikami *Hitlera* i wrogami więźniów, trzeba się było ich bardzo wystrzegać.

Po wyzwoleniu obozu przez aliantów w dniu 5 maja 1945 roku i po przekazaniu szpitala obozowego amerykańskiemu szpitalowi polowemu organizacja „rewiru" przestała istnieć. Część ludzi pracujących w niej pozostała z chorymi, zmieniając jedynie pasiaki obozowe na zielone mundury oficerskie, część zaś wyjechała do swych krajów, a nieliczna garstka wybrała się na dalszą emigrację.

Zadania organizacji szpitalnej zostały wypełnione. Uratowało się i opuściło obóz wielu ludzi, którzy potem zajęli i zajmują poważne stanowiska w swych oswobodzonych krajach.

JOZEF WITKOWSKI
były więzień *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei* w Łodzi nr 798

Wrocław

Hitlerowski obóz śledczy w Mysłowicach

Do najmniej znanych miejsc udręki należało tzw. zastępcze więzienie policyjne (*Ersatz-Polizei-Gefängnis*) w Mysłowicach. W rzeczywistości był to obóz śledczy katowickiego gestapo. Przez tę katownię przeszło kilkadziesiąt tysięcy ofiar, w tym kilka tysięcy dzieci. Więziono tam również kobiety. Warunki bytowania były podobne, jak w innych obozach hitlerowskich; różniły się jednak tym, że większość więźniów nie pracowała ze względu na prowadzone śledztwo.

Pod obóz adaptowano jakieś pomieszczenia pofabryczne. Cele w Mysłowicach były bardzo duże; parapet okien znajdował się na wysokości około 5 metrów. W celach kilkupiętrowe prycze żelazne były przeznaczone na około 100 osób, ale mieściło się tam z reguły więcej więźniów. Jednym z rodzajów udręki było siedzenie niemal przez cały dzień na ławkach w pozycji na baczność, z rękami na kolanach. W celi musiała panować idealna cisza. Za rozmowy nawet szeptem lub poruszenie się bito specjalnymi bykowcami. Najczęściej jednak pastwiono się bez przyczyny, dla wyżycia się czy sadyzmu.

Na szczególną uwagę zasługuje cela nr 1, przeznaczona dla więźniów politycznych. Była to olbrzymia hala. Dodatkowo ogrodzono ją drutem kolczastym w ten sposób, że wewnątrz hali wydzielono czworobok, pozostawiając tylko wokół przejścia. Robiło to wrażenie dużej klatki z drutu kolczastego. Wokół chodził „wachman", drugi pilnował wejścia.

Przy jednej ze ścian urządzono prowizoryczną latrynę, z której korzystali również więźniowie z innych cel, doprowadzani tam w określonych godzinach w kilkuosobowych grupach. Cela nr 1 nie była nigdy opalana. Kalefaktorami byli kryminaliści i pospolici mordercy. Więźniowie cały czas musieli leżeć na gołych deskach w pozycji na baczność, twarzami do desek. Ulubioną formą znęcania się nad nimi było urządzanie skakania w przysiadach tzw. „żabką". Ze względu na ciasnotę skakano w miejscu lub wokół własnej osi. Całymi godzinami trwały zbiórki, przerywane ciągłym wykonywaniem rozkazu „na łóżka biegiem marsz". Liczono do trzech i jeśli wszyscy nie zdążyli, powtarzano tę czynność wielokrotnie, aż do zupełnego wyczerpania. Bito przy tym bykowcami. Tych, którym udało się przeżyć w opisanej celi, wywożono do Oświęcimia specjalną więźniarką, tzw. „minką". Śmiertelność tam była bardzo duża. Zwłoki zabierano dwa razy dziennie, na apelu rannym i wieczornym; wywożono je do Oświęcimia. Często ci, którzy je transportowali, nie wracali.

Z obozu w Mysłowicach po zakończeniu śledztwa wywożono więźniów najczęściej do obozów koncentracyjnych, głównie do Oświęcimia, czasem na roboty do Niemiec; rzadko zwalniano.

Warunki sanitarne urągały wszelkim zasadom higieny. Mydła ani środków do mycia i prania nie wydawano. Nie wymieniano bielizny. Więźniowie chodzili we własnych ubraniach i spali w nich, ponieważ nie przydzielano koców ani sienników. W celi było zaledwie kilka koców; sienniki mieli tylko funkcyjni. W początkowym okresie nie było łaźni. Dopiero po epidemii durów wysypkowego i brzusznego zainstalowano łaźnię i parówkę do dezynfekcji zawszonej bielizny i odzieży. W czasie epidemii zmarło wielu więźniów, wśród nich — dzieci. Po wybuchu epidemii przeprowadzono dezynfekcję obozu; więźniów kąpano w wodzie z lizolem. Od tego czasu warunki hi-

gieniczne nieco się poprawiły. Co 10—15 dni więźniów kąpano i przynajmniej raz w miesiącu dezynfekowano odzież i bieliznę w parówce. Bielizny nadal nie wymieniano; środki do mycia wydawano tylko w czasie kąpieli. Mydło otrzymywane w paczkach było na wagę złota.

Po epidemii duru każdy nowo przybyły przechodził przez łaźnię, w której strzyżono włosy, dezynfekowano odzież i bieliznę i poddawano kąpieli, podczas której puszczano raz zimną, raz gorącą wodę. Uciekających spod pryszniców zapędzano ponownie pod wodę, bijąc nieludzko bykowcami. Tu niektórym udawało się uniknąć bykowców, ale po przydzieleniu do celi każdy *zugang* otrzymywał porcję razów, żeby poznał smak życia obozowego, jak mawiali kalefaktorzy.



Ryc. 1. Józef *Gowin* na krótko przed wybuchem wojny

„Izba chorych" mogła pomieścić tylko ciężko chorych, głównie pobitych podczas przesłuchań. Stamtąd też zabierano na przesłuchania. Najwięcej chorych przybywało z celi nr 1, po pobiciu. Lekarzem obozowym był esesowiec, który ograniczał się do selekcji chorych, a do dalszego „leczenia" kierował ich do Oświęcimia. „Symulantów" najczęściej traktowano bykowcem. Dlatego „izba chorych", podobnie jak cela nr 1, były postrachem więźniów. Tych miejsc starano się uniknąć za wszelką cenę. Czasem w „izbie chorych" zatrudniano lekarzy-więźniów, którzy nie dysponując lekami ani dostateczną ilością środków opatrunkowych, nie byli w stanie skutecznie leczyć.

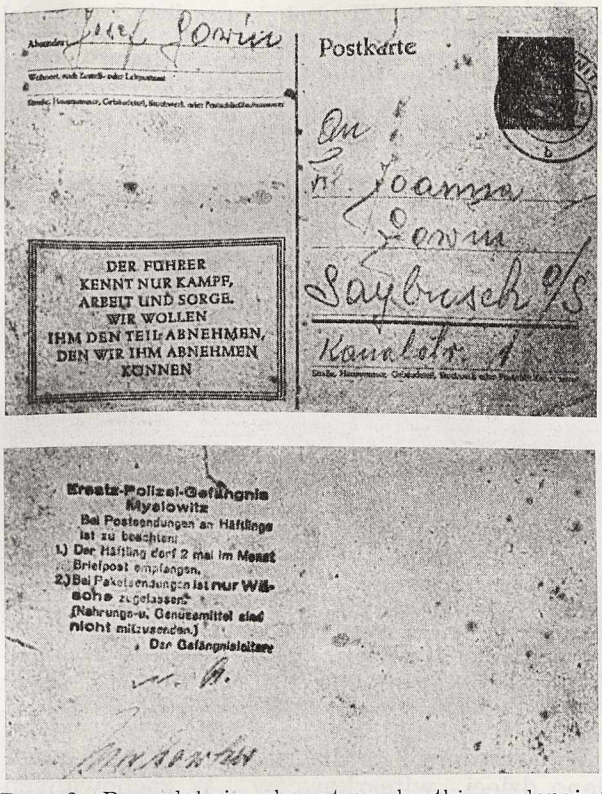
Sanitariuszem obozowym i kalefaktorem w „izbie chorych" był niejaki *Sobolewski*, który nie znał się na medycynie, a swoje braki w tej dziedzinie uzupełniał bykowcem, nie rozstając się z nim nigdy.

Latem 1943 roku w „izbie chorych" znalazł się Czesław *Chytry* z Tenczynka. Więzień ten woził paczki z poczty. Z dwoma młodszymi chłopcami przyłapano go w chwili, gdy usiłował wynieść gryps. Całą trójkę Niemcy straszliwie torturowali, ponieważ chcieli się dowiedzieć, od kogo otrzymał ten gryps i komu go miał przekazać. *Chytry* jako najstarszy został najbardziej zmasakrowany, po czym długo leżał w „izbie chorych", a gdy trochę zaleczył rany, stał się obiektem drwin i szykan ze względu na swój niski wzrost, a także ułomność po chorobie przebytej w dzieciństwie. Nazywano go „małpką" i traktowano jak zwierzątko. Jeden z tej trójki próbował ucieczki, podczas której został zastrzelony.

Dzieci i młodzież wywożono z obozu w Mysłowicach do różnych obozów, w tym do Oświęcimia. Sporą grupę wywieziono do obozu dla dzieci w Łodzi, między innymi znaleźli się tam następujący nieletni (w nawiasach daty urodzenia):

Henryk *Bandur* (14.II.1929 r.), Jerzy Tadeusz *Bednarski* (30.VIII.1928), Robert *Bielski* (13.IV.1929), Stanisław *Bielski* (28.VIII.1927), Mieczysław *Budak* (21.III.1930), Antoni *Bury* (9.I.1932), Jan *Butlak* (20.IX. 1928), Czesław *Chytry*, Stanisław *Cygan* (24.IV.1934), Bogdan *Czesak* (2.III.1932), Marian *Dąbek* (7.V.1928), Antoni *Flak* (1.IV.1929), Salomea *Fraś* (21.IV.1930), Józef *Gacek* (6.IV.1929), Stanisława *Góralczyk* (30.IV. 1929), Irena *Hardyn* (26.VII.1930), Franciszek *Izdebski* (29.VI.1932), Marcin *Jaworski* (12.XI.1930), Zdzisław *Jeska* (11.IX.1930), Teresa *Kaczmarczyk* (12.II.1931), Szczepan *Kamiński* (16.XII.1930), Zofia *Klisz* (20.IV. 1931), Tadeusz *Klimonda* (3.VII.1929), Henryk *Kowalski* (30.X.1931), Marian *Kowalski* (7.XII.1927), Władysław *Kowalski* (4.IV.1930), Zenon *Karp* (7.I.1931), Stanisław *Krystanek* (8.VI.1929), Maria *Kucharska* (26.VIII.1930), Alfred *Legawa* (17.XII.1930), Zbigniew *Lewandowski* (8.VII.1930), Józef *Lusarowski* (3.III.1931). Władysław *Łąka* (24.V.1929), Władysław Marian *Makola* (17.III. 1932), Irena *Malota* (31.XII.1929), Władysław *Melczyk* (8.VI.1929), Alojzy *Mika* (28.VII.1928), Helena *Misiak* (28.III.1927), Ryszard *Mostek* (17.IX.1932), Mieczysław *Motyka* (21.IV.1929), Krystyna *Pacut* (4.XI. 1931), Irena *Piszczek* (19.III. 1931), Mieczysław *Pokora* (2.VII.1930), Jan *Raczkowski* (27.XII.1930), Wanda *Radko* (8.XI.1931), Stefan *Rajcewicz* (7.X.1927), Edward *Richter* (10.V.1928), Józef *Rzepecki* (6.I.1933), Bogumił *Sadokierski* (9.X.1932), Lucjan *Sadyn* (29.IX.1928), Katarzyna *Sanetra* (15.VI.1927), Ignacy *Sójka* (2.II.1931). Władysław *Skórzyński* (2.V.1932), Stanisław *Sochacki* (15.V.1934), Halina *Spiewak* (15.X.1929), Marian *Starowicz* (19.VI.1927), Czesław *Stojek* (15.IV.1929), Stanisław *Supłat* (28.VII.1931), Marian *Surowiec* (23.VI.1930), Stefan *Szczygielski* (2.IX.1929), Zbigniew *Szyguła* (16.XI.1928), Adam *Szymczak* (8.IX.1929), Ludwik *Slusarczyk* (22.VII.1932), Irena *Tadus* (22.IV.1929), Teofila *Tyńska* (2.I.1931), Marian *Wantor* (25.V.1930), Michał *Wieczorek* (15.VIII.1929), Tadeusz *Wieczorek* (3.X. 1929), Bronisław *Wojtaszok* (11-letni), Henryk *Wonsik* (7.VIII.1930), Krystyna *Wilkosz* (4.IV.1929), Stanisław *Wysocki* (9.VIII.1927), Kazimierz *Zamojski* (23.VII.1927).

Dzieci więzione w *Polenjugendverwahrlager* przed odtransportowaniem do Łodzi najczęściej więzione były w wielu obozach i więzieniach, podobnie jak wymieniona grupa z Mysłowic. Ci, którzy przeżyli, piszą często w swoich wspomnieniach, że tam działo im się lepiej niż w Łodzi. Łatwo zrozumieć, dlaczego. Więźniowie dorośli opiekowali się dziećmi, chronili je przed ciężką pracą, dzielili się z nimi żywnością z paczek, a nawet ze swoich skromnych racji żywnościowych. W Mysłowicach opiekowali się dziećmi między innymi Stanisław *Stefaniak* z okolic Mysłowic i Józef *Gowin* z Żywca. Obaj zostali przywiezieni do obozu w Mysłowicach w maju 1943 roku w dużej grupie więźniów politycznych z masowego aresztowania w okolicach Katowic, Sosnowca, Chrzanowa, Jaworzna, Wadowic i Żywca. Byli to głównie kolejarze podejrzani o przynależność do PPR, dokonujący sabotażu.



Ryc. 2. Reprodukcja obu stron kartki wysłanej 3 sierpnia 1943 roku przez Józefa *Gowina* z obozu w Mysłowicach

Stefaniaka wywieziono do Oświęcimia. Więcej wiadomości udało się zebrać o Józefie *Gowinie*, aresztowanym dnia 12 lutego 1943 roku w Żywcu. Przed wojną pracował on na kolei, natomast podczas okupacji był zatrudniony w przedsiębiorstwie melioracyjnym. Od chwili aresztowania do sierpnia 1943 roku rodzina nic o nim nie wiedziała. W dniu 3 sierpnia tegoż roku wysłał jedyną wiadomość do bratowej. Była to pocztówka z Mysłowic ze specjalnym nadrukiem (ryc. 2), więźniom politycznym bowiem nie wolno było pisać do rodzin; wysyłali tylko kartkę zawiadamiającą o miejscu pobytu. Potem wszelki ślad po nim zaginął. Rodzina, mieszkająca w Żywcu, przez wiele lat po wojnie prowadziła bezskuteczne poszukiwania.

Więźniom Mysłowic niezwykle rzadko zezwalano na pisanie listów. Na urzędowej pocztówce pisali adres, *gefängnisleiter* przystawiał pieczątkę i taką pocztówkę wysyłano. Po dzieciach więzionych w Mysłowicach zachowała się jedyna pocztówka, pisana przez Jana *Raczkowskiego* 5 kwietnia 1943 roku. Pisał on, że jest zdrowy, „zamknięty w Mysłowicach w *lagrze*", prosił o jedzenie, zapowiadał wyjazd „do Litzmannstadt". „W Bielsku siedziałem dwa tygodnie, za jedzenie zapłaciłem 20 marek, zostałem bez grosza (...). Można się widzieć od godziny 11 do 1. Przyjedźcie jak najprędzej, bo niedługo może pojedziemy. Pozdrawiam was wszystkich oraz mego najmłodszego brata". Rodzice nie odwiedzili Janka, po prostu nie uzyskali widzenia. Matka przysyłała paczki, które nigdy do niego nie dotarły, aż wreszcie dowiedziała się, że synka nie ma już w Mysłowicach. Wiadomość tę uzyskała od pracownika poczty w Mysłowicach. Jan *Raczkowski* przeżył obóz, ale wkrótce zmarł.

JÓZEF WITKOWSKI Wrocław
były więzień *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei* w Łodzi nr 798

Dalsze informacje o „Polen-Jugendverwahrlager" w Łodzi

„Witaszkowcy"

Wśród więźniów *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei* w Łodzi [1] znalazła się grupa dzieci, których rodziców zamordowano bądź osadzono w obozach hitlerowskich z powodu przynależności do antyfaszystowskiej organizacji ruchu oporu założonej i kierowanej przez dra Franciszka *Witaszka* w Poznaniu [2]. Dr *Witaszek* i jego najbliżsi współpracownicy zostali skazani na karę śmierci. Wyrok wykonano w dniu 8 stycznia 1943 roku w Forcie VII w Poznaniu. Na kilka minut przed śmiercią zakomunikowano skazanym, że ich rodziny również objęto wyrokiem śmierci. Być może, nie wszyscy w to uwierzyli, sądząc, iż hitlerowcy chcą tą wiadomością ich załamać i nasycić się ich bólem. Jeżeli nawet uwierzyli, to najprawdopodobniej nie sądzili, że wyrok ten zapadł również na ich dzieci.

Dr *Witaszek* osierocił pięcioro dzieci w wieku od roku do ośmiu lat, Maria *Gaussowa* — czteroletnią córeczkę i pięcioletniego syna, których pozostawiła podczas aresztowania w pustym mieszkaniu bez żadnej opieki, Teodor *Konarski* — czteroletnią Alinę i ośmioletnią Elżbietę, Józef *Kunert* — troje dzieci, a Stanisław *Witkowski* — dwoje.

Nie wykonano zapowiedzianych wyroków

[1] Zob. J. *Witkowski:* Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 73 i następne.
[2] Por. artykuł H. *Tycnera:* Grupa doktora Franciszka *Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 131—147.

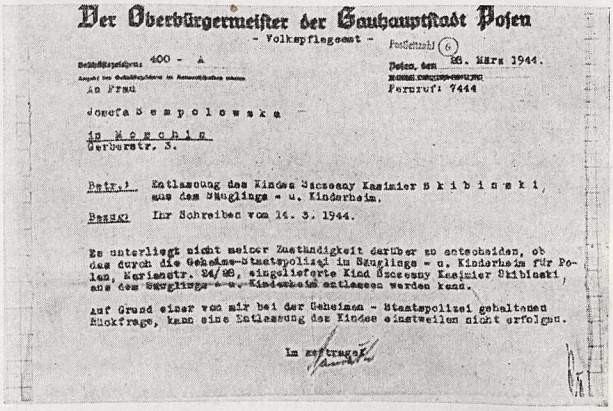
śmierci na rodzinach „witaszkowców". Przystąpiono jednak z całą bezwzględnością do ich wyniszczenia. 15 stycznia 1943 roku aresztowano ponownie żonę dra Franciszka *Witaszka*, Halinę. Uwięziono również staruszkę matkę i dwóch braci doktora. Równocześnie aresztowano rodziny pozostałych członków organizacji. Wszystkich osadzono we wspomnianym Forcie VII, skąd w marcu 1943 roku wywieziono ich do Oświęcimia, gdzie większość zginęła. Już w maju tegoż roku zmarła w obozie oświęcimskim nie przetrzymawszy duru wysypkowego matka dra *Witaszka*. W marcu 1943 roku dokonano aresztowań mosińskiej grupy „witaszkowców" w Mosinie i okolicy. Represja ta objęła kilkaset osób, wśród których znaleźli się ludzie nie mający nic wspólnego z organizacją. Aresztowanych osadzono w Forcie VII, wśród nich lekarza weterynarii *Skibińskiego* i Sylwestra *Nowaka*, którego podejrzewano o to, że był kierownikiem grupy „witaszkowców" na obwód Mosiny. Spośród uwięzionych wybrano 64 osoby, które uznano gestapowską metodą za winnych i w lipcu 1943 roku wywieziono je w niewiadomym kierunku; odtąd wszelki ślad po nich zaginął. Prawdopodobnie zostali oni zamordowani w Gross-Rosen. We wrześniu 1943 roku aresztowano również ich rodziny i osadzono w obozach koncentracyjnych, w których większość zginęła.

Jan *Szeszuła*, syn Wincentego, urodzony 4.XII.1903 roku oraz Stanisław *Tomczak*, syn Stanisława, urodzony 11.X.1899 roku, pouczeni o skutkach prawnych za złożenie zeznania niezgodnego z prawdą (art. 140 k. k.), złożyli następujące zeznanie w dniu 22.II.1947 roku:

„Ś. p. Sylwester *Nowak*, urodzony dnia 21 grudnia 1902 r., zamieszkały do czasu aresztowania przez gestapo, tj. do 2 marca 1943 r. w Krosinku, gmina Mosina, powiat Śrem, był nam osobiście znany i możemy poświadczyć, że wyżej wymieniony został aresztowany przez gestapo w czasie masowego aresztowania w Mosinie i okolicy w dniu 2 marca 1943 roku i odstawiony na Fort VII w Poznaniu pod zarzutem należenia do tajnej organizacji polskiej, mającej na celu niszczenie narodu niemieckiego, co jako współwięźniowie wiemy z ust ś. p. Sylwestra *Nowaka*. Również ś. p. *Nowak* oświadczył w celi więziennej, że uznano go za kierownika tajnej organizacji polskiej na obwód mosiński. Równocześnie nadmieniamy, że spośród kilkuset obywateli aresztowanych z miasta Mosiny i okolicy wybrało gestapo 64, w tej liczbie również ś. p. Sylwestra *Nowaka*, jako głównych winowajców i w połowie sierpnia 1943 roku wywiozło ich w niewiadomym kierunku, przypuszczalnie do Gross-Rosen w celu wykonania wyroku śmierci. Twierdzenie odnoszące się do śmierci opieramy na tym, że Sylwester *Nowak* i pozostali w liczbie 63 byli w przeddzień wywiezienia ich pojedynczo przez gestapo przesłuchiwani, a wracając każdy dawał znak ręką pod gardło, co oznaczało śmierć, i na tym, że wymienieni po ich wywiezieniu z Fortu VII nie dawali żadnego znaku życia i wszelki ślad po nich zaginął, a rodziny wszystkich 64 zostały potem przez gestapo aresztowane, umieszczone w obozach koncentracyjnych i w większej części tam zniszczone. Osobiście jako więźniowie Fortu VII w Poznaniu i później niemieckich obozów koncentracyjnych jesteśmy przekonani, że ś. p. Sylwester *Nowak* nie żyje i za zamordowanego uważać go należy".

Córka Sylwestra *Nowaka*, Gertruda *Nowak-Skrzypczak* podaje:

„Ojciec z Fortu VII pisał do nas listy i przysyłał bieliznę, którą matka odbierała, idąc z paczką żywnościową i czystą bielizną do Poznania pieszo, a jest to z Mosiny 20 km. Bielizna brudna, którą przynosiła, była zawsze strasznie zakrwawiona i podarta, po czym poznawaliśmy, że był tam strasznie męczony".



Der Oberbürgermeister der Hauptstadt Posen
- Volkspflegeamt -
Postscheckkt. (6)
Geschäftszeichen: 400 - A
Posen, den 28. März 1944.
Fernruf: 7444
An Frau
Josefa Sempolowska
in Mosching
Gerberstr. 3.
Betr.: Entlassung des Kindes Szczesny Kazimier Skibinski, aus dem Säuglings- u. Kinderheim.
Bezug: Ihr Schreiben vom 14. 3. 1944.
Es unterliegt nicht meiner Zuständigkeit darüber zu entscheiden, ob das durch die Geheime Staatspolizei im Säuglings- u. Kinderheim für Polen, Marienstr. 24/26, eingelieferte Kind Szczesny Kazimier Skibinski, aus dem Säuglings- u. Kinderheim entlassen werden kann.
Auf Grund einer von mir bei der Geheimen - Staatspolizei gehaltenen Rückfrage, kann eine Entlassung des Kindes einstweilen nicht erfolgen.
Im Auftrage

Ryc. 1. Reprodukcja pisma, w którym powiadomiono rodzinę Szczęsnego *Skibińskiego*, który w wieku 2 lat i 19 dni został aresztowany przez gestapo i przebywał w jego dyspozycji, że prośba o zwolnienie go z domu dziecka nie może być spełniona

We wrześniu i październiku 1943 roku uwięziono dzieci „witaszkowców". W zachowanych kartotekach obozowych odnotowano daty aresztowania 10 września 1943 roku, godz. 22 i 6 października 1943 roku, godz. 22. Wśród aresztowanych dzieci znalazły się między innymi (w nawiasach daty urodzenia):

1. Zenon *Bolewski;* 2. Kazimierz *Cieślewicz* (10.II. 1930 r.); 3. Czesława *Czechowska* (28.VI.1932 r.); 4. Józefa *Czechowska* (30.VIII.1929 r.); 5. Maria *Czechowska* (10.XII.1927 r.); 6. Andrzej *Gauss* (24.V.1937 r.); 7. Ewa *Gauss* (22.VI.1938 r.); 8. Maria *Gierszol* (11.X. 1938 r.); 9. Domicela *Grenda* (3.V.1937 r.); 10. Eugeniusz *Grenda* (12.XI.1927 r.); 11. Jerzy *Grenda* (14.III. 1929 r.); 12. Urszula *Grenda* (13.VII.1933 r.); 13. Jadwiga *Heigelman* (26. VIII. 1932 r.); 14. Tadeusz *Heigelman* (26.VIII.1932 r.); 15. Aleksander *Iwicki* (19. V.1931 r.); 16. Teresa *Iwicka* (29.VIII.1928 r.); 17. Czesław *Jarnot* (25.IV.1930 r.); 18. Edward *Jeżewicz* (24.VIII.1939 r.); 19. Gabriela *Jeżewicz* (24.II.1929 r.); 20. Jerzy *Jeżewicz* (23.XI.1940 r.); 21. Maciej *Jurdziński* (6.XII.1935 r.); 22. Elżbieta *Konarska* (3.IV.1933 r.); 23. Halina *Konarska* (24. V. 1938 r.); 24. Bohdan *Kończak* (27.II.1935 r.); 25. Ireneusz *Kończak* (29.X.1936 r.); 26. Cecylia *Kukucka* (20.XI.1929 r.); 27. Jerzy *Kunert* (22.XI.1936 r.); 28. Zofia *Kurzawa* (18.III.1941 r.); 29. Jan *Koźlecki* (17.XI.1929 r.); 30. Joanna *Maciejewska* (16.VIII.1939 r.); 31. Donata *Matuszak* (20.III.1930 r.); 32. Aleksandra *Michalak* (23.X.1937 r.); 33. Edward *Nowak* (17.III.1937 r.); 34. Gertruda *Nowak* (7.III. 1930 r.); 35. Jerzy *Nowak* (17.IV.1928 r.); 36. Stanisław *Pachujka;* 37. Gertruda *Papież* (11.XI.1940 r.); 38. Jerzy *Papież* (3.II. 1933 r.); 39. Wojciech *Papież;* 40. Jerzy *Skibiński* (13.XII.1935 r.); 41. Szczęsny *Skibiński* (9.III.1942 r.); 42. Wiesława *Skibińska* (20.VIII. 1933 r.); 43. Wojciech *Skibiński* (15.IV.1940 r.); 44. Genowefa *Stróżyńska* (5. XII. 1939 r.); 45. Kazimierz *Urbanek;* 46. Zofia *Urbanek* (11.IV.1929 r.); 47. Alodia *Witaszek* (3.I.1938 r.); 48. Daria *Witaszek* (13.X. 1939 r.); 49. Maria *Wiśniewska* (17.II.1928 r.); 50. Tadeusz *Wiśniewski* (21.X.1931 r.); 51. Janusz *Witkowski;* 52. Romuald *Witkowski;* 53. Danuta *Zakrzewska* (13.VI.1929 r.); 54. Marek *Zakrzewski* (19.VI.1941 r.).

Aresztowane dzieci odtransportowano z wyjątkiem Szczęsnego *Skibińskiego* do obozu dla dzieci i młodzieży polskiej (*Polen-Jugendver-*

wahrlager der Sicherheitspolizei) w Łodzi. W czasie aresztowania policja dysponowała dokładnymi adresami i spisami dzieci. Niektórych nie znalazła pod wskazanymi adresami. Dzieci te tropiono tak długo, aż je odnaleziono. Tylko



Ryc. 2. Zdjęcie obozowe Wiesławy *Skibińskiej*, urodzonej 20.VIII.1933 r., nr więźnia 160

trójkę dzieci dra Franciszka *Witaszka*, 1-rocznego Krzysztofa, 6-letnią Iwonę i 8-letnią Mariolę udało się uratować od aresztowania. Przekupiono wpływowego gestapowca, który odnotował, że dzieci te odstawiono do obozu.

W ten sposób aresztowano całe rodziny od niemowląt począwszy, a na starcach skończywszy. Spośród aresztowanych niewiele osób przeżyło. I tak np. z rodziny Sylwestra *Nowaka* na dziesięć osób aresztowanych przeżyło tylko dwoje najmłodszych dzieci. 1. Sylwester *Nowak* zginął bez wieści. 2. Julianna *Nowak* (żona) w dniu 30.XII.1943 r. zmarła w Oświęcimiu. 3. Aniela *Nowak* (córka) w dniu 11.I. 1944 r. zmarła w Oświęcimiu. 4. Alicja *Nowak* (córka) w dniu 6.I.1944 r. zmarła w Oświęcimiu. 5. Jerzy *Nowak* (syn) zginął w Gross-Rosen w 1944 r. 6. Franciszek *Nowak* (brat) zginął w Dachau w 1943 r. 7. Balbina *Brutkiewicz* (siostra) zginęła w 1943 r. w Oświęcimiu. Ocaleli córka, Gertruda *Nowak*, ur. w 1930 r. i syn, Edward, ur. w 1937 r. Dwoje najmłodszych dzieci pozostało bez środków do życia. Najbliższa rodzina została również wymordowana.

Dziećmi zajęła się krewna, Józefa *Stark*. Długo czyniła starania o przyznanie tym dzieciom renty lub innych środków na utrzymanie. Po kilku latach starań Wojewódzka Rada Narodowa w Poznaniu pismem z dnia 14.II.1950 r. nr WRN 27OO-III-/12/41/49 odmówiła przyznania pomocy, uzasadniając swą decyzję w dwustronicowym orzeczeniu brakiem podstaw prawnych.

Halina *Witaszek* przeżyła obóz, przeżyło również pięcioro jej dzieci. Oto co na ten temat napisała:

„Losy moich dzieci po moim aresztowaniu były różne i bardzo trudne. Ośmioletnia Mariola i sześcioletnia Iwonka znalazły opiekę u mojej rodziny w Kielcach w Generalnej Guberni. Jednoroczny syn, Krzysztof wychował się u mego brata w Ostrowie Wielkopolskim. Natomiast pięcioletnia Alusia i trzyletnia Daryjka pozostały u krewnych w Poznaniu. We wrześniu 1943 r. gestapo zarządziło ich wydanie. Poprzednio, w lutym 1943 r., kiedy wszystkie moje dzieci przebywały jeszcze w Poznaniu, zostały przebadane przez *Rassenamt*. W tym samym czasie ja i kilka matek byłyśmy także badane w Forcie VII przez lekarza z *Rassenamtu*. I tak we wrześniu 1943 r. musiano pod presją uwięzienia odprowadzić obie dziewczynki do Domu Żołnierza.

Według relacji moich córek zostały one najpierw przewiezione do punktu zbornego na Głównej w Poznaniu, a stamtąd odwiezione z kilkoma dziećmi z rodzin tej samej sprawy do obozu w Łodzi. Z tego czasu pamiętają ciemny barak, prycze, na której obie leżały, ogródek z grządkami kwietnymi, małe racje jedzenia i jakieś kobiety pracujące w sąsiednim baraku, z których jedna zrobiła im lalkę gałgankową. Dokładnie nie przypominają sobie, ile czasu tam przebywały. Według naszych obliczeń chyba 4—6 tygodni. Już w drugiej połowie października tylko one obie (z tej sprawy) znalazły się w *SS-Kinderheimie* w Kaliszu. W pierwszych dniach listopada odnalazł je tutaj mój brat, Zygmunt, z Ostrowia Wielkopolskiego. Stało się to dzięki pewnej *volksdeutschce* z Ostrowia, która odwiedziwszy w szpitalu kaliskim swoją krewną, spotkała tam małą dziewczynkę polską. Była to moja starsza córka, wówczas pięcioletnia Alusia. Ponieważ w *SS-Heimie* zachorowała na dyfteryt, odratowano ją w szpitalu przez dokonanie tracheotomii.

Obie dziewczynki przebywały w *SS-Heimie* w Kaliszu do połowy stycznia 1944 r. Tutaj też dokonano częściowego ich zniemczenia. Bratu memu zakazano je odwiedzać, chyba tylko za zezwoleniem gestapo w Poznaniu. Po wywiezieniu ich z Kalisza ślad zupełnie zaginął. Po latach potrafiłam dopiero odtworzyć sobie dalsze koleje ich losu. Z Kalisza przewieziono obie do *SS-Heimu* w Połczynie (Bad Polzin bei Neustettin). W dalszym ciągu przeprowadzano ich germanizację. W momencie, kiedy opuszczały ten zakład, obie umiały już tylko po niemiecku. Starszą, Alusię zabrała Niemka Luisa *Dahl* do Stendalu w Meklemburgii. Było to w kwietniu 1944 r. Młodszą, Darię wydano jak najdalej od siostry, aby się nigdy nie spotkały. Daryjka znalazła się w Austrii u rodziny Edmunda *Schoelma* w Weitra (Dolny Dunaj), niedaleko Wiednia. Przyjazd do tej rodziny nastąpił w maju 1944 r.

Po wojnie długo poszukiwałam dwóch moich córeczek. Dzięki przypadkowi napisałam w lipcu 1947 r. do delegata Rządu polskiego w Ludwigsburgu, dra Romana *Hrabara* z Katowic. Zajmował się on rewindykacją polskich dzieci. Stwierdził on w aktach, że obie moje córki miały zniemczone nazwiska na *Wittke*. Starsza była Alice, młodsza — Dora. Alusia była nawet adoptowana i nosiła już nazwisko *Dahl*. Nawet zmieniono jej miejsce urodzenia z Poznania na Stendal. Jedynie data urodzenia pozostała nie zmieniona.

Alusia wróciła do mnie 7 listopada 1947 r., a Daryjka ogólnym transportem z Wiednia dnia 5 grudnia tegoż roku. Repolonizacja dzieci trwała ponad rok. Uczyły się bardzo dobrze. Młodsza ukończyła szkołę podstawową z odznaczeniem, mając 12 lat, liceum z odznaczeniem jako 16 i pół letnia, a studia politechniczne w Poznaniu z tytułem magistra, mając niespełna 22 lata. Ala ukończyła studia jako biolog z tytułem magistra. Reszta dzieci ukończyła również studia wyższe" [3].

Oto co zanotowała była więźniarka obozu łódzkiego nr 162, Gabriela *Jeżewicz-Panteluk:* „Nigdy nie pójdzie w zapomnienie, kiedy w sierpniu 1944 roku w nocy hitlerowskie zbiry w wozie drabiniastym w słomie wywozili najmłodsze niewinne dzieci z obozu, aby wszelki ślad po nich zatrzeć; nie udało im się, ponieważ w tym dwóch moich bratanków żyje

[3] Por. zeznanie Haliny *Witaszek*, opublikowane w książce J. *Wnuk*, H. *Radomska-Strzemecka:* Dzieci polskie oskarżają. Wyd. „Pax" 1961, s. 56—58.

i pamiętają hitlerowskie «*Achtung*» mimo swoich 3 i 4 lat. Pamiętam, kiedy wyprowadzili z obozu w biały dzień dwie dziewczynki 3- i 4-letnie, córki lekarza z Poznania, nie mogę sobie przypomnieć nazwisk, 6-letniego Macieja *Jurdzińskiego* z Mosiny, również syna lekarza mosińskiego, w jakim celu nie wiem i nie wiem, czy żyją".

Opisana scena wywiezienia najmłodszych dzieci z obozu w Łodzi dotyczy 19 dzieci polskich, które na polecenie Urzędu Rasy i Osadnictwa w dniu 31 lipca 1944 r. wywieziono do obozu w Potulicach. 17 z nich udało się odnaleźć i tylko co do dwojga z nich nie można było ustalić, czy przeżyły. Dwie dziewczynki, o których wspomina *Jeżewicz-Panteluk*, to właśnie córki dra Franciszka *Witaszka*.

W tym czasie, kiedy do łódzkiego „lagru" dostarczono „witaszkowców", obóz był już zbudowany i działał w pełni. Według numerów obozowych nadanych tym dzieciom można przypuszczać, że w obozie przebywało już około 800 chłopców i około 150 dziewcząt. Niektórym nadawano niskie numery pozostałe po tych dzieciach, które zostały „zwolnione". Kierownictwo obozu nie spodziewało się tak dużego transportu, a zwłaszcza dzieci 3—8-letnich. Świadczy o tym fakt, że niemal w ostatniej chwili przygotowywano miejsce dla tej najmłodszej grupy w domku jednorodzinnym, który dotąd stał pusty. Domek ten znajdował się w obozie dziewczęcym przy samym płocie na rogu dzisiejszych ulic Mostowskiego i Górniczej. Budynek ten ocalał. Jest to dom przy ul. Mostowskiego 26. Do dziś zachowały się ślady jego przebudowy wewnątrz. Oto co na ten temat napisał w swoich wspomnieniach były więzień nr 168, Jerzy *Czarnecki*, urodzony w roku 1930:

„W jesieni 1943 roku, gdy pracowaliśmy przy kopaniu ziemniaków, przyszedł zastępca komendanta obozu, esesman *Hausch*[4], zabrał nas wszystkich i zaprowadził do pustego domu na terenie obozu dla dziewcząt. Tu nam powiedział, że ten dom musi być wyremontowany i posprzątany w ciągu trzech dni. Tutaj w nocy przywieźli dzieci 2—3-letnie, które po jakimś czasie wywieźli, ale dokąd, nikt z nas nie wiedział. Koło tego domu był zakaz chodzenia, tylko nieraz było słychać płacz dzieci".

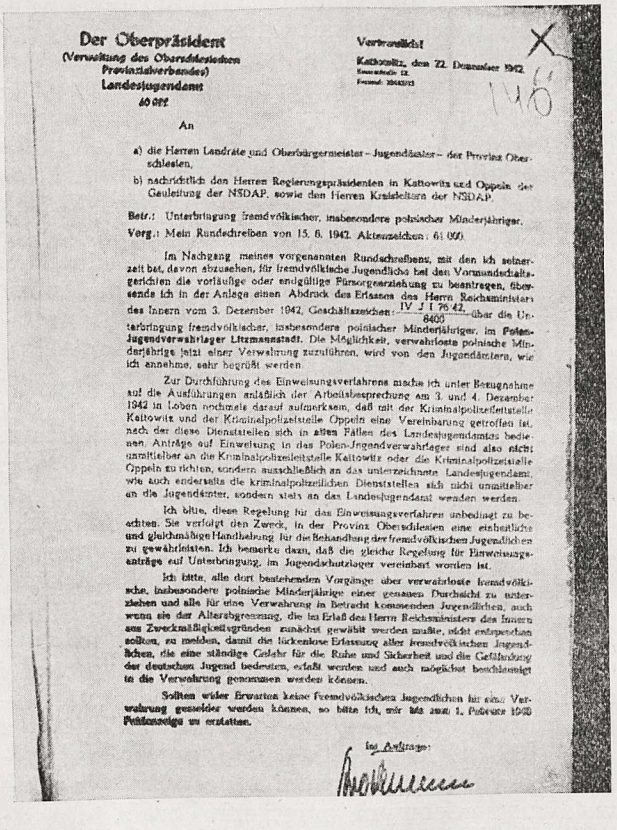
Były więzień nr 705, Bohdan *Kończak* wspomina:

„Po sprowadzeniu wszystkich dzieci do sali podjechały samochody ciężarowe, załadowali nas i odwieźli do Domu Żołnierza w Poznaniu, gdzie dołączono kilkoro dzieci i odwieziono nas na dworzec kolejowy. W czasie podróży dowiedzieliśmy się od eskortujących nas Niemek, że wiozą nas do Łodzi w celu zaopiekowania się nami. W Łodzi byliśmy już chyba bardzo późno i tam znowu oczekiwały nas ciężarowe samochody, ale już odkryte i teraz w wielkim ścisku pojechaliśmy do obozu. Pamiętam, jak się otworzyła brama i po chwili byliśmy w obozie dziewczęcym. Nie zapomnę pierwszej nocy. Spaliśmy po dwóch w łóżku, spałem z moim bratem. Razem z nami przyjechało rodzeństwo z Mosiny, siostra nieco starsza i braciszek, Marek. Mówili, że ma trzy latka. Nikt sobie nie wyobrazi, jak to dziecko rozpaczało, jak płakało za mamą, koniecznie chciało do mamy. My wszyscy chcieliśmy do mamy, ale w stosunku do tego Marka byliśmy starsi i prędzej pogodziliśmy się z ciężkim losem. Razem z bratem przebywałem około trzech tygodni; potem musiałem się z bratem pożegnać i odejść do obozu dla dzieci starszych, bo byłem już zdolny do pracy".

Marek miał wówczas dwa lata i trzy miesiące. On i jego siostra przeżyli obóz. Ich cała rodzina została wymordowana. Marek Z. ukończył studia prawnicze. Na jedno z pytań zawartych w specjalnej ankiecie odpowiedział: „Byłem zastraszony. Miałem kompleks niższości. Przeżywałem koszmarne sny, do dzisiaj szukam swoich krewnych, a rodziców znam tylko z fotografii ślubnej".

Nasuwa się pytanie, dlaczego dzieci, wśród których były niemowlęta, nie umieszczono w domach dziecka, ale osadzono w obozie jak niebezpiecznych wrogów „tysiącletniej" Rzeszy.

Na terenach włączonych do Rzeszy państwo co prawda zajmowało się opieką nad nieletnimi, ale tylko do czasu, zanim rasiści nie doszli do wniosku, że dzieci polskie należy zniemczyć albo zniszczyć. Mówiono o rzekomym niebezpieczeństwie, jakie zagraża dzieciom niemieckim ze strony dzieci polskich. Przebąkiwano o „innym" przymusowym wychowaniu.



Der Oberpräsident
(Verwaltung des Oberschlesischen Provinzialverbandes)
Landesjugendamt
60 001

Vertraulich!

Kattowitz, den 22. Dezember 1942.

An

a) die Herren Landräte und Oberbürgermeister – Jugendämter – der Provinz Oberschlesien,

b) nachrichtlich den Herren Regierungspräsidenten in Kattowitz und Oppeln der Gauleitung der NSDAP. sowie den Herren Kreisleitern der NSDAP.

Betr.: Unterbringung fremdvölkischer, insbesondere polnischer Minderjähriger.

Verg.: Mein Rundschreiben vom 15. 6. 1942. Aktenzeichen: 61 000.

Im Nachgang meines vorgenannten Rundschreibens, mit dem ich seinerzeit bat, davon abzusehen, für fremdvölkische Jugendliche bei den Vormundschaftsgerichten die vorläufige oder endgültige Fürsorgeerziehung zu beantragen, übersende ich in der Anlage einen Abdruck des Erlasses des Herrn Reichsministers des Innern vom 3. Dezember 1942, Geschäftszeichen: IV J 1 26.42 – 8460 – über die Unterbringung fremdvölkischer, insbesondere polnischer Minderjähriger, im Polen-Jugendverwahrlager Litzmannstadt. Die Möglichkeit, verwahrloste polnische Minderjährige jetzt einer Verwahrung zuzuführen, wird von den Jugendämtern, wie ich annehme, sehr begrüßt werden.

Zur Durchführung des Einweisungsverfahrens mache ich unter Bezugnahme auf die Ausführungen anläßlich der Arbeitsbesprechung am 3. und 4. Dezember 1942 in Loben nochmals darauf aufmerksam, daß mit der Kriminalpolizeileitstelle Kattowitz und der Kriminalpolizeistelle Oppeln eine Vereinbarung getroffen ist, nach der diese Dienststellen sich in allen Fällen des Landesjugendamtes bedienen. Anträge auf Einweisung in das Polen-Jugendverwahrlager sind also nicht unmittelbar an die Kriminalpolizeileitstelle Kattowitz oder die Kriminalpolizeistelle Oppeln zu richten, sondern ausschließlich an das unterzeichnete Landesjugendamt, wie auch umgekehrt die kriminalpolizeilichen Dienststellen sich nicht unmittelbar an die Jugendämter, sondern stets an das Landesjugendamt wenden werden.

Ich bitte, diese Regelung für das Einweisungsverfahren unbedingt zu beachten. Sie verfolgt den Zweck, in der Provinz Oberschlesien eine einheitliche und gleichmäßige Handhabung für die Behandlung der fremdvölkischen Jugendlichen zu gewährleisten. Ich bemerke dazu, daß die gleiche Regelung für Einweisungsanträge auf Unterbringung im Jugendschutzlager vereinbart worden ist.

Ich bitte, alle dort bestehenden Vorgänge über verwahrloste fremdvölkische, insbesondere polnische Minderjährige einer genauen Durchsicht zu unterziehen und alle für eine Verwahrung in Betracht kommenden Jugendlichen, auch wenn sie der Altersgrenze, die im Erlaß des Herrn Reichsministers des Innern aus Zweckmäßigkeitsgründen zunächst gewählt werden mußte, nicht entsprechen sollten, zu melden, damit die lückenlose Erfassung aller fremdvölkischen Jugendlichen, die eine ständige Gefahr für die Ruhe und Sicherheit und die Gesundung der deutschen Jugend bedeuten, erfaßt werden und auch möglichst beschleunigt in die Verwahrung genommen werden können.

Sollten wider Erwarten keine fremdvölkischen Jugendlichen für eine Verwahrung gemeldet werden können, so bitte ich, mir bis zum 1. Februar 1943 Fehlanzeige zu erstatten.

Im Auftrage:

Ryc. 3. Fotokopia poufnego zarządzenia *Brockmanna* w sprawie bezpośredniego kierowania dzieci polskich do obozu w Łodzi i chwytania tych dzieci polskich, które są „niebezpieczne dla niemieckich rówieśników" (oryginał znajduje się w WAP w Katowicach, akta *Provinzialverwaltung*, sygn. 5270)

W Państwowym Wojewódzkim Archiwum w Katowicach zachowały się dokumenty Urzędu do Spraw Młodzieży przy Górnośląskim Zarządzie Prowincjonalnym, który powstał

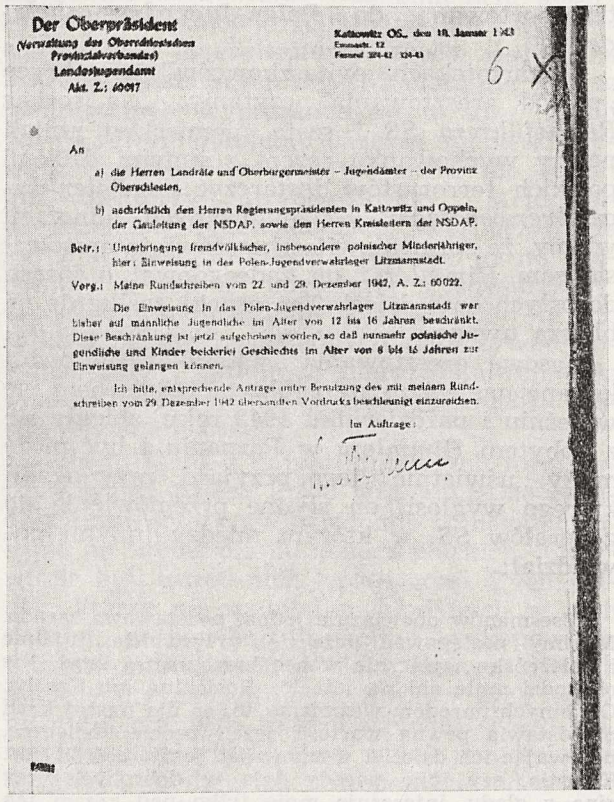
[4] *Hausch* był *lagerleiterem* obozu chłopięcego.

1 kwietnia 1941 r. w Katowicach. W zakres jego działalności wchodziło między innymi wychowanie opuszczonych dzieci. Kierownikiem tej instytucji był Alwin *Brockmann*, urodzony w 1903 roku w Hamburgu. W dniu 18 kwietnia 1942 r. *Brockmann*, powołując się na zarządzenie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*) z dnia 18 lutego 1942 r., IV D2b — 1306/40 g — 137, wydaje poufne zarządzenie stwierdzające, że polscy nieletni przestępcy nie podlegają żadnej opiece, a po ukończeniu 16 roku życia winni być natychmiast kierowani do obozów koncentracyjnych. Widocznie zarządzenie nie dotarło do wszystkich urzędów, skoro w dniu 15.VI.1942 roku zastępca nadprezydenta wydaje poufny okólnik, w którym stwierdza, że w ostatnim okresie mnożą się wypadki kierowania do sądów opiekuńczych wniosków o opiekuństwo nad młodzieżą obcoplemienną, szczególnie polską i czeską. Stwierdza, że niemieckie prawo opiekuńcze nie ma zastosowania do młodzieży narodowościowo obcej. Powołując się na wytyczne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, poleca zaniechania kierowania wniosków o opiekuństwo nad młodzieżą narodowościowo obcą.

Ponadto na naradzie w Urzędzie do Spraw Młodzieży w Katowicach w dniu 17 sierpnia 1942 roku *Brockmann* wypowiedział następujący pogląd: „Czesi, jak i Polacy są narodami bez państwa, dlatego w stosunku do nich należy stosować te same prawa". I dalej: „Są projekty zakładania obozów przymusowych, w których można będzie umieszczać dzieci bez uciążliwych formalności sądowych. Przy okazji następnych rozmów w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych będę apelował o ostateczne rozwiązanie przymusowego wychowania obcej młodzieży". Na naradzie tej zabrał głos również przedstawiciel Urzędu do Spraw Młodzieży w Cieszynie, który stwierdził, że już obecnie konieczne jest znalezienie jakiegoś choćby czasowego rozwiązania tych spraw, dopóki nie zostaną utworzone zaplanowane obozy. Zapytał, czy nie warto wyjednać w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy zezwolenia na ulokowanie młodzieży w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. W dalszej dyskusji *Brockmann* powiedział z rozbrajającą szczerością: „Prawo do opieki społecznej ma jedynie młodzież pełnowartościowa pod względem rasowym".

Apele *Brockmanna*, postulaty szefa łódzkiej „kripo" *Zirpkinsa* i im podobnych „opiekunów" dzieci polskich zostały wysłuchane w Berlinie ze zrozumieniem i odniosły skutek pożądany przez projektodawców. *Reichsführer SS* i szef niemieckiej policji wydaje zarządzenie pismem ekspresowym (*Schnellbrief*) z dnia 28.XI.1942 r., V A 3 nr 3050/42, o utworzeniu od 1.XII.1942 r. obozu dla dzieci i młodzieży polskiej *(Polen-Jugendverwahrlager)*.

Minister spraw wewnętrznych pismem ekspresowym (*Schnellbrief*) z dnia 3.XII.1942 r., IV.J.76/42, zawiadamia o utworzeniu wyżej wymienionego obozu przez *Reichsführera* i szefa niemieckiej policji, przypisując sobie zasługę inicjatywy w jego utworzeniu. W piśmie tym podaje między innymi następujące uzasadnienie: „Wychowanie w zakładach opieki społecznej, zwłaszcza na wcielonych terenach wschodnich, było dotychczas obciążone tym, że przy jednoczesnym braku odpowiednich pomieszczeń przekazywano do zakładów wychowawczych młodzież obcą pod względem narodowym, a szczególnie polską. Urzędy do Spraw Młodzieży i władze opieki społecznej winny zachowywać w przedmiocie umieszczania dzieci polskich ścisły kontakt z policją kryminalną i podtrzymywać go przy przygotowaniu i przeprowadzeniu przekazania do obozu. Ze względów praktycznych będzie brana pod uwagę najpierw młodzież męska w wieku 12—16 lat". Na wspomnianej naradzie *kriminalkommissarin Vogel* z katowickiego „kripo" wyjaśniła: „Obozy ochronne różnią się tym od zakładów opieki społecznej, że więźniowie są zatrudniani w nich przy ciężkich pracach fizycznych, a ponadto utrzymana jest w nich zaostrzona dyscyplina".



Der Oberpräsident
(Verwaltung des Oberschlesischen Provinzialverbandes)
Landesjugendamt
Akt. Z.: 60017

Kattowitz OS., den 10. Januar 1943
Ernestr. 12
Fernruf 324-42 324-43

6

An

a) die Herren Landräte und Oberbürgermeister – Jugendämter – der Provinz Oberschlesien,

b) nachrichtlich den Herren Regierungspräsidenten in Kattowitz und Oppeln, der Gauleitung der NSDAP. sowie den Herren Kreisleitern der NSDAP.

Betr.: Unterbringung fremdvölkischer, insbesondere polnischer Minderjähriger, hier: Einweisung in das Polen-Jugendverwahrlager Litzmannstadt.

Verg.: Meine Rundschreiben vom 22. und 29. Dezember 1942, A. Z.: 60022.

Die Einweisung in das Polen-Jugendverwahrlager Litzmannstadt war bisher auf männliche Jugendliche im Alter von 12 bis 16 Jahren beschränkt. Diese Beschränkung ist jetzt aufgehoben worden, so daß nunmehr polnische Jugendliche und Kinder beiderlei Geschlechts im Alter von 8 bis 16 Jahren zur Einweisung gelangen können.

Ich bitte, entsprechende Anträge unter Benutzung des mit meinem Rundschreiben vom 29. Dezember 1942 übersandten Vordrucks beschleunigt einzureichen.

Im Auftrage:

Ryc. 4. Fotokopia zarządzenia *Brockmanna* nakazującego kierowanie dzieci do obozu w Łodzi w wieku 8—16 lat, obojga płci (oryginał w WAP w Katowicach)

18 stycznia 1943 roku *Brockmann* zawiadomił podległe jednostki: „Umieszczanie w obozie w Łodzi ograniczało się dotychczas do młodzieży męskiej w wieku 12 do 16 lat. Ograniczenie rozpiętości wieku rozszerza się; wysyłaniu do obozu podlegają dzieci i młodzież polska obojga płci w wieku od 8 do 16 lat". Aczkolwiek w oficjalnych aktach „prawnych" nie natrafiłem na zniesienie wszelkich ograniczeń w umieszczaniu dzieci w łódzkim obozie, to

w grupie „witaszkowców" znalazły się dzieci w wieku od 2 do 8 lat. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie, aby dzieci i młodzież polska z zakładów opiekuńczych została odtransportowana do Łodzi.

Oczywiście pozostawała sprawa odpowiedniego uzasadnienia każdego wniosku i zachowania pozorów legalności. We wnioskach w rubryce „powód skierowania" czytamy: aspołeczny charakter, ucieczka z domu opieki, zły wpływ na otoczenie, brak postępów w nauce, ospałość i niechęć do zabawy, niedorozwój umysłowy, moczenie łóżka, kłamstwa itp. Wśród innych wniosków podawano takie określenia: brak dostatecznej opieki, rodzice nie żyją, rodzice w obozach koncentracyjnych (Oświęcim, Dachau), włóczęgostwo, ujemny wpływ na dzieci niemieckie, kradzież, pokątny handel, nielegalne przekroczenie granicy z Generalnej Guberni itp. W jednym z wniosków rozważano oddanie pod sąd doraźny 14-letniej dziewczynki za handel kartkami żywnościowymi. W drodze „łaski" skierowano ją do *KL Auschwitz*, skąd w lipcu 1943 r. została odtransportowana do *Polen-Jugendverwahrlager* [5].

W kartotekach „witaszkowców" w rubryce „powód aresztowania" czytamy: „Na rozkaz *Reichsführera SS* i szefa niemieckiej policji należy wychowankę razem z innymi dziećmi polskich terrorystów dostarczyć do *Polen-Jugendverwahrlager*". Z cytowanych adnotacji wiemy, że sprawą „witaszkowców" interesował się sam *Himmler* i on zadecydował o losach dorosłych oraz dzieci. Ten aspekt zasługuje na bliższą uwagę.

Masowe aresztowania „witaszkowców", dokonane nagle i ze szczególnym pośpiechem we wrześniu i październiku 1943 roku, zbiegły się z pobytem *Himmlera* w Poznaniu i być może miały „uświetnić" jego przyjazd, przy okazji którego wygłosił on słynne przemówienie do generałów *SS*, w którym między innymi powiedział:

„Esesmanów obowiązuje jedna, podstawowa zasada. Musimy postępować uczciwie, przyzwoicie, lojalnie i koleżeńsko wyłącznie wobec ludzi naszej krwi. Nie obchodzi mnie ani na jotę los Rosjanina lub Czecha. Od innych narodów weźmiemy to, co dla naszej krwi przedstawia pewną wartość, jeżeli będzie konieczne, porywając ich dzieci i wychowując je tu, pośród nas. Kwestia, czy inne narody żyją w dobrobycie, czy giną z głodu, interesuje mnie tylko pod katem ich przydatności jako niewolników dla dobra naszej kultury. Pod innym względem sprawa ta jest dla mnie bez znaczenia. Obojętne mi jest, czy dziesięć tysięcy kobiet rosyjskich padnie z wyczerpania przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, ważne jest dla mnie tylko to, aby rów przeciwczołgowy budowany w interesie Niemiec był gotów. Nie będziemy nigdy postępować okrutnie i bezlitośnie, gdy nie zajdzie po temu potrzeba — to jasne. My, Niemcy, jesteśmy jedynym narodem na świecie, który cechuje przyzwoity stosunek do zwierząt [6] i tak również będziemy się odnosili do tych zwierząt ludzkich. Zbrodnią wobec naszej krwi byłoby jednak, gdybyśmy się przejmowali ich losem, gdyż nasi synowie i wnukowie stanęliby w obliczu jeszcze trudniejszych zadań. Gdyby ktoś przyszedł do mnie i powiedział: «Nie mogę nakazać kopania rowu przeciwczołgowego samym tylko kobietom i dzieciom. To jest nieludzkie, gdyż byłoby równoznaczne z ich zabójstwem» — mam na to tylko jedną odpowiedź: «Jesteś mordercą swojej własnej rasy. Jeśli bowiem rów przeciwczołgowy nie zostanie wykopany, polegną żołnierze niemieccy, synowie matek niemieckich. Oni są naszą krwią... Nas obchodzi tylko nasz naród, nasza krew i to jest naszym obowiązkiem. Inne rzeczy nas nie interesują». Chciałbym, żeby członkowie *SS* zajęli to stanowisko wobec wszystkich obcych, niegermańskich narodów, zwłaszcza wobec Rosjan..."

W tym samym przemówieniu w odniesieniu do Żydów *Himmler* powiedział:

„Większość z was, patrząc na leżące pokotem zwłoki, obojętne czy ich jest sto, pięćset, czy tysiąc, zdaje sobie sprawę, po co to robimy. Jest to zaszczytna karta naszej historii, która nie została napisana i nigdy nie będzie napisana. Mieliśmy moralne prawo, mieliśmy obowiązek wobec naszego narodu zniszczyć naród, który dążył do tego, aby nas zniszczyć".

Było to przypomnienie zasady, która obowiązywała i była stosowana z całym okrucieństwem przez esesowców od pierwszego dnia, gdy tylko stanęli na ziemi polskiej. Dla esesmanów nie istniał podział na kobiety, starców i dzieci. Wszyscy więźniowie bez względu na wiek byli wrogami, których tępiono wszelkimi środkami, co też „wychowawcy" z *Polen-Jugendverwahrlager* czynili z całą sumiennością i to nie tylko wobec dzieci rdzennie polskich.

Oto przykład: Do *Polen-Jugendverwahrlager* przywieziono trójkę dzieci (rodzeństwo); byli to *Hans, Willi* i Gertruda *Molka*. Najmłodszy chłopiec miał 6 lat, a dziewczynka, najstarsza z rodzeństwa, około 14—15 lat. Ich ojciec, Józef *Molka*, urodzony 28. I. 1903 roku w miejscowości Piątki pod Łęczycą lub w Piątkach pod Poznaniem, wyemigrował w roku 1922 do Niemiec, gdzie założył rodzinę i miał sześcioro dzieci. Pod koniec wojny całą rodzinę aresztowano. Trójkę najmłodszych dzieci osadzono w *Polen-Jugendverwahrlager*, natomiast Józefa *Molkę* i trzech synów: Bolesława, Władysława i Stefana osadzono w więzieniu. Najstarszy syn miał wówczas 2 lata. Józef *Molka* w grudniu 1944 roku został skazany na karę śmierci za słuchanie i rozpowszechnianie zagranicznych audycji radiowych. Wyrok wykonano. Starszych trzech synów osadzono w więzieniu, ich dalsze losy nie są znane. Jak podają byli więźniowie obozu łódzkiego, Gertruda *Molka* została zamordowana w obozie, najmłodszy zmarł w „izbie chorych", średni przed samym wyzwoleniem został wywieziony z obozu. Jego dalszych losów nie udało się ustalić [7]. Rodzeństwo *Molków* nie miało żad-

[5] Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Katowicach, akta *Provinzialverwaltung*, sygn. 5270—5785.

[6] *Himmler* zapewne nawiązywał do ustawy o ochronie zwierząt z dnia 24.XI.1933 roku. Ustawa postanawiała, że jej celem jest budzenie sympatii do zwierząt, zapobieganie okrucieństwom wobec nich. Ustawa ograniczała również możliwość doświadczeń na zwierzętach do wyjątkowych wypadków.

[7] Informacje dotyczące Józefa *Molki* i jego trzech najstarszych synów opracowano na podstawie materiałów nadesłanych przez antyfaszystowski komitet w Berlinie (NRD); relacje byłych więźniów są podstawą informacji o pozostałych dzieciach. Zachowało

nych kontaktów z rodziną, nie otrzymywało również paczek. Po polsku dzieci te rozmawiały bardzo słabo i to im utrudniało nawiązanie kontaktu z dziećmi polskimi, które ich się bały, odnosząc się do *Molków* nieufnie jako do Niemców. Esesmani zaś traktowali *Molków* niezwykle brutalnie jako odszczepieńców i zdrajców Rzeszy.

Miejsce na obóz dla dzieci zostało wybrane starannie. Kierowano się takimi samymi zasadami, jak przy doborze miejsc pod obozy koncentracyjne dla dorosłych. Obóz zlokalizowano na peryferiach północnej Łodzi, w dzielnicy prawie zupełnie nie zamieszkałej. Obóz z trzech stron otaczało getto, a z czwartej cmentarz żydowski, który zresztą też należał do getta. Jedynym wejściem i wyjściem z obozu była brama główna odcinająca część ul. Przemysłowej włączonej do obozu (stąd nazwa: obóz na ul. Przemysłowej). Obóz nie miał kanalizacji ani żadnych urządzeń sanitarnych. Wodę czerpano z kilku studzien. W obozie odczuwało się dotkliwy brak wody. Np. studnia mieszcząca się obok bloku I, II i rozległego baraku była źródłem zaopatrzenia w wodę dla około 500—600 dzieci. Z tej studni czerpano rano wodę do mycia, na które w sumie przeznaczone było około 30 minut. Do końca roku 1943 nie było w obozie łaźni ani pralni.

Bieliznę zmieniano od przypadku do przypadku. Mydła ani środków do mycia i prania nie wydawano. Za brud wymierzano kary chłosty i pozbawiano i tak już głodowych posiłków. Gruntowne mycie pojmowane było w tych warunkach jako kara. Co dzień odbywało się pokazowe mycie. Polegało ono na tym, że wybierano kilku brudnych, którzy wzajemnie musieli się myć ostrą szczotką pod studnią bez względu na porę roku i pogodę. Wszy i pluskwy były dodatkowym utrapieniem małych więźniów. Taborety, stoły i podłogi musiały błyszczeć. Podłogi butelkowano do połysku.

Małym więźniom wpajano zasady posłuszeństwa, porządku i czystości. Uchylających się od tych zasad starano się „wychowywać" za pomocą chłosty i pozbawiania posiłków. Za brud bito do utraty przytomności, nie troszcząc się o wydawanie mydła. Nakazywano szukanie wszy. Odbywało się to w ten sposób, że ustawiano dzieci w dwuszeregu twarzami do siebie i stojący naprzeciw siebie wzajemnie szukali sobie wszy. Za znalezienie wszy dawano nagrody: „pajdkę" chleba lub dodatkową zupę, a winnych chłostano i pozbawiano posiłków. Stosowano musztrę ze śpiewem. Komendy padały w języku niemieckim, a ponieważ nie wszyscy rozumieli ten język, zdarzały się nieporozumienia, za co kazano skakać w przysiadach tzw. „żabką". Wyczerpane dzieci padały tratowane przez inne, bite i kopane przez „wychowawców". Esesmani czynili to pedantycznie i ze spokojem, jakby trzepali dywany. Zaszczute i zastraszone dzieci bały się rozmawiać nawet szeptem, żeby nie dać powodu do bicia. Zresztą „wychowawcy" bili i bez powodu, znęcali się z upodobania, rozkoszowali się widokiem przerażonych dzieci. Czasami wpadali w szał. Najczęściej wówczas ofiarami stawały się „łajzy" (muzułmanie), tych po prostu dobijano. Szczególnie postępowano tak w okresie epidemii duru.

W obozach dla dorosłych starano się przynajmniej zachowywać pozory. W obozie łódzkim dzieci zdane były całkowicie na łaskę „nadludzi", którzy wobec nich nie musieli nawet zachowywać pozorów. „Wychowawców" do załogi obozowej dobierano spośród takich funkcjonariuszy *SS* lub policji kryminalnej, którzy należycie wykazali się odpowiednią praktyką, otwierającą im drogę do elitarnych załóg obozowych. Tak więc na litość tych zwyrodniałych ludzi nie można było liczyć. Każdy z nich miał wprost nieograniczoną władzę. Podobnie jak w innych obozach, i tutaj załoga nie była liczna. Uzupełnieniem dozorców byli więźniowie funkcyjni, tzw. *sztubenaltesterzy* i *hausaltesterzy*. Tych wybierano z grupy najstarszych dzieci i moralnie jeszcze niedojrzałych wyposażono we władzę. Nosili oni na lewym ramieniu okrągłą, niebieską naszywkę. Dawali się oni we znaki nie gorzej niż niektórzy „wychowawcy". Meldowali o wszelkich przewinieniach, wyznaczali do karnych apeli. Prowadzili również karne ćwiczenia i z własnej inicjatywy stosowali kary. Okradali współwięźniów z żywności i to nie tylko z paczek i normalnych racji żywnościowych. Żądali okupu za nieprzedstawienie do raportu. Wypożyczali pół porcji chleba, biorąc w zamian całą.

Była to jedna z najperfidniejszych form deprawowania dzieci, które wzajemnie się okradały i zadreczały, nieświadomie pomagając załodze w wyniszczaniu dzieci polskich. Oczywiście byli wśród nich lepsi i gorsi. Tych jednak, którzy nie spełniali pokładanych w nich nadziei, pozbawiano funkcji i szykanowano, a często umieszczano w bloku karnym. Na ich miejsce przychodzili inni. Sprawa tych więźniów funkcyjnych, którzy używali swego stanowiska nadgorliwie, jest wciąż przedmiotem dyskusji i analizy ich postępowania od strony etyczno-moralnej, jak też prawnej. Tu jednak mamy do czynienia z dziećmi, których postępowania nie można oceniać według tych samych kryteriów, co ludzi dorosłych. W tym szczególnym przypadku nie można dopatrywać się winy, gdyż sprawa dotyczy tylko deprawacji, świadomie i celowo narzucanej nieletnim przez esesowców. Gdyby mnie ktoś dzisiaj zapytał, czy przyjąłbym wówczas funkcję w obozie, bez wahania odpowiedziałbym, że tak.

Mimo warunków, w jakich bytowali mali więźniowie, mimo ich wzajemnego skłócenia nie udało się złamać solidarności jako formy samoobrony. Można by podać wiele przykładów, jak mali więźniowie wszyscy woleli po-

się zdjęcie obozowe Gertrudy *Molki*. Fotokopie akt sądowych w sprawie rodziny *Molków* znajdują się w Archiwum Zakładu Historii Partii przy KC PZPR pod sygnaturą 214.

nosić odpowiedzialność niż wydać winnego. Solidarność ta uwidaczniała się również w pomaganiu słabym i chorym, w dzieleniu się zawartością paczek oraz żywnością „zorganizowaną". Starsi pisali listy młodszym, którzy nie umieli pisać.

Antysanitarne warunki, głód i zimno doprowadziły w listopadzie 1943 roku do wybuchu epidemii duru wysypkowego. Władze obozowe usiłowały zwalczyć epidemię bez okresu kwarantanny. Oto co na ten temat pisała Maria *Niemyska-Hessenowa* w artykule pt. „Dzieci z *lagru* w Łodzi", opublikowanym w czasopiśmie Polskiego Instytutu Służby Społecznej (1946, nr 1):

„Z zeznań dzieci wynika, że rzadko wszyscy ci, którzy dla pracy rankiem opuszczali barak, wracali do niego wieczorem. Uprowadzano dzieci na teren getta i tam je mordowano. W okresie epidemii tyfusu (...) wszystkie, które na nią zapadały, likwidowano w getcie. Starsi z młodocianych więźniów zdawali sobie sprawę z tego, co ich czekało w momencie zdradzenia się z objawami choroby. Starali się więc za wszelką cenę tyfus «przechodzić». Niewielu to się jednak udawało".

Masowe zgony zmusiły władze obozowe do ogłoszenia kwarantanny. W dniu 23 grudnia 1943 roku sprowadzono do obozu lekarza-pediatrę dra Emila *Vogla*, obecnie mieszkańca Pragi czeskiej. Oto jego wypowiedzi z listu do autora artykułu:

„Cieszę się, że Pan przeżył tę grozę w obozie. Z nikim z *Jugendverwahrlager* nie nawiązałem kontaktu, ponieważ nie wiem, kto też z tych dzieci przeżył i gdzie żyje. Interesowałby mnie bardzo los tak zwanej Gertrudy (w rzeczywistości tak się nie nazywała), która pracowała ze mną w ordynacji. Była z Mosiny. Dotychczas nikt o moje przeżycia nie pytał ani tu, ani w Polsce. Jest to zrozumiałe, ponieważ nikt nie wie o tym, że byłem w *Polen-Jugendverwahrlager*. Znam jedynie książkę «Reportaż z pustego pola». Wychowawców, którzy działali w obozie, nie znałem wszystkich; pamiętam tylko «Gienię» która nie była dobra dla dzieci[8]. Co się stało z Niemką *Bayerową*, ta była właśnie najgorsza. Czy została odszukana? Lekarstw nie dostawałem od nikogo; część pochodziła z getta, część ukradłem Niemcom. Od polskich wychowawców lekarstw nigdy nie dostałem. Do obozu przybyłem 23 grudnia 1943 roku i opuściłem obóz 28 sierpnia 1944 roku. Z Łodzi zostałem odtransportowany do Oświęcimia. W «izbach chorych» ordynowałem jedynie pod nadzorem *Bayerowej*, inaczej nie miałem prawa wejść na pokoje; byłem kilkakrotnie w pokojach tych, co się moczyli. Było to gdzieś z tyłu obozu; (...) podczas ostrej zimy były otwarte okna[9]. Stan zdrowotny, kiedy tam przybyłem, był zły, około 50 przypadków duru wysypkowego. Stan zdrowotny stale się pogarszał i kiedy mnie odtransportowano, był najgorszy. Panował głód i choroby oczu. Widziałem opuchlizny z głodu u około 50% stanu. Najmłodsze dziecko było około 2-letnie, prawdopodobnie z Mosiny. W czasie epidemii duru śmiertelność nie była duża (...). Ogółem zachorowało około 200 dzieci, dokładnej liczby nie znam, ponieważ dzieci leczono w getcie w szpitalu na Marysinie (...). Ja miałem jedynie zadanie wyszukiwać chorych w pokojach. *Bayerowa* pozostawała zawsze na zewnątrz, bała się zarazy. W getcie w szpitalu nie leczyłem w tym czasie, leczącym lekarzem był dr *Dubsky* z Pragi, który obecnie żyje w Kanadzie, adresu niestety nie znam. Dzieci z Lidic nie spotkałem w tym obozie, były już w tym czasie odtransportowane[10] (...). Proszę pozdrowić też wszystkich, kogo pan zna z obozu i kto mnie pamięta. Niech napiszą".

W innym liście dr *Vogl* pisze:

„...otrzymałem przysłany przez Pana «Przegląd Lekarski» z artykułem o *Polen-Jugendverwahrlager*. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem Pana artykuł, który jest jedynie obiektywny. Przeczytałem tam również, że *Bayerowa* została skazana i stracona. Ostatecznie też trochę sprawiedliwości".

Dr Emil *Vogl* ma obecnie 67 lat. W chwili, kiedy piszę ten artykuł, dr *Vogl* przebywa w szpitalu, jest ciężko chory.

Jakub *Poznański* w „Pamiętniku z getta łódzkiego" pod datą 24 grudnia 1943 roku, a więc dzień po przybyciu dra Emila *Vogla* do obozu, odnotował:

„...potem okazało się, że do szpitala przywieziono transport chłopców z obozu polskiego, tak zwanego *Polen-Jugendlager*, który graniczy z cmentarzem żydowskim. Było ich stu kilkunastu w wieku od 12 do 15 lat. Większość stanowili Polacy, ale znajdowali się wśród nich także Francuzi, Grecy i przedstawiciele innych narodowości. Gdy ich wykąpano, a byli bardzo brudni, oczom lekarzy i pielęgniarek przedstawił się koszmarny widok. Ciała wynędzniałe (skóra i kości), noszące ślady nieludzkiego bicia i katowania. Plecy pokryte ropiejącymi strupami. Niektórzy mieli poprzetrącane kończyny i palce. Dzieci te chorowały na tyfus plamisty i żaden niemiecki lekarz nie chciał ich leczyć...".

Były więzień, Stanisław *Bielski*, urodzony w 1927 roku, pisał: „Zimą wybuchła epidemia tyfusu. Między innymi zachorował mój brat. Chorych wywieziono do getta. Z naszego budynku wywieziono około 50 osób, a po trzech miesiącach wróciło 7".

„Witaszkowcy" traktowani byli szczególnie brutalnie i bezwzględnie. W roku 1944 niektórych więźniów zwalniano. Dla nich zwolnień nie było. Z tej grupy udało się odnaleźć tylko jedną osobę, którą zdołano wydostać z obozu. Po osiągnięciu 16 lat wywożono ich do obozów koncentracyjnych. Wśród nich znaleźli się: Maria *Czechowska*, Eugeniusz *Grenda*, Jerzy *Nowak*[11], Stanisław *Pachujka*, Maria *Wiśniewska*.

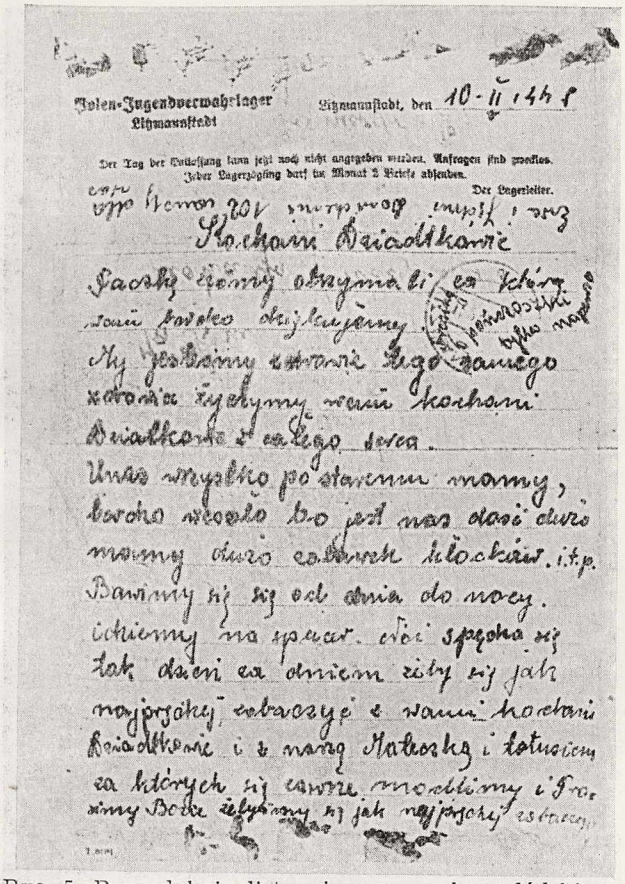
Z tego okresu zachowało się sporo listów pisanych przez dzieci „witaszkowców" z obozu. Cytuję fragmenty niektórych z nich. Za sześcioletnią Ewę *Gauss* pisano: „U nas wszystko po staremu, mamy bardzo wesoło, bo jest nas dość dużo, mamy dużo zabawek, klocków itp. Bawimy się od dnia do nocy, idziemy na spacer. No i spędza się tak dzień za dniem, żeby się jak najprędzej zobaczyć z Wami, kochani Dziadkowie i z naszą Mateczką i Tatusiem, za których się zawsze modlimy i prosimy Bozię, żebyśmy sie jak najprędzej zobaczyli". Ewunia nie wiedziała, że jej ojciec już

[8] Była to niewątpliwie Eugenia *Pohl*.

[9] Szczegółowe informacje o bloku dla dzieci moczących się zawiera artykuł podany w przypisie 1, str. 73—81.

[10] W czasie ostatniego pobytu w Czechosłowacji autor artykułu wyjaśnił, że dzieci z Lidic nie były więzione w *Polen-Jugendverwahrlager*. Spotkał się też po 23 latach z dr Emilem *Voglem*.

[11] Jerzy *Nowak* został wywieziony z obozu w Łodzi do Gross-Rosen, gdzie zginął. Jego imię przyjęła drużyna harcerska nr 58 przy Szkole Podstawowej 101 we Wrocławiu.



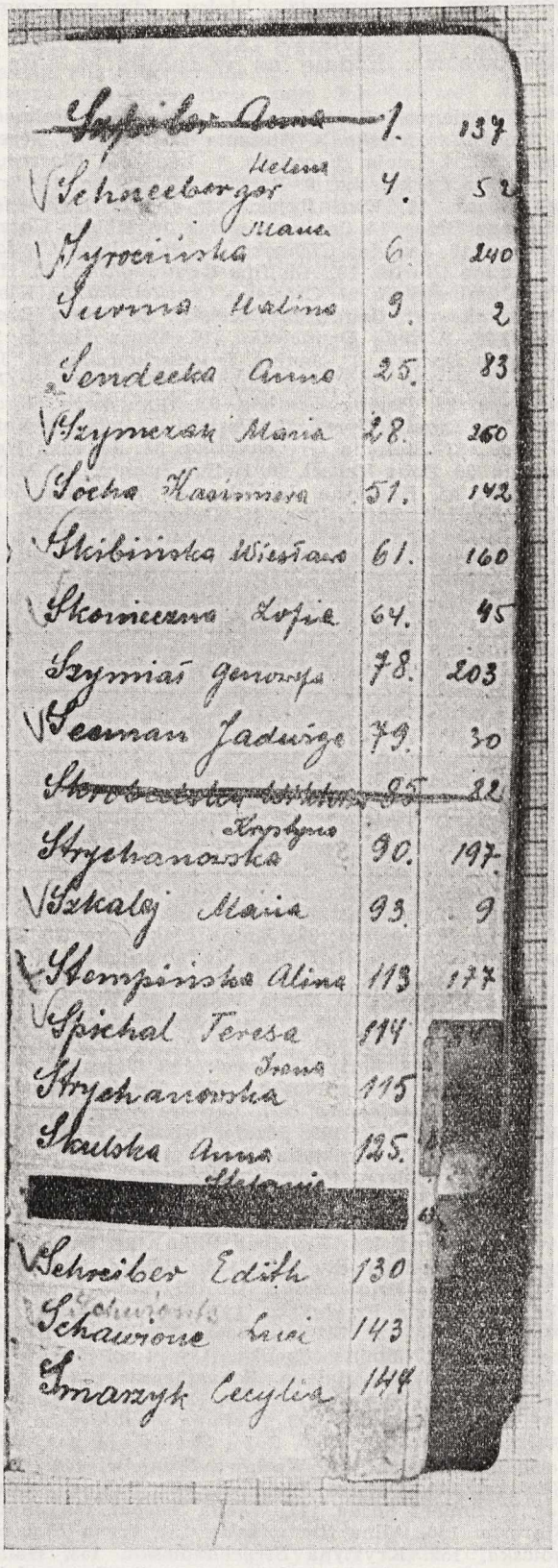
Ryc. 5. Reprodukcja listu pisanego z obozu łódzkiego za Ewę *Gauss* (urodzoną w roku 1938) i za jej brata, Andrzeja *Gaussa* (urodzonego w roku 1937)

nie żył od dawna, a jej „Mateczka" rok wcześniej została zamordowana w Forcie VII w Poznaniu.

Elżbieta *Konarska*, nr obozowy 163, urodzona w roku 1933, pisała: „Kochana ciociu. Pytasz, czy jestem smutna, jak dawniej. Jest mi dobrze, bawię się. O nic się nie martwię, tylko przykro mi jest, że nie mogę być razem z Wami. Tak mi jest tęskno za Wami, tak pragnę widzieć kogoś z rodziny". Elżbieta też nie wiedziała, że jej ojciec został zamordowany w Forcie VII w Poznaniu.

Tadeusz *Heigelman*, nr obozowy 776, urodzony w roku 1932, pisał: „Święta spędziliśmy bez naszych kochanych rodziców i krewnych. Teraz proszę ciocię o jakąś czapkę i szarawary, gdyż mnie jest zimno. Proszę również bardzo, żeby ktoś do nas przyjechał na widzenie, gdyż tęsknimy bardzo. Teraz życzę wszystkim szczęśliwego Nowego Roku, żeby przyniósł nam szczęście i żebyśmy wszyscy zobaczyli się już w domu". Tadeusz nie wiedział, że już nigdy nie zobaczy swojej matki, która została zamordowana.

Maria *Wiśniewska*, nr obozowy 219, urodzona w roku 1928, pisała: „Na wstępie dziękuję bardzo za otrzymane paczki. Sprawiają nam one wielką radość, gdyż paczki są bardzo smaczne. Dziękuję również Januszowi za wiadomość o Ludku. Ucieszyła ona nas bardzo, chociaż smutno nam, że jest w Oświęcimiu. Na pewno prosi też o paczki, więc proszę, niech



Ryc. 6. Reprodukcja jednej stronicy z zachowanego skorowidza bloku dziewczęcego. Między innymi znajduje się tutaj nazwisko Wiesławy *Skibińskiej*. Liczby w rubryce pierwszej oznaczają wewnętrzne numery w bloku, liczby w prawej skrajnej rubryce są numerami obozowymi

ciocia paczki przeznaczone dla nas jemu posyła. Jemu są pewno więcej potrzebne. Biedny Ludek, taki młody i już tak cierpieć musi".

Zachowały się nie tylko listy, lecz także

podręczny skorowidz bloku dziewczęcego, w którym więziono dziewczęta z grupy „witaszkowców". Podaję go w całości:

1. Marianna *Bajerska*. 2. Genowefa *Baławąs*. 3. Mery *Barczewska*. 4. Stefania *Bartczak*. 5. Teresa *Bertrand*. 6. Lucja *Biegańska*. 7. Leokadia *Błaszczyk*. 8. Cecylia *Borkowska*. 9. Barbara *Budzińska*. 10. Emma *Bujak*. 11. Ewa *Bujak*. 12. Janina *Bujnowicz*. 13. Anna *Bulas*. 14. Janina *Cepizur*. 15. Helena *Chrzanowska*. 16. Jadwiga *Cichocka*. 17. Stanisława *Cieślak*. 18. Janina *Ciurlik*. 19. Adolfina *Cumbrzyńska*. 20. Halina *Cumbrzyńska*. 21. Czesława *Czechowska*. 22. Klara *Dąbrowska*. 23. Genowefa *Dolińska*. 24. Klara *Drożdżyk*. 25. Alfreda *Drzewiecka*. 26. Maria *Dudek*. 27. Wiktoria *Ertman*. 28. Janina *Franciszkowska*. 29. Joanna *Gajewska*. 30. Irena *Gałecka*. 31. Krystyna *Gawrońska*. 32. Regina *Gembus*. 33. Stanisława *Góralczyk*. 34. Rozalia *Gorni*. 35. Urszula *Grenda*. 36. Zofia *Grząsik*. 37. Stefania *Grzuchowska*. 38. Jadwiga *Heigelman*. 39. Zofia *Hensel*. 40. Halina *Iwanow*. 41. Maria *Iwanow*. 42. Krystyna *Jasińska*. 43. Leokadia Zofia *Jaworska*. 44. Zofia *Jeka*. 45. Gabriela *Jeżewicz*. 46. Daniela *Jurkiewicz*. 47. Maria *Kaczmarek*. 48. Teresa *Kaczmarczyk*. 49. Krystyna *Kaczorowska*. 50. Bogusława *Kędziła*. 51. Helena *Kasprzyk*. 52. Lucja *Klimczak*. 53. Lucja *Klimczak* [12]. 54. Zofia *Klisz*. 55. Halina *Kmieć*. 56. Bronisława *Knapik*. 57. Irena *Kochanek*. 58. Krystyna *Kolasa*. 59. Elżbieta *Konarska*. 60. Barbara *Kopeć*. 61. Maria *Korkowska*. 62. Zofia *Kostera*. 63. Elizabella *Koszate*. 64. Helena *Krupa*. 65. Urszula *Kubiak*. 66. Czesława *Krakus*. 67. Aleksandra *Kraszewska*. 68. Irena *Kucharska*. 69. Cecylia *Kukucka*. 70. Zofia *Kurka*. 71. Barbara *Kurtos*. 72. Urszula *Kuźnik*. 73. Bolesława *Lang vel Łaniecka*. 74. Marianna *Lang Łaniecka*. 75. Helena *Leszczyńska*. 76. Helena *Leszyńska*. 77. Maria *Leśniak*. 78. Helena *Leśniewska*. 79. Teresa *Lewandowska*. 80. Irmgard *Lisowska*. 81. Anna *Ładziak*. 82. Bolesława *Łaniecka*. 83. Aniela *Machnicka*. 84. Janina *Maciejewska*. 85. Zofia *Maciejczyk*. 86. Bronisława *Małota*. 87. Alfreda *Majewska*. 88. Irena *Majkowska*. 89. Janina *Makowska*. 90. Barbara *Maliszewska*. 91. Halina *Malinowska*. 92. Henryka *Maniewska*. 93. Genowefa *Markowska*. 94. Stanisława *Markowska*. 95. Maria *Matlak*. 96. Teresa *Milka*. 97. Irena *Mirowska*. 98. Urszula *Motylewska*. 99. Stanisława *Myśliwska*. 100. Barbara *Muchowicz*. 101. Maria *Nagalla*. 102. Gertruda *Nowak*. 103. Urszula *Nowak*. 104. Daniela *Nowakowska*. 105. Elżbieta *Ogórek*. 106. Irena *Okoniewska*. 107. Barbara *Olejniczak*. 108. Władysława *Opich*. 109. Józefa *Osiewicz*. 110. Aniela *Ostrowska*. 111. Leokadia *Pabiańczyk*. 112. Urszula *Page*. 113. Helena *Paluch*. 114. Sabina *Pawełczyk*. 115. Teofila *Pawełczyk*. 116. Malina *Pawłowska*. 117. Leokadia *Pieńkoś*. 118. Irena *Pietrzykowska*. 119. Krystyna *Pietówna*. 120. Krystyna *Piłka*. 121. Irena *Piszczek*. 122. Helena *Piwczyk*. 123. Helena *Podgórska*. 124. Krystyna *Prusinowska*. 125. Rizmania *Prusinowska*. 126. Maria *Przybylska*. 127. Janina *Puziak*. 128. Wanda *Radko*. 129. Elżbieta *Rasze*. 130. Maria *Rembikowska*. 131. Janina *Rzepka*. 132. Luci *Schawione (Schwiontz)*. 133. Helena *Schneiberger*. 134. Edith *Schreiber*. 135. Barbara *Seeman*. 136. Jadwiga *Seeman*. 137. Anna *Sendecka*. 138. Stefania *Skalmierska*. 139. Wiesława *Skibińska*. 140. Zofia *Skonieczna*. 141. Wiktoria *Skrobulska*. 142. Wacława *Sośnicka*. 143. Anna *Skulska*. 144. Cecylia *Smarzyk*. 145. Sabina *Smdyk*. 146. Kazimiera *Socha*. 147. Wanda *Spichal*. 149. Janina *Starosta*. 150. Alina *Stempińska*. 151. Irena *Strychanowska*. 152. Krystyna *Strychanowska*. 153. Halina *Surma*. 154. Maria *Syrocińska*. 155. Zofia *Szczepańska*. 156. Maria *Szkalej*. 157. Maria *Szymczak*. 158. Genowefa *Szymiał*. 159. Anna *Szpiler*. 160. Elżbieta *Trybe*.

Niektóre nazwiska są skreślone. Co się z tymi więźniarkami stało? Czy przeżyły? Mimo upływu 24 lat, tragedia owych koszmarnych dni odżyła we wspomnieniach tych, którzy

[12] Figurują dwie osoby o tym samym imieniu i nazwisku.



Ryc. 7. O wyniszczeniu fizycznym nieletnich więźniów obozu łódzkiego świadczy między innymi reprodukowane zdjęcie Edwarda *Barana* (urodzonego 24.IV.1929 r., nr obozowy 795), który przebywał w *Polen-Jugendverwahrlager* od 2.X.1943 do 1.VII.1944 roku. Zdjęcie zostało wykonane wkrótce po wyzwoleniu

ocaleli. Przytaczam fragmenty niektórych relacji. Ewa *Nowakowska*, z domu *Gauss*, urodzona w roku 1938, wraz z bratem została wywieziona z Łodzi do obozu w Potulicach. Oto urywek jej wypowiedzi:

„Prawdopodobnie przetrzymałam razem z bratem ten ciężki obóz tylko dlatego, że Niemka lekarka symulowała nam jakąś chorobę i przez pół roku trzymała nas w szpitalu. Z przyjemnych wspomnień, to przyjście żołnierzy rosyjskich, którzy obdarowywali nas wszystkim, co mieli najlepsze. Z ciekawostek obozowych, a właściwie poobozowych, to obowiązek zdejmowania nakryć głowy i dość głębokie ukłony jeńców niemieckich na widok małych polskich „więźniów".

Ireneusz *Kończak*, urodzony w roku 1936, pisze:

„Dostaliśmy obozowe ubrania, tj. szarą bluzę, spodnie, onuce, drewniaki i czapki. Było wciąż zimno. Bez względu na pogodę przebywaliśmy całymi dniami na dworze. W cieplejsze dni biegaliśmy przy baraku. W dni deszczowe chowaliśmy się między deskami przeznaczonymi na budowę nowego baraku. Głód i zimno były nieodłącznymi towarzyszami. Dostawaliśmy lanie kijem od «wychowawców». Nie było tutaj opieki lekarskiej".

Urszula *Susz*, z domu *Grenda*, nr obozowy 161, urodzona w roku 1933, podaje:

„Z esesówek bardziej pamiętam Eugenię *Pohl*, *Reischelową* oraz *Bayerową*. Te wszystkie, które wy-

mieniłam, chodziły z pejczami. Najbardziej utkwił mi w pamięci obraz dziewczynki, która umierała z wycieńczenia i bicia".

Czesław *Jarnot*, nr obozowy 984, urodzony w roku 1930, podaje:

„Traktowanie nas dzieci przez esesmanów było nie do zniesienia. Wyjmowali deski z łóżek i bili nas po głowach. Między nami były dzieci francuskie, jugosłowiańskie, niemieckie i rosyjskie. Pamiętam, że te dzieci były wywiezione do Konstantynowa w roku 1944".

Józefa *Stawna*, z domu *Czechowska*, nr obozowy 155, urodzona w roku 1929, podaje:

„Bito nas bykowcem w sposób wyrafinowany. Do innych rodzajów udręki należały apele nocne. Dzieci, które się zgłosiły do lekarza, a nie zostały uznane za chore, były surowo karane biciem lub zmniejszeniem głodowych racji żywnościowych. Te dwa fakty, a mianowicie podawanie do wiadomości dzieci, że zostały skazane na dożywotni pobyt w obozie pracy, a także fakt wysyłania dziewczynek, które ukończyły szesnasty rok życia do obozów zagłady dla dorosłych, świadczą najwymowniej o tym, że tak obóz dzieciecy w Łodzi przy ul. Przemysłowej, jak i jego filia w Dzierżążni utworzone zostały przez oprawców hitlerowskich jako obozy wyniszczenia zamkniętych tam dzieci «polskich terrorystów». Jest to dla nas, które w najokrutniejszy sposób obrabowane zostałyśmy z dzieciństwa, smutne tym bardziej, że jedna z największych zbrodni hitlerowskich minęła prawie bez echa".

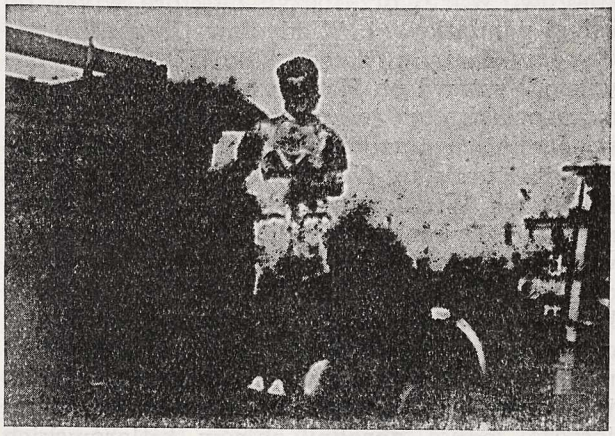
Maria *Jaworska*, z domu *Wiśniewska*, nr obozowy 219, urodzona w roku 1928, podaje:

„Jedno jest pewne, że zabili w nas radość i beztroskę wieku dziecięcego. Usiłowali spaczyć nasze charaktery przez rozbijanie solidarności, tępienie wszelkich szlachetniejszych odruchów, a nagradzali lizusostwo i donosicielstwo. Usiłowali jeszcze wychować swoich «kapo» na wzór obozów dla dorosłych. To im się jednak nie udało (...). Przed szeregiem dzieci przechodził mały *Gąsiorek* (o ile nie mylę nazwiska), miał kajdanki na ręce, potem musiał kłaść się na stołku i jeden esesman wymierzał mu karę 20 batów. Trwało to tak przez kilka dni. Chłopiec ten podobno uciekał kilkakrotnie, lecz zawsze go łapali [13]".

Cecylia *Czuchwicka*, z domu *Kukucka*, urodzona w roku 1929, obecnie zamieszkała w Australii, podaje:

„W międzyczasie mimo pozornej czystości wszy i pluskwy rozmnożyły się błyskawicznie. Nie pomogło «iskanie», kary i inne z tym związane przykrości, wszy i pluskwy stały się plagą naszego obozu. Wybuchł tyfus. Obóz zamknięto i poddano kwarantannie. Ścięto nam włosy na kolano. Równocześnie odmrożone nogi dały mi się we znaki. Pootwierały się ropne rany, które jednak po długim opatrywaniu czystymi szmatami zagoiły się (ślad pozostał do dziś). Odnośnie do przesłanej mi książki Wiesława *Jażdżyńskiego* pt. «Reportaż z pustego pola», to tak, jak wspomniałam w liście z 8.I.1968 roku, nasunęło mi się kilka uwag krytycznych co do prawdziwości wielu faktów, rzetelności opisów, jak i tonu książki. Jest to bardzo łagodny opis naszego obozu. Te wzmianki o łakociach i pieszczotach brzmią jeszcze dzisiaj dla mnie jak zgrzyt szkła po murze, a przytoczone wiersze, treść piosenek, gitara i harmonijka, to chyba jakieś nieporozumienie, albo ja byłam tak dalece otępiała i wyobcowana, że nie reagowałam normalnie. Ja sobie nic nie przypominam innego, co by nie było dyscypliną, rygorem i strachem. Pamiętam jak marę nasz śpiew niemieckich piosenek w rytm marsza naokoło jadalni, zanim przyniesiono na obiad kubeł zupy, i równoczesny lęk, żeby dostać zupę ze spodu, bo była gęstsza i czasem trafił się w niej ziemniak. Łakoci ani smakołyków nie dostawałam, ale te pół talerza «wachmańskiej» zupy lub kawałek chleba, które p. *S.* dawała coraz to innej z nas, było więcej warte, niż nie wiem jakie wyszukane łakocie".

Autor artykułu zapamiętał następujący epizod. Reperowałem dach pralni. Nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk i płacz dzieci. Odwróciłem głowę i oczom moim ukazał się niesamowity widok. W bloku dziewcząt, w oknie na pierwszym piętrze stała „wychowawczyni" Eugenia *Pohl*. Rzucała z okna małe kawałeczki chleba najmłodszym więźniom z bloku dzieci w wieku 2—8 lat. Starsze dzieci rzucały się po zdobycz, tratując młodsze. W oczach miałem łzy. Ona uśmiechała się.



Ryc. 8. Reprodukcja niewyraźnego zdjęcia dozorczyni Eugenii *Pohl*, wykonanego na terenie obozu łódzkiego. W głębi widoczny jest budynek *Verwaltung*, z prawej zaś strony widać fragment obieralni ziemniaków (oryginał u autora artykułu). Przedstawiony materiał ilustracyjny nie był dotychczas publikowany

Ocalałe dzieci, dziś ludzie dorośli, niechętnie wracają do wspomnień tamtych dni, a jeśli to czynią, to dlatego, że nie wolno nam o tym zapomnieć, ani wybaczyć. Pragniemy także przekazać młodzieży prawdę o hitlerowskim bestialstwie.

Na podkreślenie zasługuje, że pamięć męczeństwa polskich dzieci jest wciąż żywa wśród młodzieży mimo upływu lat i skąpych publikacji w tym przedmiocie. Dowodem tego jest Ogólnopolski Sympozjon Martyrologii Dzieci z byłego „Kraju Warty", który odbył się w dniu 26. IV. 1968 roku staraniem Akademii Medycznej w Poznaniu i tamtejszej Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich. Jego inspiratorem i patronem był kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej prof. dr Edmund *Chróścielewski*. W sympozjonie wzięło udział grono profesorskie, studenci, przedstawiciele Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich i Zarządu Okręgu ZBoWiD w Poznaniu, zaproszeni goście z całego kraju, w tym uczniowie szkół medycznych. Zjechali licznie z całego kraju byli więźniowie *Polen-Jugendverwahrlager* z byłego „Kraju Warty". Byli wśród nich lekarze i prawnicy, robotnicy i urzędnicy. Wszyscy

[13] *Gąsiorek* został prawdopodobnie zastrzelony w czasie ucieczki.

oni mówili o koszmarnych chwilach spędzonych za drutem kolczastym. Ci dojrzali dziś ludzie wspominali o tym ze łzami w oczach, wielu przerywało swe przemówienia, wielu w ogóle zrezygnowało z wystąpień.

W czasie trwania sympozjonu czynna była wystawa zdjęć i pamiątek poobozowych. Liczni rozpoznali siebie na eksponowanych zdjęciach. Było to pierwsze po wyzwoleniu spotkanie w tak dużym gronie. Referaty wygłoszone przez studentów akademii medycznych zostały opracowane z dużą starannością, świadczącą o znajomości przedmiotu i głębokim zaangażowaniu.

III Hufiec ZHP we Wrocławiu urządził w dniach od 7 do 18 maja 1968 roku wystawę pt. „Harcerze bohaterskim dzieciom polskim". Na wystawę udostępniłem część posiadanych zbiorów. Warto przytoczyć niektóre wpisy do księgi pamiątkowej. Władysław *Czarnecki*, wiceprezes Zarządu Okręgu ZBoWiD we Wrocławiu: „Wystawa pt. Harcerze bohaterskim dzieciom polskim, to jeszcze jeden głos: nie może mieć miejsca przedawnienie zbrodni hitlerowskich". Stanisław *Gorzkowicz*, instruktor KW PZPR we Wrocławiu: „Słowa uznania harcerzom III Dzielnicy za inicjatywę i realizację wartościowej wystawy o polskich dzieciach, ofiarach faszyzmu. Trzeba o tym mówić, pokazywać młodzieży i dorosłym, bo pamięć o tych ofiarach nie może zaginąć". Jan *Sipowicz*, wiceprokurator wojewódzki: „Zwiedzając wystawę zostałem wstrząśnięty dowodami jeszcze jednej zbrodni zbirów hitlerowskich na najmłodszych, którzy zginęli w obozie bez świadomości, za co i w imię czego zginęli, li tylko z tego powodu, że były dziećmi podbitego kraju. Pamięć o Nich niech będzie przestrogą dla tych, którzy bądź ocaleli, bądź mieli szczęście nie doznać udręki i gehenny lat wojny i zaplanowanego przez hitlerowców wyniszczenia całych narodów".

Wzruszające są liczne wpisy dzieci; wystarczy zacytować niektóre wypowiedzi, aby się zorientować o dydaktycznej wartości bezpośredniego wglądu w eksponaty. Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 115 napisali: „Teoria nigdy nie da tego, co praktycyzm. Historia tylko nam mówi, my chcemy widzieć, a wtedy nasza wyobraźnia wzbogaca się. My chcemy, żeby cierpienia naszych rówieśników, sprzed lat, były przestrogą". Uczniowie Władysława *May*, Bogdan *Majgier* i Ryszard *Pawełka* wpisali: „Ta wystawa wzbudziła w nas niepokój. Chcemy, żeby już nigdy nie było wojny między krajem niemieckim i Polską. I zawsze panował pokój". Uczeń Franciszek *Misiewicz*: „Wystawa bardzo mi się podobała i jestem głęboko wstrząśnięty. Domagam się ukarania zbrodniarzy".

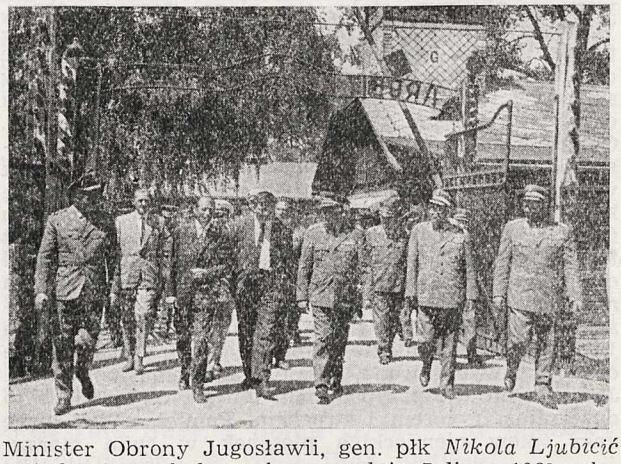
Oto niektóre wypowiedzi dzieci z wypracowań klasowych w Szkole Podstawowej nr 85 we Wrocławiu. Uczeń Jacek *Żarnowiecki* napisał między innymi: „Wystawa martyrologii dzieci w obozie łódzkim zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Zdajemy sobie sprawę, jak straszna jest wojna i jej skutki". Adam *Wronecki*: „Wystawa jest jeszcze jednym dowodem hitlerowskiej zbrodni. Ukazuje z całą wyrazistością okrucieństwa hitlerowców i bohaterstwo dzieci polskich. Szczególnie wielkie i wstrząsające wrażenie wywarła na mnie historia Urszuli *Kaczmarek*, która zginęła zamęczona przez komendantkę obozu".

Ryszard *Totuj*: „Po wyjściu z wystawy rozmyślałem o bestialstwie hitlerowców, którzy bezlitośnie mordowali dzieci, które nie mogły im zaszkodzić w ich niesprawiedliwej wojnie". Henryk *Cichosz*: „Dzieci te żyły w nieludzkich warunkach, katowane i bite za byle przewinienie. Karane były nawet za wybieranie ze śmietnika resztek pożywienia. Ci sami ludzie, którzy zabijali bezbronnych ludzi, tłumaczą się teraz, że to wszystko robili z rozkazu. Oni są odpowiedzialni za śmierć tysięcy ludzi, ponieważ mogli się przeciwstawić takim rozkazom, zbuntować się, a nie trudnić się taką robotą".

Fakty te są gwarancją, że pamięć o męczeństwie dzieci polskich nie ulegnie zapomnieniu. Jest to dla nas, byłych więźniów, niezmiernie ważne.

*

Autor składa serdeczne podziękowanie dyrektorowi Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Katowicach za udostępnienie akt *Provinzialverwaltung* i tamtejszym pracownikom naukowym za życzliwą pomoc oraz Towarzystwu Miłośników Wrocławia za udzielone stypendium, a Okręgowemu Zarządowi ZBoWiD we Wrocławiu i Zarządowi Dzielnicowemu ZBoWiD Wrocław „Fabryczna" za pomoc materialną. Dzięki tej życzliwości można było poświęcić się czasochłonnej pracy nad zbieraniem źródeł do przygotowywanej książki na temat *Polen-Jugendverwahrlager*. Część źródeł została wyzyskana w opracowaniu niniejszego artykułu dla „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".



Minister Obrony Jugosławii, gen. płk *Nikola Ljubicić* zwiedza teren byłego obozu w dniu 7 lipca 1968 roku w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu (zdjęcie z Archiwum Muzeum)

ALODIA WITASZEK-NAPIERAŁA Poznań

Z lat germanizacji dzieci polskich

Czytelnicy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" znają historię grupy ruchu oporu w Wielkopolsce, kierowanej przez mojego ojca, dra Franciszka *Witaszka*, pisali bowiem o tej akcji Henryk *Tycner* i Józef *Witkowski*. W ostatnim artykule *Witkowskiego* jest także zacytowana relacja mojej matki, Haliny *Witaszkowej*. Jak wiadomo, hitlerowcy nie poprzestali na egzekucji „witaszkowców", mordując 36 osób w Forcie VII w Poznaniu dnia 8 stycznia 1943 roku, lecz także wydali wyroki śmierci na członków ich rodzin. Moją matkę aresztowano ponownie w nocy 15 stycznia 1943 roku. Nas pięcioro małych dzieci 1—8-letnich pozostało na łasce staruszki-sąsiadki. Po kilku dniach rozdzieliła nas rodzina w obawie przed niebezpieczeństwem. Moje dwie starsze siostry, Mariola i Iwonka, wyjechały do wujostwa do Kielc, a jednoroczny Krzyś do wujostwa w Ostrowie Wielkopolskim. Moja siostra, 3½-letnia Daria i ja pozostałyśmy u wujostwa w Poznaniu.

Jeszcze w lutym 1943 roku byłyśmy wszystkie badane w tzw. *Rassenamcie*. Dnia 9 września tegoż roku u wujostwa zgłosiło się gestapo i rozkazało stawić się mej siostrze, Darii i mnie w Domu Żołnierza. Mimo usilnej interwencji rodziny rozkaz ten musiano wykonać. W Domu Żołnierza odwrócono naszą uwagę na przechodzące ulicą wojsko z orkiestrą i w tym czasie rozkazano wujostwu wrócić do domu. Natychmiast polskie podziemie rozpoczęło starania o uratowanie mojego pozostałego rodzeństwa. Za cenę wysoko wartościowych kosztowności udało się przekupić jednego z gestapowców, który wykreślił nazwiska mojej siostry, Marioli, Iwony i brata, Krzysztofa, z listy dzieci przeznaczonych na zniemczenie.

Po aresztowaniu w Domu Żołnierza umieszczono nas wraz z licznymi dziećmi polskimi w obozie przejściowym na Głównej w Poznaniu. Po kilku dniach przewieziono nas stamtąd samochodem ciężarowym na dworzec kolejowy, skąd pociągiem odwieziono nas do obozu młodzieży i dzieci w Łodzi. Zostałyśmy umieszczone w „domach rasy" (*Rassenamtach*) w celu zniemczenia jako dzieci „rasowo przydatne". Mieszkałyśmy w drewnianych budynkach, w których znajdowały się piętrowe pryczе drewniane. Każdą pryczę zajmowało rodzeństwo z jednej rodziny, toteż ja i moja siostra spałyśmy na wspólnej pryczy pod jednym cienkim, szarym kocem. Przypominam sobie dokładnie, że na jednej pryczy spało aż czworo rodzeństwa. Ponieważ znajdowałam się w oddziale dla dzieci najmłodszych, nie angażowano nas jeszcze do pracy. Zwracano się do nas tylko w języku niemieckim. Często chodziłyśmy na spacery. Pewnego razu otrzymałyśmy od pracownic jednego baraku gałgankowe lalki, widocznie specjalnie dla nas zrobione po kryjomu. Były to nasze jedyne zabawki. W obozie w Łodzi byłam z siostrą przypuszczalnie około 6 tygodni.

Stamtąd przewieziono nas do *SS-Heimu* w Kaliszu. Zakład ten mieścił się w dawnym klasztorze i był prowadzony przez niemieckie siostry zakonne. Celem tego zakładu było całkowite zniemczenie dzieci polskich i wyrobienie w nich przekonania, że są dziećmi Niemców, którzy zginęli w czasie wojny.

W tym *SS-Heimie* zachorowałam na błonicę. W ostatniej chwili odratowano mnie w szpitalu miejskim, stosując tracheotomię. Szpital ten znajdował się w mieście z dala od *SS-Heimu*. Tam inne, starsze chore zainteresowały się mną. Rozmawiałam z nimi prawie tylko po niemiecku. Z pewną chorą nawet kłóciłam się, że jestem Polką i wymieniałam nazwiska swoich krewnych. Tak się zdarzyło, że pewna *volksdeutschka*, pochodząca z Ostrowa Wielkopolskiego, odwiedziła tę właśnie chorą. Od niej dowiedziała się, że to ja jestem prawdopodobnie córką dra *Witaszka*, zabraną przez gestapo. W tym czasie o gehennie mej rodziny bardzo wiele mówiono. Po powrocie do Ostrowa pani ta natychmiast zawiadomiła o mnie mego wujka, Zygmunta *Muszyńskiego*. Wkrótce odnalazł on mnie w szpitalu i później odwiedził mnie i siostrę w samym *SS-Heimie*. Było to w listopadzie i grudniu 1943 roku. Siostra przełożona zakładu powiadomiła mego wujka, że otrzymała surowy zakaz kontaktowania dzieci z dawniejszymi krewnymi. Na następną wizytę zażądała zezwolenia gestapo w Poznaniu.

Wujek planował wykradzenie nas przy pomocy ogrodnika z tego zakładu. W styczniu jednak, kiedy bez zezwolenia przyjechał do zakładu, dowiedział się, że nas już nie ma. Wszelki ślad po nas zaginął. W korespondencji do mojej matki, przebywającej w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, wujek zawsze pisał o nas jako o obecnych u wujostwa w Poznaniu, aby matka moja się nie załamała i mogła przeżyć ten makabryczny obóz.

Po wywiezieniu z Kalisza znalazłyśmy się w *SS-Heimie* w Połczynie (Bad Polzin bei Neustettin). Mieszkałyśmy tam w pięknych budynkach, należących do uzdrowiska. Pamiętam piękne baseny kąpielowe. Taka zachowała się moja wizja, dziecka 6-letniego, po uprzednich szarych i brudnych wspomnieniach z Łodzi i Kalisza. Z Połczyna pamiętam już najwięcej. Był to zakład, z którego wydawano dzieci bezpośrednio rodzinom niemieckim, Mieszkałyśmy na parterze w małych pokoikach. Spa-

łyśmy w białych łóżeczkach dziecięcych z białą pościelą. W nocy paliło się małe światełko. Na pierwszym piętrze było bardzo dużo niemowląt. W salach zabaw, pięknie umeblowanych, znajdowało się dużo zabawek. Za każde drobne przewinienie karano nas dyscypliną; często musiałyśmy stać bosymi nóżkami na cementowej posadzce w piwnicy. Z pokoju bawialnego, w którym znajdowało się półkoliste okno, wypatrywałyśmy codziennie, czy nie przychodzą po nas nowi opiekunowie.

W kwietniu 1944 roku przyjechała po mnie nareszcie nowa „mutti". Była ona całkowitym kontrastem mojej matki. Była mała, korpuletna i miała ciemne włosy. Każda zgłaszająca się „mutti" miała już wyznaczone dla siebie dziecko i nie mogła wybierać innego. Moja opiekunka, dowiedziawszy się, że jestem z siostrą, od razu chciała zabrać nas obie. Niestety, nie pozwolono na to. Rozdzielono nas perfidnie tak daleko, abyśmy się nigdy ze sobą nie spotkały.

Pożegnawszy się z 4-letnią siostrzyczką, wyjechałam więc do Stendalu w Meklemburgii, gdzie mieszkała rodzina moich nowych opiekunów. Natomiast moja siostra została po upływie miesiąca wydana niemieckiej rodzinie Schölm do Weitra pod Wiedniem. Uchodziłyśmy wówczas za sieroty niemieckie po zbombardowanych Niemcach. Moja metryka urodzenia miała tylko właściwą datę urodzenia. Nazywałam się „Alicja Wittke" i urodziłam się w Stendalu. Byłam *ein Findlingskind*. Po roku moi opiekunowie urzędowo adoptowali mnie. Od tego czasu nazywałam się „Alice Luise Dahl". Moi opiekunowie byli ewangelikami, dlatego poddali mnie religii ewangelickiej. Byłam jedynym dzieckiem moich przybranych rodziców, którzy starali się otoczyć mnie najtroskliwszą opieką. Od jesieni 1944 roku rozpoczęłam naukę szkolną. Przez cztery lata byłam zawsze prymuską i na pamiątkę przechowuję jeszcze wszystkie świadectwa szkolne.

Moja matka dowiedziała się o strasznej prawdzie, o zamordowaniu męża i porwaniu przez Niemców dwóch córeczek dopiero po zakończeniu wojny i swym powrocie z obozów koncentracyjnych Oświęcim i Ravensbrück w maju 1945 roku. Rozpoczęła żmudne poszukiwania przez wszystkie placówki polskie i zagraniczne. Wreszcie we wrześniu 1947 roku delegat rządu polskiego do spraw rewindykacji w Ludwigsburgu w Niemczech zachodnich, dr Roman *Hrabar* odnalazł nasze akta na podstawie danych, jakie moja matka przez dwa lata zebrała i zawiadomił ją o miejscach naszego pobytu. Moja opiekunka ciężko przeżyła wiadomość, że jestem ukradzionym dzieckiem polskim. Na rozkaz władz odwiozła mnie do Berlina, skąd pod opieką sióstr PCK wróciłam do Polski dnia 7 listopada 1947 roku. Dnia 5 grudnia tegoż roku wróciła również moja siostra, Daria, w transporcie repatriacyjnym z Wiednia.

Byłyśmy obie zupełnie zniemczone. Rozpoczął się dla nas trudny okres repolonizacyjny: nauka ojczystej mowy, budzenie świadomości polskiej i powrót do rodziny prawie zapomnianej. Miałam wówczas już 10 lat.

EDMUND CHROŚCIELEWSKI Poznań

Uwagi w związku z akcją doktora Witaszka

Helena Siekierska („Lusia")

Historię grupy doktora Franciszka *Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu znają czytelnicy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" z artykułu H. *Tycnera* (Przegl. Lek., 1967, nr 1). Autor ten wspomniał o udziale Heleny *Siekierskiej* (pseudonim „Lusia") w działalności konspiracyjnej inspirowanej i kierowanej przez dra *Witaszka*. Do opublikowanych szczegółów warto dorzucić kilka uwag.

Helena *Siekierska* zdała w roku 1939 egzamin na Uniwersytet w Poznaniu. Wybuch wojny przeszkodził jej w studiach. W okresie okupacji pracowała jako laborantka w Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej Niemieckiego Uniwersytetu w Poznaniu. Była ona przykładem niezwykłej odwagi i bohaterstwa mimo ciągłej obserwacji i wielkiej podejrzliwości personelu niemieckiego. Jedyna Polka w tym Zakładzie, *Siekierska* współpracowała aktywnie z drem *Witaszkiem*. Między innymi z narażeniem własnego życia kilkadziesiąt razy wyniosła pokaźne ilości ampułek z surowicą do szczepień.

Gestapo aresztowało „Lusię" 15 maja 1942 roku w związku z akcją dra *Witaszka*. Przez dwa tygodnie była poddawana potwornemu śledztwu w kazamatach Domu Żołnierza, ówczesnej siedzibie gestapo. Następnie więziono „Lusię" w celi nr 17 w Forcie VII w Poznaniu. W dniu 8 stycznia 1943 r. w czasie masowej egzekucji „witaszkowców" „Lusię" stracono. Dwukrotnie wykonano wyrok; najpierw została powieszona w Forcie VII, a następnie jej zwłoki zgilotynowano w więzieniu przy ul. Młyńskiej.

Wkrótce po egzekucji aresztowano kilkuset członków rodzin „witaszkowców". Starszych odesłano do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a ich dzieci uwięziono w dziecięcych obozach, skąd po selekcji początkowo umieszczono dzieci o „cechach rasowo przydatnych"



Ryc. 1. Zgilotynowana i utrwalona głowa Heleny *Siekierskiej*-„Lusi"



Ryc. 2. Głowa „Lusi" z profilu



Ryc. 3. Głowa „Lusi" w słoju z płynem utrwalającym

w tzw. *Rassenamtach* (domach rasowych), w celu zniemczenia, a następnie wysłano je do Rzeszy. Dzieci o cechach „rasowo nieprzydatnych" wysłano do dziecięcych obozów pracy lub do dziecięcych obozów koncentracyjnych. Rodzinę „Lusi" również wysłano do *lagru*. Wiele informacji o losie tych dzieci znajduje się w artykule Józefa *Witkowskiego*, poprzedzającym niniejszy szkic.

Po wspomnianej masowej egzekucji pięć zgilotynowanych głów przekazano do Zakładu Medycyny Sądowej Niemieckiego Uniwersytetu w Poznaniu w celu przeprowadzenia specjalnych badań, których jednak zaniechano z nieznanych przyczyn. Być może, do pewnego stopnia wpłynął na to fakt, że głowy dwóch polskich lekarzy poznańskich, dra *Günthera* i dra *Witaszka* zostały rozpoznane przez polskich laborantów, Andrzeja *Szymańskiego* i Michała *Worocha*. Utrwalili oni tych 5 głów, zabezpieczyli je i przechowali przez okres okupacji. Zdjęcie ściętej głowy dra *Witaszka* opublikował H. *Tycner* (Przegl. Lek., 1967, nr 1, str. 132).

Po wojnie, w listopadzie 1945 roku odbył się w Poznaniu manifestacyjny pogrzeb i złożenie na cmentarzu bohaterów na stokach Cytadeli głów znanych poznańskich lekarzy, uczestników ruchu oporu, doktorów Henryka *Günthera* i Franciszka *Witaszka* oraz jego laborantki, Soni *Górznej*. Pozostałych głów nie rozpoznano i pozostały one do dyspozycji Zakładu. W tym okresie rodzina *Siekierskiej* — „Lusi" nie powróciła jeszcze do Poznania po pobycie w obozie koncentracyjnym.

Dopiero w dniu 20 kwietnia 1967 r. w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu siostry „Lusi" w obecności przedstawicieli Katedry ustaliły tożsamość pozostałej głowy i kategorycznie stwierdziły, że jest to głowa ich siostry, Heleny *Siekierskiej* („Lusi"), straconej w czasie masowej egzekucji w Forcie VII w roku 1943.

W roku 1968 przewidziano uroczysty pogrzeb i złożenie szczątków „Lusi", uczestniczki ruchu oporu, na cmentarzu bohaterów na stokach Cytadeli poznańskiej. W 25 rocznicę stracenia „Lusi", tj. 8 stycznia 1968 r. rodzina, przyjaciele, znajomi oraz delegacje pracowników Zakładu Mikrobiologii AM w Poznaniu, sekcji laborantów technicznych, pracowników służby zdrowia, delegacje klubów więźniarskich oraz młodzież studencka złożyły kwiaty przed ściętą głową „Lusi" i oddały hołd tej bohaterce.

RAJNOLD KOTUCHA Kraków

Na robotach w Rzeszy
Wspomnienia lekarza

W maju 1941 roku wezwano mnie do krakowskiej *Gesundheitskammer* i polecono natychmiast wyjechać do Lipska. Liczyłem wtedy 27 lat. Pomimo protestu i starań, że przecież nie mam grosza, a z wojny wróciłem w jednym ubraniu, zapobiegliwi Niemcy zaś ukradli nam całą garderobę z Domu Medyków przy ul. Grzegórzeckiej 20 w Krakowie, od razu otrzymałem pieniądze na ekwipunek z walizką włącznie oraz gotowy już paszport z poleceniem zameldowania się w Lipsku w Urzędzie Zdrowia. To samo polecenie otrzymał mój szkolny kolega, dr Jan *Mrozek*. Nikt nam nie tłumaczył celu wyjazdu. Domyślaliśmy się, że pewną rolę odegrała nasza dobra znajomość języka niemieckiego.

W podróży podczas przesiadki w Katowicach spotkałem się z rodzicami przebywającymi wówczas na Śląsku. Ojciec został po kilku miesiącach aresztowany i osadzony w Dachau. Były to jedyne w ciągu wojny dwie godziny spędzone z ojcem i matką.

W Lipsku dokładnie 15 maja przyjął nas szef Urzędu Zdrowia i niezwłocznie skierował do Dösen, małej miejscowości pod Lipskiem, niedaleko ogromnego pomnika Bitwy Narodów. Dösen słynęło z dużego zakładu dla psychicznie chorych, podobnie jak Kobierzyn pod Krakowem. Zbliżając się do zakładu piękną, kwitnącą aleją, ujrzeliśmy ustawione w poprzek ulicy drewniane „kozły" z zakazem przejazdu z czerwonymi napisami na żółtym tle: *„Achtung, Seuchengefahr!"* (Uwaga, niebezpieczeństwo zarazy). W zakładzie administracja skierowała nas do ostatniego bloku, również obstawionego takimi samymi napisami na kozłach. Po dzwonku otworzyła nam osoba cała w gumowym, szczelnym kombinezonie z szybką na twarzy. Niemcy panicznie bali się chorób zakaźnych i w takich gumowych skafandrach urzędowała tam cała służba pielęgniarsko-administracyjna.

W dyżurce lekarskiej wyjaśnili nam wszystko dwaj polscy lekarze-jeńcy ze *stalagu* IVa (jeden z nich był to porucznik WP, Józef *Kantorski*). Powodem naszego przyjazdu był dur wysypkowy, a sprawa zaczęła się tak. W licznych fabrykach i zakładach pracy pracowali za nędzne grosze i takie samo wyżywienie w warunkach często tragicznych ludzie spędzeni z różnych krajów Europy, walczących z tzw. państwami „osi". Nie mogąc się z takimi warunkami pogodzić, niektórzy uciekali. Ucieczki próbowali najczęściej Polacy, gdyż mieli kierunek wyznaczony prosto wschodem słońca, a do Generalnej Guberni granica była najbliższa.

Tylko znikoma część śmiałków docierała do ojczyzny. Większość wyłapywała nadgorliwa ludność lub policja i żandarmeria. Schwytanych odstawiano z powrotem do miejsc pracy albo odtransportowywano do więzienia. W przepełnionych celach więzienia lipskiego, gdzie rano brano ludzi do roboty, a wieczorem zwożono z powrotem, więźniowie zaczęli chorować. Nikt się tym zbytnio nie przejmował, a pomocy lekarskiej nie udzielano do chwili, kiedy zachorowało dwóch niemieckich strażników. Gdy na domiar jeden z nich umarł, uderzono na alarm. Powodem zgonu było zarażenie się durem wysypkowym.

Natychmiast wszystkich chorych gorączkujących umieszczono w bloku zwolnionym po psychicznie chorych. Sposób opróżniania takich zakładów był już wielokrotnie opisywany, także w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Sprowadzono dwóch lekarzy-Polaków z obozu jenieckiego i nas. Wiadomo, że wywiad w wypadku duru wysypkowego ma istotne znaczenie, zwłaszcza ustalenie, skąd chory przybył, jak jechał i gdzie był. W tym tkwił powód mojego przymusowego pobytu na tzw. robotach w Niemczech. Z oddziału zakaźnego Szpitala św. Łazarza w Krakowie u prof. J. K. *Kostrzewskiego* wyniosłem dobrą znajomość postępowania w durze wysypkowym. Na tę chorobę nie umarł nam ani jeden chory, aczkolwiek gwoli prawdzie i lekarskiej uczciwości muszę przyznać, że leczyliśmy jednak ludzi młodych, którzy nie mieli serc tak otłuszczonych, jak starzy niemieccy piwosze. Natomiast nie mieliśmy dokładnych wiadomości o losie chorych niemieckich, wśród których było kilka wypadków śmierci; między innymi okazało się, że drugi *schutzmann* zmarł także.

Po wojnie dowiedziałem się, że prof. *Kostrzewski*, uwięziony wraz z innymi krakowskimi profesorami w tzw. *sonderaktion Krakau*, został zwolniony z więzienia etapowego w drodze do Sachsenhausen. Niewątpliwie swój powrót do Krakowa zawdzięczał on głębokiemu strachowi Niemców przed chorobami zakaźnymi i zapotrzebowaniu na specjalistów.

W kilka dni po przybyciu na roboty zawezwano mnie do inspektoratu policji, gdzie musiałem podpisać kartę przestrzegania regulami-

nu dla Polaków. Za nieprzestrzeganie wielu przepisów często groziła kara śmierci, jak np. za stosunki z Niemkami (*Rassenschande*). Komisarz policji do tych spraw nazywał się *Haertel*. Wręczono mi sześć oznak płóciennych, kolorowe kwadraty z fioletową literą P na żółtym tle. Był to symbol zakwalifikowania mnie do grupy „podludzi" i napiętnowania. Trudno opisać w paru słowach, w jakim stanie psychicznym człowiek wtedy się znajdował. Naprawdę było ciężko i źle.

Zaczęły płynąć dni, wśród których zdarzały się przeżycia zasługujące na przypomnienie. Niewątpliwie są one charakterystyczne dla tamtych czasów. Dur wysypkowy i wiele innych chorób zakaźnych w czasie wojny opanowano dość szybko. W ciągu tej pracy utkwił mi w pamięci wypadek zaskakujący, a nawet humorystyczny. Któryś z polskich robotników przeziębił się i zagorączkował. Polacy, tak jak i dziś, wszyscy są lekarzami i zaczęli go leczyć w ten sposób, że posłużywszy się kilkoma kieliszkami postawili mu bańki na tułowiu. Ponieważ ciepłota nie spadała, chory zawędrował przed oblicze lekarza niemieckiego, a kiedy ten zobaczył plamy i zmierzył gorączkę, rozpoznał dur wysypkowy. Tamtejsi lekarze nie widzieli i nie umieli ocenić duru wysypkowego, w ogóle nie znali leczenia za pomocą baniek i sam im musiałem tłumaczyć ten sposób autohemoterapii, jak również istniejący w niemieckim słowniku wyraz *schröpfen*, który oprócz nacinania skóry znaczy „stawiać bańki".

Po wygaśnięciu zarazy utworzono dwa oddziały chorych dla robotników wszystkich narodowości, przymusowo pracujących w przemyśle hitlerowskim. Jeden oddział powstał w głównym Szpitalu św. Jakuba i klinik uniwersyteckich w Lipsku, a drugi pozostał w Dösen dla chorych chodzących. Rozrósł się on do 60 łóżek i stale był przepełniony. Opiekę chirurgiczną sprawowałem ja, a internistyczną dr *Mrozek*. Rano pracowaliśmy w klinikach, a po południu w tych naszych oddziałach.

Były one jak gdyby wieżą Babel. W zasadzie liczyły po około 40 chorych z różnych krajów. Mówiono tam po polsku, po czesku, śpiewnie po rosyjsku lub ukraińsku, byli dynamiczni i wiecznie weseli Włosi, nieustannie opowiadający o swych miłosnych przeżyciach Francuzi, był Holender, który i Niemców traktował jak „podludzi", byli Grecy, Jugosłowianie i inni. Nie brakło nawet Chińczyka.

Kiedy na oddziale znalazł się Anglik, nazajutrz sam dyrektor interweniował i stwierdziwszy, że chory ten umie dobrze po niemiecku, kazał go przenieść na oddział dla Niemców, zastrzegając, żeby się do swego pochodzenia nie przyznawał. Inaczej więc traktowano tam Anglików.

Tzw. *blutschande* lub *rassenschande* była źródłem dramatycznych konfliktów. Np. kiedyś robotnicy prosili, aby ich zaprowadzono w niedzielę do odległej miejscowości, w której pracowały liczne kobiety polskie i ukraińskie. *Werkschutze* zgodzili się na to i pewnej niedzieli zebrano chłopców czwórkami, wyprowadzono ich w pola, a strażnicy, otoczeni psami, jadąc na rowerach z nahajami w rękach, kazali w drodze prowadzonym biec i gnali ich pod pręgierzem kilkanaście kilometrów tam i z powrotem. Oczywiście o spotkaniu z kobietami nie było mowy i tak skończyła się planowana randka.

Jednego z moich chorych, przystojnego Białorusina zabrano po wyzdrowieniu i powieszono w obecności jego kolegów oraz spędzonych z okolic mężczyzn-obcokrajowców, ażeby wiedzieli, że „pohańbienie rasy" niemieckiej karze się śmiercią. Winą tego człowieka było to, że zakochał się w niemieckiej dziewczynie, którą ostrzyżono i z szarfą pokazano obok powieszonego.

Ciężko przeżyłem również inne zdarzenie. Prasa niemiecka w okresie wojny szeroko propagowała honorowe krwiodawstwo pod hasłem głoszącym, że żołnierze przelewają krew za ojczyznę, a rodacy oddają krew dla swoich żołnierzy. Pewnego dnia przywieziono karetką pogotowia Ukraińca, który uciekał z robót i został postrzelony pociskiem w udo z myśliwskiej dubeltówki przez jakiegoś nadgorliwca. Niemieccy konwojenci nie chcieli nieść rannego i sam w płaszczu lekarskim przenosiłem go po szerokich schodach wejściowych szpitala, a potem wiozłem wózkiem na naszą stację lekarską.

Stan przywiezionego był ciężki. Ołowiana kula rozkawałkowała kość udową. Ze względu na ciężki wstrząs i duży krwotok zdecydowałem natychmiastowe przetoczenie krwi. Zadzwoniono do stacji krwiodawców i wkrótce zjawił się krwiodawca. Jak pech, to pech. Przybył w brunatnym mundurze ze złotymi galonami na czapce wysoki członek *NSDAP*. Tych *parteigenosen* ogół wtedy pogardliwie nazywał *goldfasan*. Przez „fazana" (bażanta) rozumiano zresztą takiego, co zupełnie nic nie umie; była to pogardliwa nazwa zupełnie niewykwalifikowanego robotnika. Ten nasz, to typowe, spasione Niemczysko. Pobrałem krew. Niemiec uśmiechał się, gdy przetaczałem ją rannemu i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że opuszczając oddział zapytał, dla kogo oddał swoją krew. Naiwna *schwester* poinformowała go, że to dla kogoś ze Wschodu (obcokrajowcy, np. Rosjanie i Ukraińcy, nosili oznaki *Ost*).

Po niewczasie zrozumiałem, jak wielkiego „przestępstwa" dopuściłem się, „hańbiąc rasę panów". Wokół tej profanacji krwi niemieckiej, a więc koło mojej osoby rozpętała się burza. Nie sypiałem po nocach, wiedząc, że w Klinice Chirurgicznej w przesłuchaniach brały udział najwyższe miejscowe czynniki partyjne i lekarskie.

Po pewnym czasie życzliwy uśmiech zacnego *oberarzta*, dra *Löfflera* dał mi znać, że kolegium przesądziło sprawę i umorzyło ją. Otrzymałem polecenie stworzenia w ośrodkach pracy z robotników obcokrajowców klubu honorowych krwiodawców. Zgłoszeń mieliśmy pod dostatkiem, nigdy nie zabrakło nam krwi do le-

czenia i muszę podkreślić, że największe zrozumienie dla tej akcji wykazali Czesi.

Życzliwość dra *Löfflera* należała do wyjątków. W stosunku Niemców do nas dominowała przemoc. Niemal codziennie byliśmy skazywani na poniżenie. Np. moja *oberschwester* uważała się za stojącą znacznie wyżej w hierarchii pracowników służby zdrowia i często nie było sposobu, żeby jej coś z punktu widzenia lekarskiego wyperswadować, gdyż uważała, że ona kieruje oddziałem. Większość lekarzy stanowili skrajni hakatyści, którzy swój pogląd, że są „nadludźmi", codziennie dawali do zrozumienia.

Ponadto nie wszyscy lekarze niemieccy podchodzili do zagadnień lekarskich zgodnie z etyką hipokratesowską. Podczas dyżuru chirurgicznego przyjęto polskiego robotnika z uwięzłą przepukliną. Lekarz prowadzący dyżur polecił mi wykonać operację, która odbyła się bez przeszkód, a 14-dniowa rekonwalescencja również przebiegła bez powikłań. W wypisowej karcie informacyjnej umieściłem rozpoznanie, sposób leczenia i zalecenie, aby nie zatrudniać przy ciężkim dźwiganiu i noszeniu ciężarów przez okres około dwóch miesięcy. Na to dyrektor kliniki, mój przełożony, otrzymał pismo z zapytaniem, jak można litować się nad tym człowiekiem, skoro Polacy zgrzeszyli wobec Rzeszy i nie należy im w niczym przebaczać, ani się nad nimi litować.

Tacy lekarze oczywiście urabiali fatalną opinię o ośrodkach leczniczych, których robotnicy przymusowi bardzo się obawiali. Np. pewien polski chłopak, cierpiący na ciężkie ropne zapalenie wyrostka robaczkowego, znalazł się już w sali operacyjnej i widać było, że jest podenerwowany. Nie badałem go poprzednio, ponieważ pracował w innym zespole. Teraz zapytałem go po polsku, jak dawno choruje. Słysząc zapytanie w ojczystym języku, spocony i ze łzami w oczach zawołał: „Pan Polak, panie doktorze! No to mogę ze spokojem poddać się operacji. Nie chciałem się na nią zgodzić, ale już wiem na pewno, że wyzdrowieję i nic mi się złego nie stanie!" Dla takich ludzi pobyt nasz tam był niewątpliwie nieodzowny.

Wśród chorych był wspomniany już Chińczyk. Pochodził z przeludnionej chińskiej wsi, a w Niemczech zastała go wojna jako domokrążcę z chińską porcelaną *made in Czechoslovakia*. Dużo opowiadał o swoim dzieciństwie łamaną niemczyzną, o tym, w jaki sposób fałszują porcelanę i o nadziei powrotu do swojej ojczyzny. Niestety, ciężka postać gruźlicy rozpadowej w warunkach wojny w Niemczech równała się dla obcokrajowca wyrokowi śmierci. Jeszcze obecnie przy wspaniałym leczeniu chemicznym gruźlicy jedzenie jest niezbędnym warunkiem dobrego rokowania. Wówczas panował głód, do tego stopnia, że kiedy jesienią w odległości 20 metrów od płotu odgradzającego nasz oddział ustawiono brodło z karpielami, wszyscy chorzy jednogłośnie orzekli: panowie, kanada! Oznaczało to, że jedzenia teraz mamy pod dostatkiem. Stan Chińczyka i jego zmiany płucne pogarszały się z każdym dniem, ale w czasie wizyt lekarskich zawsze widzieliśmy jego piękny uśmiech, jakby za nie szczególnie mocno dziękował. Pewnego dnia rano stał jeszcze ze mną na balkonie, a wieczorem dyżurny pielęgniarz zawiadomił, że nie żyje.

Wiadomo, że robotnikom przymusowym w Rzeszy utrudniano dostęp do leczenia i mimo choroby często zmuszano ich do pracy ponad siły, zarówno w rolnictwie, jak i w przemyśle. Do naszych oddziałów docierała tylko nieliczna garstka chorych. Niewiele w tym zakresie mogła pomóc solidarność zbiorowiska polskiego i poczynania lekarzy. Możliwości były bardzo nikłe, niemniej jednak można było niejednego biedaka przetrzymywać na oddziale dłuższy czas, aby okrzepł fizycznie i psychicznie. Można było pisać listy do domu, a niektórych szczęśliwców udawało się nawet zwolnić z robót. Korzystaliśmy w takich wypadkach z podkreślonego już lęku Niemców przed chorobami zakaźnymi.

Trafiały się u nas w badaniu bardzo rzadkie przypadki zimnicy, częściej zaś jaglicy. Na szkiełku rozmazowym pobrano od chorego, którego nazwisko *Książek* zapamiętałem do dzisiaj, kilkanaście rozmazów. Nie tylko jego, ale i tych, u których udało się wymacać śledzionę, skierowano do tzw. *heimatstransportu*. Z jaglicą było nieco inaczej. Każdy „podejrzany przypadek" lapisowaliśmy, po czym nikt nie był w stanie stwierdzić starych, nieczynnych zmian, ponieważ, jak wspomniałem, przypadków takich w Niemczech nie było i tamtejsi lekarze nie widzieli tej jednostki chorobowej. Z powodu złych warunków sanitarnych znaczny odsetek chorych zgłaszał się ze świerzbem, ropowicami i czyracznością, na które wpływał również brak diety kalorycznej z odpowiednią zawartością witamin.

Warunki, w jakich mieszkali robotnicy, urągały wszelkim zasadom higieny. Np. robotnicy pracujący w wytwórni amunicji „Hasag" byli zakwaterowani w starym cyrku. Nic dziwnego, że w tym przeludnionym zakwaterowaniu, kiedy wybuchł pożar, doszło do paniki. Wielu poranionych i poparzonych znalazło się w naszym oddziale. Leczenie dużych ran opatrunkami było bardzo żmudne, gdyż materiał opatrunkowy wydzielano bardzo skąpo jako produkt reglamentowany, a czasem w ogóle przez jakiś okres brakowało go zupełnie.

Wydarzenia sprzeczne ze sposobem naszego myślenia lekarskiego były wówczas częste. Np. w czasie *fliegeralarmu* bezwzględnie obowiązywało wszystkich zejście do schronu i pozostawienie otwartych pomieszczeń. Złodzieje — nawet i wtedy byli tacy — rabowali i kradli. Jeden z nich, dostrzeżony w akcji pościgowej, został postrzelony i z ciężką raną jamy brzusznej dostarczony do szpitala. Było oczywiste, że nieuchronnie grozi mu kara śmierci natychmiast po wyleczeniu. Co dziwne, zaczęła się dyskusja, w której nawet studenci brali udział, a profesor-wykładowca zadał im jako zadanie wakacyjne temat, co należy w takim wypadku

czynić. Rannego operowano, ale liczba głosów *noli me tangere* była zdumiewająco wysoka wśród lekarzy i studentów, kierujących się troską z powodu braku katgutu, nici, gazy itp.

Z dramatów, które musiałem przeżyć jako lekarz przeprawiający przez Styks, najbardziej przeżywałem między innymi los transportów robotników, a zwłaszcza robotnic z Jugosławii. Przybywały one w warunkach skrajnego wycieńczenia fizycznego i psychicznego. Śmierć jednej z kobiet na długo wryła mi się w pamięć. Mianowicie z powodu ogólnej *sepsis* umierała matka, trzymając piękne buciki swej córeczki, która zmarła w czasie transportu. Klątwy rzucane na chorwackich faszystów (ustasze) wołały o pomstę; niestety, nie słyszał ich przywódca tych kolaborantów, *Ante Pavelić*.

Tymczasem propaganda niemiecka głosiła, że robotnicy przyjeżdżający do Rzeszy są uszczęśliwieni, gdyż z przeludnionych i biednych rejonów dobrowolnie tutaj przychodzą do pracy. Pracujący ze mną niemieccy lekarze i pielęgniarki wierzyli święcie w zapewnienia gazetowe, mimo że kwestionowałem tę dobrowolność, informując swych rozmówców o spędzaniu ludzi, o obławach itp., kojarzących się ze zdobywaniem siły roboczej w Afryce za czasów niewolnictwa.

Niemcy mi nie wierzyli, aż pewnego dnia fakty mocno nadszarpnęły ich wiarę w goebelsowską propagandę, kiedy z „łapanki" w Paryżu przywieziono na roboty do Niemiec niewidomego inwalidę bez nogi, któremu do łóżka trzeba było podawać posiłki, ponieważ w ogóle nie mógł się samodzielnie poruszać. Wykonywał on pracę polegającą na kwalifikowaniu piłek tenisowych w firmie „Dunlop", a takiego zawodu w Lipsku nie potrzebowano. Kiedy też przychodzili starcy i staruszki, zupełnie wyniszczeni i schorowani, a wielu było wśród nich inwalidów, bo zdrowi niejednokrotnie uciekali w czasie obław i transportu, wówczas w końcu niektórzy uwierzyli, że w rzeczywistości nie dzieje się tak, jak piszą gazety. Zdarzali się bowiem wśród Niemców lekarze dobrzy i myślący rozsądnie, nawet mający skrajnie lewicowe poglądy, większość jednak pracowników niemieckiej służby zdrowia prezentowała się jako hitlerowcy i znaczkami z *hakenkreuzem* afiszowała swą fanatyczną ideologię.

Gdy z wielkimi fanfarami podano wiadomość o zatopieniu brytyjskiego krążownika „Hood" w bitwie morskiej z „Bismarckiem" i wszyscy dokoła mieli radosne miny, to już palacz szpitalny potrafił mi powiedzieć szeptem (cały personel wiedział, że jestem Polakiem), iż „Bismarck" już też tonie, o czym doniosło radio alianckie. Palacz ten podawał mi również inne „bombowe" wiadomości.

O sposobie myślenia ludzi w tamtych czasach niech świadczy i takie zdarzenie. Uważamy, że lekarze, to inteligentni ludzie, ale jednak... Gdy wybuchła wojna hitlerowsko-radziecka, przez kilka dni nie było żadnych komunikatów. Panował nastrój ponury i nie bardzo podniosły. Czwartego lub piątego dnia *Oberkommando der Wehrmacht* podało nadzwyczajny komunikat, w którym donosiło o wtargnięciu daleko w głąb „Rosji". Nastrój Niemców od razu zrobił się fantastyczny, ale niektórzy zgłaszali pewien sceptycyzm. W czasie operacji prowadzący ją profesor, który brał udział w pierwszej wojnie światowej, opowiadał, jak to na doskonale ufortyfikowanym froncie wschodnim Niemcy walczyli z falami żołnierzy rosyjskich, z pierwszą, drugą i trzecią i jak w tym bezkresie i powracających falach sami musieli utonąć. Na to dr *Kaufmann* zareplikował, że tak było dawniej, ale dzisiaj może się założyć, iż do Bożego Narodzenia wojna zostanie wygrana.

Dr *Löffler* podjął zakład, że wojna do Bożego Narodzenia nie będzie wygrana; wątpię, czy w ogóle myślał on o wygraniu wojny. Warunki zakładu były następujące: kto przegra, stawia dla całego zespołu chirurgów tzw. *bierabend* w słynnej piwnicy Auerbacha. Jak wiemy, wojna nie skończyła się do Bożego Narodzenia. Wobec tego L powiedział panu K, że należy stawiać. Ten ostatni odwołał się do mowy *führera* z października, w której *Hitler* powiedział, że wojna jest praktycznie zakończona, lotnictwo niemieckie nie widzi na zapleczu wroga żadnych jednostek militarnych zdolnych do dalszej walki, wojsko położy się na leże zimowe i na wiosnę nastąpi koniec wygranej wojny. Wyłoniono komisję lekarską, kto ma fundować ten wieczór piwny. Komisja orzekła, że jednak wygrał *Kaufmann* i *oberarzt Löffler* płacił wiele kufli piwa, które wypito z racji zakładu „wygranego" z okazji zakończenia zwycięskiej wojny ze Związkiem Radzieckim.

Niejedno jeszcze Boże Narodzenie upłynęło podczas wojny. Dla nas były to wzruszające święta. Uciekaliśmy myślą do stron rodzinnych, a przedstawiciele każdej narodowości prezentowali swe najładniejsze kolędy. My śpiewaliśmy „Lulajże, Jezuniu". W takich chwilach oceniališmy w pamięci każdy ostatni rok, który miał już przynieść oswobodzenie, a tymczasem nasze wygnanie trwało nadal. Co prawda okres przebywania na robotach w Lipsku nie wyróżniał się jakimiś wzniosłymi czynami i nie było tam szczególnego niebezpieczeństwa i ciężkiego dramatu. Były to jednak dni spędzone z dala od ojczyzny, odczuwało się jarzmo niewolnicze, presję przemocy, poniżenie ze strony Niemców, toteż tę część życiorysu niewątpliwie warto było ukształtować w postać szkicu wspomnieniowego, aczkolwiek los wywiezionych robotników, nieludzko wyzyskiwanych w fabrykach Trzeciej Rzeszy i u jej *bauerów* był bez porównania gorszy i przynosił wiele dotkliwszych cierpień.

BOLESŁAW WOYTOWICZ Katowice

W okupowanej Warszawie

Okres okupacji hitlerowskiej do powstania włącznie przeżyłem w Warszawie. W czasie od 22 maja do 23 czerwca 1943 roku byłem uwięziony na Pawiaku. Nigdy nie dowiedziałem się, jakie były konkretne powody mego aresztowania. Na Pawiaku przeszedłem przez opresje wielokrotnie opisywane już przez innych. Myślę, że początkowo wszyscy więźniowie przeżywali okres rozpaczy i krańcowego załamania. Potem jedni tracili wszelką nadzieję i zrezygnowani czekali na śmierć, inni buntowali się i złorzeczyli swemu losowi, u jeszcze innych budziły się mordercze instynkty skierowane przede wszystkim przeciw Niemcom, ale i przeciw całemu światu, niektórzy — z pozoru najsłabsi — zachowali filozoficzny spokój i życzliwy uśmiech dla wszystkich; ci szczególnie irytowali słabych. Zdarzali się też tacy, którzy próbowali wejść w konszachty z „kapo"; były to przeważnie typy kryminalne lub amoralne.

Znalazłem się w kręgu tych osób jako trzydziesty szósty więzień w celi, której starostą zostałem z kaprysu władzy więziennej. Ale nikt mi nie powiedział, jakie są moje obowiązki. W kilka godzin po moim przybyciu ja i moi towarzysze drogo za to zapłaciliśmy. Do celi wpadł z rewolwerem w ręku jakiś podoficer, krzyknął „baczność!", za nim wszedł oficer. W miejscu, w którym każdy z nas się znajdował, stanęliśmy bez ruchu, z wyjątkiem więźnia nadal siedzącego na podłodze. Później się dowiedziałem, że powinienem był zakomenderować zbiórkę i zameldować oficerowi stan celi po niemiecku. Oficer zdumiał się tym milczeniem i nic nie mówiąc wycofał się. Za chwilę mieliśmy karne ćwiczenia na korytarzu. Po powrocie do celi zwaliliśmy się jak trupy na podłogę. Przez jakiś czas słychać było tylko świszczące oddechy i rzężenie. Po kilku minutach zjawił się strażnik, poderwał nas na baczność i tym razem pouczył mnie dokładnie o obowiązujących mnie czynnościach i odpowiedzialności. Pocieszył nas, że tylko do trzech razy sztuka, to znaczy kara w postaci cięższych i dłuższych ćwiczeń, bo nikt, jak dotychczas, czwartego razu nie dożył. Po wyjściu strażnika znów upadliśmy na podłogę.

Byłem już zupełnie zrezygnowany i umęczony. Wybawiła mnie z tego stanu nagła wściekłość na tego więźnia, który nonszalancko siedział na podłodze. Może był typowym ofermą, a może udawał takiego. On jeden — „w cywilu" pomocnik ogrodnika — tutaj nie był zmęczony. Za to, że nie stanął na baczność, odpokutowaliśmy wszyscy. Poderwałem go z podłogi i osobiście dosadnie wyjaśniłem, jak ma się zachowywać, żeby innych nie narażać, nic więc dziwnego, że płaczliwie prosił: „Dosyć, panie! Jakeście mi to tak dokumentnie wytłumaczyli, to będę was słuchał, jak rodzoną mać!" Najbliższa wizyta strażnika odbyła się już sprawnie. Strażnik, sprawdziwszy sprawność ceremonii po swoim wejściu, narzekał tylko, że musiał się wtedy tak bardzo męczyć karnym ćwiczeniem. Oto, jak powstają męczennicy niemieccy. Nastąpiło odprężenie. Po jego wyjściu usiedliśmy wygodnie. Po długiej ciszy zapytałem poważnym głosem: „No i w co będziemy się teraz bawić, śliczne dziewczynki?" Odpowiedział mi rechot pustego śmiechu i rozbawione miny; miałem salę za sobą.

Od tego czasu przez kilka tygodni nie działo się nic godnego przypomnienia. Wyjątkiem był dzień, w którym wywołano osiemnastu spośród nas na korytarz. Nigdy nie wrócili. Już nazajutrz wiedzieliśmy, że ich rozstrzelano i że następną turą będziemy my, bo cela stanie się potrzebna dla nowych lokatorów.

W tym czasie na przesłuchanie wezwano tylko mnie jednego. Kiedy już mocno dobierano mi się do skóry, zdarzył się wypadek, który całkowicie zajął uwagę moich oprawców. Przysłuchując się ich rozmowie, zorientowałem się, że właśnie na podwórzu więziennym więźniowie-Żydzi byli zatrudnieni przy stolarskiej robocie. Jeden z tych stolarzy, widząc, że ich nikt nie pilnuje, położył długą deskę na mur okalający więzienie i zaczął się po niej wdrapywać. Gdyby mu się udało zeskoczyć z muru na drugą stronę, odzyskałby wolność. Zauważył to przypadkowo jeden z moich oprawców, zawołał drugiego do okna i zaczęli się obaj zakładać, czy ten pierwszy potrafi niedoszłego uciekiniera zabić jednym strzałem. Szybko uzgodnili warunki na wysoką sumę. Zgodnie z zakładem strzelać wolno było tylko bez otwierania okna i tylko w chwili, gdy śmiałek stanie na wierzchu muru. Obaj Niemcy zapomnieli o mnie; hazard pochłonął ich bez reszty. Wydawało mi się, że wieki minęły, zanim Niemiec strzelił. Brzęk wybitego pociskiem szkła, rozpaczliwy krzyk konającego, ryk wściekłości przegranego, rechot zadowolonego strzelca — złączyły się w nieludzki koszmar. Mój widok sprawił makabrycznym kawalarzom przykrą niespodziankę. Strzelec wściekle wrzasnął: *raus!*, przyrzekł „pobawić" się ze mną innym razem, a ja, zdobywszy się na skrajny wysiłek, spokojnie wstałem i nie spiesząc się wyszedłem. Wydawało mi się, że mam w nogach nieludzkie siły i potrafię rozwinąć morderczą szybkość, ale ledwie dowlokłem się do drzwi.

Drugiego przesłuchania już nie było. Nazajutrz rano wezwano mnie do szpitala. Nigdy się nie dowiedziałem, komu to zawdzięczam, ani jak się to stało. Dzięki temu uratowałem

wtedy nie tylko życie, lecz coś znacznie większego, odżyła bowiem we mnie wiara w człowieka, tak haniebnie podeptana przez hitlerowskich zbrodniarzy. Jeszcze przed uwięzieniem słyszałem legendy o odwadze i poświęceniu więziennej służby zdrowia. Znalazły one udokumentowane potwierdzenie w powojennej literaturze dotyczącej Pawiaka i roli tamtejszego szpitala w ruchu oporu. Wówczas jednak nie zdawałem sobie sprawy ani z warunków, w jakich ci ludzie pracowali, ani ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, grożącego im ciągle od Niemców. Przede wszystkim samo niesienie pomocy ludziom, których oprawcy gestapowscy nieludzko torturowali, mogło być w każdej chwili uznane za dezaprobatę postępowania Niemców, a to już wystarczało, aby dostać kulą w łeb od niezadowolonego oprawcy, pierwszego z brzegu. Z drugiej strony, gdy Niemcy natrafiali na twardego Polaka, z którego żadną siłą nie mogli wydusić zeznań, kazali go polskiemu lekarzowi doprowadzić do zdrowia, żeby znów męczarniami przymusić go do zeznań. A jeśli na stół operacyjny trafił umierający więzień, nie do odratowania, również lekarz był narażony na najgorsze represje. Z tego, co widziałem i co słyszałem, wyniosłem przekonanie, że pawiaccy pracownicy służby zdrowia żyli i pracowali stale pod groźbą śmierci.

Zachowaniem swoim nie mogli oni okazać choremu ani odrobiny współczucia w obecności Niemców, którzy wymagali, aby lekarz był lekarzem-oprawcą, podobnie jak oni sami byli oprawcami-żołnierzami. Nie trzeba uzasadniać, ile wysiłku kosztować musiało, aby w takiej sytuacji nie stracić ludzkiej godności, przejawiać jednak troskę o chorych więźniów, dodawać im otuchy, dostarczać wiadomości od najbliższych, a czasem od polskich władz konspiracyjnych, czy jakąś inną pomocą zdobyć zaufanie chorego pomimo maski wymuszonych złych pozorów. Z takim niezwykłym bohaterstwem zetknąłem się zaraz na wstępie przy przyjęciu mnie do szpitala więziennego.

Zaczęło się to tragikomicznie. Lekarz więzienny, którego nazwiska, niestety, nie pamiętam, przyjął mnie niesłychanie obcesowo, w stylu: co wam jest, niańki wam potrzeba, brzuszek was boli? Za lekarzem, w którym wyczuwałem Polaka, siedział żołnierz niemiecki z karabinem na kolanach i radośnie się uśmiechał. Zaczęło mi coś świtać w głowie, ale nim uświadomiłem sobie, o co chodzi, już palnąłem głupstwo, mówiąc, że jestem zdrowy i nic mi nie dolega. Na to lekarz: patrzcie mi, jaki tu honorny, a serce, to co, chcecie mi tu kitę odwalić? (i ogromne perskie oko do mnie). Ano, to trudno, skoro już pan doktor zauważył, to nie ma rady, serce bardzo kiepskie. To zdejmuj, do wszystkich diabłów, tę cholerną koszulę! I tak zostałem w szpitalu więziennym jako ciężko chory na serce.

Grałem tę rolę blisko trzy tygodnie. Nic mi się nie polepszało, co ciągle potwierdzał ten sam lekarz. Okres ten, może wskutek kontrastu z dniem wczorajszym, wydawał mi się wspaniały. Atmosfera szpitalna, pełna nie okazywanej, ale prawdziwej życzliwości, uprzejmości i chętnej pomocy budziła we mnie nadzieje, które dopiero co na zawsze pogrzebałem. Wreszcie miałem spokój, nic nie robiłem, mogłem spokojnie myśleć, nie groziła mi ciągła, niszcząca szarpanina nerwowa, otrzymywałem od najbliższych wiadomości przynoszone przez dra Szczepana *Wacka*, okulistę więziennego i wkładane co parę dni do książki z więziennej czytelni, toteż rozważałem czekającą mnie przyszłość, może nadchodzącą śmierć, a może ratunek. Nie była to jeszcze nadzieja, ale raczej rozsądna potrzeba wzięcia pod uwagę wszelkich możliwości, żeby być na wszystko gotowym.

Któregoś dnia w godzinach popołudniowych, w samo upalne lato, przyniesiono na noszach nowego więźnia. Z przesłuchania. Miał połamane ręce i był straszliwie pobity. Zobaczyłem jego ciało, gdy go układano na łóżku. Było koloru dojrzałej śliwki. W tej samej chwili dostałem pierwszą paczkę z domu, z jedzeniem i bielizną. Zwyczajna, czysta koszula wywołała łzy rozczulenia swoim widokiem. Nie miałem czasu rozkoszować się paczką. Trzeba było zająć się nieszczęśliwym. Znalazłem w paczce sporo świeżego masła. W całości poszło na okłady pobitego ciała. Pobity jęczał przejmująco, choć się nie budził, bo był pod narkozą po operacji. Więzienni lekarze poskładali mu ręce i przytwierdzili do piersi, nie miał więc na czym leżeć. Plecy były jedną czarną plamą. Musieliśmy go utrzymywać w pozycji na boku i ciągle smarować plecy masłem. Po paru godzinach przestał jęczeć i wydawało się nam, że zasnął zdrowym snem.

Wtedy właśnie stał się cud. Do sali wszedł żołnierz, kazał mi zebrać swoje rzeczy i za kwadrans być gotowym do wyjścia. Byłem przekonany, że muszę wrócić do celi. Okazało się, że wychodzę na wolność. Zostawiłem chorym kolegom wszystko, co dostałem, uwolniony worek zastąpił mi walizkę, a po przebyciu wszelkich formalności wypisania z więzienia, uzupełnionych pouczeniami i groźbami w gestapo, znalazłem się wolny na ulicy. Za kilkanaście minut byłem już ze swymi najbliższymi, którzy dokładnie piętnaście minut przed moim powrotem dostali wiadomość jak najbardziej wiarygodną i bardzo wysoko opłaconą, że zostałem rozstrzelany tego samego dnia rano.

Za tydzień, podobnie jak przed uwięzieniem, ale z ogoloną głową, znajdowałem się znów wśród swoich słuchaczy w kawiarni, która w okupowanej Warszawie zaznaczyła się w sposób charakterystyczny. Nie od razu jednak po powrocie do Warszawy w początku października 1939 roku z przymusowej pieszej wędrówki na trasie Warszawa — Chełm — Warszawa mogłem dawać koncerty. Początkowo wydawało się, że będę musiał na długo rozstać się z muzyką. Absorbowały mnie takie zajęcia, jak wyklejanie powybijanych okien kartonami ze starych pudełek, poszukiwanie

żywności przy wydatnej pomocy mojej pomysłowej gospodyni, a także odnajdywanie w zwalonych domach węgla pozostałego w nienaruszonych piwnicach. Odszukując właścicieli tych piwnic, wydobywałem go z pomocą braci za zapłatą choćby tym właśnie węglem. Udało mi się zdobyć ręczny wózek, toteż mieliśmy siły, transport i cenny opał. Wkrótce jednak ludzie dowiedzieli się, czym się zajmuję z braćmi. Któregoś dnia zajechała pod dom ogromna platforma węgla od nieznanego ofiarodawcy. Tyle tylko dowiedziałem się, że to od elektrowni. Był więc spokój o ciepło na zimę. Bracia moi dostali nieźle płatną pracę. Felcia, gospodyni, znalazła szklarza, którym okazał się znakomity muzyk, mój kolega.

Niebawem zaproponowano mi zorganizowanie i kierowanie zespołem muzycznym; w grę wchodziła oczywiście muzyka rozrywkowa. W jednej kawiarni zgodziłem się nawet na próbę, trwała ona jednak tylko trzy wieczory. Była świetnie płatna, ale odmówiłem. Wolałem dalej głodować. Po paru dniach zaproszono mnie do Spółki Akcyjnej „Dom Sztuki". Był to znany, wielki antykwariat. Zaproszenie pochodziło od dyrektorki i współwłaścicielki „Domu Sztuki", pani Ireny *Bielińskiej*, późniejszej mojej świętej pamięci żony. Zamierzała ona wyzyskać swój piękny i duży lokal na salę koncertową przy ul. Nowy Świat 27, poświęconą wyłącznie muzyce poważnej. Sądziła, że władze niemieckie na to nie pozwolą, ale być może zgodzą się na otwarcie w tym lokalu artystycznej kawiarni z muzyką. Projektodawczyni powierzyła mi organizację kawiarni, jak też muzyki oraz zleciła, bym zajął się wszystkimi sprawami „zewnętrznymi". Kawiarnia ta, do której szczęśliwie wróciłem później po moim okresie pawiackim, nazywała się „Dom Sztuki" i działała w myśl statutu wspomnianej spółki akcyjnej. Z czasem została z wielu względów przemianowana na „kawiarnię prof. B. Woytowicza" i tak przetrwała aż do powstania.

Było ona imprezą bardzo trudną do prowadzenia. Stale narażała na niebezpieczeństwa, przeważnie śmiertelne. Pod jej szyldem działy się przedziwne rzeczy. Publiczność, personel i artyści nie byli tylko tymi, na jakich wyglądali. Wszyscy ustawicznie czuli się jak na wulkanie. Z każdego środowiska związanego w jakiś sposób z tą kawiarnią od czasu do czasu ktoś znikał nagle i niespodziewanie, często na zawsze. Niektórzy odnaleźli się po wojnie, o innych dowiadywaliśmy się później, że zginęli, jeszcze o innych, że byli bohaterami, o jednym, że był nędznym zdrajcą. Ja zaś — mimo Pawiaka — wróciłem do kawiarni i prowadziłem ją dalej. To samo przydarzyło się mojej sekretarce, pani Irenie *Malinowskiej* (obecnie kustosz muzeum w Wilanowie), równocześnie ze mną uwięzionej i wypuszczonej. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego Niemcy tak z nami postąpili. Wszyscy uważaliśmy za cud, że wciąż trwamy. Pracowaliśmy z pełną świadomością, że jesteśmy nieboszczykami na urlopie.

Zezwolenie na otwarcie kawiarni otrzymałem stosunkowo łatwo. W ogóle w różnych urzędach spotykałem ludzi, którzy znali mnie ze słyszenia (radio), a często i z widzenia (filharmonia). Starali się wszystko mi ułatwiać. Natomiast niemieckie władze „kulturalne" długo i uparcie odmawiały zezwolenia na wykonywanie muzyki w kawiarni. W końcu ustąpiły, zastrzegając, że wolno mi wykonywać tylko muzykę poważną, dla pozoru bowiem upierałem się przy muzyce rozrywkowej, którą zresztą z kolegami nigdy się nie zajmowałem. Udało się wobec Niemców wygrać na psychice osła, który, pociągany w jedną stronę, poszedł w przeciwną.

Jednak ów „osioł" był ostrożny. Przyszedł z całą grupą „rzeczoznawców", żeby mnie posłuchać. Był to upokarzający egzamin. Grałem dwie godziny, na zawołanie. Wreszcie „pan osioł" poprosił o kilka utworów *Chopina*. Odpowiedziałem odmownie, wyjaśniając dyplomatycznie, że wykonywanie dzieł *Chopina* jest zabronione przez władze niemieckie (zresztą przez tego samego Niemca). Wszyscy się oburzyli, jest to przecież zebranie prywatne. Moja replika zaskoczyła ich; powiedziałem, że rozumiem tę krytykę zarządzenia, ale ja nie mogę sobie pozwolić na kwestionowanie decyzji władz niemieckich nawet na tak „prywatnym" zebraniu, jak obecne. *Chopina* nie grałem. Po paru dniach otrzymałem wspomniane zezwolenie na muzykę poważną. Widocznie zdałem egzamin.

Łączył się z tym przymus meldowania programów oraz podania listy wykonawców w celu uzyskania dla nich karty pracy, bardzo pożytecznej, bo stosunkowo wysoko respektowanej przez Niemców w „łapankach". Korzystali na tym zwłaszcza młodzi, których jeden lub dwa dni w tygodniu wprowadzaliśmy na estradę, aby ich nie tylko przyzwyczaić do publicznych występów, lecz także zabezpieczyć kartą pracy na tej podstawie, że występują w programie zatwierdzonym przez władze. Wielu młodych ludzi w ten sposób obroniliśmy od „łapanek" lub wywiezienia na roboty do Rzeszy.

Podczas operacji zatwierdzania jednego z programów urzędnik, który mówił płynnie po polsku i miał rdzennie polskie nazwisko, a okazał się Niemcem, skreślił mi z listy *Webera*. Widziałem, że przedtem zajrzał do „żółtej książeczki". „Dlatego, że to Żyd" — odpowiedział, zapytany o przyczynę. „Co? *Carl Maria von Weber*, szlachcic pruski, Żydem?!" Urzędnik zbladł i krzyknął z pasją: „To dlaczego pan tego wszystkiego nie napisał w programie?" Tłumaczyłem przebiegle, że nigdy się tego w programach nie robi, a gdybym nawet na żądanie to zrobił ja, muzyk, dostałbym kulą w łeb za obrazę *Webera* (że niby go bronię przed posądzeniem o żydowskie pochodzenie). „I słusznie — dodałem. — A co pan by dostał? Tego nie wiem". „Ale mógłby pan napisać: *Carl Maria v o n...*" Mocno zirytowany, palnąłem bez namysłu: „Proszę pana, jeżeli ja mówię *Hitler*, to znaczy muszę jeszcze koniecznie

powiedzieć: Adolf?" Urzędnika zatkało, ja zaś spokojnie złożyłem swoje papiery i wyszedłem. Po kilku tygodniach dowiedziałem się, że tego urzędnika wyrzucono z narodu niemieckiego rzekomo za okradzenie sklepu *„nur für Deutsche"*. Zdaje się, że w czasie naszej rozmowy o *Weberze* był ktoś w sąsiednim pokoju i doniósł o głupocie nowego członka *herrenvolku*. Odtąd na wyraźny rozkaz pisemny chodziłem zatwierdzać moje programy do centralnego biura.

Pomimo różnych podobnych perypetii, będących przy tym przyczynkiem do psychologii Niemców, kawiarnia działała, na jej estradzie zaś występowali nasi najsławniejsi starsi muzycy, a także najbardziej utalentowani i obiecujący młodzi, soliści i kameraliści.

Spośród artystów, których najczęściej gościła estrada kawiarni, występowali tam pianiści Jan *Bereżyński*, Zbigniew *Drzewiecki*, Jan *Ekier*, Roman *Jasiński*, Władysław *Kędra*, Jerzy *Lefeld*, Paweł *Lewiecki*, Nadzieja *Padlewska*, Stanisław *Staniewicz*, Aleksander *Wielhorski*, Maria *Wiłkomirska*, Jerzy *Żurawlew*, smyczkowcy Dezydery *Danczowski*, Tadeusz *Ochlewski*, Roman *Padlewski*, Henryk *Trzonek*, Eugenia *Umińska*, Kazimierz *Wiłkomirski*, w zakresie śpiewu Ewa *Bandrowska-Turska*, Alina *Bolechowska*, Victoria *Calma*, Maria *Dobrowolska-Gruszczyńska*, Julia *Gorzechowska*, Ada *Sari*.

Ogromny repertuar wykonany przez nich obejmował rozległe połacie historii muzyki w wielkich, a czasem nawet kompletnych seriach. Wszyscy odczuwaliśmy, że realizujemy w ten sposób opór przeciw Niemcom, którzy narzucali Polakom tandetną, bezwartościową muzyczkę. Estrada kawiarni była czynna od 16 listopada 1939 roku aż do powstania, z przerwą około sześciotygodniową, związaną z moim uwięzieniem na Pawiaku. Przy tym we środy wieczorem i w niedzielne poranki, a czasem i popołudnia, odbywały się recitale fortepianowe, natomiast wieczorem we czwartki i niedziele — muzyka kameralna, we wtorki i piątki — występy młodych. Publiczność przychodziła wyłącznie na koncerty; jeżeli nie było koncertu (w poniedziałki), to nie było też publiczności. Miejsca dla słuchaczy rezerwowano często sześć tygodni naprzód.

O więzi psychicznej łączącej bywalców z naszą kawiarnią może świadczyć następujące zdarzenie. Pewnej słonecznej niedzieli przed porankiem, na którym grałem kolejny program z cyklu fortepianowych sonat *Beethovena*, rozeszła się wiadomość, że dzieje się coś niedobrego. W kawiarni była złowieszcza pustka, zupełnie wyjątkowa, bo nasza publiczność nie spóźniała się na koncerty, a pora już była zacząć. Trwaliśmy więc ze ściśniętym sercem i czekaliśmy w ciszy.

Niespełna godzinę po terminie sala zaczęła się jednak napełniać i to bardzo szybko. Wszyscy przyszli umorusani, brudni, poplamieni sadzą lub wapnem, podnieceni, z błyszczącymi oczyma i wyraźnie zadowoleni, że są już na miejscu. Zanim wyszedłem na estradę, wiedziałem już, że Niemcy urządzili ogromną obławę wokół centrum miasta, zwłaszcza od strony Żoliborza. Miłośnicy naszego muzycznego azylu musieli się przekradać przez ruiny, piwnice i różne wertepy, żeby nie ominąć spotkania z *Beethovenem*.

Uwagi Niemców nie uszło, że dzieje się tutaj coś nienormalnego. Nikogo więc nie zdziwiło, gdy w drzwiach sali stanął zbrojny patrol niemiecki, stukając kopytami po parkiecie. Nie przestałem grać. Zaczęło się tworzyć nieznośne napięcie. W chwili, gdy Niemcy podnieśli broń, dziewczyna siedząca najbliżej wejścia podeszła do nich cichutko i z paluszkiem na ustach ledwo słyszalnym szeptem powiedziała: cicho, to *Beethoven!* Niemcy powoli i ostrożnie, na palcach wyszli nie tylko z sali, lecz również z budynku. Dziewczyna uśmiechnęła się i cichutko usiadła na swoim miejscu. Myślę, że wszyscy obecni poczuli się wtedy ludźmi, tymi prawdziwymi ludźmi. Koncert trwał dalej.

Niemcy nie mieli prawa wstępu do kawiarni, ale — niestety — nie trwało to długo. Pewnego razu tuż przed moim wejściem na estradę jeden z chłopców-szatniarzy zaalarmował mnie, że wszedł niemiecki oficer. Udałem się do szatni i starałem się mu wytłumaczyć, że łamie przepisy ustanowione przez władze, o czym informuje odpowiedni napis przy wejściu. Niemiec nie ustępował, a dowiedziawszy się, że trafił na program złożony z sonat *Beethovena*, postanowił zostać, by, jak określił, wysłuchać swych ulubionych utworów, zapewniając, że nie zakłóci spokoju.

Z późniejszych relacji szatniarzy wiem, że po moim wyjściu prędko zdjął mundurowe palto, a broń sam powiesił, gdy się szatniarz wzbraniał jej dotknąć. Usiadł w kącie szatni i zamknąwszy oczy, przesiedział tak do końca koncertu. Wychodząc, nie wziął broni, mówiąc, aby ją sobie zatrzymał szatniarz. Wtedy chłopiec zaskoczył go słowami: „Nie dziś, panie kapitanie, dziś słuchaliśmy *Beethovena*". Niemiec wziął broń, stuknął obcasami i jakby wzruszony odmaszerował.

Po kilku dniach w południe kilkuosobowy patrol z podoficerem wtargnął do kawiarni i przybił do ramy lustra karton z napisem i pieczęcią, że lokal jest dla Niemców dozwolony. Załączył do tego list jakiegoś urzędu, że kawiarnia została wciągnięta na listę przydziałów, z których mogę korzystać. Oczywiście wyrzekliśmy się tych produktów. Ale kartonu nie mogliśmy zerwać bezkarnie. Musieliśmy pamiętać, że kawiarnia była potrzebna do bardzo ważnych celów.

Naszą szatnię prowadził znany artysta-malarz, Aleksander *Dzwonkowski*, a pomagali mu wspomniani już młodzi chłopcy, Jan, Wacław i Zbigniew *Nowowiejscy*, synowie poległego pułkownika WP. Jestem przekonany, że zostali do nas odkomenderowani przez podziemie. Sprawowali się doskonale. Raz jednak zdarzyła się gafa, która mogła nas drogo kosztować. Po koncercie, jak zwykle, przed odejściem perso-

nelu sprawdzałem, czy wszystko jest w porządku. Na górnej półce jednego z wieszaków zauważyłem pokaźną paczkę, owiniętą w zwyczajny, brązowy papier do pakowania. Szatniarz pamiętał, że przyniósł ją jakiś młody Niemiec, widocznie dla kogoś znajomego z sali, któremu zasalutował, gdy były oklaski po moim wejściu na estradę. O paczkę nikt nie pytał.

Wtem schody zadudniły od ciężkich, podkutych butów. Poleciłem wszystkim wyjść natychmiast tylnym wejściem i zatrzasnąć drzwi za sobą. Chłopcy znikli jak kamfora. Mając do dyspozycji tylko sekundy, wróciłem do sali koncertowej i zacząłem przesuwać stoliki. Tak mnie zastał patrol. Indagowany, wyjaśniałem, że dzisiaj był koncert, repertuar jest podany w programie, rozkład miesięczny też jest napisany, przychodzi polska publiczność koncertowa. „Polacy lubią *Bacha*?" „Tak, i uważają go za ojca wielkich kompozytorów", „A koncerty poświęcone *Chopinowi* są bardzo częste?" „Nie". „Dlaczego?" „Bo nam nie wolno ani wykonywać, ani słuchać *Chopina*". Niemiec jakby się obudził z drzemki. „Czy j e s t e ś c i e woźnym?" „Tak jest". „A kto gra?" „Artyści muzycy, wśród nich również ja". Niemiec się zawahał i pytał dalej: „A kto jest właścicielem?" „Też ja". „To p a n jest profesorem *Woytowiczem*?" „Tak jest. Ja tu wszystko sam sprzątam, bo personel musi wrócić do domu przed godziną policyjną, a niektórzy daleko mieszkają". Odpowiadałem dalej, że kawiarnia jest czynna od roku, Niemcom wolno przychodzić, właśnie bowiem przybito w tej sprawie ogłoszenie, mam też urzędowy list, ale w nim nie piszą, kto się o to starał.

Nastąpiła dwugodzinna, drobiazgowa rewizja. Niemcy szczęśliwie nie zajrzeli na gzymsy, na których było kilka karabinów. Przezornie nie miałem w lokalu tak wysokiej drabiny. Za to wszystkie szafy dokładnie spenetrowali i coś niecoś stamtąd zginęło. Raczej kieszonkowa kradzież. W końcu zmęczeni usiedli przed estradą i wyciągnęli nogi. Po chwili jeden z nich powiedział, że pod tą estradą można by doskonale schować dużo broni. Zaproponowałem, aby zdjąć fortepiany i zobaczyć, co tam jest pod spodem. Udałem, że mocuję się z ciężkim instrumentem. Na ten widok któryś Niemiec napomknął, że można by podłożyć granat. Przestrzegłem, że to niebezpieczne. Dwa fortepiany stały bowiem na estradzie, trzeci obok. Tłumaczyłem, że same stanowią już nie byle jakie bomby, naciąg strun ma w każdym 80 ton i jeśli struny pękną jednocześnie, z tego domu nic nie zostanie. Lepiej więc je zdjąć. W końcu podoficer odezwał się, że nonsensem byłoby chować broń do takiego schowka, z którego by nie można było jej wyjąć natychmiast w razie potrzeby. Zapytał, gdzie jest ta karta zezwalająca na przychodzenie Niemców. Wskazałem bezpośrednio widoczne lustro w szatni.

Szedłem przodem. Po drodze chwyciłem krzesło i zanim Niemcy weszli, już na nim stałem, zasłaniając plecami półkę z ową paczką, a obu rękami kierując talerz wiszącej żarówki wprost na lustro. W ten sposób każdy z nich widział urzędowe *erlaubt*, jednocześnie zaś odbicie światła dość mocnej żarówki. Spoglądając z cienia znad żarówki, sam niewidoczny, świetnie ich widziałem. Obejrzawszy kartę, odwrócili się od lustra i spokojnie wyszli. Nawet nie bardzo tłukli butami.

Paczka na półce w szatni zawierała granaty ręczne. Rzekomy Niemiec, który je przyniósł, był przebranym kolegą jednego z szatniarzy, który go zresztą nie poznał. A pod estradą był skład karabinów maszynowych. Wcale nie trzeba było zdejmować fortepianów, żeby się do nich dostać. Wystarczyło odsunąć schodki, po których wchodziło się na estradę. Jeden z Niemców opierał się o te właśnie schodki.

Zezwolenie na obecność Niemców na koncertach nie było stałe, toteż ciągłe kontredanse z napisem „dozwolone" lub „zabronione" musiały ich wreszcie zirytować. Tworzyli oni grupę około dwudziestu oficerów i z pewnych przesłanek mogliśmy się domyślać, że byli to przynajmniej w większości lekarze wojskowi. Zachowywali się spokojnie i — można by nawet powiedzieć — skromnie. Powracanie karty z napisem „dozwolone" było zapewne wynikiem ich starań, a mnie przysparzało nowych kłopotów i niebezpieczeństw. Widocznie oni to przypuścili generalny atak na swoje władze, aby uzyskać dla siebie stałe zezwolenie na uczęszczanie na nasze koncerty.

Pewnego dnia, wolnego od koncertu, dowiedziałem się od woźnego, że jacyś wyżsi niemieccy oficerowie wzywają mnie. Byłem zaskoczony ich pytaniem, czy mówię po angielsku. Gdy podałem, że rozumiem język angielski czytając, ale nie mówię, jeden z czterech przybyłych, oficer najstarszy wiekiem i zapewne rangą, wręczył mi angielską gazetę złożoną na stronie, gdzie czerwonym ołówkiem zaznaczono pewien artykuł. Jego treść odnosiła się do barbarzyństwa niemieckiego w Polsce, a jako przykład wskazano, że koncerty są skasowane, artyści muszą produkować się w kawiarni, znany na świecie kompozytor i pianista Bolesław *Woytowicz* znajduje się w takiej właśnie sytuacji, publiczność zachowuje się wzorowo tak, jak na normalnym koncercie, ale władze niemieckie w dodatku do tych szykan zabroniły wykonywać dzieła *Chopina*, widocznie jednak boją się tych „armat wśród kwiatów".

Czytając to wszystko i obserwując Niemców, uświadomiłem sobie własne trudne położenie, mogli bowiem wpaść na bzdurną myśl, że ja spowodowałem ten artykuł, co by znaczyło, że mam możność porozumiewania się z Anglią, a więc jestem dywersantem, może nawet szpiegiem. Wiadomo, czym by się to skończyło. Na razie spokojnie oddałem gazetę. „Czy to prawda?" — zapytał oficer. „Tak" — odpowiedziałem (o czym on myśli, gdy pyta, czy to prawda?). „Panu rzeczywiście nie wolno grać *Chopina*?" „Nie, nie wolno". „Pan chyba rozumie, że ryzykuje pan życiem, jeżeli się to okaże

kłamstwem?" „Ja stale ryzykuję życiem, ale nie w tym wypadku, bo *Chopina* nie gram wskutek zakazu władz niemieckich". „Tak?" — mówi kpiąco Niemiec i żąda dokumentu. Nie ruszyłem się z miejsca. „Na co pan czeka?" „Na eskortę, panie generale, lokal ma drugie wyjście" (przypadkowo dałem rozmówcy właściwy stopień). „Wiemy o tym, cały dom jest obstawiony". Za chwilę wracałem z urzędowym zakazem wykonywania dzieł *Chopina*.

W toku tej lektury twarz generała zbladła. Zwróciwszy mi dokument, zdjął z głowy czapkę, rzucił ją na ziemię i podeptał, wykrzykując jakieś strzępy zdań, z których nic nie rozumiałem. Potem nagle się uspokoił, kazał adiutantowi oczyścić czapkę, włożył ją uroczyście na głowę i zapytał, czy lokal jest dozwolony dla Niemców. Wskazałem na dokument tym razem zabraniający, który wisiał, jak zwykle, w szatni na lustrze. Generał zdjął dokument z lustra, napisał coś na nim, posługując się jak stołem plecami zgiętego adiutanta, po czym wręczył mi kartę i powiedział, abym nazajutrz punktualnie o godzinie 11 przesłał tę kartę do pana *Otto*, komendanta policji. Trzasnął obcasami, zasalutował i odszedł ze swą świtą. Ani treści notatki generała, ani jego podpisu nie zdołałem odcyfrować, rozpoznałem tylko stopień wojskowy w *Luftwaffe*.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie stawiłem się w komendanturze. *Otto* miał u nas reputację szczególnie brutalnego polakożercy. Zostałem natychmiast przyjęty, gdy adiutant zobaczył podpis na karcie. *Otto*, rozparty w fotelu, trzymając w prawej ręce pejcz, a w lewej rewolwer, zwrócił się do mnie — oczywiście przez „ty" — czy jestem woźnym z kawiarni. Odpowiedziałem, że tak. Kazał mi iść precz i biegiem przysłać właściciela. Wyjaśniłem, że w kawiarni pełnię czynności zarówno woźnego, jak i artysty, a także jestem właścicielem. Kazał mi więc powiedzieć, jak się to stało, że słynny generał zainteresował się moją osobą. Zaprzeczyłem, jakoby się mną interesował; zobaczył kartę, coś tam napisał i kazał mi ją przynieść dzisiaj o godzinie 11 punktualnie, co też uczyniłem.

Otto wybuchnął, zaczął wrzeszczeć, wymachiwać mi przed nosem pejczem i rewolwerem, tłukł pięścią w stół i groził, że mnie żywcem ze skóry obedrze, posypie solą i dowie się ode mnie, co to za konszachty mam z generałem. Stałem przy drzwiach w postawie woźnego i siłą woli hamowałem wzburzenie. Następne sekundy były już tylko odruchami. Spojrzałem na zegarek i nie zwracając uwagi na krzyki, podszedłem do stołu i cicho powiedziałem: „Słuchaj pan, *Otto*, ma pan tylko trzy minuty do podpisania tej karty według dyspozycji generała i rób pan to natychmiast, bo jeśli nie, to już w czwartej minucie on się panem osobiście zajmie, a wtedy ja za pana nie dam nawet feniga!" *Otto* podpisał, położył pieczęć, otworzył gębę i zaczął się formalnie dusić z wściekłości; ja zabrałem kartę i wyszedłem. Na zewnątrz natknąłem się na jednego z wczorajszych adiutantów generała. Udaliśmy, że się nie poznajemy. Niemiec, domyśliwszy się, że wychodzę z kartą „dozwolone", uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie. Od tego czasu decyzji nie zmieniono.

W najbliższą sobotę, w przeddzień święta 3 maja otrzymałem z gubernatorstwa „dystryktu" list nakazujący mi pod osobistą odpowiedzialnością wykonanie w programie jutrzejszego koncertu jednego utworu *Chopina*. Nie wolno mi było tego utworu umieścić w programie pisemnym. Ponieważ na pewno nie był to gest w związku ze świętem, przeto prawdopodobnie Niemcy szukali dla siebie sfingowanego dowodu w połączeniu z moim nazwiskiem przeciw oskarżeniom angielskim. Ale któryś urzędnik nie zrozumiał tej gry i „poprawił" nakaz, mianowicie zamiast nakazać, zakazał mi umieszczenia *Chopina* w programie. Spodziewanego dowodu więc nie uzyskali.

Ale ja w dniu trzecim maja wykonałem ten utwór; była to sonata z marszem żałobnym. Polaków to nie zaskoczyło, zostali bowiem dyskretnie uprzedzeni, zachowali więc kamienny spokój. Ale niemieccy lekarze, którzy się stawili w komplecie (czyżby przypadkowo?), nie ukryli swych doznań. Siedzieli skupieni w martwej ciszy, w cudny, majowy dzień, w święto tradycji i odrodzenia, w umęczonym przez nich kraju. Nie kryli łez. Tym utworem skończyłem program. Nie wiem, skąd miałem tyle sił, żeby zejść z estrady. Na drugi dzień otrzymałem nowy list z gubernatorstwa, zabraniający mi ponownie i pod groźbą odpowiedzialności osobistej wykonywania dzieł *Chopina*.

W kilka dni potem po koncercie wieczornym, gdy wszyscy już wyszli, w kawiarni został oficer niemiecki, który wyjaśnił mi po francusku, że jest adiutantem gubernatora „dystryktu" warszawskiego, *Fischera*. Gubernator jest praktykującym muzykiem i byłby rad w warunkach całkowicie intymnych (słowo to zostało szczególnie podkreślone) gościć mnie u siebie i może nawet, jeśli się na to zgodzę, pomuzykować wspólnie ze mną. Odpowiedziałem bez namysłu, że i ja rad bym był gościć u siebie prywatnie pana gubernatora jako kolegę muzyka, ale niestety, między przedstawicielem narodu, który siłą okupuje, rujnuje i niszczy mój kraj, zabija jego mieszkańców, a mną, może jutrzejszą ofiarą takiego postępowania, nie tylko intymne, ale żadne stosunki nie są możliwe. Adiutant poczerwieniał, ale spokojnie zapewnił, że dosłownie powtórzy naszą rozmowę gubernatorowi. Nie wątpię, że dosłownie to moje życzenie spełnił, dziwię się tylko, że mimo to żyję.

Najbliższej niedzieli między porankiem koncertowym a koncertem popołudniowym otrzymałem telefon od niemieckiego dyrektora gmachu Teatru Polskiego, w którym odbywały się wtedy pierwsze poranki muzyczne organizowane przez Niemców dla Polaków. Według projektu niemieckiego wykonawcami mieli być Polacy. Różnie wykręcali się od tego udziału. Na przykład Ewa *Bandrowska-Turska*, o któ-

rej wiedzieliśmy, że jest w świetnej formie głosowej, przedstawiła pisemne zaświadczenie niemieckiej sławy lekarskiej, potwierdzone podpisami i urzędowymi pieczęciami, o zaniku strun głosowych.

Ów dyrektor, aby uniknąć podobnej historii ze mną, zaskoczył mnie rozmową telefoniczną. Miałem grać za tydzień V koncert *Beethovena* z orkiestrą, natychmiast porozumieć się z dyrygentem co do prób i — trawestując słowa poety — *tenuit mora nulla vocatum*, niech żadna przeszkoda nie wstrzyma wezwanego. Z miejsca odmówiłem stanowczo, deklarując, że gram tylko u siebie, w mojej sali koncertowej, bez względu na konsekwencje. Położyłem słuchawkę.

Młodzież, która mnie otaczała, słysząc rozmowę, zmartwiała ze strachu o mnie. „Panie profesorze, co pan zrobił, przecież oni tu zaraz przyjadą po pana, niech pan ucieka!" Kazałem obecnym opuścić lokal i ukryć się, zostałem sam i zamknąłem drzwi na klucz. Po kilku minutach ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Nie mając innej perspektywy, musiałem otworzyć. Wpadł na mnie gruby, całkowicie pijany, cywilny Niemiec i nieprawdopodobnym żargonem zażądał wódki, polskiej wódki. Nie wiedziałem, co mam robić. Zapewne za chwilę zajedzie karetka po mnie, a tu napastuje mnie pijak. Kazałem mu się wynosić i zagroziłem, że zawołam żandarmerię. Obsypał mnie wyzwiskami i ze śmiechem oświadczył, że nie zdążę tego zrobić, bo on mnie tu zaraz zastrzeli. Sięgnął ręką do kieszeni. Nie mając wyboru, trzasnąłem go z całej siły kolanem w brzuch, wyrwałem mu rewolwer z ręki i zaczęła się bójka. Widząc, że w walce jest bity, Niemiec rzucił się na najbliższe przedmioty. W szale złości tłukł drogocenne szkła, kryształy, rwał obrusy, trzasnął o ziemię bezcennym posążkiem Buddy. Starałem się mu przeszkadzać i krok za krokiem zapędziłem napastnika do łazienki. Tam, gdy zobaczył wannę, jak gdyby nigdy nic oddał mi teczkę, której dotąd nie wypuszczał z ręki, a sam zaczął pić wodę i wylewać ją sobie na głowę. Natychmiast zatrzasnąłem drzwi łazienki i zastawiłem je mocnym stołem. Zatelefonowałem na górne piętro, aby wezwano pilnie żandarmerię.

Osoba, która wezwała żandarmów, znakomicie władała niemieckim i w błyskawicznym skrócie wyjaśniła, co się dzieje. Rzeczywiście przyjechali, nim wyłamał drzwi. Po swojemu powtórzyłem opowiadanie, oddałem rewolwer i teczkę, jak się okazało, po brzegi wypełnioną pięćsetkami. Potem zaczęło się świniobicie. Sądząc z odgłosów, żandarmi bili swego opasłego kompatriotę bardzo fachowo, długo i skutecznie, skoro go wynieśli na noszach. A my rzuciliśmy się do porządków. Za półtorej godziny grałem już popołudniowy recital, złożony wyłącznie z utworów *Bacha*.

Żandarmi po mnie jednak nie przyjechali, a na porankach u Niemców nie grałem ani razu.

Z opisów podobnych wydarzeń można by złożyć książkę. Niektóre są wręcz nieprawdopodobne. Tak było np. z kradzieżą generalskich butów. Zdarzyło się to w domu, w którym mieszkałem. Zginęły one wystawione na schody do czyszczenia. Za karę zawiadomiono wszystkich mieszkańców, że mają się wynieść z domu w ciągu 24 godzin. Czym prędzej sprzedałem część rzeczy, pozostałe podarowałem i na godzinę przed terminem byłem gotowy. Razem z braćmi resztę naszego dobytku załadowaliśmy na niewielki, ręczny wózek.

Wróciłem jeszcze zobaczyć, czy czegoś nie zapomniałem. Wtem rozległ się dzwonek i weszli dwaj oficerowie z bukietem. Poznałem ich, należeli bowiem do stałych słuchaczy w kawiarni. W pustym mieszkaniu rozmawialiśmy stojąc. Jeden z nich wyjaśnił, że obaj są adiutantami generała-lekarza, prowadzącego szpital po drugiej stronie ulicy (dawniej szpital Ubezpieczalni). Generał przysyła ich z pozdrowieniem i oświadczeniem, że zarządzenie o opuszczeniu mieszkania mnie nie dotyczy, szpital weźmie mnie pod opiekę, dostanę przepustkę na całą dobę, będę mógł ćwiczyć na fortepianie (tymczasem mój fortepian już dawno sprzedałem na finansowanie kawiarni, o czym oni nie wiedzieli) itd.

Kwiatów nie przyjąłem, adiutantów poprosiłem, aby podziękowali generałowi za opiekę, o którą nie prosiłem i której nie potrzebuję. Gdyby się okazało, że ja ukradłem te generalskie buty, to jestem stale do osiągnięcia w kawiarni, którą dalej zamierzam prowadzić. Adiutanci wyszli bez słowa, a ja za nimi, zostawiając otwarte drzwi do mieszkania.

Na dole czekał na mnie inny oficer, lekarz, również nasz słuchacz. Przyznał mi rację, gdy się ode mnie dowiedział, że odmówiłem proponowanej opieki, ponieważ byłoby to niezgodne z moim sumieniem. Gdy podkreśliłem, że dżentelmeni się zawsze porozumieją, o czym świadczy, że jesteśmy jednego zdania, reakcja Niemca na to moje raczej zdawkowe odezwanie się była zaskakująca. Twarz mu zbladła jak papier, chwilę milczał, potem wyprężył się, zasalutował i powiedział: „Dziękuję, że pan mnie jeszcze zalicza do dżentelmenów, ale wśród nas już żaden na ten zaszczyt nie zasługuje". Odwrócił się i odszedł. A ja, ciągnąc swój wózek, posuwałem się z trudem, powoli, w nieznane. Od tego czasu mieszkałem kątem u różnych życzliwych ludzi.

Psychologiczne reakcje Niemców nieraz były zadziwiające. Któregoś dnia wczesnym rankiem wpadł do kawiarni jakiś szeregowiec niemiecki. Krótki dialog między nami brzmiał mniej więcej tak: Pan jest Polakiem? Tak. Prawdziwym? Ależ tak, najprawdziwszym. To pan nienawidzi Hitlera? Tak, jak każdy Polak, nienawidzę. Więc dobrze, przynoszę panu szczęśliwą nowinę. Mówił ten pies, że to będzie *blitzkrieg*, a tymczasem to będzie *blitzschluss* dla niego. Ja wiem, wracam ze wschodniego frontu, cieszmy się! I poszedł. Po kilku tygodniach przypomniała mi go karta z Hanoweru: „Znajomy z pańskiej kawiarni pozdrawia i potwier-

dza sprawę." Podpisano: *Johann Blitzschluss.*

Innym razem jakiś starszy oficer niemiecki oglądał przedmioty wystawione na sprzedaż w „Domu Sztuki". Szczególnie podobał mu się dywanik, tzw. modlitewnik. Pytał o cenę, rozkoszował się pięknem wzorów ręcznej roboty i nagle, patrząc mi w oczy, zapytał, dlaczego nie dałem kapitanowi *P.* (jednemu z niemieckich lekarzy) tego właśnie modlitewnika jako łapówki zamiast fortepianu. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie znam kapitana, choć domyślam się, że jest on jednym z wielu lekarzy wojskowych, którzy przychodzą na koncerty. Ale ani jemu, ani nikomu innemu nigdy w życiu nie dałem łapówki. „Czy pan przez to zaprzecza, że oficer niemiecki dostał od pana fortepian?" Zaprzeczyłem stanowczo i dodałem, że wiem od mojej gospodyni, iż pewnego dnia w czasie mojej nieobecności żołnierze niemieccy zabrali mi z mieszkania jeden z fortepianów, powołując się na rozkaz jakiegoś kapitana. Co miałem robić? Pogodziłem się z tym faktem tak, jak muszę się godzić z wieloma innymi.

Niemiec wyjął notes i coś w nim nabazgrał. Wręczając mi ten świstek wyrwany z notesu, powiedział, że jest to przepustka do sądu wojskowego. We własnym interesie mam się tam stawić na przesłuchanie nazajutrz o godzinie 11. „Ja będę pana przesłuchiwał, jestem prezesem tego sądu". Na przesłuchaniu powiedziałem to samo, co w kawiarni i tak zostało to zaprotokołowane. Było tylko jedno dodatkowe pytanie, czy oskarżam tego kapitana o kradzież z włamaniem. Nie ukrywając złości, mówiłem, że wcale go nie oskarżam. „Ale pan jest zły?" „Oczywiście, że jestem, przecież mógłby mnie przynajmniej zapytać, czy nie pożyczyłbym mu fortepianu, skoro mam dwa, a tymczasem wziął go bez pytania, jakbym ja nie istniał!" „To znaczy, że ukradł go siłą?" „To pan sędzia się tego obawia, bo ja nie". „Spodziewa się pan więc, że on panu zwróci ten fortepian?" „Oczywiście, że zwróci, nawet tego jestem pewien". Na tym zakończyło się przesłuchanie. Na drugi dzień ci sami żołnierze odwieźli mi fortepian. Okazało się, że zawędrował on już do Siedlec.

Pewnej letniej niedzieli w samo południe miał się odbyć poranek w wykonaniu jednego z moich kolegów, który jednak nie przybył. Wszystkie ulice były bowiem zamknięte na trasie uroczystej defilady wojskowej z powodu przyjazdu *Hitlera* do Warszawy. Zastępowałem więc kolegę. Już około godziny 10 przyszło dwóch szeregowców *Wehrmachtu,* szukając lokalu, w którym by się mogli posilić. Powiedziano im, że tak wcześnie niczego u nas nie ma do jedzenia. Zaczęli się rozpytywać, dlaczego i tak od słowa do słowa dowiedzieli sie o koncertach w kawiarni. Żałowali, że nie mogą tu być na koncercie o dwunastej, ale należą do jednostki wojskowej, która będzie defilować przed *Hitlerem.* Dano im coś do zjedzenia i przed jedenastą wyszli, rezerwując sobie na wszelki wypadek stolik na koncert.

Ku naszemu zdziwieniu zajęli go na kilka minut przed dwunastą. Jeden z nich, widząc zaskoczenie kelnerki, zwierzył się jej po cichu, nie pytany, że na defiladę udało im się wynająć na swoje miejsce dwóch kolegów, a sami woleli przyjść na koncert. Niewątpliwie w sytuacjach *sit venia verbo* muzycznych można było niekiedy obserwować w okupowanej Warszawie nietypową postawę i szokujące nieraz zachowanie się Niemców, poszczególnych Niemców, którzy jednak w swojej masie okazywali oblicze zdecydowanych, zorganizowanych i zdyscyplinowanych barbarzyńców.

Tak płynął czas, od jednego zdarzenia do drugiego, od obawy do obawy, przeplatany wiadomościami o bohaterskich czynach naszego zbrojnego podziemia i o okrucieństwach niemieckich. A moi koledzy-artyści wraz ze mną ciągle jeszcze trwali na naszym maleńkim posterunku, który się uparcie trzymał. Ożywiało nas poczucie, że był on tym maleńkim szańcem kultury narodu. Tylko my mogliśmy go bronić, jak tylu innych szańców bronili inni, bo tylko oni mogli tamte obronić.

Do mojego aresztowania doszło przypadkowo. W tym dniu, tj. 22 maja 1943 roku przyszedłem do kawiarni o godzinie 11 i od razu zrozumiałem, że wpadłem. W salce przy wejściu siedziała moja sekretarka, a przed nią dwaj cywile zadawali jej pytania po niemiecku. Właściwie nie umiała ona ani słowa w tym języku, nie wiadomo więc było, co już na migi zdołała Niemcom wygadać. Była zaś zażartą partyzantką i na pewno łakomą zdobyczą dla hitlerowców. Wchodzę więc, mówię „dzień dobry" po polsku i od razu z awanturą do sekretarki, dlaczego tu siedzi na rozmowach, zamiast pisać na maszynie program na dzisiejszy wieczorny koncert. Wstała więc, przeprosiła i poszła. Pomyślałem, że ma świetną okazję do ucieczki, a o to mi właśnie chodziło.

Zwróciłem się teraz do cywilów, wciąż po polsku, pytając, o co chodzi. Po polsku nie umieli, okazało się, że są z tajnej policji, prowadzą śledztwo w rozgałęzionej sprawie szpiegowskiej i nici tego śledztwa wiodą do kawiarni, a w szczególności do mojej sekretarki. Zwróciłem ich uwagę na to, że już z nią rozmawiali i jako fachowcy zdążyli chyba doskonale się zorientować, że nie nadaje się do roli szpiega. Jakie mogą być dowody jej szpiegowskiej roboty? Owszem, mają list szyfrowany do niej z Gdańska, ale nie zdołali ustalić jego treści. „A może to nie szyfr?" zapytałem. Pokazali mi wtedy zwyczajną kartę pocztową adresowaną na „Dom Sztuki" i na nazwisko mojej sekretarki. Nadawca zapytuje, czy jest jeszcze do sprzedania antyczne biurko, które dokładnie opisuje, już przedtem je obejrzał, a teraz zdecydował się kupić.

Przeczytałem, oddałem kartę i zapytałem znowu, czy rozumieją po polsku. Teraz okazało się, że tak i mogę do nich mówić po polsku. A więc rozumieli, że odesłałem sekretarkę do pisania na maszynie, ale nie mogłem wiedzieć, co im naopowiadała, jeśli i jej tę kartę poka-

zali i pozwolili jej mówić do nich po polsku. Powiedziałem, że się na szyfrach nie znam, ale dla mnie, to po prostu list handlowy. Ten lokal należy do antykwariatu o statusie spółki akcyjnej, do której zarządu należę. Pamiętam, że takie biurko było u nas i zostało sprzedane jakiemuś kupcowi z Wiednia, który jednocześnie kupił tu obraz holenderskiego malarza. Od sekretarki wiem, że jeszcze przedtem był tu jakiś pan z Gdańska i chciał to biurko nabyć, ale wydało mu się za drogie. Powiedział, że się namyśli i do niej napisze. W tej chwili mamy kilka antycznych biurek do sprzedania, a jedno nawet podobne do tego, o którym tu mowa; może panowie zechcą je obejrzeć, to proszę ze mną.

Poszli, obejrzeli i przy okazji zobaczyliśmy, że sekretarka siedzi w pokoju biurowym i pisze na maszynie. Przy sąsiednim biurku pracuje nasza kochana pani Emilia, księgowa. To właśnie biurko miało być podobne do opisanego w kartce. Na szczęście nie było nikogo więcej w całym wielkim lokalu. Niemcy zaglądnęli do każdej szuflady, szukali schowka, ale niczego podejrzanego nie znaleźli i o nic nikogo nie pytali. Stało się dla mnie oczywiste, że ani nie znają się na schowkach, ani nie są specjalistami od kontrwywiadu, ani zapewne nie byli nawet zwykłymi policjantami. Natomiast przypuszczałem, że nasłało ich *SS*, żeby mnie na czymś przyłapać i coś mi wmówić. Byłby to więc dowód nienawiści komendanta *Otto* jako pobocznego skutku obrazy doznanej przez niego od generała *Luftwaffe* z mojego powodu. Sekretarka była po prostu owcą ofiarną, karta z Gdańska zaś sfingowana. Powiedziałem sobie w duchu, że tym razem klamka zapadła i na nic się nie zdadzą wykręty.

Oni znów po niemiecku zwrócili się do sekretarki, że niczego tutaj nie znaleźli, wobec tego pojadą z nią do jej mieszkania i tam dokonają rewizji. Równało się to katastrofie, gdyż w domu sekretarki była tajna radiostacja, obsługiwana przez jej brata. Pomyślałem, że trzeba by go jakoś uprzedzić, ale w tej chwili zaproponowali mi, żebym z nimi pojechał. Pozornie chętnie się na to zgodziłem, a sekretarce po polsku powiedziałem, że jedziemy razem z nią do jej domu. O zamierzonej tam rewizji nie wspomniałem. Panią Emilię poprosiłem, żeby zamknęła lokal i poszła do domu. Wyszliśmy wszyscy i samochodem policyjnym pomknęliśmy na Sadybę pod Wilanowem.

Bohaterką tego dnia okazała się pani Emilia. Nie zatelefonowała do brata sekretarki z naszego lokalu, gdyż telefon był na podsłuchu, ale zeszła na dół do sąsiedniego sklepu „tylko dla Niemców". Mówiła po niemiecku jak rodowita Niemka. Zezwolono jej zadzwonić. Wtedy po polsku zaczęła krzyczeć do telefonu: zniszczyć, natychmiast zniszczyć radio, za trzy minuty będzie rewizja, zniszczyć, rewizja! Wszyscy w sklepie patrzyli na nią znieruchomiali. Niemcy, którzy tam byli, nie rozumieli, dlaczego ta stara kobieta, taka spokojna przed chwilą, teraz wrzeszczy i co chce powiedzieć, a ci, którzy rozumieli, nie mogli ze siebie słowa wydobyć. Pani Emilia piękną niemczyzną podziękowała i spokojnie wyszła, nie zatrzymana przez nikogo. Rewizja zaś w domu sekretarki nic nie dała, bo jej brat zdążył zbiec razem z aparatem radiowym. U mnie w domu też nic nie mogła dać, bo w moim kącie w mieszkaniu życzliwego mi człowieka miałem wyłącznie osobiste rzeczy.

W parę godzin później byłem więźniem na Pawiaku.

MARIA GRAJKOWSKA-BRYJOWA Morawczyna

Wspomnienia z ludowej konspiracji

Po ukończeniu poznańskiej Wyższej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek w roku 1930 pracowałam przez wiele lat w VII Wojskowym Szpitalu Okręgowym. W roku 1939 byłam instruktorką w oddziale Szpitala Miejskiego w Poznaniu, ale gdy widmo wojny zagroziło Polsce, mobilizacja skierowała mnie znowu do wspomnianego szpitala wojskowego. Wkrótce, po uroczystej przysiędze wojskowej otrzymałyśmy wraz z innymi koleżankami rozkaz spakowania sprzętu chirurgicznego. Miałyśmy wraz z poznańskimi lekarzami założyć szpital polowy w okolicach Lwowa.

Już podczas pakowania sprzętu zaczęły się niemieckie naloty na Poznań. Nocą ruszyliśmy w drogę. W drodze, którą zdołaliśmy przebyć pociągiem, naloty towarzyszyły nam stale. Nie będę opisywała dantejskich scen, które działy się w czasie bombardowania i ostrzeliwania trasy pełnej pociągów ewakuacyjnych. Nasz pociąg szczęśliwie ocalał. Wieźliśmy ze sobą żołnierzy-rekonwalescentów z VII Szpitala Okręgowego. Przebywając wewnątrz wagonów, zwłaszcza w czasie nalotów czuli się oni psychicznie źle. Inaczej czuliby się w akcji z bronią w ręce.

W jednym z wagonów urządziliśmy salkę opatrunkową, udzielając pomocy rannym z innych pociągów. Z lekarzy towarzyszyli nam prof. dr *Jurasz* i prof. dr Jan *Krotowski* (wówczas docent) oraz inni lekarze, których nazwisk nie pamiętam.

Utknęliśmy na torach stacji Żychlin pod Kutnem. Podnosiły nas na duchu wiadomości,

że w okolicy toczy się bitwa i że nasi żołnierze stawiają skuteczny opór. Przypadło nam w udziale nieść krótkotrwałą, doraźną pomoc rannym bohaterom ze słynnej bitwy nad Bzurą.

W czasie postoju pociągu w Żychlinie wezwano naszej pomocy do dużego dworu w okolicy. Dwór był bardzo obszerny. Niedaleko płonęła jakaś gorzelnia. We wszystkich pokojach dworu ranni leżeli pokotem na podłodze, na słomie, na dywanach. Przez całą noc przy lampie naftowej prof. *Krotowski* operował, asystowała koleżanka Władysława *Wierzbicka,* ja dawałam narkozę. Zapasu eteru było mało. Od czasu do czasu dr *Krotowski* zwracał na mnie zmęczone oczy: „Siostrzyczko, wystarczy eteru?" Nie zabrakło. Wystarczało małe odurzenie, żeby wymęczeni, wykrwawieni żołnierze zasypiali, jakby wypoczywając.

Rano, po operacjach zajęłyśmy się pielęgnacją. Najpilniejsze było napoić rannych. Ktoś w piwnicy znalazł wino. Dolewałyśmy nieco wody i dawałyśmy żołnierzom. Nie zapomnę nigdy żołnierza z jakąś straszną raną twarzy. Nie mógł mówić, tylko patrzył błagalnym wzrokiem. Chwycił moją rękę i sam kierował pojnik w krwawą jamę. Pił bez końca. A było ich kilkuset.

Bez chwili wypoczynku, po całonocnych operacjach przenosiłyśmy we dwie bezwładnych mężczyzn na wygodniejsze posłania albo wynosiłyśmy zmarłych. Nie pamiętam, kiedy i co jadłyśmy. Nagle dano znać, że Niemcy są blisko. W myśl rozkazu pozostał z rannymi stary, emerytowany lekarz, kapitan, który miał do pomocy siostry pogotowia PCK. Nam rozkazano posuwać się dalej taborem konnym. Straszna była konieczność zostawienia bezbronnych rannych pod jeszcze mniejszą opieką.

Pamiętam dobrze sceny z tamtych dni. Posuwamy się nocą, jakąś błotnistą drogą, natłoczoną ludźmi, końmi, taborami. Przepuszczamy artylerię, potem tabory wojskowe, wreszcie za nimi ruszają znów nasze tabory. W mroku nocy słychać rozkazy: „Czoło naprzód!" Posuwamy się z trudem. Miejscami błoto było takie, że źle obuci pozostawiali w nim buty. Dotarliśmy do wsi Przejma, gdzieś pod Iłowem. W dzień gnębiły nas ustawiczne naloty. Samoloty z niskiego pułapu ostrzeliwały trasę z karabinów maszynowych. W jakiejś chacie napotkaliśmy rannych, którym udzielaliśmy pomocy. Wśród wojska narastał niepokój. Niemcy idą ze wszystkich stron. Dr *Krotowski* i kilku oficerów sami sprawdzają, czy nie można by przedrzeć się przez rzekę w kierunku Warszawy. Okazuje się, że to niemożliwe. Wracamy do rannych.

Tu zabrali nas Niemcy. Po raz pierwszy usłyszałam: *Hände hoch!* i *Alle müssen raus!* Popędzili nas drogą, z jednej strony mężczyzn, z drugiej zaś kobiety; środkiem biegli oni, krzycząc *Ihr Hunde, ihr Polaken, kennt ihr nicht schneller laufen!* Tak popędzano nas do napotkanego osiedla.

Tam nas rozdzielono. Kobiety zamknięto na podwórzu jakiegoś opuszczonego domostwa. Straż przy nas pełnił uzbrojony *volksdeutsch.* Domagałyśmy się, żeby pozwolił nam przejść pobliskie pola, na których dostrzegłyśmy sylwetki leżących żołnierzy; może wśród nich są jeszcze żywi, których trzeba opatrzyć. Zabronił.

W następnej zagrodzie, w sadzie stały w zaprzęgach przy wozach konie spędzone z jakiegoś taboru wojskowego. Inne, zabite, znajdowały się w parze z żywymi, nie pojonymi, nie karmionymi. Bezskutecznie prosiłyśmy naszego strażnika, żeby pozwolił je wyprzęgnąć.

Pod wieczór wskutek naszego nieustępliwego domagania się *volksdeutsch* pozwolił nam przejść przez najbliższe pola. Niestety, znalazłyśmy tylko jednego rannego jeszcze żyjącego, z ciężką raną postrzałową brzucha. Inni już nie żyli. Ktoś przed nami skontrolował te pola. Bagnety na broni były zatknięte w ziemię, a żołnierze odwróceni na wznak, z metalowymi znaczkami tożsamości w ustach, zdawali się patrolować polskie niebo. Więcej niż ludziom pomogłyśmy koniom; wyprzęgnięte poszły w świat, być może służyć polskim chłopom. Jeden wóz z koniem zatrzymałyśmy dla siebie.

Nasz *volksdeutsch* przestał się nami interesować. Wracałyśmy w kierunku Poznania. W pierwszej napotkanej chacie zostawiłyśmy rannego, ciągle nieprzytomnego. Zapewniono nas, że lekarz jest w pobliżu. Zaopiekują się. Wszędzie Niemcy. Pewien podoficer *Wehrmachtu* usiłował nam czytać gazetę frontową i „pocieszać", że wojna skończona, a Warszawa poddała się. *Wir sind gute Menschen* — deklarował. Odwróciłyśmy się od tego „dobrego człowieka" bez słowa. Przygnębione i oszołomione, nie mogłyśmy jednak uwierzyć w to, co się stało. Lepiej poinformowani Polacy zapewniali nas, że Warszawa walczy.

W Poznaniu moja siostra przywitała mnie słowami: „Ty tutaj? A ja zazdrościłam ci, że jesteś w Warszawie". W Poznaniu ludzie już okrzepli. Dla bezdomnych zorganizowano kwatery. Działała pomoc obywatelska. Aparaty radiowe ukrywano, mimo że rozlepiane *bekanntmachungi* nakazywały oddawanie odbiorników.

Obie z Władką *Wierzbicką* dowiedziałyśmy się, że w Łodzi jest szpital jeńców polskich. Pojechałyśmy tam i zgłosiłyśmy się do pracy. W koszarach Strzelców Kaniowskich na piętrowych łóżkach leżeli ranni. Lekarzami byli na szczęście Polacy, jeńcy wojenni. Administracja zaś — to Niemcy i *volksdeutsche.* Wyżywienie dla chorych i personelu było gorsze niż więzienne. Brak wszystkiego: materiału opatrunkowego, leków, bielizny. Nie zdrowieliby nasi ranni w tych warunkach. Tylko dzięki ofiarnej pomocy łódzkiego społeczeństwa mogli powrócić do zdrowia. Codziennie napływały dary.

Pracowały z nami łodzianki, między nimi moje dawne uczennice z poznańskiej szkoły pielęgniarstwa, Walentyna *Borowiec* i Halina *Jaskólska.* Władka *Wierzbicka* miała w Łodzi siostrę. One to sygnalizowały, co potrzeba ran-

nym żołnierzom i wszystko to przynosili ofiarni łodzianie. Znalazły się także ubrania cywilne dla ozdrowieńców, którzy unikając obozów jenieckich szli do pracy konspiracyjnej. Stawałyśmy się niewygodne administracji niemieckiej, zaczęły się przesłuchania, straszenia, szykany. A trudno już było w tym czasie wydostać się z Łodzi. Widziałyśmy tu koszmar tworzenia getta żydowskiego i strasznego obozu w Radogoszczu. Tam także pomagano prześladowanym.

Obie z Władką *Wierzbicką* postanowiłyśmy przedostać się do Warszawy. Udało się: ona przez zieloną granicę, ja na sfałszowaną przepustkę. W Warszawie dotarłam do RGO do pani Elżbiety *Rabowskiej,* kochanej i szanowanej przez nas wszystkie dawnej dyrektorki naszej szkoły. *Rabowska* skierowała mnie do pracy w prewentorium PCK dla dzieci ofiar wojny. Znalazłam się tam w gronie kobiet pełnych poświęcenia, zdecydowanych i zorganizowanych. Przeważnie były to harcerki. Hanka *Petrykowska* zginęła w powstaniu jako żołnierz Kedywu, Basia *Matysówna* ze Skolimowa, absolwentka Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa PCK, walczyła później w powstaniu jako żołnierz Kedywu i sanitariuszka. Kierowniczką prewentorium była E. *Grodecka*, lekarzem — dr *Niżegorodcew*. Zespół ten umiał stworzyć smutnym dzieciom atmosferę ciepła i serdeczności, w której stawały się normalnymi dziećmi, zdrowiały i weselały.

W początkach roku 1941 weszłam do pracy konspiracyjnej ruchu ludowego; dlatego przeniosłam się do Warszawy. Pracowałam teraz jako pielęgniarka społeczna w Szpitalu Jana Bożego z ramienia RGO. Instytucja ta, prowadzona sprężyście przez ludzi oddanych sprawie polskiej, niosła dużą pomoc potrzebującym. W Warszawie w czasie okupacji była tak silna więź między społeczeństwem i takie zrozumienie potrzeb, że chyba nigdzie i nigdy w pracy społecznej nie natrafiało się na większe ułatwienia. Pomoc materialną, pracę lub umieszczenie w instytucji opiekuńczej dla moich podopiecznych, a głównie ich rodzin uzyskiwałam prawie zawsze. Rodziny te mieszkały w różnych dzielnicach Warszawy, Łatwo mi było zatem godzić pracę konspiracyjną z obowiązkami pielęgniarki, a legitymacja pracownika RGO była również dużym ułatwieniem.

W konspiracji byłam łączniczką Związku Pracy Ludowej „Orka", równocześnie Departamentu Finansów Delegatury Rządu oraz współpracowałam z Ludowym Związkiem Kobiet. Ideologia ruchu ludowego była mi bliska; atmosferę wsi znałam i kochałam, bo moja matka pochodziła bezpośrednio ze wsi. W pracy pielęgniarskiej również stykałam się ze środowiskiem wiejskim, które mnie zawsze interesowało, a doskonale redagowany miesięcznik przedwojenny „Pielęgniarka Polska" uczył, jak ważne społecznie jest zagadnienie zdrowia wsi. W miesięczniku „Zdrowie Publiczne", poświęconym Zjazdowi Instytutu Spraw Społecznych w roku 1937, dr Marcin *Kacprzak* pisał: „Nadchodzą czasy, w których nie tylko siłę obronną państwa i potęgę ekonomiczną kraju, lecz i samo istnienie narodu trzeba oprzeć na racjonalnej ochronie zdrowia i umiejętnej polityce ludnościowej. A rdzeniem narodu naszego jest chłop".

I nadeszły czasy, kiedy ten „rdzeń naszego narodu", nawykły do ciągłej, wytrwałej, cierpliwej walki zaczął współbudować podziemne państwo polskie. Stronnictwo Ludowe (kryptonim „Roch") już w początkach okupacji niemieckiej skupiło w swoich szeregach wszystkie siły ruchu ludowego. Było najliczniejszą partią podziemia. Brało czynny udział we wszystkich pracach konspiracyjnych zarówno w walce wyzwoleńczej narodu (Bataliony Chłopskie), jak i w programowym opracowaniu zasad demokratycznej przebudowy ustroju politycznego i społeczno-gospodarczego przyszłej Polski. Wizja demokratycznej Polski ludowej szła z nami przez lata krwawego terroru. Nie szefowie sztabu, lecz zwykli chłopi tworzyli w obronie ukochanej ziemi ojczystej zielone chłopskie bataliony.

Wincenty *Witos* powiedział: „Polska jest tam, gdzie chłop polski, wrywszy się swoimi rękami w ziemię, nie opuszcza jej więcej". Chłopi Zamojszczyzny i inni wryli się rzeczywiście rękami swoimi w ziemię, nie pozwolili się wysiedlić, obronili ją i przetrwali.

Krystalizujący się coraz wyraźniej obraz Polski ludowej zawierał wizję powszechnej służby zdrowia, nie mniej trudnej do urzeczywistnienia. Widocznie tak już jest, że rzeczy pięknych i wielkich nie może stworzyć jedno pokolenie.

Nawiązując do artykułu Barbary *Matus* o Zielonym Krzyżu w ósmym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", pragnę dorzucić nieco wspomnień o ludziach związanych sercem i pracą z ruchem ludowym i zdrowiem wsi polskiej.

Prof. dr Henryk *Gnoiński,* szef sanitarny BCh i kierownik Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Ludowego Związku Kobiet, był jednym z gorących orędowników zdrowia wsi. Wytyczając kierunek szkoleń sióstr Zielonego Krzyża podług bieżących potrzeb BCh, widział wyraźnie ich pracę w przyszłej, wolnej, demokratycznej Polsce ludowej. Zdając sobie sprawę z opłakanego zdrowia wsi polskiej i widząc, jak kobiety wiejskie na równi z mężczyznami świadomie walczą z wrogiem i bez sarkań oddają Polsce swych synów, rozumiał, że z tą samą gorliwością podejmą walkę o nowe, zdrowe, mocne pokolenie.

Wśród działaczy ludowych w Warszawie prof. *Gnoiński* było postacią znaną i popularną, szanowaną i lubianą. Wielu z nas ratował zdrowie w czasie okupacji i w czasie powstania. Po wyzwoleniu znowu był zawsze chętnym, światłym doradcą w pracach LZK w dziedzinie zdrowia wsi. Niestety, zmarł tragicznie w roku 1946. Wspomnienie pośmiertne o nim ogłosił Polski Tygodnik Lekarski (1946, nr 41—42, str. 1295—1296), a także Stefan

Zgrzembski w Opiekunie Społecznym (1946, nr 5—6, str. 4—7).

Drugim samodzielnym pionem Stronnictwa Ludowego był Związek Pracy Ludowej „Orka", który powstał z przedwojennego Zrzeszenia Inteligencji Ludowej. „Orka" rozpoczęła pracę konspiracyjną już w roku 1940. Mając duży dorobek przedwojenny na terenie miast, łatwo zgromadziła dookoła siebie dawnych zrzeszeniowców. Przestała być jednak organizacją wyłącznie inteligencką, a rozszerzyła swoje zadania na wszystkie warstwy społeczne w mieście, które albo pochodziły ze wsi, albo były związane ze wsią bądź to ideowo, bądź też pracą zawodową. „Orka" przyjęła na siebie obowiązek krzewienia ideologii ruchu ludowego w miastach. W swojej deklaracji ideowo-programowej „Orka" domagała się między innymi należytej ochrony zdrowia wsi.

Przewodniczącym i organizatorem „Orki" był Wincenty *Bryja* (pseudonim „Górski"). Redaktorem naszego pisma konspiracyjnego, zatytułowanego „Orka", z podtytułem „Prawda Zwycięży", był dr Stefan *Buczkowski*. Nie zabrakło w „Orce" również komórki lekarskiej, którą prowadził dr Stanisław *Kroszczyński*. Wyróżniał się on umiejętnością szerokiego, wnikliwego spojrzenia na wszystkie zagadnienia nurtujące społeczeństwo polskie, a w szczególności wieś. Kilka lat przed wojną włączył się on w działalność ludowców.



Dr Stanisław *Kroszczyński*

Dr *Kroszczyński* wstąpił do Zrzeszenia Inteligencji Ludowej, solidaryzując się z protestem wykształconych synów wsi przeciwko upośledzeniu klasy chłopskiej w strukturze Polski międzywojennej. Wojna i okupacja nie oderwały dra *Kroszczyńskiego* od planów podniesienia zdrowotności wsi. Na co dzień był gorącym lekarzem, społecznikiem i wielkim patriotą. Mieszkanie państwa *Kroszczyńskich* w Warszawie przy ulicy Wilczej 28 było w czasie okupacji komórką konspiracyjną. Tu odbywały się nieraz wykłady farmakologii, które dr *Kroszczyński* prowadził na tajnym uniwersytecie. Tu był punkt kontaktowy Stronnictwa Ludowego, a w czasie powstania tu również udzielał doktor pomocy lekarskiej powstańcom i ludności cywilnej.

Dr *Kroszczyński* urodził się w Krakowie w roku 1894. Studia medyczne i farmację ukończył w Warszawie. Przez kilka lat był asystentem prof. *Modrakowskiego* na Wydziale Farmacji UW. Przez długie lata wykładał farmakologię w Szkole Pielęgniarstwa PCK na Smolnej. Żywo interesował się sprawami zawodu pielęgniarskiego i perspektywami jego rozwoju. Pracował u Spiessa (obecnie Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne) i u Klawego (obecnie Warszawskie Zakłady Farmaceutyczne). Napisał wartościowe prace naukowe i artykuły o tematyce społecznej. Był serdecznym orędownikiem zdrowia wsi polskiej. Interesował się szczególnie wiejskimi spółdzielniami zdrowia. Chcąc poznać dokładnie tę postać lecznictwa, wybrał się wraz z grupą lekarzy do Jugosławii, a po powrocie gorąco propagował spółdzielnie zdrowia w Polsce. Przy zakładaniu takiej spółdzielni w Gaci był doradcą Ignacego *Solarza*.

Mimo swej wyczerpującej pracy zawodowej znajdował czas na wyjazdy w teren, pozbawiając się niedzielnego wypoczynku. Były to całodzienne, z góry zaplanowane wizyty z drem Kazimierzem *Górskim* i działaczem ludowym, K. *Wyszomirskim*. Wyjeżdżali oni głównie do wsi podwarszawskich, gdzie przeprowadzali badania lekarskie i udzielali porad. Pracując u Klawego, dr *Kroszczyński* zdołał namówić Janinę *Klawe* do wybudowania własnym kosztem wiejskiego ośrodka zdrowia w Drwalewie, gdzie mieściła się część zakładów firmy Klawe. W ośrodku tym była porodówka, pokoje dla położnic, lekarz dentysta, pielęgniarka położna, żłobek, natryski, a nawet apteka i farmaceutka.

W czasie okupacji całą duszą tkwił w pracy konspiracyjnej ruchu ludowego jako członek ZPL „Orka". Razem z drem Januszem *Trzebińskim* i innymi lekarzami nie szczędził trudu ani dla tajnego nauczania, ani dla prac programowych przyszłej powszechnej służby zdrowia. Łączył w sobie pasję naukowca-farmakologa z umiłowaniem zawodu lekarskiego. Był bardzo dobrym diagnostą i psychoterapeutą, co sprawiało, że sama rozmowa z doktorem przynosiła choremu ulgę w cierpieniu. Mimo stale pogarszającego się stanu zdrowia pracował bardzo intensywnie niemal do końca życia. Brał udział w odbudowie dawnych zakładów Klawego, organizował pracownię farmakologiczną w założonym w roku 1952 Instytucie Farmaceutycznym. Zmarł w marcu 1953 roku.

Działaczką ZPL „Orka" była również Władysława *Wierzbicka*, nieodłączna moja towarzyszka od lat szkoły pielęgniarskiej, przez kampanię wrześniową, szpital jeńców polskich w Łodzi i pracę konspiracyjną. Urodziła się w Kaliszu, gdzie skończyła szkołę średnią. W roku 1930 ukończyła poznańską Wyższą Szkołę Pielęgniarek i Higienistek. Następnie specjalizowała się jako siostra operacyjna. Była doskonałą instrumentariuszką. Cechowała ją ogromna pogoda ducha, łatwość współżycia z ludźmi, takt i opanowanie. Te cechy charakteru przy wielkim poczuciu sprawiedliwości

i wrodzonej ofiarności sprawiły, że zarówno w pracy zawodowej, jak i konspiracyjnej była osobą niezastąpioną.

W Warszawie w czasie okupacji pracowała najpierw w Domu Księdza Boduena, potem w lecznicy dra Weissa, a w końcowym etapie w Szpitalu Maltańskim, gdzie wespół z tamtejszymi lekarzami zorganizowała kurs dla sióstr Zielonego Krzyża. Wiadomo, że w okresie konspiracji zadaniem bardzo trudnym było doprowadzenie do realizacji najmniejszego nawet kursu. Tutaj przeszkolono około 40 sióstr ZK teoretycznie i praktycznie na sześciotygodniowym kursie, a każda słuchaczka otrzymała legalne zaświadczenie, że ukończyła kurs dla sanitariuszek blokowych obrony przeciwlotniczej. W Szpitalu Maltańskim, ewakuowanym później przez Niemców, pracowała w czasie powstania.

Po stworzeniu punktu opatrunkowo-operacyjnego na Miodowej pracowała tutaj, dopóki i ta placówka nie została zburzona. *Wierzbicka,* zasypana gruzem, byłaby tam zginęła, gdyby nie jedna z lekarek, która zauważyła jej ręce wystające z gruzów. Nad punktem opatrunkowym była składnica materiałów sanitarnych. Władka uległa strasznemu poparzeniu mięśni przedramion i ud ściekającym na nią ługiem.

I ja byłam ranna w powstaniu 20 sierpnia w okolicach placu Napoleona od odłamków granatnika. Jeden z nich utkwił w nerce. Dzięki natychmiastowej, umiejętnej i troskliwej opiece chirurga dra *Trawińskiego* (podobno zginął później w powstaniu) i personelu szpitala powstańczego w dawnej lecznicy dra Weissa przy Chmielnej, wracałam prędko do zdrowia. W początkach września, po różnych jeszcze przeżyciach popowstaniowych zostałam ewakuowana z Krakowskiego Przedmieścia ze Szpitala Sióstr Wizytek do Milanówka. Tu znalazłam schronienie i opiekę u Jadwigi *Dorendy-Wójtowskiej,* również członkini ZPL „Orka" i razem z nią mogłam się zaopiekować Władką, ewakuowaną do Milanówka ze Szpitala Wolskiego. Była już w bardzo ciężkim stanie, miała tylko przebłyski świadomości, podczas których zauważyła wielki napis tytułowy na kolumnie gazety leżącej obok niej chorej, informujący, że powstanie warszawskie jest zakończone i nastąpiła kapitulacja. „Co teraz będzie, Marychno?" — zapytała, patrząc na mnie z rozpaczą. „No cóż — odpowiedziałam spokojnie — zaczniemy na nowo, teraz będzie już łatwiej". Dobrotliwa nieświadomość znowu przeważyła. Jeszcze jedna ewakuacja — tym razem z Milanówka do Krakowa — zakończyła jej pracowite, ofiarne życie. Pochowana jest w Krakowie na Cmentarzu Rakowickim.

Wkrótce po zarejestrowaniu się Ludowego Związku Kobiet u władz państwowych podjęłyśmy razem z Marią *Szczawińską* w warunkach powojennych rozmowy z przedstawicielami Ministerstwa Zdrowia i z samym ministrem, drem Franciszkiem *Litwinem,* który odniósł się przychylnie do naszych zamierzonych prac. Rozmowy z PCK dały natychmiastowy, konkretny wynik w postaci darów *UNRRA,* przede wszystkim pięknie wyposażonych apteczek, zwłaszcza dużego zapasu proszków *DDT* i maści przeciwświerzbowej, materiałów wówczas najbardziej przydatnych. Tak wyposażone wyjeżdżałyśmy do najbardziej zniszczonych działaniami wojennymi wsi w województwach lubelskim i kieleckim. W wyprawach tych brała udział zawsze ofiarna i nigdy nie zmęczona dr Janina *Dybowska* i pielęgniarka Basia *Matysówna,* z którą na początku okupacji pracowałam w prewentorium PCK w Skolimowie.

Prócz badań lekarskich przeprowadzanych przez dr *Dybowską* i udzielania przez nią porad robiłyśmy przeglądy dzieci. Wszawica i świerzb były powszechne. Jednocześnie urządzałyśmy krótkie, popularne, trzydniowe kursy sanitarne, omawiając na początek najbardziej palące zagadnienia zdrowia.

W dniach 15—16 sierpnia 1945 roku odbył się w Łodzi zjazd poświęcony organizacji opieki lekarskiej na wsi. Dr M. *Ciećkiewicz* ogłosił sprawozdanie z tego zjazdu w „Przeglądzie Lekarskim" (1945, nr 6, str. 122—125). Obecni tam byli wybitni przedstawiciele świata lekarskiego, minister *Litwin,* działacze organizacji społecznych. Przewodniczył dr Marcin *Kacprzak.* Oto jego słowa: „Powiadają, że ziemia — to jedyna rzecz, która może przetrwać, jedyna, którą warto kochać, dla której warto żyć i umierać, a przecież gospodarzem tej ziemi jest chłop. Żeby ten gospodarz dużo mógł tej ziemi z siebie dać i tę pracę swoją dla niej z naddatkiem otrzymać, musi on być przede wszystkim zdrowy".

Zjazd obradował pod hasłem: „Zorganizowanie opieki lekarskiej na wsi, to zorganizowanie opieki lekarskiej w Polsce", a był po wojnie w oswobodzonej Polsce jednym z pierwszych poczynań podjętych w celu zrealizowania opracowywanej w latach okupacji idei powszechnej służby zdrowia.



Minister Obrony Finlandii *Saulo Suorttanen* składa hołd pomordowanym w obozie Oświęcim-Brzezinka, u stóp pomnika ofiar Oświęcimia (zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

JADWIGA APOSTOŁ-STANISZEWSKA Szczecin
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 26273, Ravensbrück, Malchow i Lipsk

Wspomnienia z Brzezinki
Urywki

W grupie kilkunastu więźniarek, dopiero co przywiezionych do obozu oświęcimskiego z więzienia Montelupich, stałam przed bramą z napisem *„Arbeit macht frei"*. Znalazłam się tutaj z wyrokiem śmierci, ale liczyłam się z możliwością przeżycia obozu, toteż zdawałam sobie sprawę z tego, że im więcej zaobserwuję w obozie i zapamiętam, tym bardziej obserwacje moje będą w przyszłości przydatne. Z zainteresowaniem śledziłam wszystko, co działo się na głównej ulicy. Obok naszej grupy kobiet, oczekującej dalszego, nie znanego nam jeszcze losu, co jakiś czas przechodzili więźniowie eskortowani przez esesmanów.

Korzystając z nieuwagi esesmana, któryś z odważniejszych więźniów zapytał, nie patrząc w naszą stronę: „Skąd transport? Jest kto z Krakowa, z Bochni?" Nie zdążyłyśmy odpowiedzieć, a on był już za bramą. Komuś z innej grupy udało się rzucić uwagę: „Zjedzcie wszystko, co macie, bo wam zabiorą!" Potem usłyszałam znowu: „Pójdziecie do Birkenau, trzymajcie się mocno!" Mówiący zacisnął pięść dla dodania nam otuchy. Za chwilę inny, przechodząc, zakpił z łobuzerskim zmrużeniem oka: „Frajer *macht Arbeit*".

Z tego rodzaju zasłyszanych zdań można było składać jak z klocków mglisty do tej pory obraz obozu. Ale gdyby mnie wtedy — po blisko godzinnym staniu pod oświęcimską bramą — zwolniono do domu, mogłabym przysiąc, że w Oświęcimiu nie biją, że ludzie nie umierają tam z głodu i wycieńczenia, że jest czysto, że nie ma wszy, pomimo że przed miesiącem szef zakopiańskiego gestapo, Robert *Weissmann*, wysyłając mnie z tamtejszego więzienia powiedział: „Pojedziesz do Oświęcimia i tam cię wszy zjedzą!"

Za radą jednego z więźniów, którzy nas minęli, jadłyśmy cukier, ciasto, mięso pieczone, jabłka, produkty przywiezione z więzienia Montelupich, resztki z paczek dostarczonych nam w Krakowie przez rodziny.

W pewnej chwili zza zakrętu, z głębi obozu wytoczył się wóz na dużych kołach, o wysokiej burcie (*rollwaga*), z linami uczepionymi po jego obu stronach. Napinając liny przerzucone przez piersi i ciągnąc dyszel, więźniowie szli z wysiłkiem, ze spuszczonymi głowami, równo i obojętnie. Wóz wypełniony był po brzegi. Zbliżał się do bramy. Ładunek wozu pokrywały szare koce. Kiedy dziwny orszak minął blok najbliższy bramy, jakby spod ziemi wybiegli niespodziewanie więźniowie z wiaderkami i łopatkami. Szybko zasypali ślady na jezdni i wrócili do bloku. Gdy wóz mijał bramę, rozległa się komenda *„Mützen ab!"*, wszyscy, nie zatrzymując się, zdjęli czapki z głów, a jeden z więźniów zameldował strażnikowi liczbę wychodzących z obozu.

Wóz przetoczył się tuż obok nas; ładunek wystający ponad wysoką burtą przelewał się, falował w takt kroków jak gęsta masa. Gdy się oddalał, dostrzegłyśmy obnażone ręce i nogi, zwisające, chude piszczele, pokryte zzieleniałą skórą. Ciała nagie, ciasno upchane, zgniecione, jeszcze nie zastygłe wywożono z obozu. Dużymi kroplami ściekała na jezdnię krew. Stałyśmy oniemiałe. Ręce opadły nam bezwładnie. Zatrzymałyśmy oddech. Kęski jedzenia nie przeszły nam przez gardło. Wysypałam na ziemię resztę cukru, który przed chwilą trzymając w torebce mocno zaciskałam w dłoni.

Jeszcze wóz nie zniknął za zakrętem, kiedy podeszło do nas trzech esesmanów z psami, terroryzując nas głośnym krzykiem. Spośród przekleństw wyłowiłyśmy słowa: *„zu fünfe!"*, co nakazywało nam ustawić się szybko po pięć. Mniej więcej na każdą piątkę przypadał jeden esesman i jeden pies. *„Abtreten, los!"* — padł rozkaz. Ruszyłyśmy drogą pomiędzy budynkami pozaobozowymi na otwartą przestrzeń, w kierunku obozu kobiecego w Brzezince. Było już po południu. Jak okiem sięgnąć, ze wszystkich stron ciągnęły długie kolumny więźniów. Za każdą z nich zmarłych nieśli koledzy na noszach prymitywnie ułożonych z patyków albo na łopatach. Domyśliłam się, że zginęli oni w polu, podczas pracy.

Zbliżałyśmy się do bramy w Brzezince. Zaczęłam teraz uporczywie myśleć, czy uda mi się odnaleźć tam swoją siostrę, Stanisławę *Zawiłową*, którą wywieziono do Brzezinki przed siedmioma miesiącami (miała numer obozowy 7500) z więzienia tarnowskiego po uprzednim śledztwie w gestapo zakopiańskim. Pod bramą w Brzezince eskortujący esesmani przekazali nas jakiejś Niemce w pasiaku, która wywijając kijem pognała nas w głąb obozu. Było po apelu. Kolumny setek i tysięcy kobiet rozsypywały się z krzykiem. Niektóre padały, to znów podnosiły się z błota albo pozostawały na miejscu, przywarte twarzami do bagna. Przed murowanymi blokami stały kotły, do których tłoczyły się tłumy kobiet. Popychane ze wszystkich stron, biegłyśmy „lagrową" drogą za naszą przewodniczką, wśród krzyków, które wypełniały powietrze. Po raz pierwszy poczułam dojmujący strach i osamotnienie w tej ciżbie: „Gdzież ja odnajdę siostrę?"

Wpędzono nas do „sauny", gdzie pośrodku stała w rozkroku z laską w ręku kobieta w esesowskim mundurze. Łaźnię symbolizowały dwie puste balie. Ostrzyżono nas, ograbiono

ze wszystkich rzeczy i odzienia, po czym kazano włożyć znany, obrzydliwy, brudny i nie dopasowany strój obozowy, powalaną koszulę, pasiaste majtki, pończochy z pokrzyw, starą suknię i buty ze sterty. Ponadto otrzymałam numer obozowy 26273 na dwóch płóciennych płatkach z czerwonym trójkątem. Polecono mi przyszyć je do obozowego odzienia. Na zapytanie, skąd wziąć igłę i nici, jedna z funkcyjnych podskoczyła do mnie i uderzyła mnie mocno w twarz, a śmiejąc się dziko, krzyczała: *„Du alte Kuh...* Igły ci się zachciewa, igły w Birkenau!" O kilka kroków dalej bili inną z *zugangów*. Esesówka, którą tytułowano *„Frau Aufseherin"*, kroczyła tam i z powrotem po rozległej izbie i z miną poskromicielki zwierząt niecierpliwie uderzała lagą o cholewy swoich dobrze wyczyszczonych butów.

Po opisanej wstępnej ceremonii umieszczono nas w jednym z niejednokrotnie już opisywanych baraków Brzezinki. Znalazłam się teraz wśród kobiet zupełnie obcych, w ciasnym wnętrzu baraku, wśród krzyków i rozgwaru głosów, trudnych do zrozumienia. Z trudem wyławiałam nawoływania, klątwy, słowa modlitwy, głośny płacz, wydobywający się z samego dna, z najniżej położonych legowisk. Nie rozróżniałam twarzy więźniarek, przepychających się obok mnie, nawet ich oczy były podobne, tak samo wielkie, niesamowite i dzikie. Tonęłam w tej masie ludzkiej gorzej niż przed chwilą w błocie, kiedy wlokłam się z „sauny" do wskazanego baraku.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że jedynie głośno krzycząc mogę szukać siostry. Starałam się przekrzyczeć różnojęzyczny wrzask, panujący wokół mnie i wołałam: „Stasia *Zawiłowa*, Stasia *Zawiłowa* z Nowego Targu!" Któraś z kobiet stojących w pobliżu huknęła na mnie: „Czego się drzesz do ucha, jak głupia!" Nie zareagowałam, tylko wołałam dalej. Nagle usłyszałam z różnych stron baraku odpowiedzi: „Kto szuka Stasi? Wołaj głośno! Stacha już idzie! *Zawiłowa!* Zatrzymaj się!" Nieznane mi osoby pilotowały mnie i siostrę do jednego punktu. W moim kierunku, jakby przez gęstwinę kosodrzewiny, przedzierała się mała, wychudzona postać w czarnej chustce na głowie. „To ona — pomyślałam — chyba ona". W bladej poświacie migocących świeczek dostrzegłam twarz szarą, przeoraną zmarszczkami, ziemistą, o dużych, jakby sowich oczach. Pomimo tego zmienionego wyglądu poznałam swoją 22-letnią siostrę. Powiedziała od razu, że czekała na mnie od kilku dni, ponieważ otrzymała wiadomość drogą konspiracyjną, że więziono mnie na Montelupich. Pociągnęła mnie za rękę i torując drogę dobrze opanowanym obozowym słownictwem, prowadziła mnie wzdłuż zatłoczonego korytarza do koi, gdzie miała swoje legowisko. Wdrapałam się za Stasią na zbitą z desek pryczę, na której siedziało już pięć skulonych kobiet. Było za ciasno i za nisko, aby się położyć. Podciągając zmęczone nogi, usiadłam z trudem na małym skrawku wspólnego barłogu. Obecne na koi więźniarki nie zareagowały na moje przybycie. Jedna z nich przeglądała garderobę i zabijała wszy, druga monotonnie odmawiała różaniec, pozostałe rozmawiały o czymś żywo, a pod spodem, na dolnej koi, w najciemniejszej norze wrzało od przekleństw.

Siostra moja, odwrócona do mnie tyłem, zaczęła gwałtownie i nerwowo wyciągać spod zgniłego i cuchnącego siennika jakieś szmaty. „Dam ci to, co udało mi się dla ciebie zorganizować — powiedziała w pewnej chwili. — Wnet pogaszą światła. Musisz się po dotyku zaznajomić z tym, co ci podam. Budzą o czwartej rano. Jest ciemno. Spieszyć się trzeba" — mówiła krótkimi zdaniami. Nie rozumiałam. Czyżby szmaty miały większą wagę niż wiadomość o domu, o bliskich, o sytuacji w świecie? Przytłoczona ogromem okropnych wrażeń pomimo przeżytego już ciężkiego śledztwa w „Pallace", zakopiańskiej siedzibie gestapo, patrzyłam z przerażeniem na kobietę zabijającą wszy i słuchałam jednostajnego powtarzania „Zdrowaś Mario". „To jest jeden sweter, a to drugi — oświadczyła Stasia. — Dotknij. Będziesz ubierać obydwa, tylko na zmianę. Jutro jeden na spód, a pojutrze odwrotnie. Oczywiście pod sukienkę". „Dlaczego?" — zapytałam zdziwiona. „Wszy wchodzą do tego swetra, który jest bliżej skóry — wyjaśniła. — Na przejście z jednego do drugiego potrzebują nieco czasu. Przez chwilę przynajmniej nie będą cię gryzły". Następnie dała mi gumy do pończoch i poleciła mi okręcić je na noc na ręce, ażeby ich nie zgubić, a także szalik, który kazała zawiązać na szyi. Na apelu i przy przejściu przez bramę miałam ukryć swetry i szalik pod sukienką, żeby mnie nie przyłapali.

Kiedy siostra w dalszym ciągu szukała pod siennikiem innych rzeczy, zaczęłam bezwiednie nucić melodyjną, ludową piosenkę „Oj dygu, dygu, dana..." w przekonaniu, że siostra pochwyci drugim głosem, jak się to często zdarzało w domu. Myślałam, że w ten sposób oderwę ją od tego dziwnego i potwornego świata. „Dlaczego śpiewasz? — zapytała głosem stłumionym i pełnym oburzenia. — Tu się nie śpiewa". Nie dałam za wygraną i po chwili zaczęłam nucić drugą melodię: „Jak długo na Wawelu..." Po kilku słowach przerwałam. Zrozumiałam, że jesteśmy z dwóch przeciwnych światów. Ona, stara więźniarka, a ja w dzisiejszym dniu najmłodsza w całym baraku.

„Znalazłam wreszcie" — oznajmiła siostra i zaprzestała poszukiwań pod siennikiem. Podała mi dość gruby sznurek. Nie miałam czasu się zdziwić, bo usłyszałam nową uwagę: „Na tym sznurku uwiesisz miskę i przewiążesz się w pasie. W ten sposób nie zgubisz miski i będzie ci cieplej. Miskę poszukam ci rano przed apelem. A teraz poskładaj wszystko w miejscu, gdzie siedzisz, żeby ci rano było łatwo odszukać. Rano nie denerwuj się, jak będą nas przeklinać i bić kijami. Wnet się przyzwyczaisz".

Zapanowała teraz dłuższa przerwa. Byłyśmy obie zmęczone fizycznie i wyczerpane nerwowo.

Pogaszono światła. Siedzące z nami kobiety drzemały już, zwinięte w kłębki. Gwar ustawał. Słychać było nawoływania: *„Lagerruhe! Ruhe da, verfluchte!"* i po polsku: „Cicho, do cholery!!" Korytarz opustoszał zupełnie. Smród dławił w gardle. Rozmawiałam jeszcze chwilę z siostrą na temat znajomych i dowiedziałam się, że prawie wszyscy nie żyją. Po dłuższym milczeniu siostra powiedziała mi parę słów o sobie. „Nie myłam się od sześciu miesięcy. Tylko w czasie deszczu mogę przetrzeć twarz i ręce". „Co się robi w przypadku menstruacji?" — zapytałam. — „Tu się nie choruje — odparła. — Tłumaczymy sobie, że organizm sam się broni, ale czy tak jest naprawdę, nie wiem. Jest to jedyne szczęście w nieszczęściu". Dowiedziałam się też o wysokiej śmiertelności i o tym, że „rewiry" obozowe, to coś całkiem innego niż szpitale na wolności. Na koniec Stasia pouczyła mnie, żeby w nocy nie wychodzić do ustępu, gdyż jest to niebezpieczne, ponieważ są one daleko i mogłabym tam nie trafić, ugrzęznąć w błocie, wpaść do kloaki albo oberwać od *nachtwachy*. Można skorzystać z dzbanka, który jest umieszczony w kącie legowiska. Rano wyrzuci się do ustępu razem z naczyniem, a na noc zorganizujemy inne. Na koi nie wolno nic zostawiać.

Minęła już północ. Pierwsze wszy dobrały mi się do skóry. O śnie nie było mowy z powodu nawału wrażeń przeżytych tego dnia. Z przerażeniem rozmyślałam, jak się potoczą moje dalsze dni w obozie. Czułam się teraz zupełnie wtopiona fizycznie w nowe, koszmarne środowisko, ale myślami uciekałam jeszcze do swoich najbliższych, pozostawionych na wolności. Stasia wiedziała również, że naszych rodziców wysiedlono z Nowego Targu do Czernichowa. Wiadomość o moim uwięzieniu przekazałam rodzicom z więzienia na Montelupich przez dr *Kościuszko*.

*
* *

Pierwsze, najcięższe dni przeżyłam w baraku nr 7. Pomimo dokładnych informacji, uzyskiwanych od mojej siostry i innych „starych numerów", trudno mi było przystosować się do bytowania w Brzezince. Codziennie przed świtem zrywały mnie na apel wrzaski i ordynarne wyzwiska funkcyjnych. Tak zwane śniadanie zjadałyśmy przed barakami niezależnie od pogody, oczekując z niepokojem w kolumnach na apel. Do pracy wychodziłam z innymi w pole, gdzie można było tylko odetchnąć nieco czystym powietrzem. Z pracy przynosiłyśmy zwłoki zmarłych. Po kilku dniach widok trupów stał się dla mnie zjawiskiem normalnym, choć makabrycznym.

Za radą Stasi przestałam palić papierosy. Były drogie. Płaciło się za nie chlebem, a poza tym przychwycenie na paleniu groziło dodatkową karą, najczęściej przeniesieniem do *strafkommando*.

W miarę upływania dni oddalałam się od życia na wolności, od spraw konspiracji, od myśli o rodzinie. Przyjęłam metodę mojej siostry — zasklepiania się w sobie, okrycia się jakby skorupą żółwia, żeby nie dopuszczać do siebie wstrząsających wrażeń. Trudno mi to szło; moja natura, zawsze pogodna, nie chciała się dać opancerzyć.

Do metod samoobrony należała odpowiednia interpretacja snów i wróżb. Kobiety wierzyły na ogół tylko w dobre wiadomości bez względu na ich prawdziwość, zwłaszcza gdy określały termin końca wojny. Wyjście zza drutów na wolność nazywało się w obozie pójściem do domu. Więźniarki sugerowały się nawzajem, że dniem wyzwolenia będzie najbliższe święto, np. Matki Boskiej, Boże Narodzenie, Wielkanoc albo zbliżające się jedno ze świąt państwowych.

Sny tłumaczono zawsze z naginaniem ich do sytuacji, bez wyjątku dobrze i pomyślnie. Złych snów nie opowiadano. Było to spontaniczne, uniwersalne lekarstwo przeciw abnegacji i utracie nadziei. Wysoki autorytet zdobyły sobie w obozie kabalarki, które wróżąc z kart, podtrzymywały na duchu otoczenie. Zarabiały przy tym nieco chleba lub dodatków „lagrowych" w postaci margaryny albo plasterka kiełbasy.

Roiło się więc w obozie od przeróżnych wiadomości, uwieńczonych magicznym zdaniem: „niedługo pójdziemy do domu". W dużej mierze dzięki opisanemu klimatowi psychicznemu nie załamałam się. Ale wkrótce poczułam się źle. 5 grudnia 1942 roku odbyło się w Brzezince wielkie odwszenie. Pochłonęło ono setki ofiar. W blokach zrobiło się nieco luźniej, natomiast w „rewirze" nasiliło się przepełnienie. Przyjęcie tam zaliczało się do wielkiego szczęścia. Tegoż dnia, osłabiona i wyraźnie chora, mniemałam, że opanowała mnie grypa.

Siostra szybko się zorientowała, że w tym stanie nie zdołam pójść do pracy. Przy pomocy swoich znajomych ulokowała mnie w kartoflarni, gdzie z trudem przepracowałam trzy dni, choć robota była o wiele łatwiejsza niż w polu. Czując się coraz gorzej, zmuszona byłam zgłosić się do ambulatorium. Stałam w grupie kobiet pod budynkiem na deszczu. Przemoknięta zupełnie, czekałam wraz z innymi na wezwanie do badania. Słabsze ode mnie więźniarki słaniały się, przykucały pod ścianą baraku albo siadały w błocie, wodząc wokół nieprzytomnymi, szklistymi oczyma.

Po kilku godzinach oczekiwania zaczęto wpuszczać do ambulatorium. W małej i dość czystej izbie urzędował wysoki mężczyzna w białym kitlu i siedząca przy stole *szrajberka*. Mężczyzna podał mi termometr i ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zapytał po polsku o numer, nazwisko i skąd pochodzę. Okazało się, że zna mojego ojca, pochodzi z Zakopanego i nazywa się *Gabryszewski*. Podawszy termometry innym więźniarkom, szepnął do mnie: „Temperatura trzydzieści dziewięć, blok siedemnasty, to blok dla rekonwalescentów. Proszę się nie martwić i wierzyć, że pani się wyleczy". I tak znalazłam się w „rewirze".

Wprowadzono mnie do wnętrza baraku przez szerokie wrota. Barak był długi, drewniany, bez okien. Blade światło lampki elektrycznej, umieszczonej u krokwi dachu, minimalnie rozświetlało wnętrze. Tu było bardzo ponuro, ale nie odstraszająco. Miałam możność leżenia, byle jak i byle gdzie. W przedsionku z prawej strony były drzwi do izby „sztubowej", z lewej stało kilka nie domkniętych kibli, z których unosił się niesamowity smród. W baraku snuło się kilka szkieletów, odzianych jedynie w brudne koszule i narzucone na plecy koce, trzymając się ustawionych wzdłuż baraku trzypiętrowych łóżek. Niektóre chore siedziały na kominie, który niby ława ciągnął się na posadzce przez całą długość bloku. Po obu stronach komina stały prymitywne prycze, na których rzadko leżała jedna chora; przeważnie na każdej pryczy tłoczyły się dwie lub trzy więźniarki.

„Siadaj tu, na kominie i zaczekaj, aż się zwolni dla ciebie miejsce" — powiedziała do mnie *pflegerka*. Usiadłam na ledwie ciepłej ławie, murowanej z cegły. Niebawem naprzeciw mnie ściągnięto z trzeciej kondygnacji, spod ściany, zmarłą kobietę i wywleczono ją spomiędzy dwóch rzędów prycz na pasku uczepionym u ręki. Patrzyłam jałowo i bezdusznie, jak dwie służbowe ciągnęły zmarłą po ceglanej posadzce. Marzyłam, aby jak najszybciej się położyć. Pomimo silnego osłabienia i potwornego bólu głowy nie traciłam przytomności.

Widziałam, że skupia się na mnie wzrok najbliżej leżących chorych. Obserwowały mnie ich rozszerzone oczy, osadzone głęboko w oczodołach. Kiedy wygrzebałam się z trudem na wyznaczoną mi pryczę, uświadomiłam sobie, że nie moja osoba przyciąga spojrzenia chorych, lecz butelka, którą kurczowo trzymałam w ręku. Znajdowało się w niej *ersatz*-wino, o które postarała się dla mnie Stasia w kantynie. Nie zdążyłam jeszcze nakryć się kocem po wyniesionej zmarłej, a już wyciągnęły się do mnie ze wszystkich najbliższych barłogów chude, kościste ręce i błagalnie, zamierającym głosem wołały: „Daj pić! Daj mi trochę! Pić!"

Pół leżąc na zgniłym sienniku, w którym wióry dawno zamieniły się w trociny, nalewałam oszczędnie po kilka kropel cudownego napoju do podsuwanych mi naczyń. Nie starczyło dla wszystkich. Zawiedzione oczy nie obdarowanych zdawały się urągać mi i złorzeczyć. Pustą butelkę położyłam na pryczy. Więźniarka leżąca naprzeciw mnie wpatrywała się w butelkę wystającą ponad deską pryczy. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Wargi jej poruszały się, słabo drgały nozdrza, wreszcie ostatni oddech wykrzywił jej twarz. Umarła. Ostatnie jej pragnienie, jakim była kropla „wina", nie zostało spełnione. Służba „rewirowa" ściągnęła ją na zabłoconą posadzkę. Pozostały po niej dwa koce, z których jeden przeciągnęłam na swoją pryczę. Mając teraz dwa koce, zawinęłam się nimi i dygocąc z zimna, zasnęłam.

Obudził mnie przenikliwy zgrzyt kotłów przesuwanych po posadzce i nawoływania do obiadu. Do miski pozostawionej przez moją poprzedniczkę nalano mi nieco zupy, śmierdzącej i słonej, takiej samej, jaką dostawałam w pracy, tylko mniejszą porcję. Zjadłam tak, jak inne chore. Wkrótce zaczęłam uporczywie myśleć, że chyba zachorowałam na tyfus, o czym świadczył ból głowy, dreszcze i gorączka. Ale plam na skórze nie dostrzegłam, gdyż była ona brudna i pogryziona przez wszy, zresztą panował półmrok. Pocieszałam się tym, że zapewne przetrwam chorobę, moja siostra bowiem też chorowała na dur w obozie i żyje. O niczym nie mogłam dłużej myśleć ani skupić uwagi. Co chwilę zasypiałam, drzemałam, nie reagowałam na nic. Do ustępu schodziłam z wielkim trudem, wracałam z największym wysiłkiem.

Nazajutrz rano zjawiło się kilku lekarzy w pasiakach. Obeszli blok, podchodzili do chorych, badali puls, wzruszali ramionami i wyszli. Do bloku rekonwalescentów nie dostarczano żadnych lekarstw. Czasem zabłąkała się pastylka aspiryny. Raz po raz traciłam przytomność i zaczynałam majaczyć. Patrzyłam w deski baraku. O ile dach był szczelny, o tyle w ścianach były szpary, przez które przeświywało światło dzienne. Dostrzegałam jeszcze, że twarze chorych wciąż się zmieniały; jedne więźniarki wypisywano z „rewiru" do pracy, inne wypisywała śmierć na wolność.

Względną ciszę przerywały czasem jęki chorych albo krzyki funkcyjnych Niemek, wpadających do bloku z impetem i z typowo niemieckim „drylem". Wrzaskliwie oznajmiały one np. o przybyciu do baraku władzy obozowej. Zdarzało się to najczęściej w godzinach rannych. Na hasło *„Achtung!"* należało prostować się na pryczy i leżeć do ukończenia wizytacji sztywno i nieruchomo.

Często ciszę mąciło urodzenie dziecka. Obnoszono niemowlę po całym baraku, Niemki śpiewały, śmiały się, a po upływie kilku godzin radości nie było już ani matki, ani dziecka. Hałas rozlegał się również obok chorej, której z paczkarni doniesiono paczkę. Jedne wykradały chorej, co mogły, inne broniły jej i odpędzały rabujące Niemki niewybrednym językiem. Nie obeszło się przy tym bez bicia. Najczęściej jednak paczki nie trafiały do chorych.

Coraz bardziej męczyła mnie gorączka i paliło mnie bolesne pragnienie. Żadnej ulgi nie przynosiła podawana w znikomej ilości herbata z jakiegoś zielska. Marzyłam we śnie i na jawie o szklance zwykłej wody. W tych majaczeniach oglądałam uwieszone u sufitu duże i małe szklanki, wypełnione krystaliczną cieczą. Przesuwały się przede mną szklanki i szklaneczki, zataczały koła, wirowały zrazu wolno, potem szybciej, a kiedy chciałam dotknąć je ręką, zamieniały się w dużą plamę i rozpływały się w powietrzu. Zasypiałam znowu.

Gdzieś z kąta toczyło się do mnie czerwone

i duże jabłko, za nim drugie i trzecie, potem talerz pełen jabłek, koszyk wypełniony soczystymi owocami, następnie cały stragan i drzewo obsypane jabłkami. Wszystko znikało jak bańka mydlana i pozostawał barak, brudny, śmierdzący, mroczny. „Nie wolno myśleć — nakazywałam sobie — nie wolno myśleć o niczym, co zostało za drutami..."

Kiedy jednak gorączka rosła, nie sposób było zwalczyć w sobie widziadeł, które rozpanoszyły się w mózgu na dobre. Paradoksalnie najrealniejszą zjawą, choć trudną do zdobycia, była brukiew. Uczepiłam się jej również, licząc, że intensywnym myśleniem ściągnę ją do siebie. Szara bulwa zamieniała się w całe pole brukwi. Kiedy schyliłam się po nią, dostałam zawrotu głowy i upadłam na poduszkę uszytą z worka. Zjawy zniknęły. Widocznie wychylałam się z pryczy, bo któraś chora zwróciła uwagę, że spadnę na posadzkę.

W chwilach powrotu do świadomości słyszałam, jak niektóre przytomniejsze chore rozmawiały o zbliżających się świętach i łączyły z nimi wyjście na wolność. Oczywiście nie próbowałam wyprowadzać ich z błędu. Z rozmów współwięźniarek domyśliłam się, że mój pobyt w „rewirze" trwa już około dziesięciu dni. Znów pocieszałam się: może kryzys minie, może siostra mnie odwiedzi i może przyniesie jabłko.

Rankiem następnego dnia spadł śnieg. Przez szparę w ścianie zobaczyłam kawałek obozu pokrytego bielą. Tylko sięgnąć ręka, zgarnąć śnieg i napełnić nim usta. Przydusiłam nos do szpary i wciągnęłam w nozdrza cudowną woń. Pomyślałam, że może niedługo wyjdę z „rewiru", a śnieg jeszcze będzie leżał.

Nadszedł dzień wigilijny. W bloku było nieco spokojniej niż zwykle. Zmniejszyła się załoga mundurowa, a funkcyjne uganiały za żerem. *Pflegerki* — Polki i Jugosłowianki — chodziły od pryczy do pryczy z serdecznym uśmiechem i dobrym słowem pocieszały nas, że wnet męczarnie się skończą, że zostanie przysłana większa ilość lekarstw, że lekarze będą mogli nas leczyć itp.

Wieczorny apel odbył się wcześniej niż zwykle i trwał bardzo krótko. Moja siostra przekradła się po apelu do baraku, usiadła na brzegu pryczy i oświadczyła, że była u mnie kilka razy, ale nie mogła się ze mną dogadać. Powiedziała również, że z domu nadeszła paczka, ale wydadzą ją dopiero po świętach. Przyniosła mi w podarku świątecznym kawałek ukradzionej w kuchni obozowej brukwi i małą cebulę „zorganizowaną" za chleb. Dary te dyskretnie wsunęła mi pod poduszkę, mówiąc szybko: „Nie jedz teraz, aż będzie ciemno, żeby cię nie przyłapali. Przedostałam się tutaj dzięki pomocy koleżanek. Jutro jest pisanie listów. Napiszę za ciebie i podpiszę cię. Gdyby list do domu od ciebie nie nadszedł, zmartwiliby się. Co mam napisać?" Odpowiedziałam z trudem, żeby napisała, iż jestem zdrowa, jest mi ciepło, mam lekką pracę. „I napisz jeszcze, że proszę o cebulę, o czosnek i... — zająknęłam się — o jabłka". „Nie przejmuj się — pocieszała mnie Stasia. — Jesteś już po kryzysie tyfusowym. Wkrótce będziesz zdrowa. Paczkę podrzucę ci przez znajome albo sama przyjdę". Zsunęła się z pryczy i odeszła chyłkiem z bloku. Wyjęłam ukradkiem prawdziwą brukiew spod poduszki i ucałowałam ją z rozrzewnieniem.

Niespodziewanie na placu apelowym zagrała orkiestra: „Cicha noc, święta noc..." Niemki zgrupowane w jednym kącie bloku zaśpiewały głośno: *„Stille Nacht, heilige Nacht..."* Dźwięki orkiestry i melodia kolędy wydały mi się w obozie bardziej nierealne niż wszystkie przeżyte widziadła. W wyobraźni przeniosłam się znów daleko poza obóz. Dochodzące do mnie tony orkiestry dętej przeistoczyły się w grę na organach. Znalazłam się w ustronnym kościele na wzgórzu, w którym rozpoznałam Obidowa na trasie do Zakopanego. Ze wzgórza roztaczał się wyraźny i przepiękny widok w stronę mojego rodzinnego miasteczka. Spowite w śniegu pola i świerki, odcinające się w poświacie księżyca i płynąca z kościoła potężna majestatyczna melodia uspokoiły mnie zupełnie. Leżałam na wznak na pryczy i w najmniejszym stopniu nie czułam, że jestem w obozie. Śnieg padał dużymi płatami, muzyka się oddalała i cichła. Zasnęłam. Nie pamiętam smaku brukwi, chociaż zjadłam ją na pewno, bo sięgając w nocy ręką pod poduszkę, już jej nie znalazłam.

Obudziłam się rano i zobaczyłam na kocu długie pasemko śniegu. Wiatr nawiał go w nocy przez szparę pomiędzy dachem a ścianą baraku. Prawdziwy śnieg. Zgarnęłam go dłonią i wypełniłam nim usta. Dostrzegły to chore leżące opodal. Wyciągnęły się żebrzące ręce z sąsiednich prycz. Rozdałam śnieg, który zgarnęłam całkowicie.

Z każdym dniem czułam się bardziej osłabiona, ale gorączki już nie miałam. Przeniesiono mnie na jedno ze zwolnionych łóżek, też na trzeciej kondygnacji, lecz bliżej środka bloku i blisko lampy elektrycznej. Przez kilka dni leżałam z drugą chorą na jednej pryczy. Moja towarzyszka była nieprzytomna i wkrótce zmarła. Lekarze więźniowie i więźniarki nadal wizytowali blok w godzinach rannych; bezsilni i bezradni odchodzili z baraku. Któregoś dnia po apelu wieczornym ponownie odwiedziła mnie siostra. Przyniosła kawałek wolnościowego chleba i okrojone jabłko. W paczkarni chleb spleśniał, jabłka zgniły. Zdziwiłam się, kiedy mi Stasia powiedziała, że jest już połowa stycznia i że cztery tygodnie przebywam w „rewirze". Radziła mi przy tym, żebym leżała tutaj tak długo, jak tylko można, bo do pracy na *„aussen"* nie ma co się spieszyć. Jest zimno i praca bardzo ciężka: noszenie cegieł z rozwalonych domów i kopanie rowów.

Na nowym legowisku miałam widok prawie na cały blok. Dostrzegłam dopiero teraz, jak bardzo byłam pogryziona przez wszy, a całą skórę pokrywała gruba skorupa brudu i zaschniętych strupów. Korzystając ze światła, resztkami sił zabijałam robactwo bez obrzydzenia. Brud z rąk zmywałam kawałkiem po-

ślinionego koca. Herbaty szkoda było do tego celu, a o wodzie nie mogłam nawet marzyć.

Jeden z kolejnych apeli rannych trwał wyjątkowo długo. „Komanda" nie wyszły do pracy. Kolumny ustawione wzdłuż *lagerstrasse* i pod blokami falowały w zwartej masie. Przesunęłam się na tylną pryczę pod ścianę baraku i ze współwięźniarkami obserwowałyśmy przez szparę plac apelowy, dopóki nie polecono nam leżeć na baczność. Mijała godzina, druga i trzecia, a kobiety, wciąż drepcząc w błocie, oczekiwały ukończenia apelu. Od snujących się po baraku zdenerwowanych *pflegerek* dowiedziałyśmy się, że jednej więźniarki brakuje. Uciekła albo zaginęła. Podobno w nocy chodziła po obozie jakaś kobieta owinięta w koc. Ustalono, że zdarzyła się próba ucieczki. Obóz z niepokojem czekał na najgorsze represje. Poirytowanie wszystkich rosło. Śniadania nie wydano. Nienaruszone kotły z herbatą stały przed blokami. Zbliżała się pora obiadu. Zdawało się, że apel nigdy się nie skończy.

Nagle padł rozkaz rozejścia się do bloków. Powstał ogromny hałas i bieganina. Nastąpiło odprężenie. Tymczasem do naszego bloku doszła wieść, że uciekinierkę znaleziono wśród zwłok na placu między blokami 25 i 26, przy czym była to chora z naszego baraku. Nie chciałyśmy w to uwierzyć, sądząc, że to nieporozumienie. Wkrótce jednak potwierdziła się ta wersja.

Do naszego bloku wtoczyła się, jak burza, gromada ludzi: kilku esesmanów, dwie *aufzejerki* i grupa wrzeszczących Niemek-funkcyjnych. Ten groźny pochód przetoczył sie przez cały blok na drugi jego koniec. W środku rozkrzyczanej zgrai szła zgarbiona kobieta, okryta kocem. Osłaniała się ręka przed uderzeniami i popychaniem. Esesmani krzyczeli: „*Nach Hause?! Los, verfluchte! Du alte Kuh!*" Pod ścianą szczytowa bloku, gdzie miejsca było nieco więcej, odbyła się rozprawa. Obserwowałam ja z górnego piętra prycz. Chora wciąż broniła się przed biciem, wymachując rękami. Była w koszuli. Koc opadł na ziemie. Rozwydrzenie prześladowców rozpętało się bezgranicznie. Nagle spazmatyczny płacz obłąkanej ofiary rozdarł powietrze. Nieludzkim głosem zawołała: „Ja chcę do domu! Puśćcie mnie!"

Wtedy esesman wyrwał z najbliższego łóżka boczną deskę, podniósł ją do góry i z całą siłą uderzył nia stojąca pośrodku kobietę, która jęknęła i upadła na ziemie. „*Verfluchte, verfluchte Bande!*" — sapiąc powtarzali „sędziowie". Zawtórował im śmiech Niemek. Oprawcy pospiesznie wyszli z baraku, odprowadzani wzrokiem wielu chorych,

Skuliłam się na swoim barłogu i twarzą przywarłam do brudnej pościeli. Skuliły się też inne chore, wstrząśnięte przeżytym widokiem niesamowitej sceny. Zapanowała grobowa cisza, która trwała aż do kolacji. Wieczorem długo rozmawiały lżej chore o tym wydarzeniu, snując domysły o dalszych represjach i karach za usiłowanie ucieczki. Dowiedziałam się, że ta kobieta dostała pomieszania zmysłów po durze i od kilku dni powtarzała, że musi już iść do domu, bo tam czekają na nią jej małe dzieci. I poszła. Ktoś ją zastał siedzącą u wyjścia z obozu i odprowadził bez skrupułów na plac, gdzie składano zwłoki przed przewiezieniem ich do krematorium.

Następnego dnia roiło się od relacji o przeróżnych snach, od przepowiedni i wróżb. Zawodowe kabalarki wróżyły niepokojąco. Obawa zagazowania wszystkich z bloku ogarnęła wiele kobiet. Ale były i dobre wróżby, to znaczy spokojne, mówiące o powrocie do domu mimo wszystko. Przygnębienie mieszało się z nadzieją i obojętnością. Tak minęło kilka dni. Nic się nie stało. Niektóre chore normalnie wypisywano z „rewiru", inne normalnie umierały bez ceremonii i rozgłosu. Ucieczka chorej przeszła do historii i można się było domyślać, że zabicie uciekinierki całkiem zamknęło sprawę. Wszystko wróciło do zwykłego obozowego trybu, jakkolwiek nic, co działo się u nas za drutami, nie można było znawać normalnym.

Powoli zaczęłam wracać do zdrowia. Po śniadaniu z uporem zabijałam dokuczliwe robactwo, które się stale mnożyło w niezliczonej masie. Po obiedzie schodziłam na posadzkę i włóczyłam się po bloku, raz po raz przysiadając na długim piecu-kominie. Przystawałam przy innych pryczach, prowadziłam rozmowy, słuchałam interpretacji snów, uczyłam się obozowej medycyny, przypominającej znachorstwo. Skutecznymi lekami na różne dolegliwości były fusy z kawy, surowe ziemniaki, sól, czosnek, cebula, ślina, mocz i rozmaite dostępne rośliny.

Zbliżał się koniec stycznia 1943 roku. Obudziłam się z silnym bólem gardła i wysoką gorączką. „Angina!" — pomyślałam i serdecznie się zmartwiłam. Osłabłam znowu, a wychudzone nogi nie chciały mnie nosić. Z trudem schodziłam z piętrowej pryczy i z wysiłkiem wspinałam się na nią, co wymagało nie byle jakich umiejętności i uwagi, żeby nie upaść na twardą posadzkę. Od nowo przybyłej chorej dostałam szczyptę soli. Położyłam ją głęboko na języku i starałam się nie przełykać śliny. Nic to jednak nie pomogło. Znowu traciłam przytomność, znowu chciało mi się pić, znowu wróciły omamy i dziwne sny, a przełykanie jedzenia sprawiało mi ogromna trudność.

W trzecim lub czwartym dniu mojej drugiej choroby wkrótce po apelu powstał w naszym bloku niecodzienny ruch. *Pflegerki* biegały od pryczy do pryczy, poprawiały koce, usuwały wióry wystające z sienników i nakazywały bezwzględny porządek. Po raz pierwszy widziałam w „rewirze" gruntowne zamiatanie posadzki wiklinowymi miotłami. Nawoływano do pospiesznego załatwienia swoich potrzeb, ponieważ kible ustępowe miały za chwilę zniknąć z baraku. Urzadzono generalną próbe leżenia na baczność. Raz po raz rozlegało się donośne „*Achtung!*".

Lekarz obozowy, *obersturmführer SS Josef Mengele* wizytował bloki rewirowe i w kolej-

ności miał odwiedzić nasz blok nr 17. W ślad za tą wiadomością zaczęły jak błyskawice przebiegać najrozmaitsze wieści, związane z przybyciem tak „wielkiego człowieka". Mimo to szeptano sobie z pryczy na pryczę, że jednak pójdziemy na wolność. Wierzyły w to przeważnie młode więźniarki. Inne przewidywały najgorsze. Dla mnie cel przybycia *oberarzta* był obojętny. Czułam się tak słaba, że nie reagowałam na żadne pogłoski, choć intrygowała mnie zapowiedź zobaczenia tego, o którym słyszałam już od siostry, że urzęduje często na rampie przy selekcji licznych transportów do gazu. Siła woli starałam się utrzymać przytomność, żeby przyjrzeć się panu życia i śmierci, cokolwiek się ze mną stanie. Oczekiwanie przedłużało się, a ruch, jaki się wzmagał z każdą minutą, zmuszał mnie do czuwania.

Pośrodku bloku, niemal naprzeciw mojej pryczy, po drugiej stronie komina postawiono wysoki stół, niby pulpit. Obok na niższym stole ułożono skrzynki z kartoteką i innymi papierami. Odpowiadająca za porządek *aufseherin* przebiegała zdenerwowana i sprawdzała, czy wszystko jest przygotowane. Co kilka pryczy *pflegerki* poustawiały się w postawie na baczność. „Sztubowe" i inne funkcyjne zajęły też z góry ustalone miejsca. Chwile napięcia i oczekiwania przerwało groźne i donośne „*Achtung!*". Leżąc na baczność, kątem oka patrzyłam w kierunku wejścia. Wysoki, w pełnej oficerskiej gali, w białych rękawiczkach wszedł długim krokiem sam *Mengele*. Za nim wkroczyło kilku niższych rangą oficerów *SS*. Wszyscy zatrzymali się przy stole. Esesmani pozostali w drzwiach.

Oberarzt przewyższał wszystkich o głowę. Rozejrzał się po całym baraku i skinieniem dał znak rozpoczęcia ceremonii. Patrzył z wysoka, spokojnie, dumnie i cynicznie. Z miną nieugiętego władcy odwrócił się w kierunku drzwi wejściowych, gdzie rozpoczynał się rząd pryczy zapełnionych chorymi. Zapatrzona w *oberarzta* i jego świtę nie usłyszałam żadnych poleceń ani pouczeń. Nie wiedziałam, że akcja już trwa. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że przez komin-ławę przechodzi w kierunku zebranych naga kobieta, istny szkielet, za nią druga i trzecia. Ogarnęło mnie przerażenie, kiedy z nor, z samego końca bloku wychodziły dalsze nagie i do skrajności wynędzniałe chore. Zbliżały się na pewną odległość do patrzących z pogardą oficerów i zawracały tą samą drogą na swoje miejsca. Dosłyszałam, że każda wywołana podaje swój numer po niemiecku. Zorientowałam się w sytuacji. Do moich uszu doleciało głośne przywołanie blokowej: „...*fünf, sechs*, następna... *acht* itd." — popędzała blokowa.

Wychodziły więc chore kolejno, z trudem przechodziły przez komin, chwiejąc się na nogach. Pochód cieni mijających się w drodze i usiłujących zdobyć się na największą zręczność mroził krew w żyłach. O sobie nie myślałam na razie nic, chociaż za chwilę czekał mnie taki sam wysiłek. Blokowa krzyczała głośno i wyraźnie: „*elf, zwölf...*" *Lagerarzt* ani drgnął. Stojący obok niego oficerowie patrzyli zimno. „*Zwanzig, ein und zwanzig, zwei und zwanzig...*"

Śledziłam kolejność numerów. Sprawdzałam odległość, która mnie dzieliła od ostatniego usłyszanego numeru. Znajdowałam się mniej więcej w odległości jednej czwartej od pierwszych łóżek. Chore wychodziły z ciemnych katów i wracały do nich spokojnie i obojętnie. Starały się tylko o to, żeby się nie przewrócić ani nie upaść. Ktoś ze stojących przy stole notował numery, coś znaczył, odkładał kartki. Próbowałam dostrzec, jakimi znakami esesmani porozumiewają się między sobą. Nic nie zauważyłam. Było to dobrze wyreżyserowane przedstawienie, powtarzane na pewno niejeden już raz.

W atmosferze napięcia blokowa wciąż w równych odstępach czasu wzywała kolejne chore: „*dreizig, ein und dreizig, zwei und dreizig... vierzig...*". Robota szła szybko. Zbliżała się moja kolejność. Wciąż nie wiedziałem, jaki mi przypadnie kolejny numer. *Mengele* nie zmieniał swojej pozycji. Stał wyprostowany i dumny. Obserwowałam go z góry i z niewielkiej odległości. Jego wydłużona twarz była nieruchoma, skamieniała i sadystyczna. Zdały się o tym świadczyć zaciete usta i zmrużone oczy przysłonięte szkłami. Nie zwracał uwagi na podchodzące o kilka kroków do niego kobiety, z trudem utrzymujące się na nogach. Zdawało się, że śledził, czy wszystko odbywa się w należytym porządku. Celebrował widowisko. Jego postać i spojrzenie narzucały spokój i pruską dyscyplinę. Jego mundur i błyszczące szlify wprowadziły do bloku „uroczysty" nastrój grozy. Jak łatwo naocznie udowodnić termin *übermenschen* — myślałam w tej sytuacji — wystarczy po jednej stronie postawić w pełnej gali *oberarzta*, a po drugiej stronie nagą kobietę, której mięśnie dawno zanikły, a szara od brudu skóra pokryła się wrzodami.

„*Fünf und fünfzig, sechs und fünfzig...*" — słuchałam z coraz większym napięciem. Świadoma byłam, że niedługo muszę zejść z pryczy. Spojrzałam po twarzach kobiet najbliżej mnie leżących. Na środkowej pryczy przede mną leżała matka z córką, obie z Warszawy. Rozmawiałam z nimi niedawno. Nie należały do ciężko chorych. Teraz, kiedy miały pójść na przegląd, przerażenie malowało się na ich twarzach. Obliczyłam, że przypadną im numery 58 i 59, a mnie prawdopodobnie 65. Usiadłam na pryczy i opuściłam nogi. Teraz stwierdziłam, że nogi moje niczym nóg nie przypominają. Zwykłe patyki, powleczone skórą i ze zwisającymi, sflaczałymi mięśniami. Zwątpiłam, czy takie nogi potrafią zręcznie pokonać trudności zejścia i powrotu. Bałam się, czy zasuszony język wypowie bezbłędnie po niemiecku numer 26 273. Wnet jednak uświadomiłam sobie, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Nietrudno było się domyślić, że odbywa się selekcja do krematorium.

Cisza panująca w bloku i doniosły głos blokowej dodawały ceremonii tragicznej powagi.

„*Acht und fünfzig...*" Odeszły moje znajome z Warszawy, matka z córką, trzymając się za ręce. Ja tymczasem oparłam nogę na krawędzi niższej pryczy, a prawą o przeciwną pryczę. Podobnie ustawiłam ręce, stojąc w rozkroku między łóżkami. W głowie poczułam szum. Zeszłam jeszcze o jedną pryczę niżej, myśląc uparcie, jak sobie z przejściem przez piec poradzę. O czekającej mnie śmierci nie myślałam wcale. Dziś jeszcze nie mordują, a co będzie potem, to się okaże. Obok mnie stały przygotowane do przeglądu kobiety, które miały iść przede mną.

„*Sechzig!*" — wyraźnie zawołała blokowa. Odeszła znów jedna z moich najbliższych sąsiadek. Kobiety z Warszawy wracały już na swoje miejsce. W tym momencie *Mengele* zmienił postawę i powiedział znudzonym, ale apodyktycznym głosem: „*Genug*". Blokowa głośno powtórzyła: „*Genua*", a on dodał: „*Morgen weiter!*" Nie zmieniając chłodnego i sadystycznego wyrazu twarzy, odwrócił się na lewo i ruszył w kierunku drzwi.

Wygrzebałam się z powrotem na swoją pryczę. Obleciał mnie dreszcz. Spojrzałam na środek bloku. Było zupełnie pusto. Ciężar wypełnionego śmiercia powietrza wgniótł wszystkie chore w brudne barłogi i zgasił jęki. Wydawało się, że w bloku nie ma żywej duszy. Dopiero zgrzyt roznoszonych kotłów ożywił nieco barak. Podano zastygłą zupę. Leniwie poruszały się wargi przy jedzeniu, a otępiałe oczy nie sięgały dalej poza obręb własnej pryczy.

Musiałam po posiłku mocno zasnąć albo wskutek wzmożonej gorączki straciłam przytomność, gdyż nie zauważyłam, w jaki sposób i kiedy zabrano z bloku wszystkie chore w liczbie sześćdziesięciu, wywołane do przeglądu. W części baraku zionęło pustką i zapanowała niezwykła cisza. Nawet urzędujące Niemki, na ogół ogromnie krzykliwe, zamilkły i ukryły się gdzieś po kątach.

Na drugi dzień tuż po apelu rannym przybiegli lekarze-więźniowie, ci sami, którzy codziennie wizytowali nasz blok. Byli podnieceni i zdenerwowani. Rozbiegli się do chorych. Do mojego łóżka wspinał się młody lekarz, zbadał mi puls i sprawdził gardło. „Temperatura jest, angina — oświadczył. — To bardzo źle. Trzeba, żeby pani dziś jeszcze opuściła blok. Radzę dekować się jakiś czas w obozie, uchylać się od ciężkiej pracy, nie wysilać się, jeśli się to pani uda. Te kobiety — spojrzał na puste barłogi, na których nie było nic więcej prócz przegniłych sienników — już nie wrócą. Nie wiadomo, co może dzisiaj nastąpić. Staramy się usunąć z «rewiru» wszystkie te, które o własnych siłach mogą chodzić". Na końcu zapytał, z jakiego jestem transportu. Powiedziałam, że z krakowskiego, a pochodzę z Nowego Targu. „A ja jestem z Tarnowa, nazywam się *Raichman*". Uśmiechnęłam się smutno.

Wkrótce po wizycie lekarzy zaczęto usuwać nas po kilka i kilkanaście z „rewiru". W czasie mojego sześciotygodniowego tam pobytu uruchomiono łaźnię. Z bloku 17 poszłam do kąpieli. W parówce zemdlałam z osłabienia, ale jakoś wróciłam do przytomności. Obok parówki były zimne natryski. Musiało się z nich skorzystać. Tak jak cudowne było zetknięcie się z wodą, w równej mierze mogło się stać niebezpieczne, zwłaszcza w tym stanie zdrowia, w jakim się wtedy znajdowałam.

Po kąpieli narzuciłam na siebie brudne łachy i wyszłam samotnie na teren obozu. Powietrze, jakkolwiek przesiąknięte dymem z krematoriów i smrodem z latryn, wydało mi się wspaniałe w porównaniu z zaduchem w nie przewietrzanym rewirowym bloku. Szłam wolno, pociągając za sobą nogi obute w drewniaki. Rozglądałam się wokoło. Obóz był opustoszały. Tysiące kobiet pracowały poza obozem. Murowane baraki, ku którym samotnie zdążałam, tonęły w błocie. Żadnego życia wokoło nie było, tylko kraina śmierci, cmentarz porzucony przez Boga i ludzi. Niebo było szare, spowite ciemnymi, groźnymi chmurami; ciężarem swoim wgniatało mnie w bagnistą, torfiasto-gliniastą ziemię. Droga do bloku nr 7, choć niedaleka, wydłużała się w nieskończoność.

Szłam uparcie, krok za krokiem, noga za nogą, uważnie, żeby wśród kałuż i w rozdeptanej mazi nie pogubić butów i żeby nie natknąć się na jakąś obozową „władzę", której moja osoba mogłaby stanąć na zawadzie. Gdzieś daleko, za ostatnimi barakami, od strony męskiego obozu urzędowała *aufseherin Hasse*. Poznałam jej obecność po strzałach z rewolweru. Strzelała o każdej porze do kobiet, a czasem do kruków. Nosiła czarno-białe rękawiczki i jak fama niosła, były one ponoć z ludzkiej skóry. Miała brzydką gębę i ciężki chód. Była wszędzie, gdzie się jej najmniej spodziewano.

Nie chciałam spotkania z nią. Próbowałam przyspieszyć kroku. Niestety, nie starczało mi siły. Wlokąc się z wyostrzonym wzrokiem i słuchem utrwalałam w pamięci obraz koszmarnego świata. Nagle zrobiło mi się ogromnie smutno. Znów zaczął we mnie nurtować żal za rodziną, pomieszany z pragnieniem odwetu na tych, którzy stworzyli ten świat koncentracyjny. Wróciłam w wyobraźni do pracy podziemnej, do jej wielkiego sensu w walce o wolność.

Po długiej, najdłuższej chyba w życiu samotnej wędrówce przez pustynię śmierci dotarłam wreszcie do bloku nr 7. Otrzymałam tam przydział chleba, uprzednio już zwalonego na stertę, z której wydzielono mi skromną porcję. Leżąc na koi, wpatrywałam się w małe, brudne okienko i obserwowałam spadające z okapu miarowo i z rzadka duże krople deszczówki. Było mi w tej norze ciemnej spokojnie i ciepło. Raz jeszcze wybiegłam myślami daleko poza druty, starając się omijać przezornie wspomnienie tragedii, które dotychczas nagromadziły się w moim życiu. Ulgę przynosiła mi świadomość, że nasze ofiary i trud, walka i praca na pewno nie pójdą na marne. Poczucie bezsilności przeistaczało się jak pod wpływem różdżki czarodziejskiej w pragnienie siły, która miała mi dopomóc w przetrwaniu.

STANISŁAW DZIADUŚ Myślenice
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 45125, Gross-Rosen nr 8494 i Mauthausen nr 104302

„Hirschberg" i „Treskau", podobozy Gross-Rosen
Urywki wspomnień

Gdy się dowiedziałem od kolegów ze *schreibstube* (kancelarii obozowej), że będą większe transporty do innych obozów, postanowiłem dążyć do wydostania się z Oświęcimia. Przebywałem wtedy w Brzezince [1], gdzie głód, chłód, błoto i niszczenie ludzi były straszniejsze i bardziej masowe niż w samym obozie oświęcimskim.



Obozowe zdjęcie autora, wykonane nazajutrz po przybyciu do Oświęcimia

13 marca 1943 roku pożegnałem bez żalu Oświęcim. Zamknięci w wagonach bydlęcych dotarliśmy do Gross-Rosen. Tam jako tzw. *zugangi* zostaliśmy umieszczeni w kwarantannie. Blokowym był *Georg Prill*, a jednym ze „sztubowych" Emil *Schwarz*. *Prill* obłudnie zapewnił nas na początku, że ma wiele sentymentu do Polaków, jego matka bowiem była z pochodzenia Polką. Ostrzegł, że będzie surowo wymagał porządku, dyscypliny, czystości i pracowitości. Kazał sobie zaśpiewać „Góralu, czy ci nie żal..." Na *schreibera* wyznaczył mojego kolegę z „Wici", Mariana *Wojciechowskiego*, który znał język niemiecki i francuski. Potem *Schwarz* dobrał jednego z więźniów na tzw. *waschmeistra* (porządkowego umywalni), drugiego na tzw. *scheitzmeistra* (porządkowego w ustępach), dwóch kotłowych, dwóch *schlafmeistrów* (porządkowych sypialni) i dwóch porządkowych w jadalni. Obaj, *Prill* i *Schwarz* byli przestępcami kryminalnymi; nosili zielone trójkąty.

Pierwsze dwa dni zeszły na szorowaniu, myciu bloku i śpiewaniu polskich pieśni. Drugiego dnia ułożono pieśń o *Prillu* na melodię „Tylko we Lwowie": *„Im Lager Gross-Rosen gefällt uns sehr schön..."*, z refrenem, który się kończył słowami: *„Lebt wohl, Blockältester Prill"*. *Prill* był zachwycony i uśmiechnięty, a oczy iskrzyły mu się z zadowolenia.

Nie podobała mi się ta sublimacja zbrodniarza, ale koledzy byli zdania, że lepiej wilka pogłaskać. Wkrótce jednak *Prill* się ujawnił. Dwóch, którzy niezbyt dobrze wyrównali w szeregu na apelu, gwałtownie i sprawnie tak uderzył w ucho, że jak porażeni upadli na ziemię. Po kilku kopniakach szybko zostali ustawieni w szeregu, bo zbliżał się esesman *blockführer* po odbiór raportu. Tak skromne bicie więźniów nie zadowoliło *Prilla*, bo po powrocie na blok wyszukał więźnia, który z powodu biegunki zanieczyścił sedes w ustępie. *Prill* stratował porządkowego, a owego chorego po dłuższym biciu zadusił. Nie darmo zwano *Prilla* „dusicielem". Strach padł na więźniów, a *Prill* zaczął spacerować po „sztubie" z wyrazem zmysłowego zadowolenia. Codziennie szukał ofiar, które mogły się sprzeniewierzyć jego zasadzie *„Ordnung, Disziplin und Zauberkeit"*. Zazwyczaj po okresie jednego lub dwóch dni spokoju przychodziło do katowania poszczególnych ofiar.

21 marca, to kalendarzowy początek wiosny. Jakkolwiek w Gross-Rosen (Rogoźnica), u stóp Karkonoszy, było zimno i wilgotno, zarządzono zdać bawełniane swetry, a także zimowe, nieco grubsze pasiaste odzienie i przebrać się w pasiaki letnie, płócienne i cienkie. Przy okazji *Prill* urządził rewizję osobistą. U więźnia, który mu służył za tłumacza, znalazł pod koszulą nieprzydziałowy, wełniany swetr. Pobiwszy nieszczęśnika, zeskoczył ze stołu na jego klatkę piersiową. Ledwie dyszącego i zmasakrowanego tłumacza wezwani sanitariusze wynieśli na noszach do „rewiru", gdzie zmarł po kilku dniach. Bezpośrednio po biciu *Prill* uśmiechnięty przechadzał się po bloku i przypominał o dyscyplinie, czystości i porządku. Z trwogą zaczęliśmy liczyć dni kwarantanny.

W śpiewaniu ulubionych melodii *Prilla* wyróżniał się wiezień imienem Tońko, były lwowski złodziejaszek. Sporo lat przesiedział w więzieniach lwowskich. Podkreślał, że okradał zawsze bogatszych. W obozie chętnie dzielił się chlebem. Bardzo sprytny, umiał doradzić i pomóc w trudnej sytuacji. Lubiano go bardzo, gdyż również miał humor i rozweselał więźniów w czasie wolnym od pracy. Razem z drugim lwowiakiem, Antkiem, pracował jako murarz. Tońko w gruncie rzeczy był myślącym i rozsądnym więźniem. Z takim złodziejem istotnie można by było konie kraść. Śpiewał i tańczył efektownie. W uśmiechu pokazywał kilka platynowych zębów. *Prill* patrzył na nie łakomym wzrokiem.

Gdy Tońko śpiewał, raz nadszedł esesman i spytał po niemiecku, czy są to zęby platynowe. Od razu zorientował się w sytuacji więzień nr 72 z Oświęcimia, Kazimierz *Żmigrodz-*

[1] Zob. S. *Dziaduś:* Urywki wspomnień z Oświęcimia-Brzezinki. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 204—209.

ki. Szybko wysunął się przed *Prilla* i esesmana i oświadczył, że nie są to zęby platynowe, tylko zwykła blacha, imitująca platynę, Tońko na szczęście nie umiał po niemiecku i nie mógł zaprzeczyć wyjaśnieniu *Żmigrodzkiego*. Jak się później okazało, również w Gross-Rosen, podobnie jak w Oświęcimiu, wykańczano więźniów mających zęby złote lub platynowe, aby zdobyć w ten sposób szlachetny metal. Doświadczony kolega uratował Tońka przed niechybną śmiercią.

Mniej więcej w połowie kwietnia 1943 roku ustawiono nas przed południem na apelu przed blokiem. Przyszedł jakiś esesman z człowiekiem w cywilnym ubraniu, w kapeluszu na głowie i zaczęli się nam kolejno przyglądać. Potem spisano nas stu, dowiadując się dokładnie o zawód i umiejętności w pracy. Całą tę setkę wysłano na tzw. *arbeitskommando* w Jeleniej Górze (ówczesna nazwa: Hirschberg). Wybrano samych Polaków. Do pilnowania nas wyznaczono spory oddział esesmanów. „Lagrowym", czyli tzw. *lagerältesterem* został Paweł *Margala, schreiberem* (sekretarzem „komanda") Marian *Wojciechowski* (jednocześnie tłumacz), a pełniącym obowiązki lekarza i sanitariuszem zostałem ja. W dwóch wagonach osobowych przywieziono nas do Jeleniej Góry. Trafiliśmy tam na zimne i deszczowe lato.

Wprowadzono nas do baraku leżącego za miastem, u stóp wzgórz wznoszących się ku południowi od niziny rzeki Bóbr (Bober). Znajdowały się tam zakłady „Schlesische Zellwolle", wytwarzające celulozę, papierowe półfabrykaty z drewna, papier, materiały opatrunkowe i jakieś środki chemiczne. Zostaliśmy przydzieleni do budowy nowej hali fabrycznej i do rozładowywania i załadowywania wagonów. Wyładowywaliśmy drewno, cement, cegłę i inne materiały budowlane, bardzo często wapno, a załadowywaliśmy najczęściej bele papieru. Każda bela ważyła 250 kg. Barak był otoczony gęstą, wysoką na 3 metry siatką z drutu kolczastego. Na każdym z czterech rogów stała wysoka wieża strażnicza, miejsce dla pilnujących nas esesmanów. W sąsiedztwie znajdował się drugi podobny barak, w którym mieszkało „komando" złożone z samych Żydów. Ten właśnie pożydowski barak spotkałem później w Myślenicach, gdzie został przywieziony w roku 1948, złożony i przeznaczony na szpital powiatowy.

Paweł *Margala* przejął się rolą „lagrowego". Porozdzielał funkcje. Mnie poza pracą sanitariusza przydzielił funkcję „kapo od cieśli". Do pomocy w sprawach sanitarnych dobrałem sobie młodego, 19-letniego więźnia, Stanisława *Czarnka*, syna pułkownika-lekarza z Krakowa. Na zastępcę w kierowaniu pracą ciesielską wybrałem *Żmigrodzkiego*. Bardzo doświadczony i rozsądny, pomagał on czuwać nad stroną moralną więźniów. Paweł wyznaczył wielu innych funkcyjnych.

Margala zebrał w swej „sztubie" *Wojciechowskiego, Żmigrodzkiego* (zwanego z Oświęcimia „Gromem") i mnie. Paweł był przed rokiem 1939 zawodowym podporucznikiem. Około 25-letni, miał ambicje wodzowskie. Będąc „lagrowym", czuł się jak dowódca kompanii. Wyłożył nam swój plan, aby zadania powierzone przez Niemców wykonać „na piątkę". Postanowił wprowadzić bezwzględny posłuch, porządek i egzekwować pracowitość. Mniemał, że za dobrą pracę dostaniemy od Niemców lepsze racje żywnościowe. Nasze perswazje, aby rozwlekać i pozorować pracę, gdyż przy znikomym pożywieniu robota wyniszczy więźniów, nie przekonały go. Sabotaż karano w obozie śmiercią lub w najlepszym wypadku kompanią karną, toteż zaniechaliśmy dyskusji na ten temat. Mogliśmy rozmawiać o tym tylko w zaufanym gronie, z *Wojciechowskim* i z „Gromem", który był koleżeński, przezorny, umiejący cicho przeciwstawić się Niemcom, jednym słowem, doświadczony więzień, który umiał ocaleć z pierwszego transportu oświęcimskiego. Paweł *Margala* nie dołączył do nas.

Nazywano go „Pawłem I" (był też inny więzień o tym imieniu). Chciał on niewątpliwie zrobić dobre wrażenie swoim oddziałem na esesmanach. Na jego zlecenie wychodziliśmy do pracy ze śpiewem. Miejscowa cywilna ludność niemiecka stała przed domami i dziwiła się, co to za weseli więźniowie. Z pewnością nie domyślała się, że tym ludziom dzieje się krzywda i morzy ich głód. Paweł I, Ślązak, umiejący po niemiecku, wkrótce nauczył nas żołnierskich piosenek niemieckich, które musieliśmy śpiewać wracając z pracy. Marianowi i „Gromowi" ani mnie nie podobało się to stwarzanie pozorów, że się nam dobrze powodzi, oprócz tego, że jesteśmy więźniami.

W wiekszości więźniowie „komanda Hirschberg" byli słabi i głodni. Nie wszyscy otrzymywali paczki od rodzin. Nie wszyscy otrzymujący paczki dzielili się ze współwięźniami. Opieszałych i powolnych w pracy Paweł nauczył się bić i kopać, a nawet publicznie wymierzać karę chłosty. Gdyśmy z „Gromem" i Marianem zwrócili uwagę Pawła na niewłaściwość takiego postępowania i powiedzieli mu otwarcie, że schodzi na złą drogę, odparł te zarzuty, twierdząc bezkrytycznie, iż dzięki niemu ojczyzna pozbędzie się leniuchów i ludzi bez wartości. Straciliśmy nadzieję na jakiekolwiek porozumienie. Dalsze przekonywanie Pawła mogło się w warunkach obozu okazać niebezpieczne. Paweł trochę się pohamował, ale od czasu do czasu rozpoczęte praktyki stosował dalej. Podobno później w Gross-Rosen podpisał *volklistę*. Na nic mu się to nie przydało, gdyż, jak się zdaje, po miesięcznym okresie panowania Paweł I stracił funkcję „lagrowego" i został przesłany do kompanii karnej w Gross-Rosen. Według naszych informacji zgubiła go miłość. Esesmani przechwycili jego listy wymieniane z jakąś dziewczyną z sąsiednich domów. Po przejściu kompanii karnej był blokowym. Prasa podała po wojnie, że skazano go za działalność obozową na 7 lat więzienia. Mirażem okazała się obozowa potęga Pawła.

Dzisiaj, gdy podejmuje się temat więźniów funkcyjnych, warto było z pewnością nakreślić sylwetkę Pawła *Margali* w celu zilustrowania, jak niektórzy więźniowie, otrzymawszy funkcje, nie potrafili utrzymać się na odpowiednim poziomie moralnym i staczali się na drogę przestępstwa, natomiast wielu innych funkcyjnych korzystało ze swych uprawnień dla ulżenia doli współwięźniów. W warunkach obozu była to bardzo trudna gra.

Należy jednak podkreślić, że Paweł *Margala* po odbyciu kompanii karnej znacznie się zmienił na korzyść i pełniąc później funkcję blokowego starał się więźniom pomagać, co oczywiście w warunkach obozowych musiało być zręcznie maskowane.

W *Arbeitskommando Hirschberg* pobudkę robiono o 5 rano. Po pospiesznym umyciu się, odzianiu, zasłaniu łóżek i posprzątaniu sal sypialnych wyruszaliśmy po apelu do pracy. Apel odbywał się o godzinie 6, do pracy wychodziliśmy o 6.30. W pracy dzielono „komando" na kilka grup roboczych. 15 więźniów w grupie cieśli pracowało przy budowie nowej hali fabrycznej. Rozbierano stary budynek, ustawiony tymczasowo na dużej płycie betonowej. Pracą kierował niemiecki technik budowlany. Swe plany przekazywał mnie jako majstrowi. Wykonywaliśmy najpierw roboty szalunkowe pod słupy betonowe oraz belki nośne i szalunki pod strop. Później zakładaliśmy zbrojenia, po czym następowało bardzo szybkie betonowanie przygotowanej konstrukcji budynku. Dzięki wymuszonej na nas pracy powstały dwie kondygnacje.

Niewielka grupa murarzy wznosiła ściany wewnętrzne w powstającej hali. Reszta więźniów, a w razie potrzeby wszyscy, zatrudnieni byli na placu fabrycznym. Rozładowywali okrąglaki, które przychodziły w dużej ilości jako surowiec dla fabryki. Załadowywali półfabrykaty oraz skrzynie z materiałami opatrunkowymi. Inni podwozili drewno pod hale przerobowe i składali je na wyznaczonych miejscach. W razie gdy na plac dostarczono kilka wagonów wapna, cementu, piasku czy cegły, wszyscy więźniowie, razem z murarzami i cieślami, byli zapędzani do tej ciężkiej roboty. Esesmani, „lagrowy" i w późniejszym okresie jedyny „kapo komanda" (imieniem Igon), Niemiec pochodzenia polskiego, stawali dokoła nas i niezwykle zawzięcie, nie szczędząc uderzeń pięścią, kopniaków i bicia pałką popędzali nas do szybszej i wydajniejszej pracy. Nigdy i nigdzie w obozie, nawet jako cieśla w Brzezince, poza kompanią karną w Gross-Rosen nie napracowałem się tak ciężko, jak w Jeleniej Górze. Sprawa polegała na tym, że było nas zaledwie stu, a pilnujących proporcjonalnie duża liczba. Teren pracy był niewielki i stale dokładnie kontrolowany. W tych warunkach nie dało się pozorować pracy, gdyż natychmiast spadała kara.

Gdy przyszło nosić z wagonów pięćdziesięciokilogramowe worki cementu, przez wiele godzin chodził człowiek miarowym krokiem z workiem na plecach. Dwóch więźniów systematycznie nakładało podchodzącemu z wagonów worek na plecy, dwóch w magazynie zdejmowało ten worek. Raz esesmanowi wydało się, że chodzę za wolno. Zbił mnie po twarzy i zarządził, aby mi nakładano na raz dwa worki. Widząc, że jeszcze radzę sobie z tym ciężarem 100 kg, kazał nałożyć mi na plecy 150 kg. Gdy upadłem, nie zbił mnie, co dziwne, ale wrócił do normy 100 kg. A trzeba pamiętać, że jako pełniący obowiązki lekarza i majster ciesielski byłem nieco lepiej traktowany przez esesmanów i „lagrowego" niż inni więźniowie. Stale podczas pracy miałem w wyznaczonym miejscu apteczkę z lekarstwami i opatrunkami, przy czym powinienem być stale wprawny i zdolny do udzielania pomocy innym.

Najuciążliwsze było wyładowywanie wapna z wagonów. Wapno drażniło spojówki, błony śluzowe jamy ustnej, nosa, gardła i oskrzeli. Każdy, a zwłaszcza pracujący we wnętrzu wagonu musiał kichać, kasłać i płakać. Pot zmieszany z pyłem wapniowym drażnił skórę całego ciała. Niektórzy dostawali wysypek uczuleniowych. Byłem wtedy przekonany, że jeśli kiedykolwiek napotkam w przyszłości na dworcu kolejowym wagony z wapnem, to raczej zrezygnuję z zamierzonej podróży niż zbliżę się do pociągu.

W „komando Hirschberg" niedziela bynajmniej nie była dniem wypoczynku. Wprawdzie przeznaczano ją tam na pisanie listów, dodatkowe porządki w bloku, kąpiel więźniów i wiele innych czynności porządkowych, to jednak prawie stale zdarzało się, że właśnie w niedzielę nadchodziły liczne wagony materiałów, które natychmiast należało rozładować. I wtedy całe „komando" wyruszało do pracy, aby w niesamowicie szybkim tempie wykonać tę robotę. Mawialiśmy, jak to dobrze, że tylko raz na tydzień Pan Bóg dał niedzielę.

Bezkrólewie po zakończeniu panowania Pawła I nie trwało długo. Ci sami esesmani, którzy odstawili go do Gross-Rosen, na drugi dzień pod wieczór dostarczyli nowego więźnia na „lagrowego". Powstał ogólny strach, gdyśmy ujrzeli dziką twarz Georga *Prilla*. Przybył z nim jego zastępca, wspomniany już Igon, również przestępca kryminalny, uwięziony przed wojną. Po polsku rozumiał dobrze; kiepsko mówił narzeczem śląskim. Pod ich władzą przebywaliśmy dalszy okres w opisanym „komandzie".

* * *

Bodaj w listopadzie lub z początkiem grudnia 1943 roku jako więzień nr 8494 zostałem skierowany do Treskau w charakterze *pflegera*, czyli sanitariusza. W Treskau (Owińska pod Poznaniem) mieściła się jedna z licznych filii obozu Gross-Rosen. Podobóz różnił się tym od „macierzystego", że trzeba było niejednokrotnie wykonywać cięższą pracę. Poza tym były te same pasiaki, te same apele, podobny „kapo" czy *lageräitester*, tj. bezpośredni prze-

łożony więźniów, też więzień. W Treskau zmarł nagle poprzedni sanitariusz. Wyznaczony na jego następcę, zgodziłem się tam wyjechać. Koledzy ze *szrajbsztuby* mogliby, gdybym nie chciał jechać, podsunąć innego sanitariusza. Odpowiadałem komendzie obozu o tyle, że byłem studentem medycyny i mogłem w oddalonym „komandzie" zastępować lekarza. Wyjazd był dla mnie korzystny, nosiłem się bowiem w ostatnich miesiącach z zamiarem ucieczki z obozu. Mój kolega, Włodek *Chojnacki* ze szpitala i Marian *Wojciechowski* ostrzegali, bym był ostrożny. W razie powodzenia zamierzałem oczywiście odwiedzić ich rodziny. Zmiana miejsca uwięzienia mogła sprzyjać moim zamiarom. Tak więc, po ponownym pobycie w Gross-Rosen, dokąd wróciłem z Jeleniej Góry, wywieziono mnie do Treskau.

Pilnowany przez dwóch „postów", autem ciężarowym przebyłem trasę przez Legnicę, Głogów, Leszno, Kościan i Poznań do podobozu Treskau. Więźniowie mieszkali tam w piwnicach dawnych koszar niemieckich, jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. W okresie międzywojennym mieścił się tam szpital dla psychicznie chorych. Niemcy zamienili z powrotem budynki na koszary, urządzając tu szkołę dla esesowców. W piwnicach budynku wysuniętego najbardziej na północ ulokowano więźniów obozu koncentracyjnego, a w piwnicach sąsiedniego budynku „wojennoplennych", czyli jeńców radzieckich.

Przez drzwi wejściowe wchodziło się po schodkach w dół na korytarz trzymetrowej szerokości. Idąc korytarzem mijało się z lewej strony zewnętrzną ścianę piwnicy z zakratowanymi okienkami, a z prawej — sześć piwnic różnej wielkości. Piwnice te były „sztubami" (izbami) dla więźniów. Na końcu korytarza znajdowało się koryto pod ścianą i kilka kranów z zimną wodą. W kącie tej „łazienki" stała wanna, w której czasem kogoś karnie kąpano, a zwykle trzymano w niej drewno przynoszone przez więźniów z pracy celem palenia w piecach dla ogrzania zimnych piwnic. Okienka piwnic, zakratowane, wychodziły na ogród szkoły *SS*. Zarówno przed oknami korytarza, jak i przed oknami „sztub" chodził esesman i pilnował, by nie doszło do ucieczki.

Naprzeciw drzwi wejściowych w małej piwnicy spał *lagerältester* i jego „pipel" (jak gdyby adiutant osobisty), sanitariusz z pomocnikiem i magazynier z pomocnikiem. Wszyscy chodzili do pracy, w czasie której „lagrowy", sanitariusz i magazynier stawali się „kapo", a pomocnicy mieli przy nich lżejszą pracę. Po powrocie do piwnic każdy obejmował przydzieloną funkcję.

„Lagrowym" był wtedy Emil *Schwarz*, znany mi z Gross-Rosen, kryminalista, około 30-letni, w obozie bandyta miernego stopnia. Często bił naśladując boksera, czasem dusił, niekiedy posługiwał się pałką, kijem czy kawałkiem drewna, bicie kończył zwykle kopaniem lub tratowaniem. Ustępował w tym fachu bardziej wyrafinowanym oprawcom, których widywało się w obozach. Nade mną jakoś nie znęcał się w Gross-Rosen, a teraz jako następcę nieżyjącego sanitariusza przyjął mnie chętnie. Wyznaczono mi łóżko poprzednika, jeszcze splamione krwią. Siennika oczywiście nikt nie zmieniał. Mieszkańcom „sztuby" nr 2 przysługiwały prześcieradła, toteż ślady krwi nie były widoczne. W „sztubie" nr 1 był magazyn żywnościowy, składzik sanitarny i coś w rodzaju kancelarii obozowej.

Drugiego dnia pobytu w tym podobozie esesowski komendant wyznaczył mnie na „kapo" grupy roboczej pomagającej w budowie nowego bloku. Moje protesty spotkały się z kontrargumentem w postaci uderzeń łokciami w twarz z pozycji półobrotów tułowiem. Esesman był wysoki i jego łokcie znajdowały się akurat na wysokości mojej głowy. Bił z uśmiechem zadowolenia ze swej pomysłowości, pozwalającej na wyzyskanie naturalnych warunków w traktowaniu więźnia. Opór uznałem za bezcelowy i postanowiłem, że „kapo" wzorowym nie dam się zrobić. Wiedziałem, że sprawa to trudna, ale wykonalna. Mój oprawca później pokazywał mi, jak się bije więźniów, ale byłem uczniem niepojętnym.

Po upływie około dwóch tygodni zaindagował mnie, dlaczego nie reaguję na widok jednego z więźniów siedzącego bezczynnie w kącie budynku. Odpowiedziałem, że ten *häftling* (więzień radziecki, imieniem Iwan) jest chory i ma 39 stopni ciepłoty z powodu zapalenia płuc. Mój nauczyciel powiedział, że pokaże, co się z takim robi. Wziął kawałek deski i zaczął okładać więźnia, potem pokopał. Zapytał, czy zrozumiałem. Powiedziałem, że tak. Wszystko zrozumiałem, tylko że ja tego robić nie będę. Wtedy zatrudnił się na chwilę przy mnie z deską i odszedł.

W czasie apelu wieczornego zostałem „zdjęty" z funkcji „kapo" i przydzielony jako zwyczajny robotnik do grupy więźniów ładującej piasek na auto ciężarowe i przywożącej go na budowę. Pobieraliśmy ten piasek z okolicznych wzgórz. „Kapo" był magazynier Michał, mieszkający razem ze mną w „sztubie" nr 2. Wkrótce uległ moim wpływom, toteż trzech Polaków, Michał z Rusi podkarpackiej i ośmiu więźniów radzieckich mieliśmy znośny żywot. Jadąc autem, mogliśmy nawet śpiewać pieśni polskie i rosyjskie, tym razem dobrowolnie. Esesmani pilnujący nas w pracy dali się stopniowo ułagodzić. Zimą 1944 roku ich racje żywnościowe nie były obfite. Otrzymywałem z domu paczki i częstowałem ich kanapkami. Jeden z nich, *volksdeutsch* węgierski, były słuchacz filozofii, przekonywał mnie, że Niemcy wygrają wojnę.

Myśląc o ucieczce, pracowałem chętnie, aby nabrać potrzebnej siły fizycznej. Korzystałem z ruchu na wzgórzu piaskowym, aby nabrać sprawności. Sposobności do ucieczki wciąż nie było. Funkcyjni żyli sobie wygodnie, natomiast my musieliśmy pracować. „Lagrowy" *Schwarz* dożywiał się trochę z naszych paczek. Maga-

zynier Michał okradał więźniów i handlował z cywilami, zyskując wódkę i wino. „Pipel" lagrowego grzał wodę, mył go i kąpał, prał mu pasiaki i bieliznę. Wieczorami śpiewano i grano mu na organkach. Dla bandyty było to życie pełne uroku, czysta poezja. Czekał na ukończenie przez Niemców zwycięskiej wojny. Gdy pieśni i pielęgnacja ze strony „pipla" nudziły go, dawał upust swoim popędom, bijąc więźniów. Znęcał się też nad swym poprzednim „piplem", Nosyrem. Nosyr spochmurniał, zaczął chudnąć, chodził posiniaczony.

Pamiętam datę 18 lutego 1944 roku. Deszcz ze śniegiem skłoniły esesmanów do wcześniejszego powrotu z nami, jeszcze przed zmierzchem. *Schwarz* zarządził porządkowanie korytarza i „sztub", przy czym bił i kopał „podpadających". Trwało to do godziny dziesiątej. Sam robiłem opatrunki, porządkowałem aptekę i materiał sanitarny. Świeżych opatrunków było dużo, gdyż przy biciu lała się krew. Prawie skończyłem zaszywać ranę czoła jakiemuś więźniowi-Rosjaninowi, gdy *Schwarz* pozamykał „sztuby", w których więźniowie nocowali. Zamknięci załatwiali potrzeby fizjologiczne do wiadra. Do rana zagęszczał się uciążliwy zaduch, gdyż małe okienka nie zapewniały dobrego wietrzenia. Tylko z nie zamkniętej „sztuby" nr 2 mogliśmy wychodzić do ustępu.

Tej nocy z twardego snu obudził mnie jakiś szmer i błysk światła zapałki. Usłyszałem jęk, charczenie i zapaliło się światło. Otwarłem oczy. Przede mną w odległości dwóch kroków od łóżka stał Emil *Schwarz*. Oczy miał duże, szkliste, twarz bladą. Trzymał się za gardło prawą ręką i coś bełkotał. Przez palce na szyi tryskała mu krew tuż przed moim łóżkiem. Przemknęło mi przez myśl, że przyszła kara na oprawcę. Rannemu należało przyjść z pomocą. Pobiegłem do „sztuby" nr 1 po materiał opatrunkowy. Niosąc gazę, natknąłem się w korytarzu na małego człowieka, który rzucił się na mnie z ciemności z nożem-tasakiem w jednej ręce, a z siekierą w drugiej. Zasłoniłem głowę ręką i silnie odepchnąłem atakującego. Nóż spadł mi na czoło i zadał ranę. Napastnik zatoczył się pod ścianę. Szybko wbiegłem do „sztuby nr 2". Mój przeciwnik zaraz się zjawił i stanął zdumiony przede mną w pełnym świetle. Był to Nosyr. Usprawiedliwiał się, że wziął mnie za Michała. Chciał go zgładzić za okradanie więźniów. Michał, mój sąsiad ze „sztuby", zbladł i wcisnął się w kąt łóżka.

Schwarz, zwinięty w kłębek, leżał na podłodze w kałuży krwi, zwrócony twarzą do ziemi. Miał szyję przeciętą aż do kręgosłupa. Krew szybko spłynęła przez otwarte obie tętnice szyjne, nie miałem więc wątpliwości, że rana była śmiertelna. Nosyr uderzył jeszcze *Schwarza* tasakiem w kark. Gazę przyniesioną dla niego przyłożyłem sobie na czoło. Rana była skośna, długości około 9 cm, sięgała do okostnej. Jeden z obecnych w „sztubie" zrobił mi opatrunek. Nosyra powstrzymałem przed samosądem na Michale. Sprawca zamieszania wyszedł na korytarz.

Ponieważ „sztuby" zamykano na noc, Nosyr wieczorem ukrył się w wannie pod drewnem. W swojej „sztubie" tak zasłał łóżko, by upozorować, że tam śpi, przykryty całkowicie kocem. Potem poszedł do magazynu, pojadł, wzmocnił się i wziął brzytwę, która znajdowała się w szafce sanitarnej. Gdy później wszedł do „sztuby", około pierwszej w nocy, zaświecił zapałkę, by nie pomylić się co do osoby. W roku 1942 został wywieziony z Szepietówki na roboty do Niemiec. „Bauer", u którego pracował, znęcał się nad nim, głodził go i zmuszał do intensywnej pracy, a wreszcie zapowiadał, że go odda na gestapo. Nosyr w nocy poderżnął szyję „bauerowi" i uciekł. Włączył się do jakiegoś transportu wiezionych ze wschodu na roboty, znów dostał się do „bauera" w innej okolicy. Za to, że pasąc krowy doił je i wypijał mleko, został wysłany do obozu koncentracyjnego.

Umówiliśmy się, że nikt nic nie widział. Ja obudziłem się pierwszy i chciałem rannego ratować. Rana czoła najlepiej mnie tłumaczy. Położyliśmy się do łóżek i nie gasiliśmy światła. Nosyr kazał światło zgasić, by nie budzić podejrzenia „postów". Spacerował po korytarzu uzbrojony w siekierę. Nad ranem obudził więźniów, porozdawał chleb, margarynę i cukier z magazynu. Przed godziną szóstą stanął przed drzwiami wejściowymi tuż za murem, by po otwarciu drzwi nie był od razu widoczny. Snadź zamierzał zarąbać siekierą „kommandoführera" po jego wejściu na korytarz, uzbroić się w jego rewolwer i wyskoczyć na zewnątrz, zastrzelić „posta"-strażnika i zniknąć w ciemnościach. Przy odrobinie szczęścia byłoby to wykonalne.

Ale około godziny 5.45 otworzyły się drzwi wejściowe i ukazały się w nich bagnety esesmanów, nałożone na broń. Nosyr stał zaczajony z siekierą, klął na oprawców i kpił z ich odwagi. Trwało to długo, aż sam odłożył siekierę i zachęcał uzbrojonych do wejścia. Nie weszli. Zlecili, by dał się najpierw związać. Po kilku minutach poprosił kolegów, by mu związali ręce. Esesmani kazali się mu odwrócić, a gdy się upewnili, że jest dobrze związany sznurem, weszli, założyli mu kajdanki i odprowadzili go do „sztuby nr 1". Nikt z esesmanów go nie potrącał.

Do obozu przyszło dwóch gestapowców na przesłuchania. Użyty jako tłumacz, podawałem, żeśmy wszyscy w „sztubie" twardo spali i niczego nie widzieliśmy. Ostatni mówił Nosyr. Odpowiadał stanowczo i spokojnie. Zapytany, dlaczego zamordował „lagrowego", współwięźnia, wyjaśnił, że wolał, aby zginął *Schwarz* i on sam i nie musiał, bity przez „lagrowego", powoli dogorywać, podobnie jak inni więźniowie, stopniowo, dzień po dniu. Tego gestapowcy nie zanotowali w protokole. Zapisali tylko, że „lagrowy" miał zły i surowy stosunek do Nosyra, a ten z zemsty dokonał czynu. Nosyr podpisał protokół i został zabrany przez gestapo, a następnie odwieziony do kompanii karnej w Gross-Rosen. *Lagerführera Juchelka* odwołano z funkcji.

Na jego miejsce przyszedł inny kapral *SS*.

Czasem spokojny i łagodny, nieraz bez powodu wybuchał, bił i kopał więźniów. Jego bicie było jakby nieprzemyślane, chaotyczne. Widać było, że w tych sprawach jest niedoszkolony. Mnie wkrótce wyciągnął z gromady i pod groźbą bicia uczynił *vorarbeitrem* małego „komanda", budującego bitą drogę w obejściu koszarowym. Oczywiście starałem się nie przeszkadzać kolegom w pozorowaniu pilnej i wytężonej pracy. Zmarznięty, zmoknięty i wychudzony jak inni więzień Grysza klęczał na drodze i od czasu do czasu to stukał dwoma kamieniami, czarnym i białym, to je układał. Trwało to może godzinę. Podobała mi się taka perfekcja w robocie.

Ale Gryszę ukradkiem obserwował też *kommandoführer*. W pewnej chwili wyszedł zza budynku i zapytał mnie, co ten więzień robi. Odrzekłem, że układa kamienie. Esesman wpadł w złość. Zbił mnie po twarzy i skopał, na szczęście, niegroźnie dla zdrowia. Wybrał innego więźnia, znającego cośkolwiek niemiecki, na *vorarbeitra*, a mnie zapędził do pracy. Dostałem się do *transportkommanda*, gdzie „kapo" nadal był wyznaczony Michał, na którego od czasu owej pamiętnej nocy miałem jeszcze większy wpływ. Z zamiany byłem zadowolony.

W *transportkommando* pracował koleżeński i inteligentny więzień, Sasza. Któregoś dnia opuścił go humor. Gdyśmy wrócili z pracy, zbliżył się do mnie w umywalni i mocno przejęty zwierzył mi się, że w naszym „komandzie" jest *„blat' takaja w sztanach"* (w spodniach), co to swoich kolegów zdradza. Mianowicie robi to Władek, więzień, przed którym intuicyjnie już długo mieliśmy się na baczności. Sasza opowiedział mi, że jego koledzy, radzieccy *wojennoplenni* (jeńcy), więzieni w sąsiednim budynku, jeszcze przed 18 lutego zdołali mu zakomunikować podczas pracy, iż w piwnicy, gdzie mieszkają, znaleźli ukryte i nie zauważone przez esesmanów polskie cekaemy wraz z amunicją, pozostałe po kampanii wrześniowej. Wobec tego dadzą znać, kiedy zorganizują w nocy walkę. Oswobodzą siebie i nas. Myślą obecnie nad planem i mają nadzieję, że uda się wszystko wykonać pomyślnie.

Sasza tak ważną wieścią podzielił się z Władkiem, z którym się przyjaźnił i obok którego spał. Władek może też myślał, że się warto z obozu wydostać i chociaż konfident, zaraz o sprawie nie donosił, ale owej nocy przestraszył się, że śmierć Emila *Schwarza* może pociągnąć za sobą rozstrzelanie wszystkich więźniów. Chcąc ratować własną skórę, doniósł o tym *Juchelkowi*. Broń wykryto i w związku z tym pięciu *wojennoplennych* zostało rozstrzelanych. Stąd smutek Saszy. Doradziłem mu, by nie rozpowiadał o całej sprawie. Zacząłem jeszcze bardziej wystrzegać się Władka, mimo że narzucał mi się on z przyjaźnią.

Dalej snułem projekty ucieczki. W transporcie pracował ze mną więzień Bronek z Rawicza. Nazwiska nie pamiętam, mimo że przeżycia obozowe jak żywe stoją mi w pamięci. Bronek miał siostrę, która pracowała w Poznaniu w kawiarni *„nur für Deutsche"*. Postanowiliśmy nawiązać z nią łączność. Z niektórymi „postami", zwłaszcza ze wspomnianym już *volksdeutschem* węgierskim, byłym studentem filozofii, żyłem dobrze. Rzadko jeździliśmy po materiały budowlane do Poznania. Udało mi się namówić tego „posta", aby zgodził się podjechać pod ową kawiarnię. Zapewniłem, że dostaniemy ciastek i papierosów. Bronek dwukrotnie porozumiał się ze swoją siostrą. Ustaliliśmy, że w przeddzień Zielonych Świąt, które w roku 1944 przypadały na 28 i 29 maja, dostarczy nam ona na umówione miejsce dwa ubrania cywilne. Miejsce to mieliśmy wskazać później za pośrednictwem pewnej pracownicy, mieszkającej w sąsiedztwie obozu.

Bronka przeniesiono wkrótce do pracy przy budowie króliczarni. Plac budowy mieścił się obok drogi bitej, biegnącej wzdłuż toru kolejowego. Drogą przechodziło stale wielu cywilów. Roboty prowadziła firma prywatna, w której pracowało kilku robotników najemnych, jeden majster i około dziesięciu więźniów. Uważaliśmy, że w przebraniu cywilnym nietrudno nam będzie włączyć się do przechodniów i niespostrzeżenie opuścić plac budowy, pilnowany przez trzech „postów". Chodziło tylko o to, bym się przeniósł na wiosnę do pracy przy budowie króliczarni.

Na miejsce *kommandoführera*, następcy *Juchelka*, przyszedł *volksdeutsch* jugosłowiański. Miotał się on psychicznie między obowiązkami esesmana a przywiązaniem do Serbii. W tych rozterkach szukał on kontaktów z więźniami, u których spodziewał się zrozumienia i oparcia duchowego, mimo że czasem dawał ponosić się nerwom i krzyczał, czasem kogoś uderzył, wygłaszał kazania o porządku, dyscyplinie, czystości i pilnej pracy, ale widział nieuchronność klęski Trzeciej Rzeszy. Pragnął przed kimś się „wywnętrzyć" i znalazł mnie. Odnosił się do mnie po ludzku. Wieczorami w *schreibstubie* nawet śpiewał pieśni serbskie i narzekał na bezcelowość wojny. Ostrożnie przyznawałem mu rację i paliłem z nim papierosy.

Chciał mi pomóc na sposób esesowski. Z końcem marca należało stworzyć „komando" ogrodników, którzy mieli pracować w ogrodzie, w przyległym parku i uprawiać glebę pod jarzyny dla szkoły *SS*, mieszczącej się w dawnym szpitalu. Postanowił awansować mnie na „kapo" tego „komanda". Pewnego dnia rano wybrano 15 więźniów do prac w ogrodzie i kilku cieśli do pomocy. Sprzeciwiłem się nominacji na „kapo", twierdząc zgodnie z prawdą, że na ogrodnictwie się nie znam, natomiast mogę być dobrym cieślą, pracowałem bowiem w obozach dość długo w tym fachu. Esesman był zaskoczony moim sprzeciwem. Zgodził się jednak, abym został znów cieślą, ostrzegł wszakże, iż jeśli majster cywilny zgłosi mu, że nie znam tego fachu, dostanę za kłamstwo 25 bykowców. Ponieważ niemiecki majster nie zakwestionował moich ciesielskich umiejętności, pozostałem w zgodzie z esesmanem. Znów słuchałem wieczorami pieśni serbskich. Mimo dogodnych warunków czas mi się dłużył, nurtował mnie nie-

pokój, a ożywione lepszą sytuacją uczucia i sposób przeżywania bardziej emocjonalny zmuszały do boleśniejszego odczuwania braku wolności. Czekałem z niecierpliwością Zielonych Świąt, które były jeszcze odległe.

Tymczasem w planach ucieczki zaszły niespodziewane zmiany. Bronek nie umiał utrzymać tajemnicy i śpiąc obok Władka, zwierzył mu się którejś nocy, że planuje ucieczkę razem ze mną. Władek wyraził chęć dołączenia się do niej, ale w przyspieszonym terminie, w kwietniu, nie w maju. Czuł się on coraz bardziej nieswojo w otoczeniu więźniów radzieckich, niektórzy z nich bowiem pamiętali jego zdradę. Samoloty sprzymierzonych coraz częściej pojawiały się nad Poznaniem. Strach Władka przed sprawiedliwością rósł stale. Sam zaczął się niepokoić, twierdząc, że siostra Bronka może zawieść lub może się jej nie udać podłożenie ubrań na plac budowy.

Stanęło w końcu na tym, że zamiar ucieczki najlepiej będzie zrealizować, doprowadzając do udania się w głąb lasu w towarzystwie najlepiej jednego, niedoświadczonego „posta". Wśród naszych strażników był młody „post", nie więcej niż 19-letni, który miał wygląd dobrodusznego naiwniaka. Na froncie wschodnim stracił jedno oko. Zdolność orientacji wzrokowej była więc u niego ograniczona. Chodziło o to, aby wybrać się pod jego strażą do miejsca odległego od naszej pracy o jakieś dwa kilometry i stamtąd uciec. Ale trzeba było znaleźć uzasadnioną potrzebę pójścia do lasu.

Taki pretekst wymyśliliśmy sami. Zwróciłem uwagę naszego majstra-cywila na to, że paliki, na których stawiamy klatki dla królików, zrobione są z marnego, miękkiego drewna i przy wbijaniu psują się. Dobrze więc byłoby postarać się o paliki brzozowe. Najlepiej będzie pójść do lasu i wyciąć kilka drzew brzozowych, które przyniesiemy na miejsce budowy. Majster szepnął to do esesmana-Węgra, naszego stałego strażnika, a jednocześnie dowódcy pozostałych dwóch „postów". Jednookiemu młodzieńcowi sprzykrzyło się bezczynne tkwienie na posterunku i wybrał spacer do lasu. Plan chwycił. Wycieczka została ustalona na dzień następny, tj. 11 maja 1944 roku.

Wcześniej zdobyliśmy rozeznanie, że lasy ciągną się z przerwami aż do Wrześni i będzie można przez nie wędrować. Stwierdziliśmy, że w szkole *SS* nie ma psów gończych, a pościg będą prowadzić tylko esesmani. Rodzina przysłała mi ciepły sweter wełniany. Do pracy wziąłem zapas cukru (kilogram), około pół kilograma słoniny i trochę chleba z kiełbasą, biorąc tę żywność z paczek, które otrzymywałem od rodziny, przyjaciół i konspiratorów ze Stronnictwa Ludowego. Był to jak na warunki obozowe luksus, który mógł przyprawić o zawrót głowy. Trzy flaszki piwa kupił nam majster cywilny. Władek wciągnął do ucieczki jeszcze jakiegoś Józka, człowieka prostego, uczciwego i zdecydowanego na wszystko.

Dzień 11 maja był ciepły i słoneczny. Około godziny piętnastej wyruszyliśmy do lasu, pod strażą jednookiego. Idąc drogą okrężną, uniknęliśmy spotkania z *kommandoführerem* lub innym oficerem *SS*, któremu mogłoby się wydać podejrzane, że jeden esesowski młodzik idzie z trzema więźniami do lasu. Gdy weszliśmy do lasu, „post" odbezpieczył karabin i szedł krok w krok za nami. Kazał nam iść drogą leśną w szeregu, a nie rzędem. By go uspokoić, stosowaliśmy się do jego poleceń. Starałem się nawiązać z nim swobodną pogawędkę o wiośnie, o jego rodzinie, ale sprawiał wrażenie strwożonego i rozmawiał niechętnie.

Brzózek ciągle na szczęście nie było przy leśnej drodze, toteż przebyliśmy już dobry kilometr. Wreszcie w odległości około stu metrów zobaczyliśmy mały zagajnik brzozowy z lewej strony. Na przodzie i po prawej gęsto rosły młode drzewka. Zaproponowałem, by teraz odpocząć na polanie, która się właśnie zaczynała, zjeść podwieczorek, wypić piwo, a potem natniemy brzózek. Uprzednio do jednej z butelek wsypałem osiem tabletek luminalu, planując, że tym napojem uśpię „posta" w pożądanej chwili na kilka godzin. Zgodził się on, byśmy usiedli, ale sam — wbrew naszemu przewidywaniu — usiadł w odległości około sześciu kroków. Pilnie śledził nasze ruchy, trzymając karabin nakierowany na nas. Kanapkę przyjął, piwa nie chciał. Władek szeptał, byśmy go zgładzili, mieliśmy bowiem siekierę. Sprzeciwiłem się morderstwu. Wymyśliliśmy inny plan.

Wypaliliśmy papierosy i oświadczyliśmy „postowi", że chcemy ścinać brzozy. Ramię w ramię szedłem z kolegami w środku szeregu, a nasz strażnik z tyłu, z karabinem wymierzonym w moje plecy. Na wysokości młodej gęstwiny krzyknąłem „Hop!" i wszyscy zrobiliśmy nagły skok. Józek w lewo, ja z Władkiem w prawo. Padł strzał. Pocisk zaświstał mi koło lewego ramienia. Sprintem biegliśmy w gęstwinę. „Post" strzelał za nami, ale bezskutecznie. Puściliśmy się szybko w las. Józek zboczył w lewo. Następnie mieliśmy się spotkać na leśnej drodze, jednak półgłośnego nawoływania nie dosłyszał i gdzieś się zawieruszył. „Post" oczywiście przestał nas ścigać. Zapewne podumał trochę nad swoim położeniem i wrócił do obozu. Obliczyłem, że wróci nie wcześniej niż przed upływem godziny. Zanim wysłuchają jego raportu i zorganizują pościg, minie dalszy kwadrans, po czym pół godziny, nim się znajdą tutaj w lesie. Pospiesznie przebyliśmy około cztery kilometry. Wyszliśmy na skraj lasu.

Na polu pracowali robotnicy rolni. Jakiś Niemiec napędzał ich do pracy. W prawo od ścieżki ciągnął się obszerny wyrąb, dalej rzadki, duży las, a w oddali przeświecała wolna przestrzeń. Po lewej rósł na szerokości kilometra młody, gęsty las. Nie można więc było przemknąć się ku Wrześni, nie wychodząc na otwartą przestrzeń. Postanowiłem ominąć gęstwinę, którą Niemcy z pewnością dokładnie przeszukają i ukryć się na otwartym terenie, pozostałym po wyrębie lasu. Istniała możli-

wość, że ten odcinek tylko przejrzą lornetami, może go ten i ów przemierzy raz lub dwa piechotą, a my wśród wykrotów doczekamy nocy. Pościg wróci do koszar i pójdziemy dalej. Władek z trudem uwierzył, że ten psychologiczny pomysł może być słuszny.

Pomni na wskazówki opisywane w książkach z dzikiego Zachodu, staraliśmy się nie zostawiać za sobą śladów i umieściliśmy się na terenie wyrębu, ale nie w środku. Wygrzebaliśmy dołki, położyliśmy się i przykryliśmy się chrustem i mchem tak, aby upodobnić zamaskowanie do reszty terenu. Nad głowami utkaliśmy patyki i zeschłe gałązki, aby leżąc na wznak można było oddychać, widzieć trochę nieba i słyszeć, co się dzieje. Cały trud polegał teraz na tym, aby nie ruszać się i nie kasłać. Zamaskowanie było dobre; chodziło o życie, toteż nie szczędziliśmy wysiłków nad jego konstrukcją. Ledwie powstrzymywaliśmy kaszel. Kataru na szczęście się nie nabawiliśmy, mimo że leżeliśmy w wilgoci.

Za trzy kwadranse, dość długo przed wieczorem usłyszeliśmy warkot motorów i nawoływania esesmanów idących przez las. Zatrzymali się na skraju wyrębu. Poradzili coś i poszli w lewo, w gęstwinę. Po kilkunastu minutach padły wołania *„Halt, halt!"* i strzały. Później się dowiedziałem, że Józek padł od tych paru pocisków. Mogła być godzina dziewiętnasta. Esesmani cierpliwie szukali nas dalej. Chodzili dookoła wyrębu, czasem ktoś z nich zapuścił się kilkadziesiąt kroków, popatrzył, posłuchał i wracał.

Tuż przed zmrokiem zapalili motory i odjechali. Postanowiłem, abyśmy się nie ruszali. Odjazd okazał się pozorowany. Po kwadransie usłyszeliśmy ściszone głosy esesmanów. Wkrótce rozmawiali głośno, że szkoda czasu na szukanie i że wrócą do domu. Znowu zapalono jakiś motor. I znowu cisza. Sądziłem, że to są pozory odjazdu. Jeszcze pozostaliśmy bez ruchu. Po kilkunastu minutach dobiegła nas cicha rozmowa strażników i zapach dymu z papierosów. Wreszcie wszystko ucichło. Na niebie zaświecił księżyc. Nastała noc nawet ciepła. Zdjąłem marynarkę z pasiaków. Spodnie-pasiaki ubraliśmy na spód, bo były jasne i rzucały się w oczy, a ciemnoniebieskie kalesony w białe, wąskie paski włożyliśmy na wierzch i ruszyliśmy na przełaj na wschód.

Gdyby nie śmierć Józka, wyprawę po brzózki mógłbym do dzisiaj uznać za udaną. Ponadto irytowało mnie, że okoliczności zmusiły mnie do ucieczki wspólnie z Władkiem, którego nie lubiłem jako konfidenta, a wobec którego musiałem grać rolę przyjaciela. Wolność i wiosna jednak spowodowały, że poczułem się jak w innym świecie. Przed nami była daleka droga, na której spodziewaliśmy się napotkać pomocnych ludzi, a uniknąć nieprzyjaciół.

*

* *

Tak zakończył się mój etap w obu podobozach Gross-Rosen, ale do prawdziwej wolności było jeszcze daleko. W drodze wspierali nas dobrzy ludzie, najczęściej prości i biedni. Nie powiodło nam się jednak i w same Zielone Święta, schwytani w zasadzce, byliśmy już skuci kajdankami. Po pobycie w więzieniu w Koninie skierowano mnie do starego, znajomego miejsca, do Gross-Rosen. Właśnie cały ten obóz był jak gdyby kompanią karną, toteż niewtajemniczonym trudno byłoby wyobrazić sobie, co więźniowie przeżywali w tamtejszej kompanii karnej, w której rządził osławiony *Vogel*. Przeżyłem jednak jego *sonderkommando*, w którym osadzono mnie za karę z powodu ucieczki. Ocalałem nie tyle cudem, ile dzięki pomocy kolegów. Po pożegnalnym biciu zwolniono mnie stamtąd 15 września 1944 roku i po pięciu dniach przesłano do Mauthausen. Moje perypetie z tego ostatniego okresu, a zwłaszcza opis warunków w kompanii *Vogla*, musiałyby być przedmiotem osobnej relacji.

JOZEF ZEGLEŃ
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 5921, Gross-Rosen nr 1486, Flossenbürg i Dachau

Maków Podhalański

Z „rewiru" w Gross-Rosen[1]

Do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen zostałem przeniesiony z Oświęcimia 24 grudnia 1941 roku. Otrzymałem kolejny numer 1486, choć w obozie w tym czasie było już najwyżej 700—750 więźniów [mających niższe numery]. Obóz został założony w maju 1941 roku. Kierownik obozu, wyjątkowy tyran, *Anton Thumann* zajmował to stanowisko do lutego 1943 roku. Za jego czasów [panowała] potworna dyscyplina i tym tłumaczę tak wielki ubytek więźniów w ciągu kilku miesięcy.

W tym czasie w obozie przebywało niewielu Polaków, a przeważnie Niemcy, zbrodniarze i przestępcy, z zielonymi trójkątami, asocjalni oraz zboczeńcy płciowi. Ci Niemcy zaj-

[1] Autor tego pośmiertnego rękopisu był zasłużonym lekarzem-społecznikiem. Jego biografię opracował S. *Kłodziński* (zob. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 270—271). Tytuł i uzupełnienia w nawiasach klamrowych pochodzą od redakcji. Tekst został redakcyjnie przygotowany do druku. Ponadto były więzień Gross-Rosen nr 2608, Roman *Olszyna*, zweryfikował ten dokument pod względem merytorycznym (przyp. red.).

mowali wszystkie stanowiska w obozie, a więc w służbie wewnętrznej oraz przy pracy jako „kapowie" i [ich] zastępcy. Stan ten przetrwał aż do chwili ewakuacji (10 lutego 1945 roku). Tylko nieliczne stanowiska później obsadzili Polacy, bądź też Czesi i Rosjanie. [Wspomniani] więźniowie-Niemcy mają na sumieniu najwięcej ofiar, gdyż im więcej któryś z nich miał ofiar na sumieniu, tym lepiej był widziany u władz obozowych i u esesmanów. Ponadto przebywała wówczas [w Gross-Rosen] stosunkowo niewielka liczba Holendrów, Żydów i Czechów. Później przybywały stopniowo różne mniejsze transporty. (...)

Od wiosny 1942 roku przybywały różne transporty z różnych miejscowości-obozów, największe jednak z Oświęcimia, toteż liczba Polaków stale się powiększała. Zwiększała się też liczba Rosjan i Ukraińców, toteż w roku 1943 czynne były 22 baraki. [Skierowano do obozu około] 10 000 więźniów (...), [przebywających w obozie głównym i w podobozach]. Liczba więźniów jeszcze się zwiększała w roku 1944. Przybyli Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Włosi i inne narodowości, choć w mniejszej liczbie. Zatrudniono ich w „komandach" roboczych, w zakładach zbrojeniowych, w okolicy bliższej i dalszej od obozu Gross-Rosen. „Komand" tych było około 80, a liczba więźniów przekraczała 80 000. Ewakuacja Majdanka, a później Płaszowa [w Krakowie] w roku 1944 dała tę wielką liczbę więźniów.

Przyjmowanie transportów więźniów w latach 1942 i 1943 było połączone z wyjątkowym biciem i sadystycznym znęcaniem się Niemców-więźniów i esesmanów, którzy w ten sposób ukazywali przedsmak obozu. [Szczególnie bito] w kąpieli, która odbywała się w roku 1942 i w [pierwszej] połowie 1943 roku w zbiorniku [mieszczącym tylko] około 10 osób [jednocześnie], w wodzie nie zmienianej dla całego transportu. Łaźnia (natryski) była czynna dopiero od połowy 1943 roku. W latach następnych, kiedy bicie więźniów było oficjalnie zakazane, bito więźniów nadal, może tylko [z nieco mniejszym nasileniem].

(...) Początkowo spało się na siennikach wypchanych prochem z wiórów drzewnych. [Sienniki leżały bezpośrednio] na podłodze, a na dzień je składano. Trzypiętrowe łóżka zakładano dopiero od połowy 1942 roku kolejno w poszczególnych blokach i zaopatrzono je w sienniki ze słomą. Koc do nakrycia służył jeden. Woda do mycia była w korycie, w którym myli się więźniowie z całego bloku. Ręczniki [mieli] wspólne. Stan ten doprowadził wiosną 1943 roku do wybuchu w obozie epidemii jaglicy, [która objęła przeszło] 1200 więźniów. Epidemia trwała do końca 1944 roku.

Epidemia jaglicy skłoniła władze obozowe do zaprowadzenia w blokach umywalni z wodą bieżącą i wydania ręczników osobistych. Mydło otrzymywał każdy więzień.

Początkowo był tylko jeden dół kloaczny na cały obóz, a od połowy 1942 roku ustępy angielskie w poszczególnych blokach, zaprowadzone wspólnie z instalacją wodociągową. Przed urządzeniem ustępów w blokach ustawiano w nocy kubły przed blokiem, do których zimą i latem chodziło się boso.

Odżywienie w roku 1942 [było następujące]. Na śniadanie czarna kawa, czasem ze śladem cukru. Na obiad brukiew, zmarzła, zgniła, gotowana na zupę, dopóki zapas się nie wyczerpał. Do zupy dodawano nieco ziemniaków, a czasem odrobinę mięsa i margaryny. Z wiosną [dawano] na obiad liście buraczane, [liście] kalarepy, pokrzywy, znowu z domieszką ziemniaków. Kolacja [składała się z] 250 gramów chleba i z [wodnistej] zupy lub kawy. W niedzielę była na obiad rozrzedzona grochówka, na którą, zgłodniali, wyczekiwaliśmy cały tydzień. Sytuacja poprawiła się w pewnym stopniu od lipca 1942 roku; podawano drugie śniadanie i podwieczorek, składające się z kromeczki chleba z margaryną i kawałeczkiem kiełbasy. Przerwa w pracy na spożycie i podanie trwała pół godziny. Dodatek ten odegrałby większą rolę w odżywianiu, gdyby nie tzw. „organizacja". Więźniowie zajmujący się wydawaniem tych porcji podbierali dla siebie i kompanów kosztem ogółu, a ponadto korzystali do sytości esesmani i oczywiście prominenci w poszczególnych „komandach" roboczych. Podobnie [działo się] w kuchni obozowej. Kucharze-Niemcy brali dla rodaków z zapasu przydzielonego przez „prowianturę" na ogólny stan więźniów, co się dało, a szczególnie margarynę, mięso i kiełbasę. W kuchni codziennie figurował stan obozu i racje żywności przypadające na więźnia; była to tylko formalność. Wskutek niedożywienia była bardzo duża śmiertelność.

Stan ten tępił surowo następny kierownik obozu, *Ernsberger* (od lutego 1943 roku). Od tego czasu stan odżywiania nieco się poprawił. Dla chorych [wydawano] zupy dietetyczne. Ponadto zezwolenie na otrzymywanie paczek z domu od czwartego kwartału 1942 roku znacznie ratowało od śmierci głodowej zgłodniałe i wycieńczone rzesze niewolników przy ciężkiej pracy, bo choć „paczkowicz" był samolubem i nie chciał się dzielić z otrzymaną przesyłką, to swoją rację obozową oddawał koledze, co też w warunkach głodu wiele znaczyło. Solidarność między Polakami była u nas wyjątkowa.

Praca była bardzo ciężka, a tempo jej nadawali nadzorcy, w większości Niemcy, którzy kijami przyspieszali robotę. Wielu ludzi ostatkiem sił wydobywanych z siebie przerzucało ziemię lub dźwigało kamienie, nim wreszcie padło. Każdy „kapo" czy przodownik chciał się wykazać gorliwością i efektem pracy. Najcięższe prace, to w kamieniołomie, przy kanalizacji, niwelacja terenu obozu itp. [Zresztą] każda praca w obozie była ciężka, gdyż wygłodzony niewolnik sił nie miał, a pracować musiał do ostatka, zwłaszcza w roku 1942 i mniej więcej do połowy 1943 roku. Później tempo pracy nieco zelżało (...). Bicie kijami przez nadzorców było postrachem wszystkich i zniewalało do

pracy. Bito po twarzy i wyszukiwano różne szykany w postaci specjalnie ciężkiej pracy pod ścisłym nadzorem. Oficjalny zakaz bicia w roku 1944 cokolwiek złagodził los niewolników.

Oto przykład z „komanda" roboczego Wrocław-Lissa. W połowie sierpnia 1942 roku wysłano nas stu pięćdziesięciu w celu wykończenia wielkich czterech koszar esesmanów i niwelacji terenu. Z tych 150 żyło nas do 13 marca 1943 roku tylko 17. Później przysłano dalszych 150. Do czasu mego odjazdu do Gross-Rosen, [tj. do wymienionego dnia] panowały okropne warunki, bicie, głód, ogólne represje w razie ucieczki któregoś z więźniów albo podejrzenia o ucieczkę. Nie było tygodnia, by dobrowolnie nie poszło 4—5 więźniów na łańcuch posterunków otaczających teren pracy (*Postenkette*). Celny strzał mógł wybawić więźnia od udręk tego potwornego obozu. Oczywiście ubytki wyrównywano po odesłaniu zwłok do krematorium. Śmierć pochłonęła tam przynajmniej trzykrotnie [większą liczbę więźniów niż] stan obozu.

Gdy raz przerwano pracę z powodu ucieczki więźnia i zgromadzono nas wszystkich na placu, a obok ułożono na ziemi 8—10 jeńców, bardzo osłabionych, wtedy obsługa złożona z Niemców tratowała po nich w dzikiej orgii, a nas męczono kilkugodzinnym bieganiem dookoła baraku (...). Więzień był niewolnikiem, a żaden esesman nie zdobywał się na humanitarne traktowanie (...). Broń miał każdy [esesman, „kapo", blokowy, nadzorca w postaci] specjalnie grubego drąga i korzystał z niej w całej pełni, choć może oględniej, gdy bicie oficjalnie było zniesione. Świadkiem morderstw byłem w kamieniołomie, gdzie [oprawcy] zabierali ofiary między deski ułożone w stosy, bili bez litości, a następnie kierowali na łańcuch *postów,* gdzie [strzał kładł] kres ich męczarniom (...). [Przeważały] represje indywidualne, ewentualnie ograniczone do grupy pracującej lub bloku. Potworna dyscyplina [panowała] przez cały czas istnienia obozu. Za lada przewinienie jeśli nie bito, to skierowywano więźnia do kompanii karnej czy *sonderkommanda,* które ze swym „przełożonym" Kurtem *Voglem* było jeszcze czymś więcej, bo powolnym mordowaniem i głodzeniem.

Pomoc lekarska w obozie w pierwszych trzech kwartałach roku 1942 nie istniała. „Lekarzami" byli nie żyjący bandyci Herman *Lösche* i Franz *Grabowski,* pierwszy jako „rewir-kapo", drugi jako pielęgniarz, prócz kilku innych pielęgniarzy-Niemców. Ja oraz dr Kazimierz *Hałgas* byliśmy w obozie jeńców wojennych (...) do czerwca 1942 roku, a po zniesieniu tegoż razem z jeńcami zostaliśmy przeniesieni do obozu ogólnego i przydzieleni do pracy w kamieniołomie w Gross-Rosen.

Przegląd chorych po rannym apelu czynił *lagerführer Anton Thumann,* bijąc i kopiąc osłabionych i wycieńczonych, których wyrzucał do pracy, a na „rewir" przyjmował tylko chorych z flegmonami czy innych z widocznymi obrażeniami. Panowanie *Antona Thumanna* do lutego 1943 roku było okresem najcięższym i [charakteryzującym się] śmiertelnością bardzo wielką. Pomoc lekarską z więźniów-lekarzy zorganizowano dopiero w czwartym kwartale 1942 roku, najpierw z jednym lekarzem, później — z początkiem 1943 roku — z dwoma, a od lata 1943 roku z trzema lekarzami. Z wiosną 1944 roku, gdy ewakuowano Majdanek, przybyła większa liczba lekarzy, którzy [wespół] z dawnymi objęli pracę lekarską w pięciu „rewirach", a inni zostali przeniesieni na poszczególne „komanda" robocze jako lekarze.

Gdy w roku 1943 trzy „rewiry" stale były przepełnione, a na łóżku leżało po dwóch [chorych] i brak było leków, to pod koniec tegoż roku dzięki otwarciu „rewirów" zakaźnego i chirurgicznego sytuacja poprawiła się; zyskano więcej miejsca. Liczba chorych dochodziła stale do 2500. W tym okresie lepiej zaopatrywano „rewir" w lekarstwa. Na oddziale zakaźnym, który prowadziłem, a miałem różnych chorych, lekarstw w roku 1944 miałem ilość dostateczną. Muszę nadmienić, że dur plamisty nie szerzył się w tym nasileniu, jak w innych obozach i nie zabrał tyle ofiar. Dur plamisty został przyniesiony z więźniami z Majdanka i wkrótce uległ likwidacji dzięki izolacji chorych i tępieniu wszy. Sporadyczne wypadki duru brzusznego [przez] cały czas trwania obozu pochłonęły więcej ofiar niż dur plamisty. Epidemia jaglicy objęła około 1200 więźniów i trwała półtora roku, od wiosny 1943 do końca 1944 roku.

Słabych fizycznie oraz osłabionych po chorobach umieszczano od roku 1943 na tzw. *schonungu* [pomieszczenia dla ozdrowieńców]. Więźniowie ci byli umieszczeni w dwóch blokach; ich liczba dochodziła do tysiąca. Muszę przyznać, że jako lekarze mieliśmy obaj z drem *Hałgasem* ze strony lekarza obozu, Niemca, pewną swobodę w pracy, a zwłaszcza w przyjmowaniu i zwalnianiu chorych z „rewiru" czy *schonungu* na obóz. W ten sposób udało się wielu współwięźniom pomóc i możliwie jak najdłużej [ich] przetrzymywać. Od roku 1944 *schonung* zniesiono i chorzy aż do wyleczenia mieli przebywać na „rewirze". Niemiec-lekarz dr *Schmidt* nie kontrolował zwolnień, toteż i tę okazję — pod ciągłym strachem „podpadnięcia" — wykorzystywaliśmy dla ochrony i pomocy więźniom. Na oddziale zakaźnym przetrzymywałem całymi miesiącami chorych na jaglicę, skoro tenże Niemiec oświadczył mi, że jaglicy nie zna. Następnym lekarzem niemieckim był dr *Richter.*

W krematorium palono zwłoki więźniów (...). Ilu więźniów zostało zamordowanych lub zmarło z wycieńczenia, trudno mi podać (...). Gdy przyszedł transport z Płaszowa w sierpniu 1944 roku, więźniom tym dawano od nowa kolejne numery więźniów zmarłych w obozie od początku do przybycia więźniów z Płaszowa. (...) Kartoteki zmarłych, jak mi mówili koledzy z kancelarii obozowej, spalono, by zatrzeć ślad tak wielkiej śmiertelności.

(...) Najgorsze elementy przestępcze Niemiec tu zgromadzono, bo możliwość ucieczki była w obozie Gross-Rosen prawie żadna. (...) [Należał do nich] mój przełożony, „rewir-kapo" *Willi* (...). Ten okrutnik wymyślił dla chorych na biegunkę nieuleczalną drewniane prycze, które wyścielano papą i układano tam chorych aż do wykończenia się. Ten „kapo" razem z blokowymi „rewiru" okradał chorych z paczek, ograniczał nas jako lekarzy w naszych czynnościach, sam zwalniał chorych na bloki, nie pozwalając na najmniejszą obronę chorego, ani też na ochranianie go przed wszelkiego rodzaju nadużyciami. Rola nasza za jego czasów, do połowy 1943 roku, była żadna.

Znęcanie się organów nadzorczych do czasu oficjalnego zniesienia bicia odbywało się za wiedzą władz obozowych; później obowiązywał lekarza przyjmującego chorego ze śladami pobicia meldunek. Kierownikiem obozu od lutego 1943 roku do ewakuacji był *Ernsberger*. Za jego czasów obowiązywała surowa dyscyplina; za lada przewinienie karał kompanią karną czy *sonderkommandem*. W stanie pijanym wpadał w nocy do bloków, urządzał ćwiczenia w zeskakiwaniu i chowaniu się pod łóżka i z powrotem, nadto jego ulubionym sportem było łamanie przy tej okazji szczęk ciosem pięścią. Surowo karał za okradanie więźniów z należnych im porcji.

Ewakuacja obozu odbyła się do lutego 1945 roku w kilkudniowych etapach. Mój transport jechał w otwartych wagonach-węglarkach trzy dni i trzy noce do Litomierzyc. Z tego transportu zginęła wskutek zimna i głodu co najmniej jedna trzecia [więźniów]. Reszta ostatkiem sił dojechała na miejsce. Na drogę wydano 1 kg chleba i 1 puszkę konserwy w przeddzień ewakuacji, gdy ludzie już wskutek niedożywienia byli zgłodniali. Deszcz i śnieg w ostatnim dniu i ostatniej nocy najwięcej ludzi wykończył, a reszta osłabionych padła ofiarą nieludzkiego transportu w Litomierzycach. W obozie Gross-Rosen pozostało przeszło 1600 [więźniów] niezdolnych do transportu, [o czym wiem z] przypadkowo posłyszanego meldunku [złożonego przez] „kapo rewiru" esesmanowi. [Z poufnych rad, zwłaszcza pewnego esesmana,] by do transportu zgłaszali się wszyscy, wnosiliśmy, że ulegną masowemu straceniu [ci, którzy zostaną] (...) Najdłużej przebywał ze mną w Gross-Rosen dr Kazimierz *Hałgas* (...).

TADEUSZ FEDOROWICZ („RAN") Kraków
były więzień obozów koncentracyjnych Sachsenhausen nr 70460, Gross-Rosen nr 8527, Fünfteichen i Mauthausen nr 127847

Uwagi o „rewirach" i funkcyjnych obozowych

Przebywając w warunkach obozowych, mogłem obserwować i oceniać na zimno otaczające mnie wydarzenia. Do trudnych, wojennych warunków przyzwyczaiłem się od dawna. W okresie pierwszej wojny światowej, kiedy byłem nieletnim chłopcem, śmierć wielokrotnie groziła mi bezpośrednio. W kampanii wrześniowej zostałem ciężko ranny w końcowej fazie walk (23.IX. w rejonie Rawy Ruskiej). Po podleczeniu ran włączyłem się do ruchu oporu, w którym pełniłem różne funkcje: komendanta lokalnej wojskowej organizacji w Krakowie, oficera do specjalnych zleceń dowódcy zgrupowań Wojskowej Służby Ochrony Powstania AK w powiecie krakowskim, dowódcy batalionu w Warszawie, a także bezpośrednio kierowałem akcjami takimi, jak zdobywanie broni na Niemcach, podpalanie lub wysadzanie pociągów wiozących sprzęt wojenny na front wschodni.

Należałem więc do tych, którzy organizując się w konspiracji, musieli liczyć się z uwięzieniem i śmiercią. Trzeba było pogodzić się z najgorszą ewentualnością, uczestnicząc w działaniach podziemnych lub w partyzantce leśnej, gdzie życie było twarde, a śmierć również często zaglądała w oczy. Z czasem przyzwyczaiłem się do możliwości utraty życia. Ocalałem, gdyż w tym wszystkim miałem sporo szczęścia, ale nie ominęła mnie utrata wolności. Ze względu na barbarzyńskie metody śledztwa szczególnie ciężkie dni przeżywałem na Pawiaku w Warszawie, potem w więzieniu Montelupich w Krakowie. W roku 1944 znalazłem się w obozie koncentracyjnym. Aczkolwiek nie jestem lekarzem, mam w swoich wspomnieniach osobne miejsce na refleksje o obozowej służbie zdrowia i o funkcyjnych. Tej sprawie zamierzam poświęcić relację możliwie obiektywną, pisaną właśnie na chłodno, *sine ira et studio*.

Dużo się już pisało na temat różnorodności ludzi wciśniętych za druty obozów koncentracyjnych. Jedną ze wspólnych cech społeczności więźniarskiej była chęć przetrwania. Zróżnicowanie tego zbiorowiska utrudnia jego obiektywną ocenę i właściwie poglądów może być tyle, ilu więźniów ocalało. Nuty subiektywizmu mogą odzywać się nawet po upływie blisko ćwierćwiecza, wciąż bowiem jesteśmy jeszcze uwrażliwieni na doznane krzywdy i na naszą sponiewieraną godność; to wszystko rodzi w nas uzasadnione poczucie buntu.

Znalazłem się w świecie, w którym panowała swoista hierarchia, dzieląca się na trzy kategorie. Górny szczebel stanowili funkcyjni, których esesowcy obdarzyli wielką władzą

i uczynili przedłużeniem swego ramienia. Ci dobierali sobie „prominentów" do pomocy. Najniższą warstwą byli więźniowie zwyczajni, którzy wcześniej czy później ulegali zagładzie. Masę tę funkcyjni mogli maltretować, a nawet zabijać w toku sprawowania nadzoru nad nią. Wilcze prawa panujące w obozie szybko doprowadzały do zmian osobowości, zezwierzęcenia oraz wyostrzenia złych cech charakteru.

Szybko się okazało, że w obozach było inaczej niż w akcjach bojowych, a nawet w więzieniach. W obliczu śmierci w czasie walk z nieprzyjacielem solidarność była zjawiskiem zwykłym. Podobnie w więzieniach, w których gestapowska śmierć czyhała na każdym kroku, śmierć na ogół straszniejsza od śmierci obozowej, bo zadawana przewlekającymi się torturami, a więc na Pawiaku i w więzieniu Montelupich ciągle odczuwaliśmy opiekuńczą pomoc, zwłaszcza ze strony więziennej służby zdrowia i nierzadko ze strony zwykłych funkcyjnych.

Ale w obozach koncentracyjnych — z wyjątkiem „rewirowej" służby zdrowia — działo się na odwrót. „Kacetowcy" w większości zatracali poczucie solidarności, natomiast chełpili się egoizmem, bezdusznością i za wszelką cenę dążyli do przetrwania piekła obozowego, choćby kosztem innych współwięźniów. Przewartościowania moralne osobowości więźniów pod wpływem systemu obozowego stworzonego i narzuconego przez hitleryzm były zasadnicze. Zdarzało się bowiem, że ci, którzy w domu i w dobrobycie uchodzili za ludzi cnotliwych i uczciwych, stali się z tchórzostwa egoistami w obozie, niektórzy zaś nawet świadomie wysługiwali się hitlerowcom i w tym bagnie nurzali się do końca pobytu w „kacecie". Nie można wyłączyć, że jeśli uszli sprawiedliwości, to po powrocie do domu znów przeistoczyli się w dobrodusznych, szlachetnych obywateli, niekiedy wieńcząc się laurem bohaterów.

W obozie nie dało się żyć w samotności, każdy lgnął więc do jakiejś grupy lub musiał mieć kilku przyjaciół. Można ich było dobrać spośród więźniów politycznych, oczywiście takich, którzy mimo przerażających warunków zachowali jednak pion moralny. Jeszcze bardziej ułatwiała walkę o życie w obozie obecność kolegów z czasu wspólnych akcji konspiracyjnych. Tak się właśnie złożyło, że w obozach przebywali ze mną moi przełożeni i podkomendni z tajnej organizacji. Pomimo że właściwie każdy miał prawo myśleć w obozie tylko o sobie i zachowaniu własnego życia, znaleźli się tacy, którzy do wyzwolenia zachowali godność ludzką. Liczni spośród nich ginęli, ale jednak ocaleli ci, którzy nie zgłosili swoich usług esesmanom. Trudno polemizować z ewentualnym poglądem, że gdyby tacy więźniowie stanowili większość, hitlerowskie fabryki śmierci o połowę zmniejszyłyby swoją produkcję.

Typowymi funkcyjnymi byli w obozie więźniowie angażowani przez esesmanów, przeważnie kryminaliści (*lageräitesterzy, blockälteste-rzy, stubendienści, kapowie, vorarbeitrzy* itp.). Z reguły byli oni zdolni do najpodlejszych czynów. Zdarzali się też więźniowie polityczni, którzy szybko ulegali moralnie i ze strachu przed głodem czy śmiercią stawali się funkcyjnymi, wykonawcami woli esesmanów. Przyjęcie przez więźnia politycznego funkcji obozowej świadomie w celu wyzyskania jej dla dobra więźniów było tańcem na linie; taki bohater nie mógł długo utrzymać się na stanowisku. Większość funkcyjnych więc byli to zbrodniarze, którzy zapewniając sobie bezpieczne bytowanie, jednocześnie z zadowoleniem maltretowali współwięźniów, a także imponowała im władza, której nigdy przedtem nie posiadali.

Osobną grupę stanowiła służba zdrowia w „rewirze" szpitalnym. Lekarze i ich pomocnicy nie podlegali kontroli esesowskiej oczywiście tylko pod względem lecznictwa, bo od tego był niemiecki lekarz. Ale z założenia nie byli wyznaczeni do tracenia więźniów w przeciwieństwie do funkcyjnych w obozie. Pracownicy „rewiru", mając większą swobodę, rzeczywiście robili wszystko, aby ratować chorych. Mnóstwo przykładów jest już dostatecznie znanych z dziesiątków wspomnień. Ale mimo to ogólna opinia szarej masy więźniów o „rewirze" nie była najlepsza. Mówiono, że szpital obozowy jest „wykończalnią" albo nazywano go przedsionkiem krematorium.

Wskutek takiej wersji więźniowie panicznie bali się „rewiru" i różnie kombinowali, by się tam nie dostać. Nawet ukrywali poważne choroby i rany. I ja przez pewien czas podobnie postępowałem. W rezultacie karnych ćwiczeń, bicia, kopania, otworzyły się rany w mojej lewej nodze. Z braku opatrunku zawijałem je nieczystymi szmatami. W końcu nastąpiło ciągłe ropienie i całkowite zesztywnienie kolana. Moi zaufani koledzy odradzali mi pójścia „na rewir", twierdząc, że gdy esesmani zobaczą moją nogę, skierują mnie do krematorium jako nie nadającego się do żadnej roboty.

Przekonałem się jednak później, że więźniowie lekarze i sanitariusze kombinowali, jak mogli, aby ratować chorych. Opieka lekarska mogłaby być skuteczniejsza, gdyby nie obecność funkcyjnych, tj. „kapo rewiru", blokowych i izbowych. Ci administracyjni funkcjonariusze podlegali esesmanom i wykonywali ich zalecenia. Ponieważ rekrutowali się spośród najgorszego elementu, brutalnie odnosili się do chorych. Oni właśnie hamowali dobrą robotę służby zdrowia, a jeśli byli skłóceni z lekarzami, to szpiegowali ich i donosili esesmanom. Lekarze musieli zachowywać daleko idącą ostrożność, a to ujemnie odbijało się na chorych.

Charakterystykę tutaj nakreśloną wyrobiłem sobie na podstawie obserwacji poczynionych podczas uwięzienia. Sądzę, że istniejąca literatura obficie potwierdza te spostrzeżenia. Dla uzupełnienia podaję opis kilku wydarzeń, które osobiście przeżyłem w obozach. Ponieważ zajmuję się zagadnieniem, a nie jednostkami,

nie ujawniam znanych mi nazwisk osób funkcyjnych.

Po krótkim pobycie w baraku izolacyjnym w Sachsenhausen przetransportowano mnie do obozu w Gross-Rosen. Znalazłem się w bloku nr 9, w którym odbywała się „kwarantanna". Blokowym był Niemiec; zaliczam go do złych funkcyjnych. Pomagał mu Polak, izbowy. Według jego własnego opowiadania wynikało, że zabił niejednego więźnia. Izbowy ten, jak sam twierdził, był synem profesora i miał średnie wykształcenie. Wyglądał na liczącego około 28 lat. Wysokiego wzrostu, silnej budowy ciała, z dolną szczęką wysuniętą ku przodowi, spozierał złymi oczami, ciągle ruchliwymi jak u bestii czyhającej na ofiarę. Przedtem przebywał w Majdanku. Tam przeszkolono go na funkcyjnego, po czym skierowano do Gross-Rosen. W obozie, mając warunki idealne do wyżywania się w swych zwierzęcych instynktach, czuł się doskonale w roli gnębiciela współwięźniów. Nie szukał nawet pozoru do bicia. Bił dla samej przyjemności, kopał każdego, kto wpadł mu w oczy.

Odczytując kiedyś nasze numery, zapowiedział: „Jeśli kto nie odpowie na moje pierwsze wywołanie, tego wyprawię na drugi świat". Tak zastraszał więźniów. Starałem się go unikać, lecz już drugiego dnia zostałem przez niego pobity i skopany tak, że przez kilka dni nie mogłem przyjść do siebie. Całą moją winą było to, że będąc niesamowicie spragniony, wszedłem do łazienki, by napić się wody. Bicie musiałem znieść z zaciśniętymi zębami, gdyż każdy odruch obrony spowodowałby nieuchronną śmierć, która następowała wolno pod butami funkcyjnych. Pewien bezkarności, izbowy ten wkrótce po opisanym wypadku zarządził bez żadnej przyczyny karne ćwiczenia: skakanie „żabką" dookoła baraku i czołganie się. Biegał przy tym po naszych plecach i bił kijem, gdzie popadło. Wielu straciło przytomność. Otrzymałem dodatkową porcję uderzeń, gdyż z powodu rannej i sztywnej nogi nie byłem w stanie wykonywać regulaminowo skakania „żabką". Pomocnik izbowego, Rosjanin Iwan, starał się prześcignąć w biciu swego mistrza. Był postrachem dla wszystkich. Więźniowie Rosjanie, których również nie szczędził, nazywali go „Iwanem Groźnym".

Po odbyciu kwarantanny w bloku 9 włączono mnie do przeszło 300-osobowej grupy, którą przetransportowano w makabrycznych warunkach do obozu Fünfteichen. Był to podobóz-filia Gross-Rosen, w pobliżu (4 km) zakładów zbrojeniowych Kruppa w Markstadt. Podobóz ten więził kilka tysięcy osób różnej narodowości, najwięcej Polaków, w drugiej kolejności — Żydów. Codziennie o świcie odprowadzano więźniów do fabryki, gdzie musieli pracować niewolniczo bez przerwy cały dzień i o głodzie. Na noc wracaliśmy do obozu, aby przez kilka godzin przespać się na brudnym barłogu i znów o świcie maszerować do fabryki.

Praca odbywała się pod stałą kontrolą esesmanów, majstrów i „kapów", którzy nie szczędzili obelg, zniewag, bicia i kopania. Z powodu chorej nogi nie mogłem idealnie równać w piątkach, zostałem więc pewnego dnia za to pobity, skopany i przekazany do robót miejscowych w obozie. Codziennie prowadzono nas za bramę, gdzie murarze stawiali budynki. Nosiliśmy na ramieniu ciężkie, kilkudziesięciokilogramowe kamienie. „Kapowie" gonili nas ciągłym biegiem, znów więc z powodu chorej nogi nie mogłem dorównać innym. Po kilku dniach ciężkiej pracy, przekraczającej nawet siły zdrowego człowieka, esesman widząc, że przerwałem bieg, doskoczył do mnie, strącił mi kamień z ramienia wprost na stopę rannej nogi i kiedy upadłem, otrzymałem cios w plecy kolbą karabinu. Z wrzasku esesmana zorientowałem się, że spotkała mnie kara za zbyt wolne poruszanie się. I w tym wypadku obciążam winą funkcyjnych, ponieważ zastępca blokowego, Polak, znając ciężki stan mojej nogi, złośliwie skierował mnie do grupy noszących kamienie, a przecież mógł bez kłopotu przydzielić do obierania ziemniaków lub zamiatania rejonu. To samo uczynił „kapo" przy robotach. Widząc, że utykam na nogę, zamiast zostawić mnie przy robocie nie wymagającej biegania lub chodzenia, której niemało było przy budowie, celowo kazał mi nosić kamienie.

Przy pomocy więźniów wróciłem z zakrwawioną stopą do baraku. Następnego dnia, po rannym apelu, skierowano mnie do „rewiru" na blok chirurgiczny. Funkcje lekarza i sanitariusza pełnili Węgrzy. Lekarz był nadzwyczaj uczciwym człowiekiem. Widać było, że wykonuje obowiązki zgodnie z etyka swego zawodu. Do chorych odnosił sie z głębokim zrozumieniem. Nie szczędził wysiłków, by nieść im ulgę. Blokowym był Polak, a izbowym Czech, w wieku około 27 lat życia. Wypasieni i utuczeni kosztem okradania chorych z żywności, zaprzedani byli esesmanom. Blokowy był dumny ze swej władzy, która jak przysłowiowa woda sodowa uderzyła mu do głowy. Miał on również w swoim bloku „pupilów" (prominentów), których ochraniał i przedłużał im pobyt w „rewirze". Ale robił to za „łapówki" w postaci papierosów i lepszej żywności, przesyłanej więźniom z domów. Były to nieliczne jednostki, mogące kupować łaskę blokowego i wolność od jego prześladowań. Natomiast większość chorych była różnymi sposobami szykanowana. Ja też należałem do takich, którzy nie mogli opłacać się blokowemu. Leżałem na jednej kojce z *Krzysińskim* z Kieleckiego, również inwalidą wojennym. Przebywał on ze mna w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie i należał do tajnej organizacji. W „rewirze" zetknęliśmy się całkiem przypadkowo.

Pewnego dnia blokowy znalazł w naszej kojce pod siennikiem kawałek szmatki, o której wcale nie wiedzieliśmy. Być może, że w czasie, kiedy udaliśmy się na opatrunek, sam ją tam włożył. Najpierw zbił nas po twarzy, potem zmuszał nas do robienia przysiadów z podniesionymi rękami i do skakania „żabką". I tym razem moja noga stała się przyczyna wściek-

łości blokowego. Nieprzepisowo wykonywaną karę nazwał on buntem, który postanowił złamać kopaniem w biodro rannej nogi. Przerwał szykany dopiero wskutek stanowczej interwencji lekarza-Węgra.

W tym „komando" esesowcy tolerowali tylko takich chorych, którzy nadawali się do szybkiego podleczenia i powrotu do pracy. Innych wykańczano na miejscu, niekiedy odsyłano do centrali i tam całkowicie zużytych fizycznie spalano w krematorium. Z końcem tygodnia pobytu w „rewirze" przybyła do bloku chirurgicznego komisja, mianowicie lekarz niemiecki i „kapo rewiru". Wyselekcjonowano chorych nie nadających się do szybkiego wyleczenia i zapisano ich do transportu. Blokowy pomagał komisji, między innymi wskazał na mnie. Nie pomogła interwencja lekarza, który tłumaczył, że mnie szybko wyleczy i że wrócę do pracy.

Około 20 wybranych wyprowadzono przed blok. Wszyscy byli pokryci wrzodami, podobni do szkieletów, tylko oczy płonące gorączką świadczyły, że w nich jeszcze tli życie. Nadjechał samochód ciężarowy, prawie już zapełniony więźniami z innych bloków. Bezwładnych i uwalanych czerwonką powrzucano na górę jak kawałki drewna. Samochód pędził po bruku, podrzucając żywymi szkieletami, które już nawet nie wydawały jęku. Jeden z esesmanów, pozorując współczucie, pocieszał nas, że za kilka godzin skończy się nasze cierpienie w piecu krematoryjnym.

W Gross-Rosen samochód wyrzucił nas przed „rewirem". Kilku nas zaprowadzono do bloku chirurgicznego nr 6, pozostałych zaś rozmieszczono w innych blokach. Lekarzem w bloku 6 był Francuz. Spotkałem tam dra Walentego *Popka* z Krakowa. Dr *Popek* leczył moje gardło, gdy leżałem ranny w szpitalu PCK w Krakowie. Dostałem się do jednej z izb, w której „sztubowym" był Polak. Wykonywał on również pracę sanitariusza. Okazało się, że przed wojną był on zawodowym oficerem i znał z Krakowa płka *Bzowskiego*, który był również moim znajomym. Doszedłem z nim szybko do porozumienia. Dzięki temu człowiekowi i pomocy lekarza uniknąłem selekcji, w czasie której nazajutrz zabrano wszystkich przywiezionych z Fünfteichen.

Blokowym w tym baraku był Niemiec, w niczym nie lepszy od innych blokowych. Ale służba zdrowia w „rewirze" z całą sumiennością i odwagą przychodziła chorym z pomocą. Dr *Popek*, laryngolog, chodził po wszystkich barakach i dzięki temu miał możliwości kontaktowania się z chorymi, a w razie potrzeby udzielania im pomocy, co też z poświęceniem czynił. Lekarz-Francuz też był bardzo ofiarny. Lepsze lekarstwa, „organizowane" przez służbę zdrowia, wśród innych chorych dawano także mnie, z widoczną korzyścią dla stanu mego zdrowia.

Po wyjściu z „rewiru" dostałem się do bloku 7. Przebywali tam różni więźniowie: młodzi, starzy, inwalidzi, „półmuzułmani" i księża. Po drugiej stronie ulicy stał barak produkcyjny nazywany *weberei*. Wyrabiano tam artykuły gospodarcze i służące dla sprzętu wojskowego. Pracowali tam tylko więźniowie z bloku 7. Robota była ciężka, brudna i trwała 12 godzin na dwie zmiany. „Kapo", czyli głównym dozorcą *weberei* był Polak; jego pomocnicy byli również w większości Polakami. Najgorszym człowiekiem był główny „kapo", a wśród jego pomocników dało się wyróżnić złych i mniej złych. W sumie jednak byli oni zwyrodniałymi zbrodniarzami. Zarówno w bloku 7, jak i w baraku produkcyjnym znajdowali się też prominenci, żyjący — jak na warunki obozowe — luksusowo. Tacy z pewnością nic złego nie powiedzieliby o zgrai funkcyjnych. Ale przecież prominenci, to tylko garstka.

Każdy więzień miał wyznaczoną normę produkcyjną, której wykonanie nie było łatwe. Wielu więźniów, głównie starców, chorych i inwalidów nie osiągało normy, mimo że za każdą brakującą jednostkę taki więzień otrzymywał jedno uderzenie kijem albo bambusową laską w pośladek, a za jeden brakujący metr 10 uderzeń. Bity mógł głośno liczyć, bo najczęściej bijący mylił się na niekorzyść ofiary. Najboleśniej bił główny „kapo". Rano przed szóstą, gdy zdawano wykonaną pracę, we wszystkich izbach roboczych rozlegały się jęki maltretowanych.

Za barakiem produkcyjnym był kopiec z ziemniakami. 18-letni chłopak z kresów wschodnich, nazwiskiem *Sienkiewicz*, pewnej nocy zakradł się do kopca i włożywszy rękę do otworu zatkanego słomą, wyciągnął trzy ziemniaki. W tym czasie czatował tam Niemiec, pełniący funkcję ogrodnika. Odebrał od chłopca ziemniaki i zbił go kijem do nieprzytomności, po czym oddał do dyspozycji głównemu dozorcy, Polakowi. Mimo wykonania kary ten wespół z dwoma pomocnikami, funkcyjnymi, bijąc chłopca pokazywali go w każdej izbie. W końcu zawlekli go do ogólnego klozetu i utopili w beczce z lodowatą wodą. Była to druga połowa stycznia 1945 roku. Funkcyjni okrutnie uśmiercili chłopca, mimo że coraz bliżej było słychać huk dział i sami wiedzieli, iż Niemcy stąd odejdą i zostawią kopce z ziemniakami.

W Boże Narodzenie 1944 roku Niemcy pozwolili urządzić więźniom w jednym baraku coś w rodzaju jasełek, ale bez przeciwniemieckich akcentów. Nawet nasza zmiana nocna mogła być obecna na imprezie, ale zaraz po zakończeniu należało udać się do pracy. Nie mając zaufania do Niemców, przeczuwałem, że mogą oni urządzić tam jakąś masakrę i postanowiłem nie skorzystać z tego widowiska. Namówił mnie jednak mój znajomy, więzień *Wojakowski* z Krakowa. Wszystko tam odbyło się bez przykrych niespodzianek, ale zauważyłem, że szara brać z naszej nocnej zmiany nie była obecna. Wróciłem do baraku produkcyjnego, lecz drzwi główne były zamknięte. Zacząłem głośno pukać do drzwi, niczego nie podejrzewając, bo przecież oddaliłem się zgodnie z zarządzeniem. Po chwili wyszedł jeden z pomocników „kapo". Oznajmiwszy, że nie jest moim

stróżem, skopał mnie do tego stopnia, iż tej nocy nie mogłem wykonać normy, toteż za brak metrów otrzymałem 20 kijów. Niemieckie zarządzenie nie przeszkadzało funkcyjnym robić swoją masakrę.

Blokowy z baraku 7 pochodził ze Śląska. Jedni uważali go za należącego do lepszych blokowych, inni za kreaturę. Miałem też ujemne zdanie o nim. Zwyczajem funkcyjnych stworzył on sobie grupkę prominencką, która go chwaliła. Posługiwał się młodymi więźniami, zupełnie zdemoralizowanymi wskutek życia obozowego, którym na wszystko pozwalał. Korzystali oni z użyczonej im władzy i szykanowali zwyczajnych *häftlingów*. Gdy pewnego dnia młodzik-prominent, pomocnik izbowego, bez przyczyny uderzył w twarz jednego warszawiaka, a ten oddał policzek chłopakowi, odważny więzień został pobity przez blokowego i pomocników do tego stopnia, że przez kilka dni nie mógł chodzić o własnych siłach. Potem długo go prześladowano.

Z powodu brudnej roboty przy łachach przywożonych z frontu wyjątkowo rozmnożyły się wszy u więźniów zatrudnionych tam. Można było je zbierać garściami. Blokowy zaprowadził z tego powodu w swoim bloku codzienny przegląd bielizny rzekomo w celu tępienia robactwa. Na odwszawiaczy zwerbował swoich młodych pomocników. Siadali oni na taboretach przy drzwiach w dużej sali i stuwatowymi żarówkami przesuwali po strzępach bielizny. Pod wpływem gorąca wszy stadami rozłaziły się na wszystkie strony. Każdy taki odwszawiacz określał drugiemu liczbę znalezionych insektów według własnego upodobania, np. 2, 3, 5 itd., gdy tymczasem u wszystkich bielizna była oblepiona wszami. Czasem taki „funkcyjny" wybierał ofiary i dla własnej przyjemności podawał kilkanaście sztuk. A trzeba wiedzieć, że za każdą podaną sztukę więzień otrzymywał jedno uderzenie laską bambusową. Wyrok wykonywał izbowy i to wszystko działo się w obecności blokowego, który chełpił się, że dba o czystość. Niektórzy więźniowie, aby uniknąć bolesnych uderzeń, oddawali wszawiarzom ostatnią kromkę przydziałowego chleba i wchodzili do sali bez bicia. O tym również wiedział blokowy. Nim przejrzano zmianę, liczącą kilkuset ludzi, upływały nawet dwie godziny, o tyle był więc krótszy odpoczynek po ciężkiej pracy.

Blokowy zaprowadził też parodię mycia. Wychodząca z pracy zmiana nocna stawała po apelu w długiej kolejce przed blokiem. Dwaj funkcyjni-„higieniści" prądnicą kierowali strumień lodowatej wody (w okresie zimowym) na poszczególnych *häftlingów*, rozebranych do pasa, od pierwszego do ostatniego. Zimna woda tylko rozmazywała brud na straszliwie zakurzonej skórze i momentalnie tworzyła się na ciałach lodowata skorupa. Wszyscy wyglądali jednakowo po tym zabiegu, ale funkcyjni selekcjonowali opryskanych, wpuszczając ich na korytarz i wypowiadając słowa: czysty albo brudny. Brudnego zabierało dwóch funkcyjnych do łazienki i za karę polewano go zimną wodą w kamiennym korycie. I w tym wypadku więźniowie tracili co najmniej godzinę, zanim dostali się do kojki. Blokowy zarządzał takie bzdurne zabiegi, mimo że nie pomagały one ani wytępić wszy, ani usunąć brudu z ciał więźniów. Ale bici, głodni i nie wypoczęci przed następną zmianą, zaziębieni i wyczerpani, wykańczali się oni jeden po drugim. Podobne wypadki były codzienne w obozie. Może blokowy nie był aż takim świadomym racjonalizatorem, by przez opisane egzekwie celowo zwiększać śmiertelność, ale przynajmniej mógł uchodzić w opinii esesmanów za szczególnie dbającego o czystość i higienę, taką samą zresztą, jak w innych blokach. To, że maltretuje takimi zarządzeniami szarą brać więźniarską, bo grupa prominencka była wyłączona od tych szykan, nie musiało wzruszać blokowego.

Sądząc, że łatwiej będzie pokonać trudności w grupie dzięki wzajemnej pomocy współwięźniów, postanowiłem założyć tajną organizację pod nazwą „Samopomoc". Werbunek rozpocząłem od znajomych mi, byłych wojskowych, licząc na ich większe zdyscyplinowanie i żywotność. Wciągnąłem do tego płka *Bzowskiego* i gen. *Stokalskiego*, który pracował ze mną w nocnej zmianie. Potem zwerbowałem krakowian: Jana *Wojakowskiego*, Andrzeja *Balcerzaka*, Adama *Zawadzkiego* i Rosjanina, kpt. *Ignatiewa*. Każdy z nich pozyskał w ciągu kilku dni dalszych kilku więźniów. Przewodniczącym został wybrany gen. *Stokalski*. Tak zorganizowana wzajemna pomoc, owocna zwłaszcza w zakresie zdobywania żywności, pozwoliła większości naszych ludzi przetrwać piekło obozowe Gross-Rosen. Nie mając pomocy z zewnątrz, też otrzymywałem od kolegów z naszego tajnego zrzeszenia kromki chleba, co podtrzymywało moje siły, psychiczne również.

Potem nastąpiła ewakuacja Gross-Rosen. Dwudniowa podróż w otwartych wagonach, w straszliwej ciasnocie, bez żywności i bez wody doprowadziła do tego, że silniejsi obgryzali nosy i uszy słabszym, którzy nie mogli się bronić, a nawet ssali z nich krew. Byłem świadkiem tej nekrofagii. Z transportu wiozącego około 1800 więźniów dotarło do Mauthausen najwyżej 800—900 osób, i to na wpół żywych szkieletów.

W Mauthausen, podobnie jak innym, groziło mi spalenie w krematorium. Cudem tylko udało mi się uniknąć tego losu. Przebywali tam ze mną (z Krakowa): mgr inż. *Ścisło*, Edward *Jaglarz* i Leszek *Lenczowski* (ze Świątnik pod Krakowem). Zetknąłem się z Józefem *Nowakiem*, również z Krakowa. Oni także obserwowali okrucieństwo funkcyjnych. Sprawa przetrwania była niezwykle trudna tym bardziej, że w naszym, tzw. trzecim zamkniętym obozie, gdzie trzymano chorych, inwalidów i „muzułmanów", znajdowali się więźniowie „niepotrzebni", a więc przeznaczeni na spalenie.

W końcowym okresie miałem możność obserwować dość często przejawy nekrofagii. W całym obozie śmiertelność była tak przerażająca, że piece krematoryjne nie mogły na-

dążyć ze spalaniem zwłok. Rzucano więc szkielety ludzkie na stosy wzdłuż muru. Dzięki łatwemu dostępowi do nich zaczęła się rozpowszechniać nekrofagia. Więźniowie, zmuszeni niewyobrażalnym głodem, wycinali resztki gnilnych tkanek i zaraz połykali na surowo. Pozostałe kawałki przynosili do bloków, kryjąc je za pazuchą jako zapas na później. Niekiedy przypiekali ludzkie narządy na ogniu i wtedy zjadali jak najlepszy przysmak. Nawet korzystali z kości umarłych. Rozbijali je kamieniem i wysysali sok. Z tego powodu jeszcze bardziej zwiększała się śmiertelność, ale głód był silniejszy niż lęk przed śmiercią. Rozpowszechniła się również wymiana handlowa. Wyciągano zza pazuchy resztki cuchnących tkanek ludzkich i oferowano wymianę za odrobinę chleba lub papierosa. Było to jedno z najbardziej skrajnych zjawisk w obozie, do których doprowadził system hitlerowski.

Zastanawiając się nad specjalnie nieszczęśliwymi więźniami, zwanymi „muzułmanami", doszedłem na podstawie swych spostrzeżeń do wniosku, że „zmuzułmanienie" powodowała najczęściej słaba wola, niezdarność i wyolbrzymiały, ciągły strach przed śmiercią, co w konsekwencji załamywało psychicznie takich więźniów, a z kolei odbierało im zdolność do walki z przeciwnościami życia obozowego. „Muzułmanin" zawsze chodził jak nieprzytomny i nie był zdolny do rzeczowego myślenia. Z wycieńczenia słaniał się na wyschniętych piszczelach, a wobec niebezpieczeństwa zachowywał się całkiem biernie. „Kapom" i esesmanom z daleka rzucał się w oczy, ciągle był więc narażony na ciosy. I rzecz dziwna, „muzułmanin" zamiast współczucia budził obrzydzenie, bo rzeczywiście jego sylwetka przypominała wyglądem odrażające widmo. „Muzułmanie" należeli do najbardziej sponiewieranych przez los więźniów obozowych, w których strach przed śmiercią wypalał świadomość rzeczywistości. Pozbawieni zmysłu spostrzegawczości, nie potrafili „lawirować" i unikać uderzeń. Byli bici przez esesmanów, blokowych, izbowych, „kapów", zamiataczy, słowem, przez każdego, kto dysponował jakąkolwiek władzą obozową. Ginęli wszędzie: w czasie marszu, podczas pracy, w barakach, w klozetach, w kanałach; padali od kopniaków, od pałki, z wycieńczenia, z głodu, bo nie potrafili „organizować". Wśród nich obfite, śmiertelne żniwo zbierały też choroby.

Jak wegetacja, tak i śmierć „muzułmanów" była podła i ohydna. Najchętniej umierali oni w samotności, gdzieś w kącie, by chociaż śmierć mieć spokojną. Na domiar swego nieszczęścia nawet przeczuwali swoją bliską śmierć. Z takim przeczuciem wlekli się w poszukiwaniu ustronnego miejsca, lecz rzadko tam docierali, bo na drodze natrafiali na esesmana lub jakiegoś sadystę — „kapo" i jedno uderzenie kolbą albo pałką przyspieszało nieuchronną śmierć.

Ponieważ w obozach nie było wyroczni, kto ma zostać „muzułmanem", toteż bez względu na pochodzenie klasowe i rozpiętość wykształcenia wszyscy jednakowo wyglądali odrażająco i jednakowo podle kończyli życie. Nic więc dziwnego, że więźniowie, znający okropny los tych najnieszczęśliwszych, całą siłą woli starali się, aby nie zostać „muzułmanem".

Przyczyną „muzułmanienia" i masowej śmierci był między innymi głód obozowy. Osłabiał on człowieka, skręcał kiszki, doprowadzał do obłędu i odbierał chęć do walki o życie. Głód obozowy wynikał już z regulaminowych porcji, zakładających wysoki niedobór kalorii, powiększany dodatkowo przez stałe okradanie przydziałów. Okradali esesmani i funkcyjni, toteż regulaminowa porcja, prawie całkiem pozbawiona tłuszczu, zawsze była zmniejszana o połowę.

W naszym zamkniętym obozie w Mauthausen — w ciągu tygodnia poprzedzającego wkroczenie Amerykanów — otrzymywaliśmy raz na dobę niepełną chochlę gotowanej wody, w której gdzieniegdzie pływały źdźbełka suszonej trawy, a o przydziale chleba nie było mowy. Dnie mijały w straszliwych mękach, a po nich przychodziły noce stokroć gorsze. Były to noce boleści i śmierci głodowej. Na tym skrawku ziemi wegetował różnojęzyczny tłum, niemal z całego świata, o różnych temperamentach, o odmiennej inteligencji — wszyscy razem zgnieceni, przywarci pysk do pyska, z cuchnącymi stopami przy twarzach, walczyli ze sobą różnymi sposobami. Cierpienia przekraczały granicę wytrzymałości człowieka. Na domiar potworzyły się klany z najgorszych mętów, wśród których rej wodzili funkcyjni i którzy dopełniali męki szarych więźniów. W tym właśnie okresie rozpowszechniło się zjadanie gnilnych szczątków z ludzkich zwłok.

W ostatnich kilku dniach i ja stałem się „muzułmanem". A kiedy w dniu 5 maja 1945 roku wkroczyli do obozu Amerykanie, już nie byłem zdolny włączyć się do ogólnej radości. Wielu z nas wtedy nie mogło chodzić, więc wyczołgaliśmy się za mur, aby zobaczyć Amerykanów i wolność.

Te straszne obrazy, które nigdy nie zbledną w pamięci nas, byłych więźniów, były realizowane niezależnie od liczby i postawy funkcyjnych, których system hitlerowski zdołał sobie skaptować. Przeznaczeniem było wyniszczenie milionów ludzi i nastąpiłoby ono pod jarzmem hitlerowskim mimo stosunkowo małej w obozach obsady esesowskiej. Planowi zagłady przyszłaby w sukurs zwiększona mechanizacja uśmiercania. Gdyby funkcyjni zechcieli być aniołami, podzieliliby los pozostałych więźniów. Ale gdyby chociaż pozbawieni byli złej woli, gdyby nie wysilali się w pogarszaniu egzystencji więźniów, gdyby nie wyżywali się w swym sadyzmie i na ogół nie czerpali przyjemności ze zbrodniczego traktowania swych ofiar, niewątpliwie ogrom cierpień, będący udziałem więźniów, stałby się mniejszy, a hańba tych, którzy przyczynili się do zagłady, nie byłaby tak straszna.

YVONNE PAGNIEZ
była więźniarka obozu koncentracyjnego w Ravensbrück
Le Trez Hir (Finistère, Francja)

Niedziela w obozie*

Ponury smutek niedzieli. Jak zwykle o czwartej rano apel, na którym stoimy nieruchomo przez trzy godziny w strugach deszczu i podmuchach ostrego wiatru od morza. Wyczerpane ostatecznie i zziębnięte do szpiku kości wracamy do bloku.

W jedynym piecu, służącym do ogrzewania tylko zimą, oczywiście się nie pali. Nie mamy niczego do zmiany; całą naszą odzież nosimy na sobie. Są to poplamione od robactwa, brudne, nie zdejmowane od tygodni koszula i majtki, więźniarska suknia, drewniaki. Podłoga w bloku powoli pokrywa się błotem naniesionym na podeszwach i rozcieńczanym przez wodę, która ścieka z ubrań. O szyby tłucze deszcz, wiatr świszczy w szczelinach futryn okien i drzwi, słychać trzeszczenie łat w dachu drewnianego baraku.

Światło wpadające przez małe okna nie rozprasza mroku w kątach sali. Wyglądamy jak tłum zjaw, wszystkie podobne do siebie, wszystkie z włosami zmoczonymi przez ulewę, w mokrych szarych ubiorach ściśle przylegających do kości.

Przytłacza nas rozpaczliwy nastrój tego niedzielnego poranku, daje o sobie znać zmęczenie całego tygodnia; nie mamy ochoty rozmawiać ze sobą. Tylko stukot chodaków świadczy, że rozpoczyna się dzień. Ma się wrażenie, że już dziś przeżyło się wieczność, że ten deszczowy świt nie będzie miał końca. Dyżurne, które były po kawę, oznajmiają, że na zegarze nad kuchnią ósma. Dopiero ósma! Przed nami perspektywa pustego dnia, bez nadziei i światła. Ósma! Wieczór daleko jak na końcu świata. Czy potrafimy udźwignąć ciężar tego jałowego dnia, jego godzin i minut wypełnionych niepokojem, który podsycają nasuwające się machinalnie obrazy ukochanych osób i miejsc. Trzeba te wspomnienia odsunąć od siebie, bo niszczą one naszą odporność, łamią i dręczą. Ale jak uciec od nich, od realnej niemal, choć wiadomo, że urojonej obecności ludzi, na których skupia się nasza troskliwa czułość, których chciałybyśmy dotknąć i zatrzymać, a których oddalenie rani nam serce?

Nie ma się czym zająć w pustej nicości niedzielnego dnia. Odebrano nam wszystko: książki, ołówki, niewinne karty do gry. Jesteśmy wydane na najcięższą torturę myśli i nie ma znikąd ratunku. Kto odczuje męczarnię rozpaczliwych, stawianych z płaczem pytań o los najbliższych, kiedy się wie, że nie będzie na nie odpowiedzi? Gdzie jest mąż, syn, gdzie rozproszone zawieruchą wojenną dzieci? Czy nie w więzieniach, w obozie, czy nie torturuje się ich tak jak nas? Czy żyją? Może rozstrzelano ich, umarli z nędzy, z wyczerpania, w samotności, na barłogu, na zimnej ziemi, może wzywali nas w ostatniej godzinie? A inne bliskie osoby, któreśmy opuściły? Trudno by także było znieść ich cierpienia. Wydaje się, że dla więźniarek gorszym nieszczęściem niż zwiększająca się co dzień w obozie nędza fizyczna jest tortura tego rodzaju.

Otwierają się drzwi sypialni. — Możecie iść do łóżek — mówi sztubowa. Westchnienie ulgi. W izbie, w której przebywamy, jest około 500 osób, tłoczymy się, nie można usiąść. Tylko kilka chorych kobiet siedzi na ławce wzdłuż ściany. Nie można nawet przykucnąć, trzeba stać w zaduchu, smrodzie, uciskając się wzajemnie łokciami. Wiele już dni, szczególnie w czasie kwarantanny, spędziłyśmy w ten sposób, stojąc beznadziejnie od rana do wieczora jak stado zwierząt nieruchome, przeżuwające. Rozpamiętywałyśmy w tym nędznym próżniactwie obrazy, które zawsze wywoływały ból.

Ale dzisiaj można wejść do sypialni, gdzie więcej powietrza i miejsca. Zły wzrok sztubowej towarzyszy ponurej defiladzie istot w obwisłych łachmanach, z mokrymi włosami. Istoty te przypominają bardziej strachy na wróble w jakimś ogrodzie po deszczu niż kobiety. Wiele z nich ma nadzieję zasnąć. Każda trzyma w ręce chodaki, ponieważ regulamin zabrania wchodzenia do sypialni w butach. Bose nogi rozpaćkują czarne błoto, które oblepiło już stopy do kostek.

Na legowiskach więźniarki zdejmują suknie, by je wysuszyć. Rozciągają je na przykryciu, które rychło nasiąka wilgocią. Mokra bielizna, rozwieszona jak olbrzymie pranie na pryczach, zaczyna powoli parować. Kobiety układają się jedna przy drugiej, aby tak grzać się nawzajem własnym ciepłem, jak to robią zwierzęta w swoich norach. Po pewnym czasie nawet się pocą. Wszystko to sprzyja gwałtownemu mnożeniu się różnego rodzaju robactwa.

Gdybyż można było stracić świadomość i zasnąć! Spać i nie słyszeć gwizdów sztormowego wiatru, który przenika do sali, wstrząsa kruchym barakiem, miecie masami wody deszczowej!

— Jeśli Niemcy znaleźli mojego syna... — szepce Helena M., przechylając się na brzeg pryczy, by wyżąć swoje bujne włosy. Po raz setny stawia to rozdzierające pytanie, które ją gnębi dzień i noc. Aresztowano ją wraz z mężem, profesorem *Collège de France*, ponieważ ich starszy syn uciekł przed gestapo.

* Przekład z języka francuskiego (tytuł oryginału: *Le Magnificat des forçats*).

Martwi się ona o chorego ojca, którego zabrano do nieznanego miejsca kaźni, i równocześnie o syna, nad którym zawisło ciężkie oskarżenie. Niestety, nie zobaczy już ani jednego, ani drugiego.

— Jeśli go aresztują, rozstrzelają — mówi do siebie, opadając na siennik. Jest tak wyczerpana, że otaczające ją rzeczy wydają się jej zjawą senną, a własne cierpienie urasta do wymiarów koszmaru.

Sąsiadka jej nie słucha; odgrodzona murem swojego nieszczęścia przykłada twarz do poduszki z wiór i zamyka oczy. Wstrząsają nią od czasu do czasu dreszcze i gorączka, ma przecież na sobie mokre gałgany. Jest to chłopka z Dauphiné, którą aresztowano za przechowywanie partyzantów. Trzej synowie zostali rozstrzelani na jej oczach, a ją nieszczęsną, rozebraną do naga bito na stole aż do krwi. Dokucza jej kalectwo, od dzieciństwa ma zdeformowane plecy wskutek skrzywienia kręgosłupa. Zabrano jej metalowy gorset, dodatkową więc i dotkliwą dla niej karą jest stanie, a tym bardziej codzienna i wyniszczająca praca na okolicznych bagnach.

Młoda dziewczyna pochyla się nad nią i coś mówi, ale to nie dociera do pogrążonej w swym cierpieniu nieszczęśliwej kobiety.

— Nie trzeba płakać, matko *Jeanne* — powtarza ze słodyczą w głosie *Yvette*, głaszcząc jej siwy splątany warkocz. Akcent świadczy, że dziewczyna pochodzi z okolic Bordeaux. Ma czarne faliste włosy, jest młoda, ale dużo już ucierpiała. Straciła na wojnie niedawno poślubionego męża, wzięła udział w ruchu oporu, odznaczając się nie byle jaką odwagą. Kiedy gestapo przyszło ją aresztować, nie otworzyła drzwi swojego pokoju na szóstym piętrze, dopóki nie spaliła dokumentów, które powierzyło jej dowództwo. Płonęły już firanki, gdy do mieszkania wtargnęli tajniacy i straż ogniowa. Bohaterską dziewczynę pobito kolbami, a później przeszła piekło tortur przy ulicy Saussaies, gdzie pławiono ją pięć czy sześć razy w lodowatej wodzie aż do utraty przytomności.

— Nie trzeba płakać, matko *Jeanne* — *Yvette* jest niezmordowana w pocieszaniu. Mówi pieszczotliwie jak do dziecka, które trzeba utulić z płaczu. Przygnębienie i rozpacz jednak są tak wielkie, że żadne ludzkie słowa ani zaklęcia nie przynoszą ukojenia.

Na górnej pryczy ktoś tłumaczy: „Dajesz sporo cebuli na tłuszcz, rumienisz w tym nóżki wieprzowe..." „Naprawdę uważasz — przerywa jakiś inny głos — że to lepsze niż nóżki obsmażone w bułeczce?"

Ciągła wymiana przepisów kulinarnych jest charakterystycznym przejawem kompleksu głodu we wszystkich więzieniach i obozach, zarówno żeńskich, jak i męskich. Ale dzisiaj rzadkie są rozmowy na te tematy. Atmosfera jest wyjątkowo ciężka, nabrzmiała cierpieniem i lękiem, wzmaganym jeszcze przez zimno, wiatr i deszcz.

— Wstańcie — krzyczy od drzwi jadalni *Maryvonne* — wstańcie na kwadrans, będziemy recytować mszę św.

Kilka sylwetek przeciąga się, prostuje. Tu i ówdzie słychać, jak wstające strzepują mokre suknie przed włożeniem ich na grzbiety. „Pomoczyłaś mnie" — utyskuje któraś. „Już skończyłaś, suko, rozrzucać swoje pchły?" — pyta inna.

W jadalni, gdzie się zbieramy, trwają przygotowania do nabożeństwa. Nie będzie to jednak msza odprawiana przez kapłana przy ołtarzu. Żaden ksiądz nie przekroczył dotychczas bramy obozu. Umierające odchodzą bez ostatniej posługi duchownego, liturgicznych modłów i sakramentów. Zwłoki jak ścierwo rzuca się do pieca krematoryjnego. „Tu nie potrzeba religii" — śmiała się szyderczo jędza, która przy rewizji osobistej wyrywała nam modlitewniki i różańce i rzucała je na ziemię.

Możemy zatem odmawiać tylko modlitwy te, które dyktuje nam serce. Ale ożywia je żarliwość zrodzona z rozpaczy. W niedzielę zbierają się wszystkie więźniarki, które podtrzymuje wiara religijna, aby wspólnie odmówić pamiętane partie modlitw ze mszy św. Celebrantką jest *Yvonne Baratte*, która teraz krząta się wokół stołu ustawionego pod ścianą między dwoma oknami. Na stole leży biały obrus, jeden z tych ręczników, w które nas wyposażono, a które są zawsze brudne jak ścierki. Ale ten lśni czystością. Jest przechowywany starannie po wypraniu kawałkiem mydła, które cudownym sposobem znalazło się w czyjejś zgrzebnej torbie. Od niepokalanej bieli obrusa odbija się mały krzyż, który *Yvonne* z prawdziwym talentem artystycznym ulepiła z chleba. Blada postać Chrystusa, którego nagie ciało, ukształtowane z gąbczastego tworzywa, nasiąkło wilgocią, jest uosobieniem naszego dotkliwego cierpienia.

A poza krzyżem, w którym każda z nas odnajduje symbol i sens własnej niedoli, wykwita niebiesko-biało-czerwony sztandar, rozpięty między oknami. Francjo! Twoja trójkolorowa flaga, uszyta z naszych ubogich sukien i koszul żebraczych, jest znakiem miłości do Ciebie. Twoje barwy rozpięte na ścianie bloku obozowego zmuszają do żywszego bicia nasze serca, wyciskają łzy.

— Uwaga, dajcie znać, jak będzie się zbliżała *lagerpolizei* — wydaje polecenie *Yvonne*, obejmując ramieniem młodą studentkę, która zgodziła się być równocześnie ministrantem, kościelnym i zakrystianinem. To *Maryvonne*, która teraz szeptem, wspólnie z organizatorką ceremonii powtarza zapomniane modlitwy. My na zmianę trzymamy straż przy oknie. Praktyki religijne są surowo zabronione; jeśli sztubowa Polka przymyka na nie oczy, to najgorszego można się spodziewać ze strony policji i esesmanów, którzy przemierzają obóz i wpadają niespodziewanie do baraków.

Na moment uspokoiła się zawierucha. Ulicą obozową, wymytą strugami deszczu, przesuwają się ku nam dwie postacie, zgięte, jakby łamane przez wiatr, w zmokłych spódnicach,

z włosami oblepiającymi blade, marmurowe z zimna twarze. Idą jak cienie wzdłuż naszego bloku i wchodzą wpuszczając powiew lodowatego wiatru, który z hukiem zatrzaskuje za nimi drzwi. Schodzi się coraz więcej kobiet. *Maryvonne* bowiem wcześniej, nie zważając na burzę, obeszła sąsiednie bloki i zawiadomiła o modlitwach, jak się na wsi zawiadamia o festynie. Wierne przybywają więc małymi grupkami.

— Zwycięstwo! — rozlega się nagle okrzyk. Zebrane poznają poważny głos *Geneviève de Gaulle*, która właśnie wchodzi powłócząc nogą. Bolesne owrzodzenia z powodu awitaminozy utrudniają jej każdy krok. — Zwycięstwo! Teraz na pewno, Paryż jest wolny!

— Jesteś tego pewna?

— Nie mylisz się?

— Skąd wiesz?

Jest nas około setki kobiet w sali zamienionej chwilowo na kościół. Sto twarzy z piętnem skrajnego wyczerpania i rozpaczy na twarzy ożywia nagle wewnętrzny ogień. Sto bezwładnych manekinów w nędznych łachmanach przekształca się na powrót w istoty ludzkie. Podniecony tłum kobiet otacza pierścieniem *Geneviève*, zaczyna być coraz głośniej.

— Cicho, cicho, bez hałasu! Wiadomość tę podały gazety niemieckie. Widziałam na własne oczy. To jest całkiem pewne. Były walki na ulicach, były pożary, ale teraz Paryż jest wolny. Sztandar francuski powiewa na Łuku Triumfalnym.

— Hurra! — wydziera się okrzyk z wielu piersi. Zdaje się, że otwarły się jakieś wielkie drzwi i wieje nad naszymi głowami orzeźwiający morski wiatr.

Yvonne Baratte zbliża się do stołu, gdzie w półmroku stoi krzyż, na którym Chrystus zdaje się promieniować bladą jasnością. — Podziękujmy Bogu, odmówmy mszę św. — wzywa zebrane.

Nasza grupa teraz tłoczy się koło zaimprowizowanego ołtarza, przed którym klękają *Yvonne* i jej pomocnica. Rozsądek nakazuje, aby nie wszystkie od razu padły na kolana. Przy oknie dwie z nas pełnią straż.

— *Introibo ad altare Dei.*

Wiatr gra jak na organach, hula wokół naszego bloku. Trzeszczą deski baraku, wydając nie milknące ostre tony. Wszystko to składa się na niewypowiedzianie smutną muzykę, ponury chorał.

— *Ad Deum qui laectificat iuventutem meam.*

Wezbrane uczucie sprawia, że wielu kobietom łamie się głos. Ale modlitwy rozbrzmiewają dalej, odprawia się namiastka mszy św., bez kapłana, bez hostii na ołtarzu, z towarzyszeniem przejmującej muzyki wiatru. A jednak Bóg jest blisko nas. W czasie ofiarowania *Yvonne* wyraża spontanicznie nasuwającymi się słowami nasze wspólne myśli:

— Panie Jezu, przyjmij w ofierze wszystkie nasze cierpienia, niepokój duszy, ostateczną nędzę ciała — za Francję. Ocal naszą ukochaną ojczyznę, oddamy za nią nasze życie. Panie, zmiłuj się nad tymi, których kochamy, a z którymi jesteśmy rozdzieleni, nad wszystkimi, którzy jak my cierpią w obozach, nad tymi, którzy nas we łzach oczekują. Spraw, abyśmy się wszyscy odnaleźli pierwszego dnia i cieszyli wspólnie. Niech się stanie jednak nie nasza, ale Twoja wola!

Słowom tym wtórują łkania. Tym, co nas napełnia nadzieją, jest Chrystus w geście ofiarowania, stojący na stole, wyrzeźbiony jakby z kości słoniowej, na tle flagi narodowej na ścianie.

— *Ite, missa est.*

— *Deo gratias.*

Msza skończona. Ale między zebranymi słychać szepty. Może by zaśpiewać *Te Deum* za wyzwolenie Paryża?

— Tak, tak, *Te Deum* — wszyscy jednogłośnie się zgadzają.

— Ale kto zna słowa *Te Deum*?

Niestety, nikt nie umie na pamięć tego hymnu. Ta i owa przypomina sobie małe fragmenty, ale całości złożyć nie potrafi.

— Nie szkodzi, odśpiewamy *Magnificat* — decyduje *Yvonne* i stojąc twarzą zwróconą do nas intonuje:

— *Magnificat anima mea Dominum.*

Słychać grzmot, wzmaga się też wiatr.

— *Et exultavit spiritus meus in Deo, salutari meo.*

— Ciszej, nie tak głośno! — protestują czuwające przy oknach. Ale już nic nie zdoła stłumić zapału, działa żywiołowa siła wyzwolona wieścią z pól bitewnych, gdzie decydują się nasze losy.

— *Fecit potentiam in bracchio suo.*

— *Dispersit superbos mente cordis sui.*

Drewniane ściany baraku drgają jak pudło rezonansowe. A na zewnątrz dźwięki zdają się ulatywać unoszone wiatrem.

W otworzonych nagle drzwiach sypialni ukazują się liczne głowy:

— Co się tu dzieje? Oszalałyście!

Drżące z zimna kobiety, wyrwane z gorączkowego snu, niektóre dziwacznie poubierane w koszule i podarte majtki, nie uczesane, półprzytomne nagle się dowiadują: Paryż jest wolny! Widma ludzkie, które zeszły ze swych prycz, przed chwilą jeszcze pogrążone w rozpaczy, przyłączają się do śpiewu. Nikt nie może się oprzeć zapałowi, który przemienia się w uniesienie i entuzjazm.

— *Suscepit Israel, recordatus misericordiae suae.*

Yvonne intonuje kolejne zwrotki, na jej twarzy płonie wewnętrzny ogień. A przed nią tłum ludzki rośnie z każdą chwilą, huczy, faluje, wznosi *unisono* dziękczynny śpiew.

— *Sicut locutus est ad patres nostros...*

Francjo! Twoje dzieci mogą tu umrzeć, ale wiedzą, że ofiara ich życia nie jest daremna.

MARIA RUTH MAZURKIEWICZ-PIEŃKOWSKA Gdańsk

Transport uratowany przed Oświęcimiem
Wspomnienia lekarki

Prześladowanie mojej rodziny przez okupantów nastąpiło bardzo wcześnie. 2 listopada 1939 roku hitlerowcy zamordowali w Chojnicach mojego ojca, działacza Związku Ziem Zachodnich. Lata okupacji przeżyłyśmy, moja matka w Chojnicach, niejednokrotnie przesłuchiwana przez gestapo, ja w Ręczajach pod Warszawą, gdzie byłam związana z partyzantką (szkolenia, udzielanie pomocy lekarskiej). W pierwszych dniach maja 1944 roku otrzymałam pismo z gestapo, wzywające mnie do stawienia się już nazajutrz w Warszawie na alei Szucha. W wezwaniu była adnotacja, że nie zgłosiwszy się zostanę policyjnie ścigana (*„bei nicht stellen werden Sie polizeilich verfolgt"*).

Spakowałam teczkę i jak to często robiłam, pojechałam z Ręczaj do Warszawy, ale wcale nie do gestapo, tylko do lekarza powiatowego, dra Jana *Dorożyńskiego*, któremu pokazałam wezwanie i zameldowałam, że Ręczaje opuściłam, a w Warszawie będę się ukrywać. Dr *Dorożyński* powiedział mi, że w razie potrzebnej mi pomocy mam napisać do niego kartkę i podpisać „Józef Kwiatkowski". Mieszkałam u różnych przyjaciół, między innymi u dr Jadwigi *Gałachowej* (obecnie mieszka w Gdyni) i u Marii *Głowackiej* (przebywa w Sopocie).

We wrześniu 1944 roku w czasie powstania warszawskiego dotarłam do rodziców mojej koleżanki, dr Wandy *Prószyńskiej* przy ul. Noakowskiego 18. Jej nie zastałam, ale gościli mnie oni do końca powstania.

Byłam lekarzem PCK (nr mojej opaski 2476), gdy w połowie października 1944 r. zostałam wraz ze swoimi chorymi przewieziona według planu samochodami ciężarowymi do obozu w Piastowie, znajdującym się na terenie byłej fabryki. Zabrałam tam też ciotkę dr *Prószyńskiej, Rogową* i rodziców koleżanki, przy czym podałam się za ich córkę. W tym obozie, który zmienił potem nazwę na Szpital Przejściowy Piastów-Pruszków, zgłosiłam się do dyżurów. Dyżurowałam w budynku, który mieścił się w obrębie obozu przed bramą. Przy bramie stała warta niemiecka. Pewnego dnia przed upływem października, około godziny 19, gdy kończyłam dyżur, usłyszałam, jak do obozu wjechał samochód ciężarowy. Do dyżurki weszło dwóch żandarmów niemieckich, pytając mnie, czy to obóz Pruszków.

Okazało się, że Niemcy przywieźli więźniów. Powiedzieli mi, że w Warszawie schwytali 14 komunistów, których należy podać następnego dnia do „ekstra-raportu". Żandarmi zamknęli przywiezionych w pokoju przyległym do dyżurki, wręczyli mi klucz i zostawili czternaście *kennkart*. Podpisałam, że ludzi przyjęłam, ale nieczytelnie nakreśliłam nazwę miejscowości: *Lager*... (mogło oznaczać Pruszków lub Piastów), jak również: *Dienst*... (nieczytelny podpis, mogący oznaczać lekarza) i datę. Powiedziawszy *„Heil Hitler!"*, żandarmi odjechali.

Gdy warkot samochodu umilkł, wzięłam ze stołu *kennkarty*, otworzyłam pokój z uwięzionymi, podeszłam pod lampę i prosząc, aby wszyscy dobrze mnie zapamiętali, rozdałam *kennkarty*, przy czym objaśniłam, gdzie w razie potrzeby można mnie znaleźć. Wyjaśniłam, że nie są w Pruszkowie, lecz w obozie w Piastowie, gdzie organizuje się szpital. Przebywa tu około trzech tysięcy ludzi. Mogą wychodzić bez pośpiechu, pojedynczo. Tak postąpili. Nie zwlekając, zeszłam ze swego dyżuru.

O tym, co zrobiłam, nikomu słowem nie wspomniałam. Ale już po paru dniach dyrektor Szpitala Przejściowego w Piastowie zwołał na apel wszystkich lekarzy o godz. 7 rano. Stanęliśmy w jednym szeregu. Dr *Sztencel*, ówczesny dyrektor, z najwyższym oburzeniem podał wszystkim lekarzom do wiadomości, że jeden z nich podczas swojego dyżuru przyjął czternastu ludzi z Warszawy od żandarmów, którzy omyłkowo zamiast do obozu w Pruszkowie zajechali do Piastowa. Lekarz ten jednak nie zgłosił tego faktu, a ludzi wypuścił na wolność. Mimo kilkakrotnego wzywania tego lekarza do wystąpienia z szeregu, nikt się nie zgłosił. Po chwili ciszy dyrektor podszedł w moim kierunku i stanął przede mną, mówiąc: „Wszystko wskazuje na to, że pani to zrobiła! Będzie pani za to odpowiadać". Na tym apel się skończył i wszyscy się rozeszli.

Wolno wracałam do swego pawilonu, zastanawiając się, co robić. Wtem jakiś mężczyzna chwycił mnie za ramię i powiedział: „My wszystko już wiemy". Zapytałam go: Kto pan jest? „Jestem jednym z tych czternastu" — odpowiedział. Po tym wyjaśnieniu potoczyła się serdeczna rozmowa; omawialiśmy wspólny wyjazd najbliższym transportem.

Wkrótce pewien lekarz, którego nazwiska nie pamiętam, po apelu powiedział do mnie z uśmiechem: „Mamy do pani prośbę. Proszę przyjść dzisiaj o godzinie 16 do sali opatrunkowej pod jakimkolwiek pozorem". Wyjaśnił mi, że będzie tam między innymi kierownik transportu mającego nazajutrz odejść z Piastowa. Ten Niemiec, były starosta w Węgrowie, podobno życzliwie odnosił się do Polaków. Chodziło o to, abym się dowiedziała, czy transport ten, złożony z ludzi ciężko chorych i po 50 roku życia, pójdzie do Oświęcimia,

a także, bym od owego Niemca wydobyła okrągły stempel ze sztabu uchodźców w Pruszkowie oraz kilkanaście blankietów zastępujących *kennkarty*.

O umówionej godzinie weszłam do sali opatrunkowej i zostałam natychmiast zaproszona do stołu, na którym były zakąski i wódka (mnie mieli nalewać wodę do kieliszka). Przedstawiono mnie Niemcowi i potoczyła się swobodna pogawędka, podczas której powiedziałam mu, że jadę jutro też transportem. Niemiec spoważniał i powiedział do mnie: „Niech pani nie jedzie! Musi pani jechać?". Usłyszawszy tego rodzaju radę zapytałam, czy może transport jedzie do Oświęcimia. Ponownie spoważniał i odpowiedział: „Ja prowadzę go tylko do Krakowa".

W toku dalszej ogólnej rozmowy prosiłam Niemca, by był tak uprzejmy i zabrał okrągły stempel ze sztabu uchodźców w Pruszkowie oraz blankiety z nadrukiem sztabu, ponieważ ja i moje koleżanki nie mamy *kennkart*. Niemiec odmówił. Wówczas ostentacyjnie przeprosiłam go, że śmiałam prosić o taką drobnostkę. Tłumaczę mu, że drugi raz w życiu proszę Niemca o przysługę i Niemiec mi znowu odmawia, zakończyłam przeprosiny słowami: Zapomniałam, że rozmawiam z Niemcem. Uniósł się na krześle i zapytał, kiedy to po raz pierwszy zwróciłam się z prośbą do Niemca. Na szczęście od razu przyszło mi na myśl skuteczne kłamstwo. Powiedziałam, że w roku 1939 za pożyczone pieniądze przyjechałam z Warszawy do Węgrowa, poprosiłam tamtejszego starostę o zezwolenie na pracę w szpitalu za wyżywienie i mieszkanie, a on mnie wyrzucił. Na żądanie mojego interlokutora opisałam teraz na chybił trafił wygląd owego starosty: wysoki, szczupły szatyn. Później okazało się, że opis ten odpowiadał rzeczywistości. Niemiec chwilę milczał i przyrzekł spełnić moje życzenia.

W ostatniej dekadzie października, w dniu odejścia transportu, zgłosił się do bramy naszego obozu o szóstej rano pruszkowski proboszcz, który przyprowadził tysiąc okolicznych mieszkańców, chcąc pomóc w przeniesieniu chorych na noszach do pociągu. W transporcie było około 350 chorych, wielu z nich nie mogło utrzymać się na nogach.

Około godziny 10, podczas ładowania transportu, przybyło do obozu dwóch Niemców: komendant sztabu uchodźców w Pruszkowie i mój rozmówca z sali opatrunkowej. Ostrzeżona ukryłam się. Gdy odjechali po bezskutecznych poszukiwaniach, wyprowadzono mnie z kryjówki. Lekarz, który zainspirował spotkanie w sali opatrunkowej, teraz odradzał mi udanie się do przedziału dla kierownictwa transportu, zanim miniemy Pruszków i wskazał inne miejsce w wagonie. Polecił mi wystrzegać się owego Niemca, który zresztą miał wsiąść dopiero w Pruszkowie.

„Poza tym musi pani wiedzieć — informował — że polskim kierownikiem transportu jest *de nomine* dr Józef *Poniatowski*. Niech pani pamięta, że *de facto*, to pani i nikt inny, tylko pani jest kierownikiem transportu i wyłącznie pani musi coś zrobić, by ten transport nie doszedł do Oświęcimia! Poza tym ludzie muszą otrzymać dokumenty, zdjęcia mają przy sobie. Wszystko ma pani przygotowane, maszynę do pisania i papier, jeśli Niemcowi zabraknie blankietów. Niech pani pamięta, że to wszystko pani musi z tym Niemcem załatwić. Niech pani nam da znać, jak wszystko poszło".

Tymczasem kończono ładowanie transportu, który, jak mówił ów lekarz, był filmowany przez Niemców. Zabrałam swoje rzeczy i wsiadłam w Piastowie do wskazanego wagonu. Otworzyłam okno i zobaczyłam stojącą przed wagonem dr Jadwigę *Pągowską*, którą poznałam będąc na stażu w Szpitalu Ubezpieczalni Społecznej w Warszawie (od 1.IX.1939 roku). Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Lista już podana, wszystko to trzeba koniecznie załatwić, ja bardzo proszę!" Zarówno w tym uśmiechu, jak i spojrzeniu wyczytałam niepokój. Natomiast ja byłam dobrej myśli i zapewniłam dr *Pągowską*, że wszystko będzie dobrze. Okazało się, że lista obsady transportu, której należało załatwić dokumenty wynosiła około 180 osób.

Pociąg-transport, który chyba był pierwszym transportem z Piastowa, ruszył. Gdy szłam korytarzem wagonu, młody człowiek wskazał mi przedział. Było tam dwóch lub trzech młodzieńców. Nasz pociąg stanął w Pruszkowie. Poinformowali mnie, że Niemiec, kierownik transportu, już w Pruszkowie wsiadł. Dłużył mi się postój. Gdy pociąg wreszcie ruszył z miejsca, cieszyłam się, że szczęśliwie przejechałam tę stację.

Gdy pociąg już dobrze był w biegu, chyba za Żyrardowem, weszłam do przedziału kierownictwa transportu. Niemiec, gdy mnie tylko zobaczył, podskoczył, mówiąc do mnie: „Myśmy panią szukali po całym terenie obozu, ale nie mogliśmy pani znaleźć!" Patrząc mu prosto w oczy, powiedziałam: Właśnie, słyszałam; dlaczego? Wyjaśnił, że wróciwszy po naszej rozmowie, toczącej się w sali opatrunkowej, opowiedział komendantowi sztabu uchodźców w Pruszkowie, jak to starosta w Węgrowie, zamiast mi pomóc, wyrzucił mnie. Potem poprosił komendanta o okrągły stempel i blankiety, bo chce wyrządzoną krzywdę wynagrodzić i „niech pani sobie wyobrazi, on właśnie był w tym czasie starostą w Węgrowie, a ponieważ nie mógł sobie tej rozmowy przypomnieć, chciał panią zobaczyć". Udałam zdziwienie, że to on właśnie był, toteż na terenie obozu wydawał mi się dziwnie znajomy.

Niemiec wyjął upragniony, okrągły stempel i plik blankietów. Prosto z mostu powiedziałam, że jest ich trochę mało. „To co pani zrobi?" Uspokoiłam go, że wszystko będzie dobrze, ponieważ jest okrągły stempel.

Zaczęliśmy wypisywać ludziom potrzebne im dokumenty. Miałam naprawdę pełne ręce roboty. Wkrótce też maszynę do pisania i pa-

pier trzeba było przynieść, a Niemiec stemplował i podpisywał. Tak pracowaliśmy przez całą noc. Koło Moszczenicy przed Piotrkowem Trybunalskim wyrzuciłam z okna wiadomość dla mojej siostry i jej męża, że żyję i jadę transportem w nieznane. W drodze do Krakowa ludzie wysiadali już z dokumentami w kieszeni. Nad ranem zajechaliśmy do Krakowa. Stanęliśmy z dala od peronów dworca głównego. Odczepiono parowóz i nastała przejmująca cisza. Byłam niespokojna, ale opanowana. Przypomniały mi się obawy, że transport ma iść do Oświęcimia i słowa: „pani musi coś zrobić, by transport nie doszedł!".

Odpowiednio zagadnięty przeze mnie Niemiec z konwoju wyjaśnił, że czekamy na innych Niemców, którzy na pewno przyjadą. Zorientowałam się, że nadeszła decydująca chwila. Spokojnie wysiadłam z wagonu. Wśród plątaniny torów kolejowych zobaczyłam kolejarza pracującego w oddali przy zwrotnicy. Dobiegłam do niego i spytałam, czy transport stoi na torach do Oświęcimia. Kolejarz wyprostował się, popatrzył i powiedział: „Oj tak, pani, to na Oświęcim". Gdzie jest telefon, trzeba ludzi ratować! — indagowałam. Wskazał mi czerwony budynek. „Tam jest telefon. W pierwszym i drugim pokoju są Polacy, a w trzecim Niemcy. W drugim pokoju jest telefon". Co sił przebiegłam tory kolejowe, uskakując przed parowozami i kurczowo przytrzymując swoje palto wpadłam do czerwonego budynku, minęłam pierwszy pokój i w drugim dostrzegłam telefon. „Proszę o książkę telefoniczną, proszę mi pomóc wyszukać telefon Medycyny Sądowej!" Tłumaczyłam, że jestem z transportu z Warszawy, mamy zmarłych, nie możemy dalej jechać.

Wokół mnie zgrupowali się zaskoczeni kolejarze i pomogli mi uzyskać rozmowę z Zakładem Medycyny Sądowej. Wyjaśniłam, że mamy 20 trupów; liczbę tę zresztą zmyśliłam, przekonana, że nie wszyscy przeżyli transport. Kolejarze podpowiedzieli, na którym peronie stanął nasz pociąg. Z tamtej strony linii przyrzeczono zaraz przysłać samochód. Gorączkowo szukałam w książce numery telefonów znajomych lekarzy. Znalazłam nazwisko mojej koleżanki ze studiów w Poznaniu, dr Janiny *Szkudlarek-Szarszaniewicz*. Na szczęście była w domu, poprosiłam ją więc o zawiadomienie PCK i RGO w Krakowie. Sama dodzwoniłam się też kilkakrotnie do PCK i RGO, usilnie prosząc o pomoc dla transportu. W jednej z tych rozmów ktoś z RGO oświadczył, że organizacja ta nie ma prawa przyjąć naszego transportu bez uzyskania odpowiedniego zlecenia od władz niemieckich. Dopiero wtedy mogliby przygotować zakwaterowanie dla naszych ludzi.

Jeden z kolejarzy, który snadź zrozumiał grozę sytuacji, na moją prośbę zapewnił mnie, że będzie dostarczony parowóz, aby transport przeciągnąć do peronu, przy którym ma czekać samochód Zakładu Medycyny Sądowej. Telefonicznie natychmiast załatwił tę sprawę i powiedział, że parowóz nadjedzie za 15—20 minut. Wtem za moimi plecami stanął Niemiec, pytając: „*Was ist denn hier los*?" (Co się tu dzieje"). Krótko wyjaśniłam, że chodzi o usunięcie trupów z transportu i że wezwałam Medycynę Sądową w celu zabrania zwłok, gdyż w przeciwnym razie wybuchnie epidemia tyfusu. Następnie serdecznie podziękowałam kolejarzom za pomoc i wróciłam do naszego transportu znowu przez tę nie kończącą się, jak mi się zdawało, ilość torów kolejowych, zadowolona, że na razie tyle udało mi się załatwić, a także przejęta i zdenerwowana.

Gdy dobiegłam do transportu, przeraziłam się na widok bardzo licznych chorych, uczestników transportu, leżących i siedzących na torach kolejowych. „My wiemy, że mamy jechać do Oświęcimia, to niech nas tutaj polskie pociągi zabiją!". Tłumaczyłam, prosiłam, zapewniałam, że zaraz przyjedzie parowóz i zostaniemy przeciągnięci do peronu, a tam na nasz transport czeka Polski Czerwony Krzyż, RGO, czeka już pomoc! Z trudnością, przy pomocy naszej obsady, udało się nam z powrotem umieścić ludzi w pociągu; nie wszyscy byli w stanie wsiąść.

Nie pamiętam, ile minut czekaliśmy na parowóz, który przeciągnął nasz transport do peronu. Na peronie czekali już ludzie z Polskiego Czerwonego Krzyża i z RGO, usprawiedliwiając się, że jeszcze nie przywieźli nic gorącego, bo nie są przygotowani, bo to taki nieprzewidziany transport. Był tam już samochód Medycyny Sądowej. Ponieważ zgłosiłam telefonicznie dwadzieścia zwłok, dopytywano się, gdzie one są. Zaczęłam przeglądać przedziały; były zwłoki, które od razu zaczęto odwozić.

Korzystając z przerw między kolejnymi kursami samochodu Medycyny Sądowej interweniowałam w celu ostatecznego załatwienia sprawy przyjęcia naszego transportu w Krakowie. RGO znów poinformowało mnie, że nie może przyjąć transportu, ponieważ decydują o tym władze niemieckie i nie ma na to rady. Wiedziałam także, że nasz *transportführer* ma czekać na Niemców i że transportu zgłaszać mu nie wolno. Wobec tej sytuacji bez wyjścia postawiłam wszystko na jedną kartę. Poprosiłam RGO o numer telefonu do władz niemieckich. Podano mi go. Zadzwoniłam. Nastąpiły żywe dyskusje, np. mówiono: *Verflucht' noch mal, was ist das für ein Transport?*" („Do jasnej cholery, co to za transport"). Byłam uprzejma, ale nieustępliwa. Wreszcie zapytano: „*Wer sind Sie?*" („Kim pani jest"). Powiedziałam, że jestem zastępcą *transportführera*, który w tej chwili jest zajęty i sam nie mógł podejść do telefonu. Wówczas zapytano mnie o numer naszego transportu; odpowiedziałam, że za chwilę zadzwonię powtórnie sama lub *transportführer*, gdy będzie wolny, poda numer, ponieważ dokumenty są u niego.

Po tej rozmowie pobiegłam do *transportführera;* zameldowałam, że władze niemieckie czekają na podanie numeru transportu. Niemiec był zaskoczony i zapytał: „To pani z Niemcami rozmawiała?". Odpowiedziałam, że

tak. „No, jak pani z Niemcami rozmawiała, to ja idę!" — powiedział Niemiec i poszliśmy do telefonu. Osobiście wykręciłam numer telefonu i podałam słuchawkę Niemcowi. Władze niemieckie przyjęły nasz transport. Po pewnym czasie zadzwoniłam do RGO, czy już otrzymali zlecenie przyjęcia transportu; poinformowano mnie, że tak. Byliśmy uratowani!

RGO uspokajało nas, że przygotowują już pomieszczenie; musimy być cierpliwi i czekać, bo to wszystko tak nagle się stało, że transport zostaje w Krakowie. Ludzie żegnając się ze mną, odchodzili z dokumentami w kieszeni. Nie pamiętam, która była to godzina, gdy podszedł do mnie dr *Poniatowski*, mówiąc: „Zdaje się, że już pani nie jestem potrzebny" i pożegnaliśmy się.

Tego dnia samochód zabrał z naszego transportu w sumie 27 zwłok zmarłych w czasie drogi.

Dopiero teraz poczułam pewną ulgę po ogromnym napięciu nerwowym. Gdy *transportführer* powiedział do mnie, że niedługo już pójdzie, odruchowo zaprosiłam go na ciastka do cukierni, którą mi ktoś wskazał w pobliżu dworca. Miałam tak mało pieniędzy, że przeliczając je stwierdziłam, iż z trudem starczy ich na dwa ciastka. Niemiec chciał płacić, ale przyjął to skromne podziękowanie. Bądź co bądź nie przeszkodził mi w ratowaniu transportu. Gdyśmy wyszli z tej „niby cukierenki", Niemiec przystanął, uśmiechnął się do mnie, potem spoważniał i zaskoczył mnie ofertą dalszej pomocy, np. w postaci dokumentów dla mnie lub moich koleżanek. Pamiętam adres, który mi podał: *Hauptmann Neumann*, Pruszków, *Postfach 14*. „Ja zawsze sam otwieram skrytkę" — dodał. Ten były starosta Węgrowa zapewnił, że wszystko prześle pod adresem podanym przeze mnie. Na peronie pożegnał się.

Zostałam teraz sama z moimi chorymi z transportu. Było jeszcze jasno. Przysiadłam na stopniu wagonu. Wtem usłyszałam rozmowę dwóch cywilnych Niemców, którzy przechodzili wzdłuż pociągu. „*Wer hat blos den Transport gemeldet?*" (Kto też mógł zameldować transport?). Cała zamieniłam się w słuch. Mijając mnie, jeden z nich zwrócił się do mnie: „*Wissen Sie nicht wer den Transport gemeldet hat?*" (Czy nie wie pani, kto transport zameldował?"). Wzruszając ramionami odpowiedziałam spokojnie, z miną zmęczonej uczestniczki transportu, że nie wiem. Drugi Niemiec odezwał się pogardliwie do swego towarzysza: „*Ach, die weiss doch nichts*" (Ach, ta nic nie wie) i dodał: „*Die Leute sind schon lange weg!*" (Ci ludzie już dawno zwiali). Śledziłam ich wzrokiem aż do końca peronu. To na pewno było gestapo.

Około godziny 21, gdy już dłuższy czas nikt nas nie pilnował, pojawił się samochód ciężarowy, aby nas odwieźć do miasta. Nikt nie chciał jechać, bojąc się, że chcą nas wywieźć do Oświęcimia. „Tam, gdzie pani, tam i my pójdziemy". Podeszłam do kierowcy i dowiedziałam się od niego, że ma nas przewieźć do domu starców na ulicę Koletek 12. Zrobiono tam dla nas miejsce. Wróciłam na peron i zachęciłam: Jadę pierwsza, kto ze mną? Zgłosili się najodważniejsi, a reszta oświadczyła mi, że pojadą, gdy wrócę. Pojechałam, zobaczyłam, zostawiłam ludzi i wróciłam na peron. Ładowałam chorych przez całą noc i dopiero o świcie opuściłam peron z ostatnim kursem samochodu.

Dzisiaj, gdy wspominam te pełne napięcia dni i godziny, zastanawiam się, skąd się wzięła u mnie energia potrzebna na to wszystko i uświadamiam sobie znów, jak ustrój człowieka potrafi się zmobilizować w niebezpieczeństwie.

Jak już wspomniałam, rodzice i ciotka dr Wandy *Prószyńskiej* przebywały od czasu ewakuowania mnie z Warszawy wraz z placówką PCK w Piastowie. Umieściłam ich również przy ulicy Koletek 12 w Krakowie. Ciotka koleżanki, *Rogowa*, miała krewnych w Mszanie Dolnej na Podhalu. Ponieważ byłam poszukiwana przez gestapo, bałam się zostać w Krakowie. Wzięłam tutaj skierowanie z Izby Lekarskiej do Kasiny Wielkiej, położonej za Mszaną Dolną i pojechałam tam z panią *Rogową*. Pamiętam nazwisko *Kowalczykowej*, która mi udzieliła schronienia w Kasinie. Tam doczekałam chwili wyzwolenia. Przeczuwałam, że ktoś z pewnością zawiadomi Piastów o ocaleniu naszego transportu przed Oświęcimiem. Sama bałam się napisać tam o naszych losach po przybyciu do Krakowa.

Lekarz, który zainspirował pamiętną rozmowę w izbie opatrunkowej w Piastowie, a tym samym okazał mi zaufanie i spowodował powierzenie mi funkcji faktycznego kierownika transportu, może przeczyta to wspomnienie po 24 latach. Przez towarzysza *Kutnera* z działu historii Partii w KW PZPR w Gdańsku, ob. Zofię *Bełdowicz* z tamtejszego Zarządu Wojewódzkiego PCK i wreszcie dra Czesława *Pilichowskiego*, dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce trafia ta relacja do „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

JÓZEF JABŁOŃSKI Kępno
były więzień policyjnego obozu karnego w Radogoszczu oraz obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 57023, Gross-Rosen nr 8574 i Mauthausen nr 101787

Z Radogoszcza do Oświęcimia, Gross-Rosen i Mauthausen

Wspomnienia lekarza

Aresztowany we wrześniu 1941 roku w powiecie kaliskim przez gestapo z powodu przynależności do Związku Walki Zbrojnej, zostałem przewieziony wraz 72 członkami podziemnego ruchu oporu okręgu kaliskiego do śledczego więzienia w Łodzi przy ul. Sterlinga. Stamtąd wzywano nas w okresie kilku tygodni do gmachu gestapo przy ul. Anstadta na przesłuchania. Niektórzy, zwłaszcza mniej odporni nerwowo, zaczęli się załamywać pod wpływem tortur. Po tak zwanych „wsypach" następowały dalsze aresztowania, mordercze przesłuchania i konfrontacje.

Siedziałem wtedy w celi nr 34. Komendant więzienia, który dowiedział się, że jestem lekarzem, polecił zatrudnić mnie w miejscowym ambulatorium więziennym. Skorzystałem z okazji, jaką był mój kontakt z chorymi zgłaszającymi się codziennie do ambulatorium i przekazywałem wiadomości ze śledztwa, a zwłaszcza z poszczególnych zeznań członków organizacji. W ten sposób starałem się ułatwić przynajmniej niektórym więźniom sposób zeznawania, a nawet ratować ich od zguby.

Z tego okresu utkwiło mi w pamięci między innymi zdarzenie związane z osobą więźnia, którego nazwiska już nie pamiętam, mianowicie łodzianina, jednego z głównych działaczy organizacji podziemnej w Łodzi. Więzień ten był codziennie przesłuchiwany w gmachu gestapo, męczony, bity i torturowany w wymyślny sposób. Załamywał się z każdym dniem. Po jednym z takich przesłuchań nieprzytomnego dowleczono go w nocy do więziennego ambulatorium. Jego oba pośladki były jedną krwawą raną. Obrzęki i zasinienia na całej twarzy nie pozwalały rozpoznać zmasakrowanego. Niebawem zjawił się niemiecki lekarz więzienny, wezwany telefonicznie i kazał mi bezwzględnie ratować pobitego i utrzymać go przy życiu.

Założywszy opatrunki i zastosowawszy środki nasenne, które otrzymałem do dyspozycji, czuwałem przez całą noc przy chorym i przedsięwziąłem różne zabiegi. Nad ranem odzyskał on przytomność, a kiedy przyszedł lekarz więzienny, z zadowoleniem stwierdził poprawę u pobitego. Nieszczęśnika czekało znów przesłuchanie, aczkolwiek tego dnia niemiecki lekarz nie zezwolił gestapowcom na zabranie chorego. Agenci gestapo przyszli nazajutrz, chcąc sprawdzić stan zdrowia tego więźnia. Po kilku dniach przybył do ambulatorium fryzjer, aby go ogolić, gdyż miał być następnego dnia nadal przesłuchiwany.

Po ogoleniu chory w jednej chwili wysunął dyskretnie z futerału fryzjera pierwszą z brzegu brzytwę i ukrył ją pod poduszką. W kilka godzin po odejściu fryzjera usiadł na łóżku, ostatkiem sił chwycił brzytwę i zaczął jej ostrzem przesuwać po gardle. Krzyk jednego z chorych zwrócił moją uwagę, zdążyłem doskoczyć i w ostatniej chwili wydrzeć brzytwę z rąk desperata. Rana silnie krwawiła; ostrze brzytwy spoczęło na chrząstce tarczykowej. Po zatamowaniu krwotoku chory został przewieziony na polecenie komendanta więzienia i niemieckiego lekarza do jednego ze szpitali w mieście w celu wykonania zabiegu chirurgicznego. Po kilku dniach wrócił znów do więzienia. Spotkawszy mnie, serdecznie dziękował za to, że go odratowałem. Miał żonę i dwoje dzieci, które stale wspominał. Przetrzymał końcowe przesłuchania i po kilku miesiącach został przewieziony z transportem do Oświęcimia. Podobno przeżył obóz i wrócił do domu rodzinnego.

Również w tym okresie w Łodzi został wykonany wyrok śmierci na dwóch agentach gestapo z rozkazu organizacji podziemnej. W czasie masowych aresztowań Polaków w okolicy Łodzi agenci ci zostali zastrzeleni przez nieznanych mężczyzn, którzy zdołali uciec. Szef łódzkiego gestapo otrzymał rozkaz z Berlina, by za jednego gestapowca stracić pięćdziesięciu Polaków, więźniów politycznych. W marcu 1942 roku na podwórze więzienia przy ul. Sterlinga zajechały karetki więzienne. W kancelarii więzienia urzędował szef gestapo wraz z kilkoma agentami wydziału politycznego. Więźniowie, którzy mieli ukończone śledztwo, zostali wywołani do kancelarii w celu podpisania dokumentu zakończenia śledztwa oraz przygotowania do transportu. Wybrano wtedy 70 zakładników z więzienia przy ul. Sterlinga, a resztę — w tym kilka kobiet — z więzienia przy ul. Gdańskiej. Los uratował mnie wtedy dlatego, że śledztwo w moim wypadku nie było jeszcze zakończone.

Więźniowie widzieli z górnych okienek cel,

ze strony podwórza, jak wpędzano do samochodów wybranych więźniów, z rękami związanymi do tyłu grubym drutem. Fakt ten wzbudził niepokój i podejrzenie, że ludzie ci nie jadą normalnym transportem. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się od nowo aresztowanych z okolic Zgierza, że wywiezieni więźniowie zostali rozstrzelani w Zgierzu na rynku, na oczach spędzonych ludzi, jako odstraszający przykład dla innych. Wyrok brzmiał: za dwóch zabitych gestapowców zostaje rozstrzelanych stu Polaków. Zginęło wtedy wielu działaczy i członków ruchu oporu z Kalisza i Łodzi. Zwłoki wywieziono do pobliskich lasów i zakopano we wspólnej mogile. W tym samym okresie wielu członków organizacji oraz patriotów polskich rozstrzeliwano w lasach zbierskich pod Kaliszem oraz w lasach winiarskich. Pozostały masowe mogiły i pozostali świadkowie spośród ludności mieszkającej w tych okolicach.

W roku 1946, po zakończeniu działań wojennych, dzięki staraniom władz oraz ówczesnego Związku Byłych Więźniów Politycznych odbyła się ekshumacja zwłok pomordowanych Polaków. Jako członek zarządu okręgu kaliskiego tej organizacji zostałem również powołany do komitetu, który przygotował manifestację i uroczysty pogrzeb ofiar. Oględziny zwłok wykazały, że mordowano strzelając w tył karku. Niektóre czaszki były poszarpane od strzałów i popękane. Rozpoznanie i zidentyfikowanie ofiar nastręczało wiele trudności, brak było bowiem przy zwłokach wszelkich dokumentów. Szczątki ofiar, umieszczone w trumnach, zostały uroczyście przewiezione do Kalisza. Na trasie przejazdu gromadziły się tłumy ludzi, by oddać ostatni hołd pomordowanym. W manifestacji żałobnej w Kaliszu wzięły udział miejscowe władze, członkowie organizacji społeczno-politycznych, byli więźniowie oraz szerokie masy społeczeństwa. Trumny złożono we wspólnej mogile na cmentarzu, a na murach starej kolegiaty kaliskiej wmurowano tablicę pamiątkową ku czci ofiar, ufundowaną przez Związek Byłych Więźniów Politycznych Ziemi Kaliskiej.

Po zakończeniu śledztwa znalazłem się wraz z innymi w Radogoszczu. Jest to dzielnica w północnej Łodzi, na kierunku Zgierza. Bardzo wcześnie, bo już w grudniu 1939 roku okupanci hitlerowscy założyli tam tzw. policyjny obóz karny, w którym przebywali przeważnie więźniowie polityczni znajdujący się w śledztwie. Z biegiem czasu obóz ten przybrał charakter filii więzienia policyjnego i był zarazem etapem do innych więzień lub obozów. Przez Radogoszcz przeszło około 30 tysięcy więźniów. Stan liczbowy wynosił bieżąco z reguły 600—1400 uwięzionych.

Masowo odchodziły stamtąd transporty więźniów do obozów koncentracyjnych, głównie do Oświęcimia. W starej hali fabrycznej, na cemencie bez desek i słomy umieszczano więźniów, a zaledwie kilka prycz drewnianych przeznaczono dla słabych i chorych. Radogoszcz był znany z bestialskich okrucieństw załogi, słynnych apelów i tzw. „maneżu". Maneż, to codzienne ćwiczenia więźniów, którzy pędzeni biegiem wokół podwórza otrzymywali od strażników uderzenia kijami, pejczami i pasami. W torturach tych celował sam komendant obozu, który zabił niejedną ofiarę.

Opieka lekarska w Radogoszczu była fikcją. Lekarzem więziennym był wtedy Niemiec, dr *Winter*, któremu pomagał niemiecki sanitariusz o imieniu *Matthäus* (Mateusz), w rzeczywistości wszechwładny przedstawiciel władzy sanitarnej na terenie Radogoszcza. Ignorant w sprawach lecznictwa i udzielania porad lekarskich, potrafił tylko skrzyczeć chorego, uderzyć, a nawet wyrzucić za drzwi. Kiedy był w dobrym humorze, dawał z łaski kilka kropel mięty lub parę tabletek węgla, bo najczęstszą chorobą była wtedy krwawa biegunka, pociągająca wiele śmiertelnych ofiar.

Sanitariusz *Matthäus*, przeglądając kartoteki więźniów i wyczytawszy w mej karcie zawód, zwrócił się do komendy obozu o przydzielenie mnie do pomocy w ambulatorium. Jako punkt sanitarny służył mały pokoik w górnej części sąsiedniej hali fabrycznej. Tam odbywały się każdego dnia „przyjęcia" chorych. Codziennie na rozkaz komendy obozu przychodziłem do ambulatorium, aby w obecności *Matthäusa* udzielać pomocy lekarskiej. W szafce aptecznej było kilkanaście tabletek prontosilu, tannalbiny, aspiryny, piramidonu, węgla, trochę kropli walerianowych, Inoziemcowa i miętowych, które miały starczyć dla setek chorych.

Szczęśliwy traf spowodował, że *Matthäus* darzył mnie zaufaniem i byłem dla niego autorytetem w sprawach leczenia i postępowania z chorymi. Wyzyskałem to skwapliwie i codziennie sporządzałem listę zapotrzebowania na nowe leki, a nawet zastrzyki dla chorych. *Matthäus* coraz częściej przynosił przydzieloną ilość lekarstw zamówionych z sanitarnej apteki szpitala, w którym był zatrudniony. Prosty sanitariusz skrzętnie notował sobie wskazania i sposób stosowania leku na liście pod moim dyktandem. W godzinach popołudniowych zostawiał mnie samego, polecając rozdanie leków chorym bardzo słabym, leżącym. Wynosiłem z ambulatorium, ile tylko mogłem, aby ratować ciężko chorych na biegunkę, która wtedy zbierała największe, śmiertelne żniwo.

Wiele było ofiar śmierci nie tylko z powodu chorób, lecz także wskutek bicia i ciosów załogi, nie wyłączając komendanta strzelającego ofiary pod słynną gruszą na dziedzińcu. Często widywaliśmy pogrzebowe, czarne, kryte auto, wywożące zwłoki zamordowanych do krematorium lub na sekcje do prosektorium sądowego. Tak więc pod niewinną nazwą przejściowego, policyjnego obozu pracy kryło się miejsce zagłady więźniów rozstrzeliwanych na mocy „wyroków" policyjnego sądu doraźnego lub samowolnie mordowanych przez funkcjonariuszy z załogi. Obóz ten, jak wiadomo z niektórych źródeł, funkcjonował do wyzwolenia

Łodzi. 17 stycznia 1945 roku hitlerowcy wymordowali około 500 więźniów, a nazajutrz, w przededniu oswobodzenia Łodzi, podpalili budynek z 400 więźniami znajdującymi się na górnych piętrach, gdzie się oni zabarykadowali przed oprawcami. Ocalało tylko kilkunastu. W pogorzelisku znaleziono potem około 900 zwęglonych zwłok więźniów zamordowanych lub spalonych żywcem.

Z Radogoszcza zostałem wywieziony w sierpniu 1942 roku z dużym transportem więźniów do Oświęcimia. Po przekroczeniu bramy z szyderczym napisem *Arbeit macht frei* podzieliliśmy los tysięcy innych. Cały nasz transport został ograbiony. Po „kąpieli" i „dezynsekcji" umieszczono nas w blokach kwarantanny. Po kilku dniach zostałem zatrudniony wraz z innymi współtowarzyszami niedoli przy dezynsekcji i porządkowaniu tzw. „lagru" kobiecego, który został przeniesiony do Rajska.

Była to praca bardzo nieprzyjemna i budząca wstręt. Rozebrani do naga, wchodziliśmy na rozkaz esesmanów do pustych bloków, aby wynosić z nich sienniki ze słomą, rojące się od niezliczonej ilości pcheł. Byliśmy wprost czarni od pcheł pokrywających nasze ciała. Zgłodniałe i spragnione ludzkiej krwi, wpijały się nam w skórę. Wybiegając na powietrze, zgarnialiśmy rękoma całe warstwy tych czarnych żyjątek, a słomę z sienników paliliśmy na miejscu. Druga ekipa pracujących wbiegała do opuszczonych pomieszczeń ze środkami dezynsekującymi, opryskując ściany i podłogi. „Kapowie" i esesmani popędzali nas w pracy swymi krzykami: *schnell, schnell!,* lecz żaden z nich nie odważył się wejść w ubraniu do środka.

Po paru dniach tej niesamowitej roboty zostaliśmy rozdzieleni do różnych „komand" roboczych. Dzięki znajomym współtowarzyszom udało mi się otrzymać pracę *hilfspflegera* w bloku nr 28 (*Krankenbau*). Praca ta była o tyle dobra, że odbywała się pod dachem, ale setki opatrunków wykonywanych w pozycji stojącej i przenoszenie ciężko chorych z kąpieli do izby szpitalnej nie należało do pracy lekkiej.

W bloku tym współpracowałem wtedy z pisarzem szpitala, Władkiem *Muchą* oraz poznałem wielu zacnych kolegów, którzy stanowili trzon opieki lekarskiej i sanitarnej szpitala Oświęcim I. Z nazwisk pamiętam internistę *Diema, Gralę, Orzeszkę,* laryngologa *Wasilewskiego,* dermatologa *Kapuścińskiego,* stomatologów *Krzywickiego* i *Szuszkiewicza, Zielinę, Tondosa,* z oddziału zakaźnego *Fejkla* i *Kłodzińskiego, Kruczka,* szefa apteki prof. *Olbrychta,* mgra *Tolińskiego,* laboranta *Kosztownego;* inne nazwiska wypadły mi z pamięci. Prawie wszystkich wymienionych wspominali już inni byli więźniowie na łamach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Lekarzem obozowym był *obersturmführer SS,* dr *Friedrich Entress,* absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego. Studia ukończyłem w tym Uniwersytecie wtedy, gdy studiował tam *Entress*; znałem go z ćwiczeń anatomii. Pamiętałem, że należał on do organizacji studentów niemieckich i jej oznakę nosił w klapie marynarki. Trzymał się zawsze środowiska niemieckiego, jakkolwiek bardzo dobrze mówił po polsku. Tu w obozie, mimo że nosił mundur oficera *SS,* jego szczupłą sylwetkę i twarz poznałem bez trudu. Za wszelką cenę starałem się unikać osobistego kontaktu z *Entressem.* Nie wiadomo, jak skończyłaby się dla mnie ta znajomość z lat studenckich. *Entress,* znający doskonale język polski i środowisko polskie, mógł łatwo wnikać w psychikę polskiego więźnia i odpowiednio nastawiać władze niemieckie z komendantem obozu włącznie. Mógł również likwidować więźniów według własnego uznania. Warto przypomnieć, że za swoje zbrodnie został skazany w roku 1946 na śmierć przez trybunał amerykański.

Po pewnym czasie zachorowałem, jak setki innych, na dur wysypkowy i zostałem umieszczony w bloku chorób zakaźnych w salce obserwacyjnej. Dzięki temu uniknąłem wywiezienia do komory gazowej w czasie tzw. „likwidacji tyfusu". Troskliwą opiekę lekarską zawdzięczam kolegom doktorom *Fejklowi* i *Kłodzińskiemu* oraz kolegom z bloku 28, którzy mnie odwiedzali. Gdy dur minął, przebywałem w bloku ozdrowieńców, gdzie pomagałem w pracy salowym.

Na wiosnę 1943 roku zostałem wysłany w dużym transporcie do obozu Gross-Rosen. Zatrudniony tutaj w „rewirze" szpitalnym, po krótkim pobycie zostałem oddelegowany na „komando" robocze do Lissa pod Wrocławiem. „Komando" w Lissa zatrudnione było przy budowie esesowskich koszar i obiektów wojskowych. Pracowali tu Polacy, Rosjanie, Czesi i Niemcy. Więziono tam około kilkuset ludzi. Pomieszczenie było bardzo prymitywne: duża stajnia końska, przegrodzona na połowę, posadzka ze starych cegieł, prycze jednopiętrowe, a jako umywalnie służyły baseny końskie. Kilka stołów zbitych prowizorycznie z desek i duże ławy stanowiły jadalnię.

„Rewir" dla chorych był to kąt w rogu stajni, odgrodzony deskami, z pryczami na 12 osób, z szafą na lekarstwa i dużą ławą. W kącie tym urządziłem podręczny ambulans, w którym udzielałem pomocy lekarskiej chorym i wykonywałem opatrunki. W jednej osobie byłem lekarzem, pielęgniarzem i „sztubowym". Z tego okresu pamiętam zabieg chirurgiczny, jaki musiałem wykonać na polecenie *kommandoführera* u jednego z więźniów, dobrego fachowca, potrzebnego na budowie. Miał on rozległą ropowicę uda. Naciek ropny sięgał od dołu pachwinowego, po wewnętrznej stronie nogi, poniżej do stawu kolanowego. Z narzędzi miałem w szafie: skalpel, pincetę, trochę waty, gazy i parę papierowych bandaży. Stołem operacyjnym była prosta ława, a zamiast narkozy — trzech współwięźniów silnie trzymających chorego (*tene bene, halte fest*). Dwa rozległe, głębokie nacięcia, tampony

gazowe, parę tabletek prontosilu i zmiany opatrunków uratowały w tych warunkach życie więźnia, który był skazany na zagładę i pewną śmierć wskutek zakażenia ropnego z wysoką ciepłotą (przeszło 40°). Wyleczony wrócił do pracy i z wdzięcznością wspominał okazaną pomoc.

W „komandzie" Lissa miałem zezwolenie na poruszanie się po całym placu budowy; mogłem wykonywać drobne opatrunki skaleczonym w pracy robotnikom-więźniom, a czasem i cywilnym. Wśród cywilnych pracowników byli liczni Polacy, wysyłani przez urzędy pracy w głąb Niemiec. Miałem wtedy kontakty z ludźmi wolnymi, wśród nich z Polakami z Poznańskiego, którzy należeli do ruchu oporu. Planowaliśmy ucieczkę kilku Polaków, więźniów politycznych, niestety jednak ktoś doniósł o kontaktach z cywilnymi robotnikami blokowemu, Niemcowi, dawnemu kryminaliście, a ten niezwłocznie zameldował komendantowi obozu. Wynikiem meldunku był przesłany z Berlina rozkaz przewiezienia do obozu zamkniętego, mianowicie do Oświęcimia, z poleceniem zatrudnienia mnie w „rewirze".

Tak więc przygotowany plan ucieczki nie doszedł do skutku, natomiast w styczniu 1944 roku znalazłem się znów w Oświęcimiu, gdzie zostałem zatrudniony jako lekarz w bloku 19. W sierpniu tegoż roku dotarła do obozu wiadomość o powstaniu warszawskim. Wkrótce zaczęły się pojawiać pierwsze transporty uczestników powstania i masowo aresztowanej ludności stolicy. Jesienią 1944 roku został przygotowany duży transport ewakuacyjny do obozu w Mauthausen. Również i ja znalazłem się w tym transporcie. 18 września 1944 roku przybyliśmy do Mauthausen w górnej Austrii. Sami Niemcy nazywali ten obóz „Mordhausen" (dom śmierci) z powodu dużej liczby ofiar, które tam ginęły. Sam kamieniołom znacznie zwiększał śmiertelność. Był to, można określić, międzynarodowy obóz śmierci, w którym oprócz Polaków przebywali Rosjanie, Hiszpanie, Czesi, Włosi, Jugosłowianie, Węgrzy, Holendrzy, Niemcy, a nawet Anglicy i kilku obywateli USA.

Szpital obozowy mieścił się w dolnej części obozu i był bardzo prymitywny. Stał tam szereg baraków stajennych. W jednym takim baraku przebywało często przeszło tysiąc osób. Organizatorem całej służby sanitarnej i lekarskiej był Polak, nieraz już wspominany w różnych pamiętnikach z Mauthausen, dr *Czapliński,* który cieszył się dużym autorytetem nie tylko wśród więźniów, lecz także u samego komendanta obozu. Mimo szczególnie prymitywnych warunków opieka lekarska i pielęgniarska była dobrze zorganizowana zarówno w dolnym „lagrze" w „rewirze", jak też w górnej części, w „lagrach" I, II i III. Kierownikiem laboratorium szpitalnego był dr *Ławkowicz.* W centralnym „lagrze" znajdował się nowo wybudowany szpital z oddziałem chirurgicznym, którego kierownikiem był czeski chirurg, dr *Podlaha,* a lekarzami oddziałowymi byli polscy lekarze, dr *Krzymiński* i dr *Liberski.* Mnie przypadło stanowisko lekarza w „lagrze" III (kwarantanna). Do pomocy miałem czterech polskich sanitariuszy.

Codzienna praca polegała na przeglądzie i badaniu chorych zgłaszających się w poszczególnych blokach i na udzielaniu im pomocy lekarskiej. Ciężej chorych sanitariusze odprowadzali do „rewiru" szpitalnego. Porozumienie i częsty kontakt z drem *Czaplińskim* potrafiły często ocalić chorego i słabego dzięki umieszczeniu go w „rewirze". „Lager" III był przejściowy. Stąd więźniów kierowano do transportów do innych obozów, mniejszych, podległych centrali Mauthausen. Transporty były dość częste z powodu potrzebnych rąk do pracy. Więźniowie byli wysyłani do Gusen, Linzu, Ebensee, Passau, Melku, Peggau, Wiener-Neustadt, St. Valentin, Florisdorfu i innych podobozów i „komand", które miały często zasłużoną opinię bardzo ciężkich ze względu na rodzaj pracy i bombardowania wojsk alianckich w ostatnim okresie działań wojennych. Z tego powodu istniało więc porozumienie między lekarzami i pisarzami blokowymi, aby jak najmniej ludzi uznawać za zdolnych do transportu i aby zatrudniać ich wewnątrz obozu.

Dużo ofiar pochłaniały komory gazowe, egzekucje i praca w kamieniołomach. Był kwiecień 1945 roku. Wszyscy w obozie odczuwaliśmy, że to już wkrótce koniec panowania *herrenvolku* i jego *führera.* W obozowych „rewirach" nie podawano już chorym regularnych posiłków. Brak było chleba, a całodzienne wyżywienie stanowiło pół litra zupy. Pamiętam z tego okresu przykry wypadek, jaki się zdarzył w „rewirze". Dwóch współtowarzyszy leżących tam wyjęło ze zwłok znajdujących się obok całe wątroby i serca, aby je zjeść dla zaspokojenia nieprzezwyciężonego uczucia strasznego głodu.

Dalsze skutki głodowania mogłyby okazać się zgubne, gdyby nie szybka odsiecz aliantów. 5 maja 1945 roku wkroczyły pierwsze oddziały szturmowe armii amerykańskiej. Wielu esesmanów z komendantem obozu, *Ziereisem,* zdołało na kilka dni przed wkroczeniem wojska ujść i schronić się w pobliskich górach i w sąsiednich wioskach. Tropicielami byli nie tylko żołnierze, lecz również więźniowie narodowości polskiej, czeskiej i hiszpańskiej. Wskazywali żołnierzom rozpoznanych i schwytanych esesmanów, których zdradzały tatuaże pod pachami.

Na przypomnienie zasługuje zeznanie schwytanego komendanta obozu. *Ziereis* podał w swym zeznaniu między innymi, że został postrzelony 23 maja 1945 roku o godzinie 18 przez żołnierzy amerykańskich na schronisku w Spital am Pirn podczas ucieczki. Jeden postrzał przeszył lewe ramię, drugi plecy *Ziereisa,* przy czym kula przeszła przez brzuch i przebiła przeponę. Przewieziony do 131 szpitala ewakuacyjnego w Gusen, zbrodniarz ten zeznał dalej, że zgodnie z rozkazem *Himmlera*

i na polecenie *Kaltenbrunnera* miał zgładzić wszystkich więźniów przed oddaniem obozu Amerykanom. Mianowicie więźniowie mieli być doprowadzeni do sztolni, mającej po zamurowaniu tylko jedno wejście i tam wysadzeni w powietrze. *Ziereis* perfidnie twierdził, że sam odmówił wykonania tego rozkazu, ale w rzeczywistości więźniowie ocaleli dzięki zaskoczeniu i szybkiemu działaniu wojsk aliantów.

Ponadto *Ziereis* zeznał, że w obozie Mauthausen został wybudowany pod pozorem łazienek zakład do gazowania więźniów na zarządzenie lekarza *SS*, dr *Krebsbacha*. W tych rzekomych łazienkach gazowano więźniów. Ponadto kursowało z Mauthausen do Gusen specjalnie auto, w którym gazowano więźniów podczas jazdy. Lekarz *SS*, dr *Richter* „zoperował" w obozie bez jakiegokolwiek powodu kilkuset więźniów, wycinał im części mózgu, przeprowadzał bezsensowne operacje żołądka, nerek, wątroby, słowem — uprawiał wiwisekcje jak gdyby dla wprawy. Oprócz potwierdzenia tego faktu, *Ziereis* zeznał również, że był tajny rozkaz wymordowania wszystkich lekarzy, którzy pracowali w „rewirze". Także więźniowie pracujący dłuższy czas w „rewirze" oraz w krematorium mieli być zamordowani. Zakład gazowania w Mauthausen został, zdaniem *Ziereisa*, dlatego wybudowany, że uważano, iż jest bardziej „ludzko i kulturalnie" ludzi gazować niż rozstrzeliwać. W końcu swego zeznania *Ziereis* podkreślił, że jest jednym z oszukanych przez swoich przełożonych i żąda skonfrontowania, bo był tylko nieznanym szeregowcem, a wybił się przez swą „pilność i trudy".

Po wkroczeniu aliantów i oswobodzeniu obozu zaczął się okres samosądu. Zginęło sporo oprawców, w tym blokowych i „kapów". Szybko jednak zorganizowano nadzór nad blokami wydzielonymi według narodowości. Powstał również komitet polski, który czuwał nad porządkiem i zaopatrzeniem w żywność byłych więźniów. Zaczęto przygotowywać pierwsze transporty do Polski. Ochotniczo podjąłem pracę jako lekarz w szpitalu kobiecym przy 130 ewakuacyjnym szpitalu wojsk amerykańskich. Do szpitala tego zwożono wyczerpane i chore kobiety, więźniarki z okolic obozu, a potem założono oddział dla mężczyzn. Przy wydatnej pomocy sanitarnej i aprowizacyjnej zdołaliśmy w ciągu kilku miesięcy pracy przywrócić zdrowie i siły wielu setkom chorych. Współpracowałem w tym okresie z drem *Ławkowiczem*, drem *Hoffmanem*, drem *Gacą* i innymi, którzy służyli swą pomocą w administracji lecznictwa tego międzynarodowego szpitala.

Dziwił nas wszystkich brak rozeznania i całkowita nieświadomość rzeczywistości obozów koncentracyjnych ze strony dowództwa i żołnierzy armii amerykańskiej. Wojska alianckie dopiero po wkroczeniu do obozów przekonały się naocznie, co się działo za drutami kolczastymi. Stosy nie spalonych trupów, setki wyniszczonych więźniów pokazały wstrząsającą prawdę. Piece krematoryjne i sterty zwłok często fotografowali żołnierze, którzy wróciwszy do swej ojczyzny mogli pokazywać rodakom męczeństwo podbitych narodów. Ostrzegawcze znaczenie tych faktów do dzisiaj nie straciło aktualności.

Po wypełnieniu swej misji lekarskiej w ewakuacyjnym szpitalu polowym wróciłem z transportem ozdrowieńców do Polski w sierpniu 1945 roku, aby włączyć się w odbudowę kraju, wolnego już od nędzy i ucisku.

ZOFIA KORDYLEWSKA
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 82349

Toruń

Z okupacyjnych przeżyć lekarki

Wojna zastała mnie w szpitalu Miejskim w Toruniu, gdzie od dwóch lat pracowałam na oddziale wewnętrznym i zakaźnym oraz w poradni przeciwgruźliczej. Tak się złożyło, że wszyscy lekarze wyjechali i w chwili wkroczenia Niemców byłam jedynym lekarzem, który przez dwa tygodnie nie wychodził ze Szpitala (nie wiedziałam nawet, co się działo z moją rodziną, tj. z matką i z córeczkami 4- i 7-letnią). Ponieważ przybywało rannych, zatrzymano mnie nadal. Z czasem przyjęto również kilku kolegów, którzy wrócili do Torunia. Warunki pracy mieliśmy bardzo ciężkie, ponieważ główny gmach Szpitala był zniszczony. Od roku 1940 prowadziłam oddział zakaźny i dziecięcy pod kontrolą ordynatora-Niemca, który pokazywał się raz lub dwa razy w tygodniu.

W roku 1942 aresztowano mnie w związku z wykryciem komórki AK. Byłam trzy miesiące w więzieniu w Toruniu i trzy miesiące w Bydgoszczy. Tak się złożyło, że nikt z wówczas aresztowanych nie „sypnął", a szpital gwałtownie się o mnie dopominał, bo nikt z lekarzy niemieckich nie chciał pracować na oddziale zakaźnym w prymitywnych warunkach, toteż zostałam zwolniona i znów przyjęta do pracy w Szpitalu.

Drugi raz aresztowano mnie 21 kwietnia 1944 roku w związku z tym, że nie chciałam podpisać tzw. *volkslisty*. Na terenie Szpitala byłam

zresztą ostatnia, która nie miała wówczas tzw. III grupy. Trzymano mnie wtedy miesiąc w Toruniu i miesiąc znów w gestapo w Bydgoszczy. Stamtąd przewieziono mnie do Oświęcimia drogą przez Piłę, Poznań i Kraków.

Niewiele przeżyć okupacyjnych pamiętam dotychczas, mimo że były bardzo ciężkie. Po powrocie do domu w lipcu 1945 roku nie opowiadałam prawie wcale o tym, co przeszłam w obozach i więzieniach. Nie chciałam wracać do tego w żadnej formie. Teraz czasem mówię o tym okresie z moimi młodszymi kolegami, którzy prawie nic nie wiedzą o nim, ale zawsze mam dużo zahamowań. Nie chcę być w ich oczach „bohaterką narodową". Nakłoniona przez kolegów z Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, zbieram te strzępy wspomnień.

Wśród nich wyraźniej przywodzę na myśl ów drugi pobyt w Bydgoszczy. Miałam tam już kartotekę z roku 1942 i esesmani szybko mnie poznali. W więzieniu bydgoskim ogolono mi głowę — było to jedno z przeżyć, które wyraźnie utkwiło mi w pamięci — i wkrótce skierowano do Krakowa, gdzie więziono mnie siedem dni „pod Telegrafem". W Brzezince znalazłam się rano 1 lipca 1944 roku.

Dzień ten był straszny. Po rozebraniu i „wykąpaniu" trzymano nas prawie do wieczora nago (ocaliłam tylko szczoteczkę do zębów i kawałek chleba), potem „ubrano" nas. Dostałam za ciasną bieliznę, zamiast sukni czarny, płócienny fartuch i buciki: jeden czarny na niskim obcasie, a drugi brązowy, na wysokim.

Trzy makabryczne dni spędziłam w bloku obozowym. Czwartego dnia wysłano mnie do lekarza *SS, Königa*. Kazał mnie przenieść na „rewir". Zostałam przydzielona do baraku gruźliczego, w którym pracowała dr Władysława *Jasińska*, jakaś młoda lekarka francuska i starsza Rosjanka, Antonina *Uszacka*. Z tą ostatnią zżyłam się bliżej, bo nie znała żadnego obcego języka i tylko ze mną mogła się porozumieć. Blokową była młoda dziewczyna z Płocka, Pelagia (nazwiska nie pamiętam), typ bardzo prymitywny, ale umiejący urządzić sobie życie w warunkach obozowych. Blok gruźliczy miał około 300 chorych. Spałam wśród nich, na drugim piętrze.

O charakterze chorób więźniarek przebywających w tym bloku trudno mi napisać coś dokładniejszego. Metody rozpoznawania gruźlicy były zupełnie prymitywne; często polegało się na wywiadzie. Aparatu Roentgena nie było. Jakiś prymitywny aparat „zorganizowano" dopiero chyba we wrześniu 1944 roku. Tym trudniej więc określić, jaki odsetek chorych miał na pewno gruźlicę.

Inne bloki kierowały z tym rozpoznaniem wszystkie słabsze kobiety, gdyż była to jedyna możliwość dłuższego przetrzymania chorych. W wypadku innych rozpoznań trzeba było szybko zwalniać chore do obozu, gdzie panowały znacznie cięższe warunki. Dzięki przetrzymywaniu więźniarek w bloku gruźliczym ratowałyśmy między innymi kobiety z powstania warszawskiego.

W bloku był aparat odmowy (Jasińskiego). Dopełniało się odmę u chorych, które miały ją wytworzoną przed przyjściem do obozu. Kierowałyśmy się wyłącznie badaniem fizykalnym. Z jedną taką chorą utrzymywałam kontakt kilka lat po wojnie (osoba ta już nie żyje). Chore przeważnie same zdobywały leki. Niezachwiana była wówczas wiara w wapń; środek ten stosowało się szeroko. Nie zapomnę dnia wyjazdu z Brzezinki, kiedy stała bardzo długa kolejka przed „doktor Zofią" (to ja), żeby choć jeszcze raz zrobiła ten „cudowny", technicznie często bardzo trudny, zastrzyk dożylny.

Trochę różnych leków zdobywało się z transportów węgierskich. Dramat był kiedyś, gdy zaskoczono nas rewizją zrobioną na zarządzenie dra *Mengelego* i zabrano nam dwie walizki leków. Z tym osławionym lekarzem obozowym miałam bardzo ciężkie przejście. Na pryczach chorych wisiały karty z rozpoznaniem. Podczas którejś kontroli zrobił mi awanturę, że jest zbyt dużo chorych z wysiękiem opłucnowym. Starałam się wytłumaczyć, że to właśnie w 90% jest także gruźlica. Efekt był taki, że dr *Mengele* wprost ode mnie poszedł do baraku chorób wewnętrznych, na odmianę tam zrobił awanturę, dlaczego trzymają chore z wysiękiem, powtórzył dokładnie to, co usłyszał ode mnie i kazał te chore przenosić. Na szczęście widocznie zapomniał o tym zarządzeniu. Było to przecież jedno z rozpoznań fikcyjnych. Nie miałyśmy najmniejszej ochoty kłaść chore niegruźlicze do baraku, w którym były niewątpliwie chore prątkujące.

Odżywianie w baraku gruźliczym było takie samo, jak w innych blokach, przy czym dodatek: 1/4 litra chudego mleka. Czasem udawało się „zorganizować" jarzyny od „komanda", które chodziło do pracy na roli. W ogóle człowiek nie wytrzymałby w obozie ani jednej doby, gdyby wszystko robił legalnie. Barak gruźliczy cieszył się nieco lepszymi warunkami sanitarnymi; była tam woda i dwie wanny, czasem więc mogłyśmy się kąpać. Natomiast duże trudności nastręczało zdobywanie węgla.

Wśród chorych była, jak w całym obozie, wielka różnorodność typów. Niestety, wiele kobiet cechowała niska świadomość narodowa. Więźniarki te znalazły się w obozie za nielegalny handel, z obław ulicznych i one najczęściej uważały się za bohaterki, które — jak się kiedyś jedna z nich wyraziła — „będą miały dużo do powiedzenia w wolnej Polsce". Szczególną kategorią były tzw. „pflegerki" (pielęgniarki), najczęściej pozbawione wykształcenia zawodowego i traktujące swoją funkcję jako możliwość łatwiejszego przetrwania obozu.

Pobyt w baraku gruźliczym utrwalił we mnie wiarę w osobistą odporność na gruźlicę. Nie zapomnę, jak chorowałam na ciężką biegunkę (jakiś szczep bakteryjny swoisty dla Oświęcimia). Leżałam na drugim piętrze, otoczona cho-

rymi, z których liczne na pewno prątkowały, o dezynfekcji naczyń nie było mowy, a mimo to nie zachorowałam nigdy na gruźlicę.

15 października 1944 roku zostałam przewieziona do Chemnitz. Transport trwał trzy doby w wagonie pocztowym. Było nas tyle, że nie można się było położyć (oczywiście na gołych deskach). Dojechałyśmy do Chemnitz zupełnie zmaltretowane, toteż warunki, w jakich się znalazłyśmy, wydały się nam rajem. Była to hala fabryczna na czwartym piętrze z luźno ustawionymi, trzypiętrowymi łóżkami, wyposażona w cudowny *waschraum* z prysznicami i ciepłą wodą, istny więc luksus (dostępny dwa razy dziennie).

Przebywało tam 500 kobiet, które chodziły codziennie do pracy w dawnej fabryce maszyn biurowych, a w czasie wojny — części do samolotów. Dwie lekarki, tj. dr Halina *Socharska* i ja, oraz 8 *pflegerek*, z których żadna nie była prawdziwą pielęgniarką, stanowiłyśmy ambulatorium dla tych 500 kobiet. „Komando" to należało do obozu Flossenbürg (mój numer: 56483).

Miałyśmy kilka łóżek dla chorych, a mogłyśmy także zwalniać z pracy i zatrzymywać w łóżkach więcej chorych. Polek było niewiele. Najwięcej więziono tam Rosjanek, poza tym Jugosłowianki i Włoszki. W porównaniu z Oświęcimiem-Brzezinką bytowanie w tym „kommandzie" Flossenbürga było o wiele znośniejsze. Łatwiej też było przejawiać inicjatywę w niesieniu ulgi współwięźniarkom.

Niestety, te dobre warunki skończyły się szybko. Na początku lutego i w marcu 1944 r. przeżyłyśmy ciężkie bombardowanie. Zamknięto nas w hali („opiekunki" niemieckie zeszły do schronu). Przeżycie było potworne. Na piątym piętrze, nad naszymi głowami znajdowała się hala maszyn, miałyśmy więc świadomość, że wystarczy niewielka bomba, aby to wszystko spadło na nas. Na szczęście tak się nie stało, inne skrzydło fabryki uległo bowiem całkowitemu zniszczeniu. Zabrakło też wody.

15 kwietnia przetransportowano nas na dworzec podmiejski. Uciążliwa, piesza wędrówka trwała około 3—4 godzin nocą przez dokładnie zbombardowane i spalone miasto. Korzystając z nadarzającej się sposobności, kilka kobiet uciekło z transportu, ale czy udało im się dostać na wolność, nie wiem.

W Chemnitz załadowano nas do wagonów towarowych. Wypuszczono nas po trzech dniach w stanie skrajnego osłabienia. Wszystkie przeszłyśmy w tych dniach ciężką biegunkę. Pić dawano bardzo mało, ubikacji nie było, dosłownie: piekło na ziemi. Znalazłyśmy się w Czechosłowacji w obozie Litomierzyce. Po trzech tygodniach „komando" pojechało dalej, natomiast ja zostałam z chorymi po przebytym durze wysypkowym.

W chwili oswobodzenia Litomierzyc (9 maja 1945 roku) byłam nieprzytomna, chorowałam na dur. Że ten kryzys przeżyłam, zawdzięczam doktorowi *Hanyczowi*, który był w obozie i przetransportował mnie do szpitala miejskiego. Stamtąd po ozdrowieniu wróciłam do domu transportem repatriacyjnym.

Moment powrotu był także smutny i ponury. Przywitał mnie widok leżącego w gruzach dworca głównego w Toruniu, po lewej stronie Wisły. Miasto prawobrzeżne ocalało jednak z wojennej pożogi.

JANINA LACH-KAMIŃSKA Kraków
były więzień Montelupich oraz obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 46223, Ravensbrück i Oranienburg-Sachsenhausen nr 1700

W więzieniu i w obozach hitlerowskich

(1943 - 1945)[1]

Aresztowało mnie gestapo 8 kwietnia 1943 roku w Krakowie wraz z Anną *Małodobrą* i jej synem, Stanisławem w naszym mieszkaniu przy ul. św. Stanisława 4, m. 6, gdzie znajdowała się placówka konspiracyjna. Po przesłuchaniu w gmachu gestapo przy ul. Pomorskiej przewieziono nas niemiłosiernie pobitych do więzienia przy ul. Montelupich. Przez tę katownię przeszło w latach 1939—1945 kilkanaście tysięcy Polaków. Formowano tam transporty do obozów koncentracyjnych. Wielu więźniów kierowano stamtąd także na egzekucje, które odbywały się często w starym forcie poaustriackim w Krzesławicach pod Krakowem. Po trzech dniach pobytu w głównym budynku więzienia Montelupich — w małej i dusznej celi — przeprowadzono mnie razem z grupą więźniarek do sąsiedniego budynku przy ul. Helclów nr 2 (schronisko dla starców), gdzie w jednym skrzydle mieściło się więzienie dla kobiet polskich i Żydówek.

Pobyt w więzieniu był uciążliwy i nieznośny choćby z tego powodu, że przebywałyśmy w celach w potwornym zaduchu i smrodzie i brak

[1] Skrót obszerniejszej całości pt. „Moje wspomnienia" (z przeżyć okupacyjnych 1939—1943, następnie z pobytu w obozach oraz z lat 1945—1946, tj. z okresu wyzwolenia i powrotu do kraju).

było powietrza do oddychania, ponieważ potrzeby naturalne więźniarki załatwiały na miejscu i kible pozostawały przez dłuższy czas w celi, w której przebywało 38 kobiet. Spałyśmy na siennikach papierowych ze startą, brudną słomą, których w celi było 15. W dzień stały oparte o ścianę celi. Dzień rozpoczynał się tutaj o godzinie 5 rano. Trzeba się było szybko ubierać, zrobić porządek w celi, zjeść śniadanie i w gotowości oczekiwać odwiedzin „wachmana", który sprawdzał stan obecnych. Panowała surowa dyscyplina, za byle co karano biciem.

Dzień za dniem płynął monotonnie. Więźniarek politycznych nie wyznaczano do robót porządkowych poza celą, robiły to więźniarki kryminalne. Wyżywienie było niedostateczne i nie zaspokajało głodu: rano i wieczorem kiepska kawa lub jakieś ziółka oraz kawałek czarnego chleba, na obiad cienka zupa z brukwi, buraków, kapusty i małej ilości ziemniaków. Gdyby nie pomoc RGO (Patronatu Pomocy Więźniom) i PCK, które dostarczały do więzienia dwa razy w tygodniu porcje chleba z dodatkiem treściwych witamin, nie wytrzymałybyśmy długo.

Przez cały dzień pobytu w więzieniu nie byłam przesłuchiwana i to potwierdziło, że los mój jest przesądzony, żyłam więc w ciągłym strachu i myślałam stale, co jutro przyniesie, bo zwolnienia z więzienia były wydarzeniem wyjątkowym. Było to szczególnie dla więźniów politycznych wstępne przejście w ich tragicznej i męczeńskiej drodze do obozów zagłady lub egzekucji. Okropny los spotkał tu Żydówki. W czasie mego pobytu w więzieniu zdarzyło się, że po wyprowadzeniu na dziedziniec więzienny do samochodu grupy Żydówek, przeznaczonych na transport i wykończenie, padł okrzyk: „uciekać!"; wtedy niektóre z nich usiłowały zbiec. Padły strzały „wachmanów" i kilka Żydówek poniosło śmierć. Zwłoki zastrzelonych wrzucono do dużego dołu przeznaczonego na śmieci na tym dziedzińcu; dół przykryto następnie siennikami. Po tej krwawej operacji, gdy wyprowadzono nas na krótki spacer, przechodząc blisko słyszałyśmy jeszcze rzężenie niedobitych Żydówek.

Po 10 tygodniach pobytu w więzieniu Montelupich przewieziono nas 16 czerwca 1943 roku transportem zbiorowym do obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. W transporcie tym znalazła się też wspomniana już Anna *Małodobra* i jej syn, Stanisław.

Gdy się znalazłam w obozie w Brzezince, w pierwszej chwili nie mogłam sobie zdać sprawy z mojego położenia, patrząc przelotnie na sylwetki wychudzonych więźniarek, podobnych raczej do szkieletów niż do żyjących ludzi, z ostrzyżonymi głowami, z wpadniętymi i przerażonymi oczami, o smutnych i wykrzywionych twarzach. Te chodzące cienie były ubrane w brudne, obrzydliwe pasiaki, na nogach miały drewniane trepy. Odniosłam wrażenie okropne i niezatarte już z tej przyczyny, że i ja za chwilę miałam stać się „muzułmanem" i podzielić ich los, tym gorszy może i cięższy, że byłam w piątym miesiącu ciąży, a więc miałam tu żyć nie tylko dla siebie.

Nie było czasu na dalsze myśli i rozważania, ponieważ przystąpiono już do załatwiania formalności przyjęcia przybyłych do obozu, a wszystko to odbywało się przy piekielnym wrzasku esesmanów: *los, los!*, biciu i kopaniu *zugangów*. Po spisaniu danych osobowych, wytatuowaniu numeru więźniarskiego na lewej ręce (otrzymałam numer 46223), zagrabieniu zegarków, pieniędzy i kosztowności, ostrzyżeniu ze wszystkich włosów, odebraniu do „depozytu" ubrań osobistych oraz po „kąpieli" (opryskaniu zimną wodą) i przebraniu w brudne, podarte pasiaki i zawszoną bieliznę, przeprowadzono nas na *lager* A, blok 9, stanowiący kwarantannę. I tak się rozpoczęło. Głód, ciężka praca, bicie przez „wachmanów" i bardzo marne, nie wystarczające wyżywienie, sporządzane ze zgniłej brukwi, kapusty i innego zielska — powodowały masowość chorób przewodu pokarmowego, a zwłaszcza *durchfall*. Nic więc dziwnego, że wiele więźniarek przechodziło na tzw. „rewir", tj. szpital obozowy, w którym były „leczone" głodówką.

Los nie oszczędził i mnie, bo i ja zapadłam na tę chorobę i dostałam się na „rewir". Po pewnym czasie, gdy miałam być wypisana jako zdrowa, zachorowałam niespodzianie na dur brzuszny, spowodowany kontaktem z chorymi w „rewirze". Po kilku tygodniach, wyczerpana chorobami, zostałam przesunięta na *lager* B, blok 9. Tu spotkałam się z koleżankami, z którymi przybyłam do obozu. Były tu więźniarki różnej narodowości, niemal z całej Europy. Tłok panował straszny, warunki bytowe były trudne do wytrzymania, traktowanie przez esesmanów nieludzkie. Wypędzona od razu do ciężkiej roboty, musiałam pracować w „komandach" poza obozem w sąsiednich gospodarstwach rolnych, przy melioracji oraz wykonywać różne prace porządkowe w obrębie obozu. Ta masowa, ciężka i niewolnicza praca, trwająca od świtu do nocy, doprowadzała do wyniszczenia i zagłady wielu tysięcy osób.

Więźniarki wyznaczone do opróżniania dołów kloacznych musiały własną miską do jedzenia czerpać kał z latryn, a później jeść z tej samej miski. Było raz tak, że jedna z więźniarek, nie mogąc wykonać takiego zlecenia z powodu silnych torsji, została pochwycona przez dozorującego „wachmana" i głową opuszczona do dołu.

Siły opuszczały mnie coraz bardziej i już liczyłam się z tym, że długo nie wytrzymam takiego życia. Z każdym dniem czułam się słabsza, wszak będąc w ciąży powinnam mieć odpowiednie i dostateczne pożywienie, o czym trudno było tu marzyć. Robiłam więc wszystko, by przezwyciężyć ten stan rzeczy i ratować się. Oczekując na paczki żywnościowe z kraju, korzystałam na razie z pomocy koleżanek, które z otrzymywanych paczek dzieliły się ze mną, czym mogły.

Któregoś dnia w czasie *blocksperry* przystą-

piono w czasie apelu do robienia zastrzyków między żebra, rzekomo w celu zapobieżenia epidemiom. Na drugi dzień po tym zabiegu, podobnie jak inne koleżanki, byłam zamącona, słaba i w gorączce. Mimo to wypędzono nas do pracy w polu przy kopaniu rowów. Pilnował nas okrutny esesman, wysoki blondyn, który często przyjeżdżał na koniu do podobozu Budy, nazwany przez więźniarki „Iwanem Groźnym" z powodu swej groźnej postawy i sadystycznego postępowania. Wiedząc, że byłyśmy po zastrzykach słabe i wycieńczone, urządzał on gonitwy za więźniarkami, w czasie których zadawał razy od tyłu, a gdy pobite padały na ziemię, pędził za innymi. Jeśli któraś nie mogła się podnieść, kopał ją i bił aż do skonania. Byłam świadkiem, jak „Iwan Groźny" przy upadku pewnej więźniarki kazał innej nabrać do miski błota z rowu, które położył na twarz leżącej, a gdy ta zaczęła się dusić, stanął na jej brzuchu i piersiach i zastrzelił ją. Trupa niosły do obozu więźniarki na „tragach", aby stan apelu się zgadzał.

Codziennie rano i wieczór po powrocie z pracy odbywały się na dziedzińcu obozowym apele więźniarek. Funkcyjni ustawiali z niesamowitym wrzaskiem kolumny piątkowe. Gdy się coś w liczeniu nie zgadzało, apele przedłużały się bez względu na porę roku i pogodę, a nawet trwały przez całą noc. Za braki ponosił sankcje nie tylko blok, lecz cały *lager*. Były przypadki, że po długim apelu więźniarki nie dostawały kolacji. Innym razem w mokrym od deszczu ubraniu poszły spać, a rano w takim stanie trzeba było iść do pracy. Wielogodzinne wystawanie więźniarek w czasie apelu w błocie, na zimnie i wilgoci dziesiątkowało je.

Po apelu porannym, przy wyjściu do roboty i w czasie powrotu grała przy bramie obozowej orkiestra złożona z kilkunastu więźniarek. Kto nie dotrzymał kroku, był bity i kopany przez „wachmanów". Dziwnie to wszystko wyglądało, gdy dźwięki orkiestry głuszyły jęki półprzytomnych, zmęczonych pracą i padających z głodu więźniarek, a w pobliżu dymiły krematoria.

Byłam świadkiem, jak transporty więźniarek z dziećmi nadchodziły codziennie niemal z całej Europy i były wyładowywane jak bydło na rampie kolejowej w Brzezince. Widziałam, jak natychmiast po przybyciu transportu na miejsce esesmani przeprowadzali selekcje, kierując część przybyłych do krematorium, niektórych do obozu.

Pewnego dnia podczas apelu został wywołany mój numer obozowy. Gdy wystąpiłam, kazano mi się zgłosić w *Politische Abteilung*. Dreszcz i strach przeszły po moim ciele, ponieważ wiedziałam, co mnie czeka, nasłuchałam się bowiem dużo od koleżanek, które tam już były i wiedziały, jakie są efekty gestapowskich przesłuchań. Gdy zgłosiłam się tam w wyznaczonym terminie, przesłuchanie rozpoczęło się od tego, za co zostałam aresztowana w Krakowie, na co odpowiedziałam krótko, że nie wiem. Za taką odpowiedź stojący za mną oprawca uderzył mnie jakimś przedmiotem w czoło i zadał następne ciosy w plecy i piersi. Zatoczyłam się od tych uderzeń jak pijana i gdy chwyciłam się za głowę, poczułam, że krew prysnęła mi z głowy, a jednocześnie odczułam silny ból głowy.

Następnie zadano mi pytanie na temat mej pracy zawodowej w Krakowie i indagowano, czy znam osoby o podanych mi nazwiskach. Gestapowiec pokazał mi fotografie osób, które znałam z konspiracji. I tym razem moja wymijająca odpowiedź nie zadowoliła przesłuchującego mnie. Znowu posypały się razy, które okaleczyły całe moje ciało. Blizny od tych uderzeń oraz załamanie kości czołowej widoczne są do dnia dzisiejszego. Na tym gestapowiec na razie zakończył przesłuchanie i pozwolił mi wrócić na *lager*, a równocześnie stojący za mną zbir dodał mi przy wyjściu jeszcze jednego silnego kopniaka, trafiając ciężkim, podkutym butem w kość ogonową. Słaniając się z bólu, wyczerpana do ostatnich granic, załamana psychicznie, pokrwawiona i posiniaczona dowlokłam się z wielkim trudem do *lagru* i jeszcze tego samego dnia zostałam odstawiona na „rewir" do bloku nr 24, gdzie w strasznych warunkach i męczarniach oraz w okropnych bólach urodziłam przedwcześnie dziecko, dające jeszcze słabe oznaki życia. Zostało ono od razu wrzucone do wiadra z nieczystościami i oddane następnie do spalenia w krematorium. Odbierającą dziecko była położna, więźniarka niemiecka *Klara*.

To straszne dla mnie przeżycie spowodowało silny wstrząs psychiczny, załamało mnie całkowicie i przez dłuższy czas nie mogłam przyjść do siebie z powodu tak brutalnego barbarzyństwa, dokonanego przez ludobójców hitlerowskich, których przeklinam po dzień dzisiejszy dlatego, że zabili moje pierwsze dziecko.

Ciężko chora przeleżałam w „rewirze" przez wiele tygodni, przy utrzymującej się od chwili porodu wysokiej gorączce, aż pewnego dnia dowiedziałam się od lekarki, że jestem chora na dur wysypkowy. Nic w tym dziwnego, bo w „rewirze" były zakażone wszy, a poza tym ciągle robiono jakieś zastrzyki doświadczalne. Z wysoką ciepłotą, bólem głowy i wysypką na ciele zostałam przeniesiona do bloku 29, gdzie pozostawałam już dłużej, przechodząc kolejno zapalenie płuc z wysiękiem, gościec stawowy, uraz kręgosłupa. Głowa bolała mnie stale wskutek doznanych urazów i załamania kości czołowej. Straciłam pamięć i przez dłuższy czas nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Ponadto trapiły mnie odleżyny, duże rany, wrzody na ciele, awitaminoza i opuchlina głodowa. Straciłam też słuch i głuchota trwa do dnia dzisiejszego; poza tym cierpię na komplikacje wzrokowe, które muszę stale leczyć.

W „rewirze" w Brzezince przebywałam ogółem 10 miesięcy. Warunki panowały tam bardzo złe; traktowanie przez personel funkcyjny pozostawiało bardzo wiele do życzenia. Brak leków, eksperymenty zbrodnicze, częste selekcje, głód, ciasnota, robactwo i szczury oraz trudny do zniesienia zaduch stwarzały sytu-

ację ciężką do przetrwania. Warunki sanitarne sprzyjały szerzeniu się epidemii i chorób zakaźnych. Codziennie ginęło wieleset więźniarek. Plagą obozu był świerzb. Używane bandaże z papieru zmieniano zwykle raz na tydzień, można więc sobie wyobrazić, jak legowisko było z tego powodu zalane ropą i jaki panował smród. Wrzody „leczono" wypalając je rozcieńczonym kwasem siarczanym lub solnym. Po tym zabiegu pozostawał na ciele biały pyłek, który palił jak ogień. Taki zabieg i ja przeżyłam. Dokonywano zastrzyków między żebra, wsypywano do zup środki chemiczne, robiono różne zabiegi ginekologiczne oraz stosowano odmy. Czyniono także eksperymenty z chorymi psychicznie, kończące się ich śmiercią. Niektóre chore leżały w „rewirze" przez całą noc, a nawet w dzień obok zwłok oczekujących na transport „do komina".

Jeśli to wszystko przetrwałam i mogłam tak długo w ciągłej groźbie selekcji przebywać w „rewirze", gdzie dłużej leżące więźniarki wyznaczano do gazu, to swoje przeżycie zawdzięczam tylko dobrym ludziom, oddanym sprawie bliźnich i nie szczędzących im serdecznej pomocy w nieszczęściu. Do tych samarytanek należały więźniarki-Polki, które pełniły w szpitalu kobiecym w Brzezince czynności lekarek i pielęgniarek oraz koleżanki, które będąc same chore, czyniły wszystko, aby nieść wszelaką pomoc ciężej chorym i przy odbywających się tu selekcjach ratować współwięźniarki przed skierowaniem do gazu. W tym czasie z lekarek były czynne między innymi dr Janina *Węgierska,* dr Alina *Tetmajer,* dr Władysława *Jasińska* i dr Ernestyna *Michalikowa,* która zmarła w bloku 24. Z pielęgniarek i koleżanek obozowych niosących pomoc były *Komendzina* z Kielc, Maria *Steczowicz* (nauczycielka z Bochni), Lala *Ripper* z Krakowa, Wanda *Rychlik* z Jordanowa i inne.

Wymienionym lekarkom i koleżankom jestem wdzięczna za ratunek i przeżycie obozu, one to bowiem z narażeniem własnego życia zmieniały w czasie selekcji chorych więźniarek karty chorobowe, fałszowały rozpoznania oraz „poprawiały" daty przybycia na „rewir". Wykazywały tymi i innymi sposobami wyjątkową odwagę i pomysłowość, aby ratować, kogo się tylko dało.

W styczniu 1944 roku, gdy przebywałam jeszcze w „rewirze", odbyła się kolejna selekcja więźniarek do gazu. Tym razem zakwalifikowano przeszło 170 chorych, wśród których i ja się znalazłam. Miałyśmy zostać wywiezione rzekomo na leczenie do innych obozów niemieckich. Nie było jednak czasu na wykonanie tego zamierzenia z powodu zmiany sytuacji na froncie wschodnim, gdy ofensywa radziecka parła z całą gwałtownością na zachód. Niemcy potrzebowali nowych posiłków i zaczęli wycofywać z funkcji obozowych niektórych esesmanów, zastępując ich „zasłużonymi" zbrodniarzami spośród niemieckich kryminalistów. Ta zmiana funkcyjnych i związane z nią zamieszanie uratowało nas od zagłady. Oznajmiły nam o tym lekarki, które z radością zaczęły zmieniać nasze karty chorobowe i preparować nowe daty. Tak przeżyłyśmy ten groźny dla nas kryzys.

Nazwiska tych polskich lekarek, które ratowały w „rewirze" życie ludzkie, winny być wyryte na tablicy w byłym obozie oświęcimskim, aby w ten sposób oddać im cześć i wyrazić wdzięczność uratowanych więźniarek.

Gdy się stan mojego zdrowia polepszył, wróciłam na *lager* B i blok roboczy nr 9, do tamtejszego piekła. Tu dowiedziałam się, że Anna *Małodobra,* z którą byłam aresztowana w placówce konspiracyjnej w Krakowie, zginęła w Brzezince w maju 1944 roku.

Do warunków obozowych jakoś się przyzwyczaiłam. Wiele więźniarek miało tu oddane towarzyszki, z którymi łączyła je więź przyjaźni. Trzymały się one w grupkach i wzajemnie sobie pomagały w codziennej wegetacji, w każdym niebezpieczeństwie, a nawet w panującej głodówce dzieliły się jakąś zdobytą strawą lub rarytasem w postaci cebuli itp. z paczki otrzymanej z kraju. Ta pomoc wpływała dodatnio na naszą psychikę, rozpraszała monotonię życia obozowego, pozwalała zachować wytrzymałość nerwów, zdyscyplinowanie i koleżeńskość. Do tych serdecznych i oddanych moich przyjaciółek, które pomagały mi w najcięższych chwilach i ratowały mnie w nieszczęściu, należały Maria *Kalisz* (nr obozowy 35096), obecnie mieszkająca w Krakowie, Jadwiga *Bień,* nauczycielka w Tarnowie i Maria *Sadowska.*

W „rewirze" spotkałam się z Marią *Rychlik* i jej córką, Wandą, z Jordanowa. Syn Marii, Stanisław, partyzant i bojowiec, zginął wraz ze swym towarzyszem, Kazimierzem *Leśniakiem* w czasie pościgu gestapo w Krakowie dnia 2 kwietnia 1943 roku koło Poczty Głównej. Obaj byli mi znani z placówki konspiracyjnej przy ul. Stanisława 4, m. 6, gdzie się ukrywali i skąd robili wypady zbrojne. Działał tu też drugi syn Marii, Tadeusz *Rychlik* (obecnie doktor, docent, dyrektor Instytutu Ekonomiki Rolnej w Warszawie), który również był aresztowany wraz z matką i siostrą i przebywał w obozie oświęcimskim. Maria *Rychlik* z córką Wandą i synem Tadeuszem ocaleli i wrócili z obozu. Wiąże się to z moim aresztowaniem wraz z rodziną *Małodobrych* (trzy osoby), która zginęła w obozie.

Po przybyciu z „rewiru" do bloku roboczego, będąc całkiem wyczerpana z sił (straciłam 50% wagi), ledwie mogłam się poruszać, a niezdolna do ciężkiej pracy, zaczęłam się „obijać" na oczach funkcyjnych; chodziłam z miotłą i wiadrem przez cały dzień i robiłam tu i ówdzie porządki.

Na zlecenie „anweisjerki" „Elsy", więźniarki narodowości czeskiej, zostałam włączona do dziesiątki więźniarek, które robiły porządek w komorach gazowych przy krematorium. Zatrudniona tutaj, obserwowałam z niewielkiej odległości barbarzyńskie i mrożące krew w żyłach, iście dantejskie sceny, rozgrywające się

wśród grup przeznaczonych do gazu, rozłączanie rodzin i dzieci od matek przez rozbestwionych esesmanów. Ludzie z transportów, kierowani rzekomo do kąpieli, nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich za chwilę czeka. Kaci hitlerowscy kazali im się rozbierać do naga i po obrabowaniu z zegarków, pieniędzy i kosztowności przepędzali do komór z biciem i wrzaskiem partię przeznaczonych do gazu. Jak wiadomo, po zamknięciu szczelnych drzwi rzucano przez otwory w suficie ładunki gazowe. Po jakimś czasie otwierano drzwi. Żydzi z *sonderkommando* po przewietrzeniu komór usuwali zwłoki zagazowanych i przenosili je do pieców krematoryjnych. Po opróżnieniu komór ze zwłok dziesiątka więźniarek przystępowała do sprzątania posadzek i ścian, zanieczyszczonych krwią, kałem, wymiocinami i innym brudem po tych, którzy tu przed chwilą zginęli.

Nieopisane wrażenie wywarło na mnie krematorium widziane z bliska, gdy z kominów unosiły się bez przerwy dymy, a wstrętny smród palonych ciał utrudniał nam oddychanie. Piece były czynne bez przerwy i nie nadążały wykonać „produkcji". To, co tu widziałam, był to straszny widok, trudny do przedstawienia czytelnikowi. Będąc tu zatrudniona kilka dni, nie mogłam już dłużej wytrzymać, a ostrzeżona przez więźniów z *sonderkommanda*, że pracując nadal, mogę sama pójść do gazu, bo za dużo widziałam, nie zgłosiłam się więcej do tej roboty. Jakoś udało mi się włączyć do innej grupy, pracującej poza obozem.

Za wszelkie, nawet najmniejsze uchybianie w dyscyplinie, a nawet bez powodu stosowano wobec więźniarek kary objęte regulaminem obozowym. Obowiązywała tu kara chłosty, zamknięcie w bunkrze, odebranie pożywienia i inne represje. Poza karami regulaminowymi krwawi oprawcy stosowali wobec więźniarek na własną rękę takie tortury, jak bicie do krwi i kopanie aż do uszkodzenia ciała, łamanie kości, wyrywanie włosów, wybijanie zębów, skakanie w ciężkich butach po brzuchu i piersiach więźniarki. Wskutek takich metod i bestialskiego postępowania esesmanów tysiące więźniarek szybko doczekały się swego męczeńskiego końca. Pierwszy z brzegu oprawca mógł zrobić z więźniarką, co mu się podobało, a nawet zabić i było to tolerowane przez władze obozowe.

I ja byłam wielokrotnie zbita w obozie do krwi, a za zabranie kilku ziemniaków z pola zostałam skazana na chłostę (15 kijów). Wytrzymałam tylko pięć uderzeń bykowcem, bo straciłam przytomność. Owej nocy leżałam w koi na brzuchu i syczałam z bólu. Innym razem za jakieś uchybienie w polu zostałam kopnięta przez esesmana i upadając na ziemię uderzyłam się mocno, o zawieszony na pasku garnuszek, w okolicę żołądka. W pierwszej chwili sądziłam, że pękł mi żołądek. Przez kilka następnych dni nie mogłam nic jeść, płyny oddawałam w torsjach i jeszcze długo odczuwałam silne bóle. Takich wydarzeń było każdego dnia tysiące i trudno jest je opisywać, ponieważ wszystkie były podobne i mrożące krew w żyłach, zwłaszcza dla człowieka, który sam przeżył i widział to wszystko w Brzezince.

Raz na obiad dostałyśmy zupę, do której w kuchni zatrudnione tam więźniarki wsypały przez pomyłkę gips zamiast mąki. Spowodowało to u wielu więźniarek śmiertelne torsje i ciężkie choroby przewodu pokarmowego. Brak dostatecznej liczby łyżek i misek do jedzenia był przekleństwem w obozie. Korzystanie z ustępów, do których trudno się było dostać, stwarzało esesmanom okazję do sadystycznych szykan i bicia więźniarek.

W sierpniu 1944 roku zaczęły nadchodzić do Brzezinki transporty starszych kobiet i dzieci z Warszawy, stąd więc mieliśmy wiadomości o powstaniu warszawskim. Zabłysła wtedy w naszych sercach iskierka nadziei szybkiego wyzwolenia, byle tylko wytrzymać wszystko.

Listy oprawców nie wyczerpywali liczni zbrodniarze, kaci funkcyjni i sadyści w Brzezince, tacy jak komendantka Maria *Mandl*, esesmani *Grabner, Scherpe, Boger, Drechsler*, kapo *Leo*, lekarka *Erne* oraz wielu „wachmanów" z uprzednio już wspomnianym „Iwanem Groźnym" na czele, którzy bili strasznie i bezlitośnie więźniarki do tego stopnia, że ledwie uchodziły one z życiem, musiały długo leczyć swe rany i żyć w ciągłym strachu. Wśród prześladowców znalazła się też jedna z polskich więźniarek, która spodliła się i sprzedała Niemcom. Prowadząc robotę przeciw koleżankom niedoli, biła je bez serca, postępowała brutalnie i dręczyła je. Była to Stenia *Starostek*, pełniąca funkcję *lagerälteste*. Gdy raz bijąc więźniarkę złamała przy tej czynności prawą rękę, biła później lewą i krzyczała, że ma jeszcze zdrowe nogi do bicia i kopania. Obrzucała więźniarki najordynarniejszymi wyzwiskami. Była też donosicielką.

W jesieni 1944 roku, dzięki ofensywie radzieckiej, front przesuwał się coraz dalej na zachód. Hitlerowcy rozpoczęli wysyłanie transportów z więźniami z Oświęcimia-Brzezinki na zachód, do pracy w fabrykach. Nadzieja na szybkie wyzwolenie wstąpiła znowu w nasze serca i dodała nam otuchy i siły. W sierpniu przystąpiono do czynności selekcyjnych. Tylko zdrowi i zdolni do pracy mogli być wyznaczeni do transportu, a tych potrzeba było kilka tysięcy. Mimo że znajdowałam się w tym czasie w złej kondycji fizycznej, dzięki koleżankom obozowym udało mi się wyjechać z transportem liczącym dwa tysiące osób.

W takich warunkach rozpoczęłam drugi okres życia obozowego, opuściwszy znienawidzone baraki i obóz w Brzezince, którego sama nazwa budziła grozę i który jako obóz zagłady pozostanie mi w pamięci na całe życie.

Celu podróży nie znałyśmy. Po wielu godzinach jazdy w wagonach kolejowych, stłoczeni jak bydło i z różnymi przygodami w drodze, po odbyciu na koniec marszu pieszego doprowadzono nas dnia 14 sierpnia 1944 roku wieczorem do obozu koncentracyjnego dla kobiet

w Ravensbrück. Przez trzy dni kwaterowałyśmy na dziedzińcu obozu pod gołym niebem, a następnie pozostawałyśmy na kwarantannie w bloku nr 19. Przez cały czas pobytu, tj. do dnia 1 października 1944 roku byłyśmy zamknięte, dzięki czemu odpoczęłyśmy i mogłyśmy nabrać siły do dalszej wędrówki. Więźniarki, które przebywały tu dłużej, odnosiły się do nas bardzo życzliwie.

Następnie przeszłyśmy przez obóz koncentracyjny Oranienburg, gdzie zatrudniono nas w fabryce Siemensa przy wykonywaniu części do samolotów. Pracowało tu wiele tysięcy więźniów różnej narodowości. Praca trwała od godziny 6 do 18. Gdy bomby spadały na fabrykę w dzień, pracowałyśmy w nocy w schronach. Wyżywienie było bardzo słabe, racje żywnościowe zmniejszono do minimum. Zdarzały się tu sabotaże ze strony więźniów. Gdy w lutym 1945 roku bloki mieszkalne zostały zbombardowane, przeniesiono nas do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Otrzymałam numer obozowy 1700. Zostałyśmy tu zatrudnione przy produkcji amunicji i przy odkopywaniu gruzów po zbombardowanych budynkach. Praca bardzo ciężka, ponad siły i coraz gorsze wyżywienie powodowały, że setki więźniarek chorowały wskutek wyczerpania. Traktowanie przez funkcyjnych zbirów było bardzo złe, w szczególności wobec więźniarek politycznych z czerwonymi trójkątami z literą P. Dyscyplina i bicie, jak w Brzezince. Obiekty, w których pracowałyśmy, alianci stale bombardowali. Dochodziły wyraźnie odgłosy walk zacieśniających się wokoło Berlina, który był bezustannie bombardowany i płonął.

Bomby rozwaliły *schreibstubę* i część kuchni obozowej. Przystąpiono do ewakuacji więźniów z tego terenu. Wśród przybyłych z Oranienburga było dużo rannych więźniarek. Nie wiadomo, jaki dalszy los je spotkał.

W czasie apelu w Sachsenhausen byłam świadkiem powieszenia na słupku przez esesmanów młodej Rosjanki, u której znaleziono cywilny płaszcz, pochwycony przez nią podczas odgruzowywania budynków. Dziewczyna ta pozostawała na słupku do rana i zginęła. Innym razem za spóźnienie się na apel pewna więźniarka została strącona przez „wachmana" do głębokiego rowu kloacznego.

Ewakuacja z Sachsenhausen na zachód nastąpiła 21 kwietnia 1945 roku. Stała się ona drogą śmierci dla więźniów wyruszających z tego obozu. Długie kolumny więźniów i więźniarek różnej narodowości — po 500 w każdej kolumnie — esesowcy gnali w szybkim tempie, a kto nie mógł iść w kolumnie, ginął od ich strzałów. Takich, którzy nie wytrzymywali marszu i nie doczekali się wolności, było tysiące.

Kolumny więźniarskie maszerowały przez 12 dni w dzień. W nocy odpoczywaliśmy i spaliśmy w lesie. Jeden raz marsz odbywał się w nocy; raz spałyśmy w dużej stajni. Pilno było naszym strażnikom, skoro marsz odbywał się nawet 40 km dziennie. Więźniowie dostali na drogę jeden bochenek chleba na osobę i jedną puszkę konserwy mięsnej na cztery osoby. Raz tylko dostaliśmy jakąś zupę, przypominającą krochmal. Pragnienie gasiliśmy wodą ze stawów i z rowów. Głód dziesiątkował więźniów. Na drodze spotykało się coraz więcej trupów. Marsz odbywał się w niesamowitych warunkach, słabsze koleżanki padały i trzeba je było prowadzić pod ramię. Do tych i ja się zaliczałam. Nasze obolałe nogi, starta skóra i rany na podeszwach i piętach oraz ogólne wyczerpanie, ogromne zmęczenie, spiekota w gardle i tumany kurzu utrudniające oddech czyniły marsz niezmiernie uciążliwym. Na prośbę więźniów co kilka kilometrów odpoczywaliśmy, nie dłużej jednak niż 10 minut. Byłam świadkiem zastrzelenia przez esesmana więźnia z kolumny maszerującej przed nami. Gdy więzień nie mógł iść i upadł, „wachman" odciągnął go na bok i zastrzelił opodal pod przydrożnym drzewem. Widziałam z bliska błagalny gest tego więźnia, ale nic mu to nie pomogło; zginął, jak tysiące innych.

Na całej trasie tego marszu śmierci padła i straciła życie ogromna liczba więźniów i więźniarek. Dla orientacji podaję, że z kolumny, w której maszerowałam, liczącej 500 osób, przybyło do miejsca oswobodzenia około 170 osób.

W końcowej fazie naszego marszu eskortujący nas „wachmani" byli bardzo niespokojni z powodu toczących się walk, które zbliżały się od zachodu. Zaczęli więc myśleć o sobie i przygotowywać się do opuszczenia nas. Na naszych oczach odpruwali z mundurów trupie główki, niszczyli dokumenty, a w końcu dyskretnie porzucali posiadaną broń. Kilku katów z Sachsenhausen, którzy postępowali wobec więźniów okrutnie i brutalnie oraz zabijali więźniów na drodze śmierci, zostało schwytanych przez więźniów i ukaranych.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy zostaliśmy sami, a porządek obozowy był już za nami, wolność zaś bliska. Teraz nie wolno umierać, trzeba żyć, najgorsze przetrwaliśmy. Na naszej dalszej drodze ukazał się od zachodu samochód patrolowy z żołnierzami. W pierwszej chwili nie było wiadome, kto to, lecz wkrótce wśród ogólnej wrzawy okazało się, że są to żołnierze amerykańscy, nasi wybawcy. Było to 2 maja 1945 roku około godziny 14 w lasach między Hagenowem i Schwerinem.

ROMUALD SZTABA Gdańsk
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 10997, Majdanek, Gross-Rosen nr 29235 i Litomierzyce

O niektórych więźniach Majdanka

Szybko biegnące dni, wypełnione codzienną pracą i stale nowymi problemami, odsuwają coraz bardziej w niepamięć lata walki z nazizmem. Zacierają się sylwetki tych, którzy walczyli. Bardzo wielu zginęło, z obozów wrócili tylko nieliczni. Tym bardziej należy wspominać zasłużone postacie.

Z racji swej pracy lekarskiej w obozie miałem bliższy kontakt z więźniami. Spotykałem zdolnych i inteligentnych ludzi, zaplątanych w siatkę tragicznych wypadków, które tylko tutaj zdarzyć się mogły. Pamiętam skromnych i cichych bohaterów, o których ofiarnym życiu i śmierci wie bardzo niewielu świadków. Korzystam z zaproszenia redakcji zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", ażeby podać trochę wspomnień o niektórych więźniach spotkanych w Majdanku.

Zbyszka *Lickendorfa*, młodego harcerza z Warszawy, spotkałem w jednym z bloków „rewiru". Wyróżniał się spośród chorych dużą energią i humorem. Czasami, gdy czuł się lepiej, pomagał nam robić porządki w sali chorych. Był chłopcem radosnym. Długotrwała skacząca ciepłota i niewyraźne zmiany w płucach wskazywały na ewentualność gruźlicy. Pewnego dnia, gdy wszystkich chorych ważono, wśród nich i on stanął na wadze. Jego twarz, dziecinna jeszcze, spoważniała. Po krótkiej zadumie Zbyszek powiedział: „Będę się cieszył, gdy będę ważył tyle, ile mam stopni gorączki, a chciałbym mieć tyle stopni, ile ważę". Zbyszek miał 39°, ważył 37 kg. Byłby się cieszył, jak mówił, gdyby ważył 39 kg. Bardzo niski to jeszcze ciężar, ale nie miałby gorączki. Mógłby więc żywić nadzieję na przetrwanie obozu, aczkolwiek był wówczas dopiero rok 1942 i terminu zakończenia wojny nie sposób było przewidzieć. Gdy porównał swą ciepłotę z ciężarem ciała, młodzieńcza energia i wola przeżycia obozu została na chwilę zachwiana.

*

W innym bloku „rewirowym" spotkałem się z młodym Żydem słowackim. Miał może 16 lat. Przeszedł dur wysypkowy, czuł się dość dobrze. Był dowcipny i inteligentny. Pewnego dnia od niemieckiego naczelnego lekarza obozu otrzymaliśmy rozkaz, ażeby na karcie gorączkowej, którą wypisywano każdemu choremu więźniowi, notować liczbę złotych zębów. Było to na początku akcji oficjalnego wyrywania złotych zębów zmarłym przez oddelegowanego w tym celu esesmana. Ponieważ chorzy, którzy już leżeli w „rewirze", nie mieli jeszcze tych adnotacji, ogłosiłem rozkaz lekarza obozowego z prośbą o zgłaszanie danych. Nie pamiętam, czy ktoś się zgłosił, czy nie, ale po powtórzeniu rozkazu, gdy nieprzyjemna cisza zaległa salę, odezwał się młody chłopiec ze Słowacji: „Ja nie mam złotych zębów, ale mam złote serce".

Młody mój kolego, nie miałeś wtedy złotych zębów, nie zdążyłeś zepsuć w trudnym życiu swej pięknej, radosnej młodości i nie zdążyłeś włożyć w usta protezy z drogiego, błyszczącego kruszcu; miałeś złote serce, które jest trudniej wyrwać niż zęby. Byłbyś radością rodziców i przyjaciół, miałbyś piękny zawód w przyszłości, gdyby nie hitlerowska akcja „całkowitego rozwiązania problemu żydowskiego" w Europie.

*

Z innym młodym chłopcem żydowskim spotkanie było dość trudne. Koledzy więźniowie, którzy pracowali w magazynie przy sortowaniu rzeczy odebranych nowo przybyłym więźniom, przynieśli znaleziony tam brewiarz. Na pierwszej stronie była dedykacja napisana ładnym, wyrobionym pismem: „Mojemu najdroższemu synowi, Josefowi *Roubičkowi* — Matka". Przez kolegów pracujących w kancelarii obozowej próbowaliśmy odszukać Józefa *Roubička*. W ostatnim transporcie przyjechało dwóch Słowaków o tym imieniu i nazwisku. Jeden, starszy, lat około 50 i drugi, młody, może 17-letni. Żaden z nich nie chciał się przyznać do posiadania brewiarza. Obaj byli przestraszeni i nieufni. Zawód podawany do kartoteki rzadko zgadzał się z rzeczywistym. I z tej strony nie mieliśmy pomocy. Sądząc z treści dedykacji należało przypuszczać, że właścicielem brewiarza jest młody chłopiec. W końcu po długiej i serdecznej rozmowie przyznał się, że jest poszukiwanym przez nas Józefem *Roubičkiem*.

Gdy pozyskaliśmy jego zaufanie, opowiedział nam koleje swego losu. Ojciec jego był Żydem, zmarł przed kilkoma laty. Matka była Słowaczką. Przed rokiem, chroniąc swe jedyne dziecko, umieściła chłopca w seminarium duchownym, a w dniu rozłąki ofiarowała mu brewiarz z dedykacją. Jako dziecko małżeństwa mieszanego chłopiec dostał się do obozu koncentracyjnego w Majdanku. Józef *Roubiček* był delikatny i nieśmiały, raczej niezaradny. Powolny i spokojny, nie bardzo zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Brewiarza nie chciał przyjąć z powrotem, gdyż więźniom nie wolno było mieć książek. Chłopiec pracował w różnych dość dobrych „komandach" i zginął w najbardziej krwawym *Sondernbehandlung*, które hitlerowcy organizowali Żydom w dniu 3 listopada 1942 roku we wszystkich obozach na terenie ówczesnej Generalnej Guberni.

*

Pewnego dnia przyszedł z grupą kilku cho-

rych do bloku „rewirowego", w którym pracowałem, więzień około 40-letni, krępy, silnej, raczej atletycznej budowy, o energicznych, sprężystych ruchach. Spod dużych, wyrazistych, czarnych brwi wnikliwie spoglądał dokoła. Swą postawą i zachowaniem wyróżniał się wśród innych chorych. Nazwisko Jan *Kozłowski* nic nam nie mówiło. Podczas choroby kontakt z kolegą *Kozłowskim* był dość trudny; na pytania odpowiadał krótko i rzeczowo, z nikim z personelu „rewirowego" się nie zaprzyjaźnił. Był zamknięty w sobie, ostrożny.

Początkowo dobry stan ogólny kolegi *Kozłowskiego* szybko zaczął się pogarszać. Do zasadniczej choroby doszło ropne zapalenie opłucnej. Nie miał już wtedy sił, aby zejść z pryczy. Z kancelarii obozu przez więźniów tam pracujących dostaliśmy wiadomość, że kolega *Kozłowski* jest formalnie zwolniony z obozu (czytaj: wykupiony, gdyż zwykłych zwolnień praktycznie nie było), tylko z powodu swej choroby nie może pójść na wolność, jak się wtedy mówiło. Rozpoczęła się dramatyczna walka o jego życie. Wielokrotnie nakłuwaliśmy jamę opłucnej, znalazła się glukoza w ampułkach, były produkty z paczek żywnościowych nadsyłanych przez polskie organizacje w Lublinie. Silny duch kolegi *Kozłowskiego* pomagał nam w staraniach o jego życie. Niestety, walkę przegraliśmy. Śmierć przybyła szybciej niż wolność, kolega *Kozłowski* umarł.

Po wielu tygodniach, gdy pamięć o nim się zacierała, jeden z naszych współpracowników, pisarz bloku „rewirowego", przybyły przed rokiem z transportem warszawskim, w rozmowie szczerej i pełnej dramatycznego napięcia powiedział w najbliższym gronie, że *Kozłowski* był znaczną osobą w ruchu podziemnym Warszawy. Dodał, jak straszną rzeczą jest spotkać w obozie człowieka, którego się wydało w śledztwie, ale jeszcze straszniejszą jest patrzeć przez wiele dni na jego umieranie, gdy zwolnienie z obozu było sprawą załatwioną. Kolegę *Kozłowskiego* i naszego pisarza blokowego łączyła bliska współpraca konspiracyjna. Może ktoś w Warszawie pamięta jeszcze charakterystyczną sylwetkę Jana *Kozłowskiego* (nazwisko konspiracyjne). Takie były jego ostatnie chwile.

*

Dr Edward *Nowak* był moim kolegą ze studiów. Pochodził z Rytra, małej osady, pięknie położonej w Beskidzie Sądeckim. Jako podchorąży zawodowy Szkoły Podchorążych Sanitarnych studiował medycynę na Uniwersytecie Warszawskim. Kolegę *Nowaka* po otrzymaniu przez niego dyplomu w roku 1937 przydzielono do 1 pułku piechoty w Wilnie. W październiku 1939 roku po zakończeniu walk z Niemcami udało mu się uciec z niewoli niemieckiej i wrócić do rodzinnego Rytra.

Nie pociągała go spokojna praca lekarza w wiejskim ośrodku zdrowia. Edek był lekarzem i oficerem. Za swój obowiązek uważał walczyć dalej. W roku 1940 usiłował przedostać się przez Słowację na Węgry, a stamtąd do Francji. Na granicy ujęli go Niemcy i osadzili w więzieniu w Tarnowie, skąd przewieziono go do nowo powstałego obozu w Oświęcimiu. Jako jeden z pierwszych więźniów otrzymał numer 447. Po ukończeniu studiów drogi nasze rozeszły się i spotkały się znowu w Oświęcimiu. Edek pracował tutaj jako pielęgniarz w oddziale biegunkowym. Zamknięty w sobie, małomówny, bardzo ofiarny, był skrupulatny i pracowity. W rozmowach nigdy nie mówił o sobie ani o swych przeżyciach okupacyjnych i historii dostania się do obozu.

Od chwili spotkania Edka w Oświęcimiu w roku 1941 równolegle już przebiegało nasze życie. W roku 1942 razem przeniesiono nas do Majdanka. Pobyt w nowych warunkach, wśród obcych ludzi zbliżył nas do siebie. I tutaj Edek pracował cicho i ofiarnie, był nadal skromnym, dobrym człowiekiem i lekarzem. Wszyscy chorowaliśmy na dur wysypkowy; kto nie przechodził duru w poprzednich obozach, ten chorował w Majdanku. Wszy było mnóstwo, a epidemia trwała stale. A Edward, jedyny w naszej grupie lekarzy, uniknął choroby. Żartowaliśmy, że się go wszy nie imają. W lecie 1943 roku jednak zachorował. Leżał w dobrych — jak na obóz — warunkach, pod bardzo troskliwą opieką naszego wspólnego kolegi i przyjaciela, Jana *Nowaka*.

Edek przechodził dur bardzo ciężko; z niepokojem oczekiwaliśmy przełomu w 11 lub 12 dniu choroby. Gorączka jednak nie spadała; pojawiły się objawy neurologiczne i głębokie zaburzenia świadomości. Nie pomogło stosowanie różnych, trudno osiągalnych leków. Piętnastego dnia choroby wśród nasilających się objawów neurologicznych dr Edward *Nowak* zmarł, mając 33 lata.

W początkach choroby, rozmawiając z nami, udowadniał, że będzie jeszcze zdrowy i doczeka końca wojny. Argumentował logicznie: wielu bliskich przebyło dur szczęśliwie, prawie nikt nie zmarł. Dotąd w obozie miał dużo szczęścia. W Oświęcimiu pracował w „rewirze"; udało mu się opuścić Oświęcim, gdzie warunki życia były znacznie cięższe, Majdanek był lżejszym obozem, a koniec wojny zbliżał się szybko.

Edek miał jeszcze jeden argument, że wszystko dobrze się zakończy. O epizodzie tym opowiadał z uśmiechem. W roku 1938 w majątku pod Wilnem wróżyła mu starsza, nobliwa pani, którą spotkał po raz pierwszy w życiu. Podobno jego przeszłość odmalowała z takimi szczegółami, iż Edek uwierzył, że i w przewidywaniu przyszłości się nie pomyli. Tym bardziej, że przepowiedziała mu szczyt kariery życiowej na 42 rok życia.

Nie należy się dziwić, że w bardzo trudnych warunkach obozowych ludzie chętnie uciekali się do rzeczy irracjonalnych i podświadomie tłumaczyli je zawsze optymistycznie. Wiara taka, często oparta na przesłankach fantastycznych, dodawała siły, łagodziła głód i ból, Czyżby starsza pani, przepowiadając Edkowi przyszłość, pomyliła się? A może przewidziała niedaleką śmierć, dyskretnie ją przemilczała

i szczyt powodzenia życiowego rozmyślnie wyznaczyła na 42 rok jego życia? Dr Edward *Nowak* przez cały czas pobytu w obozie chciał żyć i wierzył głęboko, że obóz przeżyje. Stało się inaczej.

Dra Franciszka *Gabriela* poznałem w Majdanku. Należał do pierwszych lekarzy, którzy tu zostali przysłani z Sachsenhausen. Miał życie trudne i bogate. Urodził się w roku 1904 w Wielkim Dobrzyniu w powiecie opolskim. Był najmłodszym dzieckiem w licznej rodzinie polskiego rolnika. Zanim wstąpił do szkoły podstawowej, mówił już dobrze i pisał po polsku. Do gimnazjum uczęszczał w Nysie, a egzamin dojrzałości złożył w Raciborzu. W gimnazjum interesowała go muzyka; grał wówczas dobrze na pianinie i organach. Po złożeniu egzaminu dojrzałości wahał się, jaki wybrać kierunek studiów, medycynę czy szkołę muzyczną.

Wybrał medycynę. Studia rozpoczął we Wrocławiu, studiował w Berlinie i Wiedniu, potem wrócił do Wrocławia. Tam podczas studiów udzielał się w pracy społecznej, należał do Związku Akademików Górnoślązaków „Silesia-Superior", brał czynny udział w Polskim Towarzystwie Śpiewaczym „Harmonia" oraz w Związku Młodzieży Polskiej w Niemczech. Choć skromny i raczej nieśmiały, był bardzo popularny w polskim środowisku akademickim Wrocławia. Dotychczas jeszcze dawni studenci-Polacy wspominają niedzielne msze w polskim kościele, podczas których najlepsze utwory muzyki kościelnej wykonywał na organach Franciszek *Gabriel*.

Po otrzymaniu dyplomu pracował w Bytomiu i Sławiencicach (powiat Gliwice). Ponieważ nie chciał wstąpić do niemieckiego związku lekarzy, nie dostał prawa praktyki. Przeniósł się więc do Kwidzynia i został tam lekarzem w polskim gimnazjum. Razem z personelem nauczycielskim i uczniami aresztowano go w końcu sierpnia 1939 roku. Od tej chwili rozpoczęła się dla dra *Gabriela* droga obozów koncentracyjnych. Przebywał w Stutthofie, potem w Sachsenhausen, skąd w listopadzie 1941 roku razem z kilkoma innymi lekarzami-więźniami został przewieziony do Majdanka.

Tutaj go spotkałem. Był zrównoważonym i taktownym kolegą. Niechętnie się uzewnętrzniał, powoli i ostrożnie nawiązywał przyjaźnie. Żył we własnym świecie muzyki, spokojnie znosząc trudy obozu. Jego spokój i nam się udzielał. Dla interesów osobistych nigdy nie wyzyskiwał u władz obozowych swej doskonałej znajomości języka niemieckiego. Nasza znajomość tego języka była mniej niż średnia. Dyskusje z władzami, szczególnie wyjaśnienia spraw konfliktowych wymagały dobrego opanowania języka niemieckiego. Pomagał nam w kłopotach dr *Gabriel*. Czynił to często dyskretnie; bez udziału zainteresowanego, w bezpośredniej rozmowie z „kapo rewiru" likwidował nasze zadrażnienia i bronił innych kolegów.

Był jednym z najskromniejszych kolegów, jakich znałem. Pracowaliśmy razem w „rewirze" do marca 1944 roku. Znaczna część lekarzy wyjechała wtedy dużym transportem ewakuacyjnym do Gross-Rosen. Dr *Gabriel* został w Majdanku razem z 2—3 lekarzami i niewielką liczbą więźniów. 22 lipca 1944 roku wszystkich więźniów razem z lekarzami pospiesznie ewakuowano pieszo do Oświęcimia. W drodze wielu uciekło. Próbował ucieczki i dr *Gabriel*. Ucieczka się nie udała. Został on zastrzelony i nie wiadomo, gdzie się znajduje jego grób. W ten sposób odszedł skromny i cichy człowiek, który całe życie bronił się przed germanizacją i zawsze manifestował swą polskość. Niech głębokie akordy ulubionej przez niego muzyki organowej będą mu pożegnaniem [1].

*

Bardzo fragmentarycznie naszkicowane tutaj sylwetki dotyczą różnych więźniów, których łączyła nie słabnąca wola życia. Po kilkuletnim pobycie w obozie i obserwacji swych bliskich kolegów, tudzież bardzo wielu współwięźniów, mogę powiedzieć, że u więźniów obozów koncentracyjnych postanowienie przetrwania i zachowania życia było cechą wyrazistą i powszechną. Doskonale przemyślany i zorganizowany mechanizm psychicznego i fizycznego terroru, krzyki, bicie, władza w rękach zawodowych bandytów, ciężka praca, głód, niedostateczny wypoczynek i choroby — wszystko to nie załamywało więźniów.

Ale w obozie spotykało się także pesymistów. Powody do upadania na duchu były wystarczające. Konsekwencją całkowitego załamania psychicznego i przekonania o bezcelowości dalszego istnienia normalnie jest samobójstwo, bardzo łatwe w warunkach obozowych. Wiadome było wszystkim więźniom, że zbliżenie się do drutów elektrycznych otaczających obóz równało się śmierci. Strażnicy znajdujący się na wieżach strzelali bez ostrzeżenia. Strzały były celne. Takich samobójstw, zwanych „pójściem na druty", widziałem bardzo mało, a słyszałem o niewielu. Innym sposobem samobójstwa obozowego było powieszenie się. Podczas mego pobytu w obozie nie spotkałem się z tego rodzaju samobójczą śmiercią.

Można by przypuszczać, że bardziej chwiejna była psychika więźnia chorego. Pracowałem przez długi czas w szpitalach obozowych. I tutaj depresje i samobójstwa należały do wyjątków. Wyjście chorego w nocy z baraku groziło zastrzeleniem przez strażników. O tym wiedzieli wszyscy więźniowie. W Majdanku opuszczenie baraku w nocy było łatwe. Przypominam sobie dwa lub trzy takie wypadki. O postawie chorych i sile ich charakteru świadczyło ich zachowanie się podczas tzw. selekcji. Widziałem kilka takich selekcji. Dwie, oglądane w Majdanku, szczególnie głęboko pozostały mi w pamięci. Pierwsza była przeprowadzona wśród chorych na dur wysypkowy. Niemieckie

[1] Wszystkie wymienione nazwiska, treść przeprowadzonych rozmów oraz opisane zdarzenia są całkowicie prawdziwe. Panu Piotrowi *Gabrielowi* i mgr Ludwikowi *Affie* najuprzejmiej dziękuję za łaskawie podane mi szczegóły z życia dra F. *Gabriela*.

władze sanitarne wybrały spośród około 150 chorych przeszło 20 najsłabszych i zakwalifikowały ich na śmierć w komorze gazowej.

Oczekując na transport, chorzy ci przebywali jakiś czas z nami. Zdawali sobie sprawę ze swej sytuacji, ale byli spokojni, nie przejawiali objawów rozpaczy, z powagą i skupieniem trwali w głębokim nastroju zbliżającej się śmierci. Ich spokój i rezygnacja, to nie tylko wynik ciężkiej choroby i wyczerpania, ale też wyraz postawy i charakteru.

Druga selekcja obejmowała wszystkich chodzących chorych „rewiru", a polegała na wyeliminowaniu bardzo słabych więźniów. Kwalifikacją do pozostania przy życiu było przebiegnięcie o własnych siłach kilkunastu metrów. Ażeby wygrać ten bieg życia, następowała koncentracja sił fizycznych i psychicznych u najbardziej nawet wynędzniałego chorego. Najsłabsi rozpoczynali bieg z największym wysiłkiem woli, ażeby po kilku krokach upaść na ziemię.

W barakach „rewiru" najciężej chorzy, nieodwracalnie wynędzniali, nękani wyniszczającą biegunką, prawie zupełnie bezsilni, natarczywie domagali się leków. Żaden chory nie zwrócił się z prośbą o przyspieszenie śmierci.

*

Spójrzmy teraz na więźniów Majdanka z innej strony. Bardzo dużo placówek administracyjnych obozu zajmowali Polacy. Byli oni pracownikami kancelarii, poczty, kierownikami magazynów i kuchni. Mieli duże zdolności organizacyjne, okazali się energiczni, pracowici i inteligentni. Szybko nabywali znajomość języka niemieckiego. Pociągali za sobą kolegów słabszych psychicznie i fizycznie i starali się dla nich o lepszą pracę. Koledzy Stanisław *Zelent,* Jerzy *Szcześniewski,* Albin *Boniecki* i inni zbierali wokół siebie grupy więźniów. Powstało wzajemne zaufanie i przyjaźń. Trzymający się razem więźniowie stawali się sobie nawzajem potrzebni — w miarę swych sił i możliwości. Łączył ich wspólny cel: pomagać sobie i przetrwać. W innych obozach, które przeszedłem (Oświęcim, Gross-Rosen. Litomierzyce) było podobnie, choć społeczeństwo więźniów składało się z wielu narodowości.

Warto zastanowić się nad przyczyną, jak to się stało, że w tak trudnych i specjalnych warunkach, jakie panowały w obozie koncentracyjnym, Polaków cechowała energia i chęć życia i tak mało mieliśmy załamań psychicznych kończących się samobójstwem. Majdanek był obozem Polaków, znajdował się na ziemi rdzennie polskiej. Przez cały czas trwania tego obozu istniał bardzo ścisły, nielegalny kontakt z organizacjami polskimi w Lublinie. Nadchodziły nie tylko olbrzymie transporty pożywienia dla chorych, lecz także indywidualne paczki żywnościowe i leki, o czym szczegółowo pisała dr Stefania *Perzanowska* na tych łamach. Przesyłano do obozu pieniądze i przekupywano esesmanów. Obfita korespondencja płynęła do obozu i przenikała z niego. Jest historyczną zasługą polskiego społeczeństwa, podziemnych organizacji oraz środków pomocy więźniom Majdanka, że wspólnie otoczono obóz najserdeczniejszą i najlepszą opieką moralną i materialną. Więźniowie bardzo głęboko odczuwali tę opiekę, stawali się silniejsi, wracała im wiara w ludzi, rodziły się siły do znoszenia trudów życia obozowego.

Polacy w Majdanku w bardzo dużej części byli więźniami politycznymi. Przyjeżdżali w transportach z Warszawy, Lwowa, Radomia, Kielc i Lublina. Przystosowanie do warunków obozowych nie było łatwe tym bardziej, że nie można było liczyć na zwolnienie z obozu ani na odbicie przez polskie organizacje wojskowe. Pomimo pierwszych niepowodzeń Niemców na froncie wschodnim w roku 1942 zakończenie wojny wydawało się bardzo odległe, a wewnętrznego załamania się Trzeciej Rzeszy nie przewidywano.

Pierwsze miesiące pobytu były najtrudniejsze. W tym okresie ginęło wielu kolegów. Zorientowanie się w życiu obozowym, odporność, a nawet adaptacja w nowych warunkach, nawiązanie znajomości i przyjaźni ustalały byt nowego więźnia. Nawiązanie kontaktu z rodziną i ośrodkami lubelskimi stabilizowało więźnia w obozie. U wielu więźniów dużą rolę odgrywały problemy religijne. W obozie nieraz obserwowano nawrót do głębokiej wiary. Był to bardzo ważny czynnik w życiu więźniów, mimo że nieczęsto manifestowany. Obok tego spostrzegało się znaczne pogłębienie więzi rodzinnej. Nielegalna korespondencja utrzymywała głębokie uczucia rodzinne. Niewątpliwie pamięć najbliższych ułatwiała powstanie silnej woli przeżycia i umacniała pragnienie powrotu i pomocy opuszczonej obecnie rodzinie. Zobowiązaniem do walki z przeciwnościami życia obozowego i do przetrwania było przekonanie o słuszności sprawy, za którą się zostało wtrąconym do obozu. Wstępując do konspiracji, każdy musiał się liczyć z ewentualnością więzienia, obozu, a nawet śmierci.

Pomimo wszystko pobyt w obozie dawał pewne możliwości przeżycia. I możliwość tę należało wyzyskać, aby wrócić do społeczeństwa i pracować dalej. To było nakazem dla więźnia politycznego. Nie wolno się było załamywać i myśleć o samobójstwie. Dobrym obserwatorem był oficer gestapo w Mysłowicach (województwo katowickie), który do swych podwładnych przyjmujących do więzienia polskich więźniów politycznych powiedział (cytuję dosłownie): „Zostawcie im te paski od spodni i szelki, to są polityczni, oni się nie wieszają".

Na wolę przetrwania obozu, którą tak często spotkać można było u więźniów obozów koncentracyjnych, składało się wiele przyczyn, z których największe znaczenie miała dyspozycja wewnętrzna więźnia. A to zobowiązuje do szacunku.

JERZY OSUCHOWSKI Katowice
były więzień obozów koncentracyjnych Buchenwald nr 9787 i Mauthausen-Gusen nr 46464

Zagazowanie więźniów z bloku 24 w Gusen

Kwiecień roku 1945. Zaciskana żelaznym pierścieniem Trzecia Rzesza dogorywa. Zbliża się dzień ostatecznej klęski. Poprzedza ją głód. Uszczuplenie racji żywnościowych nie wystarcza. Trzeba więc ludzi masowo wyniszczać w szybkim tempie. Najprostszym do tego środkiem jest komora gazowa. Takie postanowienie zapadło w obozie koncentracyjnym Gusen, w Austrii.

Dnia 22 kwietnia o godzinie 4 po południu pisarz obozowy *Jahnke* wezwał wszystkich pisarzy blokowych na nadzwyczajną odprawę. Dokładnie pamiętam jego słowa: *„Lagerführer* nie chce jutro rano widzieć żadnego «muzułmana» wychodzącego do pracy. «Muzułmani» ze wszystkich bloków mają być dziś przeniesieni na blok 24. Ludzie zdrowi z bloku 24 zostaną umieszczeni w innych blokach, co zaraz ustalimy, a reszta bloku 24 wraz z *zugangami* z innych bloków zostanie zagazowana w tymże bloku. Nad dokładnością wykonania zarządzeń czuwać będzie sam *rapportführer Killermann*. A teraz, *los*, dyktować, ilu kto ma «krypli» [1] w bloku!" *Jahnke* rozłożył przed sobą raport poranny z wykazem poszczególnych komend pracy i liczbami więźniów należących do odpowiednich bloków. Zatwierdzona rano liczba wyruszających do pracy służyła za podstawę rozliczeń. W kolejności bloków pisarze podawali liczby swych ludzi nie zatrudnionych tego dnia z powodu choroby, zwolnienia lekarskiego lub zupełnego wyczerpania.

Jahnke notował rzucane liczby. Na ogół ludzi takich było niewielu, w sumie około stu, albowiem kilkanaście dni przedtem przeniesiono wszystkich inwalidów do bloku 24, który przybrał nazwę *Invalidenblock*. Tenże blok inwalidzki miał się stać ich grobem.

Po obliczeniu „zdrowych" bloków *Jahnke* odezwał się do mnie: „No, a teraz ty, *blockschreiber* 24. W bloku masz według stanu 280 ludzi. Z tego do pracy wyszło dzisiaj łącznie 115. Dodaj do tego pięć osób personelu blokowego i pięciu dla siebie, bo na pewno masz kogoś, kogo «dekujesz». Razem 125. Tych poprzydzielasz na te bloki, z których dostaniesz chorych ludzi, stan więc wyrówna się mniej więcej. Dokładne rozliczenie przedstawisz mi o godzinie 8 wieczór. Nie potrzebuję chyba upominać, że cała akcja ma być trzymana w absolutnej tajemnicy. O ósmej wieczór odprawa wszystkich pisarzy tu, w *szrajbsztubie*. A teraz *raus*!"

Opuściwszy kancelarię obozową, pisarze spojrzeli niemo po sobie i rozeszli się. „Ostatnie podrygi" — rzucił ktoś szeptem. Wlokąc się w zamyśleniu, doszedłem do bloku i wstąpiłem od razu do „kabufu" [2] blokowego. Ernst *Hallen*, były potentat obozowy, kierownik zakupów kantynowych, a obecnie blokowy 24, siedział znudzony w otoczeniu dwóch młodych chłopców, swych pupilów i opowiadał im o własnych wyczynach młodzieńczych. Nosił czarny trójkąt, oznakę uchylającego się od pracy, do której niechęci nie ukrywał. Jako blokowy nie był wcale taki zły. Na osobności poinformowałem go, że dzisiaj wieczorem mają zagazować cały blok 24, tu właśnie w bloku. Na krótko przed wyzwoleniem. A ktokolwiek przyjdzie pierwszy, Rosjanie czy Amerykanie, trzeba będzie za to odpowiadać. „Ty jako blokowy będziesz «dyndał» pierwszy, a ja koło ciebie, bo to w naszym bloku się stanie. Rób co się da, aby do tego nie dopuścić. Niech sobie to robią w «rewirze», który i tak jest jedną wielką komorą śmierci, ale nie tu". Zdenerwowany *Hallen* porwał czapkę i wybiegł z bloku.

Z czasów dawnej świetności miał on za sobą kilku esesmanów, z którymi uprawiał różne handelki. Niektórzy do tej pory „siedzieli u niego w kieszeni". Nagromadzone przez kilka lat pieniądze, kosztowności i złoto miały mu posłużyć tym razem do usiłowania cofnięcia decyzji. Powrócił, nim minęło pół godziny i oznajmił, że gazowania tu nie będzie. Stąd tylko odprowadzi się ludzi do „rewiru" grupami. A co oni z nimi tam zrobią, to inna sprawa. On posyła ludzi chorych do lekarza.

Apel bloku 24 odbywał się wyjątkowo nie na placu apelowym, lecz bezpośrednio przed blokiem z powodu dużej liczby więźniów, którzy nie mogli chodzić o własnych siłach. Znużeni całodzienną pracą, wlekli się ci zdrowsi z miejsc pracy do bloku, a z bloku wychodzili ci, którzy tego dnia nie pracowali. Innych wynoszono na zbiórkę przed blokiem. Powoli ustawiali się wszyscy piątkami jak zwykle, czekając chwili, kiedy padnie radosna dla całego obozu komenda *„blockweise abrücken!"*, znak, że apel się zgadza, a dla bloku 24 *„wegtretten!!"* Owego dnia dla ludzi z bloku 24 nie padło słowo *„wegtretten"*. Dla niektórych z nich miało mieć zgoła inne znaczenie. Zapowiedziałem w kilku językach, że nikomu nie wolno oddalać się sprzed bloku, dopóki nie załatwię sprawy przeniesień.

Wszelkie formalności poapelowe były zmorą dla ogółu więźniów. Były traktowane jako kradzież wolnego czasu, przeznaczonego w wielu wypadkach na gonitwę za jedzeniem, na pewne płatne jedzeniem prace usługowe, jak czyszcze-

[1] Obozowy odpowiednik oświęcimskiego określenia „muzułman".

[2] Oddzielny pokoik blokowego lub pisarza.

nie butów różnym potentatom obozowym, „kapom" itp. lub też na odwiedzenie przyjaciół, którym udało się „zorganizować" jakąś dodatkową miskę jedzenia. Z niecierpliwością oczekiwano więc zakończenia różnych formalności, nie zdając sobie sprawy z tego, co ma nastąpić.

Stojąc po apelu przed frontem bloku, oznajmiłem, że jutro będzie „gorący dzień". Trzeba, aby jak najwięcej ludzi poszło do pracy. Kto tylko czuje się na siłach, niech idzie, przynajmniej przez jeden dzień, dwa. Potem znów będzie mógł zostać w bloku. „Kto dziś pracował w *Kartoffelmiete*, wystąp!" Na lewo przesunęła się grupa około 50 więźniów, czyli mniej więcej tylu, ilu tego dnia wyruszyło. Wiedziałem jednak o tym, że w raporcie rannym, sfałszowanym celowo, figurowała liczba 80 dlatego, iż pracującym były przyznawane większe porcje chleba, a nie pracującym znikome. Trzydziestu ludzi mogłem więc wyrwać śmierci. Nikt jednak dobrowolnie nie chciał przejść do grupy, która jutro, z innego już bloku miała wyruszyć do pracy. Jakżeż im to powiedzieć, że w przeciwnym razie czeka ich śmierć?!

Przechodząc przed frontem, spoglądałem po twarzach, wyszukując tych, którzy jeszcze nie mieli piętna śmierci w oczach i wydzielałem ich na lewo. Przeważnie protestowali, starając się znaleźć coś na swe usprawiedliwienie, ten jakąś ranę, ów osłabienie, inny gorączkę lub coś podobnego. Podchodziłem ku zdrowszym i odsyłałem ich na lewe skrzydło. Jeden z więźniów, młody i nieźle odżywiony, podciągnął nogawkę spodni w górę i pokazał na goleniu ropiejącą ranę. „Panie *szrajber* — mówił płaczliwym głosem — niech pan zobaczy, chodzić nie mogę. Jakże pójdę do roboty z taką nogą?" Rzuciłem okiem na ranę i na twarz protestującego. Rana nie była groźna, choć może istotnie dokuczliwa, lecz do wyleczenia. I taki dobrowolnie pcha się do krematorium! Ponieważ nadal upierał się, nie chcąc iść na lewo, wyszarpałem go z szeregu i uderzyłem w twarz. Poskutkowało. Bez słowa już skierował się na lewo.

W szeregach nastąpiło poruszenie i zdziwienie. Nie zdarzyło mi się bowiem dotąd, abym nie miał wobec kolegów innego argumentu, jak uderzenie w twarz. W owej chwili uczyniłem to z całą świadomością, że tylko w ten sposób mogę ocalić człowieka od nieuchronnej śmierci. Blady i roztrzęsiony nerwowo, kontynuowałem wybieranie zdrowszych, nie napotykając już na opór, zwłaszcza że z pomocą przyszedł mi blokowy *Hallen*. Załatwiwszy komendę „*Kartoffelmiete*", wybierałem dalej co zdrowszych, rozsyłając ich następnie na bloki uprzednio wyznaczone. Po rozesłaniu wszystkich możliwych do uratowania pozostała przed blokiem grupa skazańców, którzy za dwie godziny mieli iść do komory gazowej.

Wszedłem na chwilę do baraku. Policzyłem pozostałe karty. Stan zgadzał się z tym, jaki został ustalony w kancelarii obozowej: 155 kart, czyli tyluż przeznaczonych na śmierć. Tych 155 stoi tam jeszcze przed blokiem, nie wiedząc, jaki los ich czeka. Wyszedłem przed blok, aby zwolnić stojących i wpuścić ich do wnętrza. Pociemniało mi w oczach. W grupie przeznaczonej do zagazowania dostrzegłem niektórych mych przyjaciół. Byłem z nimi zżyty od dawna, „dekowałem" ich jak mogłem i pomagałem im w miarę możliwości. Stali tam bez słowa Francuzi *Auguste Dizier*, *Maxime Asséo* i *Langlois*, Włosi *Franco Orsi*, dr *Sardi* i prof. *Angelo Cova* oraz dwóch Polaków i jeden Rosjanin. Ich to, ludzi przeważnie starszych i wynędzniałych, blokowy przeznaczył na gaz. Postanowiłem ich uratować mimo wszystko. Przeniosłem ich do bloku 17.

Pisarzom blokowym nie wolno było omylić się w rachunkach dotyczących stanu i rozliczeń. Każdą pomyłkę karano surowo. Jedyną dopuszczalną pomyłką była niezgodność tylko o 10, rzecz dziwaczna, ale prawdziwa. Tę okoliczność postanowiłem wyzyskać. Zamiast wyznaczonych 155, pozostałych w bloku, zostanie 145.

Uspokojony nieco, zabrałem się do przyjmowania przybyszów z innych bloków. Zgodnie z rozkazem *lagerführera Seidlera* obóz miał być oczyszczony z inwalidów. Przysłano więc do bloku 24 wszystkich, którzy nie mogli wychodzić do roboty. Wielu z nich już prowadzono. Własne siły odmawiały im posłuszeństwa. Liczni z radością powitali przeniesienie, spodziewając się odpocząć w bloku inwalidzkim, z którego zasadniczo do pracy wychodziło się dobrowolnie.

Poleciwszy blokowemu przyjęcie przybyłych, wyszedłem, aby porozmawiać z pisarzem bloku 17 i nakłonić go do przetrzymania dziesiątki „moich muzułmanów", dopóki się wszystko uspokoi. Zgodził się pod warunkiem uzyskania aprobaty blokowego. Blokowy wyraził zgodę za cenę 50 papierosów. Odetchnąłem. Wróciłem do bloku. Przeliczyłem *zugang*. Sprawdziłem numery i nazwiska 130 przybyłych i zabrałem się do robienia zestawienia. Wieczorem, przy meldowaniu stanu i ustalaniu komend na dzień następny, a przy tym również stanu bloku 24, *Jahnke* zwrócił uwagę na rzekomą omyłkę o 10 ludzi. Popatrzył na mnie znacząco, ale nic nie powiedział.

Późno tego dnia wracaliśmy z kancelarii obozowej. Była godzina 23. Cisza zalegała obóz. Dawno już zamilkły przedzierające się z prowizorycznej komory gazowej przerażające krzyki, przekleństwa i wołania ratunku. Dochodząc do bloku 24, natknąłem się na wartę złożoną z więźniów niemieckich, których zadaniem było pilnować, aby nikt nie przekazał wiadomości o dzisiejszym gazowaniu mieszkańców bloku 24, których resztę taki sam los czekał następnego dnia o tej samej porze. Ostrożność ta była podyktowana nie tyle względami humanitarnymi, ile obawą, że ludzie ci w obliczu czekającej ich śmierci mogliby posunąć się do nie wiadomo jakiego kroku, może nawet do buntu. Tymczasem nieświadomi na razie swojego losu, spali spokojnie.

Dzień następny potoczył się zwykłym try-

bem: poranny apel, wymarsz do pracy, a dla pisarzy jeszcze zajęcie w kancelarii, trwające około godziny. Po załatwieniu formalności meldunkowych wracałem do swojego bloku. Niemcy pilnujący dostępu do bloku tkwili na swych posterunkach. Mimo to wieść o zagazowaniu pierwszej partii przedostała się w jakiś sposób do skazańców oczekujących swej kolei. Wiedzieli, jaki los czeka ich wieczorem, zwłaszcza że odebrano im już ubrania i bieliznę.

W przedsionku bloku wyrósł przede mną jak spod ziemi ogromny, zdrowy, nagi człowiek. *„Georges, sauve moi"* [3] — rzekł błagalnie. Serce we mnie zamarło. A ten tu skąd? Jak możliwe było takie niedopatrzenie? Zdrowy człowiek wśród inwalidów skazanych na śmierć! Błyskawicznie rozważałem, co by go mogło uratować w tej sytuacji. Był to *Maurice Masse,* z zawodu mechanik. Pierwszy Francuz, jaki przyszedł do obozu w roku 1942. Przeżył cały okres dotychczas w niezłej kondycji. Łączyła nas przyjaźń. Wyjaśnił mi, że wczoraj, gdy wybierałem ludzi do przeniesienia na inne bloki, uciekł, bo nie chciał przechodzić gdzie indziej. Wskutek tego straciłby znośną pracę w kuchni przy obieraniu ziemniaków. Aby podkreślić, że nie jest chory, wyprężył swe ciało i napiął mięśnie ramion.

Podobnie jak on, postąpiło wczoraj wieczorem kilku innych więźniów. Dziś, zrozpaczeni, prosili o ratunek. Nie chcąc odbierać im resztek nadziei, pocieszałem ich, że może znajdzie się jakiś sposób wymienienia skazanych, choć sam w to nie wierzyłem. Nic zresztą nie wskazywało na możliwość uratowania tych ludzi. Zapatrzyłem się w okno. W tej chwili zrodziła się myśl. Na dworze padał deszcz. Ten deszcz, który bywał zawsze przyczyną śmierci wielu więźniów, wygłodzonych i wyniszczonych, miał się dzisiaj stać, jeśli tylko powiedzie się przedsięwzięcie, ocaleniem dla kilku więźniów.

Wiedziałem z doświadczenia, że w słotne dni śmierć szalała wśród więźniów pracujących na otwartej przestrzeni. Wyczerpani i słabi, padali jak trawa podcięta kosą. Dzisiaj tam musiało być tak samo. Tylko za tych zmarłych można by wymienić kilku zdrowszych jeszcze z bloku 24, zwłaszcza tych, którzy tu nieopatrznie pozostali. Owych zmarłych należało sprowadzić do obozu przed apelem wieczornym, a wymienionych za nich kolegów postawić do apelu przy tych blokach, z których pochodzili zmarli.

Pomysł sprowadzenia do obozu zmarłych przy pracy na zewnątrz był bardzo ryzykowny w istniejącej sytuacji. Zasadniczo pisarz bloku 24, to jest bloku, z którego nikt nie wyruszył do pracy, nie miał prawa wychodzić poza bramę obozu. W celu przeprowadzenia mego planu musiałem to jednak zrobić. Jeśli dyżurny esesman przy bramie zorientuje się, wtedy nie przepuści i cały plan runie. Drugą trudnością było nakłonienie jakiegoś „kapo", aby zgodził się „odstąpić" zmarłych ze swej kolumny. Wracając z pracy musiał bowiem prowadzić ze sobą tę samą liczbę więźniów, jaką wyprowadził rano. Po trzecie, całą operację należało wykonać w tajemnicy przed esesmanami, a zwłaszcza *rapportführerem* i *lagerführerem,* którzy wyciągnęliby w stosunku do mnie odpowiednie konsekwencje, gdyby odgadnęli istotne zamiary tego posunięcia.

Wychodząc, zabrałem ze sobą dwie paczki papierosów na wszelki wypadek. Papierosy, czyli pieniądze obozowe otwierały wszędzie drogę. Przechodząc przez bramę z książką ewidencyjną bloku pod pachą, zameldowałem się esesmanowi. Na jego pytanie zełgałem, że chcę sprawdzić komendę *Kartoffelmiete,* bo mi się coś stan ludzi nie zgadza. Powód wyjścia esesman uznał widocznie za bardzo ważny, bo komuż by się chciało wychodzić na taki deszcz bez ważnego powodu. Jedna trudność została pokonana.

Przemoknięty, raźnym krokiem zmierzałem do miejsca, gdzie w rozkopanych kopcach więźniowie przebierali ziemniaki. Tu i ówdzie leżały zwłoki. Unurzane w błocie, przedstawiały straszny obraz. Z niektórych poobdzierano już ubrania; leżeli na wpół nago, z otwartymi szeroko, szklistymi oczyma. Wyraz ich twarzy, jeśli jeszcze było je widać spod warstwy błota, był na ogół spokojny. Niektórzy zachowali jak gdyby uśmiech na twarzy, zda się zadowoleni, że skończyła się ich męka doczesna. Inni dogorywali w drgawkach przedśmiertnych, rozdrapując palcami rozmiękłą ziemię. Rzężeniom i jękom w chwili agonii tych ofiar towarzyszyło delikatne chlupotanie deszczu i pogwizd wiatru.

Po rozmiękłym gruncie dotarłem do skleconej prymitywnie szopy, siedziby Hansa, „kapo" tej komendy. Znałem go dobrze od dawna, żyłem z nim w pewnej komitywie, byłem więc prawie pewny, że zdołam go nakłonić do przekazania kilku trupów do obozu jeszcze przed apelem. Rozmawiając z nim, napomknąłem o trudnościach, jakie może mieć przy powrocie do obozu, gdy trzeba będzie nieść tylu zmarłych. Zdawał sobie z tego sprawę, ale nie widział wyjścia. Podsunąłem mu myśl, aby zmarłych przekazał do obozu wcześniej, a ich liczbę kazał sobie odpisać ze stanu. Trafiło mu to do przekonania. Przywołał dwóch mocniejszych więźniów i polecił im pozbierać zwłoki, załadować na wózek, którym przewożono ziemniaki i odwieźć do obozu. Więźniom z *Kartoffelmiete,* którzy mieli zawieźć zmarłych do obozu, poleciłem, aby zamiast do krematorium dostarczyli zwłoki do bloku 24.

Wróciwszy do obozu, nie miałem odwagi wejść do bloku. Czekałem w umywalni, śledząc pilnie, kiedy się ukaże wózek wiozący trupy. Przejechał wreszcie przez bramę i skierował się ulicą prowadzącą wprost do krematorium. Od krematorium niedaleko było do bloku 24. Konwojenci, przyjechawszy pod blok, przechylili wózek i zrzucili zmarłych wprost w błoto. Reszta następowała już w błyskawicznym tempie. Z szesnastu zmarłych pozdejmowano ubrania i części odzienia. Wniesiono je do

[3] Jurek, ratuj mnie!

mojej izby, a zwłoki na salę. W kilka minut uprzątnięto wszystko i wózek odjechał. Na szczęście nawet wartownik sprzed bloku schował się gdzieś przed deszczem. Wokół bloku nie było nikogo.

Wzywałem co zdrowszych pojedynczo do siebie. *Masse* wszedł pierwszy. Zorientowawszy się w sytuacji, pospiesznie odziewał się w to, co mu wpadało pod rękę. Ze wzruszenia nie mógł słowa przemówić. Rzucił tylko: *merci!* i wybiegł. W końcu wszedłem do sali i wybierałem tych, którzy mieli jeszcze jakąś możliwość przeżycia. Mocniejsi podchodzili, potykając się o leżących na ziemi; często padali i nie mieli sił się podnieść. Chcąc wzbudzić litość, powoływali się bądź to na młody wiek, bądź też na matkę staruszkę, czekającą na powrót jedynego syna, czy na liczną rodzinę. Wszyscy chcieli się uratować i wszyscy mieli rację. Wybrańcy rzucili się na śmierdzącą kupę łachmanów niczym zgłodniałe wilki na żer. W mgnieniu oka ubrali się, nie zważając na zanieczyszczenia. Odzienie, jakiekolwiek by było, stało się dziś przepustką pozwalającą wejść w krąg żyjących.

Każdemu ratowanemu podałem numer bloku, przy którym miał stanąć do apelu. Notowałem, kogo na jaki blok wysyłam. Wybierałem bloki, których pisarzami byli Polacy. Z nimi prędzej mogłem się dogadać, jeśli chodziło o tego rodzaju kombinacje. Zdawałem sobie sprawę z zamętu, jaki wywoła to przy apelu. Nie wiadomo było przecież i trudno w tej chwili ustalić, kto ze zmarłych do jakiego bloku należał. Apel odbył się jednak bez szczególnych trudności.

Dla skazanych wybiła ostatnia godzina. *Amelung*, sprawujący funkcję drugiego obożnego, otrzymał rozkaz dopilnowania całej akcji. Zjawił się więc krótko po apelu w bloku 24, przyjrzał się skazanym, porozmawiał z blokowym i odszedł pod bramę obozową, gdyż tam czekało go ważniejsze według niego zadanie. Tam dwóch więźniów, Polaków, oczekiwało również na śmierć. Nad nimi specjalnie mieli czuwać *Amelung* i *Liesberg*, blokowy 14. Wieść o skazaniu ich na śmierć przygnębiła Polaków w obozie. W pełni sił, zdrowia i najlepszych nadziei na przyszłość mieli odejść od tej nielicznej już grupy pierwszych Polaków, jacy przybyli tu do Gusen. Obaj cieszyli się wielką sympatią wśród kolegów. Byli to Władysław *Woźniak* z Suwałk i Piotr *Grzelak* z Łodzi. Zostali oni skazani za posiadanie mapy Europy z zakreślaną codziennie linią frontu według ostatnich posunięć armii alianckich. Esesmanów najbardziej rozwścieczyło stwierdzenie, iż wiadomości pochodziły nie z oficjalnych komunikatów niemieckich, lecz z komunikatów alianckich.

Woźniak, dumny ze swej mapy, sporządzonej przez kartografów w obozie, nosił ją zawsze przy sobie i wieczorem dzielił się z kolegami zdobytymi wiadomościami. Słabnących na duchu podtrzymywał i dodawał im otuchy. Wiadomości te przekazywał mu pewien Austriak, przełożony w magazynie kamieniołomu Gusen. Władek żył z nim w dobrych stosunkach.

Trzy dni przedtem w przerwie obiadowej *Grzelak* podszedł do okna pokoju, w którym pracował Władek i poprosił go, aby pożyczył mu swej mapy. Władek wzbraniał się, ale gdy tamten prosił coraz natarczywiej, wyciągnął ją spod marynarki i wręczył mu przez okno. W tym momencie zza węgła ukazał się esesman *Kirschner*. Dostrzegł. Zatrzymał obydwóch. Rozwinął mapę. Zorientował się i natychmiast poprowadził schwytanych przed oblicze *lagerführera Seidlera*, który osobiście przeprowadził śledztwo. Przez trzy dni męczono i torturowano obydwóch, chcąc wydobyć z nich, skąd czerpali tak dokładne wiadomości o ruchach aliantów. Nie pomogły tortury. Starzy bywalcy obozowi wiedzieli, iż nic ich od śmierci nie uchroni. Milczeli do końca, nie wydawszy nikogo. Rozwścieczony *Seidler* kazał ich zagazować razem z innymi.

Skazańców wyprowadzono z bloku 24 w dwóch partiach do komory gazowej. Gazowanie miał przeprowadzić Rudi, „kapo" dezynsekcji. Przynaglał on i popędzał ten smutny korowód ludzi, posuwający się już ostatkami sił. W ciasnej komorze rozległy się przekleństwa, bluźnierstwa, złorzeczenia, westchnienia, modlitwy, płacz, zmieszane z okrzykami Rudiego. Jemu spieszyło się, by jak najwcześniej zakończyć dniówkę. Opierających się wpychał siłą do środka przez ciasne drzwi, kopał, wykrzykiwał. Wepchnąwszy całą partię, wchodził do środka w masce przeciwgazowej, otwierał puszkę z gazem, rozrzucał krążki nim nasycone i wycofywał się, zamykając za sobą drzwi. Rozdzierający krzyk duszących się przedarł się do obozu, odbił się echem i zgasł.

Po upływie pół godziny truposze wyciągnęli zagazowanych i ułożyli ich przed blokiem „rewiru" po dwóch, jeden na drugim, głowami w przeciwnych kierunkach dla łatwiejszego liczenia. Opuchnięte, sinoczarne twarze, wykrzywione przedśmiertnym grymasem straszliwej boleści i pogryzione palce świadczyły o męczarniach, w jakich konali ci ludzie. Wielu z nich było splecionych w braterskim uścisku pożegnalnym tak mocnym, iż niepodobna było ich rozdzielić.

W drugiej partii mieli być wepchnięci do komory *Woźniak* i *Grzelak*. Od bramy obozu prowadzili ich *Amelung* i *Liesberg*. Przechodząc obok bloku 1, w którym mieszkali, wskoczyli tam, aby pożegnać się z kolegami. W ślad za nimi wpadł *Amelung*, by ich nie stracić z oczu. Tymczasem koledzy naprędce przemyśliwali nad możliwością uratowania *Woźniaka* i *Grzelaka*. Do tej akcji wciągnęli również jednego z porządniejszych blokowych, *Gerkena*, który podjął się rozmowy z *Amelungiem*, a także *Ernsta Zieslera*, kantyniarza. Plan polegał na przekupieniu *Amelunga*, który miał zameldować o ich śmierci. Ceną za to miało być pięć tysięcy papierosów. Dalsze możliwości ocalenia były już proste. Ukryci w „rewirze", nawet z pomalowanymi na czerwono

twarzami, jak chorzy na różę, mogli przetrwać. Meldunki śmierci wystawiono by na ich nazwiska, a oni sami żyliby pod nazwiskami dwóch innych zmarłych.

Amelung był nieubłagany. Misję swą wypełnił do końca z całą gorliwością. Zgodził się tylko na to, aby tym dwom dzielnym chłopcom dać w „rewirze" zastrzyk śmiertelny przed wysłaniem ich do komory, dzięki czemu nie musieli przeżywać tych strasznych mąk, jakie oczekiwały innych.

Wzruszająca była scena pożegnania z kolegami. Przerwał ją *Amelung: „Los, los, mach schon!"* Na noszach odniesiono nieżywych już *Woźniaka* i *Grzelaka* do komory gazowej. Rudi zatrzasnął drzwi. I znów przeraźliwy krzyk umierających ludzi przeszył powietrze. Po chwili nad obozem zaległa cisza...

Nazajutrz rano w kancelarii obozowej wśród zebranych pisarzy blokowych *Amelung*, opowiadając *Jahnkemu* o przebiegu gazowania, zakończył tymi słowami: *„Das hat wunderbar geklappt. Wunderbar geklappt!"*

*

Było to z kolei drugie zagazowanie w Gusen. Pierwsze przeprowadzono 2 marca 1942 roku w bloku 16, gdzie zginęło 164 jeńców radzieckich. Sprawa ta wymagałaby odrębnego artykułu.

PIOTR WESEŁUCHA Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen- Gusen nr 43368

Obłęd czy metoda
Refleksje poobozowe

Za naszymi plecami słychać było narastający w naszej świadomości do natężenia świstu piły tartacznej skrzyp butów *blockführera* — miarowy, wolny, przeraźliwie groźny. Staraliśmy się wtopić w szereg, zlać się z nim w jedno, nie oddychać prawie, żeby tylko uniknąć zimnego, tnącego jak nóż *„raus!"*, oznaczało to bowiem koniec.

Dzielny, bohaterski syn nadludzkiego narodu musiał przecież wypełnić wobec niego swój obowiązek i „zlikwidować" swoją dobową normę podludzi. W jego świadomość wryły się głęboko słowa komendanta obozu *Ziereisa:* Na górze są Niemcy. Za nimi znajdują się inne narody germańskie. Następnie mamy długo, długo nic. Potem jest kupa gówna. Potem znów bardzo długo nic i wreszcie są Żydzi, Polacy i inne świństwo.

Kroki *blockführera* oddalały się powoli i równocześnie ustępowało ogromne napięcie, wypełniające nas całkowicie, bez reszty. Tym razem znów się udało, a więc jeszcze nie koniec ze mną! Boże, czy my tak jeszcze długo wytrzymamy?

Apel przeciągał się dziwnie długo. Liczono nas jeszcze raz, sprawdzano dokładnie, jeden za drugim, kolejno szeregi milczących, śmiertelnie przerażonych więźniów, tak bardzo zmęczonych wyczerpującą pracą w kamieniołomie.

Fluchtversuch! Wszyscy natychmiast zrozumieli, o co chodzi. Znów próba ucieczki! Z jednostkowego punktu widzenia akt zupełnie zrozumiały, oczywisty. Ale jeśli chodzi konkretnie o naszą zbiorowość, był wobec nas ciężkim przewinieniem. Jak strasznie nienawidziliśmy uciekiniera w tej chwili za jego „nierozważny" czyn. Jakim prawem dał Niemcom dodatkowy argument do mordowania?! Nie myśleliśmy wcale o tym, że jutro, najdalej za dwa, trzy dni i tak nas po kolei wytłuką, a jeżeli nawet będziemy mieli cholerne szczęście, to pozdychamy z głodu za parę tygodni. Nam nawet wcale nie przychodziło to do głowy, nam chodziło po prostu o to, by przeżyć jeszcze choć kilka godzin, by nie zginąć już teraz, zaraz.

Praktykowana przez Niemców zasada — metoda zbiorowej odpowiedzialności, która stosowana była z systematyczną, właściwą im dokładnością, miała w nas szerokie pole do realizacji. Każdy z nas zrozumiał w końcu, na czym ona polega i to tak dalece, że gdy dzisiaj widzę jakiegoś nawet młodziutkiego Niemca, to mimo bezsensu takiego stanowiska czynię go odpowiedzialnym za wszystko to, co popełnili jego rodzice lub sąsiedzi podczas straszliwych dni wojny. Tkwi to zbyt trwale w mej świadomości czy podświadomości; chyba engramy zostały wyciśnięte zbyt głęboko w systemie informacyjnym tkanki mózgowej.

Interesujące, że chodzi tutaj o moje najgłębsze „ja", o coś, co staram się przeważnie zataić nawet przed samym sobą. Dla wszystkich innych — z mniejszym lub większym trudem — usiłuję być zawsze rozumiejącym ich postawy; to jest moja wewnętrzna busola. Busola ta zaczyna szaleć, gdy znajdzie się w pobliżu niemieckiego pola magnetycznego. Mimo to utrzymuję się na prawidłowej drodze. Przypuszczam, iż dzieje się to dzięki temu, że popycha mnie we właściwym kierunku potok, może rzeka innych ludzi, normalnie i zdrowo myślących, widzących efekt prawidłowego wychowania nowego pokolenia Niemców.

Staram się więc nawet Niemców oceniać z formalnej strony, sprawiedliwie. Wiem bowiem, że byłoby to deprecjonowanie mnie ja-

ko człowieka, gdybym pozwolił się kierować niemieckim systemem zbiorowej odpowiedzialności.

Próba ucieczki oznaczała odpowiedzialność mieszkańców baraku, w którym uciekinier mieszkał, odpowiedzialność *arbeitskommando*, w którym pracował i odpowiedzialność grupy narodowościowej, której był przedstawicielem. Zależnie od humoru komendanta obozu raz zatrzymywano wszystkich więźniów na placu apelowym, gdzie mieli stać na baczność do skutku, a więc do czasu odnalezienia uciekiniera, co mogło trwać rozmaicie długo, kiedy indziej obejmowano opieką — bardzo czułą opieką — „komando", cały blok bądź całą grupę narodowościową, do której należał nieszczęśnik. Skutkiem tej opieki była zawsze śmierć kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi, za którą mordercy czynili odpowiedzialnym uciekiniera.

Bardzo niemiłe reminiscencje budzi we mnie słowo „Westerplatte". Westerplatte, na której panem życia i śmierci wszystkich więźniów był Niemiec, Emil *Lipinsky*; Emil, wspaniale wytatuowany zawodowy sutener, niepoprawny recydywista, rodem z Saksonii chyba. Był on jednym z pierwszych „kapo", którzy dokonali w naszym obozie masowej eksterminacji i to z największą dokładnością. Gusen miał być obozem bez księży. Wyosobniono więc z tzw. *Steinbruch* Gusen, tj. głównego kamieniołomu, mniejszy, który ochrzczono „Westerplatte". Skierowano tam wszystkich polskich księży i wydano „kapo" rozkaz wymordowania ich co do jednego. „Piękny Emil" rozkaz wykonał. Nie pamiętam, ilu było księży pod jego opieką, kilkudziesięciu, a może kilkuset. Jeden z *kommandoführerów*, który z pychą uważał siebie za przedstawiciela odradzających się dzielnych, pogańskich Germanów, pouczał nas, że bzdurą i nonsensem jest nauka o takim Bogu, który nie tylko nie zezwala na zabijanie swych wrogów, ale nakazuje miłość bliźniego. Za taką naukę księża muszą zginąć. Twierdził on, że właśnie on i jego kamraci — to nadludzie, nasi władcy i bogowie.

Gdy dzisiaj czytam o metodach zwalczania białaczki bydła w Danii, które zaproponował *Bendixen*, polegających między innymi na wybijaniu zakażonych stad do nogi, to reaguję na samą myśl o tym nudnościami, spowodowanymi psychicznym obrzydzeniem. Nie wiem nawet, czy chodzi tu o zwierzęta, które muszą ginąć za sam fakt należenia — i to zupełnie biernego należenia — do jakiegoś stada. Gra tu przede wszystkim rolę pamięć mojej własnej przynależności do bendixenowskiej grupy, grupy ludzkiej jednak. W Gusen dokładny i pracowity lekarz niemiecki potrafił szybko i sprawnie zlikwidować epidemię duru brzusznego. Drogą „uboju" wszystkich chorych i podejrzanych o chorobę. Robiono to „delikatnie", w sposób nader „humanitarny" przez wstrzyknięcie benzyny w serce delikwenta. Minuta strachu i...

Widzimy więc, że punkt ciężkości, co się tyczy metody odpowiedzialności zbiorowej, mógł być przesuwany w dowolnym kierunku, zależnie od okoliczności, potrzeby lub dobrego humoru jednego z bogów. Np. w Krakowie dokonano jakiegoś zamachu czy sabotażu i już wyciągano kartoteki krakowian znajdujących się w Gusen, aby ich rozstrzelać. Komendant obozu zdenerwował się zbyt częstym widokiem przylepionych więźniom-Żydom dodatkowych żółtych trójkątów i natychmiast jego gwardia wymordowała ich wszystkich. Jak można bowiem tak denerwować wyczerpanego ciężką służbą komendanta! *Konzentrationslager ist die zweite Front* — obóz koncentracyjny, to drugi front! A czy służba na froncie może być lekka i nie męczyć, nawet jeśli to dotyczy nadludzi?

Nic też dziwnego, że baliśmy się wywoływania podczas apelu naszych numerów, które były w tych czasach, gdy dominowała zasada zbiorowej odpowiedzialności, naszymi nazwiskami. Baliśmy się tego jak ognia, gdyż oznaczało to prawie zawsze koniec ziemskiej epopei. A my przecież tak bardzo chcieliśmy żyć i to w ogromnej naszej masie chcieliśmy żyć bez splugawienia się jakąś zdradą w celu uratowania siebie. Chcieliśmy nie stracić prawa do patrzenia na siebie w lustrze bez wstrętu i obrzydzenia.

Próbowałem rozważyć motywy postępowania kilku księży, którzy nie przyznawszy się na apelu do tego, że nimi są, uratowali swe życie. Lub motywy postępowania kilkudziesięciu, a może kilkuset gorączkujących w czasie epidemii duru, którzy zrezygnowali z „leczenia", ale być może spowodowali zachorowanie innych współtowarzyszy. Czy też akt rozpaczy kilku kolegów próbujących ucieczki i narażających życie wielu innych.

Doszedłem do wniosku, że popełniam w mym rozumowaniu zasadniczy błąd. Za prawidłowe bowiem uznaję metody stosowane przez Niemców i za normalny — obraz świata widziany ich oczami. A przecież taka hitlerowska logika cechuje właśnie myślenie paranoika. Podczas pierwszych lat pobytu w obozie byliśmy tak dalece zaindukowani tym paranoidalnym myśleniem, iż raz cieszyliśmy się z tego, że nie jesteśmy akurat księżmi, innym razem, że nie jesteśmy z Krakowa, albo że nie jesteśmy Żydami, albo że nie należymy do bloku, z którego pochodził więzień próbujący ucieczki, albo że nie gorączkujemy podczas epidemii duru.

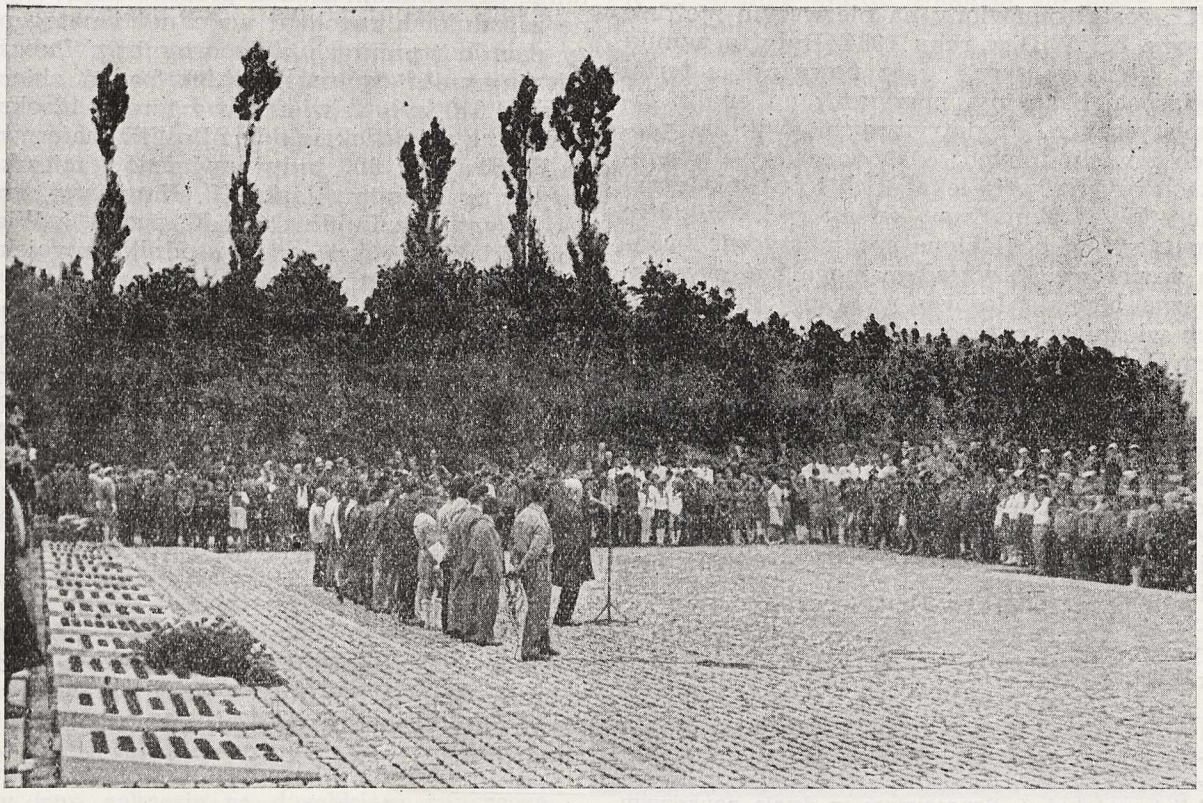
Dopiero w miarę upływu czasu, po kilku latach, wytworzyło się wśród więźniów poczucie szerokiej solidarności i ponadnarodowej wspólnoty i przyjaźni. Zaczęliśmy się czuć jedną wielką rodziną. Bariery językowe nie stanowiły poważniejszej przeszkody w nawiązaniu bliskich kontaktów, może dzięki żargonowi, który zrodził się po pewnym czasie. Tak osobliwe powstawanie języka środowiskowego powinno zainteresować lingwistów.

Należy dla sprawiedliwości dodać, że do tej naszej rodziny włączyli się również niektórzy

Niemcy: wprawdzie były to tylko jednostki, ale jednak... W każdym razie nie byli to nadludzie. Wydaje mi się, że z tego rodzaju postawa wśród więźniów została spowodowana z jednej strony złagodzeniem głodu w obozie wskutek zezwolenia na przysyłanie paczek żywnościowych, z drugiej zaś — pierwszymi niepowodzeniami wojennymi Niemców oraz budową zakładów zbrojeniowych w obozie i zatrudnieniem w nich więźniów. Najgorzej wiodło się więźniom ze świeżo przybywających transportów. Poznawanie bowiem swoistości nowego obozu nawet dla doświadczonego, „starego" więźnia wymagało dużo czasu. Ci „nowi" zaś od razu byli kierowani do najcięższej i wygładzającej pracy. Wielu, bardzo wielu z nich, to bohaterowie walki podziemnej, partyzanci, którzy wskutek zdrady lub niepowodzenia w walce z przeważającymi siłami dostali się w ręce wroga. W swej walce nigdy nie byli osamotnieni. Pomagała im ludność miejscowa zarówno materialnie, jak i przez dopływ ochotników. Oddziały partyzanckie walczące na terenie Polski składały się z Polaków, Rosjan, Żydów, a nawet Francuzów i innych. Wszystkich łączyło umiłowanie wolności i nienawiść do hitlerowskiej bestii. Podobne wieści mieliśmy od Jugosłowian, Greków, Rosjan, Francuzów. Również i tam przestały działać bariery narodowościowe, również i tam okazało się, że znacznie więcej jest ideałów łączących ludzi niż dzielących ich. W uzmysłowieniu tego bardzo pomocni byli Niemcy, kontynuując obłędnie realizowanie metody zbiorowej odpowiedzialności. Przyspieszyli dzięki temu swój koniec.

My, tak zwani starzy więźniowie, właśnie naszym kolegom-partyzantom zawdzięczaliśmy odzyskanie wiary w siebie, wiary w możliwość przeciwdziałania niemieckiej paranoi. Sami staraliśmy się iść im w miarę naszych sił z pomocą. Dzieliliśmy się z nimi naszymi paczkami żywnościowymi, organizowaliśmy dla nich lepsze stanowiska pracy, a później włączaliśmy się do obozowej akcji oporu. Dzisiaj, po tylu latach, uważamy spotkania z kolegami za spotkania z dawno nie widzianą rodziną. Nie gra przy tym najmniejszej roli zawód więźnia ani jego narodowość.

I chociaż wygladać to może na utopię, to pragnąłbym jednak z całych sił, aby ta nasza obozowa solidarność objęła swym zasięgiem nie tylko jednostki, lecz także społeczeństwa i wszystkie narody, cały świat!



Manifestacja z udziałem młodzieży różnych krajów, która przebywała na zgrupowaniu zorganizowanym przez Związek Harcerstwa Polskiego na terenie byłego obozu Oświęcim-Brzezinka w dniu 26 lipca 1968 roku (zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

ZENON JAGODA, JAN MASŁOWSKI

Kraków

Drugi zjazd lekarzy ZBoWiD
Polska medycyna wobec problematyki okupacyjnej

Wbrew pojawiającym się tu i ówdzie poglądom, jakoby badania nad psychosomatycznymi skutkami okupacji hitlerowskiej w Polsce zostały zorganizowane dopiero w ostatnich latach, trzeba stwierdzić, że celowe gromadzenie spostrzeżeń w tym zakresie sięga lat minionej wojny. Wystarczy przypomnieć między innymi zespołowe badania kliniczne nad głodem, wykonane w getcie warszawskim w roku 1942, badania lekarskie w szpitalu obozowym w Monowicach (Oświęcim III), obserwacje dotyczące epidemii durów w kilku miastach polskich, dość liczne prace z pierwszych lat po wyzwoleniu itd. „Przegląd Lekarski — Oświęcim" wymienił przed kilku laty [1] wiele pozycji z tamtego okresu, a od roku 1961, jak wiadomo, systematycznie publikował wyniki badań lekarskich dotyczących zagadnień okupacji.

Dorobek drugiej powojennej fali badań, przedstawiany między innymi na kongresach *FIR* [2], został omówiony na pierwszym zjeździe lekarzy ZBoWiD w roku 1964. Były to wyniki prac, które w sumie dały poważny materiał wielospecjalizacyjny, począwszy od analiz internistycznych, ftizjatrycznych, psychiatrycznych i wielu innych, a skończywszy na referatach psycho-socjo-lekarskich i prawno-lekarskich. Wyodrębniały się wtedy pod względem tematycznym pogłębione specjalistyczne badania zespołowe. Przykładem mogą być psychiatryczne badania losowo wybranej grupy byłych więźniów, rozpoczęte w roku 1958 w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie. Relację ze wspomnianego zjazdu znają nasi czytelnicy [3]. Pobudził on lekarzy ZBoWiD i innych do podejmowania dalszych opracowań i badań w środowiskach byłych więźniów. Ponadto rokrocznie od 10 lat w czasie styczniowych obchodów wyzwolenia Oświęcimia oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego urządza uroczyste posiedzenia, na których autorzy prezentują aktualne wyniki swych badań w zakresie okupacyjnej tematyki lekarskiej.

Jeszcze bogatszą problematykę przedstawili referenci na drugim ogólnopolskim zjeździe lekarzy ZBoWiD w dniach 28 i 29 maja 1968 roku w Warszawie. W zjeździe uczestniczyło około 150 osób, przeważnie lekarzy. Czas nie pozwolił na wygłoszenie skrótów wszystkich opracowań, które zgłoszono komitetowi organizacyjnemu. Ogółem przedstawiono blisko 40 referatów. Ich tytuły, a także niektóre streszczenia zawarto w powielonej broszurze [4]. Kilka prac, przeważnie znacznie rozszerzonych i przerobionych, można znaleźć w niniejszym zeszycie (E. *Chróścielewskiego*, A. *Glińskiej*, A. *Kaczyńskiego*, S. *Kłodzińskiego*, J. *Panasewicza*, B. *Waluka*, Z. *Wlazłowskiego*).

Osią tematyczną zjazdu były zagadnienia dotyczące poznania psychosomatycznych następstw minionej wojny i hitlerowskiej okupacji. Problematyka ta jest ściśle związana z potrzebami opieki lekarskiej nad kombatantami. Uczestnikom zjazdu przedstawiono ogólne zagadnienia patologii wojennej i patogenezy chorób wynikłych z deportacji (J. *Panasewicz*), wyniki ogólnolekarskich badań zbiorowych 4 600 byłych więźniów z terenu 12 okręgowych komisji lekarskich ZBoWiD (referowała H. *Szwarc*), 500 byłych więźniów mieszkających na Dolnym Śląsku (C. *Kempisty*), grupy badanych z Lublina (M. *Klepacki*), z Wielkopolski (S. *Bieńka*), grupy osadników wojskowych (B. *Waluk*) itp.

Badania ogólnolekarskie, obejmujące bardzo dużą populację deportowanych, orientują siłą rzeczy przede wszystkim statystycznie i nie pogłębiają analiz specjalistycznych. Uzupełnieniem ogólnych wyników stała się grupa referatów, które zostały poświęcone zagadnieniom szczegółowym. Omówiono więc urazy obozowe i wojenne (M. *Bedryńska-Dobek*, J. *Drzażdżyńska*), także u dzieci (K. *Pietroń*, E. *Poluha*), następstwa psychiczne przeżyć okupacyjnych (W. *Jędrzejczak*), choroby układu krążenia (E. *Szmatłoch*), zaburzenia geriatryczne (S. *Frajtek*, C. *Kempisty*), gościec (A. *Kaczyński*), choroby oczu (W. *Witusik*), zbrodnie oraz eksperymenty pseudolekarskie (W. *Fejkiel*, S. *Kłodziński*).

---

[1] J. *Masłowski:* Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964. Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 175 i następne.

[2] Zob. artykuł J. *Panasewicza* w dziale naukowym niniejszego zeszytu.

[3] A. *Kępiński*, J. *Masłowski:* Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy. Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 161.

[4] Program II ogólnopolskiego zjazdu lekarzy ZBoWiD. Wyd. Główna Komisja Socjalna i Zdrowia Zarządu Głównego ZBoWiD, Warszawa 1968, 4°, ss. 18, nlb. 5.



Ryc. 1. W sali obrad drugiego zjazdu lekarzy ZBoWiD w Warszawie (w budynku Naczelnego Komitetu ZSL). Fot. Zbigniew *Dąbrowiecki*

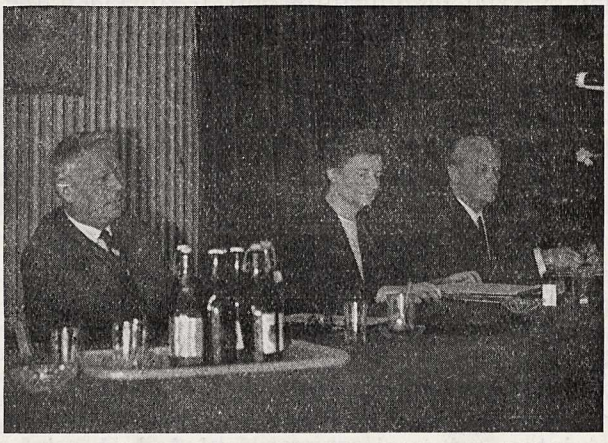
W drugim dniu zjazdu dominowała tematyka historyczna, zarówno w ujęciu ogólnym (S. *Konopka*), jak i szczegółowym w wielu referatach. Ujawniono liczne nieznane fakty z historii medycyny czasów okupacji, kreśląc piękny obraz patriotycznej działalności konspiracyjnej polskich pracowników służby zdrowia w różnych regionach okupowanego kraju i w różnych okresach wojny, w więzieniach, obozach koncentracyjnych i jenieckich, w obozach pracy i gettach. Pomoc ta służyła bez wyjątku wszystkim, bez względu na przekonania polityczne, społeczne i religijne, niezależnie od narodowości.

Referenci omawiali problematykę lekarską Warszawy (A. *Czuperska-Śliwicka*, T. *Radwański*, H. *Szukiewicz*), Lubelszczyzny (R. *Jędrzejewski*, K. *Litwiniuk*, J. *Monies*), Wybrzeża (L. *Duszyński*) itp. Relacje o udziale lekarzy i innych pracowników służby zdrowia w ruchu oporu dotyczyły też obozów i więzień (K. *Drescher*, S. *Perzanowska*, A. *Warzok*, Z. *Wlazłowski*) oraz partyzantki (J. *Aleksandrowicz*, Z. *Jaśniewicz*, M. *Korczak*, B. *Matus*). Nawiązywano również do kampanii wrześniowej (W. *Jaworski*, T. *Radwański*).

Na uwagę zasługuje, że ponadto wyeksponowano zagadnienia deontologiczne i pokrewne (E. *Chróścielewski*, A. *Glińska*, A. *Kępiński*, A. *Przerwa-Tetmajer*). Naukowo ujęte przemyślenia w tym zakresie są dorobkiem zwłaszcza lat ostatnich. Praktyka lekarska dotycząca kontaktów lekarzy z kombatantami nasunęła również myśl o potrzebie omówienia pilnych zagadnień socjalnych (Z. *Jaśniewicz*, J. *Kowalski*).

W programie zjazdu znalazła się także relacja o rozwoju zeszytów specjalnych „Przeglądu Lekarskiego", poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu okupacji hitlerowskiej (J. *Bogusz*) oraz charakterystyka prac z zakresu medycyny minionej wojny, które ukazały się w Polsce poza publikacjami umieszczonymi w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (J. *Masłowski*).

Dyskusja zjazdowa poszerzyła naukowe treści części referatowej obu dni obrad i wprowadziła dalsze zagadnienia. W jej toku infor-



Ryc. 2. Fragment prezydium zjazdu. Od lewej: min. dr Jerzy *Sztachelski*, prof. dr Halina *Szwarc* i prof. dr Józef *Bogusz*. Fot. Zbigniew *Dąbrowiecki*

mowano między innymi o własnych badaniach dyskutantów. I tak, podano wyniki badań okulistycznych w grupie byłych więźniów z powiatów oświęcimskiego i jasielskiego (W. *Witusik*), wniesiono uzupełnienia do niektórych referatów, między innymi J. *Panasewicza* i H. *Szwarc* (C. *Pilichowski*), prac z terenu Lubelszczyzny (Z. *Boczkowski*) itp. Poruszono znaczenie zagadnień geriatrycznych w patologii byłych więźniów (L. *Dobrowolski*).

Spośród interesujących uwag warto przytoczyc informacje o swoistości nerwic seksualnych u byłych więźniów, u których występują one w związku z przedwczesną starością, a także o roli psychoz jako następstw przeżyć okupacyjnych (W. *Salwa*, J. *Kutyba*). Między innymi zauważono, że zaburzenia psychiatryczne są zwłaszcza w badaniach masowych nie dość subtelnie rozpoznawane i różnicowane. Dlatego czasem znajdują się one na dalszym planie wśród zestawień innych chorób.

Sporo uwagi dyskutujący poświęcili zagadnieniom społecznym, szczególnie opiece nad kombatantami w podeszłym wieku, zaopatrzeniu byłych więźniów w leki, konieczności ułatwienia dostępu do wczasów i sanatoriów, pomocy ze strony poradni specjalistycznych itp. W niektórych okolicach kraju pomoc ta jest dostateczna i spontaniczna, jak stwierdzali niektórzy referenci (np. B. *Kalinowska*), natomiast gdzie indziej pozostawia wiele do życzenia. Postulowano więc, aby przejść wszędzie do zorganizowanych form pomocy (L. *Muszyński*), a zwłaszcza przeorganizować praktykę przyznawania rent byłym więźniom i zaopatrywać komisje inwalidztwa i zatrudnienia w odpowiednią dokumentację lekarską (J. *Gelert*, L. *Giergielewicz*). O różnych postaciach i potrzebach opieki nad kombatantami mówiło wiele osób (M. *Cieślawski*, K. *Drescher*, L. *Dobrowolski*, J. *Nowak*, E. *Paluch*, W. *Wojtasik*).

Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, dr Czesław *Pilichowski* omówił problematykę prac Komisji w dziedzinie zbrodniczych doświadczeń pseudolekarskich. Poinformował między innymi o uzyskaniu nowych dokumentów, np. o zdjęciach radiologicznych dra *Clauberga*, otrzymanych z Moskwy. Wśród pilnych zadań wymienił konieczność dalszego naukowego badania zagadnień lekarskich okresu minionej wojny, przyspieszenie badań lekarskich byłych więźniów, których ciągle ubywa, oraz publikowanie wyników tych prac.

Dr Lech *Giergielewicz*, dyrektor Departamentu Orzecznictwa ZUS, wyjaśnił lekarsko-prawną pragmatykę kwalifikowania byłych więźniów do określonych grup inwalidztwa. Niestety, ciągle jeszcze załatwia się te sprawy w sposób niewłaściwy pod względem formalnym, a mimo to formalistycznie. Za słabo też interweniuje się w sprawach byłych więźniów u wojewódzkich inspektorów orzecznictwa inwalidzkiego, jak też u wyższych instancji.

W kwestiach socjalnych zgłaszano różne życzenia. Pojawiła się np. opinia, że lekarz ZBoWiD w razie rozpatrywania spraw byłych więźniów powinien mieć prawo współuczestniczenia w obwodowych KIZ z głosem doradczym, a w wojewódzkich KIZ z głosem współdecydującym. Wysunięto projekt, aby umożliwić tym członkom ZBoWiD, którzy z tytułu stanu swego zdrowia lub późnych następstw inwalidztwa wynikającego z przeżyć wojennych nie mogą kontynuować pracy zawodowej, otrzymanie emerytury o 5 lat wcześniej niż dozwalają obowiązujące przepisy, pod warunkiem jednak, że zainteresowani sami się będą o to ubiegać. Domagano się też przyspieszenia realizacji uznawania szkód na zdrowiu doznanych w obozach i więzieniach hitlerowskich za pełnoprawną podstawę do uzyskania renty inwalidy wojennego. Zwracano uwagę na możliwość przedłużenia zdolności do pracy lekarzy i pozostałego personelu służby zdrowia zrzeszonego w ZBoWiD przez zmniejszenie wymiaru godzin pracy, z zachowaniem warunków płac. Zgłoszono także propozycje przyspieszenia rozwoju sieci domów opieki zbowidowca, ułatwiania przyjęć kombatantów do tych placówek w pierwszej kolejności, zwiększania przydziałów skierowań na wczasy, do uzdrowisk i do sanatoriów, zwłaszcza w miejscowościach nadmorskich i górskich, co przedłużyłoby okres zdolności do pracy, przy czym by należało umożliwiać wyjazdy kombatantów na leczenie sanatoryjne w okresie czasowej niezdolności do pracy, a nie kosztem urlopu. Aczkolwiek niektóre postulaty są w toku załatwiania, nie wszystkie z nich mogą być łatwo zrealizowane, jak np. projekt nadania nieubezpieczonym członkom ZBoWiD prawa do korzystania z bezpłatnych świadczeń lekarskich w pełnym zakresie.

Uczestniczący w obradach zjazdu minister zdrowia i opieki społecznej, dr Jerzy *Sztachelski* poświęcił swoje wystąpienie ocenie dorobku lekarskiego w walce z następstwami okupacji i w badaniach naukowych. Uznał ich istotną wartość, doceniając wysiłek lekarzy w zbieraniu dokumentacji lekarskiej. Zwrócił przy tym uwagę na braki w zakresie pamiętnikarstwa. Bieżący zjazd wniósł dużo nowego materiału, ale nie jest to pierwszy krok, gdyż zjazd poprzedni, a także osiem dotychczasowych zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" są poważnym osiągnięciem. Minister przypomniał także, iż zjazd został przygotowany pod względem organizacyjnym z dużym wysiłkiem niewielkiej grupy osób, tzn. Komisji Socjalnej i Zdrowia Zarządu Głównego ZBoWiD, w szczególności płka B. *Łazarskiego*, prof. dr H. *Szwarc* i doc. dr J. *Panasewicza*. Ze względu na fakt, że praca organizatorów i referentów została w dużym stopniu wykonana czynem społecznym, ma ona, zdaniem ministra, ogromną wartość ideowo-moralną.

Z uwagą zebrani wysłuchali również przemówienia sekretarza generalnego Zarządu Głównego ZBoWiD, wiceministra kultury

i sztuki, Kazimierza *Rusinka*. Stwierdził on, że obecność reprezentantów władz państwowych i ZG ZBoWiD na zjeździe jest świadectwem uznania i wielkiego znaczenia, jakie władze wiążą z działalnością i pracami lekarzy ZBoWiD. Minister *Rusinek* wyraził podziękowanie autorom prac i zachęcił do kontynuowania badań, przede wszystkim dlatego, że sprawa przyczynowości następstw wojny w stanie zdrowia kombatantów ma ważne znaczenie polityczne. Tematyka omawiana na zjeździe powinna być szerzej udostępniona społeczeństwu, szczególnie młodzieży, jak również w językach obcych przedstawiona zagranicy. Zasługi kombatantów, lekarzy i innych pracowników służby zdrowia, także tych, którzy po wojnie zajęli się omawianą problematyką, powinny znaleźć godne siebie pióra, podobnie jak ongiś Judymowie mieli swoich Żeromskich.

Zdaniem ministra *Rusinka,* pomimo nadrzędnej roli prawa międzynarodowego NRF, która wysuwa własne, niezgodne z nim ustawodawstwo, obraża normy prawne ustalone w związku z kapitulacją Niemiec hitlerowskich i karaniem zbrodniarzy wojennych. Nie zostały w pełni zrealizowane ustalenia deklaracji moskiewskiej, umowy jałtańskiej, umowy poczdamskiej, dotyczące ukarania wszystkich zbrodniarzy po wojnie, spłaty odszkodowań i uniemożliwienie Niemcom Zachodnim ponownego zakłócenia pokoju. Również USA i Wielka Brytania nie dotrzymują sygnowanych przez siebie umów międzynarodowych.

Minister *Rusinek,* opowiedziawszy się za koniecznością kontynuowania badań, a także podkreśliwszy znaczenie zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", zacytował następujący fragment wypowiedzi prof. dr J. *Bogusza* na zjeździe: „Nie ma na pewno potrzeby przekonywania nikogo z zebranych o celowości kontynuowania tych opracowań. Wydawnictwo jest potrzebne po to, by zebrać dane naukowe dotyczące następstw okresu wojny, co ma także praktyczne znaczenie w ich leczeniu, by zebrać i utrwalić dane historyczne oraz by z nieludzkiego okresu wydobyć aspekt etyczno-moralny i wartości humanistyczne. Ale publikacje te są jednocześnie ostrzeżeniem. Nie umniejszamy głosów rozsądku, jakie odzywają się w NRF. Ale w Niemieckiej Republice Federalnej nie dokonano właściwego rozrachunku z przeszłością narodowosocjalistyczną. Wskazują na to wciąż odzywające się głosy rewizjonistyczne, domaganie się broni atomowo-wodorowej, rozbudowywanie *Bundeswehry*. Wskazują na to tendencje w sprawie przedawnienia zbrodni hitlerowskich. Procesy i wyroki sądowe w NRF, dotyczące zbrodniarzy hitlerowskich, jak np. wyrok z 19 sierpnia 1965 roku w słynnym procesie frankfurckim, wykazały dowodnie, jak wadliwe i przestarzałe jest ustawodawstwo w Niemieckiej Republice Federalnej, sięgające czasów *Bismarcka,* nie uznające pojęcia zbrodni przeciw ludzkości czy zbrodni ludobójstwa. Ten kraj, mieniący się dzisiaj tak bardzo nowoczesnym w różnych dziedzinach nauki i techniki, wykazuje zadziwiającą skłonność do trwania w przestarzałych, nie odpowiadających współczesnemu odczuciu normach prawnych, *eo ipso* — normach etyczno-moralnych".

Konieczne jest zarówno upowszechnienie prawdy o lekarzu-społeczniku, o jego udziale w ruchu oporu, jak też dążenie do uzyskania syntetycznych, ogólnopolskich wyników badań lekarskich w zakresie patologii minionej wojny i jej następstw chorobowych, a także uzupełnienie luk, między innymi rejestru ofiar wśród pracowników służby zdrowia. Istnieją, jak podał minister *Rusinek,* odpowiednie materiały. Aktualności nabiera zwłaszcza obecnie sprawa odszkodowań.

W artykule opublikowanym kilka tygodni po zjeździe minister *Rusinek,* jak gdyby nawiązując do tematyki obrad, napisał: „Przełamać musimy również niechęć wydawców do wznowień i wydawania nowych pozycji traktujących o dziejach II wojny światowej, o ruchu oporu, o całym okresie okupacji, o martyrologii narodu i jego walce z hitleryzmem. Tematyka obozowa także musi być dostrzeżona przez wydawców i w planach wydawniczych musi być w szerszym zakresie uwzględniona" [5]. Mieści się tutaj zarówno udział lekarzy w ruchu oporu, jak również ich powojenna i obecna walka z następstwami medycznymi okresu prześladowań hitlerowskich.

Dorobek zjazdu według ministra *Rusinka* ma także bardzo ważne znaczenie jako dokumentacja przy ściganiu hitlerowskich przestępców wojennych, ponieważ, jak to sformułowała również prof. dr H. *Szwarc*, „badania chorobowości i urazowości wśród ofiar hitlerowskich obozów koncentracyjnych są wielkim dokumentem oskarżającym faszyzm. Wskazują one na to, że w Polsce, w kraju najbardziej wyniszczonym wojną, żyją jeszcze tysiące ludzi, których cierpienia, choroby i kalectwo są następstwem zbrodniczych metod hitlerowskich przestępców. Zbrodnie, o których zapomnienie tak walczą w NRF, trwają i nie mogą ulec przedawnieniu nie tylko dlatego, że żyją jeszcze przestępcy, ale przede wszystkim dlatego, że żyją tysiące ofiar tych zbrodni" [6].

Wyrazem jednomyślności uczestników zjazdu była rezolucja, stanowiąca protest przeciw polityce odwetu i rewizjonizmu państwa bońskiego. Rezolucja ostrzega, że w NRF istnieje niebezpieczeństwo w postaci odradzającego się faszyzmu i z oburzeniem odrzuca oszczerstwa

[5] K. *Rusinek:* Walka o treść książki. Polityka, 1968, nr 23, s. 8. — Do niektórych zagadnień drugiego zjazdu lekarzy ZBoWiD nawiązał także J. *Sztachelski* (w artykule pt. O pracy Głównej Komisji Socjalnej i Zdrowia. Za Wolność i Lud, 1968, nr 22, s. 13), przy czym podkreślił rolę zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" jako inicjatywy środowiskowej i rezultatu społecznego zaangażowania lekarzy w pracach o wysokiej wartości historycznej.

[6] H. *Szwarc:* Ofiary jeszcze żyją. Kultura, 1968, nr 29, s. 7. Zob. też: Chlubna karta w naszej historii nie może ulec zapomnieniu. Trybuna Ludu, 1968, nr 148, s. 4.

pod adresem naszego narodu, wychodzące z wrogich, zagranicznych ośrodków. W rezolucji jest także apel do lekarzy wszystkich krajów świata, aby wspólnie z polskimi lekarzami przeciwstawiali się zbrodniom wojennym popełnianym ciągle jeszcze na różnych kontynentach i ostro zaprotestowali przeciw tendencjom w NRF do zaniechania ścigania zbrodniarzy wojennych.

Rezultaty zjazdu z pewnością będą owocne. Niezależnie od planu dalszych badań, a także postulatu objęcia leczeniem tych dziesiątków tysięcy kombatantów, którzy jeszcze nie zostali zbadani, zjazd uchwalił konkretne wnioski, dotyczące zagadnień szczegółowych. Prace naukowe dotyczące problematyki lekarskiej minionej wojny i jej następstw powinny być podstawą do uzyskiwania przez autorów tytułów naukowych i stopni zawodowych.



Minister Obrony Finlandii, *Saulo Sourttanen* wraz z małżonką zwiedza teren byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu w dniu 11 lutego 1968 roku. (Zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)



Ryc. 3. Prof. dr Halina *Szwarc* dziękuje w imieniu wyróżnionych odznakami Za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia. Fot. Zbigniew *Dąbrowiecki*

Wysunięto postulat, aby ze względu na swoistość i osobliwość chorobowego zespołu tzw. poobozowego (*KZ-Syndrom*), który został bezspornie uznany w świecie naukowym, włączyć ten zespół do międzynarodowej klasyfikacji chorób i opatrzyć odpowiednim numerem statystycznym, co między innymi miałoby istotne znaczenie w orzecznictwie lekarskim. Ponieważ nazewnictwo tego zespołu nie jest jednolite, należy powierzyć ustalenie i ujednolicenie odpowiedniej terminologii fachowcom, tj. lekarzom ZBoWiD i językoznawcom jako konsultantom.

Uczestnicy obrad uznali, iż zjazd trzeci i następne powinny objąć szerszy krąg zainteresowanych, również pielęgniarki, farmaceutów, psychologów, socjologów i prawników, którzy zajmują się zagadnieniami lekarskimi minionej wojny. Na marginesie warto dodać, że bieżący zjazd uwzględnił np. tylko jeden referat farmaceuty (J. *Moniesa*).

Ponadto uchwalono wydanie pamiętnika zjazdu, edycję monograficznej księgi pamiątkowej poświęconej pracownikom służby zdrowia — ofiarom hitleryzmu, ufundowanie ich pomnika, udostępnienie materiałów zjazdowych Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, zwołanie następnego zjazdu po upływie trzech lat. We wnioskach znalazł się także punkt dotyczący naszych zeszytów: „Uczestnicy zjazdu są zdania, że materiały dotyczące lekarskiej problematyki okresu wojny są zbyt mało rozpowszechniane w społeczeństwie, jak również nie są w odpowiednim stopniu wydawane w językach obcych dla zagranicy. W związku z tym należy uzyskać w PP «Ruchu» zwiększenie nakładu «Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim» i rozpowszechnianie tych zeszytów przynajmniej we wszystkich księgarniach naukowych w Polsce. Ponadto należy przyspieszyć angielskie i niemieckie wydanie tekstów z dotychczasowych zeszytów tego czasopisma".

Na podkreślenie zasługuje wspomniane już zainteresowanie zjazdem ze strony przedstawicieli władz państwowych i organizacji społecznych, zwłaszcza obecność na obradach ministra dra Jerzego *Sztachelskiego*, wiceministra i sekretarza generalnego ZBoWiD Kazimierza *Rusinka*, wiceprezesów Zarządu Głównego ZBoWiD ministra Włodzimierza *Lechowicza* i płka Zygmunta *Netzera*, a także członka Rady Naczelnej ZBoWiD, marszałka Michała *Roli-Żymierskiego*. Dowodem uznania zasług lekarzy-członków ZBoWiD było wyróżnienie odznakami Za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia kilkudziesięciu uczestników zjazdu; wśród odznaczonych znalazło się kilku autorów prac zamieszczonych w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim".

ANNA PITUCH Kraków

Studenci o zbrodniach hitlerowskich
Seminarium ogólnopolskie

W ostatnich latach obserwuje się wzrost zainteresowania zagadnieniami okresu minionej wojny ze strony młodego pokolenia. Wyrazem tego jest między innymi ogólnopolskie seminarium studenckie, którego uczestnicy podjęli próbę wymiany poglądów na ten temat. Organizatorem spotkania była Komisja Kultury Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich w Krakowie. Udział wzięli studenci-członkowie Studenckiego Towarzystwa Naukowego, którzy w kołach naukowych zajmują się tą problematyką. W 23 lata po zakończeniu drugiej wojny światowej, w dniach 9 i 10 maja 1968 roku w Krakowie, studenci z różnych stron Polski przedstawili 11 referatów.

Byli to studenci medycyny, prawa, historii i innych wydziałów, którzy w swych opracowaniach wyzyskali w szerokim zakresie istniejące publikacje dotyczące zwłaszcza zbrodni hitlerowskich. Mimo kompilacyjnego charakteru prac ich autorzy w znacznym stopniu wykazali samodzielne podejście do omawianych zagadnień, szczególnie w referatach poświęconych obozom jenieckim na terenie Polski oraz losowi uratowanych z obozów koncentracyjnych w świetle literatury i sztuki polskiej.

Szczegółowa relacja o całości seminarium wykraczałaby poza tematykę „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", wystarczy więc przed bliższym omówieniem zagadnień lekarskich zasygnalizować kilka innych prac. Duży zasób informacji podano w wyczerpującym referacie historycznym pt. „Polityka eksterminacyjna okupanta na ziemiach polskich podczas ostatniej wojny. Obozy zagłady na ziemiach polskich". Autor, Wacław *Pluskiewicz,* jest studentem V roku historii Uniwersytetu Wrocławskiego. Jako koreferat została wygłoszona krótka praca o zbrodniach *Wehrmachtu,* przygotowana w kole naukowym Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie.

Ambitne tematy poruszono również w referatach prawniczych, mianowicie zanalizowano zasadę *nullum crimen sine lege* w aspekcie karania zbrodniarzy hitlerowskich. Tę samą zasadę rozważono w świetle prawa cywilnego w powiązaniu ze zbrodnią ludobójstwa. Sprawy te są ciągle aktualne i żywo odczuwane przez młode pokolenie. Mimo że dla studentów jest to tylko historia, przyłączają się oni emocjonalnie do tych, którzy żądają sprawiedliwości. Seminarium było jaskrawym wyrazem tej postawy. Najpełniej oburzenie zebranych oddał referat studenta z Poznania, Piotra *Kalki,* o dążeniach NRF do przedawnienia zbrodni hitlerowskich. Co prawda, nie znamy wojny z osobistych przeżyć, ale nie jest dla nas obojętne, czy wszyscy winni zostali ukarani.

Dużo czasu poświęcono lekarskiemu aspektowi zagadnienia zbrodni hitlerowskich. Student Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, Jerzy *Nakiela,* przedstawił referat pt. „Eksperyment lekarski a zbrodnie lekarzy hitlerowskich". Treść tego opracowania składała się z dwóch części. Osnową pierwszej było pojęcie eksperymentu lekarskiego, jego zasięgu, podstawy prawno-etycznej i użyteczności. Studenci medycyny są bardzo zainteresowani tą sprawą ze względu na aktualnie dokonywane i dyskutowane operacje kardiologiczne. W drugiej części zostało pokazane zbrodnicze nadużycie prawa do eksperymentu przez lekarzy hitlerowskich w Dachau.

O pseudolekarskich doświadczeniach w Dachau mówi się i wie na ogół niewiele. Działały tam stacje badawcze malaryczna, flegmonowa i lotnicza (ciśnieniowa). W malarycznej

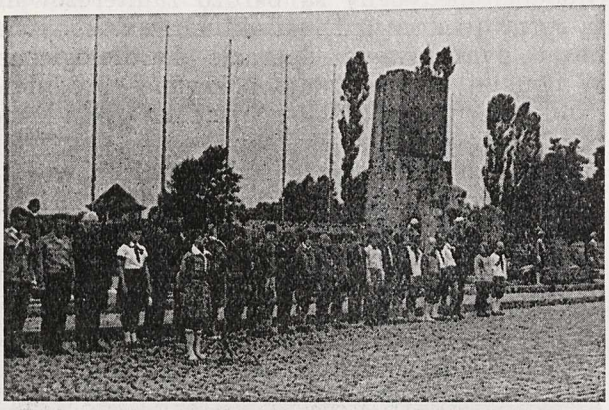


Ryc. 1. Delegaci młodzieży różnych krajów idą składać wieniec pod ścianę śmierci w Oświęcimiu w dniu 26 lipca 1968 roku. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

prof. *Schilling* wypróbowywał na zakażanych zimnicą więźniach działanie nowych substancji leczniczych. Jeśli nawet chorzy przeżyli serię ataków malarycznych, to i tak pobyt w stacji kończył się uśmierceniem. Ten sam los spotykał chorych, u których sztucznie wywoływano ropowice, doprowadzano do posocznic i stosowano nieznane dotychczas leki różnych firm niemieckich. Doświadczenia te wykonywano dla potrzeb wojska lądowego i lotnictwa. Specjalne badania poświęcano wytrzymałości ustroju na oziębianie, zmiany ciśnienia i spadek z dużej wysokości. Z tych eksperymentów również nikt żywy nie wyszedł.

Poza zbrodniami z Dachau oczywiście mówiono o Oświęcimiu. Student Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Krakowie, Maciej *Kowalczyk,* opierając się głównie na publikacjach „Przeglądu Lekarskiego — Oświę-

cim", poruszył zagadnienie etyki zawodowej i moralności niemieckich lekarzy obozowych. Podał poszczególne przykłady ich postępowania wobec więźniów. Do tego referatu nawiązywał szkic poświęcony kontrastowi między sylwetkami lekarzy *SS* a lekarzy-więźniów (studentka Akademii Medycznej w Krakowie, Anna *Pituch*). Studenci medycyny, a więc przyszli lekarze, bardzo odczuwają pohańbienie swego zawodu i ciężar zbrodni związany z pojęciem lekarza. Chociaż nie można zmienić przeszłości, możliwa jest rehabilitacja moralna tego zawodu przez surowe przestrzeganie zasad etycznych. Okazało się, że zetknięcie się studentów z tymi zagadnieniami, zwłaszcza z relacjami o okrucieństwie i bezwzględności lekarzy *SS*, było rzeczywiście wstrząsającym przeżyciem dla słuchaczy i wzbudziło w nich



Ryc. 2. Manifestacja przed Pomnikiem Ofiar Oświęcimia 26 lipca 1968 r. z udziałem młodzieży różnych narodowości ze zgrupowania zorganizowanego przez Związek Harcerstwa Polskiego. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

odruch poszukiwań niezawodnego zabezpieczenia przed powtórzeniem się podobnych zbrodni.

Jak gdyby odpowiedzią na te zagadnienia był referat studentów Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, Janusza *Andrzejewskiego* i Edwarda *Zająca*, na temat deontologii w wychowywaniu współczesnego lekarza. Gdy pomyśleć, że w Niemieckiej Republice Federalnej, w której swobodnie praktykują niektórzy lekarze-zbrodniarze z *SS*, jak np. Herta *Oberhäuser* lub Heinz *Baumkötter*, wychowuje się studentów medycyny na lekarzy, to rodzi się wątpliwość, czy zasadniczo różni się etyka pokoleń lekarskich. W związku z tymi rozważaniami w dyskusji na seminarium omawiano model wychowania etycznego polskich studentów medycyny.



Uroczystość związana z otwarciem nowego pawilonu w bloku nr 27, przedstawiającego problematykę martyrologii Żydów. (Zdjęcie, wykonane 21 kwietnia 1968 roku, nadesłało Państwowe Muzeum w Oświęcimiu)

W drugim dniu seminarium uczestnicy obrad udali się do byłego obozu oświęcimskiego, by złożyć wiązanki kwiatów pod ścianą śmierci. Studentom towarzyszyli sekretarz generalny Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego red. Mieczysław *Kieta*, przedstawiciel KW PZPR w Krakowie Włodzimierz *Wójcik* oraz profesorowie prawa UJ, Władysław *Siedlecki* i Marian *Cieślak*. Swoją obecnością na seminarium podkreślili oni jego znaczenie.

Niektóre z wymienionych materiałów zostały opublikowane w czasopismach studenckich („Student", „Nowy Medyk").

* * *

Ogólnopolskie seminarium studentów w Krakowie nie jest odosobnionym przykładem zainteresowania młodzieży problematyką okupacyjną. Różny jest też sposób manifestowania swych uczuć, choć wysiłek włożony w przygotowywanie konferencji naukowych jest o wiele większy. Przy okazji warto wspomnieć o innych akcjach, urządzanych przez młodzież np. na terenie byłych obozów. Np. harcerze w roku 1967 podjęli akcję, zwaną alertem trzecim, polegającą na wyszukiwaniu i opiece nad miejscami walk i męczeństwa narodu polskiego.

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH PRACOWNIKÓW SŁUŻBY ZDROWIA

Dwa szkice o prof. dr Jadwidze Szustrowej

WANDA KIEDRZYŃSKA Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego w Ravensbrück nr 11402

Koleje życia prof. Szustrowej

W rodzinie Edwarda *Strzeleckiego* i Marii z *Chojnackich,* córki Fabiana, uczestnika walk *Mierosławskiego,* urodziła się w roku 1890 córka Jadwiga. Ojciec, inżynier komunikacji, przeniósł się w roku 1894 do Rosji na budowę kolei południowo-wschodniej. Jadwiga rozpoczęła naukę w Woroneżu. W roku 1900 rodzina



Ryc. 1. Prof. dr Jadwiga *Szustrowa*

wróciła do Polski i osiadła w Łodzi. Tam zastała ją rewolucja 1905 roku i strajk młodzieży szkolnej. Jadwiga wraz z rodzeństwem opuściła gimnazjum carskie. Dalszą naukę kontynuowała w tajnych kompletach. Należała wówczas do Związku Młodzieży Socjalistycznej, będącej pod wpływem PPS-lewicy. Maturę zdała w męskim gimnazjum św. Anny w Krakowie w roku 1909. Dwa lata studiowała medycynę w Krakowie; następnie kontynuowała studia w Genewie. W Szwajcarii zetknęła się z rewolucjonistami — emigrantami rosyjskimi. Słuchała odczytów i przemówień *Lenina, Łunaczarskiego, Trockiego, Czernowa* i *Plechanowa.* Nie pozostało to bez wpływu na kształtowanie się jej poglądu na świat.

W roku 1914 wyszła za mąż za Lucjana *Szustra.* W roku 1918 ukończyła studia i wróciła z mężem do niepodległej Polski. Dr *Szustrowa* rozpoczynała praktykę jako lekarz szkolny i lekarz Kasy Chorych. W latach 1924—1925 powtarzała w Uniwersytecie Poznańskim egzaminy należące do tzw. ostatniego rygorozum w celu uzyskania nostryfikacji dyplomu zagranicznego.

Od roku 1925 pracowała w Łodzi w Poradni Przeciwgruźliczej Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Jako naczelny lekarz RTPD poświęciła się sprawie gruźlicy. Budowała — wraz z mężem, wicedyrektorem Ubezpieczalni Społecznej — sanatorium w Tuszynku dla robotników łódzkich. Jednocześnie prowadziła akcję uświadamiającą przez liczne odczyty, referaty i pogadanki w szkołach, fabrykach i związkach zawodowych. Była też przewodniczącą sekcji sióstr przy okręgu PCK i przewodniczącą lekarzy szkolnych. Brała udział w pracach powstałej Rady Naczelnej do Walki z Gruźlicą.

W roku 1938 została powołana do organizowania obrony przeciwlotniczej przy DOK 4. Po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Łodzi wysiedlono *Szustrów* do Generalnej Guberni. Zamieszkali w Piotrkowie Trybunalskim. *Szustrowa* pracowała od maja 1940 roku do roku 1944 jako kierownik poradni przeciwgruźliczej. Była jednocześnie zaangażowana w pracy konspiracyjnej służby zdrowia. Dostarczała leków oddziałom partyzanckim i grupom dywersyjnym. Mieszkanie *Szustrów* stało się punktem kontaktowym piotrkowskiej AK. Dwaj synowie pracowali w AK, byli w oddziałach partyzanckich. Wskutek przeniknięcia agenta-prowokatora do jednego z ogniw piotrkowskiej organizacji i „rozpracowaniu" wielu jej członków, gestapo aresztowało małżonków *Szustrów* w początku maja 1944 roku. Przewieziono ich do więzienia radomskiego. Po ciężkim śledztwie, z jakiego słynęło gestapo radomskie, 7 lipca 1944 roku wysłano *Szustrową* do kobiecego obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Męża stracono.

Do obozu przybyła w transporcie liczącym około 300 kobiet 10 lipca 1944 roku. Otrzymała numer obozowy zaczynający się na 45 tysięcy (dokładnego numeru nie można ustalić, gdyż nie zachowała się oryginalna lista tego transportu). Po odbyciu kwarantanny dostała się do „rewiru" na blok gruźlicy. Nie zdążyła jeszcze rozwinąć działalności jako lekarz-więzień, kie-

dy wysłano ją do fabryki samolotów w Barth (Ostsee) w Meklemburgii (*Ernst Heinkel Flugzeugwerke*). Barth było jednym z najcięższych „komand" Ravensbrück. Produkowano tam wówczas części do V1 i V2. Najliczniejsza była grupa Polek. Poza nimi były Czeszki, Jugosłowianki, Francuzki, Rosjanki, Żydówki węgierskie i Niemki. Dr *Szustrowa* dostała się do tamtejszego „rewiru" jako lekarka. Pracowała z lekarką-Polką Władysławą *Mroziewicz* i Rosjanką „wojennoplenną" Marią *Kluganową*. Warunki higieniczne w „komandzie" były opłakane. Praca ponad siły kobiece w tak niesprzyjających okolicznościach powodowała dużą zachorowalność i śmiertelnośc. Dr Jadwiga z miejsca zabrała się do działania ze swoją wrodzoną energią i zdolnościami organizacyjnymi. Nie było najprymitywniejszych leków, ale była silna wola lekarki, aby nieść pomoc potrzebującym.

Robiła wszystko, co było w jej mocy. Chore otaczała serdeczną troską. W prymitywnym „rewirze" lub w bloku zawsze była gotowa do niesienia pomocy. Gdy brakowało leku, było serdeczne zainteresowanie chorą i dobra rada. Znaczyło to nieraz więcej. Dr Jadwiga zyskała sobie ogólną sympatię więźniarek. Nie ograniczała się do polskiego partykularyzmu. Każda potrzebująca była jej bliska. O każdą walczyła z władzami hitlerowskimi, gdy chodziło o zwolnienie z pracy i dostanie się do „rewiru". Tak przeszła zima 1944/1945 roku.

W marcu 1945 roku dr *Szustrową* aresztowało obozowe gestapo i przewiozło do obozu macierzystego w Ravensbrück. Stało się to w wyniku głośnej afery esesowskiej. Przy podziale łupów (prawdopodobnie przywiezionych z Warszawy ograbionej po powstaniu) doszło w załodze *SS* do ostrego starcia. Jeden z esesmanów został rzekomo otruty. Ponieważ dr *Szustrowa* nie cieszyła się ich przychylnością, oskarżyli ją, bojąc się odpowiedzialności, o dokonanie tego czynu. W Ravensbrück osadzono ją w bunkrze. Śledztwo prowadził słynny Ludwik *Ramdohr*, oficer policji [1]. Na przesłuchania wyprowadzano ją do *Politische Abteilung*, znajdującego się poza bramą. Metody przesłuchiwań stosowane przez *Ramdohra* były wyrafinowane. Według relacji jej towarzyszki więziennej i obozowej, Felicji *Stasicowej*, *Ramdohr* nie mógł znieść wzroku *Szustrowej*, gdy podczas przesłuchań patrzyła mu spokojnie prosto w oczy. Chodziły o nim słuchy, że używał jakiegoś narkotyku i w czasie jego działania prowadził badania. Możliwe, że ulegał halucynacji i wypytując dr *Szustrową*, widział przed sobą inną więźniarkę o tym samym imieniu, Jadwigę *Bockową* z Torunia (nr obozowy 3213). W marcu tegoż roku była ona posądzona o usiłowanie otrucia jednego z esesmanów [2]. *Ramdohr* prowadził śledztwo. Podobno osobiście ją zastrzelił. Śmierć Jadwigi *Bockowej* jest faktem udokumentowanym. Teraz *Ramdohr* wmawiał w *Szustrową: Du bist Jadwiga Bock*. Gdy temu zaprzeczała, wołał: *Du hast so böse Augen!*

We własnoręcznym życiorysie napisanym po wojnie *Szustrowa* podała, że po dłuższym śledztwie dowiedziała się, iż jest oskarżona o zorganizowanie spisku na życie samego *Ramdohra*. Została skazana na śmierć. Niestety, nie można obecnie ustalić, w jakim stosunku przyczynowym było jej aresztowanie w Barth z oskarżeniem. Natomiast wiadomo, że w Ravensbrück toczyła się sprawa o rzekomą próbę otrucia *Ramdohra* w związku z wielką aferą kradzieży łupów z ewakuowanej Warszawy przez klikę esesmanów. Musiały być jakieś powiązania między sprawą w Barth i Ravensbrück.

Pobyt *Szustrowej* w bunkrze trwał do 24 kwietnia. Nie zdążono już wykonać wyroku śmierci. Tymczasem groźny *Ramdohr* został aresztowany. Na teren obozu zjechali przedstawiciele Międzynarodowego i Skandynawskiego Czerwonego Krzyża. Rozpoczęła się ewakuacja Polek do Szwecji w wyniku akcji hrabiego *Folke Bernadotte*. Dr *Szustrowa* wyszła z bunkra bardzo wyczerpana i słaniająca się na nogach po dręczącym śledztwie i pobycie w ciemnym lochu. W dużej grupie Polek została odstawiona specjalnym pociągiem przez linię frontu do Szwecji. W miejscowości Baukeryd nad jeziorem Wisingsee odpoczywała po ostatnich przejściach. Nie trwało to jednak długo. Czynna natura nie mogła trwać w bezczynności. Zaczęła pracować w szpitalu, następnie w sanatorium dla więźniów w Halmstadt. Początkowo była pomywaczką w kuchni. Gdy zorientowano się, że jest lekarzem, Rada Królewska przyznała jej prawo pracy w charakterze lekarza w sanatorium dla więźniów.

Wkrótce nawiązała kontakt z synami i 11 września 1945 roku wróciła samolotem do kraju. Dopiero wtedy dowiedziała się o losie męża. Osiadła w Łodzi, gdzie kontynuowała pracę w Ubezpieczalni Społecznej. Zabrała się z zapałem do przerwanej przez wojnę pracy, tj. do walki z gruźlicą. Zorganizowała poradnię Ubezpieczalni, następnie referat przy Wydziale Zdrowia do walki z tą społeczną chorobą. W roku 1949 została kierownikiem Centralnej Poradni Przeciwgruźliczej, późniejszej Wojewódzkiej Przychodni Przeciwgruźliczej w Łodzi.

Oprócz praktyki lekarskiej i działalności organizacyjnej w zakresie walki z gruźlicą dr *Szustrowa* prowadziła pracę naukową. Przed wojną zajmowała się głównie dziećmi chorymi na gruźlicę. Po wyzwoleniu opublikowała następne prace, których tematyka dotyczyła szczepień przeciwgruźliczych, odczynów tuberkulinowych, struktury poradni przeciwgruźliczych, warunków środowiska gruźliczego, epidemiologii gruźlicy, rehabilitacji i orzecznictwa w związku z tą chorobą, a także roli pielęgniarki społecznej.

Od r. 1951 dr *Szustrowa* była przewodniczącą

[1] W procesie ravensbrückim w Hamburgu (1946 do 1947) skazany na śmierć. Wyrok wykonano.

[2] Pracowała w kuchni esesmańskiej.

Rady Naukowej Instytutu Gruźlicy, a w latach 1953—1959 przewodniczącą Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ftizjatrycznego i od roku 1959 członkiem honorowym tego Towarzystwa. W roku 1955 otrzymała tytuł profesora nadzwyczajnego. Posiadała liczne odznaczenia.

Zmarła 14 maja 1961 roku w Łodzi po paromiesięcznej chorobie, która uczyniła ją niezdolną do pracy już od początku roku. Przyczyną bezpośrednią choroby i śmierci był prawdopodobnie guz mózgu, ale nikt nie może wyłączyć, że ciężkie przejścia okupacyjne przyspieszyły zgon tej zasłużonej lekarki.

*
* * *

HALINA KĘPIŃSKA-BAZYLEWICZ („KORA")
Piotrków Trybunalski

Dr Szustrowa więźniarką gestapo

Po wysiedleniu w roku 1940 z Łodzi do Generalnej Guberni wraz z mężem oraz córką, Aliną i synami, Edwardem i Włodzimierzem dr *Szustrowa,* znany łódzki lekarz i społecznik, przeszedłszy przez obóz na ul. Łąkowej znalazła się w Piotrkowie. Pracę zaczęła w Przychodni Przeciwgruźliczej przy ul. Ziem Wschodnich (wówczas) 14. W tej Przychodni, w okresie nędzy, poniewierki i głodu od razu dała się poznać jako lekarka ofiarna i nie szczędząca serdecznej pomocy potrzebującym. Chorzy garnęli się do niej. Przyjmowała ich u siebie w mieszkaniu przy ul. Dworcowej, w Przychodni, odwiedzała w domach, często zostawiała lekarstwa i pieniądze, mimo że sama żyła w ciężkich warunkach. Jej dom od początku stał się placówką konspiracyjną. Dr *Szustrowa* popierała też aktywność swych synów, działających w szeregach ZWZ-AK okręgu piotrkowskiego i zaangażowanie córki w warszawskiej konspiracji. Osobiście odbierała prasę konspiracyjną, meldunki, tajną pocztę i broń. Często przy jej stole siedzieli głodni i zziębnięci dywersanci i konspiratorzy. Była lekarzem komendy dywersyjnej AK w Piotrkowie. W roku 1942 leczył się u dr *Szustrowej* przez wiele miesięcy między innymi Niemir *Bieliński* (pseudonimy „Skóra", „Mirek", „Roman") z oddziału „Małego Franka" Gwardii Ludowej, chory na gruźlicę płuc i skierowany przez swą organizację.

8 maja 1944 roku o świcie gestapo uwięziło dr *Szustrową* i przewiozło ją do gmachu gestapo przy ul. Żeromskiego w Piotrkowie. Inż. *Szuster* przebywał ze swoim bratem, Mikołajem, w Mokrej pod Piotrkowem. Aresztowano ich również i przewieziono do gestapo. Znalazłam się w tej samej grupie uwięzionych. Już pierwsze przesłuchania były uciążliwe i okrutne. Inż. *Szuster* był zamknięty osobno w „klatce" znajdującej się w piwnicy i zamykanej na kłódkę.

Tegoż dnia około godziny 15 gestapowiec wyczytał nazwiska więźniów. Związano im ręce do tyłu i kazano wejść do samochodu-„budy". Wszystkich zmuszono klęknąć twarzą do maski samochodu; eskorta z bronią gotową do strzału umieściła się z tyłu i z boków auta. Dodatkową eskortę stanowiły dwa samochody pancerne z załogą i kilku motocyklistów. Konwój pomknął szosą sulejowską. Uwięzieni byli przekonani, że jadą na egzekucję. Wśród nich znajdował się ksiądz Henryk *Rajter,* który udzielił współtowarzyszom rozgrzeszenia *in articulo mortis* i szeptał modlitwy za konających.



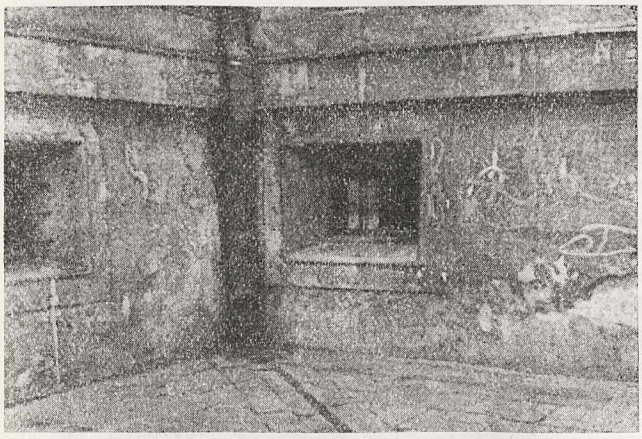
Ryc. 2. Wejście do piwnic gestapo w Radomiu przy ul. Kościuszki 6

W Opocznie w czasie krótkiego postoju dołączono więźniów z tamtejszego gestapo. Wszyscy czekali na swój los. Po godzinach jazdy „buda" wtoczyła się na dziedziniec więzienia gestapowskiego w Radomiu. Wśród uderzeń pejczami gestapowcy ustawili przywiezionych twarzą do ściany, kobiety po jednej, mężczyzn po drugiej stronie korytarza. Wywoływano nazwiska i wśród ciągłych krzyków i bicia wpędzano do cel poszczególnych więźniów.

Dr *Szustrowa* wraz z innymi kobietami znalazła się w jednej celi dla kobiet, która była dość duża, ale ciemna. Okratowane okno, zabite deskami od zewnątrz, wpuszczało tylko znikomą smugę światła. Prycz nie było. Liczne, wycieńczone więźniarki siedziały pod ścianami. Ich wymizerowane twarze świadczyły o dłuższym pobycie w więzieniu. Tak zaczął się koszmar uwięzionych w IV wydziale politycznym gestapo radomskiego, w tzw. *Sonderabteilung,* która była całkowicie izolowana od reszty gmachu i bezpośrednio podlegała gestapo.

Co chwila wpadali „wachmani" i na okrzyk *Achtung!* musiano natychmiast poderwać się z miejsca i stanąć na baczność. Dzień w celi

zaczynał się przed piątą rano, następnie wypędzano na *austretten*, z kolei odbywał się powrót do celi na tzw. śniadanie, które składało się z cieczy o kolorze kawy i „pajdy" czarnego, gliniastego chleba. Wyczytywano nazwiska przeznaczonych na przesłuchanie tego dnia w gestapo. Szybko ustawiwszy ich w szeregu na korytarzu, wypędzano ich na dziedziniec, na którym czekała już czarna „buda". Jadącym na tzw. „badanie" towarzyszyły krzyki, poszturchiwanie i bicie przez gestapowców, którzy przyjeżdżali po swoje ofiary. „Badania" urządzano w Radomiu w gmachu gestapo przy ul. Kościuszki 6.



Ryc. 3. Okno celi piwnicznej, w której przebywała dr J. *Szustrowa* razem z innymi więźniarkami podczas śledztwa prowadzonego w gestapo radomskim w roku 1944

Dr *Szustrowa* wraz z grupą aresztowanych w Piotrkowie została przewieziona na śledztwo do gestapo następnego dnia po przybyciu do Radomia. Każdemu zawieszono tablicę z numerem, a następnie fotograf robił zdjęcia z trzech stron. W trudnych dniach wyrafinowanego śledztwa, połączonego z torturami fizycznymi i psychicznymi, objawił się cały hart i męstwo dr *Szustrowej*. Nie załamała się ona ani w chwili, gdy bił ją po twarzy młody gestapowiec, którego przyjaciółkę wyleczyła, ani wtedy, gdy inny gestapowiec, który znał dr *Szustrową* z Łodzi z okresu przedwojennego, kazał teraz tej starszej pani skakać „żabką" nie kończącą się ilość razy, a sam, siedząc wygodnie, pytał ironicznie, „czy bardzo zmęczyła się pani doktor, czy może teraz zechce pani wreszcie mówić?", ani nawet wówczas, gdy musiała patrzeć na swego storturowanego męża, nie mogąc mu w niczym pomóc.

Po tylu latach widzę ją jeszcze, jak wyprostowana wychodzi z ciemnej, wilgotnej celi na przesłuchanie. Słyszę brzęk ciężkich kajdan na jej rękach. Po wielu godzinach wracała do celi tak samo dumnie, tylko krwawe pręgi na twarzy mówiły, że te godziny nie były łatwe.

W celi kobiecej leżały dwie zmaltretowane więźniarki. One jedynie leżały na siennikach. Potwornie pobite, nie mogły chodzić od wielu miesięcy. Zgangrenowane mięśnie pośladków i nóg wydzielały gnilny smród. Obie pochodziły z Radomia. Co parę dni „wizytował" je lekarz niemiecki w asyście komendanta *Sonderabteilung*, sadysty, *oberscharführera SS* Ferdynanda *Kocha* oraz sanitariusza. Elegancki, pachnący niemiecki pan doktor wyciągał z kieszeni scyzoryk i wycinał chorym gnijące części mięśni. Sanitariusz pincetą wrzucał te strzępy do wiadra, a następnie polewał rany riwanolem i bandażował papierem higienicznym. Dr *Szustrowa* przy pierwszym opatrunku, którego była świadkiem, zwróciła się do niemieckiego lekarza z propozycją, że sama zajmie się chorymi, gdyż jest lekarzem. *Koch* ze złością odpowiedział, że tu, w radomskim gestapo, nie jest żadnym lekarzem, tylko „polską bandytką".

Dr *Szustrowa* pocieszała więźniarki i krzepiła je na duchu w trudnych chwilach załamania. Umiała natchnąć je wiarą w przetrwanie. Stała się w naszej celi powiernicą cudzych cierpień. Deklamowała nam Mickiewicza, Słowackiego, opowiadała fragmenty „Nędzników", „Róży", „Nocy Listopadowej". Była dla mnie wtedy najbliższą osobą, bez niej trudno by mi było przetrwać. Nawet drobnym gestem potrafiła dodać odwagi. W chwili, gdy na progu stawał śledczy i wywoływał moje nazwisko, dotykała mego policzka albo szybko ściskała rękę. Gdy z powrotem wtrącano mnie do piwnicznej celi, już w progu widziałam jasny wzrok dr *Szustrowej*, mocno utkwiony we mnie, a jednocześnie pełen niepokoju i matczynej tkliwości. Nocą, gdy leżałyśmy obok siebie na podłodze, opowiadałam jej szeptem przebieg przesłuchania. Często mówiła wówczas, że łatwiej jest przetrzymać tym, którzy są świadomi i wiedzą, o co walczą, niż innym, pobitym kobietom, które trafiły tutaj przypadkiem.

W tym więzieniu wiele dni niczego nie jadłyśmy oprócz wyliczonej do gramów kromki czarnego chleba, cieczy z brukwi w południe, zazwyczaj spalonej, lub zgniłej kapusty, rozgotowanej w wodzie. Dla „okrasy" pływały w niej obrzydliwe glisty. Dr *Szustrowa* zmusiła mnie do przełknięcia tej ohydnej, gotowanej lury, mówiąc, że muszę przetrwać, a jeśli nie zjem, zginę, na czym właśnie zależy gestapowcom, którzy chcą nas złamać. Mówiła sugestywnie, przemogłam się. Gdy po jednym z przesłuchań byłam nieprzytomna przez dwa dni, dr *Szustrowa* nie odstępowała mnie. Zażądała leków, ale gestapowcy odpowiedzieli jej, że „dla polskich bandytów nie ma żadnych lekarstw".

Była w celi więźniarka, aresztowana razem z nami w Piotrkowie, która przeżywała kryzys załamania. Do wyczerpania nerwowego doprowadziła ją troska o los małych dzieci pozostawionych w domu bez opieki, gdyż mąż od paru lat przebywał w obozie. Chciała „sypać" i obciążyć mnie swoją sprawą. Mniemała, że mi nie zaszkodzi w ten sposób, bo i tak jestem aresztowana. Liczyła na zwolnienie. Więźniarka ta była pacjentką dr *Szustrowej*, która tutaj zajęła się jej opieką, polegającą na odpowiednich rozmowach. Gdy ją wezwano na przesłu-

chanie, przeżyłyśmy z dr *Szustrową* ciężkie godziny. Wróciła i okazało się, że nie obwiniła nikogo. Było to wielkim zwycięstwem dr *Szustrowej*.

O świcie 16 czerwca 1944 roku przyszedł największy cios dla dr *Szustrowej*. Wyprowadzono z celi razem z innymi więźniami inż. Lucjana *Szustra*. Była to ich ostatnia droga. Zostali rozstrzelani. Dr *Szustrowa* nie wiedziała o stracie męża.

W lipcu z transportem kobiet z radomskiego gestapo wywieziono ją do Ravensbrück, a następnie do jego filii Barth pod Rostockiem. Dr *Szustrowa* pracowała jako robotnica w fabryce samolotów Heinkla do zupełnego wyeksploatowania sił wraz z innymi więźniarkami. Swoją postawą oddziaływała na nie i chroniła je przed załamaniem psychicznym. Przeniesiona w zimie 1945 roku na „rewir", pracowała jako lekarz. Dokarmiała najbardziej wycieńczone chore, chroniła je przed selekcją. Od zaufanego sanitariusza-Niemca otrzymywała wiadomości polityczne, które następnie przepisywała na kartkach i przez wtajemniczone więźniarki kolportowała w obozie.

Znienawidzoną *sonderhäftling* była w Ravensbrück, gdzie dr *Szustrowa* pracowała jako lekarz „rewirowy", blokowa bloku gruźliczego nr 10 zwana *Carmen Mory*. Do tej okrutnej konfidentki esesowców przylgnęło określenie „Zmora". O tym, co się działo w blokach, donosiła *Ramdohrowi*, komendantowi wydziału politycznego. W Barth *Carmen* była nadzorczynią „rewiru". Nienawidziła Polaków, a wśród nich dr *Szustrowej*. W marcu 1945 roku na inspekcję „rewiru" przyszedł *Ramdohr*. Bolała go głowa, zażądał lekarstwa. Dr *Szustrowa* dała mu proszek przeciwbólowy. „Zmora" zadenuncjowała ją o usiłowanie otrucia *Ramdohra;* do oskarżenia dołączono sprawę kolportażu wiadomości.

Dr *Szustrową* po aresztowaniu w Barth osadzono w bunkrze w Ravensbrück, przeznaczonym dla osób mających wyrok śmierci. Mimo stosowania nieludzkich metod i tortur, w których lubował się *Ramdohr*, dr *Szustrowa* nie wydała nikogo. Zwyciężył jej nieugięty duch, hart i wola życia; po sześciu tygodniach pobytu w bunkrze wróciła do obozu. W kwietniu 1945 roku dzięki znanej akcji szwedzkiej mogła wyjechać do Szwecji, aby tam powoli wracać do sił. Po rychłym powrocie do Polski rzuciła się w wir pracy lekarskiej i naukowej, reprezentowała ftizjatrię polską na zjazdach zagranicznych, nie szczędziła serdeczności i pomocy chorym i potrzebującym. Swych przeżyć więziennych i obozowych nie wspominała nigdy, lecz często wracała myślami do swego męża i „tamtych dni" koszmarnych. Spojrzeniem, ruchem głowy, nieuchwytnym gestem mówiła o tym. Nikt, kto ją znał, nie zapomni nigdy jej pięknego charakteru.

Generosi animi et magnifici est iuvare et prodesse.

*

W zeszycie szóstym miesięcznika „Gruźlica i Choroby Płuc" z roku 1962 czytelnik może znaleźć wiele innych informacji o prof. dr Jadwidze *Szustrowej*, są tam bowiem opublikowane następujące artykuły: „Prof. dr med. Jadwiga *Szustrowa*" Zdobysława *Czerwińskiego*, „Działalność społeczno-lekarska prof. dr med. Jadwigi *Szustrowej* w okresie przedwojennym" Anny *Margolisowej*, „Działalność społeczno-lekarska prof. dr med. Jadwigi *Szustrowej* w okresie powojennym" Romana *Góreckiego* i „Działalność naukowa prof. dr med. Jadwigi *Szustrowej*" Mariana *Zierskiego*. W tym samym zeszycie na str. 521—522 znajduje się „Spis prac naukowych Jadwigi *Szustrowej*", zawierający 28 pozycji.

MAŁGORZATA DOMINIK Kraków

Prof. dr Franciszek Raszeja

W „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" ukazała się już wzmianka o tragicznej śmierci wybitnego chirurga poznańskiego, prof. dra Franciszka *Raszei*, w getcie warszawskim [1]. Natomiast nie opublikowano dotychczas źródłowych informacji o okupacyjnych losach profesora i o okolicznościach ostatnich chwil jego życia, toteż warto podjąć próbę wyjaśnienia tej sprawy w świetle dostępnych dokumentów.

Franciszek *Raszeja* urodził się 2 kwietnia 1896 roku w Chełmnie. Według relacji A. *Mordawskiego* [2], adwokata z Torunia, kolegi gimnazjalnego i przyjaciela prof. *Raszei*, ukończył on przed pierwszą wojną światową gimnazjum w Chełmnie. Losy rzuciły go podczas wojny do niewoli w Taszkiencie, po czym w marcu 1917 roku (tj. w lutym według starego stylu, w dniu wybuchu rewolucji) dostał się do Piotrogrodu. Następnie z pomocą ambasady szwedzkiej przedostał się na stronę niemiecką. Po powrocie z niewoli ciężko chorował.

Studia medyczne rozpoczął we Fryburgu i kontynuował je w Poznaniu. Był pilnym, wyróżniającym się studentem; wszystkie egzaminy zdał z wynikiem bardzo dobrym, tylko za egzamin z medycyny sądowej u prof. Stefana *Horoszkiewicza* uzyskał notę dostateczną, czego długo nie mógł przeboleć [3]. Dyplom doktora wszech nauk lekarskich otrzymał w roku 1923 na Uniwersytecie Poznańskim i został asystentem w Klinice Ortopedycznej, kiero-

[1] K. M. *Pospieszalski:* Wykaz pracowników Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych w czasie wojny. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 129.

[2] List A. *Mordawskiego* do autorki z 3.XII.1967 r.

[3] Tamże.

wanej przez prof. *Wierzejewskiego*. Po jego śmierci prowadził wykłady dla studentów. Równocześnie kierował Szpitalem Ortopedycznym w Swarządzu i organizował Poliklinikę Ortopedyczną w Poznaniu. Habilitował się w roku 1931 w Uniwersytecie Poznańskim. W roku 1935 [4] lub 1936 [5] został profesorem nadzwyczajnym i kierownikiem Kliniki Ortopedycznej UP.



Prof. dr Franciszek *Raszeja*

Raszeja był współzałożycielem i członkiem zarządu Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego, redaktorem organu tego Towarzystwa, kwartalnika „Chirurgia Narządów Ruchu i Ortopedia Polska", wiceprezezem Polskiego Towarzystwa Zwalczania Gośćca i członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Ogłosił drukiem 40 prac naukowych, między innymi w językach francuskim i niemieckim. Oprócz działalności naukowej jednym z głównych celów prof. *Raszei* było stworzenie szkoły dla kalek. Pracom organizacyjnym przeszkodził wybuch wojny [6].

Z informacji uzyskanych od jego córki, dr med. Bożeny *Raszei - Wanic* [7] wynika, że w chwili wybuchu wojny w roku 1939 prof. *Raszeja* został powołany do służby wojskowej i w pierwszych dniach września ewakuowany wraz ze Szpitalem Wojskowym do Kowla. Po zaprzestaniu działań wojennych wrócił do Warszawy. W tym okresie, w październiku 1939 roku jego najstarszy brat, profesor seminarium duchownego w Pelplinie, został rozstrzelany przez Niemców.

W grudniu 1939 roku prof. Franciszek *Raszeja* objął stanowisko ordynatora Oddziału Chirurgicznego Szpitala PCK przy ulicy Smolnej w Warszawie. Zorganizował tam 30-łóżkowy oddział ortopedyczny. Szkolił asystentów oraz prowadził wykłady i ćwiczenia dla studentów medycyny z zakresu ortopedii w Tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Wówczas przeprowadzał w Szpitalu PCK wiele operacji bezpłatnie dla chorych niezamożnych [8].

Jeden z ówczesnych podopiecznych prof. *Raszei*, który raniony w kampanii wrześniowej dostał się w grudniu 1939 r. do Szpitala PCK, wspomina, że profesor „od razu zainteresował się najcięższymi przypadkami, do których i ja należałem (...). Pamiętam jego wysoką, silną, męską postać. Twarz miał zawsze poważną, nie widziałem u niego uśmiechu, ale czuło się, że się cieszy, gdy widzi u pacjenta poprawę. Oczy miał czarne, włosy ciemne, przerzedzone, ręce duże, silne. Otaczał go powszechny szacunek ze strony personelu szpitala, lekarzy, chorych (...). Opiece prof. *Raszei* zawdzięczam, że żyję, że mam rękę, że nie jestem kaleką" [9].

W drugiej połowie 1940 roku powstał w Warszawie Tajny Komitet Porozumiewawczy Lekarzy Demokratów i Socjalistów, samodzielne stowarzyszenie konspiracyjne, w skład którego wchodzili znani przedstawiciele świata lekarskiego [10]. W porozumieniu z tym Komitetem prof. *Raszeja* utworzył w roku 1941 w Ośrodku Zdrowia i Opieki miasta Warszawy Poradnię Gruźlicy Kostno-Stawowej dla najbiedniejszej ludności; będąc kierownikiem tego ośrodka, codziennie przyjmował chorych [11]. Ścisłą łączność między wymienionym Komitetem a gettem warszawskim utrzymywał lekarz pochodzenia żydowskiego, dawny asystent prof. *Raszei* ze Szpitala PCK, dr *Polak*, który przekazywał profesorowi wezwania na konsylia w getcie. Profesor udawał się tam często, toteż np. dr *Cetkowski*, również pracujący w Szpitalu PCK, zalecał szczególną ostrożność podczas tych niebezpiecznych wypraw [12]. O pomocy prof. *Raszei* dla getta świadczy też fakt, że był on kierownikiem ośrodka transfuzji krwi, zorganizowanego dla dzielnicy żydowskiej przez prof. Ludwika *Hirszfelda*, którego uczniem był *Raszeja*. Krew do tego ośrodka oddawała młodzież tajnie studiująca [13].

[4] Wg wspomnienia pośmiertnego, Chir. Narz. Ruchu, 1948, nr 1, s. 8—13.

[5] Wg Sprawozdania Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk za rok 1945/46, t. 13, nr 1, s. 142.

[6] Zob. przypis 4.

[7] List B. *Raszei-Wanic* do autorki z 25.X.1967 r.

[8] Cyt. list A. *Mordawskiego*.

[9] Cytat z listu Czesława *Markiewicza* z Gdańska z 15.XII. 1967 r.

[10] W. *Bartoszewski*, Z. *Lewinówna:* Ten jest z ojczyzny mojej. Znak, Kraków 1966, s. 132 (relacja L. *Dobroszyckiego*).

[11] Cyt. list B. *Raszei-Wanic*.

[12] List prof. dr Wiktora *Degi* do zespołu redakcyjnego „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" z 18.VIII. 1967 r.

[13] Zeznanie prof. L. *Hirszfelda* w 14 dniu rozprawy w procesie L. *Fischera*, akta w archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, s. 1394.

Na podkreślenie zasługuje, że prof. *Raszeja* należał do licznych lekarzy polskich, którzy włączyli się w nurt aktywnej i systematycznej pomocy dla getta warszawskiego. „Wielką rolę w dziele ratowania Żydów spełniały koła inteligencji twórczej (uczeni, pisarze, aktorzy, plastycy) i wolnych zawodów (lekarze, inżynierowie, adwokaci)".[14] Zdawali sobie oni dobrze sprawę z sytuacji ludzi ścieśnionych i głodzonych w dzielnicy żydowskiej. O warunkach w getcie, zresztą niejednokrotnie już opisywanych, zeznawał między innymi prof. *Hirszfeld*:

„Sprawa odżywiania dzielnicy. Kiedyś zaprosiłem statystyka gminy [żydowskiej], żeby nam zreferował tę sprawę. Przeciętnie na jednego Żyda przypadało 300 kalorii. 300 kalorii [dziennie] oznacza śmierć głodową. Jeżeli chodzi o najlepiej sytuowaną warstwę, tj. urzędników gminnych, to otrzymywali oni, o ile sobie przypominam, 1500 kalorii, a zatem połowę tego, co jest potrzebne do życia. Przypominam sobie, że nie było dnia, żebym nie spotykał, idąc do szpitala, ludzi, którzy umierali z głodu. Kiedy przeprowadzałem statystykę, jak wielka była śmiertelność ludności, to okazało się, że różnica pomiędzy śmiertelnością na dur plamisty a śmiertelnością ogólną była tak wielka, że może być tłumaczona tylko jednym czynnikiem: ludność umierała z głodu"[15].

O sytuacji w getcie interesująco pisze również wiarygodny świadek, major rezerwy, podczas okupacji pełnomocnik polskiego ruchu oporu (OW-KB-AK), współinicjator Żydowskiego Związku Wojskowego, powstałego w końcu 1939 roku, mgr Tadeusz *Bednarczyk* z Warszawy, który codziennie bywał w getcie:

„W połowie lipca 1942 roku[16] getto warszawskie żyło na co dzień pozornie normalnie. Kupcy handlowali, rzemieślnicy też, ale pauperyzacja była od wiosny tego roku widoczna. Przed gmachem sądów na ul. Leszno tłumy żebraków, dorosłych i dzieci zawodziły i natarczywie prosiły o datek, bądź obojętnie — spuchnięte z głodu lub wychudzone — umierały na oczach wszystkich. Ulicą przewijał się (...) olbrzymi tłum. Przez gmach sądu wykradali się do getta Polacy (...) z pomocą charytatywną. A w ogóle całe getto żyło i istniało od listopada 1940 roku (otoczenie murami) wyłącznie dzięki zorganizowanej polskiej pomocy. I to nie tyle pomocy charytatywnej, na którą nas, zniszczonych wojną, nie było stać (w Warszawie wydawaliśmy bezrobotnym około 50 tysięcy porcji *wasserzupek* dziennie), gdyż taka pomoc, świadczona indywidualnie, dużo by nie dała. Była to pomoc polskich sfer gospodarczych (przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy), którzy przez Polską Izbę Przemysłowo-Handlową w Warszawie (założyli sekcję żydowsko-polską, Niemcy ją zlikwidowali wiosną 1941 roku) nawiązali częściowo jawnie, ale głównie tajnie współpracę przemysłowo-handlową z gettem. Była to wymiana handlowa dająca gettu zarobek i produktywizująca bezrobotne ręce (także żydowskiej inteligencji). Polacy (...) narażali się na śmierć, a nie musieli, bo mogli [dokonywać wymiany towarowej] wyłącznie między Polakami. (...) Szmugiel żywności do getta w roku 1941/42 dla pół miliona mieszkańców wynosił szacunkowo około 250 ton dziennie (np. po ½ kg na głowę: 25 dkg ziemniaków, 15 dkg chleba i 10 dkg tłuszczu, cukru, marmolady, tj. około 1200 kalorii). Łącznie z surowcami przemysłowymi i innymi produktami szacuję dzienny szmugiel na 500 ton. Zginęło przy tej pracy parę tysięcy Polaków, głównie szmuglerów, pracujących prymitywną metodą przerzutu przez mury (...).

W getcie warszawskim było dużo Żydów z gett okolicznych miasteczek (początkowo 150 000), którzy przybyli obrabowani z zapasów, zbiedzeni, musieli zarabiać i tworzyli trudną konkurencję na tak ciasnym rynku pracy (...); sami nie potrafili dotrzeć do Polaków, ponieważ nie znali terenu i ludzi. [Przede wszystkim] ci przesiedleńcy zasilali kadry żebraków i masowo wymierali (...). Przy tej śmiertelności szerzył się dur, ale nie powszechnie, skutecznie zwalczany przez żydowską służbę zdrowia, przy (...) znacznej polskiej pomocy, głównie od PCK. Bardzo czynny był przy tym sekretarz PCK oddziału Warszawa-Północ, obejmującego getto, Józef *Kwasiborski*, zarazem delegat rządu na okręg warszawski."[17]

Prof. *Raszeja*, który chodził na konsultacje do getta, mógł obserwować tamtejsze stosunki jeszcze „pozornie normalne", jak w opisanych cytatach, tzn. przed dniem 20 lipca 1942 r. Jego śmierć zbiegła się z początkiem pierwszego okresu likwidacji getta, który przypadł na czas od 22 lipca do 13 września 1942 roku. W ciągu miesiąca i 21 dni wywieziono i zamordowano przeszło 300 tysięcy ludzi. Akcji tej towarzyszyły wzmożone „łapanki" ludności po stronie „aryjskiej". Niektórzy Polacy zginęli w getcie podczas likwidacji Żydów[18].

W pierwszym dniu likwidacji getta dr *Polak* przyszedł do prof. *Raszei* z wezwaniem na konsultację i przeprowadzenie operacji u chorego w getcie. Dostarczył on profesorowi przepustkę wydaną przez policję niemiecką[19]. Żandarm, wydający przepustkę, ostrzegał, żeby tego dnia profesor z przepustki nie korzystał i nie szedł do getta[20]. Był to dzień 21 lipca[21] lub 22 lipca[22] 1942 roku.

Profesor jednak poszedł, w towarzystwie dra *Polaka*. Chorym był znany warszawski antykwariusz, *Abe Gutnajer*, mieszkający przy ul. Chłodnej[23]. Podczas konsylium wpadli do pokoju, w którym leżał chory, żołnierze z oddziału *SS*. Należeli oni do lubelskiej ekipy gestapo. Dowodził nimi *SS-sturmbannführer* Herman *Höfle*[24]. Około godziny 19 nastąpiło ich wtargnięcie[25].

---

[14] W. *Bartoszewski*, L. *Lewinówna*, o. c., s. 67.

[15] Cyt. zeznanie L. *Hirszfelda*.

[16] W miesiącu śmierci prof. *Raszei*.

[17] List T. *Bednarczyka* do autorki z 8.II.1968 r.

[18] B. *Mark:* Walka i zagłada warszawskiego getta. MON, Warszawa 1959, s. 99.

[19] Wg. cyt. listu B. *Raszei-Wanic*.

[20] Wg cyt. listu prof. W. *Degi*, który uzyskał tę informację w roku 1948 od nieżyjącego obecnie dra *Cetkowskiego*.

[21] Tę datę podaje w cyt. liście B. *Raszeja-Wanic*, Sprawozdanie Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk (zob. przypis 5), wzmianka w konspiracyjnym czasopiśmie „Sprawa" (1942, rocznik 2, nr 48/86 z 15. VIII, s. 7), W. *Bartoszewski* i Z. *Lewinówna*, o. c., s. 132, a także T. *Bednarczyk* w karcie pocztowej do autorki z 3.XII.1967 r.

[22] Datę 22 lipca podają anonimowy autor wspomnienia pośmiertnego (zob. przypis 4) i świadek *Maślanko* w procesie L. *Fischera* (zob. przypis 13, akta w archiwum GKBZHwP, s. 756).

[23] Źródła nie są zgodne co do numeru domu. Nr 6 podaje B. *Raszeja-Wanic* (zob. przypis 7), nr 9 K. M. *Pospieszalski* (zob. przypis 1), nr 26 *Maślanko* (zob. przypis 22).

[24] Wg *Maślanki*, l. c. i wg T. *Bednarczyka* (zob. przypis 21).

[25] Wg T. *Bednarczyka* (l. c.), który podaje, że „będąc na ul. Grzybowskiej przy ul. Ciepłej" (!), usłyszał strzały, które padły w mieszkaniu *Gutnajera*.

Gdy prof. *Raszeja* na widok Niemców sięgnął do kieszeni po przepustkę, ruch ten esesowcy zrozumieli inaczej i strzelili do profesora. Zabili także obecnych w pokoju: chorego i jego rodzinę, pielęgniarkę i dra *Polaka* [26]. Tę sytuację rekonstruował później na podstawie zręcznych wywiadów od Niemców dr *Lewicki*, urolog, pracujący wówczas w Szpitalu PCK, rzekomo obecny przy przeniesieniu zwłok prof. *Raszei* z getta [27]. Następnego dnia, a więc 22 lub 23 lipca 1942 roku policja niemiecka wydała rodzinie profesora zwłoki oraz przepustkę [28]. Wydając zwłoki wdowie, gestapo przeprosiło ją za „pomyłkę" [29].

Warto dodać, że konspiracyjne czasopismo „Sprawa", relacjonując krótko o śmierci prof. *Raszei*, podało, iż w chwili odbywania konsylium u *Abe Gutnajera*, „dom otoczyli *szaulisi* i esesmani. Wszystkich mieszkańców wywleczono z mieszkań na podwórze w celu dokonania masowej egzekucji, ponieważ cały dom skazany został na karę śmierci. Jako powód podano, iż paru mieszkańców tego domu trudniło się szmuglem żywności. Mimo protestów i okazania legitymacji obaj lekarze wraz z ciężko chorym zostali rozstrzelani" [30].

Pewne szczegóły dotyczące opisywanej sprawy podał także świadek *Maślanko* w ósmym dniu procesu L. *Fischera*, zeznając:

„22 lipca do zarządu gminy [żydowskiej] przyjechał *sturmbannführer Höfle* ze świtą, zaaresztował przynajmniej 50% członków zarządu w charakterze zakładników i kazał ich odtransportować na Pawiak. W tym czasie do dzielnicy wkroczyły większe oddziały *SS*, szukając ludzi bardzo znanych, jak się wyrażali, *prominente Juden*. Na ulicy Chłodnej aresztowano przeszło 100 osób i natychmiast odtransportowano aresztowanych na Pawiak. Nie obeszło się przy tym bez rozstrzeliwania na miejscu, między innymi na ulicy Chłodnej na podwórku został rozstrzelany starzec 75-letni, Fabian *Zilber*, ojciec adwokata Wacława *Zilbera*. Na ul. Chłodnej nr 26 w jednym mieszkaniu odbywało się konsylium lekarskie, na które przybył znany specjalista, prof. *Raszeja*. Wówczas grupa, która rozpoczęła aresztowania na ulicy Chłodnej, wkroczyła do tego mieszkania i zdaje się, że tam wszyscy zostali zlikwidowani lub częściowo aresztowani. *Höfle* ze swoją świtą opuścił zarząd gminy, nie podając żadnych szczegółów ani powodów, dla których przybył" [31].

Jak wspomniano, „pozornie normalne" życie w getcie dobiegło końca w lipcu 1942 roku, ale chory Żyd *Abe Gutnajer* mógł wezwać pomocy wybitnego specjalisty, jakim był prof. *Raszeja*. Nawiązując do faktu, że właśnie wtedy wpadli esesmani, których ekipa zainstalowała się w getcie 20 lipca, T. *Bednarczyk* pisze: „Gestapowcy, chytrzy na pieniądze, przez swoich agentów szukali ludzi bogatych do ograbienia. I dlatego przyszli pewnie do *Gutnajera*. (...) Wściekli swym zawodem — choroba i obcy świadek — rozstrzelali wszystkich" [32]. Znajdujemy też inną ocenę: „Prof. *Raszeja* był znany w Niemczech; trudno uwierzyć, żeby jego śmierć była tylko kwestią przypadku, tym bardziej, że władze niemieckie wiedziały o jego pobycie w getcie" [33].

W jednym z numerów „Abecadła Lekarskiego", pisma konspiracyjnego, które ukazywało się od końca 1940 roku do wiosny 1944 roku i było organem Komitetu Porozumiewawczego Lekarzy Demokratów i Socjalistów, ukazał się znamienny nekrolog: „W dniu 21. VII. 1942 roku zginął śmiercią żołnierza na posterunku prof. dr Franciszek *Raszeja*. Zmarły, który był wybitną siłą naukową, swą działalnością i ofiarną pracą dla społeczeństwa zyskał szacunek i uznanie w świecie naukowym, wśród kolegów i pacjentów. Był on jednostką bardzo popularną i lubianą przez szerokie warstwy. (...) Zginął śmiercią lekarza podczas niesienia pomocy poniżonemu i prześladowanemu za murami choremu Żydowi. Śmierć jego (...) staje się pięknym symbolem tak rzadkiego dziś człowieczeństwa, które wbrew barbarzyńskim ustawom każe lekarzowi pomagać każdemu cierpiącemu" [34].

*

Autorka składa podziękowanie serdeczne wszystkim, którzy udzielili informacji o losach prof. *Raszei*, jego córce, dr med. Bożenie *Raszei-Wanic*, prof. drowi Wiktorowi *Dedze*, mgrowi Tadeuszowi *Bednarczykowi*, mecenasowi A. *Mordawskiemu*, Czesławowi *Markiewiczowi*, a także Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce za udostępnienie odbitek kserograficznych z akt procesu *Ludwiga Fischera*, gubernatora „dystryktu warszawskiego" i Zakładowi Informacji Naukowej Biblioteki Narodowej za odpisy z czasopisma „Sprawa".

[26] Sprawa ta wypłynęła na procesie L. *Fischera*, w którym prof. *Hirszfeld* wystąpił jako świadek. W protokole 14 dnia rozprawy czytamy: „Prok. *Sawicki:* Wspomniał pan profesor nazwisko prof. *Raszei*, który został zamordowany w getcie. Czy może pan podać szczegóły? Świadek: Do chorego w getcie poproszono dr *Raszeję*. Przy łóżku chorego była rodzina, pielęgniarka i lekarz. Przyszli esesmani i wymordowali wszystkich: i lekarza, i pielęgniarkę, i profesora" (akta w archiwum GKBZHwP, s. 1398). T. *Bednarczyk* pisze, że potwierdzenie opisanych faktów otrzymał od żony dra *Polaka*, Babetty, po kilku miesiącach (cyt. karta pocztowa).

[27] Wg cyt. listu W. *Degi*.

[28] Wg cyt. listu B. *Raszei-Wanic*.

[29] Wg wzmianki w czasopiśmie „Sprawa", 1. c., zob. przypis 21.

[30] Tamże. — Wspomniani *szaulisi* były to kolaboracyjne litewskie bataliony, które powstały pod dowództwem gen. Povielasa *Plechavičiusa* z byłej organizacji przysposobienia wojskowego i kombatantów pod nazwą „Szauliu Saiunga" (dosłownie: Związek Strzelecki). Pomagały one Niemcom terroryzować ludność i zwalczać ruch oporu, w minimalnym jednak stopniu. Na Litwie udało się Niemcom w roku 1944 utrzymać zaledwie kilka oddziałów *szaulisów*, które w kwietniu spaliły wsie Kiernawie i Gumbas, mordując ich mieszkańców (zob. M. *Juchniewicz:* Udział Polaków w litewskim ruchu oporu w latach 1941—1944. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1968, nr 1, s. 48)

[31] Akta w archiwum GKBZHwP (zob. przypis 22).

[32] Cytat z listu T. *Bednarczyka* (zob. przypis 17).

[33] Cytat ze wspomnienia pośmiertnego (zob. przypis 4).

[34] Cytat z relacji L. *Dobroszyckiego* (zob. przypis 10).

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Dr Władysława Jasińska

Dnia 29 października 1967 roku zmarła w Nowogardzie (województwo szczecińskie) dr Władysława *Jasińska*, znana lekarka i działaczka społeczna, była więźniarka Oświęcimia i Bergen-Belsen. Czytelnicy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" pamiętają napisaną przez nią biografię dr Wandy *Starkowskiej* (nr specjalny 6, str. 237—238). O dr *Jasińskiej* wspominali w naszych zeszytach autorzy-oświęcimiacy.



Dr Władysława *Jasińska*

Jej zwłoki spoczywają na cmentarzu w Poznaniu. Zostały tam przewiezione z Nowogardu. Służba zdrowia powiatu nowogardzkiego odprowadziła je do granic powiatu, żegnając lubianą i szanowaną lekarkę dźwiękiem syren tamtejszych sanitarek. Postać dr *Jasińskiej* zasługuje na dokładniejsze przedstawienie czytelnikom jej życiorysu.

Władysława *Jasińska* urodziła się w Poznaniu 2 czerwca 1895 roku. Tam ukończyła gimnazjum w roku 1916. Następnie studiowała filozofię i medycynę w Berlinie i we Wrocławiu. Studia medyczne ukończyła w Poznaniu 1 września 1925 r., uzyskując dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Pracę zawodową podjęła w Zakopanem, w Sanatorium Przeciwgruźliczym „Odrodzenie", gdyż sama jako chora czuła się dobrze w tamtejszym klimacie. Od drugiego półrocza 1932 roku pracowała jako lekarz-ordynator w Sanatorium ZUS w Ludwikowie pod Poznaniem. Tam zastała ją wojna.

Sanatorium to zajęli Niemcy, a dr *Jasińska* znalazła się w sanatorium dla Polaków w Obrzycach pod Wolsztynem, gdzie gestapo zaaresztowało ją 4 marca 1943 roku w związku z tzw. sprawą mosińską, o której wspomina Józef *Witkowski* w niniejszym zeszycie. Została osadzona w osławionym Forcie VII w Poznaniu na okres półrocznego śledztwa. Tutaj spotkała się ze swoją ukochaną siostrą, Janiną *Jasińską*. Odtąd obie dzieliły okupacyjną niedolę.

Według informacji od Janiny *Jasińskiej* sprawa mosińska kosztowała życie kilkudziesięciu ofiar. Między innymi aresztowano w Mosinie lekarza, aptekarkę, rzeźników, obsługę sklepu spożywczego, sprzątaczkę u burmistrza niemieckiego; osoby te miały rzekomo truć Niemców. Warto zaznaczyć, że sprawa mosińska zasługuje na dogłębne i wyczerpujące zbadanie.

Dr Władysławę *Jasińską* przywieziono do Oświęcimia wraz z siostrą w drugiej połowie września 1943 roku. Jako lekarka doświadczona w zakresie leczenia gruźlicy dr *Jasińska* otrzymała blok nr 29 i od razu podjęła funkcję lekarza blokowego. Blok ten był częścią „rewiru" kobiecego już od dwóch lat. Wyróżniał się on wśród bloków „rewirowych" tym, że był skanalizowany, miał bieżącą wodę, umywalnię, natryski, wannę, zresztą rzadko używaną i klozet z bieżącą wodą. Z jednego boku przylegał do bloku nr 29 mały ogródek z nielicznymi krzewami. Blok ten, obliczony na 250 chorych, mieścił przeważnie 350 więźniarek, a stan jego podwoił się, gdy wybuchła epidemia duru wysypkowego. Pierwotnie 40% chorych stanowiły chore na gruźlicę naciekową i rozpadową; drugie 40% obejmowało więźniarki z innymi, lżejszymi postaciami gruźlicy (postać gruczołowa, wysięki opłucnej), a 20% — osoby ukrywane przed pracą w obozie, w kompanii karnej, w „komandach" zewnętrznych, nadto ukrywano tam także działaczki specjalnie zasłużone.

W swoich wspomnieniach dr *Jasińska* podaje bliższe szczegóły o swojej pracy w tym bloku:

„Lekarstwa na blok otrzymywałyśmy drogą nieoficjalną z obozu męskiego. Przewożono je ambulansem poza kontrolą. Miałyśmy w obozie męskim znajomych lekarzy, do których wysyłało się apele. Leki były przypadkowe, głównie środki nasercowe, nieraz bardzo cenne, trochę toników, trochę wapna. Leków specyficznych dla gruźlicy nie było — żyłyśmy w erze przed antybiotykami. Stosowało się trochę zastrzyków, więcej słów pociechy. Miałam jakiś termometr, jeden, może dwa. Miałam i aparat odmowy, lecz odmę stosowałam tylko kilka czy też kilkanaście razy. Brak rentgena i niska temperatura w bloku w porze zimowej utrudniały pracę, toteż trzeba było tę metodę leczenia zarzucić.

Żywienie: Oprócz tzw. normalnej zupy, racji dziennej chleba, margaryny, a czasem i marmolady lub kawałka kiszki była tzw. dieta: zupa z kaszką lub tylko ze śrutowanego zboża i racja białego chleba. Dawano początkowo 100, później 50 bochenków półkilogramowej bułki. Latem roku 1944 dodano co 2—3 dni 1 szklankę mleka, czasem dodatkową porcję chleba i kiszki. W tym okresie udostępniono nam też prowizoryczny aparat rentgena, toteż prześwietliłam większość chorych z bloku 29, a nawet i z innych bloków. Lekarek było nas 2—3, stan zmieniał się. Z Polek

doszła dr *Kordylewska* z Torunia, która także ocalała.

Śmiertelność początkowo [była] nie większa, niżby to odpowiadało stanowi choroby; wzmogła się przerażająco z chwilą wybuchu epidemii tyfusu plamistego, który w następstwie dawał często psychozy, także śmiertelne. Zaczęły się wtedy drakońskie procedery odwszawiania, które powiększały jeszcze śmiertelność. Selekcje do gazu dotyczyły za moich czasów jedynie Żydówek mieszkających na ogół w osobnych blokach. Przerażały one nas wszystkich. Selekcji na fenol wtedy już nie było; pozostała po nich jedynie wieść.

Co jakiś czas przenosiło się zdrowsze chore z bloku na blok, aby w ten sposób zamaskować ich długi pobyt w «rewirze». Musiałyśmy podawać stan prątkujących chorych; można było korzystać z prymitywnego laboratorium, umieszczonego w bloku obok biura «rewirowego». Podawałyśmy znikomą liczbę [prątkujących], zmniejszając ją skrupulatnie z każdym wypadkiem śmierci. Z chwilą, gdy osiągnięto stan zerowy, Polki ze *szrajbsztuby* „rewiru" sygnalizowały: podajcie znów jakąś liczbę, bo chyba nie wszystkie chore możecie już uznać za odprątkowane. Obawiałyśmy się, aby nam ciężej chorych nie zabrano do gazu.

Stosunki między lekarkami, zwłaszcza Polkami, były nienaganne. Życzliwe nam były także Jugosłowianki. Z lekarzy esesowskich był jakiś czas [Hans Wilhelm] *König*, później jakiś Austriak. Nie szkodzili nam oni wtedy zbytnio, [gdyż] był to już okres zbliżającego się frontu wschodniego. Stan pielęgniarski bloków rekrutował się przeważnie z osób niefachowych, które tak jak i «sztubowe» chroniły się przed pójściem na *lager*, a więc zmieniały się często. Co pewien czas jednak gromadzono je na nagłe zarządzonym apelu i redukowano, tj. wysyłano na *lager*. Blok przeżywał wtedy ciężkie chwile lęku, a ja lękałam się tak przez pewien okres o moją siostrę, która zresztą przeszła ciężki tyfus z komplikacjami.

(...) W połowie września 1944 roku przydzielono mnie razem z dr *Jasielską* jako lekarki, wraz z siostrą moją jako pielęgniarką, do transportu ewakuowanych po powstaniu warszawskim i zawieziono do Bergen-Belsen. Był to żydowski obóz, tzw. przejściowy, skąd wysyłano ludzi do pracy. Nasz transport był jedynym transportem aryjskim, wobec czego lepiej się do nas odniesiono i umieszczono najpierw w namiotach, a później w baraku z cegieł. Tej okoliczności też zawdzięczam może ocalenie swoje i siostry. W grudniu 1944 roku przybyło tam również kierownictwo obozu oświęcimskiego, który już się likwidował. Wtedy (...) rzucono nas między Żydówki i wybuchł u nas tyfus, który w obozie żydowskim szalał. Stan zdawał się beznadziejny, a gdy wkroczyła w końcu kwietnia do obozu armia brytyjska, zastała około 10 tysięcy trupów nie pogrzebanych i prawie cały obóz chorych lub też snujące się między drogami wynędzniałe postacie.

Przewieziono nas w 3 dniach ambulansami wojskowymi do osiedla po wojsku niemieckim, które zamieniono na «rewir». Wszystkie lekarki obozu stanęły natychmiast do pracy, do której włączono też niemieckich lekarzy z byłego wojska (nie gestapo). Mimo że zorganizowano natychmiast aprowizację przez wojsko brytyjskie, przydzielając nam racje z zapasów wojskowych, jeszcze około 12 tysięcy więźniarek zmarło na tyfus lub z wycieńczenia. Była to pomoc udzielona na przysłowiowe pięć minut przed dwunastą.

Po oswobodzeniu obozu pracowałam jeszcze w jego «rewirze» do chwili likwidacji, tj. końca czerwca 1945 roku. Następnie wróciłam transportem kolejowym razem z siostrą do Poznania."

Dr Władysława *Jasińska*, więzień Oświęcimia nr 63332, w początku swej pracy w bloku nr 29 zapadła na dur wysypkowy, który oderwał ją od chorych na kilka tygodni. Lubiły ją zarówno współwięźniarki-lekarki, jak i chore przebywające w „rewirze". Spośród osób, które stamtąd ocalały, wspomina ją między innymi dr Alina *Przerwa-Tetmajer:*

„Dr *Jasińską* pamiętam z dni najcięższych dla mnie, gdy po ciężkim porażeniu tyfusowym stawiałam pierwsze kroki. Wiodły one na blok 29, gdzie leżały moje przyjaciółki. Spotkałam tam drobną postać koleżanki Władysławy, jej siwą głowę, słuchawki wiszące na szyi, [słyszałam jej] cichy głos, tak często dodający chorym odwagi do przetrwania: «Nie jest tak źle, widzę poprawę». Widzę oczy chorych, z ufnością w nią wpatrzone. Pamiętam radość chorych, gdy stanowczo mówiła: «Nie, to nie jest zakażenie swoiste». Chora oddychała z ulgą, jakby z niej zdjęto wyrok śmierci. Chorą taką zabierałyśmy natychmiast na naszą siedemnastkę i wtedy najczęściej udawało nam się ją uratować.

Pamiętam również te ciężkie chwile, gdy podawała mi słuchawkę, spoglądając przy tym porozumiewawczo; stwierdzała szybki postęp choroby, wyrok skazujący. I w tym wypadku mówiła: «Widzę poprawę», a twarz chorej choć na chwile rozjaśniał uśmiech. Tak było z naszą słoneczną Haneczką *Pioterczuk*, «Kasią» z konspiracji, pielęgniarką, czyli *pflegerką* bloku dziecięcego. Przez długie tygodnie beznadziejnego stanu starałyśmy się utrzymać ją w mniemaniu, że poprawia się [stan jej zdrowia]. Postanowiłyśmy, że musi przeżyć z nami święta Bożego Narodzenia, a życie kołatało się w jej udręczonym, dziewczęcym organizmie jeszcze tylko kilka dni. (...) Do ostatniej chwili wierzyła, że wyzdrowieje. Wspólne nasze łzy po śmierci mojej przyjaciółki, to ostatnie moje wspomnienie o koleżance Władysławie".

Również dr Janina *Kościuszkowa*, więźniarka Oświęcimia wspomina o poświęceniu dla chorych, o pogodzie ducha i o umiejętnościach fachowych dr *Jasińskiej*, pisząc między innymi:

„Blok nr 29 był stale przepełniony, większość chorych leżała tam z daleko posuniętymi zmianami rozpadowymi; leczenie ich wymagało nie tylko wiedzy lekarskiej, ale także dużego serca. Koleżanka *Jasińska* od świtu do nocy pracowała, ratując życie wielu więźniarek. Stosowała odmę, zdobywała lekarstwa i tylko dzięki jej umiejętności i dokształceniu niefachowego, ale obowiązkowego personelu zdołała uratować życie znacznej części swoich chorych. Mimo nawału pracy nigdy nie odmawiała konsultacji w innych blokach. Ponieważ były trudności z prześwietleniami rentgenowskimi, często trzeba było opierać się tylko na doświadczeniu dr *Jasińskiej*".

Ponieważ relacje byłych więźniarek o dr *Jasińskiej* przedstawiają również istotne realia „rewiru" kobiecego, warto je dalej cytować. Więźniarka Oświęcimia nr 32214, pielęgniarka Izabela *Jarnicka* z Zakopanego pisze na temat dr *Jasińskiej:*

„Leżałam chora, a następnie pracowałam w bloku nr 29 w Oświęcimiu. Tam poznałam dr *Jasińską*. Zdawałoby się, słaba fizycznie, a tak silna odwagą i poświęceniem. Jej wartości moralne były ważnym czynnikiem działającym dodatnio na otoczenie. Nie miała lekarstw, by ratować chorych, w zamian dawała dobroć, dar bezcenny w obozie, którego wartości nie można mierzyć kryteriami przyjętymi w normalnym życiu. Narażając własne życie, ratowała chore więźniarki przed selekcjami do krematorium. Przeprowadzała je do innych bloków i ukrywała tam. Na własne ryzyko ratowała ludzi z karnej kompanii (*SK*). Przyjmowała wieczorem z bloku karnego więźniarki na swój blok, kobiety, które ze względu na wycieńczenie nie przeżyłyby okresu kary w *SK*.

(...) W styczniu 1945 roku spotkałam dr *Jasińską* w obozie Bergen-Belsen. Powiedziała mi, że jej funkcje lekarki zostały sprowadzone do wynoszenia trupów. Na jej wezwanie ja i inne oświęcimianki poszłyśmy do pracy. Dr *Jasińskiej* zawdzięczam dodatnie bodźce psychiczne, mające źródło w niesieniu pomocy innym nieszczęśliwym. Te stały się hamulcem dla mojej depresji. Spotkałam dr *Jasińską* po wojnie.

Pamiętała ona słowa piosenki napisanej przeze mnie w obozie:

Od świata dzielą nas gestapo i psy,
Krematoria nam świecą zamiast słońca,
My jednak uparcie, choć broczymy krwią,
Czekamy na Polskę do końca".

Każdej byłej więźniarce Brzezinki tkwią w pamięci inne epizody z przeżyć obozowych, nieraz drobne, ale intensywne. Charakteryzują one sytuację lub postać. I tak, pielęgniarka Janina *Głąbkowska*, więźniarka Oświęcimia nr 32188 i Ravensbrück, zapamiętała scenę, gdy w bloku nr 29

„jedna z pielęgniarek, znana z tego, że nie grzeszyła łagodnością i taktem wobec chorych, stojąc przed koją, na której leżała w beznadziejnym stanie młodziutka Serbka, chora na *durchfall*, wymyślała jej z powodu zapaskudzenia siennika. Dr *Jasińska* skarciła pielęgniarkę, poleciła podać chorej nocnik i posadziła na nim Serbkę, pozostając przy niej. Chora zakończyła życie w ramionach dr *Jasińskiej*."

Jak wspomniano, dr *Jasińska* po wyzwoleniu Bergen-Belsen pozostała tam nadal, pracując wśród chorych więźniarek, które ocalały. W końcu lipca 1946 roku wróciła wraz z siostrą do Polski. Po powrocie uruchomiła sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę w Ludwikowie, a następnie przeniosła się do sanatorium ZUS w Nowogardzie w Szczecińskiem, które zorganizowała. Sanatorium to przekształcono później w prewentorium dla dzieci. O jej działalności tam wspomina długoletnia współpracownica dr *Jasińskiej*, kierowniczka szkoły specjalnej w Nowogardzie:

„Dr *Jasińska* była lekarką o wielkiej wrażliwości na cierpienia fizyczne i moralne. Była lekarzem samotnikiem o kryształowej etyce, stałości przekonań i indywidualności przemyśleń. Prosta w obcowaniu z ludźmi, utrzymywała jednak jakiś bardzo delikatny dystans. Była rzeczowa, bezinteresowna, a gdy uznała, że człowiek potrzebuje pomocy, oddawała mu całą siebie, to znaczy zajmowała sie jego losem, stawała się jego wiernym przyjacielem. Dar przyjaźni łączyła z darem dyskrecji. Umiała być przewodnikiem moralnym. Miała zresztą wrodzony talent pedagogiczny, potrafiła prostować charaktery. Często mówiła, że ludzie wpadają w nieszczęścia i gmatwają sobie życie dlatego, że nie umieją realnie myśleć i stwarzają sobie mity. (...) Dr *Jasińską* ceniły władze resortu, umiała ona bowiem stworzyć szybko nową placówkę leczniczo-wychowawczą, która stała się naprawdę domem dla dzieci zagrożonych chorobą, w większości sierot społecznych, którym gruźlica rozbiła życie rodzinne trwale lub na dłuższy czas. (...) Dr *Jasińska* śledziła postępy dzieci w szkole, hospitowała lekcje we wszystkich klasach, brała udział w konferencjach i naradach pedagogicznych, pouczała o zagadnieniach higieniczno-lekarskich, znała dobrze dzieci i ich warunki domowe, ich programy nauczania, plany wychowawczyń. Wiele czasu poświęcała odwiedzinom rodziców, starając się, by nauczycielki i wychowawczynie nawiązały z nimi kontakt. Interesowała się życiem pracowników prewentorium, nie znosiła plotkarstwa i pochlebstw, nie była wcale ani gładka, ani łatwa. Była sprawiedliwa, uczciwa, a przede wszystkim szlachetna. Była dyskretna i zawsze bardzo skromna. Prawie nigdy nie mówiła o sobie i swojej pracy w Oświęcimiu i Bergen-Belsen. Nie znosiła ostentacji. Pamiętam, jak kiedyś ktoś pochylił się i ucałował z szacunkiem jej wytatuowany numer oświęcimski. Zaczerwieniła się i szepnęła zażenowana: «Przecież nie ja jedna...» (...) Wyszła z obozu zmęczona, lecz zupełnie zrównoważona, bez kompleksów. (...) Myślała podobnie, jak jej ulubiony poeta *Rainer M. Rilke:* cóż znaczy jedno życie, jedna śmierć wobec tragedii na jednej scenie historii? Znaczy miłość".

Dr *Jasińska* kultywowała zainteresowania nie tylko lekarskie, lecz także filozoficzne. Była humanistką w pełnym znaczeniu tego słowa. Wpłynęło to korzystnie na jej postawę życiową i siłę charakteru. W ostatnich latach życia, jak podaje jej siostra, zajmowała się tłumaczeniami na język polski, np. tekstów pisanych przez *Bô Yin Râ*. Przekładów dokonywała dla siebie, bez zamiaru publikacji.

Całą swą działalnością dr Władysława *Jasińska* w pełni zasłużyła sobie na szacunek i pamięć. Została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Gryfem Pomorskim, Odznaką Wzorowego Pracownika Służby Zdrowia.

* * *

W opracowaniu wyzyskano wspomnienia z kontaktów osobistych autora z dr *Jasińską*, listy siostry, mgr Janiny *Jasińskiej*, która nadesłała także życiorys zmarłej, relacje listowne koleżanek z Oświęcimia, lekarek i pielęgniarek, cytowane w artykule.

WITOLD ZEGARSKI
były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen nr 21345 Gdańsk

Dr Witold Kopczyński

Zasłużony lekarz-społecznik, kierownik Działu Higieny Pracy WSSE w Gdańsku, wierny syn ziemi gdańskiej, dr med. Witold *Kopczyński*, były więzień Stutthofu, zmarł w wieku lat 64 w dniu 3 lipca 1967 roku. Jego pamięć uczciło Polskie Towarzystwo Lekarskie na posiedzeniu oddziału gdańskiego 21 października 1967 roku.

Urodzony dnia 21 lutego 1903 roku w Brodach na Łużycy, dr Witold *Kopczyński* całym swym życiem i działalnością był związany z Gdańskiem, gdzie od roku 1912 jego ojciec prowadził jedyną tam polską aptekę. Młody *Kopczyński* należał już w okresie szkolnym wraz z kolegami, między innymi późniejszym znanym lekarzem gdańskim, dr Stefanem *Miraum*, Alfem *Liczmańskim* oraz Wandą *Marlewską* do współorganizatorów i działaczy Związku Harcerstwa Polskiego w Gdańsku. Harcerstwo to powstało tam w roku 1917 między innymi z przekształcenia dawnego Koła Filomatów [1].

[1] Koła filomackie na Pomorzu, zrzeszające przeważnie starszą młodzież gimnazjalną, istniały w kilku

Po złożeniu egzaminu dojrzałości w ówczesnym gimnazjum miejskim w Gdańsku Witold *Kopczyński* podjął studia medyczne na wydziałach lekarskich w Monachium i Berlinie. Dyplom lekarza uzyskał w roku 1928, po czym przez cztery lata pracował jako asystent w klinikach chorób wewnętrznych i neurologicznej. W roku 1932 zdobył stopień doktora medycyny i powrócił do Gdańska. Tutaj podjął pracę internisty w ówczesnej „Kasie Chorych Miasta Gdańska" oraz w Polskich Kolejach Państwowych, a od roku 1936 na zlecenie Ubezpieczalni Społecznej w Gdyni sprawował opiekę nad obywatelami polskimi mieszkającymi na obszarze ówczesnego Wolnego Miasta Gdańska.



Dr Witold *Kopczyński*

Ponieważ korzystający z tzw. Kasy Chorych mieli prawo wolnego wyboru lekarza, przeto wśród chorych dra *Kopczyńskiego* przeważali członkowie Polonii gdańskiej i robotnicy stoczniowi. Szczególną opieką — w zakresie pracy społecznej — otaczał on członków polskich organizacji sportowych w Gdańsku. Podtrzymując chlubną tradycję swej rodziny, dr *Kopczyński* włączył się znowu aktywnie do pracy społecznej w Związku Polaków w Wolnym Mieście Gdańsku i w Gminie Polskiej, będącej tam naczelną polską organizacją społeczną.

Narastająca fala terroru hitlerowskiego i związane z nią coraz częstsze szykany osobiste i zawodowe, stosowane wobec Polaków, nie ominęły także rodziny dra *Kopczyńskiego*. Mimo to jeszcze w roku 1938 odrzucił on stanowczo propozycje przyjaciół, nakłaniających go do wyemigrowania z Gdańska. Nie przeczuwał wówczas, że jego nazwisko znajdowało się już na przygotowywanej przez hitlerowców „czarnej liście" Polaków. Zgon seniora rodziny, ojca dra *Kopczyńskiego*, w roku 1938 hitlerowski dziennik skwitował znamienną notatką, że „zmarł jeden z przywódców polskich w Gdańsku".

W dniu wybuchu wojny rozpoczął się dramat rodziny *Kopczyńskich*. Dramat ten był udziałem wielu rodzin polskich w Gdańsku. 1 września aresztowano dra *Kopczyńskiego* oraz jego brata, dra farmacji Stefana *Kopczyńskiego*. Po kilku dniach zginął podczas opatrywania rannych wskutek bombardowania Warszawy najmłodszy z trzech braci, niedawno promowany lekarz Alfons *Kopczyński*. Matkę dra *Kopczyńskiego*, aresztowaną nieco później, więziono przez całą wojnę w obozie koncentracyjnym Ravensbrück.

Bezpośrednio po aresztowaniu dr *Kopczyński* został osadzony początkowo w słynnej *Viktoriaschule*, skąd już następnego dnia przez więzienie *Schiessstange* przewieziono go 2 września 1939 roku wraz z pierwszą grupą więźniów do Stutthofu. W tym obozie przebył zimę roku 1939/40, okres najcięższych szykan i mordowania Polaków-gdańszczan. Później przebywał przez kilka miesięcy w podobozie Grenzdorf, pracując tam jako lekarz. Po powrocie z Grenzdorfu do Stutthofu pracował przy budowie dróg do wiosny 1941 roku, kiedy to wraz z grupą 80 więźniów został przetransportowany do obozu koncentracyjnego Oranienburg-Sachsenhausen, skąd wysłano go do Majdanka [2].

W Majdanku dr *Kopczyński* pracował jako lekarz do chwili ewakuacji obozu, tj. do lutego 1944 roku [3]. Nawet tam ujawniała się szczególna cecha jego charakteru, mianowicie pogoda ducha i łagodność. Dzięki temu był lubiany i ceniony przez kolegów, a także przez chorych powierzonych jego opiece w obozie na Majdanku. Nigdy nie miał zadrażnień z otoczeniem, o co przecież w warunkach życia obozowego nie było trudno. Zresztą ta jego pogoda ducha udzielała się również otoczeniu; było to szczególnie korzystne, ponieważ dr *Kopczyński* nie tracił optymizmu i nawet „gromił panikarzy". Wierzył niezłomnie, że *Hitler* i hitleryzm zostaną pokonani i że dane mu będzie jeszcze wrócić do ukochanego, polskiego Gdańska.

Miał bardzo głęboko wpojone poczucie koleżeństwa, któremu pozostawał wierny nawet wtedy, gdy groziło mu to ciężkimi represjami ze strony oprawców *SS*. Wymownym tego przykładem był feralny dzień, gdy na wieczornym apelu nie zgadzał się stan chorych z jego oddziału. Winę za błędnie podany raport ponosił inny współwięzień, którego jednak dr *Kopczyński* nie zdradził. W następstwie tego przez niego nie popełnionego przekroczenia został skazany przez nadzorców z *SS* na karę tzw. wiszenia „na słupku". Zawieszono go na poprzecznej belce za ręce związane do tyłu. W tej pozycji, ze stopami unoszącymi się na wysokości 75

miastach, między innymi w Chełmie, Brodnicy i Chojnicach. Wśród nich chojnickie koło „Mickiewicza", późniejsze Towarzystwo Tomasza Zana, było najstarsze i obchodziło w roku 1937 stulecie swego istnienia (według „Teki Pomorskiej", rocznik II, 1937, nr 1).

[2] Razem z dr *Kopczyńskim* zostało wysłanych do Majdanka siedmiu lekarzy-więźniów. Byli to doktorzy Jan *Klonowski*, Tadeusz *Kurzętkowski*, Ryszard *Hanusz*, Franciszek *Gabriel*, Włodzimierz *Doktor*, Tadeusz *Kosibowicz* i Czech, Rudolf *Gluckner*. Wywieziono ich z Sachsenhausen w dniu 1 listopada 1941 roku do Berlina, stamtąd przez Poznań, obóz w Radogoszczu pod Łodzią, Toruń i Warszawę (Pawiak) do Lublina (na „Zamek"). Z Zamku lubelskiego w dniu 27 listopada 1941 roku zostali oni przewiezieni do ówczesnego obozu jenieckiego na Majdanku.

[3] Informacje o dr *Kopczyńskim* z okresu uwięzienia na Majdanku podał jego współwięzień, dr Tadeusz *Kosibowicz* z Będzina, najbliższy przez 28 miesięcy sąsiad dr *Kopczyńskiego* w bloku I.

cm nad ziemią, musiał wisieć przez 45 minut. Po odbyciu tej drakońskiej kary dr *Kopczyński* przez dłuższy czas nie był w stanie nawet samodzielnie się ubierać.

Z Majdanka został przetransportowany kolejno do obozów Gross-Rosen, Aslau, Nordhausen i w końcu do obozu Dora pod Nordhausen, gdzie został oswobodzony.

W *Viktoriaschule* i Stutthofie dr *Kopczyński* przeżył okres największych upokorzeń i cierpień fizycznych, które były wynikiem zemsty hitlerowców za jego manifestowaną przynależność do Polonii. Z relacji jego współtowarzyszy niedoli wiadomo, że już w bramie wejściowej do *Viktoriaschule* został on z okrzykiem: *Da kommt der Hund Kopczyński* brutalnie spoliczkowany, a następnie pobity przez naczelnego redaktora hitlerowskiego dziennika *„Danziger Vorposten"*, niejakiego *Zarskiego*. Sam dr *Kopczyński* pisze w swoich wspomnieniach z tego okresu, rozpoczętych krótko przed śmiercią, a niestety nie dokończonych: „Pobyt w Stutthofie był dla mnie najcięższą próbą życia, gdyż byłem znany i nienawidzili mnie wszyscy esesmani. Chcieli mnie wykończyć. Od śmierci uratowało mnie jedynie to, że zostałem wysłany do innego obozu. Tam mnie nikt nie znał i mogłem zniknąć w masie więźniarskiej". Gdyby został w Stutthofie, zginąłby niechybnie tak, jak zginął jego brat, Stefan.

Dr *Kopczyński* uszedł wprawdzie z życiem ze Stutthofu, ale pobyt tam, podobnie jak i później w innych obozach, pozostawił trwałe, ciężkie ślady na jego zdrowiu. Przyczyniły się do tego nie tylko znane powszechnie, codzienne warunki obozowe, lecz także przebyte choroby, zwłaszcza dury brzuszny i wysypkowy oraz mordercze kary obozowe, spośród których przetrwał opisane według relacji dra *Kosibowicza* trzykwadransowe wiszenie „na słupku" w obozie na Majdanku.

Mimo nadszarpniętego zdrowia podjął bezpośrednio po powrocie do wyzwolonego Gdańska pracę w organizowanej właśnie społecznej służbie zdrowia. Niezależnie od pracy lekarza rejonowego wiele czasu poświęcał innym chorym, opiekując się zwłaszcza byłymi więźniami obozów koncentracyjnych. Któż z nas nie pamięta go z tych lat, kiedy to o każdej porze dnia czy nocy udzielał bezpłatnych przeważnie porad lekarskich w zakresie tzw. „praktyki prywatnej". Mimo dużej popularności i zaufania, jakimi się cieszył u chorych, nie potrafił działać merkantylnie. Jego ideałem była społeczna działalność lekarska. Z tych też względów już w początkach sierpnia 1945 roku podjął dodatkową pracę jako lekarz przemysłowy w Stoczni.

Tutaj spotykał wielu ze swoich przedwojennych chorych, odnajdywał środowisko, w którym czuł się dobrze. Zaufanie gdańszczan i popularność u stoczniowców przy umiejętności szybkiego nawiązywania kontaktu z ludźmi ułatwiały mu poznanie ich problemów i bolączek. Starał się im pomóc i ułatwić życie. Stał się znów nie tylko ich lekarzem, ale także przyjacielem i doradcą. W ten sposób emocjonalne zaangażowanie w troskę o zabezpieczenie odpowiednich warunków pracy w odbudowywanej, polskiej stoczni, tego największego gdańskiego zakładu pracy, wciągnęło dra *Kopczyńskiego* w dziedzinę medycyny przemysłowej, której już odtąd pozostał wierny.

Z ogromną, właściwą jego temperamentowi pasją i z entuzjazmem przystąpił do organizowania zaczątków przemysłowej służby zdrowia w Stoczni. Zdobyte tutaj doświadczenie, a zwłaszcza wyniki osiągnięte w pracy dysponowały go do podjęcia dodatkowej początkowo funkcji tzw. referenta do spraw higieny pracy w Wojewódzkim Wydziale Zdrowia. Od tego czasu, tj. od roku 1948 nieprzerwanie kierował organizacją higieny pracy na terenie województwa kolejno jako adiunkt filii PZH i kierownik początkowo Sekcji, a później Działu Higieny Pracy WSSE.

Dr *Kopczyński*, doskonały fachowiec (był specjalistą higieny i medycyny przemysłowej oraz chorób wewnętrznych), niestrudzony organizator nowych placówek przemysłowej służby zdrowia, umiał w okresie, kiedy praca w przemyśle nie była bynajmniej atrakcyjna ani popularna wśród białego personelu, wzbudzić zainteresowanie tą tak bardzo społeczną dziedziną medycyny. Osiągnął to głównie bezpośrednim, osobistym oddziaływaniem, a także między innymi dzięki organizowaniu i prowadzeniu kursów dokształcających dla lekarzy i średniego personelu medycznego. Był także wykładowcą na kursach bhp dla pracowników techniczno-inżynierskich. Dzięki temu rosła stopniowo kadra fachowców ochrony zdrowia w przemyśle. Z powstałym aktywem lekarzy przemysłowych dr *Kopczyński* utrzymywał bardzo żywy kontakt. Stał się ich konsultantem, doradcą i opiekunem. W oparciu o ten zespół tworzył pierwsze w Polsce poradnie higieny pracy. Zainicjował powstanie pierwszej w kraju wojewódzkiej komisji międzyresortowej do spraw ochrony zdrowia w przemyśle, a wspólnie z Poradnią Chorób Zawodowych AMG zorganizował ruchome ekipy badań profilaktycznych w terenie. Pięknym i w dużej mierze osobistym sukcesem dra *Kopczyńskiego* było między innymi praktyczne zlikwidowanie ołowicy jako choroby zawodowej na Wybrzeżu oraz przeprowadzenie szerokiej akcji zapobiegawczej, dotyczącej pylicy płuc.

Miernikiem jakości i efektów fachowej pracy administracyjnej dra *Kopczyńskiego* była bardzo wysoka ocena działalności placówek prowadzonych bądź nadzorowanych przez niego, mianowicie właściwy resort zaliczył je do rzędu najlepszych w kraju.

Swojej działalności dr *Kopczyński* nie ograniczał tylko do spraw fachowo-administracyjnych. Poza pracą w takich organizacjach, jak ZBoWiD, Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich i związek zawodowy był on jednym z założycieli Spółdzielni Lekarzy w Gdańsku. Uczestniczył także czynnie w pracach towarzystw naukowych, między innymi jako współzałożyciel i długoletni członek Zarządu Polskie-

go Towarzystwa Lekarskiego w Gdańsku. W trosce o podniesienie autorytetu medycyny przemysłowej zorganizował w roku 1956 pierwszą w kraju Sekcję Medycyny Pracy przy Polskim Towarzystwie Lekarskim. Jako członek zarządu Sekcji, a od roku 1964 jej przewodniczący, przyczynił się w decydującej mierze do bardzo ożywionej działalności naukowej tej organizacji.

Dorobek naukowy dra *Kopczyńskiego* obejmuje 6 prac ogłoszonych drukiem oraz 21 referatów wygłoszonych na posiedzeniach naukowych lub konferencjach w kraju i za granicą. Prace te dotyczyły zagadnień ochrony zdrowia w przemyśle oraz chorób zawodowych. Dwie prace, wykonane wspólnie z zakładami naukowymi lub klinikami AMG, stanowiły analizę wyników badań dużych grup robotników stoczniowych, mianowicie spawaczy i malarzy okrętowych. W pozostałych publikacjach autor przedstawił wyniki dziesięcioletniej działalności Poradni Higieny Pracy na terenie województwa, poddając szczegółowej analizie osiągnięte rezultaty oraz niedociągnięcia w pracy tych placówek i wysuwając na tej podstawie różne wnioski organizacyjne. Wnioski te zostały potem uwzględnione przez resort w całym kraju. Dalsza pozycja dotyczyła zasad współpracy państwowych inspektorów sanitarnych z technicznymi inspektorami pracy. Autor, opierając się na własnym, bogatym doświadczeniu, przedstawił zasady prawidłowego współdziałania różnych organów powołanych do nadzoru stanu sanitarnego i warunków pracy w zakładach przemysłowych.

Na osobną uwagę zasługuje oryginalny przyczynek do historii medycyny regionu gdańskiego, omawiający stan higieny pracy w byłym Wolnym Mieście. W pracy tej autor na podstawie znajomości stosunków przedwojennych i w oparciu o dokumenty ówczesnego zakładu higieny przeprowadza konfrontację między stanem zabezpieczenia zdrowia pracowników różnych gałęzi przemysłu i rzemiosła w latach międzywojenych a okresem powojennym.

Dr Witold *Kopczyński* dzięki swej wiedzy fachowej, ujmującemu sposobowi bycia, dużemu poczuciu koleżeństwa, uczynności i wprost niezwykłej skromności cieszył się dużym autorytetem i szacunkiem wśród kolegów i współpracowników. Jego społeczno-lekarska działalność znajdowała powszechne uznanie, czego wyrazem było między innymi nadanie mu wysokich odznaczeń państwowych, jak Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Złoty Krzyż Zasługi. Ponadto był odznaczony Odznaką za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia, Odznaką Honorową za Zasługi dla Gdańska i Medalem 10-lecia Polski Ludowej.

Za całokształt działalności społeczno-lekarskiej otrzymał na mocy uchwały Walnego Zgromadzenia Polskiego Towarzystwa Lekarskiego dnia 14 listopada 1963 roku godność honorowego członka Towarzystwa.

Opublikowane prace dra W. Kopczyńskiego

1. Zur Frage des tragfähigen Amputationsstumpfes. Berlin 1932, ss. 28 (rozprawa doktorska). — 2. Zasady współpracy państwowej inspekcji sanitarnej z techniczną inspekcją pracy. Medycyna Pracy, 1956, nr 4, s. 281—284. — 3. Zagadnienie poradni higieny pracy (PHP) na terenie województwa gdańskiego. Biuletyn IHP, Łódź 1961, s. 357—360. — 4. Stopień narażenia na zatrucie ołowiem malarzy-konserwatorów zatrudnionych w przemyśle okrętowym. (Współautorzy: S. *Byczkowski*, T. *Mincer*, W. *Seńczuk*, W. *Zegarski*). Budownictwo Okrętowe, 1964, nr 5, s. 155. — 5. Stan zdrowia spawaczy zatrudnionych przy automatycznym spawaniu łukiem krytym. (Współautorzy: S. *Byczkowski*, J. *Gadomska*, W. *Seńczuk*). Wyd. Gdańskie Towarzystwo Naukowe. Rozprawy Wydziału III, 1964, z. 1, s. 97—105. — 6. Higiena pracy w Gdańsku w latach 1929 do 1939. Archiwum Historii Medycyny, 1965, R. XXVIII, s. 125—129.

HALINA KĘPIŃSKA-BAZYLEWICZ („KORA”) Piotrków Trybunalski

Dr Antoni Ostaszewski

Postać mjra dra Antoniego *Ostaszewskiego* jest związana z Piotrkowem Trybunalskim. Tutaj urodził się on 26 czerwca 1896 roku i ukończył prywatne gimnazjum. Po wielu trudnościach wyjechał w roku 1915 do Krakowa i rozpoczął studia medyczne w Uniwersytecie Jagiellońskim. Były to dla niego lata ciężkie, nie mógł bowiem liczyć na pomoc rodziny. Jego ojca ewakuowano w głąb Rosji carskiej, matka więc pozostała sama z licznym rodzeństwem i sama potrzebowała opieki. Młody Antoni uwielbiał matkę i z tego powodu pozostał mu do końca życia szlachetny kult, jakim zawsze otaczał kobiety.

Już na studiach wyróżnił się swymi zdolnościami, zwłaszcza w dziedzinie chemii. Profesor UJ, Leon Paweł *Marchlewski* zwrócił na niego uwagę i polecał go jako korepetytora tym studentom, którzy nie umieli poradzić sobie z chemią. Pociągała go praca społeczna; zaangażował się w działalności Komitetu Opiekuńczego, któremu przewodniczył metropolita krakowski, późniejszy kardynał Adam *Sapieha*. Komitet ten zajmował się pracami charytatywnymi i pomocą dla ubogich, głównie w rejonie Podhala, którego ludność często dziesiątkowały epidemie duru. *Ostaszewski*, pełen młodzieńczego zapału, rzucił się w wir pracy lekarskiej; furmanką chłopską, często też pieszo wędrował od wsi do wsi i szczepił mieszkańców szczepionką przeciwdurową. Była to praca pionierska, wymagająca trudu i poświęcenia.

Antoni *Ostaszewski* od najmłodszych lat był rozkochany w przeszłości historycznej kraju. Żywa tradycja żołnierska jego rodziny wiązała się z udziałem przodków w powstaniach listopadowym i styczniowym. Lubił powieści historyczne, zwłaszcza Trylogię Sienkiewicza. Spędzając kolejne ferie w domu rodzinnym, poznał zaprzyjaźnionego serdecznie z *Ostaszewskimi* Władysława *Sikorskiego*, który w latach 1914—1916 był szefem departamentu wojskowego NKN. Kiedy *Sikorski* podsunął mu myśl, aby ukończył medycynę jako wojskowy, nie zawahał się i wstąpił jako ochotnik do Wojska Polskiego. Był to rok 1918. *Ostaszewski*, nie mając jeszcze studiów w pełni ukończonych, pracował jako lekarz batalionowy w 26 i 49 pułku piechoty i jednocześnie na oddziale w szpitalu zakaźnym w Piotrkowie Trybunalskim.



Dr Antoni *Ostaszewski*

W roku 1921 wrócił do Krakowa, aby ukończyć przerwane studia lekarskie, ale przed ostatnim egzaminem (dyplomowym) w roku 1924 wezwano go do objęcia stanowiska lekarza w dywizjonie samochodowym w Grodnie. Jednocześnie przydzielono mu pracę w szpitalu okręgowym na oddziale chorób wewnętrznych. Tam również włączył się w pracę społeczną, organizując obozy harcerskie i przysposobienia wojskowego.

W marcu 1926 roku otrzymał dyplom lekarski, lecz musiał zwolnić się z wojska z powodu złego stanu zdrowia. Zamieszkał na Górnym Śląsku. Praca wśród górników bardzo go porywała. Śląsk, częściowo już wtedy przywrócony Polsce, tamtejsze tradycje patriotyczne, a zwłaszcza górnicy, dla których pracował w ambulatorium w tzw. Kasie Brackiej, stali się mu bardzo bliscy i drodzy. Jako swego przyjaciela darzyli go oni sympatią i zaufaniem.

Niedługo tam jednak pracował. Ministerstwo Spraw Wojskowych upomniało się znów o niego. Mianowano go lekarzem 4 pułku strzelców podhalańskich w Cieszynie. Jednocześnie objął posadę ordynatora na oddziale noworodków w wojewódzkim szpitalu cieszyńskim. Długie lata spędzone przez dra *Ostaszewskiego* w Cieszynie wypełnione były pracą zawodową i bardzo aktywną działalnością w Związku Ziem Zachodnich, gdzie współpracował z gen. Józefem *Kustroniem*.

Dr *Ostaszewski* wyróżniał się ujmującą powierzchownością, był pogodny, przyjacielski, serdeczny. Powszechnie go lubiano. Zżyty z gronem kolegów-oficerów, interesował się strategią, taktyką i grami wojennymi, w których brał czynny udział. W roku 1937 ukończył kurs szefów sanitarnych przy Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie.

Gdy nadszedł wrzesień 1939 roku, dr Antoni *Ostaszewski* przeszedł całą kampanię wojenną w stopniu majora jako szef sanitarny 21 dywizji piechoty górskiej. W niej właśnie, we wrześniu zapisała się piękna karta jego życia. W czasie walk, które staczała 21 DPG, mjr dr *Ostaszewski* ratował rannych z największym poświęceniem i odwagą. W ciężkim boju 15 września 1939 roku pod Dzikowem-Oleszycami, wśród huraganowego ognia artylerii niemieckiej i pod bombami hitlerowskiej *Luftwaffe*, która nie honorowała znaków Czerwonego Krzyża, dr *Ostaszewski* krzątał się przy rannych, uspokajał ich, zakładał opatrunki, ofiarnie ratował życie żołnierzy w głównym punkcie opatrunkowym w szkole w Dzikowie Starym. Zyskał duże uznanie i opinię bardzo dzielnego i ofiarnego oficera-lekarza. Dnia 16 września około godziny 14 dr *Ostaszewski* opatrywał śmiertelnie rannego dowódcę dywizji, gen. *Kustronia*.

Dywizja została rozbita, dzieląc los armii „Kraków". Mjr dr *Ostaszewski* dostał się do niewoli niemieckiej. W jenieckim obozie przejściowym za Sanem udało mu się 20 października 1939 roku uzyskać zwolnienie od władz obozowych z powodu złego stanu zdrowia. Razem z żoną Emilią, którą odnalazł u przyjaciół w Staszowie, wrócił do Piotrkowa w grudniu 1939 roku. Sądził, że w rodzinnym mieście będzie mógł pracować jako lekarz, a przede wszystkim jako żołnierz podziemia. Już w tym samym miesiącu nawiązał kontakt z tajną organizacją ZWZ i został mianowany pierwszym konspiracyjnym komendantem Piotrkowa. W marcu 1940 roku funkcję tę przekazał następcy, a sam został szefem sanitarnym obwodu piotrkowskiego.

Zasługi dra *Ostaszewskiego* w ruchu oporu są wielostronne. Zorganizował podziemną służbę sanitarną. Zwerbował do tej pracy licznych lekarzy i pielęgniarki. Energiczny i ruchliwy, powoływał piątki konspiracyjne, zajmował się kolportażem prasy podziemnej dostarczanej z Warszawy i prowadził pracę wywiadowczą. Miał ścisły kontakt z grupami kolejarzy, którzy wykonywali wówczas tzw. mały sabotaż. A były to dopiero początki konspiracji. Ponadto pracował w Polskim Czerwonym Krzyżu, Ubezpieczalni Społecznej i Szpitalu Zakaźnym.

Szczególną opieką otaczał rodziny wojskowych. Był wrażliwy na ludzkie cierpienia, głęboko humanitarny, bezinteresownie leczył biedotę piotrkowską, często zostawiając dla leczonych „maluchów" zasiłek pieniężny, przeznaczony na wykupienie zapisanego lekarstwa lub żywności. Nie tracąc optymizmu, mimo narastania terroru hitlerowskiego, niezmiennie powtarzał: *„Nil desperandum,* przetrwamy, zwyciężymy".

Chętnie udzielał pomocy lekarskiej Żydom, a jego codziennymi gośćmi były dzieci żydowskie. Gdy tylko usłyszeli ich ciche skrobanie do drzwi, państwo *Ostaszewscy* wciągali malców żydowskich do mieszkania, podawali gorącą zupę i chleb, nierzadko też drugą porcję dawali „na wynos". Groziła im za to kara śmierci. Położenie ich mieszkania ułatwiało kontakt z gettem. Wieczorem, po godzinie policyjnej, wystarczyło wybiec z getta i przeciąć nieduży skwerek, żeby znaleźć się na parterze domu, gdzie mieściło się ich mieszkanie. Dr *Ostaszewski* często odwiedzał wieczorami dra Józefa *Galera,* zamkniętego w getcie (zginął on w roku 1944), a ponadto miał przepustkę w celu konsultowania chorych leżących w oddziale zakaźnym w obrębie getta.

Dnia 2 listopada 1942 roku dr *Ostaszewski* został razem z żoną, również zaangażowaną w pracy konspiracyjnej, aresztowany przez gestapo piotrkowskie. Stało się to wskutek „wsypy" w kolejowej komórce organizacji podziemnej. Była to duża sprawa, związana z sabotażem kolejowym. Oboje zostali wywiezieni po śledztwie do obozu w Majdanku. Więzień Majdanka nr 9029, dr *Ostaszewski* pracował jako lekarz na tzw. „polu" jeńców radzieckich razem z profesorami *Konopką* i *Michałowiczem,* doktorami *Nowakiem, Wieliczańskim* i innymi. Uczynny, koleżeński, także jako więzień spełniał, jak zawsze, obowiązki lekarskie z całym poświęceniem i oddaniem, wykonywał za kolegów pracę, pomagał współtowarzyszom niedoli i często dzięki niemu więźniowie unikali śmierci.

W roku 1943 został wywieziony z Majdanka. Przechodził kolejno „kacety" Gross-Rosen (nr obozowy 29068), Oranienburg, Sachsenhausen. Pracował jako drwal, cieśla, w kamieniołomach, przy budowie dróg. Wieczorami, gdy inni towarzysze obozowi korzystali z krótkiego odpoczynku, udzielał w miarę możliwości pomocy lekarskiej innym więźniom.

Doczekał upragnionego końca wojny. Powrócił do Piotrkowa w maju 1945 roku. Od razu podjął pracę lekarską w PCK i w Ubezpieczalni Społecznej. Znów, jak dawniej, leczył chorych i pomagał najbiedniejszym, jednak niedługo. Wyniszczony i wycieńczony ustrój nie wytrzymał następstw katorgi obozowej. Dr *Ostaszewski* zmarł na zawał serca 6 lipca 1946 roku w Piotrkowie. Odszedł przedwcześnie, jak wielu innych byłych więźniów katowni hitlerowskich.

Był lekarzem z powołania, żołnierzem z zamiłowania, społecznikiem z potrzeby serca, a nade wszystko Polakiem, gorącym patriotą. Był odznaczony Krzyżem Walecznych i za kampanię wrześniową Krzyżem *Virtuti Militari* V klasy.

* * *

Podstawą szkicu biograficznego o drze Antonim *Ostaszewskim* są następujące źródła: 1) życiorys podany przez wdowę, Emilię *Ostaszewską-Nakonieczną,* 2) pisemne relacje otrzymane od ppłka dypl. rez. Władysława *Steblika,* byłego oficera sztabu armii „Kraków" i płka Adama *Szejny* (pseudonim „Roztoka"), byłego szefa Wydziału Organizacyjnego Radomsko-Kieleckiego okręgu i byłego dowódcy 74 pułku piechoty partyzantów oraz od Wacława *Rakoczego* i Jana *Szczepańskiego,* 3) odpis dyplomu UJ, legitymacje odznaczeń i karty korespondencyjne z obozów w Majdanku i Gross-Rosen.

ZOFIA MĄCZKA-PATKANIOWSKA Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Ravensbrück nr 7403

Mgr farmacji Czesław Mączka

Brat mój, mgr farm. Czesław *Mączka,* urodzony w Krakowie 27 marca 1912 roku, zginął zamęczony w karnej kompanii na bloku 11 obozu Oświęcim-Brzezinka we wrześniu 1941 roku, przeżywszy lat 29. Zginął uwięziony za mnie. Wiadomo, że gestapo za jednego członka rodziny, którego poszukiwało, aresztowało pozostałych.

Od wczesnej wiosny roku 1941 gestapo masowo aresztowało w Krakowie uczestników ruchu oporu Związku Walki Zbrojnej. Ostrzeżona, że mieszkanie nasze przy ul. Szlak 55 w Krakowie i moja osoba są już w przesłuchaniach ujawnione, uciekłam o świcie dnia 10 kwietnia do Zakopanego, a po dwóch godzinach gestapowcy wkroczyli do naszego mieszkania i aresztowali moją matkę i mego brata, Czesława. Gestapo zabrało również ukryte radio, ale zakonspirowanych dokumentów organizacji nie znalazło.

Czesław od dzieciństwa miał wyznaczony szczególny los. Jako dziecko niezwykle zdolne uległ w ósmym roku życia chorobie zakaźnej, mianowicie śpiączkowemu zapaleniu mózgu *(encephalitis letargica).* Długie miesiące spał leczony w klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej UJ przez prof. *Piltza.* Aczkolwiek stanowił przykład udanego wyleczenia, utracił swe wyjątkowe zdolności i wymagał bardzo dużo snu.

Był jednak wystarczająco zdolny, aby łatwo uzyskać maturę w gimnazjum im. Nowodworskiego w Krakowie w roku 1931 i stopień magistra farmacji UJ w roku 1935. Zapalony uczestnik polskiej *YMCA*, w okresie lat gimnazjalnych uprawiał sporty, zwłaszcza pływanie i skoki; zdobył liczne mistrzostwa w tej dyscyplinie. Jako student farmacji uprawiał żeglarstwo i wypływał w rejsy do Szwecji. Oprócz rzetelnej nauki i zainteresowań sportowych brał żywy udział w życiu kulturalno-artystycznym młodzieży akademickiej, a zwłaszcza pociągał go teatr. Warto wspomnieć, że głównie w dwóch sztukach wyraził swój talent, mianowicie w dramacie L. H. *Morstina* „Mikołaj Kopernik", granym przez zespół Polskiego Teatru Akademickiego w roku 1935 na dziedzińcu *Collegium Maius*, a następnie w Belgradzie oraz w sztuce A. *Polewki* „Otrzęsiny".

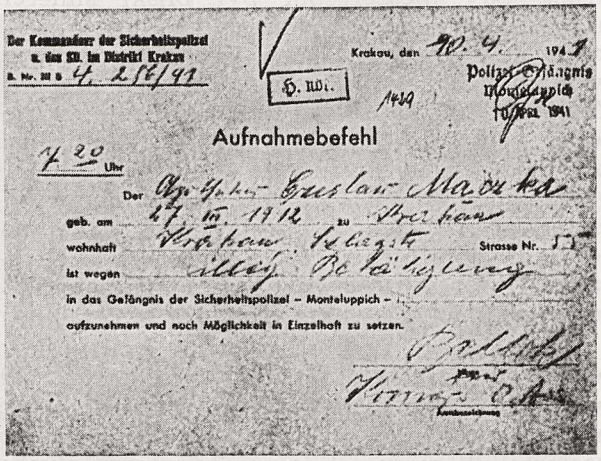


Ryc. 1. Mgr Czesław *Mączka*

Władysław Józef *Dobrowolski* w rozdziale „Poltea" wspomnień krakowskich „Cyganeria i polityka" pisze na stronie 360: „Pierwszymi «beanami» w «Otrzęsinach» *Polewki* byli niezrównani *Niedbałowski* i student farmacji Czesław *Mączka*". Jako magistra farmacji pasjonowało go głównie zielarstwo i doszedł w tej dziedzinie do dużej znajomości przedmiotu. Podjął pod kierunkiem profesorów *Witanowskiego* i *Supniewskiego* pracę naukową i ogłosił drukiem swe pierwsze osiągnięcia pt. *„Trifolium arvense L."* (owieczki pospolite syryjskie); praca ukazała się w „Kronice Farmaceutycznej" w roku 1937 (z Zakładu Farmakognozji UJ).

Czesław odznaczał się pięknym charakterem. Był bezkompromisowy aż do trudności z otoczeniem, prawdomówny, niesłychanie odważny; idealista, wróg alkoholu, uniżoności i łatwizn życiowych, uciekł w swej pracy zawodowej na rubieże Rzeczypospolitej i przyjął pracę w aptece w małej miejscowości na Polesiu. Wrócił jednak z początkiem roku 1939 do Krakowa, aby pracować jako aptekarz w szpitalu ojców bonifratrów, gdzie równocześnie wstąpił do nowicjatu.

Wojna przerwała nowicjat i pracę w szpitalu. Czesław objął porzuconą aptekę w Majdanie Kolbuszowskim, skąd często przyjeżdżał do Krakowa po przydział leków. I tak przyjechał do domu dnia 8 kwietnia 1941 roku wieczór, aby tutaj 10 kwietnia rano dostać się w ręce gestapo. Zawieziony wraz z aresztowaną matką na ul. Pomorską do siedziby krakowskiego gestapo na przesłuchanie, rozpoczął swą męczeńską drogę do śmierci.



Der Kommandeur der Sicherheitspolizei u. des SD. im Distrikt Krakau
Krakau, den 10. 4. 1941
Aufnahmebefehl
Uhr
Der
geb. am
wohnhaft
Strasse Nr.
ist wegen
in das Gefängnis der Sicherheitspolizei – Montelupich –
aufzunehmen und nach Möglichkeit in Einzelhaft zu setzen.

Ryc. 2. Rozkaz przyjęcia więźnia, mgr Czesława *Mączki* do więzienia Montelupich w Krakowie z dnia 10 kwietnia 1941 roku, wydany przez komendanta *Sipo* i *SD* na „dystrykt" krakowski

Poinformowana przez kolegów z ruchu oporu, że matka i Czesław zostali uwięzieni, wróciłam do Krakowa i zgłosiłam się do gestapo na ul. Pomorską, żądając w zamian uwolnienia brata. Nie myślałam wtedy, że mam do czynienia ze zbrodniarzami, tylko o tym, aby ratować brata. Oczywiście mnie aresztowano, a brata zamęczono.

Uwięziona na Montelupich, gdzie matka i brat już przebywali, usiłowałam dowiedzieć się czegoś o ich losie. Dalsze przeżycia Czesława znam tylko z relacji.

Na przesłuchaniu nie mógł nic zeznać, bo sprawy nie znał, ale za pierwsze uderzenie, które otrzymał, uderzył z całej mocy w twarz gestapowca. Został za to zbity i skatowany. Profesor UJ, Władysław *Szafer*, któremu zawdzięczam istotne wiadomości z okresu aresztowania Czesława, został uwięziony 1 kwietnia 1941 roku, gdy gestapo poszukiwało jego syna, młodego *Szafera* i osadzony w więzieniu Montelupich. Prof. *Szafer* podał, że w wielki czwartek dnia 10 kwietnia 1941 roku do jego celi około południa wepchnięto człowieka ledwie przytomnego z pobicia. Człowiek ten miał wbitą aż po uszy blaszaną miskę na głowę, taką, jaką więźniowie otrzymywali na jedzenie. Gdy udało się współwięźniom zdjąć tę miskę, prof. *Szafer* poznał w przybyłym swego zdolnego ucznia, Czesława *Mączkę*. Relacjonując tę sprawę, profesor podkreślił: „Znałem jego wielkie zainteresowania do botaniki, zwłaszcza roślin leczniczych, a jego wspaniały charakter i bohaterstwo miałem poznać w celi".

Prof. *Szafer* wspomina, że wkrótce po Wielkanocy wrzucono do ich celi okrutnie pobitego więźnia. Mówił on, że jest kupcem z Krzeszowic i nie wie, za co został aresztowany. Sprawa ta wyjaśniła się później. Zanim się to jednak stało, dwaj gestapowcy w następnych dwóch dniach wkraczali do celi i z szeregu jej mieszkańców, ustawionych na baczność, wywoływali krzeszowianina, kładli go na stół i bili drągami i pasami do nieprzytomności. Był to dla współwięźniów potworny widok. Na trzeci dzień, gdy nieszczęśnik był bliski śmierci, a gestapowcy znowu wkroczyli, aby go nadal katować i zapytali, który jest z Krzeszowic, wystąpił za niego z szeregu Czesław *Mączka*. Został nieludzko zbity, tym bardziej, że zawziął się w sobie i nie krzyczał, a był tak silny, zdrowy i wysportowany, że oprawcy nie mogli go zgnębić i ogarniał ich szał złości. Jak świadczy dalej prof. *Szafer*, Czesław uratował przyjętą na siebie torturą życie człowieka z Krzeszowic, którego sprawa okazała się pomyłką, toteż zwolniono go nazajutrz.

Uwięziona w tym osławionym krakowskim więzieniu na Montelupich, wiedziałam, że w celi nr 55 jest moja matka, a w którejś innej mój brat. Moja cela nr 62 znajdowała się na parterze. W maju szła przez korytarze głucha wieść, że przygotowuje się duży transport mężczyzn do Oświęcimia. Warowałam przy szparze drzwi, gdy pewnego dnia zaczęto czytać listę nazwisk. Padło słowo „Matzka", bo tak Niemcy czytali nasze nazwisko. Losy tego transportu są znane, ponieważ głęboko wbiły się w pamięć wywiezionych, którzy zdołali przeżyć *Auschwitz*.

Dnia 7 maja 1941 roku wezwano grupę więźniów z Montelupich do tzw. celi transportowej. Wczesnym rankiem 8 maja skutych po dwóch za ręce wepchnięto do samochodu ciężarowego, przykrytego plandeką. Leżąc na dnie auta jedni na drugich, pojechali drogą przez Dulową i Trzebinię do Oświęcimia. Przybyli tam w rannej mgle 8 maja. Transport ten konwojowali gestapowcy siedzący z karabinami maszynowymi na samochodzie oraz towarzyszący im na motocyklach wartownicy gestapo z rozpylaczami na plecach. Po przybyciu ustawiono ich wszystkich między blokiem 24 a kuchnią. Groźne przemówienie „powitalne" wygłosił zastępca komendanta, pierwszy *schutzhaftlagerführer*, *SS-hauptsturmführer* Karl *Fritzsch*, mający to stanowisko do końca 1941 roku. Polecił on wystąpić z szeregu Żydom i księżom. W transporcie był jeden obywatel amerykański, Władysław *Szewczyk*. Gdy zgłosił, że jest Amerykaninem, został dotkliwie zbity. Więźniowie przywiezieni z Montelupich długo stali na deszczu, rozebrani do naga przed blokiem odzieżowym (*Bekleidungskammer*), gdzie dopiero mieli otrzymać obozowe pasiaki.

Czesław został skazany na karną pracę w *Erziehungskommando* i na 11 blok. Oznaczało to pracę w biegu (*im Laufschritt*) w żwirowni u jednego z największych morderców i konfidentów obozu, więźnia Bogdana *Komarnickiego*. Więźniów tego „komanda" odróżniono przypiętymi czerwonymi trójkątami, które były odwrócone wierzchołkiem do góry, podczas gdy inni nosili trójkąty mające podstawę u góry. Każda grupa musiała pracować dodatkowo po kolacji do pierwszego wieczornego gongu. Sytuacja ta równała się śmierci przez mękę.

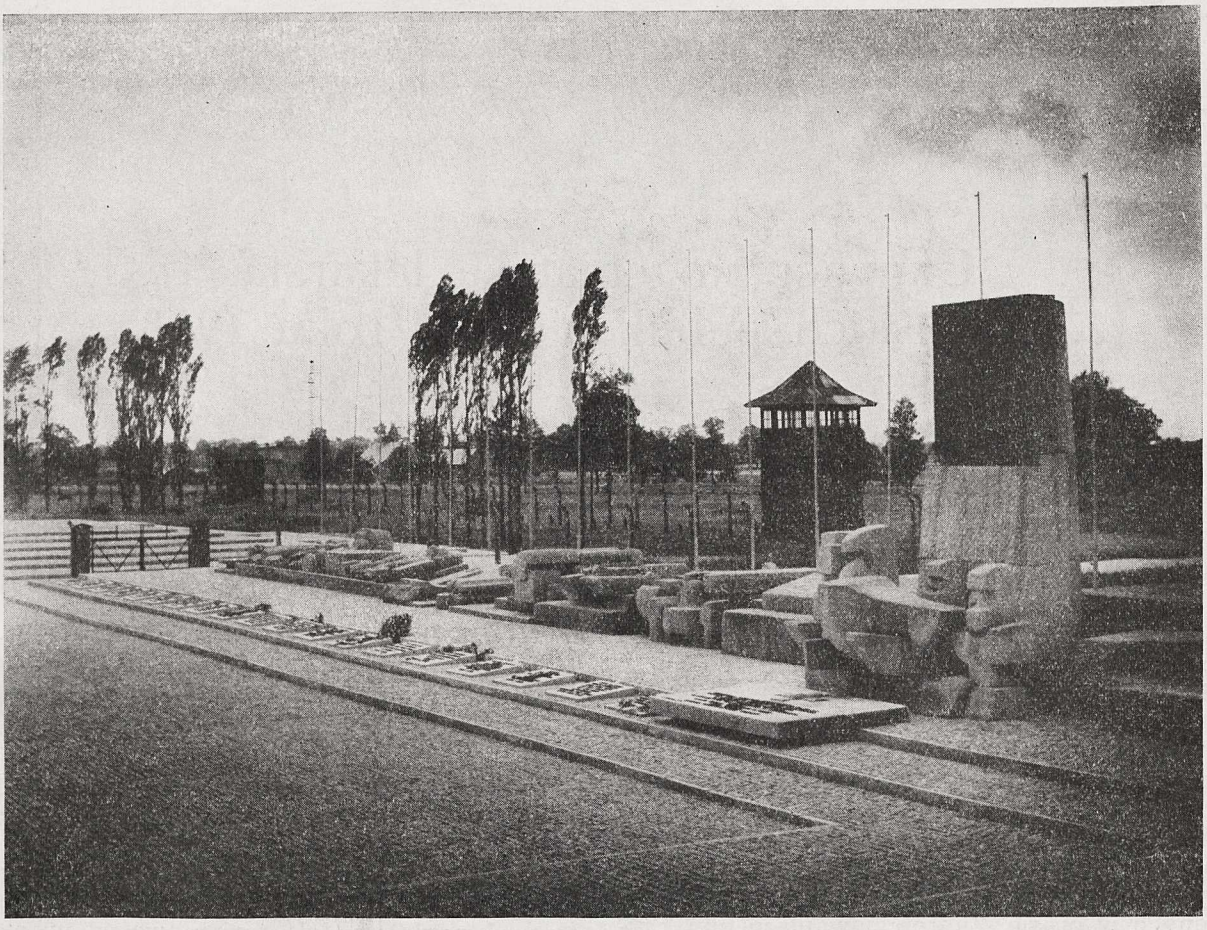
We wrześniu 1941 roku przyszedł z komendantury „Auschwitz" telegram adresowany do matki: „Pani syn, Czesław *Mączka* zmarł". Jego los podzielili prawie wszyscy przywiezieni do Oświęcimia we wspomnianym transporcie. Według zebranych wiadomości, żyje do dzisiaj tylko dwóch więźniów, tj. Zbigniew *Kolessa* (znany sportowiec, były mistrz Polski w strzelaniu) i Michał *Mysiński* (fryzjer z Krakowa).

Koledzy ci mimo upływu 27 lat od tego czasu nieludzkiego dobrze pamiętają Czesława, zwłaszcza Zbigniew *Kolessa*, z którym przyjaźnił się on przed wojną. *Kolessa* zaczyna swe wypowiedzi od zdania: „Pamiętam Czesława, z którym chodziłem wspólnie na tańce do szkoły Hankusa, jak w białych rękawiczkach jako wodzirej prowadził tańce." Zaraz jednak przechodzi do grozy obozu. Podaje zgodnie z pamięcią kolegi Michała *Mysińskiego*, że Czesław razem z nim przetrzymał granicę wytrzymałości 90 dni katorgi w *erziehungskommando*, co nawet u oprawców hitlerowskich dawało amnestię z piekła tego „komanda" i z bloku 11. Stało się to 8 sierpnia, tj. w trzy miesiące od dnia przybycia.

Czesław już u kresu sił przeszedł do bloku ósmego. Koledzy nie wiedzą, jaki był los Czesława przez ten ostatni miesiąc pobytu w obozie aż do pamiętnego dnia apelu pierwszego tygodnia września. W tym czasie wyczytano nazwiska kolegów-oficerów, przywiezionych do obozu w sierpniu. Wśród tych nazwisk było także nazwisko Czesława. Wszyscy oni zostali w tych dniach rozstrzelani pod ścianą śmierci obok bloku 11.

Według wykazu listy transportowej, zachowanej w Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, 8 maja 1941 roku przybyła z więzienia Montelupich w Krakowie do obozu koncentracyjnego Oświęcim I grupa 48 więźniów; oznaczono ich numerami 15416—15463. Warto przytoczyć spis tej grupy, w oryginale sporządzony po niemiecku, z imionami i nazwiskami zniekształconymi wskutek pisowni niemieckiej. Kolejno następują numer obozowy, nazwisko, imię, data urodzenia, miejsce urodzenia, zawód (w przytoczonym zestawieniu przestawiono tutaj imiona przed nazwiska):

15416 Samson *Fischmitzer* (4.IV.1895, Chrzanów, szewc), 15417 Baruch *Korngold* (31.VIII.1908, Kraków, kolporter), 15418 Romuald *Ambroziewicz* (18.I.1917, Twer, bez zawodu), 15419 Michał *Wieczorek* (26.VII. 1905, Kraków, kupiec), 15420 Tadeusz *Kotlarski* (20.X. 1907, Kraków, technik konstruktor), 15421 Romuald *Witkowski* (5.III.1897, Zabierzów, kupiec), 15422 Stanisław *Lubartowski* (22.VII.1919, Kraków, uczeń), 15423 Sali *Birnstein* (13.IV.1903, Wieliczka, kupiec), 15424 Edward *Apter* (12.IV.1919, Kraków, pomocniczy pracownik biurowy), 15425 Henryk *Meloch* (1.III.1923, Kraków, urzędnik pomocniczy), 15426 Jan *Bogdano-*



Pomnik Ofiar Oświęcimskich, Fot. Adam *Kaczkowski*

wicz (13.VI.1886, Mińsk, litograf), 15427 Henryk *Mansdorf* (19,II.1913, Kraków, kapelusznik), 15428 Zdzisław *Walczak* (1.II.1915, Kraków, litograf), 15429 Witold *Zieliński* (12.X.1911, Kraków, litograf), 15430 Salomon *Fass* (31.VII.1912, Kraków, tapicer), 15431 Józef *Fischer* (4. XI. 1875, Oświęcim, fryzjer), 15432 Michał *Mysiński* (10.III.1897, Bochnia, fryzjer), 15433 Stanisław *Majka* (6.VII.1909, Polica Piaskowa, stolarz), 15434 Dawid *Granek* (1918, Częstochowa, robotnik), 15435 Władysław *Marko* (20.II.1897, Kraków, elektromonter), 15436 Marian *Stary* (6.IX.1915, Kraków, drukarz), 15437 Mieczysław *Zieliński* (18.VIII.1913, Kraków, drukarz), 15438 Władysław *Sajdak* (29.IV. 1909, Kraków, elektromonter), 15439 Stanisław *Gruca* (4.V.1921, Bochnia, elektromonter), 15440 Kazimierz *Poletka* (23.XI. 1903, Lwów, szewc), 15441 Kazimierz *Borsuk* (13.II.1904, Kraków, technik), 15442 Jerzy *Podgórski* (20.XI.1920, Zakopane, uczeń), 15443 Jan *Bielański* (28.V.1913, Kraków, aptekarz), 15444 Władysław *Ryszko* (14.V.1901, Kraków, konduktor), 15445 Tadeusz *Bryla* (8. V.1911, Kraków, urzędnik kolejowy), 15446 Czesław *Mączka* (27.III.1912, Kraków, aptekarz), 15447 Tadeusz *Fudyma* (13.III.1901, Kraków, blacharz), 15448 Włodzimierz *Schneikart* (5.VII.1906, Przemyśl, elektrotechnik), 15449 Władysław *Szopski* (24.II.1905, Zgierz, chemik), 15450 Juliusz *Jarzyna* (22.XI.1905, Kamionka Strumiłłowa, aptekarz), 15451 Jakub *Wachsmann* (17.VII.1923, Kraków, pomocniczy pracownik garbarski), 15452 Efroim *Wajnryb* (24.VI.1916, Zawiercie, fryzjer), 15453 Henryk *Hojda* (6.VI.1923, Kraków, uczeń ślusarski), 15454 Zbigniew *Tochowicz* (5.XII. 1919, Kraków, rzeźnik), 15455 Fryderyk *Rosenzweig* (31.VIII.1890, Podwołoczyska, urzędnik bankowy), 15456 Szymon *Hirschfeld* (4.IV.1889, Brzeszcze, fryzjer), 15457 Roman *Chambré* (25.II.1908, Kołomyja, technik), 15458 Władysław *Szewczyk* (6.VIII.1912, Elisabeth, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, konstruktor maszyn), 15459 Zbigniew *Kolessa* (1.IX.1910, Kraków, księgowy), 15460 Michał *Wojciechowski* (4.XII. 1902, Warszawa, elektromonter), 15461 Zygmunt *Banasiewicz* (26.VII.1899, Kraków, ślusarz), 15462 Stanisław Młodnicki (18.I.1920, Kraków, urzędnik biurowy), 15463 Mojżesz *Hirschprung* (4.XII.1872, Kraków, urzędnik prywatny).

O C E N Y

JAN MASŁOWSKI

Kraków

Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1968

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. *Spett*)

Zakres oceny

W roku 1968 znaczna część pozycji z kręgu wskazanego w tytule grupuje się, jak rokrocznie, w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Ponadto wiele nowych prac przedstawiono w programie drugiego zjazdu lekarzy ZBoWiD w Warszawie. Te dwie zasadnicze grupy tekstów znalazły już swe omówienie [1], toteż przedmiotem niniejszego szkicu bibliograficznego są publikacje pozostałe, mianowicie ogłoszone w wydaniach książkowych i różnych czasopismach. Dokonany tutaj przegląd, wskazujący głównie na nowe, istotne treści, nie wyczerpuje wszystkich pozycji, zwłaszcza ogłoszonych w prasie. Zaproponowane w nim krytyczne usystematyzowanie różnych publikacji jest więc tak, jak w poprzednich artykułach, dotyczących dorobku lat ubiegłych wynikiem wyboru dowolnego. Celem podziału było między innymi wyodrębnienie głównych wątków tematycznych.

„Króliki" z Ravensbrück

Coraz bardziej staje się oczywisty fakt, że pełna rejestracja zbrodni hitlerowskich i ich wyczerpujący opis nigdy nie będą możliwe. Jednocześnie jest widoczne, że zagadnienia poruszane już niejednokrotnie w okresie powojennym muszą być nadal opracowywane, ponieważ odkrywa się dalsze, istotne informacje, jak na przykład w wypadku pseudolekarskich zbrodniczych doświadczeń dokonanych przez lekarzy hitlerowskich w Ravensbrück. Zbrodnie hitlerowskie wciąż budzą żywe oburzenie opinii publicznej i wyraziście ukazują nie rozwiązane zagadnienie kary.

W związku z tą sytuacją Polska Agencja Prasowa ogłosiła dnia 6 lipca 1968 roku w codziennej prasie oświadczenie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w sprawie nieprzedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. Oświadczenie to zostało poprzedzone artykułami dra Czesława *Pilichowskiego* dotyczącymi między innymi ogromu zbrodni hitlerowskich dokonanych w Polsce i fałszowania tych faktów przez zachodnioniemieckich zwolenników przedawnienia zbrodni [2]. Argumentacja Głównej Komisji jest poparta także naukowym uzasadnieniem prawnika prof. dra Alfonsa *Klafkowskiego* [3]. Szczegółowe obliczenia wskazują na uderzającą dysproporcję między bezmiarem zbrodni i masowym udziałem ich wykonawców w akcji eksterminacji a stosunkowo znikomą liczbą ukaranych zbrodniarzy wojennych. Władze Niemieckiej Republiki Federalnej nie liczą się z międzynarodowymi ustaleniami prawnymi, pogłębiają dysproporcję między winą a karą i konsekwentnie dążą do usunięcia tych spraw z wokandy sądowej.

W NRF [4], jak się wydaje, wreszcie zwątpiono, czy kiedykolwiek uda się wymazać z pamięci ludzkiej zbrodnie hitlerowskie, toteż tamtejsi propagandziści i pseudonaukowcy usiłują świadomie i celowo fałszować wiedzę o minionej wojnie [5], której skutki ludzie w wielu

[1] Zob. J. *Bogusz:* Słowo wstępne (Przegl. Lek., 1968,, nr 1, s. 3—16) oraz relację z drugiego zjazdu lekarzy ZBoWiD, umieszczoną w dziale „Sprawozdania" w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego". Artykuły związane z tym zjazdem ukazywały się w różnych czasopismach, np. H. *Szwarc:* Lekarze oskarżają. Za Wolność i Lud, 1968, nr 13, s. 1 i 10. Na podstawie pracy prof. *Szwarc* opublikowano także artykuł pt. Skutki pobytu w obozach. Na marginesie zjazdu lekarzy ZBoWiD. Służba Zdrowia, 1968. nr 27. Rolę upowszechniającą niektóre zagadnienia omówione na zjeździe spełnił również artykuł H. *Szwarc:* Ofiary jeszcze żyją. Kultura, 1968, nr 29, s. 7.

[2] C. *Pilichowski* ogłosił między innymi cykl pt. Prawda o zbrodniach hitlerowskich w Polsce: I: Straty i lokalizacja. Trybuna Ludu, 1968, nr 141. II: Pomoc i „wspólnictwo". Tamże, nr 143. III: Dokumenty i fałszerstwa. Tamże, nr 144. Problematyką tą zajmowały się liczne dzienniki w Polsce, telewizja i radio, dzięki czemu znaczenie tych trudnych i złożonych zagadnień wyjaśniono społeczeństwu.

[3] A. *Klafkowski:* Ściganie zbrodniarzy wojennych w Niemieckiej Republice Federalnej w świetle prawa międzynarodowego. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1968, ss. 281, nlb. 3. Rec. C. *Pilichowski:* O anatomii hitlerowskiego ludobójstwa. Za Wolność i Lud, 1968, nr 13, s. 7.

[4] Y. *Moreau:* Niemcy zachodnie w godzinie neohitleryzmu. Interpress, Poznań 1968, ss. nlb. 4, II, 52. Przekład z języka francuskiego (L'Allemagne de l'ouest à l'heure de néo-nazizme. Une enquete politique. L'Humanité, nr 7047-50, 7054-56, 7059-60).

[5] Dlatego jest konieczne wydawanie publikacji polemicznych dla zagranicy, jak np. Die Umsiedlung der deutschen Bevölkerung aus Polen. Legende und Wirklichkeit. Pressagentur West, Warszawa 1966, ss. 75, nlb. 1, tabl. 1, mapa. Basiert u. a. auf dem Buch von S. *Schimitzek* Vertreibungsverluste — westdeu-

krajach będą odczuwać jeszcze przez wiele lat. Nic więc dziwnego, że zbrodnie hitlerowskie są dominującym tematem w omawianych publikacjach.

Eksperymentów zbrodniczych dokonywało około 350 lekarzy hitlerowskich w wielu obozach i ich filiach. Spośród nich wymieniono w procesie norymberskim przeciw lekarzom Buchenwald, Dachau, Majdanek, Natzweiler-Struthof, „komando" Schirmeck, Oświęcim, Ravensbrück i Sachsenhausen. Wstrząsające przeżycia młodych, zdrowych kobiet, które lekarze *SS* przy współudziale sióstr *SS* bezlitośnie okaleczyli w Ravensbrück, zostały częściowo opisane w tomie wspomnień 20 autorek spośród przeszło 70 operowanych Polek [6]. Te więźniarki, pochodzące z Lubelszczyzny, ocalały — podobnie jak niektóre inne ofiary — wbrew woli esesowców, dzięki pomocy współwięźniarek.

Książka ta jest jedną z najważniejszych pozycji w pamiętnikarskiej literaturze światowej, dotyczącej zagadnień lekarskich minionej wojny i wymaga szerszego omówienia. Temat ten był już niejednokrotnie poruszany, ale w omawianej edycji ujęty jest szeroko i w sposób uwzględniający osobiste, ciężkie przeżycia ofiar. Żadna praca naukowa nie mogłaby tak dogłębnie oddać tego, co odczuwały „króliki" z Ravensbrück, jak czynią to ich powściągliwe, niemal protokolarne relacje.

W swej recenzji zbioru „Ponad ludzką miarę" Seweryna *Szmaglewska* słusznie podkreśliła, że „lektura dwudziestu pamiętników pisanych z ogromnym spokojem, charakterystycznym dla ludzi, których życie w mniejszym czy większym stopniu zdruzgotano, jest przeżyciem wstrząsającym (...). Spokój narracji, beznamiętna rzeczowość opisu wywołują w wyobraźni nastrój sali operacyjnej, szpitala zaryglowanego na noc, chorych pozostawionych (...) po prostu bez kogoś, kto mógłby o własnych siłach wstać z łóżka" [7]. Warto przypomnieć, że technikę i następstwa eksperymentów z Ravensbrück przedstawiła przed 6 laty dr Wanda *Półtawska* w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" [8].

W majestacie „nauki" lekarze hitlerowscy wywoływali zakażenia, usuwali i przeszczepiali kości, mięśnie i części nerwów, pozbawiali operowane więźniarki opieki pielęgniarskiej, narkozy, a nawet wody do picia. Lekarze *SS Fischer, Oberhäuser* i *Gebhardt*, zbrodniarz z tytułem profesorskim, tak obchodzili się z uwięzionymi kobietami, jak się nie traktuje nawet zwierząt poddawanych doświadczeniom medyczno-biologicznym. Nie byli to prymitywni sadyści, zboczeńcy ani kryminaliści, lecz osobnicy, którzy byli w pełni świadomi swego postępowania, wyposażeni w wiedzę lekarską i obeznani z zasadami etyki. Doświadczenia nie chroniły przed wykonaniem wyroku śmierci. Lekarze *SS* uważali za przedmiot ludzi spoza *herrenvolku*, zwłaszcza Słowian. Ta jedna z najbardziej hańbiących kart hitlerowskiej medycyny wymownie świadczy o niebezpiecznej sile sfanatyzowanej ideologii. Warto podkreślić, że omawiany tom wspomnień zawiera oprócz wiadomości o tych doświadczeniach także liczne inne wiadomości o lekarskich aspektach bytowania obozowego.

We wrześniu 1968 roku Teatr Rozmaitości w Krakowie wystawił adaptację sceniczną fragmentów omawianego zbioru wspomnień, dokonaną przez Ryszarda *Smożewskiego*. Spektakl ten, zatytułowany „Eksperyment", został oparty na wybranych relacjach czterech byłych więźniarek, które poddano eksperymentom w Ravensbrück. Przedstawienie, wykonywane w konwencji teatru jednego aktora przez znaną artystkę, Halinę *Gryglaszewską*, wyróżniło się niezwykłą ekspresywnością, świetną interpretacją i spełniło bardzo ważną rolę upowszechnienia informacji o tych doświadczeniach i przeżyciach ich ofiar. Spektakle te były dyskutowane z młodzieżą, która je oglądała. Zaplanowano również poprzedzenie jednego z przedstawień spotkaniem widzów z autorkami wspomnień.

Wskazówką dla czynników decydujących o programach artystycznych może być następująca wypowiedź byłej więźniarki, Eugenii *Mikulskiej-Turowskiej*: „Film i sztuka powinny wykorzystać te wspomnienia, póki my żyjemy, gdyż możemy je jeszcze czymś wypełnić". Helena *Hegier-Rafalska* dopowiada: „Należy ciągle i na każdym kroku przypominać wszystkim, a szczególnie tym na Zachodzie, którzy nie znają prawdziwego oblicza Niemców, co potrafią oni dokonać w odpowiednich okolicznościach i warunkach" [9].

Podobnie jak zbiór „Ponad ludzką miarę" należałoby opracować i wydać wspomnienia odnoszące się do innych pseudolekarskich eksperymentów hitlerowskich, np. dokonanych na polskich księżach i zakonnikach w Dachau [10]. Nie powinno się tego zaniedbać, gdyż z upływem czasu coraz trudniej jest podejmować podobne edycje. Wspomnienia byłych więźniarek

tsche Zahlenspiele. Literatura dotycząca przesiedlenia Niemców z Polski wzbogaciła się o nowe pozycje: S. *Banasiak:* Przesiedlenie Niemców z Polski w latach 1945—1950. UŁ, Łódź 1968, 4°, ss. nlb. 2, 258, tabl., ilustr., bibliografia. — K. *Skubiszewski:* Wysiedlenie Niemców po II wojnie światowej. Książka i Wiedza, Warszawa 1968, 16°, ss. 151, nlb. 1, bibliografia.

[6] Ponad ludzką miarę. Wspomnienia operowanych z Ravensbrück. Red. H. *Klimek*. Przedmowa W. *Kiedrzyńskiej*. Książka i Wiedza, Warszawa 1968, ss. 397, nlb. 3, tabl. 4, ilustracje. Rec. między innymi A. *Garlicki*, Kultura, 1968, nr 13, s. 5.

[7] S. *Szmaglewska:* Hańba hitlerowskich lekarzy. Nowe Książki, 1968, nr 9, s. 586.

[8] W. *Półtawska:* Operacje doświadczalne w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. Przegl. Lek., 1963, nr 1, s. 90—97.

[9] Cytowane według artykułu pt. Eksperyment. Dziennik Polski, 1968, nr 208, s. 5.

[10] O prześladowanym postępowym duchowieństwie, które hitlerowcy traktowali jako niebezpieczną warstwę patriotyczną, dotychczas pisano stosunkowo niewiele. Słusznie więc wydano książkę pt. Wierni ojczyźnie. Kartki z dziejów martyrologii duchowieństwa polskiego w latach okupacji hitlerowskiej. Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne. Warszawa 1966, ss. 336 (powielone).

z Ravensbrück powinny ukazać się w kilku językach obcych, dla zagranicy, przy czym należałoby uwzględnić w przedmowie charakterystykę etyki lekarzy hitlerowskich, którzy dokonywali doświadczeń. Polscy wydawcy powinni doprowadzić do skutku odpowiednie, monograficzne opracowanie zbrodni lekarzy hitlerowskich z okresu drugiej wojny światowej. Spośród głosów upominających się od dawna o taką książkę warto przypomnieć wypowiedź prof. dra Tadeusza *Kielanowskiego* sprzed 10 lat [11].

Eksperymenty w Ravensbrück ukazały niebezpieczną granicę, której eksperymentując na człowieku nie można przekroczyć bez pogwałcenia podstawowych, ogólnoludzkich norm etycznych. Ten aspekt sprawy nasunął jednemu z recenzentów [12] myśl rozważenia tych zagadnień z uwzględnieniem kontrowersji powstałych wskutek wiadomości o operacji przeszczepienia serca (dr *Barnard* i inni) [13]. Podobne doświadczenia mają służyć medycynie, ale pojawia się śmierć jako produkt uboczny. Zagadnienie jest otwarte i będzie coraz wnikliwiej dyskutowane.

Deontologią w świetle doświadczeń okupacyjnych zainteresowali się także studenci medycyny. W bardzo dobrze redagowanym miesięczniku studenckim „Nowy Medyk" wyróżnia się przejrzysty artykuł informacyjny studenta Stanisława *Kołodzieja* [14] z Lublina, jak również relacja o ogólnopolskim seminarium studenckich kół naukowych, poświęconym tematowi ludobójstwa [15].

Analiza literacka istotnych zagadnień

Lektura książki „Ponad ludzką miarę" nasuwa pytanie, jak się mógł ukształtować typ lekarza niemieckiego, w pełni odpowiedzialnego za swe czyny, który troszczył się o rodzinę i dbał o zwierzęta domowe, lubił muzykę i osiągnął dość znaczne wykształcenie, a zarazem potrafił z chłodną premedytacją wykonywać opisane operacje. Skąd ta sprzeczność? Na trop przyczyn może naprowadzić utwór *Hansa Fallady,* zniekształcony przez hitlerowskich wydawców w roku 1938, a ostatnio dostępny w swej prawdziwej wersji [16]. W tym zbiorze portretów niemieckiej *Spiessbürgerei* znajdujemy opis tworzenia się pruskiej dulszczyzny i analizę literacką degradacji charakterów. Jak pisze recenzent, „nie są to ludzie gorsi od innych, ale stan ich otumanienia, przesycenia świadomości hasłami wielkości przekracza wszystko, co istnieje gdziekolwiek indziej. W rezultacie powstaje amalgamat przedziwnych składników: buty i pracowitości, megalomanii i systematyczności, krwiożerczości i punktualności, zbrodniczości i gospodarności, zwyrodniałego szowinizmu, rasizmu i wiedzy naukowej. Jedyna w swoim rodzaju mieszanka, która musiała dać to, co — jak wiemy — dała. W «Żelaznym Gustawie» obserwujemy ten proces, w którym wszystkie dobre cechy niemieckie zostają systematycznie, stopniowo mobilizowane na służbę zbrodni i łajdactwa, spodlone i pogrzebane" [17].

Oczywiście nie tylko literatura piękna, lecz przede wszystkim bezpośrednie obserwacje zbrodniarzy są źródłem oryginalnych spostrzeżeń psychologicznych, dotyczących zwłaszcza umysłowości hitlerowców. Ich cechy psychiczne podpatrywano niekiedy w niecodziennych sytuacjach, w których znajdowali się pamiętnikarze. Przykładem może być relacja dziennikarza i prawnika, Kazimierza *Moczarskiego* [18], byłego żołnierza AK. Tak się złożyło, że autor, więzień zrehabilitowany w roku 1956, przebywał po wojnie w jednej celi z likwidatorem getta warszawskiego, generałem policji hitlerowskiej, *gruppenführerem SS, Jurgenem Stroopem. Moczarski* interesująco opisuje zachowanie się *Stroopa* i jego poglądy wypowiadane w celi.

Ciężar relacji o zbrodniach mogą umniejszyć w recepcji czytelników przykłady czynów szlachetnych i niezłomnej postawy etycznej. Motyw ofiarnego lekarza, zasłużonego w czasie wojny, pojawia się od czasu do czasu w literaturze pięknej. Autor „Tamtej jesieni", Leszek *Prorok* [19] sięgnął w opowiadaniu tytułowym do września 1939 roku. „Rzecz jest hołdem dla postawy heroicznej człowieka, którego nic prawie nie wiązało z napadniętym narodem, obcego w całym tego słowa znaczeniu. Pewien japoński lekarz nie skorzystał z możliwości ewakuowania się wraz z personelem swej ambasady i pozostał w «mieście nie pokonanym», aby nieść pomoc rannym i umierającym. Uważał po prostu, że w ten sposób spełnia swój lekarski obowiązek. Nie poznajemy zresztą motywów tej decyzji, bohatera widzimy jedynie, jak pracuje wśród ognia, dymu i kałuż krwi; przetrwał bowiem we wspomnieniu kobiety, która wówczas pełniła rolę siostry szpitalnej. To wspomnienie, w formie opowieści snutej jakby w malignie, w rozmowie

[11] T. *Kielanowski:* Prof. dr Karol *Brandt,* zbrodniarz wojenny. Studia z dziedziny etyki lekarskiej. Służba Zdrowia, 1958, nr 6, s. 3.

[12] T. *Zychiewicz:* Między Noblem a szubienicą. Tygodnik Powszechny, 1968, nr 1006, s. 1 i 5.

[13] Zob. M. A. *Krąpiec:* Czy człowiek ma prawo do śmierci? Tygodnik Powszechny, 1968, nr 27, s. 1 i 2.

[14] S. *Kołodziej:* Z „epoki pieców". Lekarze polscy w Oświęcimiu. Nowy Medyk, 1968, nr 7/8, s. 8 i 9.

[15] W. *Argasiński:* Ludobójstwo największą zbrodnią. Tamże, s. 14. Zob. też M. *Kowalczyk:* Ludobójcy. Student, 1968, nr 5, s. 8 i 9, oraz artykuł zbiorowy z Koła Naukowego Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi pt. Zbrodnicze eksperymenty. Tamże, s. 8. Wyczerpująco pisze o seminarium studenckim A. *Pituch* w dziale „Sprawozdania" w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego".

[16] H. *Fallada:* Zelazny Gustaw. Tłum. z niem. E. *Bielicka,* T. *Jętkiewicz.* MON, Warszawa 1967, ss. 723, nlb. 4.

[17] J. *Gerhard:* „Żelazny Gustaw". Nowe Książki, 1968, nr 6, s. 389. Zob. też artykuł pt. Nad źródłami hitleryzmu. Kierunki, 1968, nr 1, s. 9.

[18] K. *Moczarski:* Rozmowy z katem. Polityka, 1968, nr 26, s. 11.

[19] L. *Prorok:* Tamta jesień. Wydawn. Poznańskie. Poznań 1967, ss. 149, nlb. 3.

z córką, jest treścią opowiadania" [20]. Wyeksponowanie takiego lekarza można uznać za oryginalny wątek w utworach fabularnych dotyczących kampanii wrześniowej [21].

Spośród znanych patriotów wydawcy znów przypomnieli szlachetną i bohaterską postać dra Janusza *Korczaka*, którego losy opisał wybitny literat [22].

Zagadnienia minionej wojny i jej skutków, np. spustoszeń psychicznych oraz swoistych, nieraz korzystnych przeobrażeń poglądów i postawy moralnej, są często tematem różnych form literatury pięknej. Autorzy, zarówno starsi, jak i młodsi, dość często zajmują się ostatnio między innymi obserwacją śladów przeżyć wojennych w psychice kreowanych postaci. Zainteresowanie tą problematyką bynajmniej nie wygasa. Przykładem może być pasjonująca i sensacyjna w dodatnim znaczeniu tego słowa książka Andrzeja *Mularczyka* [23], który, uwzględniając zebrane dokumenty i konkretne spostrzeżenia, zajął się przekształceniami stosunku ludzi do świata i otoczenia pod wpływem wydarzeń wojennych i okupacyjnych. W swoich znakomitych i kunsztownych reportażach literackich *Mularczyk* dokonał „podsumowania wojny w latach pokoju" [24]. Te *sit venia verbo* opowieści prawdziwe są napisane rzeczowo, z szacunkiem dla faktów, bez dziwactw kompozycyjnych i stylistycznych. Warto też wspomnieć o twórczości Przemysława *Bystrzyckiego* [25] i Remigiusza *Napiórkowskiego* [26]. Do tego kręgu także należą wznowione opowiadania chirurga, dra Józefa *Stompora* [27]. Omówienie podobnych utworów, wyselekcjonowanych pod kątem zainteresowań lekarzy i psychologów, musiałoby zająć odrębny artykuł.

Analiza spraw drugiej wojny światowej w literaturze pięknej, łącznie ze wspomnieniami i pamiętnikami, była przedmiotem pierwszej tego rodzaju sesji naukowej w Polsce. Sesję tę, poświęconą wielu utworom o tematyce patriotyczno-obronnej, zorganizowały w 25-lecie ludowego Wojska Polskiego Zarząd Główny Związku Literatów Polskich i Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego w dniach 25 i 26 września 1968 roku w Warszawie. Referaty wygłosili prof. dr Jan Zygmunt *Jakubowski*, Stanisław Ryszard *Dobrowolski*, Stanisław *Zieliński*, Lesław M. *Bartelski*, Alojzy *Sroga*, Olgierd *Terlecki* i Wojciech *Żukrowski*. Obecny na sesji szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, generał dywizji Józef *Urbanowicz* zachęcił obecnych do kontynuowania tej tematyki [28].

Martyrologia dzieci

Tragedia dzieci polskich, spowodowana przez hitlerowców, doczekała się monograficznego opracowania w postaci książki prawnika, dra Romana Zbigniewa *Hrabara* [29]. Autor już poprzednio zajmował się tym zagadnieniem [30]. Obecnie otrzymaliśmy pełny, udokumentowany przegląd spraw związanych z losem 2 225 000 dzieci polskich, które padły ofiarą hitleryzmu. Liczba ta odpowiada około 35% ogółu strat ludności polskiej. *Hrabar* jako pełnomocnik rządu PRL osobiście wyszukiwał wywiezione i wynarodowione dzieci polskie w Niemczech w latach 1947—1949, nic więc dziwnego, że wypowiada się jako autorytatywny znawca „nie zawinionego, tragicznego losu janczarów XX wieku". W swej pracy źródłowo i wyczerpująco opisuje eksterminacje i morderstwa popełnione na dzieciach polskich, pseudoeutanazję, sterylizację i kastrację, eksperymenty lekarskie, morzenie głodem, uszkodzenia ciała, tortury, pracę niewolniczą.

Ogólnie i zwięźle informuje o losach dzieci jeden z artykułów, opracowany przez zespół tematyczny Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce do spraw hitlerowskiej eksterminacji dzieci i młodzieży [31].

Wśród winowajców wciąż wykrywa się lekarzy niemieckich. Na przykład w roku 1968 Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach ustaliła fakty dotyczące losu dzieci polskich w szpitalu dla psychicznie i nerwowo chorych w Lublińcu. Hitlerowcy wymordowali tam 194 dzieci w wieku 1—14 lat. Dzieci uśmiercano nadmiernymi dawkami luminalu i weronalu; zgon następował zawsze po ostatnim dniu dawkowania. Dokumentem jest zachowany zeszyt pt. „*Medizin Kinder-Abteilung B*" z 256 nazwiskami dzieci, przy czym obok 194 nazwisk znajduje się znak stylizowanego krzyża, oznaczający zgon. Mordercy tych dzieci mieszkają obecnie w NRF. Są to lekarze Ernest *Buchalik*, były dyrektor szpitala w Lublińcu, praktykujący w Niedersmarsbergu i Elżbieta *Hecker*, były kierownik

[20] J. *Biernacki:* Zapiski i marynistyka. Nowe Książki, 1968, nr 3, s. 179.

[21] Por. J. *Masłowski:* Wrzesień 1939 w prozie literackiej. Życie Literackie, 1963, nr 35, s. 1 i 8.

[22] I. *Newerly:* Żywe wiązanie. Wyd. 2. Czytelnik, Warszawa 1967, ss. 509, nlb. 3.

[23] A. *Mularczyk:* Co się komu śni. Wydawn. Iskry, Warszawa 1968, ss. 353, nlb. 3. Autor powołuje się między innymi na krakowskie badania psychiatryczne byłych więźniów (tamże, s. 287). Rec. między innymi E. *Żurek:* Wojna trwa. Polityka, 1968, nr 39, s. 11.

[24] Określenie z notki na skrzydełku obwoluty.

[25] P. *Bystrzycki:* Anujka i inne opowiadania. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1968, 16°, ss. 287, nlb. 3.

[26] R. *Napiórkowski:* Weselnicy. Wydawn. MON, Warszawa 1968, 16°, ss. 290, nlb, 2.

[27] J. *Stompor:* Szpital pod jodłami. Wyd. 2. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1967 [wydrukowano w styczniu 1968 roku], ss. 215, nlb. 1.

[28] Wkrótce Kultura (1968, nr 40 i 41) opublikowała referaty, a Życie Literackie (1968, nr 40, s. 1, 10, 11 i 15) zamieściło obszerne sprawozdanie z sesji.

[29] R. Z. *Hrabar:* Na rozkaz i bez rozkazu. Sto i jeden wybranych dowodów hitlerowskiego ludobójstwa na dzieciach. Wydawn. Śląsk, Katowice 1968, ss. 275, nlb. 1, ilustracje. Rec. między innymi: J. *Ruszczyc:* 2 225 000 dzieci polskich. Trybuna Ludu, 1968, nr 172, s. 3.

[30] R. Z. *Hrabar:* Hitlerowski rabunek dzieci polskich. Uprowadzenia i germanizowanie dzieci polskich w latach 1939—1945. Wydawn. Śląsk, Katowice 1960, ss. 150 i Jakim prawem? Wydawn. Śląsk, Katowice 1962, ss. 207.

[31] Hitlerowskie zbrodnie na dzieciach polskich. Gazeta Sądowa i Penitencjarna, 1968, nr 17, s. 1 i 8.

oddziału dziecięcego oraz byłe pielęgniarki w Lublińcu, Cecylia *Langos* i Dorota *Winkler*.

Poruszone tutaj zagadnienia nie są tylko sprawą dość odległej już przeszłości. Na dygresję zasługuje z tego punktu widzenia znamienny przyczynek do dziejów hitlerowskiej medycyny. Dnia 27 maja 1968 roku rozpoczął się w NRF proces w sprawie rozpowszechniania głośnego leku thalidomidu, który zażywały kobiety ciężarne i wskutek tego rodziły dzieci zdeformowane (*phocomelia*). Thalidomid produkowała firma *Chemie Grünenthal*, która z chęci zysku torpedowała ostrzeżenia uczciwych lekarzy, wskazujących na groźne uboczne działanie tego środka. Warto podkreślić, że szefem laboratorium tej firmy był dr *Heinrich Mueckter*, który odpowiednie doświadczenia przeprowadzał niewłaściwie i fałszował ich wyniki. On właśnie podczas okupacji był naczelnym lekarzem instytutu badań nad durem i wirusami w Krakowie, prowadzonego pod egidą *Wehrmachtu*. Produkowano tam szczepionkę *Weigla* z jelit wszy. Wyciąg ten zaszczepiono 31 „królikom"-więźniom przywiezionym z Buchenwaldu, wskutek czego 10 z nich zmarło [32].

Temat dzieciństwa utraconego wskutek represji okupanta wobec najmłodszych więźniów znalazł również swe miejsce w tygodniku rozpowszechnianym także za granicą. Mianowicie badania psychiatryczne, elektroencefalograficzne i psychologiczne tzw. „dzieci oświęcimskich", przeprowadzone w ubiegłych latach w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie i przedstawione w kilku artykułach przez nasze zeszyty, zostały w zakresie swych podstawowych wyników udostępnione licznym czytelnikom przez dr Wandę *Półtawską* [33]. Autorka ta ponadto bliżej nakreśliła typową sylwetkę nieletniego więźnia i jego charakterystyczne doznania, będące następstwem obozowego stressu przeżytego w dzieciństwie [34]. Wiele obserwacji psychologicznych zawiera autobiografia Alojzego *Twardeckiego* [35], który przeżył dramat zgermanizowanego dziecka polskiego.

Oryginalnym ujęciem wyróżnia się zbeletryzowana, ale bezpośrednia i żarliwa relacja wspomnieniowa Janusza *Radzikowskiego* [36], która ukazała z punktu widzenia przeżyć dziecka wieś północnomazowiecką pod jarzmem okupacji.

Relacje z różnych regionów Polski

Poszerza się zakres publikacji na temat zbrodni hitlerowskich, obejmując różne, nie opracowane jeszcze dostatecznie regiony Polski, jak np. ziemię koszalińską [37]. Okupacyjnych dziejów Pomorza Gdańskiego dotyczy starannie opracowana kronika wydarzeń [38].

Sprawa zbrodni popełnionych przez Niemców w Państwowym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kocborowie doczekała się osobnej książki [39], którą w porozumieniu z prof. drem Jerzym *Sawickim* zainicjował, rozplanował i w dużym stopniu przygotował mąż autorki, Stanisław Krzysztof *Szwentner*, zmarły przed pięcioma laty. Jego żona, Krystyna, zgodnie z intencjami męża ukończyła dzieło. Dowody zbrodni znalazł on w zakamarkach piwnic szpitalnych, w których jeszcze po 20 latach od zakończenia wojny znajdowało się ukryte, ale zdekompletowane archiwum. Książka ta jest epitafium dla przeszło trzech tysięcy zamordowanych chorych i opiera się na różnych materiałach o istotnej wartości dokumentarnej.

Spośród prac naukowych podejmowanych przez lekarzy nowe, cenne spostrzeżenia wnosi również rozprawa o późnych następstwach wojny pt. „Stan zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, zamieszkałych na terenie Wielkopolski, w dwadzieścia lat od chwili oswobodzenia, w świetle ich przeżyć chorobowych", pióra dra Stanisława Hieronima *Bieńki*, wojewódzkiego inspektora sanitarnego w Poznaniu. Autor, były więzień Dachau, ofiara zbrodniczych eksperymentów, stworzył dokumentarną relację źródłową. Dobrze się stało, że poinformowało o tym czytelników także czasopismo studenckie [40].

Częstochowskie reprezentuje broszura dotycząca polityki okupantów wobec ludności cywilnej [41], niszczonej przez prześladowania, niedobór żywności i złe warunki sanitarne.

Do partyzanckich tradycji Kielecczyzny nawiązuje Bogdan *Hillebrandt* [42]. O służbie zdrowia w partyzantce niewiele wiadomości znajdujemy w bieżących publikacjach, mimo że zagadnienie to dotyczy zapobiegania chorobom, zwłaszcza zakaźnym oraz leczenia chorych i rannych w ruchliwych oddziałach, jest więc tematem interesującym. Trafiają się in-

[32] Finał sprawy thalidomidu. Dookoła świata, 1968, nr 26, s. 6 i 10.

[33] W. *Półtawska:* Dzieci stamtąd. Polska, 1968, nr 7, s. 36.

[34] W. *Półtawska:* Antek. Tamże, s. 35.

[35] A. *Twardecki:* Szkoła janczarów. Listy do niemieckiego przyjaciela. Kultura, 1968, nr 27—31 i 33—36 (9 odcinków).

[36] J. *Radzikowski:* Ona była taka. Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1968, ss. 195, nlb. 2.

[37] Zbrodnie hitlerowskie na ziemi koszalińskiej w latach 1933—1945. Praca zbiorowa pod red. A. *Czechowicza*. Koszalin 1968, ss. 190, nlb. 1, ilustracje.

[38] J. *Matynia:* Na szlakach walki i męczeństwa województwa gdańskiego. 1939—1945. Mapki rysowali F. *Góralczyk*, T. *Majewski*, M. *Trocha*. Wydawn. Morskie, Gdynia 1967, ss. 207, nlb. 1, map 5, ilustracje + 1 mapa.

[39] K. *Szwentnerowa:* Zbrodnia na *Via Mercatorum*. Wydawn. Morskie, Gdynia 1968, ss. 179, nlb. 1, tabl. 28, bibliografia.

[40] D. *Michałowska*, G. *Wiśniewski:* Obozowe przeżycia dra *Bieńki*. Nowy Medyk, 1968, nr 7/8, s. 9 i 10. Zob. S. H. *Bieńka:* Stan zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Przegląd Zachodni, 1967, nr 5, s. 99—109.

[41] J. *Pietrzykowski:* Łowy na ludzi. Arbeitsamt w Częstochowie. Wydawn. Śląsk, Katowice 1968, ss. 79, nlb. 1, ilustracje.

[42] B. *Hillebrandt:* Partyzantka na Kielecczyźnie 1939—1945. Red. nauk.: Z. *Stąpor*. Wydawn. MON, Warszawa 1967, ss. 605, nlb. 2, tabl. 3, ilustracje, portrety, tablice, mapy, bibliografia.

formacje o partyzanckiej służbie zdrowia na marginesie większych prac, charakterystyki ogólne, obliczenia statystyczne itp. Np. o efektownej walce z durem, o wykonywaniu operacji chirurgicznych, o przewożeniu rannych w zgrupowaniu *Szangina* i w oddziale *Jakowlewa* i *Kowalewa* w roku 1944 na Lubelszczyźnie wspomniano ostatnio w szerszej pracy poświęconej radzieckim partyzantom [43].

Szczególnie nasilone prześladowania hitlerowskie są związane między innymi z dziejami Zamojszczyzny, której okupacja stała się przedmiotem analizy stosunkowo licznych autorów. Z ostatnich publikacji warto wymienić opracowanie Jerzego *Markiewicza* [44]. Doc. dr Alicja *Glińska* z Uniwersytetu Śląskiego, znana naszym czytelnikom ze swych pionierskich rozpraw socjologicznych z zakresu moralności więźniów Oświęcimia-Brzezinki, zredagowała cenny zbiór wspomnień dotyczących martyrologii ludności polskiej na Zamojszczyźnie [45]. O jej wysiedlaniu i o tamtejszym ruchu oporu czytaliśmy już między innymi w monografii Wojciecha *Sulewskiego* [46]. Relacje osobiste, zestawione przez *Glińską,* uzupełniają istotną lukę, oddają bowiem atmosferę dni grozy na Zamojszczyźnie i pozwalają poznać ciężkie przeżycia prześladowanych i walczących.

Wartościowym przyczynkiem do zagadnień kampanii wrześniowej jest praca mjra Zygmunta *Kosztyły* [47]; zajmując się działaniami samodzielnej grupy operacyjnej „Narew", autor uwzględnił między innymi pracę służby zdrowia tego ugrupowania oraz zbrodnie hitlerowskie we wrześniu 1939 roku na Białostocczyźnie.

Z problematyką Warszawy łączy się duża liczba tytułów na rynku wydawniczym, aczkolwiek nie wszystkie teksty jeszcze opublikowano. Z powodu braku odpowiedniego sondażu dotychczas nie dysponujemy dostatecznym rozeznaniem, ile jeszcze wartościowych pamiętników lekarzy można by ujawnić i udostępnić. Tu i ówdzie ukazują się niektóre teksty. Np. ambitny tygodnik wskazał na pamiętnik i ogłosił fragment wspomnień dra Romana *Borna* z Paryża. Lekarz ten był w czasie okupacji członkiem ruchu oporu (w PAL), a w powstaniu warszawskim pełnił najpierw obowiązki szefa sanitarnego zgrupowania „Chrobry II", a później — rejonu Warszawa-Zachód. Dr *Born* opisał codzienne czynności i nastrój podczas tragicznych dni powstania, przeżywanych przez pracowników służby zdrowia [48]. Opublikowany urywek relacji jest poprzedzony wyczerpującą notą o autorze i jego pamiętniku, co się, niestety, nie zawsze praktykuje w czasopismach w wypadku ogłaszania podobnych tekstów.

Martyrologii Żydów w Warszawie dotyczy trudniej dostępne opracowanie [49]. Od czasu do czasu pojawiają się w prasie charakterystyki zasłużonych lekarzy, jak np. informacje o bohaterskiej postawie dra Zygmunta *Kujawskiego* (pseudonim „dr Brom") podczas powstania warszawskiego [50]. Wznowiono uzupełnioną książkę dr Anny *Czuperskiej-Śliwickiej,* poświęconą Pawiakowi i tamtejszym lekarzom, bohatersko zaangażowanym w ruchu oporu [51].

Do problematyki tajnego nauczania medycyny w Warszawie nawiązał dr Jan *Weremowicz,* opisując wojenne losy prof. dra Witolda *Orłowskiego* [52]. Warto zapowiedzieć, że w dziesiątym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" zostaną opublikowane dwie prace, mianowicie prof. dra Edmunda *Chróścielewskiego* pt. „Polskie studia medyczne w okresie drugiej wojny światowej" i dra Ryszarda *Zabłotniaka* pt. „Konspiracyjne studia medyczne i farmaceutyczne w Warszawie". Uwagi o tajnym nauczaniu w Warszawie podała również dr Hanna *Szukiewicz,* zestawiając listę niektórych studentów [53].

---

[43] J. *Tobiasz:* Z działań radzieckich oddziałów rajdowych na Lubelszczyźnie w 1944 r. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1968, nr 2, s. 249.

[44] J. *Markiewicz:* Nie dali ziemi, skąd ich ród. Zamojszczyzna 27.XI.1942—31.XII.1943. (Indeksy: Z. *Kruszelnicka,* A. *Moskała*). Wydawn. Lubelskie, Lublin 1967, ss. 425, ilustracje, portrety, bibliografia.

[45] Zamojszczyzna w okresie okupacji hitlerowskiej. Relacje wysiedlonych i partyzantów. Materiały opracowała i wstępem poprzedziła A. *Glińska.* Przedmowa: J. *Ślaski.* Pax, Warszawa 1968, ss. 309, nlb. 3, tabl. 25, ilustracje, mapy, bibliografia.

[46] W. *Sulewski:* Lasy w ogniu. Zamojszczyzna 1939—1944. Wydanie II poprawione i uzupełnione. Czytelnik, Warszawa 1965, ss. 278, nlb. 2, ilustracje.

[47] Z. *Kosztyła:* Wrzesień 1939 roku na Białostocczyźnie. PWN, Białystok-Warszawa 1967 [wydane w roku 1968], ss. 217, nlb. 2, ilustracje, mapy, bibliografia. Zob. też Z. *Kosztyła:* Przygotowania oraz działania służby medyczno-sanitarnej SGO „Narew" w kampanii wrześniowej. Biuletyn WAM, 1967, Supl. 4, z. 11, s. 92—95.

[48] R. *Born:* W zgrupowaniu „Chrobry II". Tygodnik Powszechny, 1968, nr 31, s. 1 i 5.

[49] T. *Berenstein,* A. *Rutkowski:* Obóz koncentracyjny dla Żydów w Warszawie (1943—1944). Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego, 1967, nr 62, s. 3—32. — Z problematyką żydowską wiąże się też nowa praca S. *Datnera:* Las sprawiedliwych. (Karta z dziejów ratownictwa Żydów w okupowanej Polsce). Książka i Wiedza, Warszawa 1968, 16°, ss. 115, nlb. 4.

[50] Za Wolność i Lud, 1968, nr 8, s. 17.

[51] A. *Czuperska-Sliwicka:* Cztery lata ostrego dyżuru. Wspomnienie z Pawiaka 1940—1944. Wyd. 2, Czytelnik, Warszawa 1968, ss. 419, nlb. 4.

[52] J. *Weremowicz:* Działalność prof. dra med. Witolda *Orłowskiego* w czasie okupacji. Pol. Tyg. Lek., 1968, nr 26, s. 1002—1004.

[53] H. *Szukiewicz:* Szkolenie studentów medycyny w Szpitalu Ujazdowskim w czasie okupacji hitlerowskiej. Arch. Hist. Med., 1968, nr 1, s. 87—93. O Państwowym Zakładzie Higieny podczas wojny informuje K. *Brodacki:* Podziemna służba zdrowia. Polityka, 1968, nr 42, s. 11. Zob. też J. *Dreyza:* Szpital maltański przy ul. Senatorskiej w czasie powstania warszawskiego. Arch. Hist. Med., 1968, z. 2, s. 265—270. — K. *Drescher (Zula):* Komisja lekarska obozu przejściowego w Pruszkowie w czasie powstania warszawskiego. Tamże. s. 271—181. Zob. ponadto opowiadania byłej sanitariuszki w harcerskim batalionie „Parasol", D. *Kaczyńskiej:* Rozstanie po raz drugi. Wydawn. MON, Warszawa 1967, ss. 169, nlb. 3. — Wymieniając pozycje dotyczące zagadnień lekarskich powstania warszawskiego, należy niezależnie od tego kręgu tematycznego przypomnieć bardzo ważną książkę Z. *Kliszki* (Powstanie warszawskie. Artykuły, przemówienia, dokumenty. Książka i Wiedza, Warszawa 1967, ss. 347), który łączy istotne interpretacje polityczne ze wspomnieniami osobistymi.

Wynikiem sumiennego sprawdzenia wszechstronnych źródeł i dokumentów jest jedna z najważniejszych pozycji w piśmiennictwie dotyczącym Warszawy, mianowicie wybitna praca Władysława *Bartoszewskiego* [54].

Stosunkowo nielicznie jest reprezentowany Kraków. Bliższe informacje o krakowskim więzieniu przy ul. Montelupich znajdujemy we wspomnieniach Wandy *Kurkiewiczowej* [55], która po jednorocznej pracy konspiracyjnej została wraz z synem uwięziona przez gestapo. W swej relacji, udokumentowanej faktami i nazwiskami, autorka opisuje warunki panujące w tej osławionej katowni hitlerowskiej, a zwłaszcza analizuje mechanizm niszczenia zdrowia i życia więźniarek.

Jeden z recenzentów podkreśla, że w tej książce są podane również „nazwiska lekarzy-Polaków, którzy w miarę swych możliwości pomagali więźniarkom, a więc doktora *Budziaszki, Preissa, Zakrzewskiego,* który był cały pokrajany nożycami i prawie wykrwawiony, i wreszcie doktora *Kruczka,* Stefanii *Kościuszkowej.* Podziw musi budzić usiłowanie więźniarek zachowania odporności psychicznej. Niektórym pomagały w tym modlitwy i śpiewy, innym recytowanie wierszy, opowiadania, improwizowane odczyty, czy wreszcie nauka języków. Sen i te improwizowane zajęcia raz po raz przerywane są przez wezwania na śledztwo, do transportu do Oświęcimia, rzadko tylko na wolność (...). *Kurkiewiczowej* droga do wolności przeszła dzięki pomocy lekarzy polskich przez szpital. Symulacja zapalenia wyrostka robaczkowego uchroniła autorkę prawdopodobnie przed wyjazdem do Oświęcimia, a więc ocaliła jej życie" [56].

Częściowo z Krakowem wiąże się pamiętnik prof. dra Juliana *Aleksandrowicza,* omówiony bliżej w poprzednim zeszycie. Został on we fragmentach udostępniony czytelnikom zagranicznym dzięki obcojęzycznym mutacjom czasopisma „Polska" [57].

Z rękopisu pośmiertnego opublikowano relację prof. dra Andrzeja *Biernackiego* (kierownika Działu Walki z Gruźlicą w Sekcji Zdrowia Komitetu Samopomocy Społecznej) z podróży podjętej w celu znalezienia odpowiedniego sanatorium dla chorych na gruźlicę [58]. Te bezpośrednie spostrzeżenia, zawarte w bieżących notatkach, są pełne autentyzmu i zawierają sporo bystrych uwag.

Warto dodać, że wznowiono znaną i wartościową książkę, mianowicie „Pamiętniki lekarzy" [59]. Jest to druk z klisz. W tym obszernym, wielotematycznym zbiorze prac autorów z różnych stron Polski przewijają się dość gęsto urywki wspomnień z okresu drugiej wojny światowej.

Systematycznie ukazuje się coraz więcej broszur z serii poświęconej licznym miejscom walki i martyrologii. Opracowywane przez Andrzeja *Czerkawskiego* i Marka *Dunina-Wąsowicza,* są one wydawane przez Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz „Sport i Turystykę". Wskazane byłoby wydanie kilku takich opracowań ilustrowanych na temat ofiar poniesionych przez pracowników służby zdrowia i ich udziału w ruchu oporu.

Podziemie zbrojne i wojsko regularne

W wielu publikacjach spośród uprzednio wymienionych są zawarte informacje o powstaniu warszawskim, bojach partyzanckich, dywersji, sabotażu itp. Poza tym piśmiennictwem, dotyczącym tematów najczęściej poruszanych, pojawiają się relacje o wydarzeniach długo uchodzących uwagi wydawców.

Typowym przykładem popularyzowania prawie nieznanych dotychczas akcji polskiego ruchu oporu jest monografia opisująca działalność odcinka „Wachlarza", operującego na terenie okupowanej Białorusi [60]. „Wachlarz" był to kryptonim specjalnej grupy ZWZ-AK o rejonie działania sięgającym Dniepru od Czerkas za Smoleńsk i Dźwiny od Dyneburga do Witebska. Sztaby wojsk alianckich nalegały, aby dzięki szybkiemu podjęciu tej akcji dywersyjnej wspomagać wojska radzieckie, działając przeciw hitlerowskiej agresji na zapleczu frontu. Cezary *Chlebowski* opisał między innymi ciężkie przeżycia i głodzenie uwięzionej grupy „Wachlarza" w Mińsku.

Temat Ludowego Związku Kobiet, bardzo ważny dla dziejów udziału ludowców w ruchu oporu, uwzględniony przed rokiem w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", obecnie został szerzej przedstawiony w wydaniu książkowym [61]. Barbara *Matusowa* przypomniała w swej relacji wiele nieznanych dotychczas faktów. Tekst ten opracowała Stanisława *Młodożeniec-Warowna.*

Wśród najważniejszych organizacji podziemnych w pierwszym okresie okupacji hitlerowskiej prof. dr Maria *Turlejska* wymienia Tajną Wojskową Służbę Zdrowia (TWSZ), utwo-

---

[54] W. *Bartoszewski:* Warszawski pierścień śmierci 1939—1944. Indeksy: Z. *Lewinówna.* Mapki: A. *Młynarska.* Zachodnia Agencja Prasowa, Warszawa 1967, ss. 404, nlb. 4, tabl. 32, ilustracje. Rec. między innymi A. *Ajnenkiel,* Trybuna Ludu, 1968, nr 90, s. 3.

[55] W. *Kurkiewiczowa:* Za murami Monte. Wspomnienia z więzienia kobiecego Montelupich-Helclów, 1941—1942. Wydawn. Literackie, Kraków 1968, ss. 245, nlb. 2, tabl. 2.

[56] J. *Zaremba:* Wspomnienia z Montelupich. Nowe Książki, 1968, nr 17, s. 1162—1163.

[57] J. *Aleksandrowicz:* Kartki z dziennika doktora Twardego. Polska, 1968, nr 7, s. 18—21.

[58] A. *Biernacki:* Sprawozdanie z podróży do Zakopanego, Nowego Targu, Makowa i Krakowa w dniach od 1 do 8 marca 1941 r. Arch. Hist. Med., 1968, nr 1, s. 81—86.

[59] Pamiętniki lekarzy. Wybór i red. K. *Bidakowski* i T. *Wójcik.* Wyd. 2. Przedmowa: M. *Kacprzak.* Posłowie: A. *Pacho.* Czytelnik, Warszawa 1968, ss. 1030, nlb. 2.

[60] C. *Chlebowski:* Zagłada IV odcinka. Pax, Warszawa 1968, ss. 152, ilustracje, mapy.

[61] B. *Matusowa-„Kwiatkowska":* Na partyzancki poszły bój... 1939—1945. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1968, ss. 446.

rzoną przez lekarza wojskowego, mjra Czesława Wincentego *Jaworskiego,* autora znanych wspomnień [62], przed wojną kierownika Bratniej Pomocy Zarządu Głównego Związku Peowiaków. TWSZ „miała obsługiwać sanitariat różnych tajnych organizacji wojskowych. TWSZ gromadziła materiały opatrunkowe i polowe zestawy chirurgiczne dla przyszłej walki, udzielała bezpłatnej pomocy lekarskiej członkom organizacji podziemnych i prowadziła tajne kursy pielęgniarskie" [63].

Specjalnego opracowania wymagałaby służba sanitarna odrodzonego Wojska Polskiego, walczącego z okupantem hitlerowskim. Wśród informacji pojawiających się na ten temat zasługują na uwagę wzmianki o tym, że stosunkowo wcześnie — mimo trudności wynikających między innymi z braku kadr i sprzętu — w wysokim stopniu uzupełniano tę służbę dzięki pomocy ZSRR już w fazie organizowania jednostek wojskowych w wyniszczonym kraju. Na przykład, jak pisze mjr mgr Stanisław *Bilski,* „personel batalionu sanitarnego i pułków [siódmej dywizji piechoty, organizującej się w roku 1944 na Lubelszczyźnie] był skompletowany w 75%; instrumenty chirurgiczne i opatrunki indywidualne posiadano zgodnie z etatem. Batalion sanitarny dysponował materiałem opatrunkowym dla 100 rannych, pułki zaś dla 300. W batalionie sanitarnym brak było 10 samochodów sanitarnych i 2 ciężarowych, a w pułkach 8 przyczep dwukołowych" [64].

W źródłowej publikacji ppłk doc. dr Fryderyk *Zbiniewicz* podjął temat pomocy Armii Radzieckiej dla wyzwolonej Polski, reprezentowanej wówczas przez PKWN. Dostarczono wtedy bardzo duże zapasy sprzętu mechanicznego oraz żywności i lekarstw. Np. 6 września 1944 roku samolotem nr 4108 przywieziono do Polski zapas leków i sprzętu medycznego, których wyliczenie w zachowanej sztabowej notatce służbowej szefa tyłów Armii Radzieckiej daje pojęcie o zestawieniu tych materiałów w poszczególnym transporcie [65].

Co pewien czas pojawiają się prace dotyczące służb specjalnych, np. artykuł Marka *Diechtiara* [66]. Zagadnienia historii medycyny są przedmiotem osobnych badań w resorcie wojskowym [67].

Spośród tematów szczegółowych pogłębienia wymaga pomoc ruchowi oporu ze strony pracowników służby zdrowia. Oczywiście należy gromadzić wstępne opracowania, jak np. wygłoszony przez dra Zbigniewa *Jaśniewicza* na IX zjeździe polskich historyków medycyny w Poznaniu (24—26. IX. 1967 r.) referat pt. „Pomoc szpitali w Polsce uczestnikom ruchu oporu w okresie II wojny światowej".

Udział lekarzy w partyzantce mógłby być przedmiotem specjalnej monografii. W takiej antologii znalazłyby się na przykład wspomnienia znanego psychiatry, doc. dra Bolesława *Ałapina* [68], który brał udział w walkach 9 pułku piechoty Ziemi Zamojskiej (AK) jako ppor. lek. „Kwiatkowski", a także relacja dra Jana Ludomira *Kłonieckiego* [69], współpracującego z AK kierownika stacji sanitarno-epidemiologicznej w Wilnie.

Nie tylko polscy lekarze walczyli w partyzantce na naszych ziemiach, o czym zresztą jeszcze wiemy niewiele. Oto przykład. W lipcu 1941 roku dostała się do niewoli niemieckiej Tamara Aleksandrowna *Drozdowa,* młodszy lekarz pułku. We wrześniu uciekła ona w ogniu niemieckich karabinów maszynowych z obozu jeńców pod Białą Podlaską. W grupie partyzantów „Czuwaszy" uczestniczyła w walkach, zdobywała broń, opatrywała i leczyła rannych. Walcząc do ostatka, zginęła w czerwcu 1942 roku podczas przeprawy przez Bug, rozerwana przez granaty [70].

Biorąc pod uwagę odległe szlaki bojowe, warto wymienić wznowienie poczytnych wspomnień lekarza [71], który odbył całą kampanię wojenną, między innymi w trzecim batalionie strzelców karpackich. Dr Adam *Majewski* umieścił w swej cennej książce obfity zasób konkretnych informacji, trudnych do uzyskania skądinąd, zwłaszcza bardzo liczne nazwiska lekarzy, sprawdzone według wiarygodnych dokumentów.

W obozach hitlerowskich

Dobrym wprowadzeniem w problematykę obozów koncentracyjnych jest jej analiza prawnicza [72]. O tych obozach napisano już bar-

---

[62] C. W. *Jaworski:* Wspomnienia z Oświęcimia. W: Apel skazanych. Pax, Warszawa 1962.

[63] M. *Turlejska:* Druga wojna światowa. T. I: Prawdy i fikcje. Wrzesień 1939 — grudzień 1941. Wydanie II poprawione i rozszerzone. Książka i Wiedza, Warszawa 1968, s. 242—243.

[64] S. *Bilski:* 7 łużycka dywizja piechoty. Formowanie, szkolenie. Sierpień — grudzień 1944 r. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1968, nr 2, s. 130.

[65] F. *Zbiniewicz:* Pomoc Armii Radzieckiej dla Polski w świetle dokumentów z lat 1944—1945. Wojskowy Przegląd Historyczny, 1968, nr 1, s. 349.

[66] M. *Diechtiar:* Praca służby dezynfekcyjnej podległej bezpośrednio naczelnemu dowództwu Wojska Polskiego w latach 1943—1945 (na podstawie materiałów archiwalnych). Rocznik WIHiE, t. VI, 1967, nr 1, s. 59—76. — Unikalną edycją jest udostępnienie wyboru fragmentów rozpraw magisterskich, nagrodzonych i wyróżnionych w roku 1965: Z lat wojny i okupacji. 1939—1945. Opracowali S. *Herbst* i T. *Jędruszczak.* Wydawn. MON, Warszawa 1968, ss. 439, nlb. 1.

[67] I konferencja naukowa poświęcona dziejom polskiej wojskowej służby zdrowia, Łódź 6—7 grudnia 1966 r. Red. J. *Leńko.* Biuletyn Wojskowej Akademii Medycznej. Suplement 4: Zjazdy i konferencje, z. 11. Łódź 1967, ss. 182, nlb. 2, bibliografia.

[68] B. *Ałapin:* Leśne wspomnienia. Za Wolność i Lud, 1968, nr 19, s. 10 i 11.

[69] J. L. *Kłoniecki:* Ze wspomnień lekarza. W obronie człowieka. Jeńcy. Na krawędzi piekła. Trybuna Ludu, 1967, nr 272, 279, 286, 293, s. 4.

[70] W. *Sulewski:* Dramat lekarki w Parczewskich Lasach. Kulisy, 1968, nr 20, s. 4—5.

[71] A. *Majewski:* Wojna, ludzie i medycyna. Wydawn. Lubelskie, Lublin 1968, ss. 657, nlb. 1, ilustracje.

[72] A. *Klafkowski:* Obozy koncentracyjne hitlerowskie jako zagadnienie prawa międzynarodowego. PWN, Warszawa 1968, ss. 103, nlb. 1.

dzo dużo książek, ale wiele istotnych wiadomości kryje się ponadto na szpaltach dzienników, jak np. cytowane przez jednego z publicystów fragmenty pamiętnika oficera, Bogusława *Cereniewicza* [73]. Autor spędził pięć lat w *oflagu*. W Woldenbergu przeżył kryzys psychiczny i zapadł na gruźlicę. Niemcy wysłali go do „sanatorium" dla chorych jeńców, w wilgotnym i błotnistym klimacie okolic Tangerhütte. Komendantem tej „lecznicy" był podpułkownik *Sohngen*, którego uwięzieni uważali za zbrodniarza wojennego. *Cereniewicz* pisze: „Główna praca leczenia spoczywa na lekarzach jenieckich. Robią oni, co mogą, ale tak się składa, że w szpitalu gruźliczym nie było jeszcze od początku jego istnienia żadnego specjalisty. A tymczasem w obozach jenieckich znajduje się wielu słynnych lekarzy, niekiedy profesorów, którym jednak nie pozwala się na pełnienie funkcji lekarskiej. Jest w tym jakiś system" [74].

W Tangerhütte panowała wysoka śmiertelność. Chorych karmiono wodą, postnym chlebem i cuchnącą zupą z brukwi. Paczki PCK Niemcy okradali. W ciągu sześciodniowej, tragicznej ewakuacji w kwietniu 1945 roku przewieziono jeńców z Lazaretu T w celu zagłady do *Stalagu VIII A* w Görlitz, w pobliże frontu. Znajdowali się tam już jeńcy radzieccy. *Cereniewicza* przeraził ich widok: „Widziałem wczoraj z daleka ludzki tułów o jednej tylko ręce, pełzający koło śmietnika. Stu kilkudziesięciu gruźlików kona z braku jakiejkolwiek pomocy lekarskiej i żywnościowej" [75]. Niemcy zrezygnowali z zamiaru wybicia jeńców ogniem artyleryjskim i o świcie 7 maja chorzy ruszyli w morderczą, pieszą wędrówkę w kierunku Czech i Moraw. *Cereniewicz* opisuje następnie reakcję jeńców na oswobodzenie [76].

Należałoby zaplanować wydania książkowe na temat losów, działalności i martyrologii lekarzy w obozach zagłady i obozach jenieckich. Wzorem może być między innymi publikacja o nauczycielach [77]. Objętość „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" i jego kompendialny charakter uniemożliwiają publikowanie w naszych zeszytach podobnych monografii. Opracowując proponowaną książkę, trzeba by pamiętać, że w obozach nie tylko esesowcy, lecz także funkcjonariusze *Wehrmachtu* dopuszczali się zbrodni. O rzekomej „rycerskości" *Wehrmachtu*, o której głosi propaganda w NRF, można wyrobić sobie właściwy pogląd, zaznajamiając się ze zbrodniami dokonywanymi nie tylko w latach okupacji [78], lecz już w pierwszych tygodniach władzy hitlerowskiej w Polsce [79].

Odrębna książka na temat obozu oświęcimskiego ukazała się w języku angielskim [80]. Mgr Kazimierz *Smoleń*, dyrektor Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, zajął się w niej historią tego obozu oraz systemem kar stosowanych tam przez *SS*. Mgr Danuta *Czech* opracowała zagadnienie podobozów Oświęcimia i uzupełniła edycję kalendarzem najważniejszych wydarzeń z historii obozu. Mgr Tadeusz *Iwaszko* przedstawił materiały dotyczące ucieczek oświęcimskich. W zakresie problematyki ściśle lekarskiej prof. dr Władysław *Fejkiel* omówił eksperymenty zbrodnicze i śmierć głodową. W tomie umieszczono ponadto wspomnienia Zofii *Posmysz* („Śpiewaczka") i Wandy *Koprowskiej* („Dni grozy"). To angielskie wydanie oparto na wyborze tekstów z „Zeszytów Oświęcimskich". Z uznaniem należy ocenić zarówno tę antologię, jak też niemiecki przekład numeru dziesiątego wymienionego periodyku, wydawanego przez Państwowe Muzeum w Oświęcimiu.

Ukazało się kolejne wydanie przewodnika po byłym obozie Oświęcim-Brzezinka [81]. Na uwagę zasługuje, że tę podstawową broszurę informacyjną o obozie oświęcimskim wydano też w języku esperanto [82], który praktycznie jest łącznikiem z odbiorcami na całym świecie.

Poszerza się także literatura dotycząca innych większych obozów, np. ukazała się monografia obozu w Dachau [83]. Autor, były więzień, doc. dr Teodor *Musioł* z Instytutu Śląskiego w Opolu uwzględnił w tym bardzo dotychczas brakującym opracowaniu ekspery-

[73] J. *Steinhauf:* Dzienniki jeńca. Dziennik Polski, 1968, nr 95, s. 4—5, nr 96, s. 3, nr 100, s. 3—4, nr 109, s. 2—3.

[74] Tamże, nr 95, s. 5.

[75] Tamże, nr 109, s. 3.

[76] J. *Steinhauf:* Zwycięstwo jeńca. Dziennik Polski, 1968, nr 110, s. 3.

[77] Nauczyciele w hitlerowskich obozach jeńców podczas II wojny światowej. Opracowali W. *Kowalczyk* i inni. Red. M. *Piątkowski*. Nasza Księgarnia, Warszawa 1967 (wydano w lutym 1968 r.), ss. 270, nlb. 2, tabl. 16, ilustracje, mapy, bibliografia.

[78] Dużo miejsca poświęcono zbrodniom *Wehrmachtu* w osobnym zeszycie Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (Tom XVII, 1967, ss. 277, nlb. 1).

[79] S. *Datner:* 55 dni *Wehrmachtu* w Polsce. Zbrodnie dokonane na polskiej ludności cywilnej w okresie 1.IX—25.X.1939 r. Wydawn. MON, Warszawa 1967, ss. 619, nlb. 5, tabl. 13, ilustracje.

[80] From the history of KL-Auschwitz. Vol. 1. Przekład z języka polskiego K. *Michalik*. Państwowe Muzeum, Oświęcim 1967, 16°, ss. nlb. 4, 225, tabl. 20.

[81] K. *Smoleń:* Oświęcim 1940—1945. Przewodnik po Muzeum. Wyd. 5. Wydawn. Państwowego Muzeum, Oświęcim 1968, 16°, ss. 117, nlb. 3, tabl. 1, ilustracje. Tegoż autora: Auschwitz 1940—1945. Ein Gang durch das Museum. Przełożyła H. *Henschel*. Oświęcim 1968, ss. 117. — Nową pozycją w literaturze oświęcimskiej jest artykuł kustosza Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, J. A. *Brandhubera*, zamieszczony w Księdze pamiątkowej. Stulecie Gimnazjum i Liceum im. Króla Stanisława *Leszczyńskiego* w Jaśle, 1868—1968. PWN, Kraków 1968, s. 81—92. Po raz pierwszy wydano następujące wspomnienia: E. *Ciesielski:* Wspomnienia oświęcimskie. Słowo wstępne M. *Kiety*. Wydawn. Literackie, Kraków 1968, ss. 180. A. *Gawalewicz:* Refleksje z poczekalni do gazu. Ze wspomnień muzułmana. Wydawn. Literackie, Kraków 1968, ss. 168, ilustracje. Zob. też E. *Polak:* Morituri. Czytelnik, Warszawa 1968, 16°, ss. 282, nlb. 6, ilustracje. Wznowiono S. *Szmaglewskiej:* Dymy nad Birkenau. Wyd. 10. Czytelnik, Warszawa 1968, 16°, ss. 371, nlb. 4.

[82] K. *Smoleń:* Auschwitz (Oświęcim) 1940—1945, Laŭ 4. pola eldono kompletigita kaj plivastigita. El pola trad. A. *Turek*. Oświęcim: Eldonis Stata Muzeo. (Kraków) 1967, ss. 105, nlb. 1, ilustracje, mapy.

[83] T. *Musioł:* Dachau 1933—1945. Wydawn. Śląsk, Katowice 1968, ss. 504, mapy, wykresy, ilustracje.

menty pseudolekarskie, dokonywane na więźniach między innymi na zlecenie hitlerowskiej *Luftwaffe*. Relacją z Ravensbrück jest wznowiona książka dr Wandy *Półtawskiej* [84], należąca do chętnie czytanego zasobu podstawowych książek o „kacetach".

Z dużą wnikliwością w kreśleniu zróżnicowanej psychiki oprawców oraz więźniów Majdanka napisała swe wspomnienia Danuta *Brzosko-Mędryk* [85]. Autorkę aresztowano jako uczestniczkę kompletów tajnego nauczania. Do obozu dostała się ona przez Pawiak, gdzie podczas więziennego spaceru zdała maturę. Następnie przebywała w Ravensbrück i Buchenwaldzie. Jednym z motywów tej książki jest trud zachowania człowieczeństwa, godności i solidarności mimo prób upodlenia. Autentyzm i świeżość relacji są tym większe, że autorka już w Majdanku spisywała notatki na skrawkach papieru, które dzięki pośrednictwu robotników z zewnątrz przemycała poza druty. Oskarżenie, jakim jest ten jeszcze jeden więcej tekst o Majdanku, spełnia istotną rolę, ponieważ spośród 1200 członków załogi tego obozu tylko 120 stanęło przed sądem. Tutaj warto odnotować ponadto wspomnienia Franciszka *Jackiewicza* [86].

Literaturę okupacyjną wzbogacają także opracowania pomniejsze, np. o Pustkowie [87], czy też o obozie hitlerowskim w Potulicach [88]. Wyczerpująco i źródłowo opisano w dość obszernej monografii [89] opłakane warunki sanitarne, głodowe wyżywienie, morderczą pracę, wysoką śmiertelność w „rewirze" i plagę chorób w obozie Mittelbau. Dzięki takim publikacjom czytelnicy mogą zapoznać się z mało znanymi obozami, w których szalał hitlerowski system eksterminacyjny, a sytuacja więźniów należała do najgorszych. W podobnych pracach autorzy nie pomijają charakterystyki stanu zdrowia uwięzionych, gdyż jest to jedno z głównych zagadnień w ogólnym opisie poszczególnych obozów i podobozów.

Bliższe informacje o obozie Dora podaje w swoich wspomnieniach były więzień, Adam *Cabała* [90]. W tej katowni więźniowie, znajdujący się w opłakanych warunkach sanitarnych i pozbawieni możliwości leczenia, w nieludzki sposób byli gospodarczo eksploatowani w podziemiach południowego Harzu dla celów hitlerowskiego przemysłu wojennego. Do wysokiej śmiertelności przyczyniały się tam także epidemie, duże nasilenie nieszczęśliwych wypadków i bezwzględny terror.

Zbyt mało się jeszcze pisze o ciężkich warunkach, w jakich żyli robotnicy przymusowi, wywiezieni do Rzeszy. Np. na krótko przed wyzwoleniem „w [fabryce] Thekla po odejściu kolumny esesmani zebrali w ambulatorium wszystkich chorych, kaleki, wszystkich tych, którzy nie mogli wyruszyć w drogę. Esesmani wrzeszczeli: Alarm! Alarm! i rzucali granaty do baraku ambulatorium. Taki był koniec Thekla i dwudziestu chorych" [91]. Zasługiwałyby na rozwinięcie wzmianki o tematyce lekarskiej, zawarte także w pionierskich książkach zbiorowych napisanych przez ofiary robót w Rzeszy [92].

Ci, którzy przeżyli pracę przymusową i wrócili z Niemiec po oswobodzeniu, przeważnie bardzo długo później chorowali. Jak wynika z przeprowadzonych badań [93], „prawie 50% ankietowanych, w momencie powrotu do kraju po wyzwoleniu znajdowało się w złym, a nawet i katastrofalnym stanie zdrowia. Przyczyna utraty zdrowia, to warunki, w jakich zmuszeni zostali przez lata całe do pracy w Niemczech; wyniszczająca praca, nędzne odżywianie, brak odzieży i bielizny, złe warunki mieszkaniowe, bicie, więzienie, całkowity lub niemal całkowity brak opieki lekarskiej — oto niektóre z tych przyczyn. Traktowanie chorych robotników przez *bauerów* oraz w fabrykach, to oddzielny rozdział. Najskuteczniejszym lekarzem z reguły bywał żandarm, a najskuteczniejszym lekarstwem — bicie. O traktowaniu w szpitalach tych nielicznych, którzy się tam dostali, świadczy fakt, że podczas bombardowań lotniczych znoszono chorych do schronów. Nie odnosiło się to atoli do ciężko chorych Polaków, którzy pozostawali na swoich łóżkach w salach szpitalnych. Wiele chorób, nie leczonych w porę i właściwie, powodowało w efekcie niezdolność do pracy i trwałe kalectwo. Stąd niemała liczba ankietowanych cierpiących po dzień dzisiejszy na choroby reumatyczne, układu krążenia i układu nerwowego, owrzo-

---

[84] W. *Półtawska:* ...i boję się snów. Wyd. 3. Czytelnik, Warszawa 1968, ss. 193, nlb. 3.

[85] D. *Brzosko-Mędryk:* Niebo bez ptaków. Wydawn. MON, Warszawa 1968, ss. 403. — Wspomnienia z Buchenwaldu i Bergen-Belsen (1943—1945) napisał C. *Ostańkowicz:* Straszna góra Ettersberg.. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1968, 16°, ss. 291, nlb. 3.

[86] F. *Jackiewicz:* Byłem więźniem Majdanka. Wydawn. Lubelskie, Lublin 1967, ss. 269, nlb. 3.

[87] L. *Harla:* Pustków przypomina. Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej, Rzeszów 1967, ss. 30, nlb, 2, ilustracje.

[88] W. *Jastrzębski:* Potulice. Hitlerowski obóz przesiedleńczy i pracy (luty 1941 r. — styczeń 1945 r.). Bydgoskie Towarzystwo Naukowe. Prace Wydziału Nauk Humanistycznych. Seria C, nr 6. PWN. Bydgoszcz 1967, ss. 95, tablice, bibliografia. — W. *Jastrzębski,* T. *Jaszowski*: Potulice oskarżają. OKBZH i ZO ZBoWiD, Bydgoszcz 1968, ss. 123, nlb. 1.

[89] W. *Hein:* Zagłada więźniów obozu Mittelbau (Dora). Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, XVI, 1967, s. 65—157.

[90] A. *Cabała:* Arsenał grobów. Wydawn. Literackie, Kraków 1968, ss. 272, nlb. 4, tabl. 15, ilustracje. Oprócz własnych wspomnień autor oparł się na materiałach źródłowych.

[91] O. *Wormser-Migot:* Gdy alianci otworzyli bramy... Z języka francuskiego przełożyła W. *Gall.* Wydawn. Iskry, Warszawa 1967, s. 223.

[92] Przemoc, poniżenie, poniewierka. Wspomnienia z przymusowych robót rolnych 1939—1945. Wstęp i opracowanie: L. *Staszyński.* Książka i Wiedza, Warszawa 1967, ss. 707, nlb. 3. — Gdy byliśmy literą „P". Wspomnienia wywiezionych na przymusowe roboty do III Rzeszy. Wybór i opracowanie: Z. *Bigorajska,* W. *Pietruczuk-Kurkiewiczowa.* Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1968, ss. 523, nlb. 4, tabl. 16, ilustracje.

[93] S. *Datner:* Wywóz ludności polskiej na roboty niewolnicze do Niemiec. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, XVI, 1967, s. 44.

dzenia przewodu pokarmowego, stąd niemała liczba okaleczonych na całe życie". Stan zdrowia byłych przymusowych robotników w Niemczech hitlerowskich przypomina więc chorobowe następstwa przeżyć obozowych u byłych więźniów.

Uwagi o sytuacji i potrzebach badań dotyczących medycyny okresu okupacji

Niniejszy artykuł jest dalszym ciągiem informacji o większości tego wszystkiego, co opublikowano dotychczas w Polsce na temat zagadnień lekarskich i pokrewnych okresu minionej wojny. Ten cykl bibliograficzny prowadzimy od czterech lat [94]. Już pobieżne oceny dowodzą, że zgromadzono w Polsce niemały dorobek w omawianym zakresie. Dorobek ten jest cząstką składową historii najnowszej, nic więc dziwnego, że jej troski i potrzeby są zbieżne z naszymi spostrzeżeniami.

Wysiłki autorów prac dotyczących zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej stanowią w pewnym stopniu realizację postulatów coraz częściej wysuwanych przez historyków, którzy widzą konieczność bardziej wielostronnego i głębokiego badania najnowszych dziejów Polski. W analizie okresu wieku XX druga wojna światowa, hitleryzm i ruch oporu przeciw niemu są jednym z głównych zagadnień. „Istnieją możliwości znacznie pełniejszego, globalnego traktowania historii najnowszej, innymi słowy, wiele zasłon szczelnie okrywających różne zagadnienia z dziejów nam najbliższych zostało zerwanych, wiele spraw stanowiących dotychczas tabu zostało pozbawionych pieczęci milczenia" [95].

Sytuacja sprzyja tym badaniom pod wieloma względami, ale nie wszystko jeszcze zrobiono, zwłaszcza w dziedzinie organizacyjnej. Ponawiano więc postulaty o stworzenie ośrodka koordynującego, np. Instytutu Historii Najnowszej [96]. Wypełniłby on pustkę po zlikwidowanym Instytucie Pamięci Narodowej. Wskazano na rozproszenie archiwów, na „brak ośrodka informacji bibliograficznej z prawdziwego zdarzenia", na „faktyczny brak planowania", na konieczność „wprowadzenia ładu do organizacji badań" [97].

Mimo podobnych trudności prace historyczne posuwały się naprzód, a wraz z nimi rósł wskaźnik liczbowy i jakościowy publikacji dotyczących wąskiego, lecz niezmiernie ważnego zagadnienia medycyny minionej wojny. Nikogo już obecnie nie trzeba przekonywać, że ten dział, na pozór specjalistyczny, będzie ważnym materiałem dla takich badań nielekarskich, jak opracowania historyków, socjologów, psychologów i innych specjalistów, bez których pomocy nie obejdzie się żadna poważna synteza dotycząca problematyki dziejowej.

Potrzebna jest nie tylko intensywność badań, lecz także ich przyspieszenie z powodu obawy przed utratą lub zmarnowaniem najistotniejszych źródeł. Słusznie zwrócono uwagę np. na fakt, że „istnieje pilna potrzeba zbierania relacji" nawet bez opracowania i stosowania specjalnych metodycznych zasad w tym celu; nie da się bowiem zaprzeczyć „poważne doświadczenie w gromadzeniu i spisywaniu wspomnień", a „najważniejsze jest to, aby wspomnienia szybko zbierać, ponieważ czas upływa i ludzi ubywa" [98]. W „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" zawsze zwracaliśmy uwagę na wspomnienia, zarówno publikując oryginalne relacje, jak też poświęcając sporo miejsca omówieniu wspomnień.

Cykl zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" stanowi swoistą realizację wydawniczą, w dużej mierze historiograficzną, bez udziału zawodowych historyków. Celem jednak nie jest tworzenie ostatecznej pracy historycznej, lecz gromadzenie materiału, który wcześniej lub później będzie historykom przydatny. To, co się ukazuje poza tym cyklem w zakresie omawianej tematyki, zwłaszcza w formie książkowej, jest także bogatym zasobem źródeł. Dobrze się więc stało, że nie czekając ani na stworzenie koordynującej instytucji i jednolitego archiwum, ani na ustalenie zasad naukowych przedsięwziętej, długoterminowej pracy, opublikowano w Polsce w różnych odrębnych ośrodkach wiele rozmaitych prac w zakresie zagadnień lekarskich lat 1939—1945. Obecnie bibliografowie-specjaliści mogliby wykonać spis tych wydań, który by, obejmując nie mniej niż 1000 pozycii, zajął sporą broszurę. Bibliografia taka, odpowiednio ujęta merytorycznie, ukazałaby wzajemnie się uzupełniające grupy analiz szczegółowych, niezależnie od daty i miejsca wydania każdej pozycji.

Następny, dziesiąty, jubileuszowy zeszyt „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", który ukaże się w 25-lecie oswobodzenia obozu oświęcimskiego, będzie okazją do podsumowania całokształtu dorobku powojennego w dziedzinie omawianej problematyki, oczywiście z troską o to, aby zachować właściwą proporcję zagadnień w porównaniu z nielekarskimi działami dziejów drugiej wojny światowej.

---

[94] Zob. J. *Masłowski:* Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964. Przegl. Lek., 1965, nr 1. s. 175—189. — A. *Kępiński,* J. *Masłowski:* Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965 Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 241—247. — J. *Masłowski:* Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 244—259. — J. *Masłowski:* Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1967. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 272—281.

[95] Historia najnowsza. Bilans — 1968. (Dyskusja historyków). Kultura, 1968, nr 26, s. 1.

[96] Tamże, s. 8.

[97] Tamże, s. 9.

[98] Tamże, s. 9.

TREŚĆ POPRZEDNICH ZESZYTOW „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO", POŚWIĘCONYCH ZAGADNIENIOM LEKARSKIM OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

Zestawił: Jan *Masłowski*

Wszystkie pozycje w tym spisie są uszeregowane tematycznie. Liczby rzymskie (I—VIII) oznaczają kolejne zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim": I = Przegl. Lek., 1961, nr 1a, II = Przegl. Lek., 1962, nr 1a, III = Przegl. Lek., 1963, nr 1a, IV = Przegl. Lek., 1964, nr 1, V = Przegl. Lek., 1965, nr 1, VI = = Przegl. Lek., 1966, nr 1, VII = Przegl. Lek., 1967, nr 1, VIII = Przegl. Lek., 1968, nr 1. Liczby arabskie odnoszą się do numeracji stron w poszczególnych zeszytach.

*
* *

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą (II 34, III 34, IV 2, V okł., VI okł., VII okł., VIII okł.).— J. Bogusz: Słowo wstępne (I 34—35, II 35—37, III 35—41, IV 3—7, V 3—12, VI 3—13, VII 3—12, VIII 3—16). — J. Bogusz: Słowo końcowe (I 83—84).

DZIAŁ NAUKOWY

J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w tak zwanym Generalnym Gubernatorstwie. Orzeczenie wygłoszone w dniu 20.VI.1948 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w sprawie przeciwko dr Józefowi *Bühlerowi*, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG (III 103—115). — J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. (Orzeczenie wygłoszone na rozprawie sądowej przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w dniu 10 grudnia 1947), (II 37—49). — J. Sehn: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy SS w obozach koncentracyjnych (I 35—44). — J. Sehn: Sprawa oświęcimskiego lekarza SS, J. P. *Kremera* (II 49—61). — T. Bilikiewicz: Z rozważań nad psychologią ludobójstwa (VI 14—20). — A. Kępiński: Niektóre zagadnienia psychosocjologiczne masowych zbrodni hitlerowskich II wojny światowej (II 81—83). — A. Kępiński: Oświęcimskie refleksje psychiatry (IV 7—9). — A. Kępiński: Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy (VII 52—60). — A. Kępiński: Refleksje oświęcimskie: rampa; psychopatologia decyzji (VIII 26—35). — A. Kępiński, M. Orwid: Z psychopatologii „nadludzi". Uwagi na marginesie autobiografii Rudolfa *Hössa* (II 83—89). — A. Kępiński: „Anus mundi" (V 150—152). — A. Kępiński: Koszmar (VI 54—58). — S. Kasperek: Sterylizacje ze wskazań eugenicznych w latach 1934—1944 na Śląsku opolskim (VIII 40—47). — M. Łyskanowski: Los psychicznie chorych pod panowaniem ideologii hitlerowskiej (VII 64—67). — R. Kiełkowski: Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie (VII 68 do 78). — S. Dąbrowski: Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzycach a problem eutanazji (VIII 36—40). — A. Makowski: Niedożywienie więźniów politycznych (według pracy Howarda H. *Inglinga*), (VIII 47—53). — H. Münch: Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim (VII 79—88).— J. Kowalczykowa: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 58—60). — J. Kościuszkowa: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 60—61). — W. Półtawska: Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi". (Uwagi ogólne), (V 21—24). — W. Półtawska: Stany hipermnezji napadowej. (Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich"), (VII 89—93). — W. Półtawska, A. Jakubik, J. Sarnecki, J. Gątarski: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 21—36). — J. Gątarski: Badania elektroencefalograficzne u osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 37—38). — J. Sarnecki: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 39—46). — E. A. Cohen: Reakcja początkowa na osadzenie w obozie koncentracyjnym (V 28—31). — V. E. Frankl: Higiena psychiczna w sytuacji przymusowej. Doświadczenia z zakresu psychoterapii w obozie koncentracyjnym (V 24—28). — R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań (II doniesienie wstępne), (I 64—73). — M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 9—11). — A. Teutsch: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Doniesienie wstępne (II 90—94). — A. Teutsch: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stresu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 12—17). — M. Orwid: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 94—97). — M. Orwid: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 17—23). — A. Szymusik: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 98—102). — A. Szymusik: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 23—29). — R. Leśniak: Zmiany osobowości u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. (Doniesienie wstępne), (IV 29—30). — R. Leśniak: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (V 13—20). — S. Dąbrowski, H. Schrammowa, T. Żakowska-Dąbrowska: Trwałe zmiany psychiczne powstałe w wyniku pobytu w obozach koncentracyjnych i eksperymentów pseudolekarskich (V 31—34). — S. Kowalski: Wstępne wyniki badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska warszawskiego), (VIII 54—55). — S. Kłodziński, J. Kutyba: Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie), (VI 47—48). — C. Kempisty: Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego (VII 96—98). — J. Schwann-Pawłowska: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego), (VII 98—101). — T. Zdawski: Wstępne wyniki badań ftyzjatrycznych byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego), (VIII 64—65). — J. Zielina: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych (VI 49—52). — Witusik W., Witusik R.: Ślady następstw chorobowych związanych z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych (u byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego), (VIII 56—64). — H. Wieliczański: Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich (IV 43—45). — M. Dominik: Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety (VII 102—104).— S. Kłodziński: Zbrodnicze doświadczenia farmakologiczne na więźniach obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (preparat 3582, rutenol, Be 1034, periston), (V 40—46). — S. Kłodziński: Próby biologicznego wyniszczenia narodu polskiego pod pozorem „walki z gruźlicą" w okresie okupacji hitlerowskiej 1939—1945 r. (II 70—77). — S. Kłodziński: Zbrodnicze eksperymenty z zakresu gruźlicy dokonywane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Doniesienie wstępne (II 77—81). — S. Kłodziński: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. (Doniesienie wstępne), (I 74—75). — J. Krzywicki: Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim (VII 94—96). — J. Krzywicki: Stan uzębienia u byłych więźniów obozów hitlerowskich (V 36—37). — J. Budny: Wpływ przebywania w obozie koncentracyjnym na uzębienie by-

łych więźniów (VIII 65—70). — R. Waitz: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych (III 41—50). — F. Blaha: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic (na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym Dachau), (IV 45—50). — W. Fejkiel: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny SS w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 101—105). — W. Półtawska: Operacje doświadczalne w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück (III 90—97). — S. Kłodziński: Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I (V 46—67). — S. Kłodziński: Fenol w KL-Auschwitz-Birkenau (III 62—65). — S. Kłodziński: Z zagadnień ludobójstwa. „Sterylizacja" i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim. Dr *Horst Schumann* (IV 105—111). — T. Szymański: Przypadki *noma* (rak wodny) w obozie cygańskim Oświęcim-Brzezinka (II 68—70). — R. Waitz, M. Ciepielowski: Doświadczalny dur wysypkowy w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie (V 68—69). — S. Kłodziński: Z zagadnień „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich (IV 91—96). — S. Kłodziński: Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu. (Z działalności prof. dr Augusta *Hirta*), (IV 96—101). — T. Sznajder: Były Oddział Zakaźny Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie w czasie okupacji (VII 61—62). — R. Zabłotniak: Białostocka służba zdrowia w czasie okupacji hitlerowskiej (VII 63). — R. Zabłotniak: Studia medyczne w czasie okupacji hitlerowskiej (VIII 71—72). — S. Kłodziński: Niektóre zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (III 101—103). — R. W. Gutt: Próba rozważań na temat etyki lekarzy nazistowskich (VIII 23—26). — S. Dzięcielska-Machnikowska: Problemy zawodu lekarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej w świetle literatury pięknej i pamiętników (VII 48—51). — A. Schweitzer: Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej (VI 58—64). — J. Milčinski: Kryzys etyki lekarskiej (VII 30—37). — A. Glińska: Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia (VII 37—45). — A. Gawalewicz: Z rozważań na temat oświęcimskiej problematyki moralnej (VII 45—48). — K. Saller: Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie (VII 13—30). — S. Kłodziński: Cel i metodyka badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (V 34—36). — S. Kłodziński: Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem „Oświęcimia" (VI 52—54).

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

J. Cyrankiewicz: Przemówienie na uroczystości odsłonięcia pomnika w Oświęcimiu-Brzezince (VIII 16—22). — J. Olbrycht: Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych (VIII 82—91). — B. Popielski: Zakład Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas okupacji hitlerowskiej (VIII 92—98). — S. Urbańczyk: W Sachsenhausen i Dachau. (W 25 rocznicę uwięzienia profesorów uczelni krakowskich), (V 76—86). — E. Brzezicki: Socjopsychopatia a „Kazet-Lager" Sachsenhausen (III 77—83). — J. Miodoński: Kilka wspomnień o Sonderaktion Krakau 1939 (III 69—77). — O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów), (IV 53—57). — F. Walter: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ (IV 50—53). — K. M. Pospieszalski: Wykaz pracowników Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych w czasie wojny (VII 128—131). — Z. Albert: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. (IV 58—77). — S. Mahrburg: Karty z okresu terroru hitlerowskiego w Wilnie (V 86—90). — M. Beardwell-Wieleżyńska: Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu (VII 105—112). — Z. Wlazłowski: Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen (VII 112—121). — Z. Wlazłowski: Gruźlica płuc i postępowanie z chorymi na gruźlicę w obozie koncentracyjnym Gusen (VIII 98—101). — S. Jagielski: Psychiczne „galwanizowanie muzułmana" (VIII 106—109). — E. Hanke: Refleksje więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, Wincentego *Spaltensteina* (VIII 110—115). — M. E. Jezierska: Blok 46 obozu buchenwaldzkiego w marcu 1945 r. (VII 126). — M. E. Jezierska: Zagadnienie małych obozów (VII 127—128). — W. Fejkiel: O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym Oświęcim I (obóz główny), (I 44—51). — S. Kłodziński: Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim (I 51—57). — T. Paczuła: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia (III 50—53). — T. Paczuła: Organizacja i administracja szpitala obozowego KL Auschwitz I (II 61—68). — L. Głogowski: Królik doświadczalny (V 198—109). — L. Głogowski: „Szpital" w Brzezince (V 109—114). — R. Szuszkiewicz: Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 77—80). — J. Zielina: Blok 9 szpitala obozu Oświęcim I (IV 82—84). — M. Nowakowska: „Szpital kobiecy" w obozie w Oświęcimiu-Brzezince (I 61—64). — J. Kiwała: Kuchnia dietetyczna (*Dietküche*) w szpitalu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 80—82). — J. Kiwała: „Szpital" w obozie żeńskim w Brzezince na przełomie lat 1942—1943 (V 114—118). — J. Wolny: O organizowaniu pomocy lekarsko-sanitarnej w obozie kobiecym w Brzezince (V 118—120). — E. Lingens: Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince (VI 111—113). — D. Lorska: Blok X w Oświęcimiu (V 99—104). — D. Lorska: Wspomnienia z bloku nr 10. Dr Hans *Münch* (VI 105—107). — T. Szymański, D. Szymańska, T. Snieszko: O „szpitalu" w obozie rodzinnym dla Cyganów w Oświęcimiu-Brzezince (V 90—99). — S. Leszczyńska: Raport położnej z Oświęcimia (V 104—106). — F. Niedojadło: „Szpital" obozowy w Bunie (V 120—122). — O. Wolken: Gdy myślę o dzieciach.. (V 106—107). — O. Wolken: Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie — „kwarantannie" w Brzezince za okres od 20.IX.1943 do 1.XI.1944 (IV 84—87). — O. Wolken: Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność), (IV 88—90). — S. Sterkowicz: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza (III 97—101). — O. Wolken: Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 113—119). — S. Kłodziński: Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia (VII 122—125). — J. Bellert: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w Szpitalu Obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu (III 66—69). — W. Jekiełek („Żmija"): Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 120—131). — S. Rzeźnik: Wykradzenie więźnia obozu w Oświęcimiu Tadeusza *Orzelskiego* ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie (11.IV. 1941 r.), (IV 132—138). — S. Kłodziński: Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, Stefanii *Rzącowej* i Marii *Osińskiej* (VI 87—89). — R. Zabłotniak: Pomoc lekarzy dla ruchu oporu we wschodniej Białostocczyźnie (VIII 116—117). — B. Matus: Zielony Krzyż, służba sanitarna Batalionów Chłopskich (VIII 117—125). — Z. Łakociński: Folke *Bernadotte* i akcja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża (VIII 145—152). — J. Witkowski: Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi (VIII 73—81). — J. Zielina: Dzieci z Lidic (VI 138—140). — H. Tvcner: Grupa doktora Franciszka *Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu (VII 131—147). — J. Misiewicz: Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim (VII 147—156) — J. Włoczewski: Ursus a powstanie warszawskie. Wspomnienia lekarza (VI 140—142). — H. Rawska: Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa (VI 142—145). — R. Kiełkowski: Rządy Hansa *Franka* w świetle dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej (VIII 126 do 145). — S. Kłodziński: „Konferencja krvnicka" lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 r. (VII 115—123). — M. Ciećkiewicz: Ubezpieczalnia Społeczna w dobie okupacji w tzw. Generalnej Guberni (III 124—129). — M. Ciećkiewicz: Lecznictwo ubezpieczeń społecznych w Polsce w czasie okupacji (VI 65—86). — J. Mostowski: Zakłady

profesora Bujwida dla wyrobu surowic i szczepionek w Krakowie i ich współpraca z ruchem oporu i obozami koncentracyjnymi (III 135—137). — T. Pankiewicz: Apteka „Pod Orłem" w getcie krakowskim (VI 89—101). — T. Seweryn: Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej (VII 162—183). — A. Biberstein: Z problematyki żydowskiej służby zdrowia w Krakowie pod okupacją hitlerowską (VII 156—162). — M. Skulimowski: Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942 (VI 101—105). — S. Kłodziński: Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia". Wykaz wstępny (VI 146—149). — S. Kłodziński: Proces lekarza SS, Horsta *Fischera* (VIII 102—106). — Wyrok frankfurcki (VI 150—155).

WSPOMNIENIA

A. Gawalewicz: Reszta będzie milczeniem (VI 174—182). — A. Gawalewicz: Poczekalnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana (III 54—62). — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. I. Finał „epopei" lagrowej (IV 30—43). — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. II. Prolog ludzkiego życia (V 123—134). — F. Danimann: W obozie oświęcimskim (VIII 187—191). — L. Głogowski: Moje pierwsze dni w obozie oświęcimskim (VIII 191—194). — J. Kret: Lekarze znaleźli wyjście (VI 184—190). — J. Kret: Ze wspomnień oświęcimskich (VIII 209—212). — A. Woycicki: Dwa oblicza „Służby Rozpoznawczej" (VI 182—184). — M. E. Jezierska: Chorować nie wolno. Wspomnienie z Oświęcimia (VI 194—198). — A. Piątkowska: Z przeżyć oświęcimskich (VIII 201—203). — A. Tytoniak: Jesień 1942 roku w szpitalu kobiecym w Brzezince (VIII 195—200). — E. Piekut-Warszawska: Dzieci w obozie oświęcimskim. (Wspomnienia pielęgniarki), (VII 204—205). — D. Lorska: Z pobytu w Oświęcimiu (VII 206—208). — Z. Mączka-Patkaniowska: Zeznania z bunkra (V 135—138). — S. Dziaduś: Urywki wspomnień z Oświęcimia-Brzezinki (VIII 204—209). — Z. Kączkowski: Próba ucieczki z obozu oświęcimskiego (VII 208—211). — E. Ciesielski: Ucieczka z Oświęcimia (VIII 218—224). — A. Kopyciński: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym (IV 112—116). — A. Kopyciński: Skład orkiestry obozowej w Oświęcimiu (VI 217—219). — J. Olbrycht: Z przeżyć obozowych (V 139). — J. Grenda: Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu (VII 223). — J. Wolny: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen (VI 198—202). — J. Wolny: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen. Część II (VIII 213—217). — J. Markiewicz: Wspomnienia lekarza z Mauthausen-Gusen (V 144—148). — S. Pigoń: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940), (VI 156—171). — S. Kelles-Krauz: Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen (III 88—90). — S. Głowa: Ewakuacja obozu w Sachsenhausen (VI 171—174). — S. Perzanowska: Gdy wracam myślami do Majdanka. Wspomnienia lekarki (VI 202—209). — S. Perzanowska: O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku (VI 209—211). — S. Perzanowska: Szpital obozu kobiecego w Majdanku (VIII 169—180). — Z. Pawłowska: W rewirze na Majdanku (VIII 181—182). — S. Perzanowska: Pomoc lubelskich organizacji społecznych więźniom Majdanka (V 140—144). — P. Wesełucha: Niemcy. Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen (VII 192—196). — R. Sztaba: Ze wspomnień lekarza obozu w Gross-Rosen (VIII 153—157). — K. Hałgas: Z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. (Wspomnienia lekarza), (VII 197—203). — B. Rubin: Wspomnienia lekarza z Falkenbergu i Ebensee (VIII 182 do 187). — A. Makowski: Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie (VII 212—222). — J. Nowicki: Od Stutthofu do Sandbostel (VIII 158—169). — Z. Garnuszewski: Wspomnienia lekarza z konspiracji i partyzantki (VII 184—191). — W. Salwa („Mazur"): Wspomnienia rannego partyzanta (VIII 225—227). — T. Müller: Wspomnienia internowanego i jeńca wojennego (VII 225—228). — M. Kiciarski („Jur"): Olkusz pod okupacją hitlerowską. Wspomnienia lekarza (VIII 228—235). — J. Sowiakowski: Okupacyjne wspomnienia z Janowa Lubelskiego (VIII 236—243). — T. Seweryn: Do psychologii „übermenschów". Kartki z pamiętnika (VIII 243—252). — W. Lorenczuk: Wspomnienia z prac ekshumacyjnych na Pomorzu po wyzwoleniu (VII 224—225).

ZAGADNIENIA ODSZKODOWAN I ORZECZNICTWA

I. Domańska: Akcja Polskiego Czerwonego Krzyża na rzecz byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, ofiar zbrodniczych eksperymentów pseudolekarskich (V 70—71). — L. Brzozowski: Uwagi dotyczące uprawnień do świadczeń rentowych byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 71—73). — S. Kłodziński: Uwagi dotyczące stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych w związku z orzecznictwem rentalnym (V 73 do 74). — A. Szymusik: Dotychczasowy stan inwalidzkiego orzecznictwa psychiatrycznego dotyczącego byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 74—75).

RÓŻNE

T. Seweryn: „Wisła" na falach eteru (V 152 do 159). — T. Seweryn: Polskie sądownictwo podziemne (VI 212—217). — K. Żywulska: List do Matki (V 149). — Zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie badań lekarskich stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, członków ZBoWiD (V 165).

SPRAWOZDANIA

J. Nowak: Sprawozdanie z IV kongresu lekarskiego FIR w Bukareszcie (22—27.VI.1964), (V 160 do 161). — A. Kępiński, J. Masłowski: Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy (V 161—163). — S. Kłodziński: III Krajowy Kongres Delegatów ZBoWiD. Warszawa 24—26.IX.1964 r. Z zagadnień socjalno-medycznych Kongresu (V 164 do 165). — Oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego czci dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 220 do 226). — E. Brzezicki, A. Gawalewicz, T. Hołuj, A. Kępiński, S. Kłodziński, W. Wolter: Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Dyskusja), (VIII 253—261). — P. Wesełucha: Uwagi o swoistości psychicznej byłych więźniów (VIII 262—265).

SZKICE BIOGRAFICZNE

J. Aleksandrowicz: Ludzie służby zdrowia w okupowanym i podziemnym Krakowie (III 129 do 134). — J. Bogusz: Dr Mieczysław *Owca-Orwicz* (V 171—172). — E. Brzezicki: Prof. dr Jan *Miodoński* w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Wspomnienie pośmiertne (IV 125—126). — W. Denikiewicz, J. Kościuszkowa, J. Kowalczykowa, J. Mostowski, E. Opoczyński, D. Pytlik, T. Szymański: Sylwetki niektórych zmarłych polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia. Mgr farmacji Maria *Bobrzecka*. Prof. dr Marian *Gieszczykiewicz*. Dr Franciszek *Gralla*. Dr Stefania *Kościuszkowa*. Doc. dr Jan *Kowalczyk*. Dr Henryk *Krause*. Dr Witold *Kulesza*. Dr Jan *Malinowski*. Dr Ernestyna *Michalikowa*. Dr Witold *Preiss*. Dr Zbigniew *Szawłowski*. Dr Wilhelm *Türschmiedt*. Dr Maria *Werkenthin* (I 75—83). — M. Dominik: Dr Halina *Jankowska* (VII 229—236). — T. Hołuj: Marian *Toliński* (IV 121—122). — W. Jasińska: Kilka wspomnień o dr Wandzie *Starkowskiej* (VI 237—238). — W. Kiedrzyńska: Dr Celina *Choynacka* (V 167—168). — W. Kiedrzyńska: Dr Maria *Kujawska* (V 166—167). — M. Kieta: Prof. dr Jan *Sehn* (VI 239—240). — S. Kłodziński: Dr Aleksander *Smerek* (V 172—174). — S. Kłodziński: Dr

Dorota *Lorska* (VII 236—241) — S. Kłodziński: Dr Józef *Żegleń* (VIII 270—271). — S. Kłodziński: Dr Ludwik *Fischer*, więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851 (VI 229—234). — S. Kłodziński: Rola trucizn jako „ultimum refugium" w obozie w Oświęcimiu. Dr Jan Zygmunt *Robel* (IV 122—124). — E. Lingens: Dr Adelajda *Hautval* (IV 119—121). — J. Nowak, S. Perzanowska: Dwugłos o profesorze Mieczysławie *Michałowiczu* (VIII 266—269). — A. Przerwa-Tetmajer: Lekarki z organizacji młodzieżowej „Życie": Helena *Wolf („Anka")* i Janina *Zachariasz-Krajewska* (VI 234—236). — W. Sienicki: Dr Stanisław *Kelles-Krauz* (VI 227—228). — S. Szmaglewska: Sylwetki lekarzy — więźniów Oświęcimia (IV 116—119).

OCENY

E. Lingens: Nowy sposób oceny zbrodni hitlerowskich (VII 242—243). — A. Kępiński, J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964 — 1965 (VI 241—247). — J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966 (VII 244—259). — J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1967 (VIII 272—281).

BIBLIOGRAFIA

J. Masłowski: Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964 (V 175—189).

CONTENTS OF PRECEDING ISSUES OF „PRZEGLĄD LEKARSKI" (MEDICAL REVIEW) DEVOTED TO MEDICAL PROBLEMS OF THE PERIOD OF NAZI OCCUPATION

Compiled by Jan *Masłowski*
(Translated by Edwin R. *Paryski)*

The positions in this list are arranged thematically. Roman numerals (I—VIII) denote numbers of issues of „Przegląd Lekarski — Oświęcim" (Medical Review — Auschwitz): I = Przegl. Lek., 1961, Nr. 1a, II = Przegl. Lek., 1962, Nr. 1a, III = Przegl. Lek., 1963, Nr. 1a, IV = Przegl. Lek., 1964, Nr. 1, V = = Przegl. Lek., 1965, Nr. 1, VI = Przegl. Lek., 1966, No. 1, VII = Przegl. Lek., 1967, Nr. 1, VIII = Przegl. Lek., 1968, Nr 1. Arabic figures denote numbers of pages in the issues.

*
* *

To medical societies in Poland and abroad (II 34, III 34, IV, 2, V front page, VI front page, VII front page, VIII front page). J. Bogusz: Introduction (I 34—35, II 35—37, III 35—41, IV 3—7, V 3—12, VI 3—13, VII 3—12, VIII 3—16). J. Bogusz: Closing word (I 83—84).

SCIENTIFIC PAPERS

J. Olbrycht: Health matters in the so-called General Gouvernement. Expert opinion read on June 20, 1948, before the Supreme National Court in Cracow in the case against Dr Joseph *Bühler*, former chief in the so-called GG administration (III 103—115). — J. Olbrycht: Health matters in the Auschwitz concentration camp. (Expert opinion read at court proceedings before the Supreme National Court on Dec. 10, 1947), (II 37—49). — J. Sehn: Some juridical aspects of the „experiments" carried out by the hitlerite SS doctors in concentration camps (I 35—44). — J. Sehn: The Auschwitz trial of the SS physician J. P. *Kremer* (II 49—61). — T. Bilikiewicz: Considerations on the psychology of mass murder (VI 14—20). — A. Kepiński: Some psychosociologic problems of Nazi mass crimes in world war II (II 81—83). — A. Kępiński: Reflections of a psychiatrist on Auschwitz (IV 7—9). — A. Kępiński: Reflections on Auschwitz. The psychopathology of power (VII 52—60). — A. Kepiński: Auschwitz reflections: the „ramp": the psychopathology of decision (VIII 26—35). — A. Kępiński. M. Orwid: The psychopathology of „supermen". Remarks on the autobiography of Rudolf *Höss* (II 83—89). — A. Kępiński: „Anus mundi" (V 150—152). — A. Kępiński: Nightmare (VI 54—58). — S. Kasperek: Sterilization from eugenic indications in the years 1934—1944 in Opole Silesia (VIII 40—47). — M. Łyskanowski: The fate of mental patients under the reign of Nazi ideology (VII 64—67). — R. Kiełkowski: The mass murder of the patients of the mental hospital in Kobierzyn (VII 68—78). — S. Dąbrowski: Liquidation of the patients of the mental hospital in Obrzyce and the problem of euthanasia (VIII 36—40). — A. Makowski: The starvation of political prisoners (according to Howard H. *Ingling)* VIII 47—53). — H. Münch: Starvation and survival time in the Auschwitz camp (VII 79—88). — J. Kowalczykowa: Hunger disease in the concentration camp Auschwitz (I 58—60). — J. Kościuszkowa: The fate of children in the concentration camp Auschwitz (I 60—61). — W. Półtawska: Studies on the „Auschwitz children". (General remarks), (V 21—24). — W. Półtawska: States of paroxysmal hypermnesia. (With reference to studies on the so-called „Auschwitz children"), (VII 89—93). — W. Półtawska, A. Jakubik, J. Sarnecki, J. Gątarski: Results of psychiatric examinations of persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps (VI 21—26). — J. Gątarski: Electroencephalographic studies in persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps (VI 37—38). — J. Sarnecki: Emotional conflicts of persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps (VI 39—46). — E. A. Cohen: The initial reaction to imprisonment in the concentration camp (V 28—31). — V. E. Frankl: Mental hygiene in compulsory situations. Psychotherapeutic experiments in the concentration camp (V 24—28). — R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Some psychiatric problems of Auschwitz concentration camp. (Second interim report), (I 64—73). — M. Orwid, A. Szymusik. A. Teutsch: The purpose and methods of psychiatric examination of former prisoners of the Auschwitz concentration camp (IV 9—11). — A. Teutsch: An analysis of the process of adaptation to camp conditions in persons imprisoned during world war II in Nazi concentration camps. Preliminary report (II 90—94). — A. Teutsch: Mental reactions to psychophysical stress in 100 former prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp (IV 12—17). — M. Orwid: Remarks on adaptation to post-camp life in former prisoners of the Auschwitz concentration camp. Preliminary report (II 94—97). — M. Orwid: Sociopsychiatric sequels of imprisonment in the Auschwitz-Birkenau concentration camp (IV 17—23). — A. Szymusik: Mental disorders in former prisoners of the Auschwitz concentration camp. Preliminary report (II 98—102). — A. Szymusik: Progressive Asthenia in former prisoners of the Auschwitz concentration camp (IV 23—29). — R. Leśniak: Personality changes in former prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp. (Preliminary report), (IV 29—30). — R. Leśniak: Changes of personality in former prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp (V 13—20). — S. Dąbrowski, H. Schrammowa, T. Żakowska-Dąbrowska: Permanent mental disorders after imprisonment in concentration camps and pseudomedical experiments (V 31—34). — S. Kowalski: Preliminary results of medical investigation of former prisoners of Nazi concentration camps (in War-

saw) (VIII 54—55). — J. Kłodziński, J. Kutyba: Preliminary results of examinations of the state of health of 100 former prisoners of Nazi concentration camps (in the Old Town quarter of Cracow), (VI 47—48). — C. Kempisty: State of health of former prisoners in Wrocław (VII 96—98). — J. Schwann-Pawłowska: Preliminary results of medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps (in Szczecin), (VII 98—101). — T. Zdawski: Preliminary results of phthisiatric examination of former prisoners of Nazi concentration camps (Szczecin), VIII 64—65). — J. Zielina: Results of medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps (VI 49—52). — W. Witusik, R. Witusik: Pathologic traces of imprisonment in concentration camps (in former Auschwitz prisoners), (VIII 56—64). — H. Wieliczański: Observations on the present state of health of former prisoners of the Nazis (IV 43—45). — M. Dominik: The health and living conditions of former Auschwitz prisoners in the light of questionnaires (VII 102 to 104). — S. Kłodziński: Criminal pharmacological experiments on prisoners of the Auschwitz concentration camp (preparation 3582, rutenol, Be 1034, periston), (V 40—46). — S. Kłodziński: Trials of biologic extermination of the Polish nation under the pretense of „battle against tuberculosis" during the period of the Nazi occupation, 1939—1945 (II 70—77). — S. Kłodziński: Criminal experiments on tuberculosis in Nazi concentration camps during world war II. Preliminary communication (II 77—81). — S. Kłodziński: Results of examinations of former Auschwitz prisoners for pulmonary tuberculosis, 15 years after liberation (Preliminary communication), (I 74—75). — J. Krzywicki: Jaw trauma in the Auschwitz camp (VII 94—96). — J. Krzywicki: The state of teeth of former prisoners of Nazi camps (V 36—37). — J. Budny: The influence of imprisonment in concentration camps on the dentition of former prisoners (VIII 65—70). — R. Waitz: Pathologic conditions in former women prisoners of concentration camps (III 41—50). — F. Blaha: On the pathogenesis of atherosclerosis (on the basis of personal observations at the Dachau concentration camp), (IV 45—50). — W. Fejkiel: Experiments carried out by the SS sanitary personnel in the main camp in Auschwitz (IV 101—105). — W. Półtawska: Experimental operations at the Ravensbrück concentration camp (III 90—97). — S. Kłodziński: Typhus fever at the Auschwitz I concentration camp (V 46—67). — S. Kłodziński: Phenol in KL-Auschwitz-Birkenau (III 62—65). — S. Kłodziński: Problems of mass murder. „Sterilization" and castration with Roentgen rays at the Auschwitz concentration camp. Dr Horst *Schumann* (IV 105—111). — T. Szymański: Cases of noma (gangrenous stomatitis) in the gypsy camp at Auschwitz-Birkenau (II 68—70). — R. Waitz, M. Ciepielowski: Experimental typhus at the Buchenwald concentration camp (V 68—69). — S. Kłodziński: Problems of „economical" exploitation of human bodies in Nazi Germany (IV 91—96). — S. Kłodziński: The collection of Jewish skeletons for the university of the IIIrd Reich in Strasburg. (The activities of Prof. Dr. August Hirt), (IV 96—101). — T. Sznajder: The former Infectious Diseases Department of the St. Lazarus State Hospital in Cracow during the occupation (VII 61—62). — R. Zabłotniak: The health service in Białystok during the Nazi occupation (VII 63). — R. Zabłotniak: Medical studies during the Nazi occupation (VIII 71—72). — S. Kłodziński: Some problems of medical deontology in Nazi concentration camps (III 101—103). — R. W. Gutt: Some reflections on the ethics of Nazi doctors (VIII 23—26). — S. Dzięcielska-Machnikowska: Problems of the medical profesion during the Nazi occupation in the light of literature and memoirs (VII 48—51). — A. Schweitzer: Problems of ethics in the evolution of human thought (VI 58—64). — J. Milčinski: The crisis of medical ethics (VII 30—37). — A. Glińska: Studies on the morals of Auschwitz prisoners (VII 37—45). — A. Gawalewicz: Reflections on moral problems in Auschwitz (VII 45—48). — K. Saller: Murder on racial grounds and illusions of heroism in national socialism (VII 13—30). — S. Kłodziński: The aims and methods of medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps (V 34—36). — S. Kłodziński: The necessity of continuing scientific studies on the problem of „Auschwitz" (VI 52—54).

HISTORICAL AND DOCUMENTARY PAPERS

J. Cyrankiewicz: Speech on the occasion of the unveiling of the monument in Auschwitz-Birkenau (VIII 16—22). — J. Olbrycht: Experiences of a forensic physician during the Nazi occupation and after liberation in matters connected with the occupation (VIII 82—91). — B. Popielski: The Department of Forensic Medicine of the Jagellonian University during the Nazi occupation (VIII 92—98). — S. Urbańczyk: In Sachsenhausen and Dachau. (On the 25th anniversary of the imprisonment of the professors of Cracow schools), (V 76—86). — E. Brzezicki: Social psychopathy and the Sachsenhausen „Kazet-Lager" (III 77—83). — J. Miodoński: Some reminiscences of the Sonderaktion Krakau 1939 (III 69—77). — On the trials of freeing the professors of the Jagellonian University (as related by members of the families of the professors), (IV 53—57). — F. Walter: Professors and associate professors of the Faculty of the Jagellonian University deceased during the war (IV 50—53). — K. M. Pospieszalski: A list of workers of the Poznań University deceased during the war (VII 128—131). — Z. Albert: The murder of 25 professors of academic schools in Lwów by the Nazis in July 1941 (IV 58—77). — S. Mahrburg: Reminiscences from the period of Nazi terror in Vilno (V 86—90) — M. Beardwell-Wieleżyńska: The concentration camp in Bergen-Belsen immediately after the liberation (VII 105—112). — Z. Wlazłowski: Pulmonary tuberculosis and the treatment of tuberculosis patients at the Gusen concentration camp (VIII 98—101). — Z. Wlazłowski: The hospital in the Gusen concentration camp (VII 112—121). — S. Jagielski: Mental „galvanization of muslims" (VIII 106—109). — E. Hanke: Reflections of Wincenty *Spaltenstein*, prisoner of the Dachau concentration camp (VIII 110—115). — M. E. Jezierska: Block 46 in the Buchenwald camp in March 1945 (VII 126). — M. E. Jezierska: The problem of small camps (VII 127—128). — W. Fejkiel: On the health service in the Auschwitz I concentration camp (main camp), (I 44—51). — S. Kłodziński: The Polish health service's part in saving prisoners' lives in Auschwitz (I 51—57). — T. Paczuła: The Auschwitz camp and camp hospital in the early period of their existence (III 50—53). — T. Paczuła: Organization and administration of the camp hospital in KL Auschwitz I (II 61—68). — L. Głogowski: An eperimental rabbit (V 108—109). — L. Głogowski: The „hospital" in Birkenau (V 109—114). — R. Szuszkiewicz: Dentistry in the Auschwitz concentration camp (IV 77—80). — J. Zielina: Block 9 of the camp hospital in Auschwitz I (IV 82—84). — M. Nowakowska: The „women's hospital" in the Auschwitz-Birkenau camp (I 61—64). — J. Kiwała: The dietetic kitchen (*Dietküche*) of the hospital in the Auschwitz concentration camp (IV 80—82). — J. Kiwała: The „hospital" in the women's camp in Birkenau 1942—1943 (V 114—118). — J. Wolny: On the organization of medical and sanitary aid in the women's camp in Birkenau (V 118—120). — E. Lingens: Nationality problems in the women's hospital in Birkenau (VI 111—113). — D. Lorska: Block X in Auschwitz (V 99—104). — D. Lorska: Reminiscences from Block No. 10. Dr Hans *Münch* (VI 105—107). — T. Szymański, D. Szymańska, T. Snieszko: On the „hospital" in the family camp for gypsies in Auschwitz-Birkenau (V 90—99). — S. Leszczyńska: Report of a midwife in Auschwitz (V 104—106). — E. Niedojadło: The camp „hospital" in Buna (V 120—122). — O. Wolken: When I think of the children... (V 106—107). — O. Wolken: Comments on the statistics of patients and deaths in the „quarantine" camp in Birkenau, Sept. 20, 1943 to Nov. 1, 1944 (IV 84—87). — O. Wolken: The fate of Jews in Auschwitz (morality) (IV 88—90). — S. Sterkowicz:

Problems of life and death in the camp, the reminiscences of a physician (III 97—101). — O. Wolken: Liberation of the Auschwitz-Birkenau concentration camp (VI 113—119). — S. Kłodziński: International Red Cross packages for Auschwitz prisoners (VII 122—125). — J. Bellert: The work of Polish doctors and nurces in the Red Cross Camp Hospital after the liberation of the camp (III 66—69). — W. Jekiełek („The Snake"): Help for the prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp by the Popular Battalions (VI 120—131). — S. Rzeźnik: Escape of the Auschwitz prisoner Tadeusz *Orzelski* from the St. Lazarus Hospital in Cracow (June 11, 1941), (VI 132—138). — S. Kłodziński: Help to persons displaced by the Nazis in the light of reminiscences of the Polish Red Cross sisters Stefania *Rzącowa* and Maria *Osińska* (VI 87—89). — R. Zabłotniak: Help by doctors for the resistance movement in the eastern Białystok region (VIII 116—117). — B. Matus: The Green Cross, the sanitary service of the Popular Battalions (VIII 117—125). — Z. Łakociński: Folke *Bernadotte* and the action of the Swedisch Red Cross (VIII 145—152). — J. Witkowski: The Nazi camp for children in Łódź (VIII 73—81). — J. Zielina: The children of Lidice (VI 138—140). — H. Tycner: The group of Dr Franciszek *Witaszek* in the Great Poland resistance movement (VII 131—147). — J. Misiewicz: Diary from the days of the Warsaw Insurrection from the Wolski Hospital (VII 147—156). — J. Włoczewski: Ursus and the Warsaw Insurrection. Reminiscences of a doctor (VI 140—142). — H. Rawska: Reminiscences of a nurse from the occupation times in Ursus (VI 142 to 145). — R. Kiełkowski: The rule of Hans *Frank* in the light of documentation of the Central Care Council (VIII 126—145). — S. Kłodziński: The „Krynica Conference" of Nazi doctors in October 1941 (III 115—123). — M. Ciećkiewicz: The Health Insurance during the ocupation in the so-called General Gouvernement (III 124—129). — M. Ciećkiewicz: The insured health service in Poland during the occupation (VI 65—86). — J. Mostowski: Professor Bujwid's Laboratory for production of sera and vaccines in Cracow and its collaboration with the resistance movement and concentration camps (III 135 to 137). — T. Pankiewicz: The „Eagle" Drugstore in the Cracow ghetto (VI 89—101). — T. Seweryn: Help for Jews during the Nazi occupation (VII 162—183). — A. Biberstein: The Jewish health service in Cracow during the Nazi occupation (VII 156—162). — M. Skulimowski: Liquidation of the Jewish hospital in Wieliczka in 1942 (VI 101—105). — S. Kłodziński: SS-men in the Auschwitz „health service". Preliminary list (VI 146—149). — S. Kłodziński: The trial of the SS doctor, Horst *Fischer* (VIII 102—106). — The Frankfurt verdict (VI 150—155).

REMINISCENCES

A. Gawalewicz: The rest is silence (VI 174 to 182). — A. Gawalewicz: Waiting room to the gas chamber. Fragments of reminiscences of a muslin (III 54—62). — A. Gawalewicz: The number regains its name. Finish of the camp „epic" (IV 30—43). — A. Gawalewicz: The number regains its name, II: Prologue of a human life (V 123—134). — F. Danimann: In the Auschwitz camp (VIII 187—191). — L. Głogowski: My first days in the Auschwitz camp (VIII 191—194). — J. Kret: The doctors found a way (VI 184—190). — J. Kret: Auschwitz reminiscences (VIII 209—212). — A. Woycicki: Two aspects of the „Reconaissance Service" (VI 182—184). — M. E. Jezierska: Sickness forbidden. Auschwitz reminiscences (VI 194—198). — A. Piątkowska: Auschwitz reminiscences (VIII 201—203). A. Tytoniak: Autumn 1942 in the women's hospital in Birkenau (VIII 195—200). — E. Piekut-Warszawska: Children in the Auschwitz camp (Reminiscences of a nurse), (VII 204—205). — D. Lorska: My stay in Auschwitz (VII 206—208). — Z. Mączka-Patkaniowska: Confessions from a bunker (V 135—138). — S. Dziaduś: Some reminiscences of Auschwitz-Birkenau (VIII 204—209). — Z. Kączkowski: An attempted escape from Auschwitz (VII 208—211). — E. Ciesielski: Escape from Auschwitz (VIII 218—224). — A. Kopyciński: The orchestra in the Auschwitz concentration camp (IV 112—116). — A. Kopyciński: List of members of the camp orchestra in Auschwitz (VI 217—219). — J. Olbrycht: Some camp experiences (V 139). — J. Grenda: Reminiscences of work in the Polish Red Cross Hospital in Auschwitz after the liberation of the camp (VII 223). — J. Wolny: Reminiscences of a male nurse in the Dachau, Auschwitz and Mauthausen camps (VI 198—202). J. Wolny: Reminiscences of a male nurse in the Dachau, Auschwitz and Mauthausen camps. Part II (VII 213—217). — J. Markiewicz: Reminiscences of a doctor from Mauthausen-Gusen (V 144—148). — S. Pigoń: Reminiscences from the Sachsenhausen camp (1939—1940), (VI 156—171). — S. Kelles-Krauz: Reminiscences of a doctor in the Sachsenhausen concentration camp (III 88—90). — S. Głowa: The evacuation of the Sachsenhausen camp (VI 171—174). — S. Perzanowska: When I think of Majdanek, Reminiscences of a doctor. (VI 202—209). — S. Perzanowska: Some Nazi doctors in Majdanek (VI 209—211). — S. Perzanowska: The hospital in the women's camp in Majdanek (VIII 169—180). — Z. Pawłowska: In the sick ward in Majdanek (VIII 181—182). — S. Perzanowska: Aid by Lublin social organizations for prisoners in Majdanek (V 140—144). — P. Wesełucha: The Germans. Reminiscences from Działdowo, Dachau and Mauthausen-Gusen (VII 192—196). — R. Sztaba: Reminiscences of a doctor from the Gross-Rosen camp (VIII 153—157). — K. Hałgas: From the concentration camp in Gross-Rosen (Reminiscences of a doctor) (VII 197—203). — B. Rubin: Reminiscences of a doctor from Falkenberg and Ebensee (VIII 182—187). — A. Makowski: Reminiscences of a doctor from the concentration camps in Monowice, Buchenwald and Zwieberge-Langenstein (VII 212—222). J. Nowicki: From Stutthof to Sandbostel (VIII 158—169). — Z. Garnuszewski: Reminiscences of a doctor in the conspiration and partisan movement (VII 184—191). — W. Salwa („Mazur"): Reminiscences of a wounded partisan (VIII 225—227). — T. Müller: Reminiscences of an interned prisoner and prisoner of war (VII 225—228). — M. Kiciarski („Jur"): Olkusz under the Nazi occupation. Reminiscences of a doctor (VIII 228—235). — J. Sowiakowski: Reminiscences from the occupation in Janow Lubelski (VIII 236—243). — T. Seweryn: Psychology of the „Uebermensche", Pages from a diary (VIII 243—252). — W. Lorenczuk: Reminiscences from the exhumations in Pomerania after the liberation (VII 224—225).

PROBLEMS OF INDEMNIFICATION AND CERTIFICATION

I. Domańska: Action of the Polish Red Cross on behalf of former prisoners of Nazi concentration camps, victims of criminal pseudomedical experiments (V 70—71). — L. Brzozowski: Remarks on the right to pensioning of former prisoners of concentration camps (V 71—73). — S. Kłodziński: Remarks on the state of health of former prisoners of concentration camps and certification for pensioning (V 73—74). — A. Szymusik: The present state of certification of psychiatric invalidism of former prisoners of concentration camps (V 74—75).

VARIA

T. Seweryn: „Wisła" on the ether waves (V 152—159). — T. Seweryn: Polish underground courts (VI 212—217). — K. Żywulska: Letters to a Mother (V 149). — Instructions of the Minister of Health and Social Welfare concerning medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps, members of the Association of Fighters for Freedom and Democracy (V 165).

REPORTS

J. Nowak: Report from the IVth FIR Medical Congress in Bucarest (June 22—27, 1964). (V 160—161). — A. Kępiński, J. Masłowski: The First Convention of Doctors of the Association of Fighters for Freedom and Democracy. Archievements and prospects

(V 161—163). — S. Kłodziński: The IIIrd National Congress of Delegates of the Association of Fighters for Freedom and Democracy. Warsaw, Sept. 24—26, 1964. Sociomedical problems at the Congress (V 164—165). — The Cracow branch of the Polish Medical Society celebrates the twentieth anniversary of the liberation of the Auschwitz-Birkenau camp (VI 220—226). — E. Brzezicki, A. Gawalewicz, T. Hołuj, A. Kępiński, S. Kłodziński, W. Wolter: Prisoner officials in Nazi concentration camps. (A. Discussion). (VIII 253—261). — P. Wesełucha: Remarks on mental peculiarities of former prisoners (VIII 262—265).

BIOGRAPHIC SKETCHES

J. Aleksandrowicz: People of the health service in occupied and underground Cracow (III 129—134). — J. Bogusz: Dr. Mieczysław *Owca-Orwicz* (V 171—172). — E. Brzezicki: Prof. dr Jan *Miodoński* in the Sachsenhausen concentration camp. Obituary (IV 125—126). — W. Denikiewicz, J. Kościuszkowa, J. Kowalczykowa, J. Mostowski, E. Opoczyński, D. Pytlik, T. Szymański: Silhouettes of some deceased Polish doctors and workers of the health service deserved for carrying help to the Auschwitz prisoners. Mgr. pharm. Maria *Bobrzecka*, Prof. Dr. Marian *Gieszczykiewicz*. Assoc. Prof. Dr Jan *Kowalczyk*. Dr Henryk *Krause*. Dr Witold *Kulesza*. Dr Jan *Malinowski*. Dr. Ernestyna *Michalikowa*. Dr Witold *Preiss*. Dr Zbigniew *Szawłowski*. Dr Wilhelm *Türschmiedt*. Dr Maria *Werkenthin*. (I 75—83) — M. Dominik: Dr Halina *Jankowska* (VII 229—236). — T. Hołuj: Marian Toliński (IV 121—122). — W. Jasińska: Reminiscences of Dr Wanda *Starkowska* (VI 237—238). W. Kiedrzyńska: Dr Celina *Choynacka* (V 167—168). — W. Kiedrzyńska: Dr Maria *Kujawska* (V 166—167). — M. Kieta: Prof. Dr Jan *Sehn* (VI 239—240). — S. Kłodziński: Dr Aleksander *Smerek* (V 172—174). — S. Kłodziński: Dr Dorota *Lorska* (VII 236—241). — S. Kłodziński: Dr Józef *Żegleń* (VIII 270—271). — S. Kłodziński: Dr Ludwik *Fischer*, prisoner No. 7851 in the Gross-Rosen camp (VI 229—234). — S. Kłodziński: Maria *Stromberger* (II 102—107). — S. Kłodziński: The role of poisons as „ultimum refugium in the Auschwitz camp. Dr Jan Zygmunt *Robel* (IV 119—121). — E. Lingens: Dr Adelaide *Hautval* (IV 119—121). — J. Nowak, S. Perzanowska: A dialogue about Professor Mieczysław *Michałowicz* (VIII 266—269). — A. Przerwa-Tetmajer: Women doctor in the youth organization „Life": Helena *Wolf* („Anka") and Janina *Zachariasz-Krajewska* (VI 234—236). — W. Sienicki: Dr Stanisław *Kelles-Krauz* (VI 227—228). — S. Szmaglewska: Silhouettes of doctor-prisoners in Auschwitz (IV 116—119).

REVIEWS

E. Lingens: A new method of assessing Nazi crimes (VII 242—243). — A. Kępiński, J. Masłowski: Medical problems of the occupation in Polish publications from the years 1964—1965, (VI 241—247). — J. Masłowski: Medical problem of the occupation in Polish publications of the year 1966 (VII 244—259). — J. Masłowski: Medical problems of the occupation in Polish publications of the year 1967 (VIII 272—281).

BIBLIOGRAPHY

J. Masłowski: Medical problems from the period of the Nazi occupation. Polish bibliography 1944—1964 (V 175—189).

CONTENTS

Bogusz J.: Foreword 3

SCIENTIFIC PAPERS

Panasewicz J.: Some timely pathologic problems of wartime 13

Wojtasik W.: Pathologic changes in former prisoners of concentration camps resident in Kielce 18

Gątarski J., Orwid M., Dominik M.: Results of psychiatric and electroencephalographic examination of 130 former prisoners of Auschwitz-Birkenau 25

Kaczyński A.: Chronic rheumatoid arthritis in prisoners of concentration camps and their present status 28

Capińska K., Capiński T. Z.: Results of ambulatory dermatologic treatment of 150 former Auschwitz prisoners 31

Waluk B.: The state of health of military settlers in the Szczecin county 35

Chróścielewski E.: Euthanasia. Some medical and legal problems 37

Chróścielewski E., Celiński W.: Pseudoeuthanasia in „Warta Land" („Warthegau") during the Nazi occupation . 42

Sterkowicz S.: Problems of morality among the prisoners of Nazi concentration camps 47

Glińska A.: Trends of moral transformation in Auschwitz prisoners 53

Glińska A.: The nature and mechanism of moral transformation in Auschwitz prisoners 57

HISTORICAL AND DOCUMENTARY PAPERS

Kret J.: A contribution to the history of the extermination of the Polish inteligentsia in the Auschwitz camp 61

Kłodziński S.: The Laboratory of the SS Institute of Hygiene in Auschwitz. Broth from human flesh 67

Makowski A.: The First Ward of General Medicine in the Buna-Monowice concentration camp hospital 71

Zegarski W.: The hospital in Sachsenhausen and camp conditions in the years 1940—1945 75

Kłodziński S.: Criminal experiments in tuberculosis in Neuengamme. The activities of Kurt Heissmeyer 86

Wlazłowski Z.: Polish physicians in the underground resistance movement in Gusen 92

Witkowski J.: The Nazi investigation camp in Mysłowice 95

Witkowski J.: Further information on the „Polen-Jugendverwahrlager" in Łódź. The „Witaszkowcy" group 97

Witaszek-Napierała A.: Germanization of Polish children 109

Chróścielewski E.: Remarks on the activities of Doctor Witaszek. Helena Siekierska („Lusia") 110

REMINISCENCES

Kotucha R.: Slave laborer in the Reich. Reminiscences of a physician 113

Woytowicz B.: In occupied Warsaw . 117

Grajkowska-Bryjowa M.: Reminiscences of the popular conspiration . . . 125

Apostoł-Staniszewska J.: Reminiscences from Birkenau. Fragments . . . 130

Dziaduś S.: „Hirschberg" and „Treskau", branches of the Gross-Rosen concentration camp. Fragments of reminiscences . . 138

Żegleń J.: From the „hospital" in Gross-Rosen 145

Fedorowicz („Ran") T.: Remarks on camp „hospitals" and functionnaires . . . 148

Pagniez Y.: Sunday in the camp . . 154

Mazurkiewicz-Pieńkowska M. R.: A transport saved from Auschwitz. Reminiscences of a physician 157

Jabłoński J.: From Radogoszcz to Auschwitz, Gross-Rosen and Mauthausen. Reminiscences of a physician 161

Kordylewska Z.: Reminiscences of a woman physician from the Occupation . . 165

Lach-Kamińska J.: In Nazi prisons and concentration camps (1943—1945) . . 167

Sztaba R.: About some prisoners of the Majdanek camp 173

Osuchowski J.: Gassing of prisoners from Block No. 24 in Gusen 177

Weselucha P.: Madness or method? Reflections after camp 181

REPORTS

Jagoda Z., Masłowski J.: The second convention of the Association of Figthers for Freedom and Democracy (ZBoWiD). Polish medicine and problems of the Occupation . 184

Pituch A.: Report from the Polish Student National Seminar about Nazi crimes. . . 189

SILHOUETTES OF HEALTH SERVICE WORKERS

Kiedrzyńska W., Kępińska-Bazylewicz („Kora"): Two reminiscences of Professor Dr. Jadwiga Szustrowa . . . 191

Dominik M.: Professor Dr. Franciszek Raszeja 195

Kłodziński S.: Dr. Władysława Jasińska 199

Zegarski W.: Dr. Witold Kopczyński . . 201

Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Dr. Antoni Ostaszewski 204

Mączka-Patkaniowska Z.: Master of Pharmacy Czesław Mączka 206

REVIEWS

Masłowski J.: Medical problems of the Occupation in Polish publications in 1968 . 210

Contents of preceding issues of „Przegląd Lekarski" (Medical Review), devoted to medical problems of Nazi occupation 224

Spis treści w języku polskim znajduje się na str. 2.